

Robert Goddard

Bez śladu

Przełożyła Hanna Pasierska

Tytuł oryginału angielskiego: *Into the Blue*

Philowi Dwerryhouse'owi

Podziękowania

Chciałbym podziękować Tinie Maskell-Feidi za wskazówki dotyczące języka greckiego oraz oficerowi dowodzącemu i pracownikom Britannia Royal Naval College w Dartmouth za informacje na temat życia codziennego w tej szkole w latach sześćdziesiątych.

I

Naturalnie gdyby wróciła teraz albo nawet za pięć minut, wszystko byłoby w porządku. Myśl, że nie zobaczy jej nigdy więcej, można by odrzucić jako złudzenie, absurdalną reakcję na nadmiar osamotnienia i ciszy. Część jego umysłu - racjonalna, uporządkowana, oswojona część - nadal nie mogła się uwolnić od przekonania, że ona zaraz wróci, zawoła do niego, schodząc w dół szlaku. Jedyne w chaotycznym królestwie instynktu i zmysłów, w tej części osobowości, której istnieniu sam zaprzeczał, panowało wrażenie przeciwne.

Poza tym Harry miał wszelkie dane, by złożyć winę za własny niepokój na położenie, w jakim się znalazł. Trzy kwadransy spędzone na zwałonym pniu w połowie zbocza porośniętego sosnowym zagajnikiem, podczas gdy ciepły blask popołudnia roztapia się w wieczorny chłód i ciszę - absolutną, bezlitosną, bezwietrzną ciszę - to dość, by wystawić na próbę opanowanie każdego. Żałował teraz, że nie wybrał się na szczyt razem z nią albo nie został w samochodzie, aby posłuchać radia. Wszystko byłoby lepsze od czekania tutaj.

Zdusił czwarty z kolei niedopałek i westchnął głęboko. W cieniu góry robiło się już zimno, choć przybrzeżna równina w dole nadal była skąpana w ciepłym, złocistym blasku słońca. Tutaj, na gęsto zadrzewionym zboczu, i nieco wyżej, niewidzialne, ale wyczuwalne w czystym mroźnym powietrzu, nadejście wieczoru nie dało się już zignorować.

Dlaczego nie wracała? Nie mogła przecież zabłądzić, miała ze sobą przewodnik i kompas. Zresztą była już wcześniej na Profitis Ilias; Harry znalazł się tu po raz pierwszy. I prawdę mówiąc, pragnął, by nie powtórzyło się to nigdy więcej. Dwie godziny wcześniej wygrzewał się w słońcu na tarasie nadmorskiej psarotaverny, zapalał pierwszego papierosa z paczki na zakończenie smacznego posiłku i zastanawiał się, jak bardzo kelner zazdrości jemu, otyłemu Anglikowi w średnim wieku, obiadu w towarzystwie tak atrakcyjnej dziewczyny. Teraz trudno mu było nawet sobie wyobrazić tę scenę. Profitis Ilias potrafiła zmieniać wspo-

mnienia i wrażenia, które jej nie dotyczyły, tak że stawały się odległe i na wpół zatarte. I właśnie Profitis Ilias wybrała Heather.

- Stąd możemy tam dojechać w pół godziny - powiedziała. - Fantastyczne miejsce. Opuszczone, rozsypujące się stare wille z czasów okupacji włoskiej. I niesamowite widoki. Musisz to zobaczyć.

Harry nie czuł takiego przymusu; wolał odbicia barowych wnętrz, w hojnie napełnionych kieliszkach, od widoków natury, choćby najwspanialszych. Mimo to nie oponował. Ruszyli więc krętą szosą przez wioskę Salakos w stronę zalesionego szczytu. Wolno, ale niestrudzenie pięli się w górę, aż zostawili za sobą inne samochody i tylko nieskończone rzędy sosen i jodeł patrzyły na ich wędrówkę. Z początku Harry nie widział nic złego w narastającym osamotnieniu. Dopiero gdy dotarli do hotelu, do którego prowadziła droga, i - zgodnie z przewidywaniami - stwierdzili, że został zamknięty na zimę, charakter Profitis Ilias objawił się w pełni.

To cisza, jak sądził, wywołała jego nastrój. Cisza czekająca, aż wyjdą z samochodu i zatrzasną drzwi, nim zaatakowała z samego serca lasu i zmusiła ich, by znizyli głosy do trwożnego szeptu. Cisza, którą zamknięty hotel i zrujnowane wille wokół zdawały się jeszcze pogłębiać, jak gdyby opuszczone ludzkie siedziby były gorsze niż całkowity brak ludzkiej obecności. Cisza, której nawet przyroda zdawała się posłuszna. Ani jeden powiew wiatru nie poruszał gałęzi, ani jeden ptak nie śpiewał pośród drzew, ani jedna wiewiórka nie przemykała w dół po pniu. Na Profitis Ilias wszystko zastygło nieruchome, ale niespokojne.

Dwa miesiące wcześniej trwałby jeszcze sezon; hotel byłby otwarty, wokół bawiłyby się dzieci, może nawet wspinałyby się na ten sam pień, na którym siedział Harry. Gwar, ruch, śmiech, obecność innych; kiedy indziej wydawałyby się denerwujące; teraz tęsknił do nich całym sercem. Ze zdumieniem odkrył, jak bardzo nieswojo czuje się w samotności. Nadal pamiętał, że kiedy po raz pierwszy wyszli z samochodu, by podziwiać widok rozciągający się z hotelu, spojrzął przelotnie na drewniane balkony i malowane na czerwono okiennice nadające

całemu budynkowi flegmatyczny alpejski charakter - i ujrzał jakąś postać gwałtownie cofającą się od jednego z nie zasłoniętych okien na parterze. Wtedy zlekceważył to jako złudzenie wywołane przez światło, ale teraz wspomnienie dodało swój ciężar do brzemienia niepokoju, jaki czuł na barkach.

Dlaczego nie wracała? Wydawała się tak pewna siebie, tak przekonana, że wróci, nim Harry zdąży do niej zatęsknić. Z hotelu na szczyt prowadziła nierówna, stroma, zarośnięta ścieżka, a Heather narzuciła szybkie tempo. Zdyszany i z dala od swojego normalnego terytorium, Harry stosunkowo chętnie (zważywszy na okoliczności) zgodził się zaczekać na powrót dziewczyny w miejscu, gdzie zwalone drzewo zatarasowało szlak. „Weź kluczyki - powiedziała - na wypadek gdybyś chciał wrócić do samochodu”. A potem, widząc niepokój na jego twarzy, dodała: „Nie martw się. Będę się trzymać ścieżki. To nie potrwa długo. Po prostu nie mogę już zawrócić, prawda?” I mówiąc to przeszła na drugą stronę pnia, uśmiechnęła do niego jeszcze raz i ruszyła.

Prawie godzinę temu i - zdawałoby się - w innym świecie, ten uśmiech przyzywał Harry'ego w górę zalesionego zbocza. Spokój umysłu trwał nie dłużej niż pierwszy papieros. Od tamtej pory jego myśli krążyły wokół różnych tematów, zawsze jednak wracały do tego, co w jego otoczeniu uparcie nie dawało się zignorować: ciszy tak całkowitej, że słuch zdawał się chwytać cały chór ledwo dosłyszalnych szeptów wśród otaczających drzew; tak absolutnej, że natężone zmysły ciągle na nowo przekonywały, iż gdzieś powyżej albo tuż obok ktoś go musi obserwować.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła czwarta; ponura, przejmująca mrozem do szpiku kości godzina o tej porze roku i na tej wysokości. Za niewiele więcej niż godzinę zapadnie mrok. Z wysiłkiem zmusił umysł do stawienia czoła całej serii praktycznych wyborów, jakie się przed nim samym otwierały. Mógł wrócić do samochodu. Niewykluczone, że Heather zeszła inną drogą. Jednak gdyby tak zrobiła, do tej pory na pewno już by go tutaj odnalazła. Mógł zostać na miejscu, bo tu właśnie spodziewała się go zastać. Jedno spojrzenie wokół przypomniało

mu, że nie zniesie czekania w tym miejscu ani chwili dłużej. Może się udać na szczyt. Heather mogło się stać coś złego albo po prostu straciła poczucie czasu. I to właśnie powinien zrobić.

Przełożył nogi nad pniem i opuścił je po drugiej stronie. Ścieżka, mimo zaniedbania i upływu lat ciągle obrzeżona kawałkami krzemienia, wiła się przed nim w górę zbocza. Ruszył przed siebie, czując natychmiastową ulgę, jaką przynosi działanie po pełnym napięcia niezdecydowaniu.

Drzewa wkrótce zaczęły rzednąć i Harry ujrzał grzbiet góry. Kiedy tu dotarł, wydało mu się absurdalne, że nie należał, by towarzyszyć Heather na sam szczyt. Nie było tu ani tak stromo, ani tak daleko, jak podejrzewał. Nie mógł odpędzić myśli, że dziewczyna świadomie doprowadziła do rozstania, chociaż nie potrafił sobie wyobrazić, co nią kierowało. Równocześnie zdawał sobie sprawę, iż być może ulega złudzeniu; przypisuje jej słowom i działaniom znaczenie, którego nie miały.

Wynurzywszy się na zalany słońcem spłachetek tuż pod szczytem, zatrzymał się dla nabrania tchu. Na wprost i nieco po prawej ujrzał wysoką biało-czerwoną antenę radiową. Obok masztu stał niewielki budynek: sądząc z wyglądu, wojskowy punkt obserwacyjny, najprawdopodobniej opuszczony. Dziewięć lat spędzonych na Rodos nauczyło Harry'ego omijać z daleka wszystko, co ma związek z grecką armią. Ale czy Heather była równie ostrożna? Tak, na pewno. Poza tym ścieżka skręcała w lewo, a dziewczyna obiecywała się jej trzymać.

Wspiął się na grzbiet i obrócił, by spojrzeć na drogę, którą pokonał. Kiedy to robił jego odsłonięta pozycja wywołała w nim poczucie zagrożenia większe na swój sposób niż niepokój, który prześladował go w lesie. Nagle przyszło mu do głowy, że to kolejna rzecz, której od niego oczekiwano, kolejny krok w stronę zastawionej pułapki. Zbeształ się w myślach za podobne pomysły i natężył wzrok, by prześledzić linię wybrzeża daleko w dole, gdzie wyginała się na zachód. Tamta zatoczka o nieregularnych brzegach to na pewno Kamiros Skala, te wysepki, podobne do grzbietów wielorybów - Alimia i Halki. Stanowiły punkty

odniesienia dowodzące, że poza Profitis Ilias rzeczywistość nadal istnieje i że on sam już wkrótce do niej powróci.

Ale wcześniej musiał odnaleźć Heather. Zdumiony, jak wielką niechęcią napawa go konieczność zawołania na głos jej imienia - akt, któremu wszechobecna cisza zdawała się przeciwstawiać z całą mocą - ruszył ścieżką, nadal obrzeżoną wiernymi krzemieniami. Wiła się teraz wzdłuż grzbietu, omijając wystające fragmenty skały i karłowate, powykrzywiane wiatrem cedry. Jeśli Heather rzeczywiście trzymała się ścieżki, nie może jej nie odnaleźć. Jeśli nie...

Wtedy go ujrzał. Zaczepiony o gałąź cedru, opuszczony, zwisający bezwładnie w nieruchomym powietrzu. Cztery pasy bieli i różu jednakowej szerokości. Czy raczej wiśniowe i srebrzyste - przypomniał sobie, jak go poprawiała. Szalik Heather; długi wełniany szal, który miała na szyi, gdy zegnała się z nim przy zwałonym pniu. Pamiętał zupełnie wyraźnie ruch, jakim przerzuciła szal przez ramię, wspinając się w górę zbocza. A teraz szal był tutaj, gdzie jej nie było.

Harry odczepił go i przez chwilę stał, ściskając go w dłoniach, starając się odgadnąć znaczenie tego odkrycia. Czy zostawiła szal przez przypadek? Czy wiatr porwał go z jej szyi, kiedy biegła po ścieżce? A jeśli tak, to przed czym uciekała? Spojrzał wokół na skarłale cedry i białe kamienie, sterczące z trawiastego zbocza niby kły, ale nie znalazł żadnego śladu, żadnej wskazówki, która powiedziałaby mu, jaki los ją spotkał. Pustka dokoła była jak wyzwanie.

Zarzucił sobie szal na szyję i ruszył ścieżką. Wspinała się na szczyt, potem opadała w przełęcz i znów pięła się pod drugi, odleglejszy wierzchołek. Od południa otworzył się widok na wnętrze wyspy skąpane w słońcu. Czyżby Heather straciła orientację - pomyślał - i zeszła z niewłaściwej strony góry? Przystanąwszy, by się oprzeć o skałę i odetchnąć, rozważał taką możliwość. Nie, niemożliwe. Ścieżka była wyraźna, szlak biegł prosto. Jeśli z niego zeszła, to tylko z własnego wyboru albo zmuszona koniecznością. Dotyk szala na policzku kazał mu się obawiać tego ostatniego. Przyśpieszył kroku.

Do czasu gdy minął przełęcz i wspinał się na następny szczyt, racjonalna część

jego umysłu odzyskała w znacznym stopniu panowanie nad sytuacją. Jego znajomość geografii tej okolicy, przypominał sobie, równa się zero. Nawet gdyby było inaczej, sam nie zdoła przeszukać całego obszaru. Jeśli Heather spotkało nieszczęście - wszystko jedno jakiego rodzaju - najlepsze, co może dla niej zrobić, to poszukać pomocy w Salakos, i to jeszcze przed zmrokiem. Spojrzał na zegarek. Jeżeli się na to zdecyduje, powinien wrócić do samochodu jak najszybciej. I choć odejście teraz mogłoby się wydawać przedwczesne, musi to zrobić.

Ale nie bez podjęcia ostatniej próby odnalezienia Heather na własną rękę, podpowiadał mu instynkt. Najbardziej oczywistym sposobem był ten, przed którym wzdragał się do tej pory. Harry wiedział, że nie może odejść, póki go nie wypróbuje. Musi zawołać ją po imieniu, najgłośniej jak potrafi, na wypadek gdyby znajdowała się dość blisko, by go usłyszeć. Nie miał żadnej wymówki: z wierzchołka, na którym się znajduje, głos poniesie się daleko. Zdecydowany nie poddawać się zdenerwowaniu, wspiął się na pobliską skałę, nabrał tchu i przyłożył do ust złożone dłonie. I wtedy, na ułamek sekundy, nim imię Heather uformowało się na jego wargach, Profitis Ilias przemówiła własnym głosem, odbierając mu mowę.

Jeden długi, przenikliwy, donośny gwizd. Dochodził ze wszystkich kierunków naraz i z żadnego w szczególności, z góry i spod ziemi, z daleka i bliska. A potem cisza. Ręce Harry'ego opadły, zaczął drzeć na całym ciele. Chwytał powietrze szybkimi, płytkimi haustami. Co miał oznaczać gwizd? Skąd pochodził? Czy był to sygnał? Przesłanie? Ostrzeżenie? Skierowane do niego czy innego człowieka?

Nagle jego opanowanie rozsypało się jak klif, latami podmywany przez fale, nim nagle obsunie się w głąbinę. Manipulowano nim od pierwszego kroku. Twarz w oknie, zgubiony szal, bezcielesny gwizd: wszystko służyło zwabieniu go w pułapkę. Logika i rozum straciły nad nim władzę; ucieczka na złamanie karku wydawała się jedynym ratunkiem.

Ścieżka opadała w tym miejscu, schodziła zygzakiem w dół stromeego,

upstrzonego skałami zbocza. Ale Harry nie pobiegł ścieżką. Zamiast tego rzucił się prosto w dół, od jednego zakrętu do drugiego, potykając na skałach, ślizgając na luźnych spłachetkach kamienistej ziemi. Kolczasty niski krzew zadrapał go w policzek, otarł sobie kostki dłoni o krzemień. Nie dbał o to. Odrzucił wszelkie pozory. Jedyne, czego chciał, to znaleźć się jak najdalej od góry, od przejmującego lęku wydestylowanego w esencję przyprawiającą o utratę zmysłów.

Przedarł się przez gąszcz paproci, ześlizgnął po wielkim, na wpół zakrytym ziemią głazie i niespodziewanie stanął na szerokiej leśnej drodze ze świeżymi koleinami, zostawionymi przez jakiś ciężki pojazd. Zmuszając umysł do koncentracji, przypomniał sobie, że droga rozwidlała się tuż przed miejscem, gdzie zaparkowali. Znak przy lewej odnodze informował, że prowadzi ona do Eleussy, prawa, nie oznakowana, wiodła w las. Na nią właśnie musiał teraz natrafić. Jeśli się nie mylił, wystarczyło nią podążać, by dotrzeć do samochodu.

Ruszył biegiem środkiem szlaku, nie zważając na narastający ból w piersiach. Minąwszy zakręt, ujrzał bielejący kształt samochodu, a za nim hotel kryty czerwoną dachówką. Był prawie na miejscu. Niemal od razu zwolnił kroku, a po jakichś dwudziestu metrach zatrzymał się. Widok hotelu przypomniawszy mu o twarzy widzianej w oknie. Wróciła przerażająca, uparta myśl, że podąża szlakiem wyznaczonym przez kogoś innego; obiecującym ucieczkę, ale w rzeczywistości prowadzącym coraz głębiej w pułapkę.

Stał bez ruchu, dysząc, starając się myśleć jasno. Sięgnął do szyi i przekonał się, że zgubił gdzieś szal. Musiał mu spaść albo zaczepić się o krzaki, kiedy się przez nie przedzierał. Zastanawiał się, czy Heather zgubiła go w podobnych okolicznościach, uciekając w panice przed nieuchwytną grozą. Czyżby po prostu szedł po jej śladach? Nie, nalegała racjonalna część umysłu. Heather nadal jest gdzieś tam, na szczycie; zagubiona i bezradna czeka, aż on przyjdzie jej na pomoc. I ze względu na nią musi się opanować.

Zaczął iść wolno przed siebie, nie rozglądając się na boki. Całą uwagę skupił na samochodzie, rosnącym w oczach, w miarę jak się do niego zbliżał. W ten

sposób udało mu się zignorować podsuwane przez umysł wizje tego, co mogło się za nim skradać albo - co gorsza - na niego oczekiwać. Liczył kroki: recytowanie liczb pomagało utrzymać wyobraźnię na wodzy. Minął rozwidlenie dróg, potem znak z nazwą, która zaczęła go przyprawiać o dreszcz: ΠΡΟΦΗΤΗΣ ΗΛΙΑΣ - Profitis Ilias. Podszedł do samochodu.

Czując instynktownie, że pośpiech może się okazać równie zgubny jak niezdecydowanie, wyjął kluczyki z kieszeni, otworzył drzwi i wsiadł do wozu. Ku jego niewysłowionej uldze samochód zapalił od razu. Warkot pracującego silnika - i obietnica ruchu, jaką ze sobą niósł - umocniły nadwątloną wiarę Harry'ego we własne siły. Wrzucił bieg, skręcił w poprzek drogi, cofnął wóz, dokończył manewr i zjeżdżając w dół, dodał gazu.

Z każdym metrem oddalającym go od Profitis Ilias malał wpływ, jaki na niego wywierała. Wkrótce znalazł racjonalne wytłumaczenie tego, co się wydarzyło. Jego umysł, pozbawiony normalnych bodźców, zaczął wyprawiać dziwne sztuczki; to wszystko. Heather zgubiła drogę; stanęła przed niemiłą perspektywą spędzenia nocy na dworze. Jeśli on uzyska pomoc w Salakos, być może uda się jej tego oszczędzić. W najgorszym razie dziewczyna znajdzie sobie jakieś schronienie do rana. Czeka ją dwanaście godzin niewygody; jego - dwanaście godzin niepokoju. Potem normalność odzyska panowanie nad wszystkim.

Dopiero w ostatniej chwili spostrzegł kozła stojącego na środku szosy. Kozioł wyszedł na drogę tuż za ostrym zakrętem; zdawać by się mogło, że zaczął się tam specjalnie, tak trudno go było dostrzec w głębokim cieniu drzew pochylających się nad drogą. Harry wyjechał z za zakrętu z nogą na pedale gazu. Na widok zwierzęcia instynktownie zakręcił kierownicą i zdołał minąć je o włos. Ale jego ulga trwała nie dłużej niż sekundę. Wóz wpadł w poślizg i zmierzał wprost w przepaść otwierającą się po drugiej stronie szosy. Było za późno na hamowanie, a płot ciągnący się wzdłuż drogi wyglądał na zbyt kruchy, by zatrzymać samochód. Jedyne, co pozostało, to skierować wóz w stronę solidnego betonowego słupka,

podtrzymującego płot, i liczyć na odrobinę szczęścia. Chwilę później rozległ się głuchy odgłos uderzenia i dźwięk klaksonu, kiedy Harry uderzył w kierownicę. Spod maski buchnęła para.

Przez prawie minutę czuł zbyt wielkie oszołomienie, żeby się poruszyć. Potem otworzył drzwi i wygramolił się na zewnątrz. Kozioł zdołał uciec w las - Harry słyszał oddalający się dźwięk jego dzwonka - ale samochód nie nadawał się do dalszej jazdy. Maskę była wgnieciona z przodu, koło po prawej stronie scen-trowane. Harry oparł się o dach, przeklinając cicho. Bolała go głowa i żebra. Marzył o solidnym drinku, ale wszystko wskazywało na to, że nieprędko go do-stanie. Wypadek tylko pogorszył jego położenie - i położenie Heather.

Czuł się wyczerpany i kusilo go, by się nad sobą poużalać, wiedział jednak, że nie może sobie na to pozwolić. Ostatni raz kopnął ze złością wygięte koło, od-wrócił się i rozpoczął mozolny marsz w dół szosą.

II

Przez chwilę inspektor Miltiades przyglądał się Harry'emu od drzwi. Potem nieśpiesznie podszedł do biurka i usiadł naprzeciw. Od sześciu godzin, które zdawały się ciągnąć jak dni, Harry czekał na jego powrót, a jednak teraz czuł opór przed zapytaniem inspektora, co udało mu się odkryć. Powoli narastało w nim przekonanie, że prawda okaże się gorsza niż najgorsze, co sobie wyobrażał.

Cały dzień trzymano go w tym nagim, surowo umeblowanym pokoju w Głównej Kwaterze Policji w Rodos, jedynie w towarzystwie zegara na ścianie, posterunkowego o twarzy bez wyrazu, pilnującego drzwi i własnych myśli. Za-stanawiał się, jakie informacje Profitis Ilias zdradzi poszukującym. Od czasu gdy widział Heather po raz ostatni, upłynęły dwadzieścia cztery godziny; jak wska-zywało gasnące światło za na wpół zasłoniętymi oknami, noc jeszcze raz miała zapaść nad miejscem pobytu dziewczyny. Oczywiście, o ile Miltiades jej nie od-nalazł.

Ale twarz inspektora nic nie wyrażała. Chudy mężczyzna o ascetycznym wyglądzie i gładkich błyszczących włosach, w starannie wyprasowanym mundurze. Ostrożnie zdjął okulary, potarł bolące ślady odcisnięte na nosie, potem włożył szkła znowu, nie spuszczać z Harry'ego surowego spojrzenia.

Harry otworzył usta, gotów się odezwać, ale tamten powstrzymał go uniesieniem brwi.

- Co ma pan dla mnie, inspektorze? - zapytał Harry w końcu, próbując uporządkować myśli.

Miltiades nie odpowiedział. Zamiast tego wyciągnął dyktafon z teczki stojącej obok, postawił go na stole i wcisnął guzik nagrywania.

- Chyba mam prawo się czegoś dowiedzieć.

Inspektor oparł się na łokciach.

- *To Savato thotheka Noembriou chilia enniaksia oghonta okto, exinta treis ores* - powiedział po grecku do mikrofonu. Potem, spoglądając wprost na Harry'ego, zapytał: - Co chciałby pan usłyszeć, panie Barnett?

- Czy znaleźliście pannę Mallender, oczywiście. Czy wszystko z nią w porządku. - Harry słyszał we własnym głosie ton narastającej niecierpliwości, ale nie potrafił go stłumić. Z jakiego powodu ten mężczyzna przedłuża jego niepokój? - Mielicie cały dzień, by przeszukać Profitis Ilias. Coście znaleźli?

- Na użytek tej rozmowy założymy, że nie znaleźliśmy nic.

- Co to ma znaczyć, do diabła?

- To znaczy, że odpowie pan na moje pytania, zanim ja zacznę odpowiadać na pańskie.

A więc o to chodziło. Podejrzenie, które narastało w Harrym cały dzień, zostało potwierdzone: nie wierzyli mu. To dlatego usunięto go ze sceny przed rozpoczęciem poszukiwań. I dlatego Miltiades nic mu nie chciał powiedzieć: miał nadzieję, że przedłużająca się niepewność sprawi, iż Harry'ego łatwiej będzie złapać na kłamstwie. Co podejrzewali? Że zamordował Heather? Że zakopał ją gdzieś tam na górze? Skąd im to przyszło do głowy - chyba że znaleźli coś, co

zasiadało w ich umysłach taką ideę. Jej zwłoki? Dobry Boże, to zbyt straszne, by się nad tym dłużej zastanawiać.

- Mieszka pan na Rodos od marca siedemdziesiątego dziewiątego roku?

- Co?

- O ile wiem, mieszka pan tutaj od dziewięciu lat.

Wobec obrazów, jakie podsuwała mu wyobraźnia Harry nie był w stanie się skoncentrować. Mógł się tylko odwołać do uczuć Miltiadesa.

- Na miłość Boską, inspektorze, czy ona żyje?

Wyraz twarzy Miltiadesa nie uległ zmianie.

- Na użytek tej rozmowy założymy, że tego nie wiemy.

- Ty bezwzględny... - Harry zamknął oczy, próbując odsunąć wizję, która właśnie uformowała się w jego umyśle: nagie, sine ciało Heather rozciągnięte na stole sekcyjnym... Kiedy otworzył oczy Miltiades nadal przewiercał go badawczym spojrzeniem.

- *Endaksi.* Zacznijmy od początku. Mieszka pan tutaj od marca siedemdziesiątego dziewiątego. Opiekuje się pan domem w Lindos, Villa ton Navarkhon, należącym do pańskiego rodaka. Czy to prawda?

Wizja zniknęła. Znowu znajdował się w tym pustym sterylnym pokoju i właśnie zaczynał składać zeznania. Pomyślał o psarotavernie, w której jedli obiad; jak ciepło było przy stoliku pod drzewem gumowca, jak miękko promienie słońca padały na jej włosy. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Prawda.

- Pańskie pełne nazwisko brzmi Harold Mosley Barnett.

- Tak.

- Mosley to dość nietypowe imię, prawda?

Czy to właśnie Miltiades rozumiał przez zaczynanie od początku?

- Oswald Mosley był brytyjskim politykiem w okresie międzywojennym, inspektorze. Mój ojciec popierał jego poglądy.

- Mianowicie?

- Był faszystą. *Enas fasistis*.

Miltiades skinął głową.

- Musi to być dla pana niełatwe.

- Rzadko o tym myślę.

Dziwne, że ze wszystkich ludzi na świecie o ojcu przypomina mu grecki policjant. Od lat nie myślał o ojcu; niewyraźnej odległej postaci z przeszłości, znanej tylko z fotografii i pozbawionych sentymentu wspomnień matki.

- Jak...

- Urodził się pan dwudziestego drugiego maja tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku.

- Tak, ale...

- W Swindon, w hrabstwie Wiltshire.

- Skąd pan to wszystko wie?

- Z pańskiego paszportu.

- Mojego paszportu?

- Mam go tutaj.

Harry zaniemówił. Byli w Lindos przeszukać jego rzeczy. A on siedział tu, wierząc, że przeczesują Profitis Ilias metr po metrze.

- Szukałem paszportu panny Mallender - ciągnął Miltiades. - Nie wie pan, gdzie może być?

- Pewnie w jej torebce. Nie mieliście prawa...

- Zadzwoniliśmy do właściciela domu, panie Barnett. Kiedy wyjaśniliśmy mu okoliczności zgodził się bez oporu.

Ach tak. Rozmawiali z Dysartem. Co mu powiedzieli? Bóg jeden wie.

- Dlaczego tak pana interesuje paszport Heather?

Miltiades uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Już nie „panny Mallender”, tylko „Heather”? Czy pozwalała panu zwracać się do siebie po imieniu?

- Niech pan nie będzie taki cholernie... Dlaczego miałyby nie pozwalać?

- Bo przebywała w domu pana Dysarta jako gość, a pan jako jego pracownik.
- Nie jestem jego pracownikiem.
- Więc kim?

No właśnie, kim? Harry musiał przyznać, że różnica jest bardzo subtelna.

- Zajmuję się jego domem; w zamian pozwala mi u siebie mieszkać.
- Lokator?
- W pewnym sensie.

- Właśnie to, w jakim sensie, interesuje mnie najbardziej, panie Barnett. Powinien był nas pan uprzedzić, jak sławną osobistością jest pan Dysart. Członek parlamentu, minister w brytyjskim rządzie.

- Wiceminister.

- Jak to się stało, że człowiek tego rodzaju oddał swój letni dom na Rodos pod pańską opiekę?

- A dlaczego miałby tego nie robić?

Zamiast odpowiedzi Miltiades zmierzył Harry'ego spojrzeniem pełnym ledwie skrywanej pogardy.

- W jakich okolicznościach poznał pan Dysarta?

- Jako student pracował w moim warsztacie. Dawne dzieje. Ale co to ma wspólnego z...

- Panną Mallender? Sądziłem, że pan mi to powie, panie Barnett. Jej brat przylatuje z Anglii dziś wieczorem. Jego i rodziców bardzo zdumiała wiadomość o pańskiej... przyjaźni z panną Mallender. O ile wiem, pracował pan u jej ojca przed przybyciem na Rodos.

- To prawda.

- I został pan zwolniony z powodu nieprawidłowości finansowych.

- Domniemanych nieprawidłowości finansowych.

- Nie jest pan osobą, którą ojciec panny Mallender wybrałby na towarzysza dla swojej córki. Niewykluczone, że nadal żywi pan urazę. Mógłby pan próbować się zemścić... na nim albo bliskiej mu osobie.

- Nie obchodzi mnie, co... - Jego głos zawisł w ciszy.

Sprawy przedstawiały się o wiele gorzej niż w najgorszych przypuszczeniach. Jedyne, czego chciał się dowiedzieć, to czy znaleźli Heather. Jeśli tak, musiała być martwa, w przeciwnym razie nigdy by się nie zgodziła na cały ten nonsens. Ale jeśli nie...

- Ma pan pięćdziesiąt trzy lata, panie Barnett. Był pan żonaty?

- Nie.

- Ma pan dzieci?

- Nie.

- Jak to mówią, samotny mężczyzna?

- Można tak to nazwać.

- W jaki sposób zaspokaja pan swoje... potrzeby seksualne?

Harry'emu opadła szczeka. Czyżby podejrzenia miały ich zawieść w najbrudniejsze rejony? Lubił Heather. Bardzo ją lubił. Ale, co dziwne, pożądanie nigdy nie splamiło jego uczuć. W innej sytuacji, z inną osobą, łatwo mogłoby do tego dojść. Ale nie z Heather.

- Piję zbyt dużo, inspektorze. A pan?

- Bardzo uważnie przeczytałem zeznania, jakie pan złożył w Salakos wczoraj wieczorem, panie Barnett. Pamięta je pan?

- Oczywiście.

- Odświeżę pańską pamięć. - Sięgnął do teczki i wyjął z niej plik papierów. - Opis panny Mallender: „Wzrost około sto sześćdziesiąt pięć centymetrów. Dwadzieścia siedem lat. Płowe włosy do ramion”. Ciekawe określenie: „płowe włosy”. Interesuję się językoznawstwem. Jestem dumny ze swojej znajomości języka angielskiego.

- I słusznie.

- Ale tego wyrazu nie znałem. Bardzo szczególny wyraz. Sugeruje, że osoba, którą pan opisywał wywarła na panu duże wrażenie.

- To tylko odcień.

- Odcień czego? Pożądania? Nie wspomniał pan, czy panna Mallender miała zgrabną figurę.

Harry poczuł, jak rumieniec wypływa mu na policzki. Nic nie mów, upomniał się w myślach. Nie daj się sprowokować. Wydaje mu się, że jest cholernie inteligentny. Udowodnij, że się myli.

- Była gruba czy chuda?

- Ani jedno, ani drugie.

- A więc proporcjonalnie zbudowana. Prawdziwa Afrodyta.

- Idź pan do diabła.

Miltiades uśmiechnął się.

- Powróćmy do zeznania. Opisał pan, w co była ubrana. „Różowo-biały szal”. Który znalazł pan później, oczywiście. A potem znowu zgubił. „Czarny sztruktury żakiet. Czerwony sweter. Granatowe wełniane rękawiczki. Układana spódnica do kolan w szkocką kratę. Czarne buty na płaskim obcasie. Czarne pończochy”. Tak pan powiedział?

- Tak.

- Pończochy, nie rajstopy.

- Tak. Pończochy, nie rajstopy.

- Skąd pan wiedział?

- Co?

- Że to były pończochy.

- Nie wiedziałem.

- Więc dlaczego pan o nich wspomniał? Chce pan teraz powiedzieć, że nie wiedział pan na pewno?

- Oczywiście, że nie. To tylko słowo.

- Kolejne bardzo niezwykle słowo, panie Barnett.

- I co z tego?

- To, że może pan wiedzieć, czy panna Mallender nosiła pończochy, czy rajstopy.

Gniew odbierał Harry'emu zdolność logicznego myślenia. Co znaleźli? I czy w ogóle coś znaleźli? Jakkolwiek sprawy się przedstawiały Miltiades nie zamierzał mu tego powiedzieć.

- Samochód znajdował się w opisanym przez pana miejscu. W zeznaniu twierdził pan, że wóz był pusty.

Harry poczuł, jakby pod jego stopami otwierała się zapadnia. Samochód. Miltiades chyba nie sugeruje... Nie zajął do bagażnika. Powinien był, ale nie przyszło mu to do głowy.

- Chce pan powiedzieć, że nie był pusty?

- Niezupełnie. Znaleźliśmy coś w schowku na rękawiczki.

Ulga na twarzy Harry'ego musiała być widoczna.

- Co takiego?

- Dwie czyste, nie zapisane pocztówki. Mam je tutaj. - Położył jedną na stole.

- Poznaje pan?

Zdjęcie Afrodyty z Rodos, słynnego posągu bogini suszącej włosy w słońcu po wynurzeniu się z morza.

- Tak, inspektorze, oczywiście, że poznaję. Na miłość boską, na Rodos muszą ich sprzedawać setki!

- Ale tej pan nie kupił?

- Nie. To pewnie Heather.

- A tę? - Położył drugą kartkę obok pierwszej. Fotografia innego posągu: bożka Sylena, półczłowieka, półkozła, prezentującego dumnie wielki fallus w stanie erekcji.

Harry milczał. Nie miał nic do powiedzenia. Oczywiście widywał obie pocztówki na stojakach na całej wyspie. I mógł się domyślić, w jakim celu kupiła je Heather. Pierwszą z charakterystycznego dla siebie podziwu dla piękna. Drugą, przygotowując się do żartu, jaki niewątpliwie miała zamiar spłatać mu później. „Kto to był Sylen?”, zapytała, odkrywając jego związki z Taverna Silenou. „Lepiej, żebyś nie wiedziała”, odparł, drażniąc się z nią. Teraz żart zemścił się na

nim.

Podniósł wzrok i napotkał wyczekujące spojrzenie Miltiadesa. Nie było najmniejszych wątpliwości, co inspektor myśli. Piękna młoda kobieta wyrzeźbiona w miękkim białym marmurze; rozpustny stary mężczyzna z szorstkiego pozieleniałego brązu: podobieństwo zbyt uderzające, by je zignorować.

- Heather musiała kupić obie - powiedział w końcu Harry. - Pewnie zamierzała je wysłać przyjaciółom w Anglii. Nie wiedziałem, że były w schowku.

Miltiades westchnął przeciągle.

- Uważa pan, że panna Mallender uznałaby za zabawne wysłanie takiej kartki - wskazał obsceniczną fotografię Sylena - „przyjaciółom w Anglii”?

Harry zawahał się. Kwestia, jak szczerym - lub jak nieszczerym - być w stosunku do tego przenikliwego i cierpliwego mężczyzny stanowiła dla niego niezgłębioną zagadkę.

- Nie - powiedział, decydując się na uczciwość - Nie uznałaby tego za zabawne. Mogła je kupić z innego powodu.

- Jakiego?

- W sezonie pracuję jako kelner i pomywacz w pewnym lokalu w Lindos. To Taverna Silenou.

Miltiades skinął głową.

- Wiem, panie Barnett. Jej właścicielem jest Konstantinos Dimitratos. Już z nim rozmawialiśmy. Okazał się niezwykle... chętny do współpracy.

- Rozmawialiście z Kostasem?

- Jak najbardziej.

- Dlaczego? Prawie nie zna Heather.

- Ale zna pana, panie Barnett. W obecnej chwili przedstawia to dla mnie większą wartość. Udzielił mi bardzo cennych informacji.

- Co panu powiedział? - Harry wiedział, że Kostas świadomie nigdy nie starałby się go przedstawić w niekorzystnym świetle, ale już sama reakcja biedaka na widok umundurowanej władzy mogła spowodować wielkie szkody.

- Wiele różnych rzeczy. Na przykład dowiedziałem się, że zeszłego lata miał pan jakieś problemy z powodu jednej z jego klientek. Duńska dziewczyna... mniej więcej w wieku panny Mallender. Też była piękna, nieprawdaż?

Harry słyszał niemal Kostasa, jak wyrzuca z siebie tę historię. Powiedziałby wszystko, byle zadowolić inspektora. Harry, niestety, nie mógł postąpić w podobny sposób.

- Zwykle nieporozumienie, inspektorze. Nic więcej.

- Naturalnie. Czy ona też miała płowe włosy?

- Nie. Ani nie była „prawdziwą Afrodytą”.

Miltiades przyglądał mu się w milczeniu przez kilka minut. Potem spytał:

- Czy spotkał pan pannę Mallender przed jej przyjazdem na Rodos siedemnastego października?

- Nie. To znaczy... nie sędzę. - A jednak spotkał ją już wcześniej. Kiedy mówił tanto zdarzenie na nowo stało mu przed oczyma. Dwie dziewczynki prosto ze szkoły, jeszcze w mundurkach, wysiadające z samochodu matki na podwórzu Mallender Marine, by złożyć wizytę ojcu. Ich ojcu. Jego szefowi. Pochmurny dzień. Pora roku? Nie mógł sobie przypomnieć. Pewnie jesień. Pewnie ta sama mroczna pora co teraz. Ponure, bezbarwne, pozbawione głębi doki Portland Harbour w tle. I dwie dziewczynki: jedna odrobinę wyniosła, trochę skrepowana, na progu kobiecości; druga w opadających skarpetkach, z uśmiechem ujawniającym szparę między zębami. Tą drugą, zauważoną przypadkiem przez znudzonego, lekko skacowanego, jakieś czternaście lat młodszego Harolda Mosleya Barnetta, musiała być... Heather.

- Nie sądzi pan? To zbyt niedokładne. To mi nie wystarczy, panie Barnett. Z całą pewnością to mi nie wystarczy.

- Mogłem ją spotkać, kiedy była dzieckiem. Ostatecznie pracowałem u jej ojca.

- Oczywiście. Nie wolno nam o tym zapominać. Jednak kiedy przyjechała do Lindos nie znał jej pan?

- Nie.
- Czy pan Dysart powiadomił pana o jej przyjeździe?
- Nie.
- Nie było w tym nic niezwykłego?
- Nie. Mam osobne mieszkanie przy bramie. Pan Dysart nie musi mnie informować, kiedy zamierza przyjechać... on sam albo któryś z jego przyjaciół.
- Przyjechała w jakim celu... na wakacje?
- Tak.
- Nic więcej?
- I na rekonwalescencję, można powiedzieć.
- Rekonwalescencję? A więc była chora?
- Mówiła mi, że cierpiała na depresję. Jej siostra zginęła rok temu w tragicznych okolicznościach. Psychiatra zalecił jej...
- Ach, więc miała psychiatrę?
- Tak.
- Można więc przypuszczać, że jej stan był... poważny?
- Nigdy nie twierdziłem, że nie był.
- Ma pan rację. Tak więc panna Mallender, dzięki uprzejmości pana Dysarta, przyjechała na Rodos, by wyzdobrzeć. I pan nawiązał z nią znajomość?
- Tak.
- Czy nawet zaprzyjaźnił się z nią?
- Chciałbym tak myśleć.
- Mieszkał pan przy bramie. Ona zatrzymała się w willi.
- Tak.
- I zaofiarował się pan, że pokaże jej wyspę.
- Nie. To był jej własny pomysł. Wkrótce po przyjeździe wynajęła samochód i spędziła parę dni na zwiedzaniu. W środę znowu wypożyczyła wóz, na pożegnalną wycieczkę po wyspie. W przyszłym tygodniu miała wracać do domu. Zaproponowała mi, żebym jej towarzyszył.

- A pan pomyślał, że okazja jest zbyt dobra, by z niej nie skorzystać. W samochodzie, z dala od szpiegujących oczu, miał ją pan wyłącznie dla siebie.

W pewnym sensie tak właśnie było, ale tego, o co chodziło Harry'emu Miltiades nie chciał albo nie potrafił zrozumieć.

- Przyjąłem zaproszenie. To wszystko.

- Doskonale. Informacje, jakie uzyskaliście w firmie zajmującej się wynajmem w Rodos potwierdzają, że panna Mallender wypożyczyła wóz w środę po południu. Towarzyszył jej pan wtedy?

- Nie. Nie wiedziałem nawet, jakie miała plany. Usłyszałem o nich dopiero wieczorem tego dnia, kiedy wróciła do willi. Wtedy właśnie mnie zaprosiła.

- A kiedy odbyła się owa „pożegnalna przejażdżka”?

- Następnego dnia.

- Dokąd pojechaliście?

- Zobaczyć Katavię i Monolithos.

- A wczoraj?

- Rano odwiedziliśmy ruiny Kamiros. Po obiedzie...

- Pojechaliście na Profitis Ilias.

- Tak.

- Dlaczego?

- Heather była tam wcześniej, ale nie miała czasu wspiąć się na sam szczyt.

Chciała to naprawić.

- Żadnych innych powodów?

- Powiedziała, że przemawia do niej atmosfera tego miejsca.

- Na panu też atmosfera zrobiła wrażenie?

- Nie.

- Dlaczego?

- Hotel był zamknięty, wille opuszczone. Nigdzie żywej duszy. I cisza... raczej niepokojąca.

- Panna Mallender tak nie uważała?

- Nie.

- Nawet kiedy jej pan powiedział o twarzy w oknie hotelu?

- Nie wspominałem jej o tym.

- Dlaczego nie?

- Bo nie miałem pewności, czy mi się nie wydawało.

- Może więc pana zainteresuje, że nie znaleźliśmy w okolicy żadnych śladów ludzkiej obecności.

- W takim razie pewnie wszystko sobie wyobraziłem.

- Pewnie tak. - Miltiades zamilkł na chwilę, potem mówił dalej: - Zaczęliście się wspinać na szczyt, później pan został, a panna Mallender ruszyła dalej sama.

Dlaczego?

- Zmęczyłem się. Heather nie.

- I wtedy widział ją pan po raz ostatni?

- Tak.

- Po prostu siedział pan na pniu i czekał prawie przez godzinę, zanim zaczął się pan o nią niepokoić?

- Właśnie tak.

Niespodziewanie Miltiades uderzył dłonią w blat stołu. Hałas sprawił, że Harry podskoczył na krześle; posterunkowy przy drzwiach drgnął.

- Kłamie pan, Barnett! - krzyknął Miltiades ostro. - To wszystko kłamstwa!

Przez chwilę Harry był zbyt zaskoczony, żeby odpowiedzieć. Zdrętwiały umysł podpowiadał mu tylko jedno: ta gwałtowna zmiana tempa stanowiła po prostu sztuczkę przesłuchującego; miała wytrącić go z równowagi po spokojnej wymianie pytań i odpowiedzi.

- Uczynił pan niedwuznaczną propozycję pannie Mallender. Dziewczyna odmówiła, więc spróbował ją pan zgwałcić. Coś jednak poszło nie tak, wobec czego udusił ją pan w końcu jej własnym szalem.

- Nie.

- Następnie upozorował pan wypadek samochodowy, żeby wytłumaczyć,

dlaczego zgłosił pan fakt jej zaginięcia dopiero po zapadnięciu nocy.

- Nie.

- Zamordował ją pan i zostawił jej na wpół obnażone zwłoki na stoku, żebyśmy je mogli znaleźć.

Znowu to samo. Obraz, od którego jego umysł nie potrafił się uwolnić. Pódrapane, posiniaczone ciało Heather, otwarte niewidzące oczy, rozchylone nieme usta... Znaleźli ją. Nie ma nadziei. Nie żyje, znaleźli ją.

- Niech pan powie prawdę, Harry. - Miltiades zmienił teraz ton: była to łagodna, przekonująca perswazja. Zdejmij ciężar ze swego sumienia, zdawał się sugerować, podziel się ze mną brzemieniem. - Wiem, nie chciał jej pan zabić. To jej wina w takim samym stopniu, jak pana. Mam rację? Czy nie tak właśnie się stało?

- Gdzie ją znaleźliście?

- Tam, gdzie ją zostawiłeś, Harry. Gdzieżby indziej? Poczęstuj się papierosem i opowiedz wszystko.

Miltiades wyciągnął w jego stronę otwartą paczkę, Harry sięgnął automatycznie po papierosa. Kiedy zauważył markę - Karelia Sertika, tę samą, którą palił na Profitis Ilias - zawahał się. Uśmiech Miltiadesa był zbyt szeroki, jego sympatia zbyt ostentacyjna. Harry spuścił wzrok na magnetofon. Wyłączony. W jakimś momencie inspektor musiał odwrócić jego uwagę i wyłączyć urządzenie. Ale po co? Powód mógł być tylko jeden: Miltiades nie chciał, żeby na taśmie zachował się dowód jego kłamstwa. Nie znaleźli Heather. Nie znaleźli nic oprócz czterech niedopałków papierosów obok zwałonego pnia.

- Wszystko panu powiedziałem - odparł Harry wolno. - Nic więcej nie wiem.

Miltiades odchylił się na krześle z westchnieniem. Potem wyciągnął rękę i włączył magnetofon z powrotem. Nie odezwał się, ale wyraz jego twarzy mówił dostatecznie jasno, że skończył z blefowaniem.

- Wie pan, gdzie jest Heather, inspektorze?

- Nie, panie Barnett, nie wiem. Nasze poszukiwania na Profitis Ilias dostar-

czyły wielu dowodów pańskiej obecności, ale żadnych dowodów obecności panny Mallender. Nie znaleźliśmy nawet szala, na który pan się natknął.

Harry nie wiedział, czy powinien odczuwać zadowolenie, czy żal. Zadowolenie, bo może Heather nadal jest wśród żywych; żal, bo jej nie odnaleziono.

- Co będzie dalej? - zapytał w końcu, przekonany, że jedna z niewielu rzeczy, których można być pewnym, to to, iż zawsze jest jakieś „potem”.

- Jutro od świtu będziemy kontynuować poszukiwania. Tym razem weźmie pan w nich udział.

- To dobrze.

- Do tego czasu pozostanie pan tutaj.

- Pod jakim zarzutem?

- Żadnym. Ale jeśli zacznie pan nalegać coś wynajdziemy. Na przykład nieostrożną jazdę. Gdyby jednak wolał pan udawać, że z nami współpracuje, to w takim wypadku...

- Zostanę. Z własnej woli.

- Wiedziałem, że się pan zgodzi - Miltiades pochylił się do przodu i wyłączył magnetofon. Rzucił Harry'emu ostatnie pogardliwe spojrzenie, po czym zapytał: - Chciałby pan do kogoś zatelefonować?

- Nie.

- Może do prawnika?

- Nie mam prawnika.

- Doskonale. - Miltiades podniósł się z krzesła. - Koniec na dzisiaj, panie Barnett.

Ale nie była to prawda. W ciągu długiej, bezsennej nocy, która nastąpiła, nie było końca bezowocnym rozmyślaniom. Nie było końca domysłom i lękom, co oznacza przedłużająca się nieobecność Heather. Dlaczego nie wróciła? Nie był bliższy odpowiedzi niż wtedy, kiedy ruszał na jej poszukiwanie w górę zbocza.

Rano przy nędznym śniadaniu przeczytał gazetę; na pierwszej stronie widniał

nagłówek, którego się obawiał. Η ΕΞΑΦΑΝΙΣΗ ΤΟΥ ΧΕΔΕΡ ΜΑΛΛΕΝΤΕΡ: Zniknięcie Heather Mallender. Η ΑΣΤΥΝΟΜΙΑ ΔΙΕΠΩΤΑΤΑΙ: Policja szuka śladów. Nie czytał dalej. Nie potrzebował. Wiedział więcej niż ktokolwiek inny. Ale nawet on nie wiedział nic.

III

Harry popatrzył w dół na rozjeżdżoną drogę i zmarszczył brwi. Wszystkie jego zmysły przeczyły wrażeniu, które potwierdzała jedynie geografia miejsca, gdzie się znajdował: to nie była Profitis Ilias. Nie ta Profitis Ilias, którą znał i której się lękał: cichy zalesiony szczyt, przerażający, budzący poczucie osaczenia. Głosy ludzi i ujadanie psów gończych napępniały las gwarem, nad głowami huczał śmigłowiec, z pobliskiego nadajnika dobiegały trzaski. Otrzymał to, do czego tak tęsknił dwa dni temu - hałas, ruch, obecność innych - ale w okolicznościach, których ze wszech miar pragnąłby uniknąć.

Do pomocy w poszukiwaniach ściągnięto wojsko. Widział schylone sylwetki poborowych w strojach maskujących, posuwające się wolno wśród drzew po obu stronach drogi. Szli tyralierą, przeczesując podszyt. Uderzyła go myśl, że przypominają naganiaczy w czasie polowania na pardwy. Nie spodziewał się, by znaleźli cokolwiek. Ponad godzinę temu żołnierze natknęli się na szal Heather - młody policjant przybiegł do Miltiadesa, krzycząc z podnieceniem: *To mantili! To mantili!* - ale na tym się skończyło. Przez cały czas w duszy Harry'ego narastało przekonanie, że nie znajdą na górze żadnego innego dowodu obecności Heather. Policjanci uważnie przepatrzyli każdy ślad na trasie, którą przeszła dziewczyna. Zbadano każdą ścieżkę prowadzącą w dół ze szczytu, metr po metrze przeczesano las. Nic nie znaleziono. To prawda, lasy były rozległe, a teren poszukiwań słabo sprecyzowany: nawet po tygodniu zadanie nie zostałoby ukończone. Jednak dla Harry'ego poszukiwania już się skończyły. Nie sądził, by Miltiades to zrozumiał, nie mówiąc już o uwierzeniu mu. Prawdę mówiąc, sam Harry niezbyt

chciał w to wierzyć. A jednak nie mógł się oprzeć takiemu właśnie wnioskowi. Nie tylko ślady Heather, ale każda pozostałość tamtego dnia i tamtych wydarzeń zostały zatarte wraz z nadejściem żołnierzy i psów. Ich zapach i gorliwość wyгнаły zarówno ciszę, jak i sekrety Profitis Ilias, zamykając na zawsze wrota tajemnicy.

- Chodźmy teraz do hotelu - odezwał się Miltiades, dotykając ramienia Harry'ego. - Nic tu więcej nie zdziałyśmy.

Harry nie odpowiedział. Ruszyli drogą w dół, trasą jego panicznej ucieczki sprzed czterdziestu ośmiu godzin.

- Szal zostanie, oczywiście, poddany drobiazgowym badaniom. Może się czegoś dowiemy.

Ale w głosie inspektora brakło przekonania. Było jasne, że spodziewał się odkryć więcej i teraz nie wiedział, co myśleć. Podejrzewał Harry'ego o popełnienie morderstwa, ale nie o umiejętność jego ukrycia.

- Do tej pory Heather może być wszędzie - zauważył Harry. - Mogła w ogóle opuścić wyspę. - On też nie wierzył we własne słowa.

- Pewnie to pana zdziwi, ale przewidziałem taką możliwość. - Miltiades rzucił Harry'emu ironiczne spojrzenie. - Gdyby panna Mallender chciała wyjechać z kraju musiałaby się posłużyć paszportem. Nie zgłoszono nam nic podobnego. Niemniej postawiliśmy lotniska i porty w stan gotowości, więc jeśli spróbuje wyjechać nie przejdzie to niezauważone. Tak czy inaczej, nie powiem, żebym uważał to za coś więcej niż mało prawdopodobną możliwość. Czy zna pan jakiś powód, dla którego powinienem zmienić zdanie, panie Barnett?

- Nie.

- A może istnieje jeszcze coś, o czym mi pan nie wspomniał?

- Co pan rozumie przez „coś jeszcze”?

- Tylko to, że mógł mi pan sam powiedzieć o śmierci siostry panny Mallender, zamiast czekać, aż dowiem się o niej w waszym konsulacie.

- Mówiłem.

- Nie wspomniał pan jednak, że była zatrudniona u pańskiego pracodawcy,

pana Dysarta, ani że zginęła od bomby przeznaczonej dla niego.

No tak. Miltiades nie tracił czasu; udało mu się odkryć kolejny zbieg okoliczności. Bo że to tylko zbieg okoliczności, Harry był pewien. On sam nie wiedział nawet, że Clare Mallender pracowała jako osobista sekretarka Dysarta, do czasu gdy padła ofiarą nieudanego zamachu na życie ministra, zorganizowanego przez IRA, i zaczęły się o niej rozpisywać angielskie gazety. Tak czy inaczej, to wydarzenie nie miało nic wspólnego ze zniknięciem Heather. Wydarzyło się siedemnaście miesięcy wcześniej i na drugim końcu Europy.

- Dlaczego miałbym wspominać? - burknął. - To nie ma nic...

- Pozwoli pan, że ja o tym zadecyduję, panie Barnett. W każdym razie pozwala to zrozumieć, w jakim stanie psychicznym znajdowała się panna Mallender.

- Dzięki Bogu, uporała się z tym już dawno.

- Doprawdy? Twierdził pan, że przyjechała tutaj na rekonwalescencję.

- Tak, ale...

- I rzecz jeszcze bardziej zdumiewająca. Pan Dysart najwyraźniej utrzymuje bliskie stosunki z rodziną Mallenderów, a jednak zatrudnił pana jako stróża swojego domu letniego tutaj, na Rodos.

- Co w tym dziwnego?

- Dlaczego zdecydował się powierzyć taką pracę człowiekowi, którego jego przyjaciel niedawno zwolnił za branie łapówek?

Wszystko wskazywało na to, że stare rany mają zostać otwarte w poszukiwaniu nowych poszlak.

- Bo znał mnie dłużej niż Charliego Mallendera. I ponieważ nie wierzył, że przyjmowałem te łapówki.

Czy naprawdę taki był powód? - zastanawiał się Harry. - Czy może Dysart od początku czuł się winny, bo zarekomendował go do Mallender Marine? W tej chwili - pomyślał - nie ma to większego znaczenia.

- Ciekawe będzie posłuchać, czy brat panny Mallender zgodzi się z pańską

interpretacją.

Harry całkiem zapomniał, że Roy Mallender leci na Rodos. Nie chciał oglądać tego człowieka nigdy więcej, bez względu na okoliczności. Tym bardziej teraz, kiedy sytuacja zdawała się zbliżać ich ku sobie. Wątpliwe, by dziesięć lat zmieniło na lepsze podły charakter Roya. Doświadczenie podpowiadało Harry'emu, że kto raz okazał się kanalią, ten pozostanie nią do końca życia.

- Kiedy tu będzie?

- Już tu jest, pani Barnett. O tam, czeka na nas obok hotelu.

Miltiades oczywiście wszystko zaplanował. Sam powiadomiony o przyjeździe Roya zdecydował, że Harry nie powinien zostać ostrzeżony, by nie mieć sposobności przygotowania się na spotkanie. Mallender stał przy samochodzie z posterunkowym i jeszcze jakimś mężczyzną, tuż obok znaku wskazującego kierunek na Profitis Ilias. Jego dawny rywal. Kiedy podeszli bliżej Harry miał okazję go ocenić. Roy przybrał na wadze od czasu, gdy się ostatnio widzieli i wyglądał na starszego niż w rzeczywistości. Wydawał się równie odpychający jak dawniej, jeśli nie bardziej, a jednak nie był to ten sam mężczyzna, któremu Harry na próżno przysięgał zemstę, mężczyzna, który uważał go za durnia i udowodnił, że ma rację.

- *O yos tu afentiko* - mruknął inspektor.

- Co?

- Syn pryncypała. Mam rację? Nieciekawy gatunek, chyba zgodzi się pan ze mną.

Harry zgadzał się, ale powstrzymał się od powiedzenia tego na głos. W pewnym sensie czuł się zobowiązany szukać pojednania; był to winien Heather. Ostatecznie on i Roy znaleźli się w tym miejscu za jej sprawą; co znaczyły mionione kłótnie i dawne upokorzenia wobec jej bezpieczeństwa?

Kiedy znaleźli się bliżej Roy przerwał rozmowę z drugim mężczyzną i zwrócił w ich stronę. Gdy jego wzrok padł na Harry'ego oczy mu się zwięziły, a dolna warga wysunęła do przodu: dobrze znany objaw nadchodzącego gniewu. W

tych okolicznościach trudno go winić, pomyślał Harry; zebrał się w sobie w oczekiwaniu na mający wkrótce nastąpić wybuch. Stało się jednak inaczej. Miltiades wsunął się pomiędzy nich i wyciągnął rękę do Roya; uśmiechnął się, przedstawił i uprzejmie wyraził swoje współczucie. Roy ledwie na niego spojrział; wpatrywał się w Harry'ego.

- Coście znaleźli? - zapytał szorstko. Jego ton pozostał równie arogancki i niecierpliwy, jak dawniej.

- Na razie jedynie szal pańskiej siostry - odparł Miltiades.

- Czy ten człowiek został aresztowany?

- Pan Barnett towarzyszy nam w poszukiwaniach. Sądziłem, że pan Osborne wyjaśnił panu sytuację.

Stojący obok Roya mężczyzna o piaskowych włosach i obwisłej twarzy, którego Harry wziął za przedstawiciela konsulatu brytyjskiego, skrzywił się, dając do zrozumienia, że tłumaczenie czegokolwiek panu Mallenderowi jest, mówiąc oględnie, niełatwe.

- Nie potrzebował - warknął Roy. - Nie zna pan tego człowieka tak dobrze, jak ja, inspektorze. Jeśli moją siostrę spotkało coś złego...

- Jak dotąd, nic na to nie wskazuje, panie Mallender. Badamy jedynie przypadek zaginięcia, to wszystko.

- Nic więcej? Jak pan może mówić coś podobnego?! Przecież to jasne, że facet łąże jak pies!

- Nie kłamię - wtrącił Harry. - Nie wiem, gdzie jest Heather, chociaż bardzo bym chciał. Naprawdę, Roy.

Roy zbliżył się do niego o krok.

- Próbujesz się zemścić, prawda, Barnett? O to ci chodzi? Bo dziesięć lat temu złapano cię na gorącym uczynku?

- Oczywiście, że nie. Nie opowiadaj głupstw. Lubiałem Heather, na miłość boską! Nie chciałem, żeby to się stało.

- Nie chciałeś, żeby cię nakryto; tak samo teraz, jak i wtedy. Przykro ci? Nie

wiesz nawet, co to słowo znaczy. Ale się dowiesz. Już ja się postaram.

Harry czuł wyraźnie, że coś jest nie tak, chwycił jakiś fałszywy ton. Nie chodziło o to, że oskarżenia Roya są bezpodstawne - tego można się było spodziewać od początku. Były jednak zbyt gwałtowne, zbyt ogólne, nawet jak na kogoś tak porywczego, jak Mallender.

- Pańskie rozgoryczenie jest zrozumiałe - odezwał się Miltiades, uderzając w łagodzący ton. - Ale gniew nic nie da. Podejmujemy wszelkie wysiłki, żeby odnaleźć pańską siostrę. Dlatego radziłbym wrócić do Rodos i tam czekać na rozwój wydarzeń.

- Tak byłoby najlepiej - dodał Osborne.

Roy zmierzył obu gniewnym spojrzeniem. Wydawało się, że chce zaprotestować, potem zmienił zdanie.

- No, dobrze. Niczego więcej się tu nie dowiem. Ale chcę być regularnie informowany o wszystkim.

- Naturalnie - zgodził się Miltiades.

Roy odchrząknął.

- Radzę panu o tym pamiętać. Idziemy. Widziałem, co trzeba - zwrócił się do Osborne'a.

Rzucił Harry'emu ostatnie ponure spojrzenie, wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwiczki. Osborne obszedł wóz i zajął miejsce kierowcy, kręcąc głową, jakby z żalu nad samym sobą. Miltiades mruknął coś do siebie po grecku; samochód zapalił, odjechali.

- Co pan mówił, inspektorze? - spytał Harry, patrząc za oddalającym się samochodem.

- Nic, co powinien pan usłyszeć, Barnett. - Umilkł, potem odezwał się znowu: - Zdaje się, że pan Mallender nie bardzo pana lubi.

- Nie od dziś.

- Od dawna się znacie?

- Odkąd zaczął pracować w firmie swojego ojca, Mallender Marine, w sie-

demdziesiątym siódmym. Rok wcześniej, zanim mnie złapano „na gorącym uczynku”.

- Niestety, nie znam tego idiomu.

- W tym wypadku oznacza, że zostałem oskarżony o wypłacenie zbyt wysokiej sumy kontrahentowi i przyjęcie części pieniędzy uzyskanych w ten sposób.

- A było tak?

- Roy przedstawił dostatecznie wiele dowodów, by przekonać rewidentów... i swojego ojca.

- Ale był pan winny?

- Może mi pan wierzyć albo nie: nie byłem. Nie miałbym na to dość sprytu ani odwagi. Wrobiono mnie.

- Mallender?

- A któż by inny? Zadzieranie z synem szefa nie popłaca, inspektorze. Jak sam pan zauważył, to nieciekawny gatunek.

- I nieobliczalny, panie Barnett. Oczekiwałem, że pan Mallender będzie bardzo zmartwiony losem swej siostry. Zamiast tego wydawał się jedynie bardzo rozgniewany na pana. Spodziewałem się wymówek, że my, Grecy, nie potrafimy właściwie zorganizować poszukiwań, a pan Mallender, jak się zdawało, zupełnie nie był zainteresowany naszymi postępami. Jego zachowanie zdumiewa mnie pod każdym względem.

Harry popatrzył na szosę. Widoczna obojętność Roya na los, jaki spotkał Heather, dziwiła go mniej niż Miltiadesa. Więzy rodzinne znaczą więcej dla honorowego Greka niż dla skoncentrowanego na sobie Anglika. Roy przybył na wyspę, ulegając naleganiom ojca albo dlatego że inni tego się po nim spodziewali. Widziane z takiej perspektywy, jego oskarżenia nie były pozbawione sensu. Fakt, iż zniknięcie Heather stanowi nierozwiązalną zagadkę wydawałby się Royowi w najlepszym razie niewygodny, w najgorszym - krępujący. Któż lepiej posłużyłby do jego zatuszowania niż Harry Barnett, czarny charakter o fatalnych referencjach i zszarganej reputacji?

- Nigdy więcej - mruknął Harry półgłosem. - Tym razem nie dam się uciszyć.
- Słucham, panie Barnett?
- Nic, inspektorze. - Harry uśmiechnął się ponuro. - Coś sobie przyrzekłem.

IV

Harry odrzucił prześcieradło i usiadł na łóżku. Drżał, ale nie z zimna. Wyjaśnienie stanowiła pusta butelka po metaksie widoczna na stole w pokoju obok. Opróżnienie jej wydawało się wieczorem nie tylko najlepszą, ale i jedyną rzeczą, jaka mu pozostała. Otrzymał w końcu od Miltiadesa pozwolenie na powrót do domu - ściślej, odwieziony policyjnym samochodem - musiał się zmierzyć z samotnością pierwszy raz od zniknięcia Heather. Tu, w Lindos, okazało się to równie trudne, jak na Profitis Ilias. Dlaczego nie wróciła? Alkohol pozwolił uwolnić się od tego pytania przynajmniej na chwilę.

Sięgnął po zegarek leżący na szafce przy łóżku i spojrzał na cyferblat. Zegarek stanął nad ranem, ale datownik zdążył się już przesunąć. Poniedziałek, czternastego: zbędne przypomnienie, że minęła trzecia noc bez wiadomości o Heather. W tym wypadku zalety czasu jako lekarza ran nie miały zastosowania: jego powolny, nużący upływ zwiększał jedynie napięcie oczekiwania na straszne odkrycie.

Gdzieś, może po przeciwnej stronie wyspy, pod drzewem albo skałą, w opuszczonej zagrodzie dla kóz albo w wyschlłym łożysku strumienia, kryła się straszliwa prawda. Wszystkie inne możliwości - dziwaczne, nieprawdopodobne albo po prostu nierealne - stanowiły jedynie wytwór umysłu szukającego pociechy.

Wstał, zaczekał, aż osłabnie pulsowanie w skroniach, potem włożył szlafrok, wsunął stopy w espadryle i poszurał do łazienki. Kolejny słoneczny dzień: okiennice ze skrzyżowanych listewek rzucały ostre cienie na bielone ściany. Nalał zimnej wody do umywalki, spryskał twarz i zaryzykował pierwsze krótkie

spojrzenie w lustro. Nie wyglądał gorzej, niż oczekiwał, choć nie tak dobrze, jak miał nadzieję: obrzmiała nieogolona twarz, okolona siwymi włosami. Głęboko osadzone oczy w czerwonych obwódkach spojrzały nań w niemym potępieniu. „Jesteś na dnie, Harry, na samym dnie; to nadir twej pozbawionej wzlotów egzystencji”.

Dlaczego nie wróciła? Nieobecność Heather sprawiła, że jego azyl rozsypał się w gruzy. Z każdym rokiem spędzonym w Lindos bezcelowość własnego życia coraz mniej go obchodziła, coraz bardziej zaczynał za to doceniać jego zalety. Każdy rok, każda pora roku, każdy dzień, spędzony na wyblakłej plaży czy w krętych zaułkach tego miasteczka jak z pocztówki, były do siebie podobne. Trochę pieniędzy, drobne radości, odrobina jedzenia i alkoholu stanowiły główne elementy banalnej egzystencji, której przestał się wstydzić. Teraz wzmagaly tylko nieznośne poczucie bezradności.

Odwrócił się od lustra, pchnął okiennice na zewnątrz i spojrzał przez zmrużone oczy na znajomy widok, oblany jaskrawymi promieniami słońca. Brukowana ścieżka wiodła od frontowych drzwi willi w stronę stłoczonych białych domów Lindos. Znał każdego mieszkańca i każdą uliczkę; byli sąsiadami od dawna. Głębokie błękitne niebo bez jednej chmurki. Jedynie delikatna mgiełka, unosząca się nad zagajnikami drzew pomarańczowych i łagodząca kontury zboczy Marmari na południe od miasta, powiedziała mu, że spał dłużej, niż sądził. Wychylił się, by spojrzeć w dół na przystań, o tej porze roku opuszczoną przez opalających się turystów i ich jachty. Własna obojętność na piękno tych widoków wywołała w nim skurcz bólu. Parę dni temu konieczność opuszczenia tego miejsca napełniłaby go przerażeniem. Teraz nie żałowałby tego nawet przez chwilę. Stanowiło to dla niego dowód, jak głęboko wstrząsnęło nim zniknięcie Heather.

Niecały miesiąc wcześniej, wracając leniwie na sjęstę z Taverna Silenou, zastał liścik od Heather wetknięty pod kołatkę. Pisała, że jest znajomą Alana Dysarta, postanowiła zatrzymać się w willi i, ponieważ nie zastała nikogo, wybrała

się na akropol. Jeśli Harry wróci wcześniej, czy byłby tak dobry i przyjechał tam po nią? Przeklinając nie znaną sobie dziewczynę za to, że zmusza go do wspinaczki w największy upał, wdrapał się po schodach do starego zamku górującego nad miasteczkiem, bez płacenia minął bramkę i w końcu znalazł się, zdyszany i skapany we własnym pocie, przy ruinach starożytnej świątyni zamkniętej w murach warowni. Zwykle odporny na legendarny królewski splendor Lindos, tym razem odkrył coś niezwykłego w kruszących się murach i zniszczonych kolumnach: ciszę i bezruch, które teraz, po spotkaniu z Profitis Ilias, nazwałby wyciekaniem.

Rozpoznał ją od razu po bladej skórze: smukłą samotną postać, siedzącą na najwyższym stopniu ogromnych schodów wiodących do propylejów. Nieco zgarbiona, jakby się czegoś obawiała, pomyślał, pracowicie wspinając się ku niej. Twarz ukryta w cieniu; włosy, długie do ramion płowe włosy, połyskujące w słońcu.

- Ty musisz być Heather - powiedział zdyszany, dotarłszy na szczyt. Tak właśnie podpisała kartkę.

- A ty pewnie jesteś Harry - odparła, podnosząc na niego wzrok, i uśmiechnęła się. Gdy wymieniali uścisk dłoni poczuł nieoczekiwane skrępowanie, nagle przypomniał sobie, że się nie ogolił ani nie włożył świeżej koszuli tego ranka.

- Przepraszam, że cię tutaj ciągnęłam.

- Drobiazg - opadł na stopień obok niej, próbując wywołać w sobie podziw dla widoku połyskującej błękitnej zatoki w dole, którą - jak wiedział z doświadczenia - zachwycali się nowo przybyli.

- Nie wiem, czy Alan uprzedził cię o moim przyjeździe.

- Nie, ostatnio nie miałem od niego wiadomości. Ale nie przejmuj się. To dla mnie żaden kłopot. Spóźnione wakacje, tak?

- Raczej rekonwalescencja. - Potem, jakby chcąc zmienić temat, spytała: - Powiedz, gdzie Alan cumuje swój jacht, kiedy tu przy pływa?

Dziwaczność tego pytania powinna uderzyć go od razu, ale tak się nie stało.

- Tam, w zatoce. W każdym razie cumował kiedyś, bo nie wiem, czy kupił sobie nowy po Artemidzie. To był piękny jacht.

- Naprawdę?

- Nigdy go nie widziałaś? Myślałem...

- Poznałam Alana niedawno, już po tym, jak stracił Artemidę. Chyba tylko dlatego, że ją stracił.

- Nie rozumiem.

Jej podbródek drgnął nieznacznie, kiedy odpowiedziała:

- Clare Mallender była moją siostrą.

- Ach tak - odezwał się niezręcznie i zaraz tego pożałował.

- Tak. Sekretarka, która znajdowała się na pokładzie jachtu, kiedy wybuchła bomba podłożona przez IRA.

Harry patrzył na bramę oplecioną bugenwillą, próbując znaleźć wśród jaszkrawoczerwonych kwiatów schronienie przed wspomnieniami czyhającymi na niego w każdym zakątku Lindos. Znajomość, nawiązana niezbyt szczęśliwie na akropolu, okazała się z czasem początkiem prawdziwej przyjaźni, której - jak sądził - miał nie doświadczyć już nigdy. Teraz, gdy zabrakło Heather, ukojenie, jakie niosła Villa ton Navarkhon, gorzko przypominało mu o tym, o czym i tak nie mógł zapomnieć ani na chwilę: że nie zazna spokoju, póki nie dowie się prawdy.

Naraz dostrzegł kątem oka jakieś poruszenie. Patrząc na lewo mógł zajrzeć na brukowane podwórko, oddzielające dom odźwiernego od zachodniej ściany willi. W pierwszej chwili zdawało się, że wszystko wygląda jak zwykle: donice z kwiatami, drzewa cytrynowe, dachówki z terakoty i bielone ściany. Potem zauważył ruchomy cień w jednym z pokoiów willi: dowód, że nie jest już sam. Nie była to środa, więc mało prawdopodobne, żeby pani Ioanides przyszła posprzątać. Poza tym nie miała klucza. Jeśli to nie ona... Rzucił się do sypialni, wciągnął na siebie ubranie i zbiegł po schodach, po drodze boleśnie objając sobie kolano. Nie

dbał o to, jeśli tylko istniała najmniejsza szansa, że... Heather miała klucz. Trzymał osobny klucz dla gości; nadal go miała.

Przebiegł podwórze; serce biło mu jak szalone z wysiłku i podniecenia. Uchylone drzwi, otwarte okno. A więc to prawda: to musi być prawda. Wróciła, nie ma innego wytłumaczenia. W holu omal nie zaśmiał się na głos.

- Witaj, Harry.

To Alan Dysart odwrócił się na powitanie Harry'ego, gdy ten wpadł do pokoju. Alan Dysart o zniewalającym uśmiechu i wiecznie chłopcęcym wyglądzie, o jasnych, niemal złocistych włosach, które tak znacznie pomogły mu w karierze polityka i wydawały się równie gęste, jak w dniu, gdy Harry go poznał. Alan Dysart, członek parlamentu, minister i właściciel Villa ton Navarkhon, jedyny gość, którego Harry powinien się był spodziewać; nie ten, którego miał nadzieję zobaczyć.

- Wpadłeś w tarapaty, jak widzę - powiedział Dysart. - Mam nadzieję, że zdołam ci pomóc.

W typowy dla siebie sposób bagatelizował powagę sytuacji. Lekceważenie kryzysów stanowiło jego znak firmowy, zarówno w polityce, jak i w sprawach dotyczących marynarki wojennej. Prawdę mówiąc, stanowiło klucz do jego sukcesu. To, co u kogoś innego mogłoby się wydawać niedbałością, Dysart zawsze potrafił przedstawić jako opanowanie graniczące z odwagą. Jak określiła to jedna z gazet, stanowił ostatnią ostoję galanterii w pozbawionym galanterii pokoleniu.

- Zaglądałem do ciebie po przyjeździe, ale spałeś jak niemowlę. Wyobrażam sobie, co tu przeżyłeś. Drinka?

Harry, który zatrzymał się w drzwiach, niepewnie przeszedł przez pokój, nakazując sobie ukryć rozczarowanie. Był to winien Dysartowi, nie tylko ze względu na wszystko, co ten dla niego zrobił, ale i za niezamierzone zainteresowanie policji jego osobą.

- Drinka? - powtórzył zmieszany. - Tak, chętnie.

Dysart poklepał go po ramieniu i uśmiechnął się.

- Siadaj, nim zemdlejesz, a ja przygotuję nam obu coś na wzmocnienie.

Harry posłusznie usadowił się na kanapie, podczas gdy Dysart ciągnął dalej, stojąc przy barku:

- Wydawałeś się zdziwiony na mój widok.

- Byłem zdziwiony.

- Heather ci nie mówiła, że przylatuję?

- Nie.

- Dziwne. - Dysart wrócił, niosąc dwie szklaneczki, podał jedną Harry'emu i usiadł naprzeciw niego. - Dzwoniłem do niej w zeszły wtorek; prosiłem, żeby ci przekazała.

- Więc miałeś zamiar przyjechać, zanim... to się stało?

- Tak. Muszę się przygotować do szczytu europejskiego w przyszłym miesiącu.

- Nic mi nie wspominała.

- Pewnie jej wyleciało z głowy.

Przez chwilę sączyli drinki, potem Dysart rozejrzał się po pokoju i zauważył:

- Trzeba przyznać, panuje tu idealny porządek.

Miał rację, ale nie Harry'emu należała się za to pochwała. Dysart, odkąd zajął się polityką, a szczególnie od czasu gdy utracił jacht, coraz rzadziej odwiedzał willę. Gdyby nie długi pobyt Heather, tak pełnej zapału do prac domowych, że pani Ioanides stała się niemal zbędna, zastałby najprawdopodobniej zakurzone meble i niewietrzone pokoje. Myśl przypomniawszy Harry'emu po raz kolejny o kwestii, której poruszenia Dysart najwyraźniej unikał.

- Przykro mi, że wmieszałem cię w to wszystko - powiedział niespodziewanie.

- To musiało być... krępujące.

- Trochę - odparł Dysart, uśmiechając się niewesoło. - Dlatego że Heather była moim gościem angielskie gazety narobiły wokół sprawy więcej szumu niż

zwykle. Ale to nie twoja wina. Nie wiedziałeś przecież, co zamierzała, prawda?

- Policja jest przekonana, że nie mówię im wszystkiego.

- Ale tak nie jest, oczywiście. - W ustach Dysarta uwaga ta dziwnie przypominała pytanie. - Pewnie znałeś ją równie słabo, jak ja sam. Czuję się zobowiązany pomóc jej z powodu tego, co spotkało Clare.

- Rozumiem.

- Wiedzą, że pracowałeś u Mallenderów?

- Tak.

- Musiało im się to wydać dziwne.

- To prawda.

Mnie też, pomyślał Harry, mnie też.

- Co się właściwie zdarzyło?

Dysart miał wszelkie prawo domagać się wyjaśnień i Harry gorliwie się do nich zabrał. Rozmowa z Miltiadesem sprowadzała się do odpowiedzi na pytania, była skażona podejrzliwością. W jego własnych wspomnieniach fakty wydawały się chaotyczne i nie uporządkowane. Po raz pierwszy od zniknięcia Heather miał sposobność usystematyzować poprzedzające je zdarzenia w logiczny ciąg. Przybycie Heather, sympatia, jaką do niej poczuł, ich pogłębiająca się przyjaźń, zaproszenie na pożegnalny objazd wyspy, odwiedziny na Profitis Ilias - i niepełność tego, co się tam wydarzyło. Pojawiały się w jego umyśle tak świeże, jak musiały być dla Dysarta, a wraz z nimi pewność, że od początku opuścił coś naprawdę ważnego - a może wszystko.

Podczas gdy Harry mówił Dysart wstał i zaczął się przechadzać po pokoju ze szklanką w dłoni, zatrzymując się od czasu do czasu, by poprawić pokrywę malowanego dzbana albo przesunąć końcem buta tkany chodnik. Harry przypomniał sobie, że Dysart zawsze był w ruchu: za kołem sterowym jachtu, za kierownicą swego szybkiego samochodu. Nawet zamknięty w czterech ścianach potrzebował aktywności, by się skoncentrować. Spokojny, ale nie flegmatyczny; z rezerwą, ale nie skryty - wiele razy okazał się najwierniejszym sprzymierzeńcem Harry'ego, a

jednak ten nie mógł powiedzieć, by znał go choć trochę lepiej niż w dniu, gdy po raz pierwszy Dysart wkroczył w jego życie.

Było gorące czerwcowe popołudnie w 1966 roku. Harry siedział za stołem w małym biurze na tyłach Barnchase Motors przy Marlborough Road w Swindon, czytając nieuważnie skargę jakiegoś klienta. W południe wypił odrobinę za dużo w Railway Inn; słońce przypiekające w kark zaczynało go przyprawiać o ból głowy. Miał właśnie wstać i przejść się po parkingu od frontu, w nadziei, że go to trochę rozrusza, gdy nagle zauważył jakąś postać w otwartych drzwiach.

- Pan Barnett?

- To ja.

- Pan jest właścicielem?

- Jednym z właścicieli, tak.

- Ale to pan się zajmuje sprawami zatrudnienia?

- Można tak powiedzieć.

- Doskonale. Przyszedłem w sprawie tego ogłoszenia o pracy na wakacje. Jestem studentem, szukam zajęcia na lato. Nazywam się Alan Dysart.

Harry skończył sprawozdanie. Opowiedział o wszystkim, co się zdarzyło na Profitis Ilias tamtego tragicznego dnia, i o wielu rzeczach, które wydarzyły się wcześniej, podczas gdy Dysart krążył wolno po pokoju, ze skupieniem malującym się na twarzy, podobnie jak wtedy - przypomniał sobie Harry - w trakcie pierwszej przypadkowej rozmowy w Swindon, wiele lat temu.

- Jadąc tutaj wstąpiłem do konsulatu - odezwał się Dysart po dłuższej przerwie. - Jak słyszałem, policja podejrzewa morderstwo.

- Wiem. Myślę, że ja to zrobiłem.

- Mają jakieś wyjaśnienie, skąd się wzięła twarz, którą widziałeś w oknie?

- Żadnego. Wystarczyło im, kiedy się przekonali, że budynek był wtedy pusty.

- A gwizd?

- Prawdopodobnie manewry wojskowe. Albo stado kóz. Dźwięk niesie się na dużą odległość. O ile rzeczywiście go słyszałem. Oni w to nie wierzą.

- Ale ty go słyszałeś.

- Tak.

- A pocztówki w schowku na rękawiczki?

- Policja nie wierzy w moje wyjaśnienia.

- I nic, zupełnie nic z tego, co robiła albo mówiła Heather, nie zdradzało, by to planowała?

- Zupełnie nic.

- Więc, twoim zdaniem, została uprowadzona... albo zamordowana?

- A jak to inaczej wyjaśnić?

- Tego popołudnia w Salakos nie widziano innego samochodu, poza waszym, wjeżdżającego na górę.

- Wiem.

- I nikt nie mógł wiedzieć, że się tam wybieracie, bo Heather zasugerowała to dopiero przy obiedzie.

- Masz rację.

- Oczywiście, można się tam dostać inną drogą, ale mimo wszystko...

- ...to nie ma sensu.

- Czy ostatnio wydarzyło się coś, choćby pozornie drobnego, co zaniepokoiło Heather?

- Nie wydaje mi się.

- Może jacyś obcy w Lindos, obserwujący ją?

- W Lindos zawsze jest pełno obcych. Nic nie zauważyłem.

- Nic... - powtórzył Dysart w zamyśleniu. Podszedł do barku i wrócił z butelką, by dolać Harry'emu. - Paskudnie wpadłeś, przyjacielu. Naprawdę paskudnie.

- Wiem. Ale w tej chwili martwi mnie to o wiele mniej, niż...

- Los Heather?

- Tak.

Dysart spojrział na zegarek.

- Niestety muszę wracać do Rodos. Czeka mnie wiele pracy, a w środę mam być z powrotem w domu.

- Nie zatrzymasz się tutaj?

- Nie. Przenocują mnie w konsulacie. Oszczędzę sobie jeżdżenia tam i z powrotem.

Uśmiechnął się, by dodać Harry'emu otuchy.

- Nie zamierzam cię tak zostawić. Zadzwońię do inspektora Miltiadesa i powiem mu, że masz moje poparcie... i że szczeka pod niewłaściwym drzewem.

- To miło z twojej strony.

- Jest tylko jedna kwestia. - Dysart podszedł do okna, jak gdyby skrepowany z powodu tego, o co chce zapytać. - Powiedziano mi, że miałeś latem... nieprzyjemności... z powodu jakiejś Dunki.

Harry skrzywił się na wspomnienie.

- Wszystko przez alkohol i głupotę.

- Nawet jeśli, w obecnych okolicznościach nie wygląda to najlepiej. Jeżeli istnieje możliwość, że mogło się powtórzyć...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Pocztówki też sugerują taką możliwość. Heather była... jest... piękną kobietą. Jeśli stało się... jeśli zrobiłeś coś... co mogło ją przestraszyć... to tłumaczyłoby...

Harry wiedział, że to pierwsze i najmniej krzywdzące go wytłumaczenie, jakie musiało przyjść do głowy każdemu. A mimo to fakt, iż pojawiło się w umyśle Dysarta, tym bardziej nim wstrząsnął.

- Nie zrobiłem. Nie zrobiłem nic, co mogłoby ją przestraszyć. Nie skrzywdziłem jej.

- Naprawdę, Harry? Mógłbyś na to przysiąc? - Odwrócił się od okna i spojrział na niego badawczo.

- Tak.

Dysart uśmiechnął się przepraszająco.

- Więc nie będziemy już o tym rozmawiać... nigdy.

Godzinę później Harry był znowu sam w swoim mieszkaniu przy bramie. Dysart wrócił do Rodos, pozostawiając go, by zamknął wille, wziął prysznic, ogolił się, ubrał i zebrał nieco godności, nim stawi czoło temu, co miało nadejść. Pozostać tutaj biernie, podczas gdy poszukiwania toczyły się gdzie indziej i zbliżały coraz bardziej do tego, co fatalistycznie przyjmował za prawdę, stanowiło ciężką próbę. Gdy w końcu spojrzął w lustro zobaczył swoją podobiznę, odrobinę mniej zaniedbaną niż rano, choć - jak Dysart subtelnie dał mu do zrozumienia - dla większości ludzi i tak pozostanie pijanym starym rozpustnikiem, starającym się wszelkimi sposobami wywinać sprawiedliwości. Naturalnie, póki sam nie przekona ich, że są w błędzie.

V

Następnego dnia po południu na Lindos spadła przelotna ulewa, zmieniając brukowane uliczki w strumienie, a płaskie dachy w niewielkie jeziora. Niebo i morze, zwykle oszłamiająco błękitne, przybrały barwę posępnej jednolitej szarości. Nawet dumne mury zamkowe utraciły swój złotawy odcień. Melancholia na równi z chmurami okryła miasto.

U wejścia do Taverna Silenou przy głównym placu, splecione gałęzie dwóch figowców tworzyły gęste sklepienie, pod którym dwóch mężczyzn w średnim wieku siedziało przy rdzewiejącym metalowym stoliku, smętnie wpatrując się w zasłone deszczu. Przed nimi leżały egzemplarze trzech dzienników wychodzących w Rodos, przyciśnięte pełną po brzegi popielniczką, w otoczeniu pustych filiżanek od kawy, na pół opróżnionych kufli z piwem i okruchów bułki. Ani Harry Barnett, ani Kostas Dimitratos nie mówili wiele przez ostatnie pół godziny,

ale obaj czerpali przyjemność z wzajemnego towarzystwa.

- Jak mam cię przekonać? - wybuchnął nagle Kostas, wyjmując z ust wykałaczkę i rzucając ją do najbliższej kałuży. - Przepraszam, Hari. Przepraszam, że powiedziałem Miltiadesowi o... *ti Thaneza*.

Był to niski otyły człowieczek o nieproporcjonalnie dużych i absurdalnie bujnych, sumiastych wąsach. Nawet w najsloneczniejszy dzień nadawały mu one dziwnie poważny wygląd, teraz zaś, współgrając z nastrojem panującym w przyrodzie, sprawiały, że jego słowa zdawały się przesycone głęboką rozpaczą.

Harry, który siedział pochylony, wyprostował się i spojrzał na przyjaciela.

- Kostas - powiedział z naciskiem - nikt, nawet najlepszy przyjaciel, nie może od ciebie żądać przebiegłości. Wiem o tym, bo jestem twoim przyjacielem. Więc, na miłość boską, przestań się wreszcie obwiniać. Myślałem, że mnie podniesiesz na duchu.

Dimitratos zmarszczył brwi i podrapał się po wydatnym brzuchu.

- Przebiegły? - powtórzył niepewnie.

- *Ligomilitos*.

Z wyrazu jego twarzy wyraźnie było widać, że Kostas nie wie, czy oznacza to pochwałę, czy wyrzut. Zamiast drażnić temat rozłożył jedną z gazet, po raz piąty czy szósty spojrzał na artykuł, gdzie pisano o całkowitym braku postępów śledztwa w sprawie Heather Mallender, po czym rzucił ją na stół z pełnym niezadowolenia chrząknięciem.

- Poza tym - ciągnął Harry, jakby nie zauważył zachowania przyjaciela - jesteś chyba jedynym mieszkańcem Lindos, który jeszcze chce ze mną rozmawiać, więc nie mogę sobie pozwolić na kręcenie nosem. Dzisiaj rano, kiedy wszedłem do piekarni, miałem wrażenie, że stałem się niewidzialny.

Kostas cmoknął i smutno pokręcił głową.

- Przepraszam, Hari.

- Przestań to wreszcie powtarzać.

- Wszystko się zmieni, kiedy... - Zamilkł, nie dokończywszy krzepiącego

stwierdzenia, bo uwagę ich obu pochłonęło przybycie na plac samochodu. Zjechał w dół z głównej drogi i zatrzymał się w chmurze pyłu wodnego. Nie mogli dostrzec kierowcy przez zalane deszczem szyby, ale fakt, że wóz został wynajęty, był znaczący sam w sobie. Chwilę później wysiadł z niego wysoki chudy mężczyzna w płaszczu nieprzemakalnym i podbiegł do tawerny.

- Cześć - przywitał się. - Czy któryś z was zna Harry'ego Barnetta?

Był Anglikiem; mówił z niedbałym akcentem którejs z lepszych szkół, jakiego Harry nauczył się nie znosić. Miał wąską twarz, ciemne włosy i uważne przenikliwe oczy - najwyraźniej nie był ani turystą, ani urzędnikiem. Harry nie miał pewności, czy chce z nim zawrzeć znajomość.

Kostas, widząc, że jego przyjaciel nie odpowiada, natychmiast przyjął na siebie rolę nierozumiejącego Greka. Przechylił głowę i spojrzał na nieznanego spod zmarszczonych brwi.

- *Parakalo?*

Mężczyzna podniósł głos:

- Harry Barnett!

- *Then milame Anglika.*

- Co?

- *Then milame...*

- Mówi, że nie znamy angielskiego - przerwał Harry. - Próbował mi pomóc. Ja jestem Harry Barnett. A pan jak się nazywa i czego pan chce?

Okazał się dziennikarzem, czego Harry mógłby się domyślić, gdyby się przyjrzał uważniej. Przedstawił się jako Jonathan Minter z „Couriera” - nowej gazety niedzielnej, o której Harry nigdy nie słyszał. Zamówił pizzę - Kostas odszedł naburmuszony, żeby ją przygotować - po czym bez dalszej zwłoki wyjaśnił cel swojej wizyty.

- Po prostu uważamy, że czas na pańskie pięć minut. Biedna bogata dziewczyna znika na wyspie. Bardzo piękna dziewczyna, i na dodatek znajoma mini-

stra. Dziennikarze z pism ilustrowanych musieli się uwijać jak mrówki. A z pana zrobili czarny charakter. Jak jednak wyglądały fakty? Tego chcielibyśmy się dowiedzieć.

- Ja też.

Harry był już pewien, że nie lubi Mintera. Spotykał wcześniej podobnych do niego ludzi, jak w sezonie paradowali po Lindos ze swoimi dziewczynami i kartami kredytowymi. To, co czuł, po głębszej analizie okazało się zwykłą zawiścią, i to zawiścią o bardzo osobistym zabarwieniu. Wydawało się, że minęły lata, odkąd ostatni raz spotkał Anglika, który nie byłby młodszy i bogatszy niż on sam. Może właśnie dlatego polubił Greków.

- Daj pan spokój. Wie pan więcej, niż pan mówi.

- Czyżby?

- Wiem, że pracował pan dla Mallender Marine.

- Więc?

- I że został pan wylany za nieprawidłowości finansowe.

- Co to ma do rzeczy?

- Nic. Ale dlaczego pozwalać, żeby Mallenderowie wygadywali o panu, co im się podoba? Żeby rozegrali to wszystko po swojemu? Jestem pewien, że gdyby pan chciał, to mógłby pan dodać wiele od siebie.

- Co takiego mówili?

- Niech pan sam przeczyta. - Minter wyjął z kieszeni jakiś papier i podał Harry'emu. Były to kopie trzech różnych artykułów odbite na jednej kartce. - Wszystkie ukazały się w niedzielę po konferencji prasowej, jakiej udzielił Roy Mallender w sobotę wieczorem przed przylotem tutaj. Zdaje się, że nie ma o panu najlepszej opinii.

Harry nie potrzebował Mintera, by się dowiedzieć, jakie jest zdanie Roya na jego temat. Niemniej przeżył szok, kiedy ujrzał to napisane czarno na białym w oszczędnym dziennikarskim żargonie:

Pan Mallender stwierdził, iż zaniepokoiły go pogłoski, jakoby Heather widziano w dniu zniknięcia w towarzystwie niejakiego Harry'ego Barnetta. Określił Barnett ta jako „człowieka szukającego zemsty na rodzinie Mallenderów”, „byłego pracownika Mallender Marine zwolnionego w roku siedemdziesiątym ósmym za przyjmowanie łapówek”. Powiedział, że Barnett jest „ostatnią osobą, z którą powinna się zadawać jego siostra. Odkąd zostało potwierdzone, że widziano ich razem, należy się obawiać najgorszego”.

Minter pochylił się nad stolikiem i zniżył głos.

- Mówi wprost, że to pan ją zamordował.
- Pewnie w to wierzy.
- Ale pan tego nie zrobił, prawda?

Wszedł Kostas. Postawił przed Minterem butelkę, kieliszek i położył sztucce, po czym wrócił do kuchni.

- No więc?
- Niczego się pan ode mnie nie dowie - burknął Harry. - Cokolwiek powiem, i tak wypaczy to pan i wykorzysta dla własnych celów.

- Ale to również pańskie cele, Harry. Walczymy po tej samej stronie. Żaden z nas nie lubi Mallenderów ani tego, co reprezentują.

- To znaczy?
- Przywilejów. Hipokryzji. Korupcji. Trzech filarów, na których wspiera się życie takich jak oni.

To zabrzmiało bardzo osobiście, pomyślał Harry, bardzo osobiście i denerwująco podobnie do tego, w co wierzył on sam.

- Nie brałem łapówek. Nie zamordowałem Heather. Co jeszcze można dodać?
- Wszystko. To, co zdarzyło się na Profitis Ilias nie jest ani tak proste, ani tak tajemnicze, jak się panu wydaje. Sądzę, że pan, Harry, jest najsłabszym ogniwem łańcucha zdarzeń łączącego Roya Mallendera i innych, o wiele ważniejszych od niego, z jakąś brudną sprawą. I sądzę, że wie pan, co to za sprawa.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Znowu pojawił się szurający Kostas, tym razem z talerzem nieapetycznej pizzy i koszykiem wilgotnego chleba. Gdy zostali sami Minter mówił dalej:

- Niech pan zapyta sam siebie, Harry. Jeśli Heather została zamordowana i pan tego nie zrobił, to kto? I co było motywem, jeśli nie rabunek ani gwałt?

- Nie wiem.

- Mieszkała tutaj od miesiąca. To chyba dość długo, by zdążył ją pan poznać. Czy nigdy nie powiedziała nic takiego, co mogłoby rzucić światło na to, co się stało?

Harry miał właśnie odpowiedzieć, gdy na plac wjechał kolejny samochód: wóz patrolowy z dwoma umundurowanymi policjantami. Jeden z nich wysiadł i ruszył szybkim krokiem w stronę tawerny. Kiedy podszedł bliżej Harry rozpoznał w nim jednego z członków grupy poszukiwawczej Miltiadesa. Policjant wymamrotał parę słów po grecku, z czego Harry wywnioskował, że inspektor chce się z nim natychmiast zobaczyć.

- Co się stało? - zapytał Minter, gdy Harry podniósł się z krzesła.

- Zabierają mnie ze sobą. Myślę, że coś znaleźli.

- Heather?

- Nie wiem.

Gdy Harry go mijał Minter wsunął mu w dłoń kawałek papieru.

- To numer hotelu w Rodos, gdzie się zatrzymałem - szepnął. - Niech pan pomyśli o tym, co mówiłem. Jeśli coś panu przyjdzie do głowy proszę zadzwonić. I, Harry...

- Tak?

- Jeśli będzie to dotyczyło sprawy, o której wspominałem może pan na tym zarobić. Nieźle zarobić.

Samochód mknął drogą wzdłuż wybrzeża w kierunku Rodos, policjanci pograżyli się w dyskusji o futbolu. Harry, pozostawiony sam sobie na tylnym sie-

dzeniu, patrzył na smagany deszczem nagi krajobraz, przetrząsając pamięć w poszukiwaniu wskazówki, którą - zdaniem Mintera - miał posiadać. Miejsca, które odwiedził wraz z Heather, i urywki rozmów przesuwały się jak w kalejdoskopie, zyskiwały na moment niezwykle znaczenie, po czym traciły je na powrót. Gdyby tylko potrafił otrząsnąć się z obezwładniającego poczucia straty, trzymającego go w uścisku od dnia, kiedy zniknęła. Gdyby tylko umiał zebrać dość energii i koncentracji, żeby wydedukować, co się z nią stało. Czy nie wspominała kiedyś?... Nie. Myśl, wrażenie, ogniwo w łańcuchu zniknęło, nim zdążył je pochwycić. Wycieraczki przesuwały się z piskiem, deszcz spływał po szybie tuż przy twarzy, znaczenie umykało.

VI

- Nie, panie Barnett - powiedział Miltiades, zachowując wyraz doskonałej obojętności na twarzy - nie odnaleźliśmy jej. Ale można powiedzieć, że ona nas znalazła.

- Co to znaczy, do diabła?

- To znaczy, że matka panny Mallender otrzymała dzisiaj rano pocztówkę od córki. Kartka została nadana tutaj, w Rodos, dziewiątego listopada, w zeszłą środę, i zawiera informację, że Heather zamierza lecieć do Anglii szesnastego, czyli jutro. Co bardziej znaczące... Ale niech pan sam przeczyta. Brytyjska policja przesłała mi treść pocztówki teleksem.

Miltiades przesunął po biurku kartkę papieru. Gdy Harry się nad nią pochylał stwierdził, że rzeczywiście jest to teleks, wysłany przez New Scotland Yard. Przeczytał:

Wiadomość od Mallender brzmi, jak następuje: „Rodos, środa, dziewiątego. Mamusiu (podkreślone). Przylatuję za tydzień, szesnastego. Powinnam być po południu. Zadzwoń z Heathrow. Tęsknię do domu. Cieszę się, że wyjeżdżam, bo

tutaj nie wszystko układało się dobrze. Do zobaczenia niedługo. Twoja Heather”.

- „Nie wszystko układało się dobrze” - powtórzył Miltiades, podkreślając każde słowo. - Co pan na to?

Dla Harry'ego pocztówka stanowiła ostateczny dowód, że jego naiwność osiągnęła kompromitujące rozmiary. Heather, którą uważał za swoją przyjaciółkę, nie mogłaby napisać tych słów. „Nie wszystko układało się dobrze”? Nic nie sugerowało, by czuła się źle; nie tęskniła za opuszczeniem Rodos, wręcz przeciwnie. Spojrzał na Miltiadesa i pokręcił głową bezradnie.

- Nie wiem. Nie wiem, co powiedzieć.
- Zalecałbym prawdę. W końcu okazuje się to najprostsze.
- Może się okazać nie taka, jaką chciał pan usłyszeć.
- Tak czy inaczej, proszę mi ją zdradzić.

Harry osunął się na krzesło stojące obok i próbował znaleźć słowa, które pozwoliłyby mu opisać jego pogmatwane uczucia. Czuł nieprzeparłe pragnienie, by zwierzyć się temu człowiekowi. Może wywołała to zmiana otoczenia z nagiego, wibrującego echem pokoju przesłuchań, gdzie spotkali się po raz pierwszy, na wygodnie umeblowane biuro z mahoniowym stołem, reprodukcją widoku antycznego Rodos na jednej ścianie i jego współczesną mapą na drugiej, i atmosferą gabinetu wykształconego człowieka. A może spowodował to sam Miltiades, którego gniew - jak się wydawało - przygasł i ustąpił miejsca cierpliwemu, uprzejmemu zainteresowaniu. Jakakolwiek była przyczyna, Harry wyzbył się obaw, że to, co ma do powiedzenia, może zabrzmieć niestosownie.

- Czuję smutek i złość na zmianę. Smutek, że nie rozumiałem jej lepiej. Że nie zrobiłem lepszego użytku z czasu, który spędziliśmy razem. I złość, że nikogo nie obchodzi. W najlepszym razie traktuje się mnie jako świadka, w najgorszym jako podejrzanego. Wszyscy wokół mają prawo po prostu martwić się o Heather. Tylko ja muszę się równocześnie martwić o siebie. Co pan myśli, że zrobiłem? Odpowiedź brzmi: nic. I to chyba jest najgorsze ze wszystkiego. Cokolwiek ją

spotkało na Profitis Ilias, ja mogłem temu zapobiec i tego nie uczyniłem. Do czego więc mam się przyznać? Że nie interweniowałem, chociaż Bóg wie, w co miałbym interweniować?

Wybuch minął. Zapadło milczenie - tak długie, że Harry zaczął żałować własnych słów. Krzesło inspektora skrzypnęło cicho, kiedy odchylił się do tyłu. Zetknął dłonie koniuszkami palców i zapatrzył się w sufit, niby lekarz mający zawiadomić chorego o postępach śmiertelnej choroby w możliwie oględny sposób.

- Najpierw jesteśmy wstrząśnięci. Potem wchodzimy w krótką fazę nadziei. Kiedy okazuje się ona bezpodstawna doświadczamy czegoś w rodzaju żalu, po którym zawsze następuje chęć zrzucenia odpowiedzialności na innych, coraz bardziej rozpaczliwe poszukiwanie kogoś, kogo można by obciążyć naszą winą. - Uśmiechnął się i spojrzał na Harry'ego. - Czy to brzmi znajomo? Cytuję wyniki ostatnich badań na temat zaginięć. Ten przypadek, jak się wydaje, przejawia szereg charakterystycznych cech.

- Chodzi panu o to, że jestem kołkiem, na którym inni wieszają swoje poczucie winy?

- To nieuniknione, skoro był pan ostatnim człowiekiem, który widział pannę Mallender. Niedawno odwiedził nas jej brat z żądaniem, bym pana aresztował. Próbowałem wyjaśnić, że nie mamy dowodów, by postawić pana w stan oskarżenia, a jak długo mam pański paszport, nie musimy się obawiać, że ucieknie pan za granicę. Ale to go nie zadowoliło. Wyjaśnienie jest oczywiste. Rodzina panny Mallender oskarża się teraz o zaniedbywanie córki, w czasie gdy przebywała tutaj. Jednym ze sposobów na zmniejszenie poczucia winy jest obciążyć nią pana. Pański problem polega na tym, że nie ma pan komu przypisać swojego poczucia winy; musi ono pozostać przy panu.

Była to prawda. Opis dokładnie odpowiadał sytuacji Harry'ego.

- Czy są inne skutki? - zapytał Harry ponuro. - Kolejne fazy?

- Tak, jak najbardziej. Oczywiście, w dowolnym punkcie sekwencja może

zostać przerwana przez odkrycie prawdy. To znaczy odnalezienie zwłok albo zaginionej osoby. Jedną z faz już u pana wystąpiła: tendencja do obwiniania samej zaginionej. Być może w głębi ducha myśli pan już sobie, że lepiej, żeby odnaleziono ciało, niż gdyby ta niepewność miała się dalej ciągnąć. Niewykluczone też, że zacznie pan sobie myśleć: „Jak ona mogła mi to zrobić?” Od tej fazy, obawiam się, już tylko krok do następnej.

- To znaczy?

- Obojętności, panie Barnett. Za parę miesięcy większość przyjaciół panny Mallender zapomni o niej. Za rok nikt nie będzie o niej pamiętał.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Więc niech pan poczeka. Mówię z własnego doświadczenia. Słyszał pan kiedyś o Eirene Kapsalis?

- Nie.

- No właśnie. Była żoną właściciela firmy transportowej, Andreasa Kapsalisa. Siedem lat temu zniknęła bez śladu. Dzisiaj nikt o niej nie pamięta.

- Pan nie zapomniał.

- Ponieważ nie udało mi się jej odnaleźć i z tego powodu zostałem tu przeniesiony z Aten. W tym wypadku, jak pan widzi, to mnie obciążono winą.

Nic w głosie Miltiadesa nie zdradzało złości, którą najwyraźniej czuł nadal, po siedmiu latach od swej degradacji. Harry uświadomił sobie nagle, że zniknięcie Heather musiało dla niego stanowić niemiłe przypomnienie.

- Niedługo przed wyjazdem z Aten - ciągnął inspektor - zobaczyłem Kapsalisa. Jechał samochodem ze swoją kochanką. Pili i śmiali się. Nie odniosłem wrażenia, by myśleli o Eirene.

- Może nie, ale...

- Brat panny Mallender przypomina mi Kapsalisa. Pod względem fizycznym i, jak sądzę, również moralnym.

Przez chwilę myśłami był przy tamtym zdarzeniu, potem powiedział:

- Pewnie pana ucieszy wiadomość, że był tu pan Dysart, by się za panem

wstawić. Polityk jest zawsze cennym sprzymierzeńcem, nieprawdaż?

- Co powiedział?

- Tylko tyle, że mylimy się, podejrzewając pana o zamordowanie panny Mallender.

- Nadal mnie podejrzewacie?

- Powiedzmy, że inne możliwości nabrały większego znaczenia.

Bądź ostrożny, ostrzegł się Harry. To może być tylko sprytny sposób na podważenie twojej linii obrony.

- Jakie możliwości? - zapytał obojętnie.

- Jest ich kilka. Przede wszystkim całkiem niewinne wyjaśnienia. Panna Mallender mogła upaść, uderzyć się w głowę i doznać zaniku pamięci. Jednak na wyspie małej jak ta znaleziono by ją do tej pory. Mogła też oczywiście zginąć na miejscu albo wskutek doznanych obrażeń. Chociaż w tym wypadku odnaleźlibyśmy już ciało. Po drugie, możemy mieć do czynienia z przestępstwem. Mogła zostać zaatakowana i zamordowana przez szaleńca. Ktoś mógł próbować ją zgwałcić albo obrabować i zabić, a następnie ukryć zwłoki. Ale na szaleńca zwrócono by uwagę w wioskach i winnicach na wyspie. Sądzę, że możemy to wykluczyć. Oczywiście, pan również mógł ją zamordować; nadal nie zrezygnowałem z tej możliwości. Ale, szczerze mówiąc, panie Barnett, wątpię, by potrafił pan skutecznie ukryć ciało. Jeśli pana nie doceniłem, przy aresztowaniu będzie okazja do przeprosin. Panna Mallender mogła zostać zamordowana przez kogoś innego, z przyczyn, których nie znamy. Ale to wymagałoby przygotowań, a jak wiemy, wyprawa na Profitis Ilias nie została zaplanowana. Zresztą kto mógłby to zrobić? Ten sam problem pojawia się, jeśli założymy porwanie. Jedynym rozsądnym motywem w takim wypadku byłoby żądanie okupu. Ale rodzina panny Mallender, choć zamożna, nie jest dość bogata, żeby usprawiedliwiało to podobne żądania, a poza tym jak dotąd porywacz się nie zgłosił. To nas prowadzi do wniosku, że panna Mallender mogła sama ukartować swoje zniknięcie. Ponieważ niedawno przeszła leczenie psychiatryczne, można przyjąć, że odczuwała tak

wielkie rozczarowanie życiem, iż postanowiła od niego uciec. Oczywiście, to również wymagałoby wcześniejszych przygotowań, zaplanowania trasy ucieczki. Wyspę bardzo trudno opuścić niepostrzeżenie. Na miejscu panny Mallender jedynie w ostateczności wybrałbym w tym celu Rodos. Jeśli działała pod wpływem impulsu, bez planu, napotkałaby te same przeszkody. Nie zna tu nikogo, kto by jej udzielił schronienia. A jednak nie ma śladu, że dostała się na pokład samolotu albo na prom. Jeśli wynajęła rybaka, na przykład aby ją zawiózł na turecki brzeg, do tej pory już by się do nas zgłosił. I, jeśli taki był jej zamiar, po co umieszczalaby na pocztówce do matki owo niepokojące zdanie: „Nie wszystko dobrze się układało”?

Harry czekał, aż inspektor zacznie mówić dalej, ale ten milczał. A przecież musiało być coś jeszcze. Każdą możliwość, o której wspomniał do tej pory, wykluczył w przekonujący sposób.

- Więc co jeszcze zostało?

Miltiades westchnął.

- Wkraczamy teraz na niepewny grunt. Pan Mallender dał mi kilka zdjęć siostry. Proszę spojrzeć.

Z szuflady biurka wyjął fotografię i podał ją Harry'emu. Zdjęcie Heather, z całą pewnością, a jednak nie tej Heather, którą Harry znał. Na fotografii była młodsza, miała nieco krótsze włosy i odrobinę pełniejszą twarz. Uśmiechała się konwencjonalnie z pogodą i otwartością spokojnej, zrównoważonej, przeciętnej młodej kobiety.

- Poznaje ją pan? - spytał Miltiades.

- Tak, oczywiście. Tylko że...

- Coś się nie zgadza?

- To jest Heather, inspektorze. Z całą pewnością. Ale zdjęcie musiało zostać zrobione przed śmiercią jej siostry. Kiedy ją poznałem w zeszłym miesiącu nie przypominała dziewczyny na zdjęciu. Zmieniła się od tamtej pory.

- W jaki sposób?

- Pod każdym względem. Stała przed pierwszym w życiu wyzwaniem. Wstrząsnęło nią ono, ale też uczyniło ją dojrzałą. Stała się bardziej wrażliwa, ale i mniej pewna siebie. To jest zdjęcie dziewczyny, którą była, nie kobiety, jaką się stała.

Miltiades sięgnął przez stół po fotografię.

- Może to pana zdziwi, kiedy powiem, że każdego roku giną w Europie tysiące ludzi. Nie włóczęgów, rozumie pan, ale szanowanych, dobrze sytuowanych, szczęśliwych ludzi: mężów, żon, synów, córek, kochanków, przyjaciół. Pewnego dnia - pstryknął palcami - po prostu znikają. Dokąd się udają? Co się z nimi dzieje? Część umiera albo zostaje zamordowana, i nigdy nie zostają odnalezieni. Pewna liczba popełnia samobójstwo, i nigdy nie zostaje zidentyfikowana. Niektórzy uciekają i zaczynają nowe życie pod zmienionym nazwiskiem. Ale jak wielu? I jak wiele zaginięć nigdy nie zostaje wyjaśnionych?

- Nie wiem.

- Istnieje pewien procent takich przypadków, panie Barnett, niewielki ułamek uparcie nie dający się wyjaśnić. W jednej chwili są pośród nas, a w następnej już ich nie ma. Morderstwo bez trupa. Pani Kapsalis, jak sądzę, była jednym z takich przypadków. Może panna Mallender też do nich należy.

- Morderstwo bez trupa? Czy tak mówi policjant?

Miltiades uśmiechnął się.

- Z całą pewnością nie. Słusznie mi pan to wytknął. Poszukiwania rozpoczną się znowu, gdy tylko pogoda zezwoli. - Spojrzał na szybę, po której wciąż spływały krople deszczu. - Niestety, woda niszczy wszelkie dowody. - Pokręcił głową z dezaprobatą. - Nie mam wielkich nadziei.

Harry czekał, aż Miltiades spojrzy na niego, ale inspektor nadal stał tyłem, patrząc w okno. Podniósł lewą dłoń do ust i postukał o zęby sygnetem, który miał na palcu. Później, jak gdyby ta myśl właśnie przyszła mu do głowy, powiedział:

- Może pan iść, panie Barnett.

- Skończył pan ze mną?

Miltiades odwrócił się do niego z lekkim zdumieniem, jakby nie spodziewał się zobaczyć nikogo.

- Tak - odparł. - Na razie.

VII

Kiedy Harry opuszczał komendę policji zapadał już zmierzch, a deszcz zaczynał słabnąć. Czuł głęboką niechęć na myśl o powrocie do Lindos, do opuszczonej willi, w której czekały na niego tylko drobiazgi Heather. Zszedł w dół na przystań i ruszył wzdłuż wschodniego mola, aż dotarł do jego odległego końca. Zgodnie z jego oczekiwaniami było puste. Usiadł pod kolumną, na której szczycie przycupnęła figura gołębiczy strzegąca wejścia do zatoki, i zapatrzył się na ciemniejące morze i niebo, poddając się z przyjemnością wiatrowi szarpiącemu go za włosy i smagającemu po twarzy deszczowi.

Później, gdy ciemności ogarnęły wszystko, ruszył wolno z powrotem w stronę oświetlonych murów średniowiecznego Starego Miasta, zmarznięty i znużony w dostatecznym stopniu, by znieść towarzystwo ludzi. Minął Bramę Wolności i znalazł się koło Zajazdów Rycerzy, pozwalając, by cisza i pustka brukowanych ulic kołysały go żal nad samym sobą. W połowie Odos Ippoton usłyszał, jak ktoś gra na pianinie w pokoju na piętrze. Oczarowany pięknem muzyki stał pod oknem chyba ze dwadzieścia minut, słuchając, jak melodia wznosi się i opada na tle plusku i szelestu kropel ściekających z dachów i rynien. Nie był muzykalny, ale Heather grywała czasem na pianinie; słyszał muzykę dobiegającą z willi w swoim mieszkaniu przy bramie. Zdawało się niemożliwe, by nie wspominać jej na każdym kroku. W końcu przestał się temu opierać; było to mniej bolesne niż wysiłek zapominania.

Po jakimś czasie znalazł się w dzielnicy tureckiej, gdzie sklepy wciąż jeszcze były otwarte i królowała muzyka i blask. W zaułku odchodzącym od Odos So-

kratous ujrzał bar, wystarczająco zaniedbany i cichy, by odstraszyć angielskich turystów. Zainstalował się przy narożnym stoliku z butelką mavro i paczką papierosów i zdecydowanie zabrał do czynienia spustoszeń w jednym i drugim, pograżając się w mizantropijnym nastroju, który pozwalał mu na jakiś czas zapomnieć o własnych nieszczęściach.

Od jak dawna tam tkwił, kiedy to się wydarzyło, nie potrafił określić; stracił rachubę czasu. Sądził, że zaułek, w którym znajdował się bar, kończy się ślepo - widział bardzo niewielu przechodniów - i z jakiegoś powodu to przekonanie sprawiło, że całe zdarzenie wstrząsnęło nim jeszcze bardziej. Właśnie wylał resztkę wina z butelki do kieliszka i zastanawiał się nad zamówieniem następnej, kiedy jego wzrok przyciągnęła młoda kobieta idąca ulicą w stronę skrzyżowania, jak gdyby wyszła ze ślepego końca zaułka. Nie to go jednak zaskoczyło. Jego zdumienie miało całkiem inną przyczynę.

To była Heather, jak Bóg na niebie. Miała na sobie to samo ubranie co wtedy na Profitis Ilias, czarny żakiet i kraciastą spódnicę. Przechodząc, odgarnęła włosy - długie do ramion, płowe włosy - i równocześnie rzuciła mu spojrzenie tak przeszywające, iż nie miał najmniejszych wątpliwości, że to ona i że go rozpoznała. Ale nie zatrzymała się. Harry tkwił na krześle, zbyt zdumiony, by się poruszyć; przeszła obok, nie zwalniając kroku, i zniknęła mu z oczu za rogiem następnego budynku.

Uwolniony od chwilowego paraliżu Harry rzucił się do drzwi. I niewątpliwie udałoby mu się ją dogonić, gdyby właściciel baru, obserwujący go podejrzliwie, zręcznie mu nie przeszkodził. Harry stracił parę cennych sekund, przetrząsając kieszenie w poszukiwaniu dostatecznej ilości drachm, by go zadowolić. Gdy wreszcie znalazł się na zewnątrz ujrzał, jak dziewczyna skręca już w Odos Sokratous. Rozpacзлиwa obawa, że zgubi ją w tłumie kupujących, dodała mu sił. Nie miał nawet czasu się zastanowić, dlaczego nie zaczekała z własnej woli.

Dobiegł do rogu. Zauważył ją po przeciwnej stronie ulicy skręcającą w ko-

lejny zaułek. Boże, nie pozwól, żebym ją teraz zgubił, niemal wykrzyknął na głos. Rzucił się za nią - tylko po to, by wpaść na niskiego mężczyznę, grubego jak beczka, który obrzucił go stekiem wyzwisk. Dobiegł do skrzyżowania. Niespodziewanie znalazł się w mrocznym świecie, gdzie przewieszane ściany domów pochylały się nad ulicą pełną kupujących. Jakieś trzydzieści metrów dalej uliczka rozgałęziała się: dwie odnogi odchodziły w lewo, jedna w prawo, dalej sam zaułek skręcał ostro w prawo. Dlaczego tutaj? - myślał gorączkowo. Dlaczego na spotkanie z nim wybrała ten labirynt przejść i podwórek? Chyba że... Nie, to niemożliwe.

Każda odnoga wyglądała tak samo i każda była pusta. Wzrok Harry'ego nie napotykał nic oprócz światła odbitych w kałużach, nic prócz odległych sylwetek kotów przemykających wśród cieni wiekowych przypór.

Trzymał się głównej uliczki. Zakręcała ostro w prawo i lewo; w pewnej chwili znowu ujrzał Heather w połowie dłuższego prostego odcinka. Zawołał ją po imieniu - usłyszał własny głos wzmocniony echem odbitym od ścian. Po lekkim ruchu jej głowy poznał, że spojrzała za siebie i go zobaczyła. Ale się nie zatrzymała. Mimo że biegł za nią, wybijając stopami dziki werbel na bruku, nie stanęła. Szła przed siebie, zdawało się, nie przyspieszając kroku, a potem nagle zniknęła w zaułku po prawej stronie.

Dyszał ciężko, biegł ostatkiem sił, gdy gwałtownie skręcał w bok. Niemal spodziewał się kolejnego rozczarowania, kolejnego węzła ślepych ulic. Ale nie. Tym razem zaułek był prosty i lepiej oświetlony niż inne blaskiem padającym z okien umieszczonych wysoko na ścianach. I nie śpieszyła się. Właściwie niemal się zatrzymała; przechodziła wolno i niezdecydowanie od jednej plamy światła do drugiej.

- Heather!

Stanęła, ale się nie odwróciła. Zobaczył, że przygarbiła się na dźwięk imienia, jak gdyby w oczekiwaniu ciosu, ale nadal się nie odwracała. Podszedł do niej, opierając się pokusie, by podbiec albo chociaż się odezwać, nim zajrzy jej w

twarz. Kiedy wyciągał rękę, w jego umyśle formowały się pytania, które jej zada. Ale nie dotknął jej. W ostatniej chwili obróciła się w jasnym blasku padającym od nie zasłoniętego okna. Ręka Harry'ego opadła.

To nie była Heather. Miała inną twarz, o ostrzejszych rysach, starszą, z wyraźnym makijażem. Podobnej budowy i wzrostu, ale tak różna od Heather w każdym geście i rysie twarzy, że sam fakt, iż mógł się pomylić, wydawał się absurdalny, wręcz groteskowy.

Przez chwilę patrzyli na siebie zaskoczeni, potem kobieta odezwała się, i - jakby dla ukoronowania jego pomyłki - zrobiła to po grecku:

- *Ti thelete?*

Harry stał jak wrośnięty w ziemię. Nie wiedział, co powinien zrobić bądź powiedzieć, czy ma przeprosić, że ją zaczepił, czy też oskarżyć o to, że go zwiodła. Nieczęsto można spotkać Greczynkę o płowych włosach. To, wraz z ubraniem, które miała na sobie, wydawało się sugerować świadome oszustwo.

- *Then sas ksero!* - Ton jej głosu, gdy twierdziła, że go nie zna, sugerował narastające rozdrażnienie i niepokój. Jeśli istotnie nic nie wiedziała trudno ją było za to winić.

- *Lipame* - przeprosił niezręcznie. - *Ena lathos.* - Pomyłka? Tak, z całą pewnością. Tylko czyja? Nie mógł uwierzyć, by ten żywy sobowtór Heather stanowił jedynie wybryk natury, ale nie potrafił się też zmusić, by to sprawdzać.

- *Pu enai Heather!* - zapytała, marszcząc brwi. Kto to jest Heather? Harry nie potrafił już odpowiedzieć na to pytanie szczerze i z przekonaniem.

- *Then pirazi.*

Harry pokręcił głową. Nie mógł znieść tej rozmowy ani chwili dłużej. Przebranie czy niezwykły przypadek, nie robiło mu to różnicy: była zarazem zbyt podobna i zbyt niepodobna do Heather, by mógł zachować spokój ducha. Współczucie, jakie zabrzmiało w jej ostatnich słowach, wstrząsnęło nim, sam nie wiedział czemu. Mruczając po raz ostatni przeprosiny: - *Signomi* - odwrócił się i ruszył pośpiesznie ulicą.

Skierował się w stronę Odos Sokratous, próbując bezskutecznie wymazać zdarzenie z pamięci. To wszystko tylko jego pobożne życzenia, myślał, szalone nadzieje budowane na przypadkowym podobieństwie. Może nawet wcale na niego nie spojrziała, przechodząc obok baru. Tak czy inaczej łyk czegoś mocniejszego w przyjemnym otoczeniu pomoże mu dojść do siebie. Wszedł do pierwszego napotkanego baru, hałaśliwej zadymionej spelunki o niskim suficie, i zamówił brandy.

Na dźwięk jego głosu jakaś postać, stojąca dotychczas przy barze, obróciła się gwałtownie. Był to Roy Mallender, a wyraz jego zaczerwienionej wykrzywionej twarzy powiedział Harry'emu, że właśnie popełnił drugi błąd tego wieczoru.

- Barnett!

Głos mężczyzny brzmiał ochryple od alkoholu i złości.

- Nie chcę kłopotów, Roy. Byłeś tu pierwszy. Już sobie idę, dobrze?

- Nie, niedobrze. Chcę z tobą pogadać.

- Może kiedy indziej.

Harry ruszył do drzwi, ale Roy zastąpił mu drogę i chwycił go za ramię.

- Jeśli policja nie potrafi wydobyć z ciebie prawdy, to może mnie się uda - warknął. - Dlaczego, do cholery, miałbyś zostać na wolności, kiedy moja siostra leży gdzieś nieżywa?

- Skąd wiesz, że nie żyje?

- Masz rację, ty to wiesz. Ty wiesz, bo to ty ją zamordowałeś.

- Dlaczego właściwie sądzisz, że to zrobiłem?

- Nie ma potrzeby tego wyjaśniać. Obaj wiemy, co z ciebie za typ.

Nie chodziło o Heather. Harry instynktownie uświadamiał sobie, co tkwiło między nimi od zawsze: zwierzęca odraza, którą czasem jedna istota ludzka odczuwa do drugiej bez żadnej przyczyny, choćby najbardziej usprawiedliwionej. W przeszłości Roy stwarzał liczne preteksty, by wyładować swą nienawiść na Harrym; teraz, kiedy okazja sama wpadła mu w ręce, nie miał zamiaru z niej rezygnować.

- Pozwól mi przejść - powiedział Harry, starając się pohamować własne instynkty i usłuchać głosu rozsądku.

- No, spróbuj. - Twarz Roya wykrzywiła się w tryumfalnym, pożądlwym uśmiechu; alkohol odarł jego zachowanie z wszelkich pozorów. - Jeśli ci się zdaje, że potrafisz.

Harry miał jedynie zamiar uwolnić się od niego. Jednak szarpnął ręką tak gwałtownie, że Roy stracił równowagę i zatoczył się w tył na stół otoczony przez grających w tryktraka. Plansza, kostki, żetony, popielniczki i kieliszki poleciały na wszystkie strony, gdy wpadł na dwóch przeklinających graczy. Harry nie czekał, aż Roy się pozbiera, wybiegł prosto na ulicę.

Na zewnątrz było chłodno, wilgotno i panowała litościwa cisza.. Podniesione głosy i muzyka buzuki z kaset zostały w tyle, przed nim rozciągała się tylko czarna, wszechogarniająca anonimowość Starego Miasta, w której mógł jeszcze próbować się zagubić. Dlaczego nie przyśpieszył, nie potrafiłby wyjaśnić, choć Roy Mallender nie należał do ludzi, który zostawiają obrazę nie pomszczoną, nie mówiąc już o rodzinnych wendetach. Tak czy inaczej, Harry zwyczajnie przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył na zachód, nie czując najmniejszej potrzeby pośpiechu. Doszedł do otoczonego parkanem meczetu, którego wysmukłą sylwetkę ledwie mógł dostrzec w ciemnościach, i właśnie miał zejść po schodach biegnących wzdłuż ogrodzenia przy ślepej ścianie pobliskiego domu, kiedy Roy go dogonił. Zważywszy na okoliczności, Harry nie powinien być zdziwiony. A jednak, z jakiegoś powodu, był.

- Barnett, ty draniu! - krzyknął Roy, chwytając go za ramię i obracając do siebie. - Nie ujdzie ci to na sucho!

- Co mi nie ujdzie?

- To, co się naprawdę stało tam, na górze.

- Nic się nie stało.

- Nie myślisz chyba, że ci uwierzę.

- Nie. Prawdę mówiąc, nie.

- Co jej zrobiłeś? Równie dobrze możesz mi to powiedzieć teraz, zanim wytłukę z ciebie tę historię.

Harry nareszcie to sobie uświadomił, pochwyił to i starał się zatrzymać w umyśle. To, co zauważył u Roya na Profitis Ilias i czego aż do tej pory nie potrafił zidentyfikować, to był strach. Strach, który emanował z niego jak odór, kierował wszystkimi jego działaniami i nadawał fałszywy ton każdemu słowu. Prawda, której głośno się domagał, była niczym innym jak kłamstwem, do którego wyznania chciał zmusić Harry'ego, kłamstwem, pod którym miał zamiar ukryć inną prawdę.

- No więc? Co powiesz na swoją obronę?

Harry uśmiechnął się.

- Miała powód do ucieczki, prawda? - odpowiedział. - Chciała uciec od cie...

Roy uderzył Harry'ego w brzuch, nim ten skończył. Żebra nadal go bolały po wypadku, i cios zgiął go w pół, rozpaczliwie chwyającego oddech. Prostując się, zobaczył przez załzawione oczy, że jego przeciwnik czeka z pięściami gotowymi do kolejnego uderzenia, z zębami zaciśniętymi z gniewu i koncentracji. Błysnęła mu absurdalna myśl: czy ktoś nie wspominał, że Roy Mallender boksował się kiedyś w Millfield? Mgnienie później cios prosto w szczękę posłał go w dół po stopniach. Częściowo sam sprowokował to, co go spotkało, powiedziała mu jakaś część jego umysłu, gdzie ból nie docierał. Twarda, tępa metalowa powierzchnia uderzyła go w tył głowy. Ból uderzenia i nieświadomość zlały się w jedno.

VIII

Nadchodziły chwile, kiedy sen spotykał się z czuwaniem. Podczas jednego z takich nieokreślonych interludiów zdawało mu się, że widzi pochylającego się nad sobą Alana Dysarta. Dysart dotykał ręką jego ramienia z twarzą ściągniętą niepokojem, a jego usta poruszały się, jakby coś mówił - chociaż Harry nie rozumiał co. Wszystko poza tym było niewyraźne, choć w dziwnie krzepiący

sposób. Nakrochmalone białe prześcieradła i dźwięki wyrwane z kontekstu powiedziały mu, gdzie się znajduje, zanim jeszcze był zdolny zebrać myśli.

Harry nie leżał w szpitalu od czasu, gdy w 1946 usuwano mu wyrostek. Nienawidził każdej minuty, którą tam spędził, i postanowił unikać podobnych doświadczeń za wszelką cenę. Tym dziwniejsze wydało mu się, gdy sobie uświadomił, jak dobrze czuje się teraz w nowym otoczeniu; może był to znak zbliżającej się starości. Oczywiście w zubożałym po wojnie Swindon nie dano mu osobnego pokoju ani nie przydzielono uderzająco pięknej greckiej pielęgniarki; poziom opieki medycznej w Rodos znacznie przekraczał jego wyobrażenia na ten temat.

Wkrótce po tym, jak przyszedł do siebie, odwiedził go lekarz. Poinformował, że ubiegłej nocy znaleziono go nieprzytomnego u stóp schodów na Starym Mieście z poważną raną głowy; opatrunek stanowił potwierdzenie tego faktu. Ma otartą szczękę i złamane dwa żebra - stąd ciasny bandaż na piersi. Prześwietlenie na szczęście nie wykazało urazów czaszki, ale ran głowy nigdy nie należy lekceważyć, szczególnie u kogoś w jego wieku (ten fragment dotknął go wyjątkowo boleśnie). Doktor zalecił pozostanie w łóżku pod obserwacją przez kilka dni. Harry zaprotestował, twierdząc, iż czuje się dobrze i właściwie mógłby już opuścić szpital, ale lekarz wyjaśnił mu, że to tylko złudzenie wywołane działaniem leków przeciwbólowych. Wtedy przyznał, co go naprawdę niepokoi: nie może sobie pozwolić na dłuższy pobyt ze względów finansowych. Okazało się, że wszelkie koszty wziął na siebie pan Alan Dysart; bardzo się przy tym upierał. Harry'emu odmówiono nawet możliwości zaprotestowania przeciw takiej hojności, bo pan Dysart rano odleciał do Anglii. Doktor zakończył kazaniem na temat szkodliwości nadużywania alkoholu, co najwyraźniej uważał za przyczynę obrażeń. Harry zniósł niesprawiedliwość w milczeniu.

Jakąś godzinę później pielęgniarka zbudziła go z drzemki. Wyjaśniła, że inspektor Miltiades czeka, by się z nim zobaczyć, dając równocześnie do zrozumienia, że wizytę można przełożyć, jeśli chory będzie sobie tego życzył. Harry

nie odmówił widzenia. Miał zamiar wykorzystać każdą sposobność, by odpłacić Royowi Mallenderowi.

Zdawało się, że Miltiades czuje się trochę niepewnie. W jego zachowaniu było coś przeprosającego, zdradzał niemal oznaki zawstydzenia. W drzwiach wymienił szeptem parę uwag z siostrą, potem zbliżył się i usiadł przy łóżku, niezgrabnie obracając w rękach czapkę.

- Dobre nowiny, inspektorze - powiedział Harry. Spróbował uśmiechnąć się ironicznie, szybko się jednak przekonał, że opatrunek na głowie nieco w tym przeszkadza. - Prosty, jasny przypadek. - Jaki przypadek?

- Napad i pobicie.

- Chce pan wnieść oskarżenie?

- Oczywiście.

- Więc może wysłucha pan dwóch rzeczy, zanim pan to zrobi. Po pierwsze, najczęstszym skutkiem wstrząsu jest niezdolność dokładnego przypomnienia sobie wydarzeń, które bezpośrednio go poprzedziły.

- Pamiętam wszystko doskonale.

- Po drugie, pan Roy Mallender dziś rano opuścił Rodos na dobre.

- Co?

- Nie ma go tu, panie Barnett. I nie zamierza wrócić. Więc oskarżanie go o cokolwiek jest stratą czasu.

W pierwszej chwili Harry chciał uderzyć w materac, ale powstrzymał go nagły ból w piersi. Popatrzył na Miltiadesa z gniewem.

- Dlaczego, do dia... - zaczął. Potem przyszło mu do głowy coś innego. - Chwileczkę. Skąd pan wiedział, że zechcę oskarżyć Mallendera?

Miltiades uśmiechnął się.

- Chyba jestem panu winien przeprosiny. Nie za to, że pozwoliłem panu Mallenderowi opuścić Rodos, ale za oszustwo, którego dopuściłem się wczoraj wieczorem.

- Oszustwo?

- Kobieta, podobna do panny Mallender, to jedna z moich współpracownic. Miała blond perukę i była ubrana zgodnie z opisem, który nam pan podał.

Harry sapnął cicho ze zdumienia i złości. Więc o to chodziło. Ani zjawą, ani sobowtór; po prostu policjantka w przebraniu.

- Jak pana ostrzegałem, nie wykluczyłem możliwości, że to pan zamordował pannę Mallender. Zbrodniarz zdradziłby się, widząc ducha ofiary, natomiast...

- Jeśli mówiłem prawdę, dałbym się nabrać.

- No właśnie. A pan dał się nabrać, Barnett. Nie podejrzewam pa-na więcej o morderstwo. Nie cieszy się pan?

- Śledziliście mnie wczoraj po wyjściu z komendy?

- Tak. Całą drogę. Aż uznaliśmy, że nadeszła właściwa chwila.

I potem także. Niestety, nie na tyle blisko, by zapobiec pańskiej bójce z Mallenderem, ale przynajmniej nie zostawiliśmy pana leżącego tam, gdzie pan upadł.

- Wielkie dzięki.

- Oczywiście będzie się pan zastanawiał, czemu pozwoliłem Mallenderowi uciec, kiedy jeden z moich własnych oficerów był świadkiem jego ataku na pana.

- Pan mnie zdumiewa.

- Odpowiedź brzmi: nie pozwoliłem. Na górze zdecydowano, że Mallendera należy wypuścić. Oskarżenie uczyniłoby go przedmiotem powszechnej sympatii, szczególnie w Anglii, gdzie mogłoby to również wywołać nastroje antygreckie. Mallender sądzi, że nadal jest pan podejrzewany o zamordowanie jego siostry. To, co zrobił, mogłoby zostać odebrane jako czyn zatroskanego brata. O ile się orientuję, pan Dysart poczynił pewne dyplomatyczne kroki w imieniu Mallendera. Odlecieli razem dzisiaj rano.

Harry nic nie odpowiedział. Oczywiście, powinien był to przewidzieć. Powinien był to wyczytać na twarzy, którą zapamiętał unoszącą się obok łóżka. Zachowanie typowe dla Dysarta. Doskonale odzwierciedlało jego instynkt polityka dążącego do kompromisu. Opłacić rachunek za szpital Harry'ego. Eskorto-

wać Roya do Anglii. I wywrzeć nacisk na odpowiednich urzędników. Jak starszy uczeń rozstrzygający spór dwóch maluchów. Na swój sposób stanowiło to jedyne słuszne rozwiązanie, ale gdyby nie Dysart, spór nie miałby w ogóle miejsca. I, skoro już o tym mowa, gdyby nie Dysart, Harry nie wiedziałby nawet o istnieniu rodziny Mallenderów.

Zbliżało się południe, spokojna pora obiadowa w Glue Pot Inn, dziesięć dni przed świętami siedemdziesiątego drugiego. Harry właśnie nalewał sobie ukradkiem podwójną szkocką. Odwrócił się od baru i stanął twarzą w twarz z Alanem Dysartem uśmiechającym się doń z drugiej strony kontuaru. W cywilnym ubraniu wyglądał dostatnio i absurdalnie porządnie.

- Na Boga! Alan! Co ty tutaj robisz?
- Szukam starego przyjaciela. Mogę ci postawić tego drinka?
- Tego? - Harry uśmiechnął się zmieszany. - No, dobrze. Dzięki.

Nalał też Dysartowi i zaproponował, by przenieśli się do stołu. Jedyne klient od godziny drzemał nad resztką ciemnego piwa; nie wymagał obsługi.

- Poszedłem najpierw do warsztatu - powiedział Dysart, upiwszy łyk szkockiej.

Harry poczuł, jak się czerwieni z zawstydzenia. Nie był w stanie wyjaśnić tego, co go spotkało, ani się z tego wytłumaczyć.

- Powiedzieli mi, że w sierpniu zlikwidowaliście zakład.
- To prawda. - Żałosny uśmiech.
- Z tego, co mówili, wynikało że... że to było bankructwo.

Harry westchnął głęboko.

- Tak.
- Wymuszone?

Znużone skinieniem głową.

- Całkowite jest lepszym określeniem. Barry to przewidział. Parę tygodni wcześniej zwał do Hiszpanii, zabierając całą gotówkę, którą udało mu się ścią-

gnąć, i zostawił mnie z długami.

- Dobry Boże!
- Jackie uciekła razem z nim.
- Można się było spodziewać.
- Tak. Miałaś co do niej rację.
- Co teraz robisz?
- Jakoś sobie radzę. Do świąt mam pracę tutaj.
- A potem?
- Nie wiem. Na pewno coś się trafi.

Ten optymizm musiał zabrzmieć w uszach Dysarta równie fałszywie, jak w uszach samego Harry'ego. Prawdę mówiąc, Harry nie przewidywał, by trafiło mu się cokolwiek. Nie spodziewał się, że Dysart zada sobie trud i go odszuka. Ostatecznie Harry nie wyświadczył mu szczególnej przysługi, przyjmując do pracy w Barnchase Motors podczas wakacji. Teraz, gdy Dysart stał się obiecującym młodym oficerem marynarki, nie było powodu, by interesował się losem swego dawnego pracodawcy. Przy drugiej kolejce okazało się jednak, że tak właśnie jest.

- Myślałeś kiedyś, żeby wyjechać ze Swindon, Harry?
- Często. Tylko dokąd miałbym jechać?

- No, cóż. Szyper pierwszego statku, na którym służyłem, i przypadkiem mój dobry znajomy przeszedł na emeryturę trzy miesiące temu. Założył niewielką firmę elektroniczną w Weymouth. Ściśle rzecz biorąc, ulokowałem w niej pewien kapitał. Chodzi o to, że potrzebuje kilku osób na stanowiska menedżerskie. Mógłbym mu o tobie wspomnieć.

- Naprawdę byś to zrobił?
- Z przyjemnością.
- Ale niewypłacalny bankrut...

- Pracowałem u ciebie, nie pamiętasz? Nie robię tego jedynie ze względu na dawne czasy. Tak się składa, że uważam cię za właściwą osobę dla Mallender Marine.

W dniach przymusowego bezruchu i abstynencji spędzonych w szpitalu Harry zobaczył swoje życie jaśniej niż kiedykolwiek w przeszłości. Tu, gdzie wszystkie jego potrzeby były zaspokajane, a wszystkie rozrywki zabronione, ujrzał swoje pięćdziesiąt trzy lata jako kontinuum, w którym złudne nadzieje z przeszłości rysowały się równie wyraźnie, jak łatwe do przewidzenia rozczarowania teraźniejszości. Musiał przyznać, że jego życie nie jest piękną bajką ani historią wspaniałych osiągnięć kolejno następujących po sobie. Widziane obiektywnie przypominało raczej smętną procesję przygnębiających niepowodzeń. A jednak, mimo wszystko, należało do niego.

W opinii wychowawcy z Commonweal, „brak uporów w dążeniu do celu i wiary w siebie niweczyły nadzieje na karierę akademicką” Harry'ego; to zdanie ze świadectwa końcowego zachował w pamięci równie dobrze, jak pełną dezaprobaty twarz nauczyciela. Stryj Len ujął to w sposób mniej dosadny, za to może bardziej celny. „Traktuj życie jak żart, chłopcze, a ono tak samo potraktuje ciebie”. Zdaniem stryja Lena, brak ojca źle wpłynął na charakter Harry'ego. Przez pewien czas stryj aspirował nawet do tej roli, zanim życie usunęło go ze sceny tak nagle i w tak groteskowych okolicznościach, jakby chciało dać coś w ten sposób do zrozumienia. Dziwne, że obaj bracia Barnettowie zginęli w wypadkach. Ojca Harry'ego, Stana, przygniotło koło w zakładzie budowy lokomotyw; na stryja Lena wpadł na Prospect Hill rozpedzony rower chłopca od rzeźnika. Może to dlatego Harry nigdy nie brał życia tak poważnie, jak - zdaniem innych - powinien.

Prosto ze szkoły, w wieku lat piętnastu, przeszedł do pracy w otępiającym kieracie Swindon Borough Council. Matka uważała stałą pracę urzędnika w zarządzie miejskim za zdecydowanie bardziej pociągającą od wszelkich dziwacznych pomysłów Harry'ego. Pozostał tam - nie licząc dwuletniej przerwy na służbę wojskową - przez piętnaście nudnych, monotonicznych, biednych lat: zawsze potem twierdził, że był to doskonały trening w stawaniu się znużonym życiem, zgorzkniałym i zrzędnym starcem przed właściwym czasem. Ale gdyby nie Barry Chi-

pchase, obrotny kumpel z wojska, dzisiaj, po dwudziestu trzech latach, prawdopodobnie nadal by tam pracował. Propozycja Barry'ego, by razem otworzyć warsztat samochodowy, stanowiła nieodpartą pokusę ucieczki od pracy biurowej. W ten sposób, ze szczęśliwego połączenia nazwisk ich obu, zrodziły się Barnchase Motors. Na dłuższą metę okazało się to zarówno najlepszą, jak i najgorszą decyzją w życiu Harry'ego. Najlepszą, bo dzięki niej poznał Alana Dysarta; najgorszą, bo utopił w firmie wszystkie pieniądze co do grosza.

Dysart pracował w Barnchase w wakacje przez sześć kolejnych lat, początkowo przy obsłudze myjni, potem przy różnych pracach administracyjnych. Najpierw szukał pracy w Swindon, żeby być blisko dziewczyny mieszkającej w Wootton Bassett. Potem pokonywał czterdziestopięciokilometrową trasę z Oxfordu, dlatego że szczerze się przywiązał do firmy. Patrząc wstecz, Harry widział, jak wiele sugestii Dysarta w sprawach handlowych okazało się korzystnych. To dlatego Harry przypisywał sobie za nie zasługi. Może gdyby Dysart nadal pracował, warsztat by nie zbankrutował.

Ostatnie, co Harry słyszał o Barrym Chipchase i jego karygodnie rozrzutnej żonie, którą uczynił współniczką firmy, to to, że zajął się wynajmem samochodów w Alicante. Życzył obojgu jak najgorzej: za ich sprawą był zmuszony oddać wierzycielom Barnchase nawet własny dom. Mieszkał teraz wraz z matką w malutkim domku dla robotników kolei, gdzie się urodził, i przez mgłę alkoholu kontemplował daremność własnych wysiłków. Nie mógł sobie pozwolić na okazywanie skrupułów, gdy Dysart zaproponował, że go zarekomenduje do Mallender Marine.

Z początku, musiał przyznać, wszystko układało się dobrze. Kontakty Charliego Mallendera w Admiralicji i Marynarce Wojennej w połączeniu z bliskością Bazy Marynarki w Portland zapewniały stały popyt na produkty firmy; Harry skoncentrował się na rynku gadżetów dla właścicieli prywatnych jachtów - w zasadzie niewiele się różniącym od rynku samochodowego. Przeniósł się do Weymouth, znalazł sobie mieszkanie i zaczynał wierzyć, że złe dni minęły na

zawsze. Myśl, iż może być inaczej, zaświtała mu po raz pierwszy wkrótce po tym, gdy w firmie zaczął pracować Roy Mallender, jesienią tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego. Krążyły plotki, że Roy zamierzał iść w ślady ojca i wstąpić do marynarki, ale mu się to nie udało. Jakkolwiek było w rzeczywistości, Roy wyraźnie bolał nad tym, że jego władza nad innymi jest mniejsza, niż - jego zdaniem - być powinna. Już tylko z tego powodu fakt, iż Harry odmówił odgrywania roli płaszczącego się podwładnego, wystarczyłby, żeby go naznaczyć, nawet gdyby obaj mężczyźni nie czuli do siebie osobistej antypatii. Tak jak nie spostrzegł na czas nieuczciwości Barry'ego Chipchase'a, tak samo nie zdawał sobie sprawy, do czego Roy Mallender jest gotów się posunąć, by się go pozbyć, póki pułapka nie zatrzasnęła się wokół niego. Wyrzucając go z pracy, Charlie Mallender powiedział, że Harry powinien mu być wdzięczny, iż nie oskarżono go o defraudację; nie zdawał sobie sprawy, że defraudantem jest w rzeczywistości jego własny syn.

Raz jeszcze Alan Dysart zjawił się na ratunek. Niecały rok wcześniej został właścicielem Villa ton Navarkhon i szukał pilnie kogoś odpowiedzialnego, kto przeniósłby się do Lindos i zaopiekował się nią. Bezpłatne mieszkanie w zamian za nieskomplikowane obowiązki dozorczy odpowiadały Harry'emu doskonale. Był bezrobotny i bez szans na zatrudnienie w Weymouth, a ciężka zima na przełomie siedemdziesiątego ósmego i dziewiątego nadwerżyła zarówno jego finanse, jak i wiarę we własne siły. Rodos wydała mu się ziemią obiecaną: łagodny klimat, tanio, żadnych wymagań i daleko od wszelkich kłopotów.

I pod wieloma względami taka właśnie się okazała. Opieka nad willą stanowiła, naturalnie, synekurę: pani Ioanides sprzątała, a jej mąż malował, dokonywał drobnych napraw i zajmował się ogrodem. Harry miał jedynie być na miejscu; znajoma twarz, by powitać Dysarta i jego gości. W sezonie jako barman i przewodnik mógł zarobić dość, by się utrzymać przez zimę. Skwapliwie przejął greckie nastawienie do życia: po co robić na wczoraj to, co można odłożyć do jutra? *Perasmēna, ksehasmēna*: co minęło, o tym należy zapomnieć. W Lindos

Harry był po prostu grubym Anglikiem snującym się po mieście w spłowiałym flanelowym stroju do krykieta, koszuli i kapeluszu od słońca, podglądającym dziewczyny opalające się topless i pijącym trochę za dużo; komiczną postacią, źródłem kpinek. To, kim był w Anglii, nie odgrywało żadnej roli; tu miał czyste konto i nieskalaną reputację. Prosta, wręcz prymitywna egzystencja w Lindos zaspokajała wszelkie jego potrzeby. Tutaj był jego dom z dala od kraju, jego bezpieczna przystań; to miejsce stanowiło dowód, że pogodził się z klęską, tu otrzymał całkowite rozgrzeszenie. Krótko mówiąc, okazało się idealne pod każdym względem. Póki nie zjawiała się Heather.

Trzeciego dnia pozwolono Harry'emu wstać z łóżka na parę godzin. To dało mu sposobność, na którą czekał. Uznał, że Jonathana Mintera mogą zainteresować okoliczności nagłego wyjazdu Roya Mallendera z Rodos; poza tym dziennikarz wspominał coś o zapłacie. Skierował się więc ostrożnie do automatu na korytarzu i wykręcił numer, który podał mu Minter.

- Hotel Astir Palace.
- Chciałbym rozmawiać z jednym z gości: z panem Jonathanem Minterem.
- Chwileczkę. - A potem: - Pan Minter już się wyprowadził, proszę pana.
- Wyprowadził?
- Tak, wczoraj.
- Powiedział, dokąd się udaje?
- Zdaje się, że z powrotem do Anglii.

Więc Minter wyjechał. Jak Dysart. I Roy Mallender. I Heather. Wszyscy odjechali. Wszyscy go opuścili, uświadomił sobie nagle; zostawili na pastwę anonimowości, której więcej nie pragnął. Zostawili go, by pogrążył się na powrót w letargu wygnańca. Ale on nie potrafił już zamknąć oczu.

Dopiero w następny poniedziałek pozwolono mu opuścić szpital. Kostas przyjechał po niego swoją rozklekotaną ciężarówką i, gdy wyjeżdżali z Rodos,

wcisnął mu do ręki poranną gazetę, by miał co czytać w drodze do Lindos. Nagłówek Η ΕΞΑΦΑΝΙΣΗ ΤΟΥ ΧΕΔΕΡ ΜΑΛΛΕΝΤΕΡ - Zniknięcie Heather Mallender - nadal znajdował się na pierwszej stronie, ale złożony mniejszą czcionką, w rogu, walczy o lepsze z zaproszeniem na dyskotekę. Najgorsza wiadomość była za warta w podtytule: Η ΑΣΤΥΝΟΜΙΑ ΕΓΚΑΤΑΛΕΙΠΕΙ ΤΙΝ ΑΝΑΖΗΤΗΣΗ: Policja zaprzestała poszukiwań.

IX

Otwierając bramę pani Ioanides, Harry miał nadzieję, że widzi ją po raz ostatni tego dnia; kobieta, wychodząc, otworzy sobie bez problemu. A jednak po godzinie wróciła, stukając kijem od szczotki w drzwi jego mieszkania i domagając się poleceń w sprawach domowych. Czy ma posprzątać pokój panny Mallender i czy ma pozbierać rzeczy panny Mallender?

Aż do tej chwili Harry nie myślał o drobiazgach Heather. Podejrzewał, że nadal znajdują się w niewielkiej sypialni wychodzącej na południe - którą wołała od dwóch innych, większych - rozrzucone przez policję. Zgodnie z prawem należały do rodziny Mallenderów. Nie chciał, by pani Ioanides ruszała je, więc oświadczył, że sam zajmie się wszystkim. Naturalnie pani Ioanides zrozumiała to opacznie w świetle wcześniejszych narzekań na ból głowy i żeber, i oskarżyła go, że jest *enas psevthomartiras* - symulantem. Harry na szczęście nie wiedział, co to słowo znaczy, i nie pytał. Udało mu się zatrzymać gospodynię na dole, w holu willi; wszedł na górę sam.

Gdy tylko znalazł się w pokoju, uświadomił sobie, dlaczego nie chciał jej tu wpuścić. Podłogę z desek pokrywały plecione maty, bielone ściany były puste, nie licząc jedyne go talerza z Lindos. Surowe funkcjonalne meble: mosiężne łóżko, obok szafka, większa szafa na ubrania, toaletka, proste krzesło. Tylko jedna lampa, a na szafce przy łóżku świeczka w lichtarzu. Za oknem majaczyły nagie zbocza opadające w dół od akropolu i trójkątny spłachetek intensywnie

błękitnego morza. To właśnie tutaj Heather zasypiała i budziła się każdego dnia spędzonego w Lindos. Tu właśnie zdawała się wciąż obecna; tu najtrudniej było znieść jej brak.

Harry podszedł i otworzył drzwi szafy. Jej ubrania, zawieszane równo na drążku. Tę spódnicę miała na sobie, kiedy spotkał ją po raz Pierwszy na akropolu, tę sukienkę nosiła, gdy jedyny raz jadła u niego kolację; przygotował musakę, bo tylko to potrafił ugotować - udawała, że jej smakuje. Na dnie szafy znalazł plecak, do którego, stwierdził, będzie musiał spakować jej rzeczy. Może w konsulacie uda się załatwić ich wysłanie. Myśl, by się do tego zabrać, wzbudziła w nim gwałtowny sprzeciw. Zamknął drzwi i oparł o nie czoło, czekając, aż minie nagłe absurdatne pragnienie, by zapłakać, potem odwrócił się.

Na toaletce stały w szyku typowe kobiece przybory: szczotka do włosów, lusterko, pudry, toniki, kremy, szampon, perfumy, tusz do rzęs, błyszczak do ust - wszystkie równie przesycone wspomnieniami o Heather, jak ubrania, które nosiła. Na szczotce zostały jeszcze płowe włosy. A kiedy Harry w zamyśleniu otworzył pudełeczko z błyszczakiem, znalazł odcisk palca utrwalony na woskowej powierzchni.

Przeszedł do szafki przy łóżku, na której obok lichtarza stał otwarty podróżny budzik. Spojrzał na cyferblat; niemal z ulgą przekonał się, że zegarek stanął. Potem zauważył, że coś wystaje spod poduszki. Odsunął ją, by zobaczyć, co to takiego; ogarnęła go nagła fala żalu. Koszula nocna Heather, obszyta koronką, we wzór z drobnych niezapominajek. Opadł na łóżko i zakrył twarz dłońmi. Nie zniesie tego. To zbyt okropne, wywołuje zbyt wiele wspomnień. Lepiej zostawi wszystko pani Ioanides, lepiej zamknie ten pokój na klucz i nie wejdzie tu nigdy więcej.

Odślonił twarz. Nic się nie zmieniło. Za oknem promienie słońca nadal padały obojętnie na krajobraz pokryty niskimi zaroślami. Na dole odkurzacz pani Ioanides krztusił się i jęczał. Machinalnie, bezmyślnie Harry wyciągnął rękę i otworzył szufladę szafki. Zobaczył pudełko zapalek, rozmówki greckie, paczkę

chusteczek i książkę, zniszczoną od wielokrotnego przeglądania: „Psychopatologia życia codziennego” Freuda. Wyjął ją, zważył w ręce i zapatrzył się na okładkę, starając się powściągnąć wrażenie oderwania od własnych działań, opierając się z całej mocy upartemu przekonaniu, że to, co robi, musi mieć jakieś - przeoczone przez wszystkich - znaczenie. Książka otwarła mu się na dłoni w zaznaczonym miejscu; kawałek papieru, służący za zakładkę, sfrunął na podłogę.

Harry przysunął książkę do oczu. Fragment, na który patrzył, Heather musiała czytać niedługo przed swoim zniknięciem na Profitis Ilias, może nawet poprzedniego wieczora. Nie był to koniec rozdziału, ale fragment dłuższego wywodu, zawierający szczegółową analizę, Harry wiedział o teorii Freuda tyle, co przeciętny sceptyk, który nigdy nie czytał nic na ten temat, i nie zamierzał się do tego zabierać. Błądził wzrokiem po akapitach, skupiając się na poszczególnych stwierdzeniach bez wnikania w kontekst. „Wszyscy znamy (niezwykle zbiegi okoliczności), gdy spotykamy osobę, o której właśnie myśleliśmy”. „Spotkanie w szczególnym miejscu, oczekiwane z wyprzedzeniem, nabiera charakteru rendez-vous”. Zdania nic nie mówiły Harry'emu, ale nie chciał rezygnować, w nadziei, że mogą stanowić klucz do stanu psychicznego Heather. Przejrzy książkę później, kiedy zbierze siły: wydawało się oczywiste, że tak właśnie powinien zrobić. Schylił się, by podnieść skrawek papieru i zaznaczyć właściwe miejsce.

Patrzył na zapisany kwit, na którym przybito pieczętkę z nazwiskiem, adresem i datą. Δ. Ψαμβικης, Φωτοραφος, Πλατ. Κυπρου, Ροδος, 7/11/88: D. Psambikis, Fotograf, Platia Kiprou, Rodos, 7 listopada 1988. Nagle w jego pamięci coś zaskoczyło, pojawiło się wspomnienie. Nie zapłacony rachunek od fotografa datowany na cztery dni przed zniknięciem Heather. To był poniedziałek. Pojechała do Rodos autobusem o dziesiątej trzydzieści; pamiętał, jak pytała, czy on niczego nie potrzebuje. Poprzedni dzień, niedziela, był upalny, słoneczny i senny. Ugotowała mu obiad. Zjedli w ogrodzie. Zrobiła mu zdjęcie. A on jej. „Żeby skończyć film - powiedziała. - Jutro zawiozę go do wywołania. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć zdjęcia. Mam na nich mnóstwo rzeczy. A teraz

również ciebie”.

„Mam na nich mnóstwo rzeczy”. Dwie godziny później Harry siedział na ławce obok poczty w Rodos. Pan Psambikis bez oporów wręczył mu kopertę ze zdjęciami, i właśnie teraz Harry miał zamiar je przejrzeć. Dwadzieścia cztery kolorowe fotografie zrobione aparatem Heather. Aparat i jego właścicielka zniknęli. Ale zdjęcia pozostały. Niewinne i pozbawione znaczenia - a może nie. Harry otworzył kopertę.

To nie były wakacyjne fotki. A w każdym razie nie tylko. Fotograf zwrócił je ułożone w odwrotnej kolejności. Ostatnie ujęcie - Heather w ogrodzie willi wznosząca toast kieliszkiem retsiny, z obrączką smażonej ośmiornicy w drugiej ręce, uśmiechnięta, w fartuchu, trochę nieostra, jakby już rozpływała się w nicłość - zaskoczyło go, choć sam je przecież zrobił. Wpatrywał się w zdjęcie przez długi czas, próbując sobie przypomnieć, jak swobodnie się czuł, kiedy zwalniał migawkę; Potem spojrzał na następne. Otoczenie było takie samo, ale tym razem na fotografii widniał on, Harry, uchwycony precyzyjnie na tle różowego geranium, lekko pijany, jeśli sądzić po szerokim, zmiętym uśmiechu, ze swoją szklaneczką przytuloną do wydatnego brzucha i wolną ręką na wpół uniesioną w kpiącym geście. Leniwy, dogadzający sobie Harry, który sądził, że nic nie przeniknie przez jego pancerz; Harry, który przestał istnieć i nie wróci nigdy więcej.

Dalej trzy łatwe do przewidzenia panoramy Lindos. Zatoka, tak jak ją było widać od frontu willi: dwie czy trzy łódki stojące na kotwicy na wodzie o barwie ultramaryny, z nagim skalistym przylądkiem w tle. Potem willa widziana z plaży, kwiaty kaktusa wychylające się znad białego muru ogrodu, słońce odbite od okna mieszkania Harry'ego, terakotowe dachówki wyraźnie rysujące się na tle białych budynków, za nimi skaliste zbocze pnące się wśród statecznych cyprysów ku wysokim murom fortecy. W końcu zatoka, przylądek i naga, popękana linia wybrzeża ciągnąca się ku północy, widziana z samego akropolu, ściśle rzecz biorąc, ze szczytu wielkich schodów: niższe stopnie można było dostrzec w lewym dolnym rogu, a kruszące się kolumny na pierwszym planie na pewno stanowiły

część doryckiego portyku. To zdjęcie mogło zostać zrobione pierwszego dnia w Lindos z tego samego miejsca, gdzie znalazł Heather czekającą na niego. I rzeczywiście, kiedy przyjrzał się dokładniej, zauważył postać ukrytą w cieniu zrzuconej bizantyńskiej kaplicy nieco poniżej; schyloną, ubraną na białą postać, która mogła być jedynie nim samym, złapanym w kadr na kilka minut, nim Heather dowiedziała się, kim on jest. To nagłe spostrzeżenie wywołało w nim dziwne, mdlące uczucie. Uświadomił sobie, że półgłosem wymienia daty. „Szóstego listopada”: kiedy jedli razem obiad w willi. „Osiemnastego października”: gdy spotkali się po raz pierwszy. Fotografie zaczynały wywierać na niego magnetyczny wpływ, wciągały go coraz głębiej w przeszłość. Zanim Heather zniknęła. Zanim się poznali. Zanim przyjechała do Lindos. Zanim...

Profitis Ilias. Nazwa budząca w nim lęk. I miejsce, którego obawiał się jeszcze bardziej. Oczywiście wiedział, że Heather odwiedziła je wcześniej, a mimo to nadal nie był przygotowany na widok znajomych barw i kształtów czekający go na następnej fotografii: poszarpane białe skały na szczycie, skały pokryte porostami, trawa i zeschnięte paprocie ocienione przez karłowate cedry; morze i brzeg w dole nieosiągalne, odległe; poza zasięgiem obiektywu. Tutaj szukał jej na próżno. I tutaj Heather, z powodów znanych tylko sobie, uniosła do oka aparat. Z powodów, o które Harry nie mógł zapytać i których nie potrafił się domyślić.

Potem zdjęcia znowu nabrały turystycznego charakteru. Sylwetki wiatraków w zatoce Mandraki. Otoczony licznymi wieżami Pałac Wielkich Mistrzów. Pocztówkowa płytkość tych fotografii zaskoczyła go po dręczącej niejednoznaczności tego, co widział wcześniej. Dalej następowały kolejne, jak Harry podejrzewał, zrobione w czasie dwudniowego pobytu Heather w Atenach po drodze na Rodos. Sam nigdy nie był w stolicy - z wyjątkiem okazji, gdy przesiadał się z jednego samolotu na drugi - ale stereotypowe ujęcie Partenonu i panorama miasta ze szczytu Likabetu, zepsute przez postacie innych zwiedzających, rozpoznał na pierwszy rzut oka. Przejrzał niemal połowę zdjęć i zaczął tracić zainteresowanie.

Nagle znalazł się w Anglii. Nie mogło być wątpliwości: szare, przymglone, odpychające światło i układny angielski konwencjonalizm grobu widocznego na następnym zdjęciu. Ostentacyjny czarny marmur zdobiły złote litery: FRANCIS DESMOND HOLLINRAKE. URODZONY 19 WRZEŚNIA 1915. ZMARŁ 14 KWIETNIA 1973. Francis Desmond Hollinrake. Nazwisko nic Harry'emu nie mówiło, a jednak... Hollinrake: na pewno już je kiedyś słyszał, choć musiało to być dawno temu. Kiedy czy gdzie, nie potrafił określić, ale w zakamarkach pamięci nadal tkwiło znaczenie, jakie to nazwisko ze sobą niosło.

Potem były budynki różnej wielkości, służące różnym celom, wszystkie angielskie, wszystkie na wsi. Z niczym mu się nie kojarzyły. Elegancki, kryty łupkiem dom wiejski w kształcie litery L, który aż się prosił o stajnie na tyłach. Duży wiktoriański dwór z czerwonej cegły stojący w zadbanym otoczeniu, z dostateczną liczbą drogowskazów i zaparkowanych samochodów przy wejściu, by sugerowało to instytucję. Posępny kamienny budynek porośnięty bluszczem w cieniu drzew na końcu łukowatego podjazdu. Typowy wiejski kościół przytłoczony wieżą ozdobioną pinaklami i krenelazami, mgliście kojarzącymi się Harry'emu z gotykiem. Ceglany kompleks wiktoriańskich budowli pnących się w górę zbocza porośniętego lasem - szerokie schody i drzwi, wraz z widocznymi w dali bramkami boiska do rugby, sugerowały szkołę albo uniwersytet. Rezydencja wiejska w stylu Tudorów, ze zbyt wieloma samochodami zaparkowanymi przed frontem, by mogła być prywatną własnością, i bramkami do krokieta nieco ostentacyjnie sterczącymi na trawniku. Jeśli nawet dobozem tych miejsc rządziła jakaś reguła, Harry nie potrafił jej uchwycić.

Temat następnej fotografii stanowiła, jak się zdawało, wiejska droga. Asfalt lśniący po deszczu, zieleńjące pola, kamienne murki ciągnące się po obu stronach. U stóp wzgórza, w dół którego wiała się szosa, widoczne skrzyżowanie z szerszą przecznicą. Nie sposób jej odnależć, nie sposób odgadnąć, z jakich względów została wybrana. Na kolejnym ujęciu widniała stara wiejska gospoda - nagrzanym słońcem kamienie i skrzynki kwiatów w oknach. Tablica nad głównym

wejściem wisiała pod takim kątem, że Harry nie mógł odczytać nazwy. Nie potrafił też umiejscowić surowego brukowanego dziedzińca z następnej fotografii. Rzędy okien wychodzących na kwadratowy trawnik na środku miały w sobie coś akademickiego, przywodziły na myśl Oksford albo Cambridge, Harry nie umiał powiedzieć na pewno. Kamienie były wilgotne po deszczu, jak gdyby - przyszło mu do głowy - to zdjęcie oraz dwa poprzednie, z szosą i gospodą, zostały zrobione tego samego dnia. Ale takie założenie nie prowadziło donikąd. Jedyne Heather mogłaby mu powiedzieć, dlaczego i kiedy odwiedziła te miejsca - i z jakiego powodu je właśnie chciała utrwalić.

Zostały już tylko cztery fotografie; na pierwszej zobaczył jeszcze jeden budynek. Bielony wiejski dom z łupkowym dachem i czarnymi okiennicami stojący w ogrodzie otoczonym żywopłotem i drzewami, z nowszym garażem na tyłach. Mimo jasnego blasku słońca, drzewa były powykrzywiane od wiatru i pochylone, co sugerowało bliskość morza. Raz jeszcze miejsce na fotografii okazało się mu nieznane. W przeciwieństwie do tego, co przedstawiało kolejne zdjęcie.

Nigel Mossop przyszedł do Mallender Marine prosto ze szkoły. Z początku Harry uważał go za jednego z mniej obiecujących kandydatów. Gorliwy i pełen dobrych chęci, Nigel był też nieśmiały, nierozgarnięty i beznadziejnie tępy; Harry nie mógł zaprzeczyć, że kilka razy dał mu się we znaki. Dopiero kiedy Roy Mallender zaczął się znęcać nad chłopakiem, Harry nabrał do Nigela cieplejszych uczuć, chociaż wysiłki, by mu pomóc, nie na wiele się zdały. Mossop musiał mieć teraz trzydzieści parę lat, ale wyglądał na więcej w poważnych okularach i ciemnym ubraniu. Uśmiechał się nerwowo, jakby nie wiedząc, jaką pozę przybrać do zdjęcia. Heather nigdy nie wspominała, że go zna, a jednak niewątpliwie to był on, na tle ujścia jakiejś szerokiej rzeki; pola i lasy na drugim brzegu sugerowały pełnię lata, obok przepływał jacht zmierzający w stronę morza. Harry nie znał tego miejsca, ale kiedy przyjrzał się zdjęciu dokładniej w poszukiwaniu wskazówek, zauważył białą plamkę będącą najprawdopodobniej domem: możliwe, że był to dom z poprzedniej fotografii, majacący pośród drzew na odległym brzegu.

A więc przynajmniej ten budynek uda mu się, przy pomocy Mossopa, zlokalizować.

Na przedostatnim zdjęciu ujrzał jeszcze jeden grób, czy raczej pomnik, bo samego grobu nie było widać, a inne kamienie umieszczono tak blisko, że sugerowało to raczej ogród pamięci przy krematorium. W tym wypadku zainteresowanie Heather nie wydawało się niezrozumiałe ani tajemnicze: był to grób jej siostry. CLARE THOMASINA MALLENDER, 1959-1987. To wszystko: żadnego cytatu z Biblii, żadnych poruszających wyznań, żadnych aluzji do okoliczności, w jakich poniosła śmierć. Wszystko, co Harry wiedział na ten temat, wyczytał swego czasu w gazetach. Zostawszy członkiem parlamentu, Dysart kupił dom w swoim okręgu wyborczym. Dom był położony w Hampshire, na brzegu rzeki Beaulieu, i idealnie się nadawał na przystań dla Artemidy, co umożliwiała Dysartowi łączenie obowiązku z przyjemnością podczas weekendów spędzanych w okręgu. To, że uważano go za kogoś w rodzaju bohatera wojennego w związku z osiągnięciami z czasów, gdy dowodził fregatą podczas bitwy o Falklandy, w połączeniu z faktem, że następnie zaczął pracować w ministerstwie obrony, stanowiło - zgodnie z pokrętną logiką IRA - uzasadnienie zamachu na jego życie. Przemówienie, w którym wyraził przekonanie, że niedługo należy oczekiwać pokonania bojówek IRA, najwyraźniej przeważało szalę. Ale to Clare Mallender weszła na pokład jachtu feralnego dnia i zdetonowała bombę, nie Alan Dysart. Co ten człowiek czuł po śmierci swojej asystentki, sam uniknąwszy śmierci o włos, pozostawało dla Harry'ego tajemnicą, bo od tamtej pory wizyty Alana na Rodos stały się nieliczne i krótkie. Harry nie potrafił też powiedzieć na pewno, co czuła Heather. Napomykała, że śmierć Clare stanowiła przyczynę jej załamania nerwowego, ale Harry unikał poruszania tego tematu od czasu swojej niezręcznej uwagi podczas pierwszego spotkania.

Harry wrócił do dwóch zdjęć, które właśnie obejrzał. Kusilo go, by uznać rzekę za Mossopem za Beaulieu, a bielony domek za kryjówkę Dysarta. Jeśli się nie mylił, nie trudno było zrozumieć, dlaczego Heather zdecydowała się je

utrwalić. Stanowiły pamiątkę, próbę pogodzenia się ze stratą. Jedyna zagadka, jaka pozostała, to dlaczego wybrała Mossopa na swego towarzysza.

Na ostatnim zdjęciu - pierwszym, jakie zrobiła - widniało Mallender Marine. Na ten widok, wstrząśnięty Harry odkrył, że nadal czuje wielką gorycz na wspomnienie okoliczności, w jakich opuszczał ten niski, szary, nie rzucający się w oczy budynek dziesięć lat temu. Oto drzwi, którymi trzasnął, i podwórko, które przemierzył w gniewie pewnego posepnego dnia w październiku 1978. Tak umarto jego ostatnie złudzenie: że może w czymś odnieść sukces.

Ale koniec w tym wypadku stanowił równocześnie początek. Gdy Harry ułożył zdjęcia w porządku chronologicznym i przejrzał je jeszcze raz, uderzyła go myśl, że za nie połączonymi niczym scenami kryje się jakieś przesłanie. „Mam na nich mnóstwo rzeczy” - powiedziała Heather. Harry czuł nieprzepartą pokusę, by jej uwierzyć. Tylko jak to udowodnić? Z tych zdjęć nie udało się uzyskać nic godnego miana dowodu, chyba że...

Profitis Ilias. Kiedy tylko zobaczył ją po raz kolejny, uświadomił sobie to, co powinien zauważyć od razu. To było ujęcie szczytu. Nie hotelu czy niższych zboczy, ba, choćby zwalonego pnia, ale szczytu. Heather twierdziła, że nie miała czasu się na niego wspiąć. Jednak zdjęcie dowodziło, że to nieprawda. Tamtego dnia nie zablądziła w nieznane. Od pierwszej chwili posuwała się po własnych śladach. I kłamała, twierdząc, że było inaczej.

Cała sytuacja uległa zmianie. Aż do tej chwili Heather po prostu zniknęła. Teraz po raz pierwszy pojawiło się podejrzenie, iż zaplano-wała to, co się stało. Do czasu znalezienia fotografii Harry uważał ta-jemnicę za nierozwiązywalną. Teraz zdawało mu się, że ją rozwikła, jeśli zdoła pojąć znaczenie utrwalonych scen.

Wracając do Lindos rozklekotanym autobusem, zmusił się do rozważenia możliwości, że zdjęcia nic nie znaczą albo przynajmniej nie mają związku ze zniknięciem Heather. Ostatecznie, jeśli uważała je za ważne i wiedziała, co się ma

wydarzyć na Profitis Ilias, niezostawiałyby ich u fotografa, skąd Harry - albo ktoś inny - mógł je odebrać. Dlaczego nie odebrała ich sama? Oczywiście dlatego, że nie były jeszcze gotowe. Więc albo nie miały dla niej tak dużej wartości, jak twierdziła, albo wcale nie zamierzała uciec.

W połowie podróży przyszło mu do głowy jeszcze inne wyjaśnienie. Heather mogła nie planować ucieczki, kiedy zabrała film do Rodos w poniedziałek siódmego, ale w środę dziewiątego, kiedy wynajęła samochód i zaproponowała mu pożegnalny objazd wyspy, plan musiał być gotowy. A jeśli tak, od tej chwili każdy jej czyn stanowił tylko pretekst. Harry posłużył za parawan; był świadkiem, którego zabrała ze sobą na Profitis Ilias, żeby zdał sprawę innym z niejasnych okoliczności jej zniknięcia i w ten sposób dodał prawdopodobieństwa przypuszczeniu, że została zamordowana. Ale dlaczego? Dlaczego chciała lub uważała za konieczne zrobić to w sposób sugerujący zabójstwo, zamiast po prostu odejść? I, co ważniejsze, dlaczego to pragnienie czy konieczność powstało w niej tak nagle? Przypominając sobie dni, kiedy Heather prawdopodobnie podjęła decyzję, nie mógł znaleźć nic niezwykłego, nic, czego - choćby z perspektywy późniejszych zdarzeń - mógłby użyć na poparcie tej teorii.

Po powrocie przekonał się z zadowoleniem, że pani Ioanides już poszła. Będąc sam w stróżówce, rozłożył fotografie na kuchennym stole i uważnie przejrzał je raz jeszcze w poszukiwaniu wskazówek, które - być może - przeoczył wcześniej. Pierwsze zdjęcia zostały zrobione, jak się wydawało, latem. Na ostatnim pochodzącym z Anglii, przedstawiającym grób Francisa Hollinrake'a, brązowe jesienne liście były już wyraźnie widoczne, co sugerowało, że zostało ono zrobione na krótko przed wyjazdem Heather na Rodos. Daty późniejszych fotografii mógł sam określić, co pozwoliło mu stwierdzić, że film obejmuje okres jakichś trzech miesięcy. Nie potrafi powiedzieć nic więcej, dopóki osobiście nie uda się do Anglii.

Dopiero teraz zaświtało mu znaczenie tej konkluzji. Nie mógł odwrócić się plecami do możliwości, jakie otwierało przed nim jego odkrycie. Nie mógł

udawać, że nigdy nie znalazł fotografii albo nie zastanawiał się nad ich znaczeniem. Będzie musiał udać się tam, dokąd go zaprowadzą, jeśli nie dalej. Duma i ciekawość kierowały go do miejsca, od którego dotąd kazały mu się trzymać z dala. Anglia. Dom. Ostatnie miejsce na ziemi.

X

Inspektor Miltiades był nieobecny, kiedy Harry zadzwonił na komendę następnego ranka. Inaczej przedstawiały się sprawy w konsulacie brytyjskim. Pan Osborne zgodził się udzielić mu dziesięciminutowej audiencji i wysłuchał cierpliwie jego prośby, wbijając w niego uważny wzrok znad miniaturowej flagi brytyjskiej umieszczonej na korkowym postumencie na biurku.

Gdy Harry skończył, Osborne strawił niemal minutę na obojętnym milczeniu, potem zapytał:

- Dlaczego tak nagle zapragnął pan odzyskać swój paszport, panie Barnett?
- Bo chcę opuścić Rodos najszybciej, jak to możliwe.
- Dokąd się pan uda, jeśli można zapytać?
- Do Anglii.

Osborne uniósł brew.

- Dziwny wybór.
- Jestem Anglikiem.
- Kiedy był pan w domu ostatni raz?
- Jeśli pominąć kilka krótkich wizyt, dziesięć lat temu.
- Ale to nie będzie krótka wizyta?
- Nie potrafię powiedzieć.

Osborne w zamyśleniu potarł podbródek.

- Inspektor Miltiades chciał pana mieć pod ręką na wypadek, gdyby sprawa Mallender posunęła się naprzód.

- Ale poniedziałkowy „Rodian” podaje, że policja zrezygnowała z poszuki-

wania Heather.

- Tak. No cóż, ściśle między nami, panie Barnett, sprawy bezpieczeństwa przed szczytem europejskim w przyszłym miesiącu pochłaniają ich obecnie bez reszty.

- Więc w czym problem? Poza tym - Harry zniżył głos - nie chciałby pan chyba, żebym zaczął sprawiać kłopoty, kiedy zjadą się tu przed szczytem dziennikarze, prawda?

Znużony uśmiech przemknął po ustach Osborne'a i zaraz zgasł.

- Zobaczę, co będę mógł dla pana zrobić, panie Barnett.

- Dziękuję. - Harry podniósł się z miejsca.

- Powiedział pan: dziesięć lat?

- Za granicą? Tak, mniej więcej.

- Zastanie pan wiele zmian.

- Na lepsze?

- Wątpię, żeby pan tak to określił. - Uśmiech pojawił się znowu. - Naprawdę bardzo wątpię.

Przez resztę tego dnia i cały następny Harry pozostał w willi, zdecydowany nie zrażać sobie Osborne'a przez zbyt natarczywe dopytywanie się o postępy w swojej sprawie. Jak dotąd nikt nie znał przyczyny jego nagłej chęci opuszczenia Rodos i Harry pragnął, by się to nie zmieniło. Czy to w odruchu przezorności, czy też kierując się jakimś motywem mniej godnym pochwały, zdecydował, że fotografie pozostaną wspólną tajemnicą jego i Heather; poświęconą ziemią, po której nikt nie ma prawa stąpać.

Dla zabicia czasu zabrał się do studiowania książki, w której znalazł kwit od fotografa. Ustęp, który czytała Heather, znajdował się mniej więcej w połowie rozdziału zatytułowanego „Determinizm, wiara w przypadek i przesąd”. Z początku nie posuwał się naprzód zbyt szybko, potykając się o fachowe terminy i grzęznąąc w opisach przypadków. Jednak z czasem, przejrząwszy wprowadzenie

wydawcy, pochwycił wątek i odkrył, że w wielu miejscach zgadza się z tezami autora. Każda pomyłka pamięci, każde przejęzyczenie, każdy błąd czy nietakt, jak się zdawało, mogły posłużyć do odkrycia sekretów życia psychicznego. Spróbował zastosować tę teorię do Heather, kiedy zostawiła kwit w miejscu, gdzie mógł zostać znaleziony. Sugerowało to podświadome pragnienie, żeby ktoś go odszukał. Ale - uświadomił sobie Harry - było to prawdą jedynie pod warunkiem, że Heather zaplanowała swoje zniknięcie. Jeśli nie, książkę należało traktować jedynie jako lekturę do poduszki, pozbawioną głębszego znaczenia.

Oczywiście w dalszym ciągu mogła służyć za wskazówkę, o czym Heather myślała. Czytany przez nią fragment dotyczył przesądów, które, zdaniem Freuda, „stanowią w znacznej większości oczekiwanie nieszczęść”. Jako że nieszczęście rzeczywiście się zdarzyło, zbieg okoliczności wydawał się bardzo znaczący. „Osoba, która często źle życzy innym, ale została wychowana w przekonaniu, iż należy być dobrym, i z tego powodu zepchnęła swoje pragnienia do podświadomości, będzie prawdopodobnie spodziewać się kary za swoją ukrytą niegodziwość w formie nieszczęść grożących jej z zewnątrz”. Czy więc Heather czuła się zagrożona? Czy szukała w tym fragmencie zapewnienia, że jej obawy dają się wyjaśnić na gruncie psychologicznym, tylko po to, by się przekonać, iż świadczą one również o jej złej woli ukrytej w podświadomości? A jeśli tak, to przeciw komu była ona wymierzona?

W tym momencie przyszło Harry'emu do głowy, że jeśli rozumowanie Heather istotnie szło po tej linii, mogła popełnić tragiczną omyłkę. Zachęcona do zignorowania swoich obaw, przekonała się poniewczasie, iż miały uzasadnienie. Właśnie takiego postępowania należało oczekiwać u kogoś, kto nie dowierza własnej psychice. Ale o jakie obawy chodziło? Jakie znaki pragnęła zignorować? Jedno było pewne: Harry z całą pewnością ich nie spostrzegł.

Co chwila wracał do stron zaznaczonych przez Heather. Dotyczyły one proroczych snów i przypadkowych spotkań. Freud dowodził przekonująco, że tego typu zjawiska są po większej części złudzeniem; proroczych snów nie pamięta się

do czasu, gdy się spełnią, a spotkania z osobami, o których właśnie się myślało, nigdy nie są w pełni przypadkowe: myślimy o nich, gdyż podświadomie zdajemy sobie sprawę z ich obecności.

Sen albo spotkanie: czy takie właśnie ostrzeżenie Heather postanowiła zignorować? Jeśli tak, musiała przewidzieć to, co miało się wydarzyć na Profitis Ilias, a mimo to udała się na szczyt zdecydowana udowodnić, że jest jedynie złudzeniem. To wyjaśniałoby jej życzenie, by jej towarzyszyć tylko do pewnej chwili, i kłamstwo, które wymyśliła na użytek Harry'ego, żeby pozwolił jej iść samej. Miał spełnić rolę świadka, a nie uczestnika wydarzeń. Widziana w takim świetle, Heather okazywała się tak odważna i bezinteresowna, jak pragnął wierzyć. Popełniła tylko jeden błąd: uznała, że groźby skierowane pod jej adresem stanowią produkt jej wyobraźni; musiał to wmówić dziewczynie jakiś przesiąknięty freudyzmem psychiatra.

Ta konkluzja dodała Harry'emu otuchy, mimo swojej oczywistej niewiarygodności. Była o wiele łatwiejsza do przyjęcia od pozostałych hipotez, które przedstawiały Heather jako oszustkę, a z niego robiły głupca. Dlatego chwycił się tej teorii, niczym tonący brzytwy. Dzięki niej przetrwa najgorsze, a nawet zdoła wybawić Heather. Zaświtała mu nadzieja. Być może, mimo wszystko, co się wydarzyło i czego się jeszcze obawiał, nie stracił dziewczyny na zawsze.

Wczesnym rankiem w sobotę Harry miał gościa. Słyszając pukanie, pomyślał, że to listonosz z paczką. Ale gdy zszedł na dół i otworzył drzwi, ujrzał na progu inspektora Miltiadesa, równie nienaganego i wyniosłego jak zwykle.

- *Kalimera*, panie Barnett. Wygląda pan na zdziwionego moim widokiem.
- Jestem zdziwiony.
- A nie powinien pan. Pan Osborne przekazał mi pańską prośbę.
- Sam przyjechałbym do Rodos odebrać paszport. Nie musiał się pan fatygować osobiście.
- Dlaczego pan zakłada, że go przywiozłem? Najpierw proszę mnie przeko-

nać, że jego zwrot jest uzasadniony.

Harry chciał uniknąć składania wyjaśnień Miltiadesowi, ale najwyraźniej miało się stać inaczej. Zaprosił inspektora do mieszkania, gdzie ten rozejrzył się krytycznie dokoła, po czym odmówił napicia się czegokolwiek. Harry zabrał się do przedstawiania wymyślonych naprędce argumentów, przemawiających za powrotem do Anglii: od zniknięcia Heather jest szykanowany w Lindos (prawda); poczuł tęsknotę za domem (fałsz); jego matka chce go zobaczyć przed śmiercią (prawda, choć cieszyła się doskonałym zdrowiem).

Gdy Harry skończył Miltiades przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, po czym stwierdził:

- Jest pan kłamcą, Barnett. W dodatku kiepskim kłamcą, co podczas śledztwa przemawiało na pańską korzyść. A podejrzewam, że również nienajlepszym synem. I ta dziwna tęsknota za krajem odzywająca się dopiero po dziewięciu latach!

- Nie wierzy mi pan?

- Wierzę, że chce pan wrócić do Anglii. Pytanie brzmi: dlaczego?

- Nie potrafię panu podać innych powodów.

- Więc ja panu podam. Ma pan nadzieję dowiedzieć się prawdy o zniknięciu panny Mallender.

W tym momencie Harry zdecydował się odrzucić pozory.

- Nawet jeśli, to co z tego? O ile mi wiadomo, pan zamknął tę sprawę.

- Rzeczywiście przydzielono nam inne zadania.

- Więc co za sens zatrzymywać mnie tutaj?

Miltiades uśmiechnął się.

- Żaden, panie Barnett. - Z kieszeni munduru wyjął brytyjski paszport i podał Harry'emu. - Może pan jechać.

Harry zauważył od razu, że coś wsunięto pod okładkę. Otworzył paszport: pocztówki z Afrodytą i Sylenem znalezione w samochodzie.

- Myślałem o tych kartkach - ciągnął Miltiades. - Pańskie wyjaśnienia, dlaczego panna Mallender je kupiła, wydawały mi się logiczne, ale nie tłumaczyły,

czemu zostawiła je w skrytce na rękawiczki. Moim zdaniem, zrobiła to celowo. Chciała za ich pomocą przekazać jakąś wiadomość.

Harry myślał o tym samym, ale rozważania donikąd go nie zaprowadziły.

- Jaką wiadomość, inspektorze?

- Nie wiem. Pan i ona byliście tutaj razem... tworzyliście parę. Tak samo te pocztówki. Bardzo znaczące podobieństwo, nie sądzi pan? Bogini i satyr. Powszecznie spotykane symbole, ale co właściwie oznaczają? Początkowo byłem skłonny interpretować je zgodnie z tym, czym się wydają. Kobiece piękno i męskie pożądanie. Młodość i starość. Ponętność i żądza. - Przerwał; Harry chciał coś powiedzieć, ale Miltiades powstrzymał go gestem. - Proszę pozwolić mi skończyć. Ostatnio poszedłem do muzeum, żeby sobie przypomnieć, jak piękna jest Afrodyta z Rodos. Widział ją pan?

- Nie. Rzadko odwiedzam muzea.

- Tak podejrzewałem. Posąg pochodzi z okresu, gdy piękno zewnętrzne ceniło się wyżej niż wierność szczegółów anatomicznych. Posąg jest więc doskonały fizycznie, ale martwy pod względem duchowym. Jest tylko przedmiotem. Nic nie wyraża.

- A co powinien wyrażać?

- Tylko to, że ludzie nie są posągami. Widzimy jedynie zewnętrzny kształt. Piękny czy odpychający, nie ma większego znaczenia. Afrodyta czy Sylen: to nie robi różnicy. Sądzę, że przesłanie było skierowane do pana, panie Barnett, ale nie do końca je rozumiem. Więc proszę zabrać kartki ze sobą. Może kiedyś pojmie pan ich znaczenie.

Parę minut później Harry zegnał się z Miltiadesem przy bramie. Czuł niezrozumiałą sympatię do tego zamkniętego w sobie, surowego człowieka, zrodzoną z nagłego, niewytłumaczalnego przeczucia, że nie spotkają się nigdy więcej.

- Naprawdę odłożył pan sprawę Heather do akt, inspektorze? - zapytał, kiedy Miltiades znalazł się na ulicy.

- Oficjalnie nie. Ale nieoficjalnie...

- Rozumiem.

- Jeszcze jedno, zanim się pożegnamy. Wie pan, jakie miejsce zajmował Sylen w mitologii greckiej?

- Nie.

- Był nauczycielem Dionizosa, nim ten został wyniesiony do godności boskiej. Mogłoby się wydawać, że nauczanie boga to swego rodzaju przywilej, ale źródła nie wyrażają się pochlebnie o Sylenie. Zdaniem Eurypidesa nie potrafił on odróżnić prawdy od fałszu. Poważna ułomność, zgodzi się pan ze mną?

Jak brzmiało przesłanie? - zastanawiał się Harry. Czy zgodnie z zamiarem Heather to właśnie miały mu przekazać widokówki? Że pozostał ślepy na to, kim była w rzeczywistości i nie umiał oddzielić faktów od wyobrażeń? Jeśli tak, wiadomość nie podnosiła na duchu. Ale w pewien sposób zrozumienie jej równało się jej zaprzeczeniu.

- *Pathima, mathima*, panie Barnett. Cierpienie kształci. - Miltiades uśmiechnął się, jakby odczytał myśli Harry'ego. - Kiedy zamierza pan wyjechać?

- Najszybciej jak to możliwe.

- A więc życzę szczęścia.

Po tych słowach odwrócił się i odszedł. Bez uścisku dłoni, salutów, formalnych pożegnań. Mimo to Harry nie mógł się oprzeć przekonaniu, że - na koniec - Miltiades coś mu powierzył. Zdawało się, że obaj rozumieją, iż śledztwo nie zostało zamknięte. Jedynie przekazane w inne ręce.

XI

W poniedziałek rano Harry złapał autobus wożący robotników do Rodos, naruszył chwiejną równowagę swego konta w Greckim Banku Handlowym, a następnie wydał boleśnie dużą część wybranej sumy na bilet do Londynu. Wyjazd

w krótkim terminie stanowił niewątpliwie kosztowne przedsięwzięcie, ale Harry nic na to nie mógł poradzić. Za dwa dni będzie w drodze.

Krótki spacer zaprowadził go na pocztę, skąd zatelefonował do Swindon, by zawiadomić matkę o swoim rychłym powrocie do domu. Oprócz telegramu wysłanego dwa tygodnie wcześniej, w którym prosił ją, żeby się „nie martwiła”, nie kontaktował się z nią od zniknięcia Heather, choć wiedział doskonale, jak ponure wnioski wyciągnie z jego milczenia. Postanowił zadzwonić z budki i wytłumaczyć się brakiem monet, nim matka zdąży zasypać go wymówkami. Zapomniał jednak, że pora w Anglii jest wcześniejsza o dwie godziny niż w Grecji; fakt ten zaważył od pierwszej chwili na ich rozmowie.

- Dzień dobry, mamó, tu Harold. (Matka nie uznawała zdrobnień).

- Kto?

- Twój syn.

- Harold?

- Tak.

- Co ty sobie wyobrażasz, dzwonić o tej godzinie? Nie ma jeszcze siódmej.

- Och... przepraszam.

- Ja myślę. Przez całe tygodnie ani słowa, a potem nagle telefon o jakiejś nieludzkiej porze.

- Naprawdę mi przykro. Posłuchaj: wracam do domu.

- Co?

- Wracam do domu. W środę.

- W środę?

- Powinienem być na miejscu późnym popołudniem.

- Chcesz powiedzieć... - Przerwał jej sygnał.

- Skończyły mi się monety, mamó. W środę po południu, dobrze?

- Nawet jeśli powiem nie niczego to nie zmieni, prawda?

- Nie gotuj żadnych... - Zostali rozłączeni.

Przygnębiony własną nieporadnością Harry udał się do pobliskiego baru,

zamówił kawę i w ponurym nastroju zabrał się do przeglądania gazety. Nazwisko Heather zniknęło z nagłówków, zastąpione przez nadchodzący szczyt europejski. Tak jak przewidział Miltiades: wszyscy o niej zapomnieli.

Ale nie Harry. Był pierwszym zwiedzającym muzeum archeologiczne, gdy otworzyło swe podwoje o dziewiątej trzydzieści. Interesował go tylko jeden eksponat: Afrodyta z Rodos.

Była mniejsza, niż sądził, zamknięta w szklanej gablocie, wycyzelowana i - jak wspominał Miltiades - wydawała się dziwnie bez wyrazu przez kontrast z surowo wyciosanymi posągami wokół. Podczas gdy one zdawały się przemawiać wprost do patrzącego, Afrodyta wdzięczyła się i krygowała za swoją ochronną barierą. Teraz, gdy ją zobaczył, wcale mu się nie podobała. Była piękna jako przedmiot - jako odwzorowanie postaci ludzkiej wzbudzała niesmak. Polerowany marmur nadawał ciału pozory życia, a brak szczegółów dodawał giętkości członkom wyrażającym aż za dobrze to, co miały reprezentować. Na pół pep-show, na pół zmysłowe dzieło sztuki, posąg bogini zaskoczony w czasie ablucji wydawał się zarazem wysublimowany i obsceniczny. Stanowiła nieosiągalny przedmiot pożądania, a równocześnie była dostępna dla każdego. Zdawała się wyrażać to samo, co priapizm Sylena. Środek przekazu i jego treść stanowią jedno: obraz jest wszystkim.

Skoro tylko wrócił do Lindos udał się do willi, do pokoju Heather, i spakował jej rzeczy do plecaka, najporządniej jak potrafił. Zrób to szybko, ale dobrze, powiedział sobie; nie marnuj czasu, by się zastanawiać, co mogłoby to symbolizować. Próbował się dodzwonić do Dysarta, żeby uprzedzić o swoim wyjeździe, ale w londyńskim mieszkaniu odezwała się automatyczna sekretarka, więc zdecydował, że spróbuje jeszcze raz następnego dnia. Potem wrócił do mieszkania nad bramą i zabrał się do pakowania własnych rzeczy. Takie to niezbędne prace i praktyczne zajęcia pochłaniały go przedostatniego dnia wygnania, które - jak sądził - miało potrwać do końca życia.

- Dlaczego chcesz tam wracać, przyjacielu? - zapytał Kostas, kiedy Harry go

powiadomił, że jedzie do Anglii.

- Tam się urodziłem.
- Jesteś za stary na powrót, Hari.
- Nigdy się nie jest zbyt starym.

Na to Kostas odwołał się do jedyne go argumentu, który kojarzył mu się z Anglią, choć nigdy tam nie był: pogody.

- *Vrehi poli.*
- Można się przyzwyczać.
- *Kani krio.*
- Pytanie brzmi: czy odwieziesz mnie jutro rano na lotnisko?

Ale Kostas jeszcze się nie poddał.

- Robisz błąd, Hari. Ogromny błąd.

Tak - pomyślał Harry - tak właśnie jest: ogromny błąd, może największy, jaki popełniłem w życiu.

- Zawieziesz mnie?
- Będziesz tego żałował. Będziesz żałował, ale będzie już za późno.
- Całe życie nic innego nie robiłem.
- Będziesz żałował, że mnie nie posłuchałeś.
- Pewnie masz rację.
- Powinieneś tutaj zostać.
- Odwieziesz mnie na lotnisko czy nie?

Kostas zmrużył oczy i zapatrzył się w przestrzeń.

- *Ti ora fevgi to aeroplano?*

Był to jego sposób zakomunikowania, że tak.

Harry zadzwonił do Dysarta jeszcze raz i znów usłyszał nagraną formułkę. Tym razem zostawił wiadomość; urywaną, nieskładną, która nic prawie nie wyjaśniała.

W chwili gdy opuszczał willę wydało mu się, że słyszy jakiś dźwięk na pię-

trze. Plusnięcie albo szelest: nie potrafił stwierdzić na pewno. Stał u stóp schodów, nasłuchując z wyteżeniem. Nic. Zwodziły go uszy albo nerwy. Odwrócił się, żeby odejść.

Wtedy usłyszał to znowu. Delikatny, ulotny dźwięk. Z całą pewnością dobiegał z góry, z wnętrza willi. Wolno wspiał się po schodach; krew pulsowała mu w skroniach. Na zewnątrz szybko zapadał zmierzch. Nadchodziła niepewna godzina szarego, zwodniczego półmroku, interludium między dniem i nocą, kiedy niczemu nie można ufać do końca.

Krople rozpryskujące się o powierzchnię wody, jak wtedy gdy ktoś podnosi się z kąpieli. Rozmyty cień poruszył się na suficie niby ostrzeżenie. Wiadomość - a może naznaczone wcześniej spotkanie. Nie ma sensu iść dalej. Nie ma sensu w nie wierzyć. Nie ma sensu teraz, gdy dotarł do szczytu schodów, odwracać głowy, by zajrzeć z podestu przez otwarte drzwi łazienki.

Heather, naga, podnosi się z wanny, przeczesuje palcami mokre włosy, woda spływa po jej ciele, opływa każde załamanie skóry, kapie z łokci i kolan, perli się na piersiach i biodrach. Błada skóra, tajemne obietnice i uśmiech zimny jak marmur.

„Nie martw się. Będę się trzymać ścieżki. To nie potrwa długo. Po prostu nie mogę już zawrócić, prawda?”

Sięgnął ręką i wyłączył budzik. Równocześnie z dzwonieniem umilkły kroki odchodzącego snu. Nie wiedział, czy usłyszał coś, opuszczając willę ubiegłego wieczoru: nie zatrzymał się, żeby nasłuchiwać.

Była piąta rano, ciemno choć oko wykol, ostatni dzień listopada. Czas jechać. Czas zbudzić Kostasa i złapać samolot do Anglii. Czas zakończyć dziewięć lat marzeń na jawie i rozpocząć nie wiadomo jak długie poszukiwania. Z niespodziewaną radością wstał z łóżka.

Dopiero na pokładzie samolotu z Aten do Londynu Harry zaczął uświadamiać sobie znaczenie tego, co robi. Obok dwaj Grecy dyskutowali o polityce. Po drugiej stronie przejścia dwaj Anglicy dyskutowali o wysokości obrotów firmy. Daleko w dole majestatycznie przesuwwały się Alpy. Harry, popijając jeden wolnoćlowy dzin po drugim, gapił się na plastikowe obicia i sztuczne uśmiechy stewardes, czując, jak z wolna ogarnia go przerażające wrażenie nierzeczywistości. Prędkość wydawała się tylko złudzeniem płonącym zielonymi cyframi nad głową, ruch - kawalkadą okrytych śniegiem krajobrazów widzianych z lotu ptaka. Nie leciał donikąd, a już na pewno nie do domu. Wszystko odbywało się zbyt szybko, zbyt łatwo, bez najmniejszego wysiłku.

Ale była to prawda. Po kilku godzinach, które przemknęły jak minuty, stał obok transportera z bagażami na lotnisku Heathrow, rozbudzony przez hałas i brud, oszołomiony tempem podróży, myśląc: Kostas miał rację, do diabła; istnieje wygnania, z których nie powinno się wracać.

Z plecakiem Heather na ramieniu, zapinaną na paski walizką w jednej ręce i torbą ze sklepu wolnoćlowego w drugiej, Harry w zamyśleniu odczekał w kolejce do cła, a następnie ruszył przez syntetyczną dżunglę sklepów, ruchomych schodów i barów szybkiej obsługi, zerkając na jaskrawo oświetlone szyldy, przyglądając się ludziom pędzącym w pośpiechu. Czy to naprawdę Anglia? - dziwił się. Czy możliwe, by zapomniał, jak tu jest? Jak mógł się ludzić, że poczuje się tutaj u siebie?

Stanął w kolejce, żeby wymienić swoje drachmy na funty. Potem w innej, by kupić bilet na metro do Paddington. Już w wagonie uświadomił sobie z niezwykłą ostrością, że współpasażer po jego lewej stronie czyta arabską gazetę, inny, po prawej - niemiecki przewodnik po Londynie, a dwoje młodych ludzi naprzeciw rozmawia w jakimś obcym języku, chyba po szwedzku. Utkwił wzrok w czerwono-niebieskim symbolu metra na szybie, ujętym w ramy głów obojga młodych, i próbował sobie przypomnieć Anglię, którą opuszczał dziewięć lat

temu. Wcale nie było wtedy lepiej, powiedział sobie, ani inaczej. Jego obecna dezorientacja stanowiła po prostu efekt nagłego przeniesienia z sennego Lindos. Zamknął oczy, żałując, że kiedy je otworzy nie ujrzy nad sobą błękitnego greckiego nieba.

Obudził go cichnący warkot wyłączanego silnika, przeciąg od otwartych drzwi i nieoczekiwane blade światło dnia. Wyszedł niepewnie na peron i spojrzał na tablicę z nazwą stacji. Cockfosters; przystanek końcowy. Zauważył, że brakuje mu jednej sztuki bagażu. Zajrzał z powrotem do wagonu - na próżno. To, że zasnął, było bardzo złe. Ale że ktoś ukradł mu litry wolnocłowego dżinu i retsiny, tego już za wiele. Z bezsilnej złości kopnął plastikową ławkę i mruknął półgłosem: „Witaj w domu, Harry”.

Harry doskonale zdawał sobie sprawę, że ósma wieczorem to nie późne popołudnie. Wiedział też, że jeśli szuka sposobu, by jak najbardziej zrazić do siebie matkę, przybycie z kilkugodzinnym opóźnieniem i na dodatek w stanie nietrzeźwym stanowi najlepsze rozwiązanie. Szedł Station Road w Swindon, bezskutecznie próbując utrzymać prosty kurs wzdłuż chodnika, i zadawał sobie pytanie, jak mógł popełnić tak podstawowy błąd. Prawdopodobnie wszystkiemu były winne puby otwarte przez cały dzień w połączeniu z zaletami angielskiego piwa, które wydawało się jedną z nielicznych rzeczy w kraju rodzinnym nie zmienioną przez upływ lat. Jeśli nie jedyną, jak hałaśliwie i z uporem przekonywał kilku innych klientów w pubach, gdzie spędził popołudnie i gdzie zastał go wieczór.

Na szczęście przynajmniej ciemny, wysoki płot warsztatów kolejowych stał na swoim miejscu, po jego prawej ręce, przynosząc mu smętną pociechę. Matka pisała w liście, że warsztaty mają zostać zamknięte, ale Harry nie widział żadnych znaków wskazujących na to. Główna brama, choć naturalnie zamknięta o tej godzinie, wyglądała jak zawsze, a po drugiej stronie drogi majaczyła krzepiąco

bryła Instytutu Mechaniki, gdzie jako dziecko nieraz płakał do utraty tchu podczas świątecznych przedstawień na widok czarownicy. Minał Emlyn Square, opierając się pokusie, by wstąpić do Glue Pot Inn i wspomnieć dawne czasy, i skierował się w stronę domu.

Falmouth Street była pusta i cicha. W oknach paliły się światła, ale na zewnątrz nie zauważył żywej duszy. Szedł środkiem ulicy, nasłuchując odgłosu własnych kroków, zerkając na prawo i lewo i przypominając sobie w myślach ludzi, którzy mieszkali w każdym domu za czasów jego dzieciństwa. Jeszcze w szkole ułożył poemat, w którym wymieniał ich wszystkich z nazwiska. Poemat oczywiście się nie rymował, ale był dość rytmiczny.

Nagle uświadomił sobie, że stoi pod drzwiami numeru trzydziestego siódmego. Postawił walizkę i zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu klucza. Wszystkie okazje, tysiące razy, kiedy robił to w przeszłości - w szkolnym mundurku, w garniturze urzędnika, w sportowej kurtce w soboty, w mundurze RAF-u na urlopie - natychmiast ożyły w jego pamięci. Wsunął klucz do dziurki. Dom. Skąd każdy wyrusza, jak mówi poeta. To znaczy, inny poeta. Powroty ze szkoły, gdy miał akurat tyle czasu, by zaparzyć herbatę, zanim matka wróci z pralni. Z biura, po wypiciu jednego drinka za dużo, by umknęło to jej czujnemu nosowi. Ze smaganego wiatrem lotniska w Lincolnshire, w towarzystwie skłonnego do burd Chipchase'a. Wracając jak zawsze, jak z tyłu różnych miejsc, obrócił klucz w zamku, pchnął drzwi - i zatrzymał się gwałtownie, gdy szarpnęły łańcuch, odmawiając mu wstępu.

- W moim wieku nie mogę ryzykować, Haroldzie. Tylu dziwnych ludzi kręci się tu ostatnio, mówię ci. A skoro już przy tym jesteśmy, ty też wyglądasz jakoś dziwnie. Włosy całkiem ci zbiełały od słońca. Wyglądasz przez to...

- Staro, mamó?

Wyciągnęła rękę i uszczypnęła go w policzek.

- Jeśli ty jesteś stary, to ja wiekowa. Odłóż te bagaże, a ja tymczasem przy-

gotuję kolację. Od dwóch godzin czeka w piekarniku, więc nie spodziewaj się za wiele.

- Prosiłem, żebyś nic nie szykowała - zawołał za nią, kiedy poczłapała do kuchni.

- Siadaj do stołu! - odkrzyknęła; jej głos mieszał się już z pobrzękiwaniem garnków i talerzy.

Harry usłuchał potulnie. Ten sam stary rozkładany stół, te same funkcjonalne krzesła, te same niklowane sztucce, nawet te same podkładki pod talerze z „katedralnymi miastami Anglii”; zastanawiał się, czy Rochester nadal jeszcze tak wygląda. Gazowy kominek skwierczał znajomo za jego plecami. Zapach potraw ugotowanych przez matkę - zdrowych, prostych i typowych tylko dla niej - owionął go jak dawno zapomniane wspomnienie.

Podczas gdy dzielnie zmagał się z zakrzepłym gulaszem, matka popijała herbatę, szukając u niego znaków świadczących, że się „opuścił”, co uważała za nieuniknione. Nie wspomniała o zapachu piwa w jego oddechu, co stanowiło znaczne ustępstwo, ani też - jak na razie - o przyczynie, dla której opuścił Rodos - charakterystyczny dla niej sposób radzenia sobie z „nieprzyjemnymi” sprawami. Harry'ego zdumiewała jej ruchliwość. Nie widział się z nią od czasu jej niezbyt udanych odwiedzin na Rodos trzy lata temu. Zauważył u niej wówczas oznaki utraty sił. Przyszło mu do głowy, że może wtedy był to skutek gorąca.

Wbrew pierwszemu wrażeniu Harry'ego, warsztaty kolejowe jednak zamknięto. Kilka miesięcy wcześniej barak A, „w którym zginął twój drogi ojciec”, został rozebrany. Instytut Mechaniki, „jak twierdzą w »Advertiserze«”, miał ustąpić miejsca luksusowemu hotelowi. Zarząd postanowił sprzedać dawne domy robotników „za naszymi plecami” prywatnemu właścicielowi. To ostatnie matka traktowała jako osobisty afront. Mieszkała w osiedlu robotników kolejowych przez całe życie. Urodziła się tuż obok, na Exeter Street; pięćdziesiąt sześć lat temu, jako świeżo poślubiona mężatka, przeprowadziła się na Falmouth Street i mieszkała tu do dziś. Teraz, na starość, „jakiś Rachman” miał ją wyrzucić. Harry

starał się dodać matce otuchy, mimo że podzielał jej obawy.

Wynosząc talerze zauważyła bagaże stojące w korytarzu.

- To twoja walizka, Haroldzie?

- Tak, mamo.

- I twój plecak?

- No... nie.

- Więc czyj?

Odchrząknął.

- Heather Mallender. - Matka wróciła do pokoju i wlepiała w niego wzrok. - W środku są jej rzeczy. Muszę je oddać rodzinie.

Postawiła talerze z powrotem na stole, siadła i utkwiała w nim znaczące spojrzenie. Harry zamilkł, poznając, że zaraz wygłosi swoje „powiem to raz i nie będę więcej powtarzać”.

- Powiem to raz i nie będę więcej powtarzać, Haroldzie. Jestem pewna, zupełnie pewna, że nie wyrządziłeś krzywdy tej dziewczynie i nie ma podstaw, absolutnie żadnych podstaw, wierzyć w to, co sugerują niektóre gazety. A już to, co wypisywali w „Courierze”... ale nie martw się. Jestem przy tobie na dobre i złe. A teraz dość o tym. Nie będziemy więcej na ten temat rozmawiać.

To powiedziawszy ruszyła śpiesznie do kuchni.

„Courier”? Szmatławiec, dla którego podobno pracował Minter... Harry poszedł za matką.

- Co pisali w „Courierze”, mamo?

- Nigdy nie kupuję tego paskudztwa - odpowiedziała wymijająco. - Myślisz, że mogę sobie pozwolić na wyrzucanie pięćdziesięciu pensów co niedziela na naręczę śmiecia?

- Co tam napisali?

- Nic bym nie wiedziała, gdyby nie pokazała mi Joan Tipper. I możesz być pewien, że szybko tego pożałowała.

- Ale co tam było?

- Nie pamiętam.

- Och, daj spokój, mamo.

Na chwilę zostawiła naczynia, odwróciła się i spojrzała mu w twarz z ustami zaciśniętymi w wyrazie determinacji.

- Powiedziałam już: nie będziemy więcej o tym rozmawiać. I mam zamiar tego dotrzymać. To moje ostatnie słowo. A teraz wracaj do stołu, a ja podam deser.

- Deser?

- Budyń karmelowy, a cóż by innego?

Prawda: cóż by innego? Harry ustąpił z pola.

Nie próbował jej pomagać przy sprzątanii ze stołu ani zmywaniu; wiedział, co robi. Pozostawiając matkę jej pracochłonnym rytuałom, powlókł się do pokoju od frontu, zmęczony i ociężały, i włączył telewizor. Potem wrócił do przedpokoju, podszedł do wieszaka i z kieszeni kurtki wyjął ćwiartkę szkockiej kupioną w Londynie. Nie zapomniał, że jego matka trzyma w domu jedynie sherry, którego czasem używa do gotowania.

Wróciwszy do pokoju stwierdził, że telewizor się nagrzał. Trwała jakaś dyskusja polityczna przed publicznością zgromadzoną w studio - uznał, że równie dobrze może obejrzeć to, jak coś innego. Chciał wyjąć kieliszki, ale nie znalazł ich w zwykłym miejscu czy raczej nie znalazł tam kredensu, gdzie je przechowywano. Rozglądając się po pokoju, zauważył obok fotela matki otwartą aktówkę; na wierzchu sterty papierów dostrzegł kartkę z nagłówkiem Commonwealth School. Zaciekawiony ukląkł obok i spojrzał na okładkę. Tak jak podejrzewał, na spękanej skórze widniały wytłoczone litery S. R. B. Dawna teczka jego ojca służąca, odkąd sięgał pamięcią, do przechowywania cennych rodzinnych dokumentów. Uśmiechnął się. Dowiedziawszy się o jego powrocie matka przyniosła teczkę ze swej sypialni, by przejrzeć pamiątki z jego dzieciństwa. Oto świadectwa, spięte razem i ułożone latami. I metryka chrztu: kościół Świętego Marka, wrzesień 1935. „Płakałeś od początku do końca”. A tu...

„The Evening Advertiser”, sobota 22 marca 1947. Harry ujął złożony poźół-
kły wycinek, rozprostował go i odczytał znane na pamięć sprawozdanie z jedy-
nego momentu prawdziwej chwały, jaki przeżył:

*Aktu niezwyklej odwagi dokonał wczoraj w Swindon jedenastoletni uczeń, ratując życie porzuconego niemowlęcia. Harold Barnett, mieszkający przy Fal-mouth Street 37, wracał do domu ze szkoły około godziny 16.15. Zatrzymał się na dziedzińcu kościoła Świętego Marka, by popatrzeć na pociąg, i zauważył na to-
rach, około czterystu metrów od stacji w Swindon, kartonowe pudełko. Nim chłopiec zorientował się, co zawiera pudełko, ze stacji ruszył ekspres do Cardiff i szybko zaczął nabierać prędkości. Wykazując godną pochwały przytomność umysłu, młody Harold precyzyjnie przecisnął się przez dziurę w płocie i porwał pudełko spod kół, w ostatniej chwili zapobiegając tragedii. W środku znaleziono niemowlę - jak się okazało - zaledwie parodniowe. Dziecko przebywa w Victoria Hospital i ma się dobrze. Policja apeluje do matki o jak najszybsze zgłoszenie się. Zdaniem funkcjonariuszy, niemowlę zostało wyrzucone z okna przejeżdżającego pociągu albo celowo zostawione na torach. Policjanci pochwalili zachowanie Harolda i opisali go jako „odważnego, bystrego i zaradnego młodzieńca przynoszącego chlubę swojej rodzinie i szkole”.*

Co się z tym wszystkim stało? - zastanawiał się Harry. Zaradność, bystrość, przytomność umysłu: w którym momencie je stracił? Bo musiał je stracić, w przeciwnym razie nie zostałby po szkole zwyczajnym urzędnikiem, nie kierowałby Barnchase Motors, kiedy zbankrutowały, nie dałby się pokonać Royowi Mallenderowi. Na myśl o Royu poczuł lekki ból w żebrach. Podniósł się z kolan. Naraz przez ponure rozważania przebił się głos Alana Dysarta. Harry obejrzał się i zobaczył go na ekranie, siedzącego w obrotowym fotelu między dwoma innymi mężczyznami - chyba politykami reprezentującymi odmienne stanowiska. Przedstawiał stanowisko rządu w jakiejś aktualnej kwestii z charakterystyczną dla

siebie swobodą i erudycją.

- Wysłuchałem z ogromnym zainteresowaniem uwag Denisa Rodwaya - mówił powoli typowym dla siebie tonem, ironicznym i dziwnie sugestywnym - i jestem przekonany, że wszyscy, którym leży na sercu bezpieczeństwo naszego kraju, są mu wdzięczni, że w tak żywy sposób przypomniał nam powody, dla jakich jego partia nie powinna nigdy zostać dopuszczona do władzy. Tak się składa, że ci z nas, którzy krzyczą mniej i myślą więcej niż większość partyjnych kolegów Denisa, są przekonani, iż patriotyzm nie wyszedł z mody ani nie stracił na wartości. Więcej nawet...

Spontaniczne oklaski w studiu zmusiły go, by przerwał. Odchylił się lekko na fotelu i skłonił głowę w podziękowaniu. Nie uśmiechał się, ale i nie obruszał. Powściągliwa reakcja na entuzjazm tłumu stanowiła doskonały kompromis między dumą i pokorą. Rodway, a w każdym razie mężczyzna, którego Harry wziął za Rodwaya, skrzywił się z niechęcią - nietrudno zgadnąć dlaczego. Dysart nie musiał niczego udowadniać ani niczemu zaprzeczać. Bohater wojenny, cel ataków terrorystycznych, sugestywny pisarz, błyskotliwy mówca i uczciwy, przystojny, oddany patriota: uosabiał wszystkie te wartości, które najtrudniej zakwestionować.

Harry opadł na fotel i pociągnął z butelki łyk szkockiej. Sądził, że niepowodzenia spotykają wszystkich. A przecież miał przed sobą żywy obraz tego, jak należy zdobywać w życiu znaczenie i wartość, w jaki sposób kształtować swój charakter do chwili, gdy przychodzą osiągnięcia. Na czym polegał sekret sukcesów Dysarta? Odziedziczone bogactwo? Niewątpliwie stanowiło ułatwienie. Szczęście? Na pewno odegrało pewną rolę. A może jeszcze coś? Jakakolwiek była to cecha, Harry nigdy jej nie posiadał albo też utracił ją gdzieś po drodze. Jego życie stanowiło dowód, że bystrość, zaradność i przytomność umysłu nie przydają się na nic. Pozostawała tylko odwaga. I to na jej cześć wzniosł cichy toast, mając nadzieję, że nadal kryje się gdzieś w jego wnętrzu.

XIII

W miejscu gdzie dawniej stał warsztat A rozciągała się płaszczyzna pokryta lekko dymiącym gruzem. Harry'emu, patrzącemu w zimny szary poranek od strony Rodbourne Road, nie chciało się wierzyć, że tak nagły i nieodwołalny koniec mógł spotkać ten budynek, który zapamiętał jako ogromny, posepny i niewzruszony element życia miasteczka.

Po drugiej stronie ulicy dwa inne warsztaty, gdzie wykonywano kotły i cysterny, stały jeszcze, ale zarośnięte chwastami i opuszczone, jak gdyby świadome czekającego je losu. Robotnicy, których Harry pamiętał, jak wylewali się po pracy przez bramy, pieszo lub na rowerach, tamując ruch, wszyscy w płaskich czapkach i drelichach, zniknęli na zawsze.

Przygnębiony skalą i tempem zmian w rodzinnym mieście, ruszył w stronę centrum. Samochody i ciężarówki zdawały się wszechobecne, a hałas i spaliny były tak dotkliwe, że zdumiewał się, jak mieszkańcy mogą się na nie godzić. Przypomniawszy sobie swoje narzekania na motocyklistów w Lindos i przyznał Kostasowi rację: nie potrafił docenić, gdzie mu było dobrze.

Brunel Centre oferowało bezpieczne schronienie przed ruchem, ale za pewną cenę. W przejściach tłoczyli się ludzie, dokonujący świątecznych zakupów, a nad tumultem rozlegało się brzęczenie elektronicznych kołęd; Harry miał trudności ze znalezieniem drogi w labiryncie stoisk. Na rogu pomarszczony stary mężczyzna grał na akordeonie; melodię zagłuszały sztuczne dzwonki. Harry, przekonany, nie wiadomo dlaczego, że staruszek jest dawnym pracownikiem kolei, wrzucił mu do kapelusza pięćdziesiąt pensów, ale tamten nie podniósł nawet wzroku, by pochwycić jego współczujące spojrzenie.

Wybierał się do Biblioteki Centralnej na południu miasta, ale kiedy się wyrzucił z zatłoczonego labiryntu uświadomił sobie, że zanadto zboczył na wschód. Naprzeciw zobaczył rzeźbę, którą matka opisywała mu przy śniadaniu, a której nie był sobie w stanie wtedy wyobrazić. Trzymetrowy brązowy pomnik „Nie-

zwykłych Blondinich” wyobrażał dwoje akrobatów, mężczyznę i kobietę. Mężczyznę przedstawiono na linie, kobieta siedziała mu na ramionach, balansując na czole cełkowaną parasolką. Oboje mieli na sobie różowe rajstopy i żółte trykoty. Jak się Harry dowiedział, pomnik został wykonany w odlewni kolejowej i stanowiął ostatnie zamówienie przed zamknięciem warsztatów.

Musiał stać przed rzeźbą z otwartymi ustami już od paru minut, kiedy tuż za nim odezwał się kobiecy głos.

- Harry?

Odwrócił się.

- Harry! Niech skonam, to naprawdę ty!

W pierwszej chwili jej nie poznał. Miała około czterdziestu lat i starała się - nie bez powodzenia - wyglądać na bliższą trzydziestki. W kostiumie z tenisu i białej bluzce z falbankami, z wyszukany makijażem i blond włosami ułożonymi w luźne loki, wyglądała na elegancką kobietę interesu w każdym calu. Tylko ten głos... Głos brzmiał znajomo - i wcale nie elegancko. Należał do Jackie Fleetwood, sekretarki, która została najpierw kochanką, potem żoną Barry'ego Chipchase'a, a w końcu niewiele mniej niż jego współniczką w przestępstwie.

- Czytałam o tobie w gazetach, Harry. Coś mi się zdaje, że byliśmy niegrzecznym chłopcem. A może opowiesz mi całą historię przy filiżance kawy?

Harry nie rozumiał, dlaczego nie potrafi obudzić w sobie gniewu, który czuł przed szesnastoma laty. Stała przed nim Jackie Oliver, poprzednio Chipchase, jeszcze wcześniej Fleetwood, pachnąca perfumami Chanel. Widział ją pierwszy raz od dnia, kiedy zniknęła wraz z Barrym latem 1972 roku i zostawiła Harry'ego, by samotnie zmagął się z wierzycielami i obmyślał wymyślne tortury, jakim poddałby tych, którzy go opuścili. Sam nie wiedział: śmiać się czy płakać; podziwiać jej bezczelność czy domagać się przeprosin.

Jackie usiadła naprzeciw przy malutkim narożnym stoliku w jaskrawo oświetlonej kawiarence. Wyzywająco skrzyżowała nogi, ukazując kilka cali

kształtnych ud, popijała cappuccino drobnymi łyżkami i paliła długie papierosy w taki sposób, żeby Harry nawet na chwilę nie tracił z oczu jej zaręczynowego pierścionka z brylantami. Zachowywała się, jakby oczekiwała, że jej wdzięki i widoczna zamożność powstrzymają jego skargi, nawet jeśli nie wzbudzą podziwu.

- Zostawiłam Barry'ego, gdy tylko się zorientowałam, że nie umie trzymać łap z dala od señoritas. Przez kilka lat prowadziłam przedstawicielstwo w Benidorm, potem wróciłam do kraju. W osiemdziesiątym trzecim wyszłam za Tony'ego. Miał zamiar przenieść swoją firmę, więc pomyślałam o rodzinnych stronach. A teraz sama się wzięłam do interesów i otworzyłam salon fryzjerski. Jacoranda Styling. Parę kroków stąd. Widziałeś?

- Obawiam się, że nie.

- A może byś wpadł? Przyda ci się strzyżenie. Na koszt firmy, po starej znajomości, co?

Posłała mu szeroki uśmiech. Harry uświadomił sobie, że przygląda się kobiecie, próbując sobie przypomnieć, czy jej zęby były tak samo równe i białe, kiedy zetknął się z nią po raz pierwszy.

- Chyba nie skorzystam. W każdym razie dziękuję za propozycję.

- Jak chcesz. - Nachyliła się, ukazując spory fragment dekoltu, gdy niedbale zapięta bluzka rozchyliła się na chwilę. - Widziałeś wczoraj Ala w telewizji?

- Ala?

- Alana Dysarta. Przystojniak z niego, nie?

- Chyba tak.

- Gdybym tylko dwadzieścia lat temu wiedziała, że zajdzie tak wysoko... - W jej zamglonym spojrzeniu Harry dojrzał błysk żalu; żalu - jak podejrzewał - że postawiła w Barnchase Motors na niewłaściwego człowieka. - Dziwne, nie sądzisz? - ciągnęła. - Wszyscy z Barnchase do czegoś doszli, z wyjątkiem...

- Mnie?

Uśmiechnęła się.

- Nie ja to powiedziałam, Harry. Chociaż, muszę przyznać, nie wydaje mi się, żebyś zrobił to wszystko, co wypisują w gazetach. Ostatecznie do mnie nigdy się nie dobierałeś, prawda?

- Nie, Jackie, nigdy. - Powstrzymał się od dodania: mimo licznych zachęt z twojej strony.

Przez moment jej wzrok sugerował, że nie spotkałoby go rozczarowanie, gdyby spróbował wyjść poza stosunki czysto zawodowe, potem odchyliła się na krzesło, wydmuchnęła kłęb dymu i zapytała:

- Naraziłeś się czymś „Courierowi”?

- Nic o tym nie wiem.

- Sądziłam, że tak, po tym, co o tobie napisali kilka dni temu.

- A co takiego napisali?

- Nie widziałeś?

- Nie.

Jej wyskubane brwi uniosły się ze zdumienia.

- Serio? - Spojrzała na zegarek na złotej bransoletce. - Chryste, już tak późno? Muszę lecieć.

Harry siedział spokojnie, zdecydowawszy, że chce zostać sam. Jackie wstała, wyjęła z torebki banknot pięćfuntowy i wsunęła pod jego talerzyk.

- To na rachunek - powiedziała. - Ja stawiam.

Harry słuchał, jak stukają jej wysokie obcasy, kiedy szła do wyjścia, i obserwowwał dym z jej papierosa rozplywający się w powietrzu. Czuł, że byłoby lepiej, gdyby się pokłócili o przeszłość, albo zwyczajnie udali, że się nie znają. Wszystko jest lepsze niż uświadomienie sobie własnej niezdolności, by się uporać z usprawiedliwionym gniewem. Albo niż zdanie sobie sprawy, że nawet w opinii Jackie Fleetwood potrzebuje wsparcia.

Odszukał artykuł, który czytali chyba wszyscy poza nim, w dziale podręcznym Biblioteki Centralnej w Swindon. Na piątej stronie „Couriera” z 20 li-

stopada znajdował się materiał zatytułowany: „Maleją nadzieje na odnalezienie młodej Angielki zaginionej na greckiej wyspie”, podpisany nie przez kogo innego, jak Jonathan Minter:

Tydzień w polityce to długi okres; gdy poszukuje się zaginionej osoby, zdaje się wiecznością. Heather Mallender, angielska nauczycielka, przebywająca na wakacjach na Rodos w posiadłości członka parlamentu i ministra obrony Alana Dysarta, zaginęła bez śladu 11 listopada podczas wycieczki na szczyt góry w głębi wyspy. Rośnie prawdopodobieństwo, że dołączy ona do rzeszy tych, którzy nigdy nie zostają odnalezieni. Tymczasem Harry Barnett, jedyny człowiek mogący rzucić światło na całą sprawę, nie zrobił ani nie powiedział nic, co mogłoby ułatwić poszukiwania. Gdy w ubiegłym tygodniu rozmawiałem z 55-letnim, nie mającym stałego zatrudnienia Barnettem w barze, gdzie spędza on większą część czasu, sprawiał wrażenie człowieka bardziej zainteresowanego ratowaniem własnej skóry niż odnalezieniem młodej kobiety, z którą - jak twierdzi - łączyły go jedynie więzy przyjaźni. Niechętnie wspomina, co wydarzyło się podczas jego przejażdżki z panną Mallender tamtego tragicznego dnia. Wykazał jeszcze mniej zapału, gdy zapytałem o jego burzliwą przeszłość i obecne mętne sprawy. Krótko mówiąc, Harry Barnett ma wiele do ukrycia...

Harry złożył gazetę. Nie potrzebował czytać dalej. Prawdę mówiąc, nie był w stanie. Zabolały go nie tyle nieścisłości - spodziewał się ich od początku - ale stwierdzenia w rodzaju: „ma wiele do ukrycia” i „zinteressowany ratowaniem własnej skóry”; czy Minter naprawdę tak o nim myślał? Harry nie mógł w to uwierzyć. A jednak w przeciwnym razie po co przedstawiałby go w tak negatywnym świetle?

Idąc od swojego stołu do biurka bibliotekarza i potem do wyjścia Harry miał wrażenie, że wszyscy go obserwują; wiedzą, kim jest i dlaczego prosił o „Couriera” z 20 listopada. Zdawał sobie sprawę, że to absurd: gazeta nie zamieściła

jego zdjęcia i nikt w Swindon (z wyjątkiem Jackie Oliver) go nie rozpoznał, a jednak nie mógł się uwolnić od tego wrażenia.

Wyszedł z biblioteki, roztrząsając ponuro niesprawiedliwość życia, i omal nie wpadł na jakiegoś człowieka, który właśnie się zbliżył i wyciągał rękę na powitanie. Harry zatrzymał się gwałtownie i, ku swemu zdumieniu, poznał Alana Dysarta.

- Witaj, Harry - przywitał go Dysart, uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

- Nie spodziewałem się, że się tak szybko spotkamy.

Harry w odpowiedzi uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Ja też nie.

- Pewnie się zastanawiasz, skąd wiedziałem, gdzie cię szukać.

- No... tak.

- Po prostu odwiedziłem Falmouth Street. Twoja matka powiedziała mi, jak się przejąłeś artykułem w „Courierze”, więc pomyślałem, że będziesz go chciał przeczytać jak najszybciej. Widziałem cię wchodzącego do środka. - Kolejny uśmiech. - I postanowiłem zaczekać.

Umiejętność przewidywania reakcji innych nigdy nie zawiodła Dysarta, pomyślał Harry. Może to był ten sekret jego sukcesu, który przeoczył wczoraj. Może to właśnie nadawało jego słowom i czynom ową spokojną, doprowadzającą do szalu pewność.

- Zarezerwowałem stolik w Goddard Arms - ciągnął Dysart. - Mam nadzieję, że pozwolisz się zaprosić na obiad?

Stanowiło to znakomity wybór, choć kryła się w nim ironia. Goddard Arms był to obrośnięty bluszczem georgiański pub w zabytkowej części Swindon, dokąd Harry zabierał lepszych klientów Barnchase Motors w odległych, szczęśliwszych dniach. W takich wypadkach zostawiał Dysarta, żeby pilnował interesu. Koło fortuny wykonało pełny obrót: teraz Dysart występował w roli hojnego gospodarza, Harry - ubożego gościa.

- Zostawiłem samochód za rogiem. Co ty na to, żebyśmy tam od razu poje-

chali?

I Harry powiedział to, co mówił zawsze, kiedy miał do czynienia z nieustępliwą wspaniałomyślnością Dysarta. Powiedział „tak”.

Kelner skrzywił się na widok zaniedbanej powierzchowności Harry'ego, ale bezbłędnie rozpoznał w Dysarcie ważną osobistość, więc nie zgłaszał obiekcji. W mgnieniu oka przygotowano stół przy oknie, i już po chwili Harry sącył chablis i elegancko skubał wędzonego łososa, jakby przez całe życie nic innego nie jadał.

- Dotarła do mnie twoja wiadomość - odezwał się Dysart. - Nie mam ci za złe, że opuściłeś Lindos. Atmosfera musiała się stać bardzo nieprzyjemna.

- Właśnie. - Harry nie miał zamiaru zdradzać, co naprawdę popchnęło go do wyjazdu. - Przykro mi, że zostawiłem willę bez dozoru.

- Nawet o tym nie myśl. Kostas będzie miał oko na wszystko. Kiedy zamierzasz wrócić?

- Nie wiem.

- No cóż, nie ma pośpiechu. Jak się czujesz w domu?

- Też trudno powiedzieć. Zagubiony. Jak gdyby Anglia, do której przyjechałem, nie była tą Anglią, którą opuszczałem.

- Bo tak jest, Harry. Poszliśmy naprzód co najmniej o dziewięć lat. Wyjeżdżałeś z nudnej, starej, powojennej Anglii, a wróciłeś do świata zaawansowanych technologii, ogarniętego kultem przedsiębiorczości. Nikt cię nie uprzedził? - Dysart uśmiechnął się, by pokazać, że bawi go zarówno własny opis, jak i zmieszanie Harry'ego. - Widziałeś mnie wczoraj wieczorem w telewizji?

- Tak. Zrobiłeś na mnie wielkie wrażenie. Jak zwykle.

Dysart pochylił się nad stołem i zniżył głos.

- Bzdura. Byłem sprawny. Byłem błyskotliwy. Byłem wygadany. To kwestia treningu, Harry, nic więcej. Trochę inteligencji i ani odrobiny zaangażowania. Inteligencji też wcale nie za dużo, jak już o tym mowa. Wszyscy jesteśmy po

prostu specami od reklamy.

- Specami od reklamy?

- Wizerunek, prezencja decydują o wszystkim. McLuhan miał rację: środek przekazu naprawdę jest przekazem.

- Mówisz poważnie? A co z patriotyzmem? Wczoraj wieczorem twierdziłeś...

- Że „nie wyszedł z mody ani nie stracił na wartości”? Ładny zwrot, nie? Prawda jest taka, Harry, że patriotyzm to pusta klatka, z której ptak już dawno wyleciał. Nie skarzę się: ostatecznie to patriotyzm pozwolił mi wejść do parlamentu, ale nie...

Umilkł i zapatrzył się na ruchliwą High Street. Harry widywał już u Dysarta podobne chwile retrospekcji. Zdawały się sygnalizować niezadowolenie, przelotną utratę wiary w to, co mówił w danym momencie. Kończyły się równie niespodziewanie, jak się pojawiały. I tym razem Harry czekał cierpliwie, aż jego towarzysz się ocknie.

- Dajmy spokój polityce - powiedział w końcu Dysart. - Porozmawiajmy o tobie. Kiedy dzwoniłeś z Lindos mówiłeś, że nie możesz po prostu siedzieć na miejscu czekając, aż wszyscy zapomną Heather.

- Przecież tak się właśnie działo.

- Ale nie sądzisz chyba, że to przyśpieszyłem, zabierając Roya? A przy okazji, jak tam głowa?

Harry uśmiechnął się zmieszany.

- W porządku. Chciałem ci powiedzieć, jaki jestem wdzięczny...

Dysart uniósł dłoń.

- Proszę. To najmniejsze, co mogłem zrobić. Powinienem był przewidzieć, do czego Roy się posunie.

Utkwił w Harrym uważne spojrzenie.

- Mam nadzieję, że nie wróciłeś, żeby wyrównać z nim rachunki?

Harry pokręcił głową.

- Nie. Im rzadziej będę spotykał Roya, tym lepiej.

- Więc co masz zamiar zrobić, żeby Heather nie została zapomniana?

- Chcę ją odnaleźć, jeśli zdołam. A jeśli się nie uda, to przynajmniej ustalić, co ją naprawdę spotkało.

Przez mgnienie Dysart wydawał się zaskoczony, jak gdyby dostrzegł w Harrym coś, czego się po nim nie spodziewał. Wyjął butelkę chablis z wiaderka z lodem i dolał im obu, potem zapytał cicho:

- Czy dlatego wróciłeś do domu, Harry? To właśnie masz nadzieję tutaj uzyskać?

- Tak, częściowo.

- Ale Heather zniknęła na Rodos. Dlaczego chcesz jej szukać w Anglii? Chyba że... - Przerwał na dość długą chwilę, by pokazać, że domyśla się przyczyny. - Chyba że wiesz coś, czego nie wie policja.. Natrafiłeś na jakiś ślad... jakieś dowody...

- Nie, nic podobnego. - Harry uśmiechnął się i wzruszył ramionami, ale poczuł, że jego słowa wywarły skutek przeciwny do zamierzonego. Odezwał się zbyt szybko, ze zbyt dużym naciskiem. Przenikliwe oczy Dysarta nie dadzą mu już spokoju, będą go sondować, aż znajdą to, czego pragną.

- Więc czemu zaczynać tutaj?

Zrozumiałe pytanie, ale odpowiedź na nie nawet dla Harry'ego brzmiała nieprzekonująco.

- Bo tutaj mieszkają jej przyjaciele. Tu mogę znaleźć ludzi, którzy znali ją lepiej niż ja.

Dysart pogładził brodę w zamyśleniu.

- Czego masz nadzieję się od nich dowiedzieć?

- Chyba tego, w jakim stanie psychicznym znajdowała się naprawdę. Ja sam z całą pewnością źle go odczytałem.

- Czyżby?

- Wydawało mi się, że przezwyciężyła swoje problemy.

- Więc dlaczego sądzisz, że było inaczej?

- No cóż, to by wyjaśniało jej ucieczkę, prawda? Jeśli uciekła.

- Jak sam powiedziałaś, jeśli uciekła. W tym punkcie się z tobą zgadzam: zaproponowałem jej, żeby się zatrzymała w willi, bo myślałem, że w końcu doszła do siebie po stracie siostry. Chyba czułem się w jakiś sposób winien śmierci Clare... zresztą nadal się czuję, skoro już o tym mowa. Więc bardzo chciałem pomóc Heather, w każdy możliwy sposób. Musiała w duchu żałować, że to nie ja pierwszy wszedłem na pokład Artemidy tamtego ranka, chociaż nigdy tego nie powiedziała. Tak czy inaczej, z mojego punktu widzenia, zasługiwała na wszelkie względy.

Dysart nigdy nie powiedział Harry'emu wiele o okolicznościach śmierci Clare Mallender. Nie było w tym nic dziwnego: równie niechętnie wspominał o swoich spotkaniach ze śmiercią na południowym Atlantyku. Teraz jednak zdawało się, że pragnie przełamać śluby milczenia.

- Ci, którzy przeżyli zawsze czują się winni. Wszystko rozgrywa się w ciągu paru sekund. Potem człowiek rozważa wszystko spokojnie w myślach, zastanawia się, jak mógł uratować tych, którzy zginęli albo zapobiec całemu zdarzeniu. To jałowe zajęcie, ale nieuniknione. Heather chciała wiedzieć dokładnie, jak zginęła Clare, więc jej powiedziałem. Może zbyt szczegółowo. Może od tego zaczęły się wszystkie jej kłopoty. To się stało w samym środku kampanii wyborczej. Całą niedzielę spędziłem w Tyler's Hard, pisząc przemówienia na następny tydzień. Clare przyjechała z Londynu w poniedziałek rano, żeby je przejrzeć razem ze mną. Na obiedzie mieliśmy się spotkać z moim agentem. Poprzedniego dnia, w niedzielę, była ładna pogoda, więc pracowałem na pokładzie Artemidy. To moja słabość; najlepiej mi się myśli na wodzie. Zapomniałem zabrać ze sobą papiery, o czym przypomniałem sobie dopiero w poniedziałek rano, po przyjeździe Clare. Poszła po nie. Byłem w kuchni z panią Diamond, sprzątaczką, kiedy usłyszeliśmy wybuch. Rozerwał Artemidę i większą część pomostu na kawałki. Clare musiała zginąć natychmiast: to chyba jedyna dobra rzecz w tym wszystkim. Bombę podłączono w taki sposób, że wystarczyło otworzyć drzwi,

aby ją zdetonować: podręcznikowe rozwiązanie. Gdybym przypomniał sobie wcześniej albo gdyby Clare nie zaproponowała, że je przyniesie... No cóż, czasem życie zależy od przypadku. Problem w tym, że kiedy zaczyna się zbyt dużo rozmyślać o tym, jak łatwo nas zabić, jak wiele zawdzięczamy przypadkowi - wszystko jedno, czy działa on na naszą korzyść, czy nie - umysł zostaje wytrącony z równowagi. Załamania Heather nie spowodowała okrutna śmierć siostry ani ból po stracie, ani nawet wstrząs, jakim jest uświadomienie sobie bezwzględności terrorystów, gdy wybierają swoje ofiary. Moim zdaniem Heather w ogóle nie przeżyła załamania. Ona zwyczajnie przestała przestrzegać obowiązujących w społeczeństwie zasad dotyczących tego, co się powinno, a czego nie powinno się mówić i myśleć. Jest ogólnie znaną prawdą, że jeśli uświadomić sobie kruchość życia, nasze szczegółowe plany co do przyszłości wydają się śmieszne. Ale jak wielu z nas naprawdę w to wierzy? Jak wielu z nas rzeczywiście przyjmuje, że lada chwila może wpaść pod przysłowiowy autobus? Odpowiedź brzmi: bardzo nieliczni, i zwykle uważa się ich za obłąkanych. Żyć chwilą to uświadamiać sobie, jak bardzo pusta jest teraźniejszość. Na południowym Atlantyku widziałem, jak spotkało to paru porządnych ludzi. I widziałem, że dotknęło także Heather. Wychodzenie z takiego stanu to długi i trudny proces. Sądziłem, że Heather ma go za sobą, do czasu kiedy...

- Kiedy zniknęła na Profitis Ilias?

- Tak. Do tego momentu. Oczywiście brak mi fachowej wiedzy, by się wypowiedzieć na temat jej kondycji psychicznej. Jeśli chcesz zasięgnąć informacji na ten temat będziesz musiał skontaktować się z jej psychiatrą.

- Właśnie miałem zamiar to zrobić. Chociaż mało prawdopodobne, by chciał mi udzielić poufnych informacji o pacjentce. Poza tym nie sądzę, żeby Mallenderowie szczególnie chętnie podali mi jego nazwisko i adres.

Dysart uśmiechnął się.

- Tak się składa, że nie musisz ich o to prosić. Psychiatra nazywa się Kingdom, Peter Kingdom. Ma gabinet w Londynie. Nie znam dokładnego adresu, ale

Heather wspominała, że to gdzieś w Marylebone. Powinieneś go znaleźć w książce telefonicznej, jeśli uważasz, że warto spróbować.

Harry nie mógł stłumić w sobie odruchu niechęci, że Heather zwierzała się Dysartowi ze spraw, o których z nim nie rozmawiała. Nie miał jednak zamiaru poddawać się temu uczuciu. Jeszcze raz zaciągnął dług u Dysarta.

- Pewnie że warto - powiedział, starając się, by w jego głosie zabrzmiała wdzięczność. - Skontaktuję się z nim najszybciej, jak się da.

Po wyjściu z Goddard Arms Dysart zaproponował przejażdżkę po okolicy. Harry dziwił się, że Alan nie ma żadnych spraw do załatwienia, ale nie oponował. Skierowali się na południe przez Wroughton w stronę Marlborough Downs. Na szczycie Barbury Hill Dysart zawrócił i zatrzymał samochód. Przed nimi rozciągała się White Horse Valley; ostry wiatr szarpał niskie kępy trawy widoczne przez szybę samochodu. Harry, który stanowczo zaprzeczał, jakoby był wrażliwy na uroki natury, poczuł mimo wszystko coś w rodzaju emocjonalnego związku z tą okolicą. Możliwe, że były temu winne widoczne na horyzoncie bloki Swindon, symbolizujące na dobre i na złe jego miejsce na ziemi. Dysart, choć pochodził z innych stron, zdawał się podzielać jego nastrój.

- Podczas wojny o Falklandy - powiedział - marzyłem o takich widokach: Anglia niby z jakiejś doskonałej pastelowej miniatury. To najbardziej niebezpieczne uczucie; sprawia, że zaczynasz tęsknić za domem. Teraz, gdy tutaj mieszkam, rzadko nawet myślę, jak tu pięknie. - Milczał przez dłuższą chwilę, potem dokończył: - Heather przeszła wraz z Clare szlak po szczytach, kiedy obie jeszcze studiowały. Wspominała ci o tym?

- Nie.

- To jedna z ostatnich rzeczy, jakie zrobiły razem. - Umilkł. - Myślę że Heather czuła się usunięta w cień przez siostrę. Clare była starsza inteligentniejsza, odnosiła sukcesy: musiało się wydawać, iż przerasta Heather pod każdym względem. Wdzięk, piękno, błyskotliwość. Bez pomocy Clare nie wygrałbym

chyba wyborów w osiemdziesiątym trzecim. Wszechstronnie uzdolniona sportsmenka po Oksfordzie, rozpoczynająca karierę polityczną. Skromna nauczycielka młodszych klas musiała się przy niej wydawać i czuć mało pociągająca. Kiedy Clare zginęła nikt nie powiedział: „Jaka szkoda, że musiała zginąć utalentowana siostra, a szara myszka pozostała przy życiu”, ale Heather sądziła, że wszyscy tak myślą, co było równie złe.

- I to przyczyniło się do jej załamania?

- Jestem pewien. A przy okazji, skoro tak wysoko ją cenię, może przyszło ci do głowy, że była dla mnie kimś więcej niż asystentką.

Harry'emu przemknęła podobna myśl, ale nie zamierzał się do tego przyznać.

- Wcale bym ci się nie dziwił. Bóg wie, wśród polityków takie rzeczy są na porządku dziennym. Prawda wygląda tak, że łączyły nas jedynie kontakty zawodowe.

Zapadła cisza. Dysart nie popełnił błędu, tłumacząc się zbyt gorliwie, i Harry nie miał powodów wątpić w to, co usłyszał. Prawda, pani Dysart rzadko odwiedzała Rodos wraz z mężem, ale jej niechęć do żeglarstwa całkowicie to tłumaczyła. O ile Harry wiedział, małżeństwo Dysarta należało do udanych; on i jego żona z równą łatwością zaakceptowali napięcia życia polityka, jak i rozstania spowodowane służbą na morzu. Harry był na ich ślubie w Devon osiemnaście lat temu; wierzył, że związek, który przetrwał tak długo, musi być szczęśliwy. Powrócił myślami do tamtego dnia: wiejski kościółek w South Hams, oficerowie marynarki i kobiety ze służby pomocniczej w galowych mundurach, mieszkańcy hrabstwa w garniturach z kwiatami w butonierkach, wielki różowy namiot na terenie przylegającym do rezydencji, szampan lejący się strumieniami. Nagle na horyzoncie pamięci zamajaczyło coś ważnego i dobrze znanego i znowu umknęło. Co to było? Co takiego słyszał albo widział, co teraz powinien sobie przypomnieć? Właśnie próbował się skupić, kiedy Dysart odezwał się znowu i - cokolwiek to było - umknęło spłoszone jego słowami.

- Dobrze, że mogliśmy porozmawiać. Obawiałem się, że się nie spotkamy;

wieczorem lecę do Stanów na konferencję NATO. Na szczęście samolot odlatuje z Brize Norton, więc mogłem wpaść do Swindon bez problemu. Nie będzie mnie przez tydzień. Po powrocie chciałbym usłyszeć, czego się dowiedziałeś od naszego doktora..

Harry miał niemal wrażenie, że Dysart nie tyle oferuje mu pomoc, ile popycha go w określonym kierunku. Nie mógł sobie przypomnieć, kto pierwszy rzucił myśl, by odwiedzić Kingdoma.

- Znasz go? - zapytał obojętnie.

- Poznałem go kiedyś przypadkiem. Ale nie chcę ci nic sugerować. Spieraliśmy się w pewnych kwestiach politycznych, jeśli dobrze pamiętam, ale to niekoniecznie musi podważać jego autorytet jako lekarza. - Dysart uśmiechnął się leciutko z własnego żartu. - A w ogóle, Harry, jak stoisz z finansami?

Nie skończyło się więc na kierowaniu. Pojawiła się sprawa pieniędzy.

- Jestem wypłacalny, dzięki.

- Daj mi znać, gdybyś potrzebował pożyczki.

- Nie musisz...

- Po to ma się przyjaciół. Nie narzekam na brak środków. Zaslugujesz na nie w nie mniejszym stopniu, niż mój księgowy.

- Nawet jeśli...

Dysart uniósł rękę na znak, że rozumie obiekcje Harry'ego.

- Nie naciskam. W każdym razie oferta pozostaje aktualna, daj mi tylko znać. Zerknął na zegarek.

- Oho, muszę się zbierać.

W milczeniu zjechali ze wzgórza; kosztowny daimler mrucał cicho, mknąc szosą w kierunku Swindon. Powrót do Anglii, myślał Harry, pozwolił wyklarować jego stosunki z Dysartem. Harry służył mu za maskotkę, przypomnienie skromnych początków, żywy przykład tego, kim staje się człowiek pozbawiony szczęścia, pieniędzy, talentu. Oglądał kiedyś film o starożytnym Rzymie. Zwycięski wódz, wjeżdżając tryumfalnie do miasta, prowadził swój legion ulicami

wśród wiwatów tłumów oddających mu cześć niemal boską. W rydwanie u jego boku stał niepozorny mężczyzna w tunice z końskiego włosia i raz po raz szeptał mu do ucha: „Pamiętaj, że jesteś człowiekiem; nie jesteś nieśmiertelny, nie jesteś nieomylny, jesteś zwykłym człowiekiem”. Po raz pierwszy Harry zobaczył wyraźnie, że taka sama rola przypadła mu w tryumfie Dysarta. Stanowił dla tego człowieka sukcesu personifikację klęski. Hojność Dysarta bardziej precyzyjnie można by określić mianem patronatu, a przyzwolenie Harry'ego - zgodą na odegranie przydzielonej sobie roli.

Wpatrywał się w swoje odbicie w przedniej szybie; sunęli wilgotną opadającą szosą, czarne gawrony, kracząc, podrywały się do lotu z szarozielonych pól po obu stronach. Twarz, którą widział przed sobą i niejasno rozpoznawał, należała do człowieka, którym już nie był. Przepity, leniwy stróż Villa ton Navarkhon przestał istnieć. Harold Mosley Barnett wyruszał w drogę, by stać się tym, kim było mu przeznaczone.

XIV

Opuszczając Swindon następnego dnia rano Harry powiedział matce tylko tyle, że udaje się do Weymouth, by zwrócić rodzinie Heather jej rzeczy, i być może zatrzyma się tam dzień lub dwa. Nie chciał zdradzać, co naprawdę ma nadzieję uzyskać dzięki tej podróży, bo sam nie był tego całkiem pewien.

Znalazł się w Londynie przed dziesiątą w zimny mokry poranek. Idąc za radą Dysarta odszukał adres doktora w książce telefonicznej. Gabinet znajdował się parę kroków od dworca Paddington; pokoje na pierwszym piętrze przy Crawford Street. Mosięzna wizytówka doktora gineła w cieniu platynowych tabliczek jakiegoś środkowoeuropejskiego koncernu, którego biura mieściły się na parterze. Poczekalnia była pusta, ale w przyległym pokoju Harry znalazł sekretarkę przepisującą jakiś tekst z taśmy.

- Chciałem się dowiedzieć, czy mógłbym się spotkać z doktorem Kingdo-

mem.

Sekretarka - młoda Azjatka o wytwornym, nieco pogardliwym sposobie bycia - po odmierzonej chwili zdjęła słuchawki i przyjrzała mu się przez okulary. Sprawiały one, że jej oczy wydawały się ogromne i nabierały wyniosłego wyrazu.

- Nie był pan umówiony - powiedziała.

Nie tylko zabrzmiało to jak jednoznaczne stwierdzenie: towarzyszyło mu lekkie zmarszczenie brwi sugerujące, że z zaniedbanej powierzchowności Harry'ego kobieta wnosi, iż nie stać go na dobrego lekarza.

- Wiem o tym, ale...

- Pańskie nazwisko?

- Barnett. Harry Barnett. Doktor mnie nie...

- Nie jest pan pacjentem doktora Kingdoma. - I znowu było to stwierdzenie, a nie pytanie.

- Nie jestem, ale...

- Doktor przyjmuje nowych pacjentów wyłącznie na podstawie pisemnego skierowania od lekarza ogólnego.

- Zaraz wszystko wyjaśnię. - Z uśmiechem, który miał być rozbijający, Harry przysiadł na skraju krzesła. - Nie chodzi mi o konsultację. Chciałbym porozmawiać z doktorem Kingdomem o jednej z jego pacjentek, a mojej bliskiej znajomej, która niedawno zaginęła. Być może czytała pani o tym w gazetach: Heather Mallender.

Zdawało się, że kobieta złagodniała na chwilę, wyczuł to z całą pewnością. Jak gdyby chodziło o coś więcej niż tylko znajome nazwisko. Ale nie powiedziała nic; nie potwierdziła jego podejrzeń ani im nie zaprzeczyła.

- Czytała pani o niej?

- Tak. - Niechętnie skinęła głową.

- Może więc czytała pani i o mnie.

- Barnett? - zmarszczyła brwi, potem znowu skinęła. - Tak. Pan ostatni ją widział, nim zniknęła. W Grecji. Miesiąc temu.

- Heather była pacjentką doktora Kingdona, prawda?

- Tak.

- Możliwe więc, że chciałby ze mną porozmawiać. Na pewno zmartwiła go wiadomość...

- Doktor Kingdom przebywa obecnie za granicą. Nie będzie go do poniedziałku.

- Ach, rozumiem.

Nagle o czymś sobie przypomniała.

- Był o panu artykuł w „Courierze”. Tak, pamiętam, że go czytałam...

Jej spojrzenie stało się uważniejsze, jakby próbowała ocenić, widząc Harry'ego przed sobą, w jakiej mierze opis Mintera odpowiada prawdzie. Harry uznał za złośliwość losu, że wszyscy, których spotyka, należą do czytelników „Couriera”.

- Naprawdę ma pan „wiele do ukrycia”? - zapytała po chwili wahania.

- Nie powinna pani wierzyć we wszystko, o czym piszą w gazetach, panno...

- Labrooy. Panno Labrooy. - Uśmiechnęła się po raz pierwszy, z nieoczekiwaną wyższością. - Prawdę mówiąc, panie Barnett, nie wierzę w nic, co piszą w gazetach.

Harry'ego ogarnęło dziwne wrażenie, że sekretarka poddaje go głębokiej analizie, której nie powstydziliby się sam doktor.

- Prawda, panno Labrooy, jest taka, że bardzo się martwię o Heather. Wbrew temu, o czym przekonują gazety, nie wiem, gdzie się znajduje ani jak się miewa, ale próbuję się tego dowiedzieć na wszelkie możliwe sposoby. Miałem nadzieję, że doktor Kingdom mi odpowie, czy jej zniknięcie może mieć wyjaśnienie psychologiczne. Czytała to na krótko przedtem. - Pogrzebał w plecaku i wyciągnął „Psychopatologię życia codziennego”.

- Spotkania z pacjentami są objęte całkowitą tajemnicą. Doktor nie mógłby panu nic powiedzieć.

- To są wyjątkowe okoliczności.

Rozważała przez chwilę jego słowa, potem zerknęła na książkę, którą nadal trzymał w ręce, i zapytała:

- Wie pan, który rozdział czytała?

- „Determinizm, wiara w przypadek i przesąd”, strona trzysta dwadzieścia siedem.

Zanotowała informację na kartce.

- Dziękuję. Niewykluczone, że doktorowi przyda się to do analizy.

- Więc spotka się ze mną?

- Nie wiem. - Cień uśmiechu. - Zapytam. Nic nie mogę obiecać. Jest bardzo zajęтым człowiekiem. Ale naprawdę go zapytam.

Sposób, w jaki panna Labrooy to powiedziała sugerował, że jej prośba nie pozostanie bez odpowiedzi. Harry poczuł nagły przypływ radości na myśl, że być może znalazł w końcu sprzymierzeńca.

Redakcja „Couriera”, ukryta za wielkimi anonimowymi szybami, znajdowała się niedaleko Fleet Street. Harry czytał gdzieś o rewolucji, jaka nastąpiła w brytyjskiej prasie podczas jego nieobecności w kraju; uznał to za jeden z jej skutków. Na miejscu przekonał się, że mógł sobie oszczędzić chodzenia: strażnik przy wejściu poinformował go kwaśno, że pan Minter wziął sobie wolne. I nie, nie może mu podać numeru jego telefonu.

Harry wycofał się do najbliższego pubu z zapasem dziesięciopensówek i zaczął wydzwaniać do wszystkich J. Minterów, jakich znalazł w książce telefonicznej. Za czwartym razem trafił na właściwego. Prawda, był to jedynie głos nagrany na automatycznej sekretarce, ale niewątpliwie należał do zgryźliwego korespondenta „Couriera”. Pół godziny później, po jednym drinku, Harry spróbował znowu. Tym razem miał szczęście. Sekretarka włączyła się, ale zaraz potem ktoś podniósł słuchawkę. Nie odezwał się jednak ani słowem. Harry, przygotowany na pogardliwy ton dziennikarza, został nagrodzony milczeniem.

- Halo? - zapytał, straciwszy nadzieję, że Minter przemówi pierwszy. - Czy

to...

Połączenie zostało przerwane. Słuchawki nie rzucono na widelki, tylko spokojnie odłożono, jakby zapomniał wypowiedzieć jakąś magiczną formułę.

Harry, rozgniewany już tym, co napisał o nim Minter, poczuł wściekłość. Zapisał sobie adres, dowiedział się od barmana, że czeka go dwudziestominutowy spacer, wypił jeszcze jednego drinka i ruszył do mieszkania dziennikarza.

Londyn szybko okazał się miastem nieznanym Harry'emu. Stare domy towarowe Wappinga zostały w większości zastąpione przez eleganckie mieszkania. Gdziekolwiek się udawał napotykał przejawy dobrobytu; nie potrafił zwalczyć niechęci do nich. Ubóstwo wojennego dzieciństwa i lata reglamentacji towarów, które potem nastąpiły, jeszcze wyraźniej rysowały się w jego pamięci przez kontrast z bogactwem, które zajęło ich miejsce. Odpowiedzialnością za to, podobnie jak za wszystko, co napisał o nim w „Courierze”, zamierzał obciążyć Mintera.

Przy wejściu do Kempstow Wharf, gdzie mieszkał dziennikarz, znajdował się domofon z osobnym dzwonkiem do każdego mieszkania. Na myśl, że Minter może go po prostu nie wpuścić, Harry'emu zamarło serce. Właśnie kiedy rozważał, w jaki sposób się przedstawić, drzwi z przyciemnianego szkła otwarły się i wyszła przez nie jakaś dziewczyna w dresie i sportowych butach, z torbą i rakieta do tenisa w ręce. Harry wślizgnął się do wnętrza.

Mieszkanie Mintera znajdowało się na trzecim piętrze. Przez okno na podestacie, gdzie zatrzymał się dla złapania tchu, Harry mógł podziwiać imponujący widok na Tamizę płynącą od Tower Bridge. „Courier” najwyraźniej dobrze płacił.

Brak judasza w drzwiach uznał za łut szczęścia. Zapukał. Nikt nie otworzył, chociaż wydawało mu się, że słyszy muzykę. Zapukał jeszcze raz, głośniej.

Chwilę później drzwi się otworzyły. W pierwszej chwili tego, kto otworzył, nie było widać; Harry ujrzał jedynie korytarz prowadzący do obszernego prze-

szklonego salonu, znowu z widokiem na Tower Bridge. Usłyszał kobiecy głos:

- Przepraszam, Jon. Zapomniałam zostawić drzwi otwarte...

Naraz zobaczył ją przed sobą. Wysoka, wyższa od niego, naga, z wyjątkiem ręcznika kąpielowego ledwie zakrywającego jej biodra, z pasmami długich mokrych włosów przyklejonymi do głowy i szyi i kroplami wody na ramionach i udach. Nie była młoda ani stara: dojrzała kobieta, świadoma swego wyglądu, o ostrych rysach i wysokich kościach policzkowych. Wyraz rozmarzenia na jej twarzy ustąpił miejsca przerażeniu, jednak nie dorównywało ono temu, jakie poczuł Harry: stała przed nim żona Dysarta, Virginia.

- Kto pan jest, do diabła? - zapytała, wpatrując się w niego z pogardą.

Czy naprawdę go nie poznała? Harry uznał to za mało prawdopodobne, ale możliwe: nigdy nie marnowała czasu na przyglądanie się ludziom jemu podobnym. Poza tym nie widzieli się od lat.

- Pytałam, kim pan jest.

- Szukam Jonathana Mintera.

- Nie ma go. Jak pan tu wszedł?

- Drzwi wejściowe były otwarte.

- Więc proszę je dokładnie zamknąć, jak pan będzie wychodził.

Mówiąc to zamknęła mu drzwi przed nosem. Nie zatrzasnęła, zauważył, przypominając sobie swój telefon; po prostu zamknęła.

Przeprawił się promem z Tower Bridge do Charing Cross, mając zamiar dojść stamtąd piechotą na dworzec Waterloo. Siedział na pokładzie, patrząc na stalowoszarą, odmienioną panoramę Londynu, rysującą się na tle nieba, i rozważając, co zrobić ze swoim ostatnim odkryciem. Przywileje. Hipokryzja. Korupcja. Własne słowa Mintera. Teraz można je było zastosować do niego samego. W jakiś przewrotny sposób wszystko wydawało się tak łatwe do przewidzenia. Minter na urlopie. Dysart w Stanach. Virginia w łóżku Mintera. Uwodziciel, który oczernił Harry'ego. Zdradzony mąż, jego przyjaciel od wielu lat. Niewierna

żona, która go nie poznała. Trójkątne ogniwo w splątany łańcuch, który - jak przewidział Minter - mógł jedynie prowadzić do „jakiejś bardzo brudnej sprawy”.

Podobne i gorsze jeszcze myśli przychodziły Harry'emu do głowy, kiedy siedział w pociągu do Weymouth, sącząc piwo z puszki i patrząc jak hrabstwa Surrey i Hampshire przemykają za oknem w szarym świetle popołudnia. Wyjął fotografie Heather, żeby sobie przypomnieć, jak wygląda obecnie Nigel Mossop. Jeszcze raz przejrzał zdjęcia. Kiedy natrafił na nagrobek Francisa Hollinrake'a od nowa zaczął się zastanawiać, kim był ten mężczyzna i co znaczył dla Heather. Sprawa wydawała się podwójnie dziwna: raz - bo Heather nigdy o nim nie wspominała, dwa - bo kiedy umarł piętnaście lat temu miała niewiele ponad dziesięć lat.

Wtedy sobie przypomniał. Hollinrake. Oczywiście, że pamiętał to nazwisko, z czasów dawniejszych niż przed piętnastu laty. Rumiany ojciec panny młodej, który omal nie zmiądzzył mu ręki w uścisku, witając go u wejścia do namiotu. „Miło, że zechciał pan przyjechać - zagrzmiał jowialnie. - Jestem Frank Hollinrake”. Tak, to było to. Tak brzmiało panięskie nazwisko Virginii Dysart. Frank Hollingrake to jej ojciec.

XV

Kiedy Harry przyjechał do Weymouth miasto ogarniał wczesny zmrok chmurnego grudniowego popołudnia. Dobrze znaną trasą udał się ze stacji do mieszkania, które wynajmował kiedyś na Mitchell Street, mijając grupki rozbawionych dzieci wracających ze szkoły i jasno oświetlone wystawy sklepów udekorowane z okazji świąt; również i tutaj elektroniczne chóry witały kolędami marnotrawnego syna.

Z dała od centrum przyciągały jego uwagę okruchy przeszłości. Kilka spóźnionych mew zataczało kręgi w powietrzu, walcząc o rozmokłą kromkę chleba. Z

zaułka biegnącego w kierunku zatoki dobiegł go szum morza. Potem zamajaczyły przed nim wysokie burty promu przycumowanego przy kei celnej; zdawało się, że zamykają ulicę, stłoczone domy wydawały się jeszcze mniejsze na tle wysokich kominów.

Skreślił w Mitchell Street i przeszedł na drugą stronę. Mało prawdopodobne, żeby państwo Love mieli o tej porze roku lokatorów. Zanim Harry pojawił się na scenie - a, jak sądził, również po jego wyjeździe - zadowalali się urlopowiczami i pasażerami promów. Z początku powiedzieli nawet Harry'emu, że będzie musiał się wyprowadzić przed Zielonymi Świątkami. W końcu został na pięć lat. Beryl go lubiła, Ernie nauczył się go tolerować, i Harry, chociaż mógł szukać lepszego lokum, nigdy jakoś tego nie zrobił.

Jednak na drzwiach nie zauważył tabliczki „Pokoje do wynajęcia”. I kiedy zadzwonił otworzyła mu nie Beryl, lecz Ernie. Wydawał się jeszcze niższy, bardziej skwaszony i zaniedbany niż dawniej: skurczony człowieczek o twarzy łasicy, ze skrętem przylepionym do dolnej wargi, w za dużym kardiganie, otoczony aurą dobrowolnego zaniedbania.

- Witaj, Ernie. Pamiętasz mnie jeszcze?

Ernie w odpowiedzi klepnął się w czoło.

- Nigdy byś nie uwierzył, ile zdołałem zapomnieć. Harry, kurczę, Barnett! Czego chcesz?

- Mojego dawnego pokoju na kilka dni, jeśli jest wolny. Gdzie Beryl?

- Na cholernym cmentarzu. Rak. Trzy lata temu. Od tamtej pory nie wynajmuję nikomu.

Beryl nie żyła. Zawsze radosna, zawsze zapracowana, życzliwa, pulchna Beryl umarła. A jej leniwy, zgorzkniały, niewdzięczny mąż żył nadal. Należało się tego spodziewać. Życie nigdy nie przepuści okazji, żeby okazać się niesprawiedliwe.

- Kurczę, widzę, że cię ruszyło.

- Nie wiedziałem... - Harry oparł się o framugę, próbując się uporać z kolej-

nym ciosem, który los trzymał dla niego w zanadrzu.

- Parę dni, mówisz? - Na twarzy Erniego pojawił się cień współczucia, niby uparty kwiat na granitowym zboczu.

- Tak, ale...

- No to może lepiej wejść. Robię to tylko ze względu na Beryl.

Poprowadził go wąskim zagraconym korytarzem; Harry czuł odór smażonej cebuli, który zastąpił aromat wosku do podłóg z czasów Beryl. W saloniku Ernie zatrzymał się, spojrzął na Harry'ego i rzekł:

- Zawsze traktowała cię dużo lepiej niż mnie.

Uważał najwyraźniej, że odrobina uczucia w tym, co powiedział wcześniej, wymaga natychmiastowego skorygowania, jak gdyby ten najmniej czuły z mężów postanowił udowodnić, że nie zmienił się w sentymentalnego wdowca.

W saloniku panował nieład. Kurz pokrył grubą warstwą porcelanowe figurki i serwis Beryl. Popiół piętrzył się w popielniczkach, pokrywał gazety rozsypane na kozetce. Haftowane pokrowce na meble były podarte i poplamione, rośliny w doniczkach wątłe i anemiczne. Przytłumione światło sączące się przez zaciągnięte do połowy zasłony przydawało jeszcze smutku całej scenie; kontrast, jaki stanowiło to z dawnym wyglądem pokoju, przygnębił Harry'ego.

- Herbaty?

- Nie, dziękuję.

- Może piwa?

- Właściwie muszę zaraz gdzieś iść.

- A może jednak?

Harry miał wrażenie, że w tym kraju, który nazywał własnym, nie zostało już ani jedno miejsce, gdzie nie znalazłby śladów, iż przeszłość została zdeptana, wspomnienia zbrukane, oczekiwania zawiedzione. Beryl nie żyła, jej dom chylił się ku ruinie, Ernie pograżał się w zaniedbaniu; gdyby Harry wiedział, co tu spotka minąłby drzwi, nawet się nie zatrzymując.

- Dlaczego wróciłeś?

- Właściwie nie jestem pewien.
- Ktoś w Globe wspominał, że czytał o tobie w gazecie. Coś o...
- Jak Beryl... czy bardzo cierpiała?

Gniewne spojrzenie Erniego wyrażało jego postawę lepiej niż wszelkie słowa: temat stanowił tabu.

- Będziesz musiał zapłacić za wynajęcie. Piątkę za noc. Z góry.

Harry zrzucił plecak i postawił go za drzwiami. Potem wyjął banknot dziesięciofuntowy i położył na wyciągniętej wyczekująco dłoni Erniego. Znał skąpstwo męża Beryl, ale podejrzewał, że nie ono sprowokowało prośbę o pieniądze. Transakcja miała wytworzyć dystans między nimi, oczyścić ich kontakty z najmniejszej okruszyny współczucia. Ernie nie potrzebował towarzysza w żałobie.

- Dokąd się wybierasz?
- Do... do Mallender Marine.

Wieczny grymas Erniego jeszcze się pogłębił.

- Przyjęli cię z powrotem?
- Nie. Po prostu chcę się z kimś zobaczyć. Może mnie nie być parę godzin.
- Jak wrócisz najlepiej zajrzyj od razu do Globe. O tej porze powinienem tam być.

Harry skinął głową.

- Dobrze. Będę pamiętał.

Całe szczęście, myślał Harry, jadąc autobusem do Portland dziesięć minut później, że Ernie Love jest najmniej towarzyskim człowiekiem na świecie; jego skłonności do plotek ograniczały się do rozmów pod kioskiem z biletami na loterię. Przynajmniej można mieć pewność, że nigdy nie przeczyta artykułu w „Courierze”.

Autobus wolno sunął zatłoczonymi ulicami, krople deszczu leniwie spływały po szybach. Mimo że przejeżdżał tą trasą setki razy, choć przeżył w Weymouth tyle lat i spodziewał się tu spędzić resztę życia, Harry nie czuł z tym miejscem

najsłabszej więzi, cienia sentymentu. Tylko powodowany nieodpartą koniecznością zgodził się przyjechać tu znowu.

Świadom własnej niechęci, jak i tego, że być może popełnia błąd, wysiadł z autobusu. Popatrzył za jego oświetloną sylwetką sunącą w kierunku Portland prostą jak strzała ulicą. Pozwolił wzrokowi i pamięci zatrzymać się na oświetlonym neonami budynku Bazy Marynarki Wojennej; światła odbijały się, powiększone, w ciemnych wodach zatoki. Potem przeszedł na drugą stronę i zdecydowanie wkroczył w kolejny rozdział swojej przeszłości. Mallender Marine mieściło się w dwupiętrowym biurowcu z parkingiem od frontu oraz warsztatami i rampą na tyłach. Na swój sposób budynek stanowił kwintesencję odpychających miejsc pracy znanych każdemu człowiekowi: funkcjonalny, bezbarwny i nie rzucający się w oczy.

Jednak dla Harry'ego Barnetta, stojącego przed nim w deszczu, to miejsce - na dobre czy złe - stanowiło punkt wyjścia wyprawy w poszukiwaniu Heather Mallender i rozwiązania jej tajemnicy: tu zrobiła pierwsze zdjęcie, tu znajdował się pierwszy punkt przecięcia ich splecionych losów. Parking był prawie pusty, tak jak się spodziewał; światła paliły się ledwie w połowie okien. Tak późno w piątkowy wieczór nie został nikt, prócz gorliwych i najbardziej oddanych pracowników. W każdym razie Roy Mallender na pewno wyszedł już dawno. Ale Nigel Mossop - cichy, naiwny, pracowity Nigel - jeśli Harry'ego nie zawodziła pamięć, powinien nawet o tej porze ślęczeć przy swoim biurku.

Ruszył ścieżką prowadzącą pod oknami. W oknie jego dawnego pokoju panowały litościwe ciemności; nie musiał stawiać czoła zmianom, jakie wprowadzili jego następcy. W następnym biurze dwie nie znane mu dziewczyny żartowały ze sprzątaczką. Dziwnie było widzieć, jak bardzo są nieświadome, że ktoś je obserwuje. Dalej znajdował się jeden pusty pokój i dwa ciemne okna. A jeszcze dalej, jak się spodziewał, pomieszczenie z czterema biurkami, z których zajęte było tylko jedno - przez Nigela Mossopa.

W szarym garniturze, rozczochrany, chudy i zgarbiony, jakby przytłoczony

brzemieniem własnej nieudolności, wpatrujący się ze zmarszczonymi brwiami w rozrzucone papiery, Nigel Mossop wyglądał dokładnie tak, jak go Harry zapamiętał: pełen zapału i dobrych intencji, ale okaleczony przez brak pewności siebie i tępotę. Nie wzbudzał zaufania ani sympatii i z pewnością nie można było na nim polegać - ani w krytycznych sytuacjach, ani w spokojnych czasach. Niemniej Mossop był jedynym świadkiem tego, co zamierzała Heather, kiedy robiła zdjęcie.

Harry podszedł do okna; znajdował się o niecały metr od Mossopa, chociaż tamten w dalszym ciągu go nie widział. Mógł teraz dostrzec każdą najdrobniejszą oznakę nie zmienionego charakteru Nigela: nieporządnego, pełnego wahań, skłonnego do paniki, trawionego niepewnością. Nigel marszczył nos z wysiłku, naciskając klawisze kalkulatora, daremnie próbując się skupić. Harry zastukał w szybę kostkami palców.

Mossop zareagował jak królik na odgłos wystrzału. Podskoczył na krześle, otworzył usta i wytrzeszczył oczy. Kiedy zauważył Harry'ego w pierwszej chwili wyraźnie nie wierzył w świadectwo własnych zmysłów. Harry gestem polecił mu otworzyć okno. Mossop rozejrzał się wokół, jakby w obawie, że ktoś go zobaczy, chociaż w pokoju nie było nikogo. Ciągle się wahał. W końcu sięgnął przez biurko, odblokował zamknięcie i pchnął okno.

- Harry - powiedział, nie mogąc złapać tchu ze zmieszania. - Co ty tu... To znaczy... To nie jest...

- Cześć, Nigel. Zaskoczyłem cię?

- No... zupełnie się nie... Co... co ty tu robisz?

- Chciałem z tobą zamienić parę słów. - Chociaż małe szanse, że będą one zborne, pomyślał.

- Och... naprawdę? A... a o czym?

- O Heather.

Zdumioną twarz Mossopa wykrzywił przestrich.

- Heather? Chodzi ci o H-Heather... M-M-M...

- Heather Mallender - dokończył za niego Harry, jak zwykle, kiedy nie mógł dłużej znieść jąkania młodego człowieka.

- Ja nie znam... to znaczy, nie znałem... Właściwie nie znałem... Heather... wcale.

- To niezupełnie prawda, co, Nigel?

- Ależ tak... oczywiście że... że tak.

Harry wyjął fotografię z kieszeni, wybrał tę z Mossopem i podsunął mu.

- Pamiętasz, jak ją robiła?

Mossop otworzył usta.

- Och... o, tak...

Wyciągnął rękę po zdjęcie, ale Harry szybko je schował.

- Wpuścisz mnie wreszcie?

Mossop znowu zerknął nerwowo przez ramię.

- Nie... ja... ja do ciebie wyjdę.

Harry patrzył, jak młody mężczyzna wpycha do teczki jakieś papiery i pudełko na kanapki, wkłada kurtkę, idzie do drzwi i gasi światło. Obchodząc budynek, by spotkać się z Nigelem przy głównym wejściu, Harry zastanawiał się, czy należy przywiązywać znaczenie do skrytości, która - jak się zdawało - dołączyła do typowej bojaźliwości Mossopa. To zrozumiałe, że nie chciał się pokazywać w towarzystwie zaprzysięgłego wroga Roya Mallendera, ale nieporadna próba wyparcia się znajomości z Heather świadczyła o głębiej zakorzenionym strachu.

Mossop zjawił się na ganku w chwili, gdy Harry dochodził do wejścia, ale nie zatrzymał się ani nawet nie spojrzał w kierunku starszego mężczyzny. Zamiast tego przeszedł na drugą stronę ulicy i pośpieszył do swojego samochodu, otworzył drzwiczki i wsiadł, po czym skinął na Harry'ego, by ten zrobił to samo. Ledwie Harry znalazł się w środku Mossop zapalił silnik. Samochód ruszył z parkingu ze zdławionym rykiem, ściągając na siebie powszechną uwagę, czego - jak podejrzewał Harry - Nigel chciał właśnie uniknąć.

- Dokąd jedziemy, Nigel?

Mossop kierował się na południe, w stronę Portland; za czasów Harry'ego mieszkał z matką w Radipole i trudno było sobie wyobrazić, żeby się wyprowadził.

- Ja... ja... myślałem, że byłoby najlepiej... gdzieś, gdzie nie zwracalibyśmy uwagi.

- Jazda bez świateł też ma temu służyć?

- O Boże! - Nigel sięgnął do przełącznika; Harry zauważył, jak bardzo drży mu ręka. - P-przepraszam.

- Nie ma za co. Powiedz tylko, dlaczego jesteś taki zdenerwowany.

- Nie... nie jestem.

- Jak chcesz.

Mossop niezręcznie zmienił temat.

- Dużo... dużo się zmieniło... w firmie... odkąd odszedłeś.

- Założę się, że masz rację.

Odrobina zachęty wystarczyła, by Nigel zabrał się do kulawego i bełkotliwego sprawozdania z tego, kto przyszedł do pracy, a kto z niej odszedł, komu się powiodło, a kto zszedł na psy w ciągu owych dziesięciu lat, które minęły od wyrzucenia Harry'ego. Żadna z nowin go nie zaskoczyła. Charlie Mallender powoli usuwał się w cień, pozwalając Royowi stosować własną filozofię w kierowaniu firmą. To oznaczało więcej bezpiecznych, przynoszących pewny zysk kontraktów z obroną i mniej ryzykownych przedsięwzięć na rynku prywatnym. Oznaczało to również zatrudnianie w pierwszym rzędzie pochlebców bez inicjatywy kosztem osób posiadających choćby odrobinę przedsiębiorczości. Nie znaczyło to, by metody Roya przynosiły straty. Pod względem ekonomicznym firma odnosiła same sukcesy. Co do Mossopa, choć wyraźnie tęsknił do dawnych, pionierskich czasów, to fakt, że za rządów Roya dochrapał się drobnego cennego awansu, i zakorzeniona pokora gwarantowały, iż nie będzie się uskarżał.

Paplanina Mossopa urwała się wreszcie u kresu drogi w Portland Bill. Za-

trzymał się na pustym parkingu przy latarni morskiej, wyłączył silnik. Jego wygląd i mowa wskazywały, że w tym najciemniejszym i najodleglejszym kącie odzyskał nieco spokoju.

- Oczywiście wszyscy słyszeliśmy... to znaczy czytaliśmy... o tobie i Heather.
- Naprawdę?
- Nie wierzyłem... w to, co sugerowali na twój temat. Ani... ani przez chwilę.
- Kto taki?
- No... gazety, rozumie się... i...
- Roy Mallender?
- Nigdy cię nie lubił, Harry... Wiesz, że...
- Ciebie też nigdy nie lubił.
- Masz rację... Nigdy... Ale teraz... jest inaczej.
- Czyżby?
- O, tak... Mówię ci.
- Roy wie, że spotykałeś się z Heather?
- Ja nie... ja się nie spotykałem.

Względny spokój Mossopa zniknął. Fala ostrej woni powiedziała Harry'emu, że Nigel poci się mimo chłodu.

- Daj spokój, Nigel. A zdjęcie?
 - Skąd je... Jak?...
 - Po zniknięciu Heather dałem do wywołania film z jej aparatu. Możesz być spokojny. Nikomu nie powiedziałem, że jesteś na zdjęciu... na razie.
 - Co chcesz przez to p-p...
 - Chcę powiedzieć, że, ściśle rzecz biorąc, powinienem przekazać film policji.
- Naturalnie chcieliby się dowiedzieć, dlaczego jesteś na jednym ze zdjęć.
- To tylko... zwykła fotka.
 - Kiedy została zrobiona, jeśli wolno spytać?
 - Jeszcze w... jeszcze w lecie.
 - Gdzie?

- Och... nie jestem pewien. Nie mogę sobie...

- Przypomnieć? Może zdołam ci pomóc. Wydaje mi się, że dom widoczny w tle to Tyler's Hard. Letni dom Alana Dysarta w New Forest. Słyszałeś chyba o Dysarcie, prawda?

- No... tak, oczywiście.

- A więc, po co się tam wybraliście?

- Bez... bez żadnego powodu. Po prostu... taki j-j-jednodniowy w-w-wypad.

Harry'emu zrobiło się nagle żal towarzysza. Biedak nie był w stanie znieść presji, pod jaką się znajdował. Minione lata nie przydały mu zaufania we własne siły. Wręcz przeciwnie, jeszcze je podkopały. Jednak Harry nie mógł sobie pozwolić na wyrozumiałość.

- Gdyby Roy się dowiedział o twojej przyjaźni z Heather nie poprawiłoby to twoich widoków na karierę, prawda?

- O Boże! - Mossop zwiesił głowę na piersi. - Nigdy nie myślałem... nawet przez chwilę...

Głos mu się obniżył, jakby się miał rozplakać.

- Więc czemu po prostu mi o wszystkim nie opowiesz, co, Nigel?

Ton łagodnej zachęty brzmiący w jego głosie dziwnie przypominał Harry'emu Miltiadesa: ta sama obietnica zrozumienia, ta sama zachęta do wyznań.

- Chyba... równie dobrze mogę to zrobić. - Mossop mówił teraz bez poprzedniego napięcia i niezdecydowania. Zaprzestał nierównej walki. - Wiesz, że Heather miała to... załamanie... i dlatego przestała uczyć?

- Tak.

- Więc kiedy wyzdrowiała... przyszła do pracy do Mallender Marine... Oczywiście, tylko na jakiś czas... Powrót do normalnego życia... Chyba o to chodziło... Umieścili ją w tym samym... w tym samym pokoju co mnie. Gdzieś w kwietniu... to musiał być kwiecień. Poznaliśmy się, jak zwykle... kiedy się z kimś pracuje. - W miarę jak mówił, jego głos nabierał mocy i płynności. - Parę razy poszliśmy na drinka w piątek po pracy, to wszystko... Nic więcej nie było... Myślę

sobie, że lubiła ze mną rozmawiać, bo nie... bo nie pytałem jej... o załamanie ani o jej siostrę. Chyba mnie lubiła, bo nie stanowiłem... zagrożenia; rozumiesz, o co mi chodzi?

- Rozumiem, Nigel. - Uświadomił sobie z niepokojem, że to samo mogło pociągać Heather w nim samym.

- W... w sierpniu zeszłego roku... w jeden z wolnych poniedziałków... prosiła, żebym z nią pojechał do New Forest. Zobaczyć... zobaczyć miejsce, w którym zginęła jej siostra, powiedziała... Tyler's Hard, tak jak mówiłeś. Nie chciała jechać sama i nie chciała, by jej rodzina się o tym dowiedziała. Więc dlatego... poprosiła mnie.

- I co dalej?

- Nic. Pojechaliliśmy tam... zjedliśmy obiad w Beaulieu... popatrzyliśmy na wodę w miejscu, gdzie... gdzie został wysadzony jacht. Potem... potem wróciliśmy.

- To wszystko?

- Tak... Naturalnie. C-c...

- Co jeszcze? - Mossopa zdradziło jękanie. - Wyduś to z siebie, Nigel. Co się jeszcze zdarzyło?

- No, od... odwiedziliśmy p-parę osób. Starszą kobietę, która... która sprzątała u Dysarta. Pani Di-Di...

- Pani Diamond?

- Tak. Heather miała jej adres. Chciała... chciała się z nią zobaczyć.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Czekałem... czekałem w samochodzie.

- Kogo jeszcze?

- Och... faceta do wszystkiego. Nie pamiętam... nie pamiętam, jak się nazywał. Był... znaleźliśmy go w domu. Ale się okazało, że nie widział wybuchu, więc Heather niewiele z niego wydobyła.

- Czego się chciała dowiedzieć?

- Nie wiem. Naprawdę, Harry, nie wiem. Z tego, co słyszałem... niczego szczególnego.

- Co było potem?

- Potem? Nic. Nic... zupełnie. Heather odeszła z Mallender Marine w październiku i... i już jej potem nie widziałem.

Zapadło milczenie; Harry patrzył przed siebie w mrok za szybą. Jeśli Mossop mówił prawdę wizyta w Tyler's Hard oznaczała koniec całej historii, nie zapowiedź dalszych odkryć. Ale Mossop nie wiedział oczywiście, co kryją następne fotografie. I nie został wtajemniczony w powody, dla których Heather udała się do Tyler's Hard na poszukiwania świadków śmierci Clare.

- Czy... czy ci pomogłem, Harry?

- To za mało, Nigel. Obawiam się, że będę cię musiał prosić o przysługę.

- Jaką p-p...

- Zawieź mnie do Tyler's Hard. Tak jak zawiozłeś Heather. Zabierz mnie tam, gdzie ją zabrałeś. Chcę się spotkać z panią Diamond... i z tym pomocnikiem. Chcę zobaczyć to wszystko, co Heather widziała tamtego dnia.

- Ale... po co?

- Gdybym wiedział, to nie potrzebowalibyśmy jechać.

- Ja... ja nie mogę... właściwie. Nie mogę wyjechać. Moja m-matka...

- Jutro albo w niedzielę. Jak wolisz. Decyduj.

Raz jeszcze zapadła cisza. Harry nie potrzebował przypominać Mossopowi, dlaczego ten powinien spełnić prośbę. Po prostu należało zaczekać, aż młody człowiek pogodzi się z nieuniknionym.

- To niech będzie w n-niedzielę. Często... w niedzielę chodzę nad Fleet obserwować ptaki. Matka nie będzie się dziwić... że mnie nie ma cały dzień.

- Zaczekam przy Jubilee Clock o wpół do dziesiątej.

- Dobrze. Przyjadę... przyjadę na pewno.

- Lepiej, żebyś dotrzymał słowa. Pamiętaj: liczę na ciebie.

Zabawne, pomyślał Harry przy tych słowach, wiedząc z doświadczenia, że

liczyć na Mossopa - zarówno w sprawach małej, jak i większej wagi - wydawało się dowodem największej głupoty.

XVI

- Miło, że zgodziłeś się mnie podwieźć, Ernie - powiedział Harry, kiedy ze skrzyni biegów dobiegł kolejny rozdzierający pisk.

- Inaczej byś nie dotarł, no nie?

- Chyba tak.

Harry skrzywił się, kiedy Ernie wziął zakręt ze zbyt dużą prędkością, aż zawieszanie i błotniki zazgrzytały, i kolejny raz zaczął się zastanawiać, czy zamówienie taksówki nie byłoby mądrzejszym rozwiązaniem.

Ernie, kiedy nie obstawiał zakładów, pracował dorywczo jako hydraulik. Wyznał Harry'emu bez oporów, że po śmierci Beryl „wszystko poszło w diabły”. To wyjaśniało nieczytelny napis na boku mikrobusu, opłakany stan techniczny pojazdu i obecność bezużytecznych kurków i zaworów kulowych pobrzękujących za fotelem Harry'ego.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - oznajmił Harry, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiała ulga, którą poczuł na widok tablicy z napisem „Portesham”. Ubiegłego wieczoru w Globe, w połowie siódmego drinka, Ernie zaofiarował się, że go tam zawiezie, a jako hazardzista z prawdziwego zdarzenia uparł się dotrzymać obietnicy.

Skrećili z szosy do Bridgeport z przechyłem i piskiem opon przyprawiającym o mdłości i zanurkowali w wąską główną ulicę miasteczka.

- Byłeś tu już kiedyś? - zapytał swobodnie Ernie, jak gdyby nieświadom rozwijanej przez siebie prędkości.

- Tak, raz.

W mroczny zimowy wieczór, przypomniał sobie; jakiś rok po tym, jak zaczął pracować w Mallender Marine. Charlie Mallender zaprosił część swoich pra-

owników na przyjęcie z okazji przeprowadzki do Sabre Rise, świeżo ukończonej rezydencji wiejskiej niedaleko Portesham. Podwiózł go wtedy Warner z działu kadr. Harry wypił zbyt wiele i opowiedział pani Mallender ryzykowny dowcip, który bynajmniej nie przypadł jej do gustu, po czym udzielił Lambertowi, obłudnemu szefowi warsztatów, paru zbawiennych rad. Jeszcze dzisiaj, piętnaście lat po tamtych zdarzeniach, wspomnienie budziło w nim wstyd. Zastanawiał się, gdzie była Heather tamtego wieczoru, w internacie czy u jakiejś koleżanki. A może w swoim pokoju na piętrze słuchała rozmów dorosłych dobiegających z dołu. Może nawet...

- Skręć tutaj, Ernie, spytamy o drogę w pubie.

Sabre Rise, jak się okazało, znajdowało się o kawałek drogi aleją. Zważywszy na okoliczności, Harry z ulgą zostawił Erniego, by nasiąkał piwem w pubie Half Moon, zarzucił plecak Heather na ramię i ruszył samotnie w kierunku wskazanym przez właścicielkę. Dzień był pochmurny i cichy, rozległe przedmieścia Portesham spoglądały nań z rezerwą i ostrożnie, jak przystało na dobrze wychowaną, zamożną angielską wieś. Wolno piął się stromą krętą drogą, obmyślając i przepowiadając sobie w myślach wstęp, jaki wygłosi, kondolencje, jakie złoży, a nade wszystko - pytania, jakie zada.

Naraz z za zakrętu, do którego się zbliżał, wyskoczył bez ostrzeżenia duży ciemnobłękitny samochód zajmujący, zdawało się, całą szerokość alei. Harry instynktownie wtulił się w żywopłot. Wóz przemknął obok z rykiem i świstem powietrza, ochlapując go wodą z kałuży. Tylko przez mgnienie widział kamienną, bez wyrazu, twarz kierowcy. Jednak ta chwila wystarczyła. Sportowa kurtka, tweedowy kapelusz, fajka o szerokiej główce, zacięty grymas na pobrużdżonej twarzy człowieka, który do wszystkiego doszedł sam: to był Charlie Mallender. Nie zauważył Harry'ego i nic dziwnego; piesi należeli w jego oczach do tej samej kategorii, co wszystkie niższe szarże: pod pokładem, niewarci uwagi, niegodni pogardy. Torba z przyborami do gry w golfa wystająca z tyłu sugerowała dłuższą nieobecność. Harry uznał to za dobry omen, jako że niespokojne matki zachowują

zwykle więcej rozsądku niż rozgniewani ojcowie.

Pięć minut później stał u furtki Sabre Rise. Mur otaczający posesję był z surowego, gładko ociosanego kamienia, brama z solidnego, grubo lakierowanego drewna. Za nimi rozciągał się niepokalany trawnik, wygięty podjazd wysypany szorstkim żwirem i sam dom: z czerwonej cegły, o niskim dachu, epatujący atmosferą niemodnego przepychu. Okna były zbyt duże, otoczenie zbyt surowe, architektura wyraźnie zbyt kosztowna jak na cichy zakątek Dorset. Harry czuł, że Heather nie znosiła tego miejsca. Trudno byłoby o coś bardziej obcego jej łagodnej naturze i niechęci do ostentacji niż ta odstręczająca demonstracja bogactwa.

Otwarł bramę i ruszył podjazdem, słysząc jak jego kroki chrzęszczą głośno na żwirze. W jednym z okien na parterze pojawił się szczekający dalmatyńczyk. Niewidoczna dłoń uchyliła firankę na pierwszym piętrze. Harry nacisnął dzwonek.

Drzwi otworzyła młoda kobieta. Dzinsy, fartuch i akcent z Dorset sugerowały, że jest wynajętą pomocą. Zanim Harry zdążył się wytłumaczyć, jeszcze jedna osoba zeszła po schodach. Chuda, o nieprzyjemnym wyrazie twarzy i drżąca nieznacznie - zdradzała pewne podobieństwo rysów do córki. Spojrzała na Harry'ego lodowato, poznawszy go od pierwszej chwili.

- Dziękuję, Jean - odezwała się cichym bezbarwnym głosem. - Ja się tym zajmę.

Jean usunęła się posłusznie. W drzwiach bezgłośnie zjawił się dalmatyńczyk. Harry zdjął plecak i postawił go na wycieraczce. Marjorie Mallender podeszła wolno.

- Czego pan tu szuka, panie Barnett? Bo to z panem mam do czynienia, nieprawdaż?

- Tak. - Harry chciał się uśmiechnąć, ale uśmiech zamarł mu na ustach pod jej zimnym spojrzeniem. - Ja... sądziłem, że powinienem zwrócić rzeczy Heather. Ubrania, biżuterię, drobiazgi osobiste: wie pani...

- Są w plecaku?

- Tak.

- Proszę je tu zostawić.

Nie powiedziała nic więcej, ale czuł z całą mocą nie wypowiedziane życzenie, by sobie poszedł. W innych okolicznościach z chęcią tak właśnie by postąpił, ale wiedział, że tym razem nie może sobie na to pozwolić.

- Jeśli czeka pan na podziękowanie, to dziękuję. Coś jeszcze?

- Tak. To znaczy...

Czuł niemal fizycznie ciężar ciszy, jaka zapadła między nimi. Dlaczego nie jest ciekawa? Mimo wszystkich kłamstw, niewątpliwie opowiedzianych jej przez syna, Harry pozostawał ostatnim człowiekiem, który widział jej córkę. A ona nadal była zaniepokojoną matką spragnioną wiadomości. Zdawało się jednak, że nie zamierza go ani oskarżać, ani wypytywać.

- Myślałem... że może chce pani porozmawiać.

- O czym?

- O Heather.

Drgnęła na dźwięk imienia córki, jednak natychmiast się opanowała.

- Dlaczego pan tu przyszedł, panie Barnett?

- Właśnie pani powiedziałem.

Podeszła o krok i chwyciła drzwi, jak gdyby chciała mu je zatrzasać przed nosem.

- Proszę nas zostawić w spokoju - powiedziała.

- Szukam Heather! - wykrzyknął w odpowiedzi. Zamarła w pół ruchu; widząc, że jego słowa zyskały mu chwilę uwagi ciągnął: - Bez względu na to, co twierdzi Roy nie zamordowałem Heather, nie porwałem jej ani nawet nie nastraszyłem. Po prostu tak się składa, że byłem na miejscu, kiedy zniknęła. Jestem przyjacielem, próbuję ją odnaleźć.

- Odnaleźć?

- Wierzę, że Heather żyje. I postanowiłem to udowodnić w jedyny dostępny

mi sposób: idąc po śladach, choćby najdrobniejszych, które mogą mnie do niej zaprowadzić.

- Policja twierdzi, że Heather jest martwa.

- A pani?

- Wszyscy mówią... - Urwała, ale w jej oczach błysnęła nieśmiała nadzieja. -

Naprawdę wierzy pan w to, co pan mówi?

- Tak.

Patrzyła na niego uważnie przez chwilę.

- Proszę wejść - powiedziała i z powrotem uchyliła drzwi.

Wszedł za nią do dużego salonu. Meble i ozdoby, choć liczne, zdawały się nieco zagubione w przestrzeni. W dużym kominku z miedzianym okapem płonęły kłody drzewa, a jednak chłód, którego nie zarejestrowałby żaden termometr, pozbawił grubego dywan ciepła, a pluszowe sofy wygody. Dalmatyńczyk czujnie warował u wejścia; jego pani podeszła do bocznego stolika, na którym stała taca z alkoholami. Przygotowała sobie duży dzin z odrobiną toniku, zapominając zaproponować to samo gościowi, i zwróciła się do niego.

- Nie wiedzieliśmy, że to pan był przyjacielem z Rodos - powiedziała. W jej głosie brzmiał zaledwie ślad wrogości.

- Ale wiedzieli państwo, że kogoś poznała?

- Tak. Wspominała o tym w listach.

- Może obawiała się zaniepokoić państwa wiadomością, że chodzi o mnie.

- Może. Alan doprawdy powinien był nas ostrzec, że pracuje pan dla niego.

- Jestem całkiem niegroźny, pani Mallender. Chyba sama pani widzi?

- Ale mój mąż pana wyrzucił.

- To było dziesięć lat temu. Naprawdę sądzi pani poważnie, że nadal czuję z tego powodu urazę, a nawet jeśli, to że mściłbym się właśnie na Heather?

- Podobno już wcześniej zdarzały się na pana skargi ze strony żeńskiego personelu.

A więc Roy nie tylko przedstawił go w jak najgorszym świetle, ale i dodał coś

od siebie. Harry'ego nie powinno było to dziwić, a mimo to czuł zaskoczenie. To dlatego Marjorie Mallender tak niechętnie zgodziła się na rozmowę, nie mówiąc już o wpuszczeniu go za próg; nie wyjaśniało jednak, dlaczego w końcu uległa ani dlaczego w jej głosie brakło przekonania, kiedy powtarzała słowa syna. Milczał. Czuł, że ignorując oskarżenia Roya, zyska więcej w oczach pani Mallender niż za pomocą najgorętszych zaprzeczeń. Zamiast tego spróbował się odwołać do jej rozsądku.

- Wydaje mi się, że zniknięcie Heather można wyjaśnić na trzy sposoby. Po pierwsze - proszę mi wybaczyć szorstkość - mogła zostać zamordowana, a ciało ukryto tak dobrze, że go nie odnaleziono.

- W to wierzą mój mąż i syn.

- Ale nie pani?

Odpowiedziała beznamiętnym spojrzeniem.

- Druga możliwość jest taka, że Heather porwano i gdzieś uwięziono. Przyszło mi do głowy...

- Tak?

- Nie było żadnych żądań okupu, o ile mi wiadomo, ale czasem rodziny porwanych ukrywają takie informacje w trosce o bezpieczeństwo...

- Nikt się z nami nie kontaktował, panie Barnett. Ma pan na to moje słowo.

- Pozostaje więc tylko jedno wyjaśnienie: uciekła z własnej woli. Woląca zniknąć niż stawić czoło...

- Czemu?

Marjorie Mallender oddychała teraz ciężko, jej policzki poróżwiały nie tylko pod wpływem dżinu. Albo wyczytała ze słów Harry'ego coś, czego w nich nie zawarł, albo znalazł się bliżej prawdy, niż sądził.

- Nie wiem. Za kilka dni miała wyjechać do domu. Wydawała się szczęśliwa na Rodos i niechętnie myślała o powrocie. Sądziłem, że to zwykłe przygnębienie związane z końcem wakacji. Zresztą znałem ją dopiero od paru tygodni. Pani jest jej matką. Pani może osądzić, czy... czy istniało coś, przed czym Heather chciała

uciec.

Pani Mallender wróciła do sofy, usiadła. Wyjęła papierosa ze złotego pudełka na stoliku do kawy, zapaliła go zbyt dużą onyksową zapalniczką i rozejrzała się po kosztownym, nieprzytulnym wnętrzu. Na dłuższą chwilę jakby zapomniała o obecności Harry'ego, pogrążona we wspomnieniach, a może roztrząsając konsekwencje tego, co od niego usłyszała. Właśnie w chwili, gdy Harry zaczynał się zastanawiać, co robić spojrzała na niego i zapytała:

- Wie pan, że przeszła załamanie?

- Tak. Wspominała mi.

- Nieustannie nas przeproszała, panie Barnett. Za kłopot, jaki sprawiła, rozumie pan. Zupełny absurd; nie ma potrzeby przeproszać własnych rodziców za coś takiego. Ale ona uważała, że trzeba, częściowo z powodu tej bezsensownej presji, którą czuła po śmierci Clare. Nie bólu: to byłoby zrozumiałe. Ale odpowiedzialności, że ona została na świecie, gdy Clare odeszła. Naturalnie było to niczym nie poparte złudzenie, ale tym trudniej je wyperswadować. Po załamaniu, kiedy musiała opuścić szkołę, przez pewien czas ją utrzymywaliśmy, co pod wieloma względami jeszcze pogorszyło sprawę. Jestem pewna, że to wszystko przyczyniło się do nawrotu choroby, który nastąpił w październiku.

- Nawrotu?

- Tak. Dlatego opuściła Mallender Marine. Moim zdaniem pomysł, żeby tam pracować w ogóle był nierozsądny. Czego potrzebowała, to całkowite zerwania kontaktów z rodziną. Dlatego bardzo się ucieszyłam, kiedy przyjęła propozycję Alana i wyjechała na Rodos.

Harry ostrożnie opadł na fotel naprzeciw.

- Więc pani zdaniem jest możliwe, że Heather za wszelką cenę pragnęła uniknąć powrotu... do domu?

Tym razem nie było demonstracji urażonej dumy.

- Nie. Uważałam, że Heather powinna od nas odpocząć, choć ona nigdy by się z tym nie zgodziła. Ciągle podejmowała rozpaczliwe próby zadowolenia nas;

udowodnienia, że możemy być z niej dumni. Niemożliwe, by po prostu uciekła, wydając nas na pastwę najgorszych podejrzeń.

Marjorie Mallender spojrzała na oprawione zdjęcie na stoliku do kawy. Harry zauważył, że oczy kobiety przybrały wyraz zamyślenia, gdy postać z fotografii jeszcze raz przyciągnęła jej myśli. Sięgnęła po zdjęcie i przez kilka chwil przyglądała mu się uważnie, wolno kręcąc głową. Potem, zauważywszy pytające spojrzenie Harry'ego, zwróciła się do niego:

- Zostało zrobione w dniu dwudziestych pierwszych urodzin Clare, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, dwudziestego czwartego sierpnia. Wtedy byłam matką dwóch pięknych córek. Teraz... - westchnęła.

Raczej z uprzejmości Harry pochylił się ku fotografii i spojrzał dokładniej. Typowe zdjęcie rodzinne zrobione w ogrodzie na tyłach domu: Marjorie Mallender z córkami po obu stronach. Heather można było rozpoznać natychmiast, Clare wyglądała po prostu na nieco bardziej wyrafinowaną, niepokalanie wytworną wersję siostry. Na lewo od Heather stał jej brat, Roy. Po przeciwnej stronie, obejmując Clare w talii, jakiś krewny czy przyjaciel, którego Harry nie znał czy raczej... Nagle sobie przypomniał. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale miał przed oczyma dowód, że mimo wszystko się nie myli.

- Czy coś się stało, panie Barnett?

- Nie. To znaczy... kim jest ten mężczyzna?

- Och, przyjaciel Clare. Właściwie powinnam powiedzieć „narzeczony”, ponieważ...

- Narzeczony?

- Tak, chociaż zaręczyny zostały zerwane po niecałym roku. Zawsze żałowałam, że Clare nie wyszła za Jonathana. Byłby dla niej wspaniałym mężem. Uroczy chłopiec.

- Jonathan Minter, prawda?

- Oczywiście. Słyszał pan o nim? O ile wiem, stał się przez ten czas dość znanym dziennikarzem. Widzi pan, poznali się z Clare w Oksfordzie.

Spojrzał jeszcze raz na fotografię, zmierzył się z tępym uśmiechem, który Minter przybrał na tę okazję. Harry znowu natykał się na niego w miejscu, gdzie ten nie powinien się znajdować: był nie tylko kochankiem Virginii Dysart, ale i narzeczonym Clare Mallender.

Skomlenie dalmatyńczyka i bicie ogonem o drzwi ostrzegły Harry'ego, że nie są już sami. Podniósł wzrok i ujrzał wykrzywioną gniewem twarz Charliego Mallendera.

- Co się stało, Charles? - zapytała pani Mallender, odwracając głowę. - Nie spodziewałam się ciebie tak szybko.

- Minąłem go na drodze - odparł Mallender, wskazując palcem Harry'ego. - Dopiero koło klubu przypomniałem sobie, skąd go znam. Doszedłem do wniosku, że na pewno idzie do nas, i zaraz wróciłem. - Ton głosu wskazywał wyraźnie, iż stara się opanować ze względu na żonę. - Proszę opuścić to miejsce, Barnett. W tej chwili.

- Ale, Charles...

- Nie wtrącaj się. - Samokontrola nie starczyła na długo; jego głos stał się ostry i rozkazujący: - Barnett!

Uznawszy, że oporem nic nie zyska Harry ruszył do drzwi. Mijając panią Mallender zauważył spojrzenie i nieznaczne skinienie głowy; dawała mu do zrozumienia, że przynajmniej ona wierzy w jego dobre intencje.

Kiedy tylko znaleźli się w holu Charlie Mallender zamknął drzwi salonu i ruszył do ataku.

- Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz, przychodząc tutaj i denerwując moją żonę?

- Nie jest zdenerwowana.

- Ale ja jestem. A teraz wynoś się. - Gwałtownie otworzył drzwi frontowe. - No? Na co czekasz?

- Posłuchaj, Charlie...

- Ani słowa więcej! Wynoś się z mojego domu!

Szybko wpadający w gniew i niechętnie słuchający innych: takim go Harry zapamiętał z czasów, kiedy dla niego pracował. Powinien przewidzieć, iż w sprawach dotyczących swojej rodziny Mallender zachowa się tak samo. Charlie uważał, że powinien być równie pogardliwy dla swoich podwładnych, jak uniżony dla ludzi stojących wyżej; nie było wątpliwości, do której kategorii zaliczał Harry'ego.

- Wynoś się, do cholery!

Harry odwrócił się w progu.

- Może mógłbym ci pomóc w odnalezieniu Heather. Czy to cię w ogóle nie obchodzi? Bo z całą pewnością obchodzi twoją żonę.

- Heather nie żyje, próbujemy się pogodzić ze stratą. Moja żona nie potrzebuje złudnych nadziei i fałszywych obietnic, a tylko tyle możesz jej zaoferować.

- Skąd wiesz, że Heather nie żyje? Mogła po prostu uciec.

- Nie musiała przed niczym uciekać. Miała tu wszystko, czego jej było potrzeba.

Z wyjątkiem pełnego zrozumienia ojca, pomyślał Harry.

- Jest w was wszystkich coś, czego nie pojmuję. Szczególnie dotyczy to ciebie i Roya. Mam niemal wrażenie, że wolelibyście, żeby Heather zginęła, niż...

Reakcja Charliego całkowicie go zaskoczyła: gwałtownie zaczerpnął powietrza, otworzył szeroko oczy i uniósł pięść, jakby gotując się do ciosu. Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu; obaj pomyśleli o użyciu siły i zrezygnowali z tego kroku, obaj się zastanawiali, co by on oznaczał. W końcu Charlie Mallender odezwał się zniżonym głosem, jakby chciał, by zabrzmiało to jeszcze groźniej:

- Powinienem był cię oddać w ręce policji dziesięć lat temu, Barnett, zamiast cię po prostu wyrzucić. Żałuję, że się wtedy pohamowałem.

- Nie opowiadaj bzdur. Musiałeś wiedzieć, że to Roy mnie zrobił.

Stare kłótnie, zadawnione urazy: dlaczego znaczyły więcej niż troska o bezpieczeństwo Heather? Harry nie wiedział, ale najwyraźniej tak właśnie było.

- Idziesz czy mam zadzwonić na policję? - spytał ostro Charlie.

Harry zdawał sobie sprawę, że wyjdzie gorzej, jeśli do akcji wkroczy policja. Ulegając groźbie przestąpił próg. Kiedy się odwracał, by rzucić ostatnią kąśliwą uwagę, drzwi zatrzaśnięto mu przed nosem z taką siłą, aż brzęknęła kołatka i skrzynka na listy.

Zamknięte drzwi, odwrócone spojrzenia, pytania pozostawione bez odpowiedzi: każda kolejna odmowa stanowiła swoiste zwycięstwo, przekonywał sam siebie, idąc w dół podjazdem. Niechęć i próby zawrócenia z drogi witały go, gdziekolwiek się udał, ale to tylko wzmagало jego pewność: trafił na kręty szlak prawdy i jego uparta, dociekliwa natura nie pozwoli mu go opuścić.

XVII

Następnego ranka Harry pożegnał Erniego Love'a i stawił się przy Jubilee Clock dwadzieścia minut przed umówionym czasem. O tej porze, w niedzielę, promenada była pusta. Tylko mewy czuły się znakomicie i napępniały powietrze krzykiem, unosząc się w lekkiej, zmiennej bryzie. Siedząc w budce najbliższej zegara i patrząc na białe grzywacze w zatoce, Harry odkrył ze zdumieniem, że przepępnia go uczucie zadowolenia, jeśli nie szczęścia.

Czuł nadzieję i ciekawość. Mimo oporu i dezaprobaty, jakie napotykał na każdym kroku, udało mu się nadać poszukiwaniom pewien kierunek, który - być może - przekształci się w stały kurs. Jednak nie tylko myśl, że jest jedyną osobą posiadającą klucz do tajemnicy, wprowadziła go w dziwnie podniosły nastrój. Przyczyniły się do tego również, jak sądził, noce spędzone pod jednym dachem z Erniem. Ernie reprezentował sobą bezsens i nędzę egzystencji, która najprawdopodobniej stałaby się również udziałem Harry'ego, gdyby nie świadomość celu, jaką wniosło w jego życie poszukiwanie Heather. Choć raczej wątpił, czy „celowość” jest właściwym określeniem na to, co nim kieruje. Bliższe prawdy byłoby chyba stwierdzenie, że popycha go coś uparcie osobistego, chęć ocalenia od

zagłady jakiejś części własnej osobowości.

Naraz tuż obok odezwał się klakson. Harry rozejrzał się wokół: Nigel Mossop również przybył na spotkanie przed czasem.

- Nie... nie spałem za dobrze - wyznał Mossop, ledwie Harry wsiadł do samochodu. - M-martwiłem się.

- Czym?

- Nie jestem... pewien. - Uśmiechnął się nerwowo. - To chyba jeszcze gorsze.

Na tylnym siedzeniu leżał płaszcz nieprzemakalny, pudełko z kanapkami, atlas ptaków i lornetka. Najwyraźniej Mossop zrobił, co mógł, by oszukać matkę, choć Harry podejrzewał, że musiało go zdradzić mruganie, jąkanie i inne oznaki niepewności.

- Więc... więc dokąd jedziemy?

- Tam, dokąd pojechałeś w niedzielę dwudziestego ósmego sierpnia. Zdaję się na ciebie.

Jeśli Harry szukał potwierdzenia, że fotografie Heather mają ukryte znaczenie, nie mógł znaleźć lepszego dowodu, niż wyprawa z Mossopem po śladach sprzed trzech miesięcy. Jak się okazało, nie umówiła się z nim w samym Sabre Rise, ale na skrzyżowaniu trasy do Bridport z szosą do Portesham, co od pierwszej chwili sugerowało jakiś wybieg. Wrócili następnie do Weymouth i skręcili do krematorium, gdzie Heather wysiadła z samochodu, żeby zrobić zdjęcie.

Tak więc udali się na miejsce przedstawione na drugiej fotografii. Zostawiwszy Mossopa w samochodzie Harry wolno i uważnie obszedł kaplicę z czerwonej cegły otoczoną wypielegnowanymi trawnikami i grządkami kwiatów, wznoszącą się na wzgórzu za miastem. Gdzieś tutaj, pod krzewem różanym, spoczywały popioły Beryl Love, ale Harry za dobrze znał Erniego, by szukać pamiątkowej tabliczki. Sprawa nagrobka Clare Mallender przedstawiała się jednak zupełnie inaczej. W trzecim rzędzie kamiennych płyt w ogrodzie pamięci odnalazł miejsce, gdzie Heather podniosła aparat do oka i uwieczniła drugi z serii obrazów, które próbował teraz odszukać. CLARE THOMASINA

MALLENDER, 1959-1987. Oczywisty wybór dokonany przez siostrę pogrążoną w żalu, właściwy początek jej podróży - i podróży Harry'ego.

W milczeniu ruszyli teraz na wschód. Umysł Harry'ego z napięciem rejestrował każdą milę i każdy widok, jakby to samo mogło go zbliżyć do Heather. Nim dotarli do Beaulieu, eleganckiego miasteczka na terenie parku narodowego New Forest u ujścia rzeki o tej samej nazwie, minęło południe, ale Harry za bardzo się śpieszył, by zezwolić na przerwę w miejscu, gdzie Mossop i Heather zatrzymali się na obiad. Zamiast tego skierowali się na południe, wzdłuż zachodniego brzegu, na parking u końca ulicy, skąd Mossop i Heather zeszli nad rzekę, by zrobić trzecie zdjęcie.

Zmieniła się tylko pora roku. Drzewa były teraz nagie, trzciny zeschłe, niebo miało nieprzyjemny szary kolor. Gdyby nie to, Harry, stojący na brzegu z Mossopem - skrepowanym i gadającym jak najęty - miałby przed sobą ten sam widok, co Heather. Teraz, kiedy drzewa nie miały liści, Tyler's Hard rysowało się na przeciwległym brzegu jeszcze wyraźniej niż na zdjęciu: przystań, podjazd, białony dom, w którym Dysart spędzał weekendy, gdy odwiedzał swój okręg. Mossop powiedział, że Heather pożyczyła od niego lornetkę i przez dłuższy czas przyglądała się posiadłości. Może sprawdzała, czy Alan jest w swojej rezydencji, szukała samochodu albo innego znaku jego obecności. Widocznie nie zauważyła nic, co by ją zniechęciło do odwiedzin.

Mossop powiedział jednak, że nie pojechali prosto do Tyler's Hard. Zamiast tego skierowali się na wschód, zostawiając za sobą wrzosowiska New Forest, i dotarli do domów do wynajęcia okalających rafinerię ropy w Fawley, gdzie mieszkała Molly Diamond, pracująca u Dysarta jako pomoc domowa.

Mossop nie pamiętał adresu. Dopiero po kilku nieudanych próbach odnaleźli właściwy dom: niedbale pomalowany szarą farbą, ostatni w rzędzie nijakich budynków, które otaczały widoczne za płotem rurociągi i płomienie niby wał szlamu. Mossop, wierny zdarzeniom z przeszłości i własnym zwyczajom, pozostał w samochodzie, gdy Harry ruszył ścieżką do drzwi frontowych, starając się

zignorować rozwścieczonego wilczura warczącego nań zza płotu.

Drzwi otworzył umazany smarem chłopak; Harry'ego uderzyła fala rockowej muzyki i woń duszonego mięsa. Na pytanie o „panią Molly Diamond” chłopak ruszył zgarbiony korytarzem, zawołał na cały głos: „Mamo!”, po czym, nie zmieniając tempa, odszedł do zdemontowanego motocykla widocznego na podwórku od tyłu przez kuchenne drzwi.

W odpowiedzi z kuchni wyjrzała jakaś postać w fartuchu, spojrzała na Harry'ego, po czym pośpieszyła w jego stronę, wycierając ręce. Wyglądała na dumną niegdyś kobietę, toczącą nierówną walkę z zaniedbaniem średniego wieku. Miała dłonie czerwone od pracy i szarą ze zmęczenia twarz, ale w jej oczach tliły się jeszcze iskierki dawnych ambicji. Wyglądało na to, że zamierza odprawić Harry'ego krótko, ale na wzmiankę o Heather zaprosiła go do salonu od frontu, gdzie panowały względna cisza i spokój.

- Jasne, że czytałam o jej zaginięciu - zaczęła. - Naprawdę się przejęłam, może mi pan wierzyć, jak napisali, że pewnie nie żyje. Taka miła, uprzejma, dobrze wychowana dziewczyna. Jest pan jej krewnym?

- Właściwie... nie. Przyjacielem. Nazywam się Barn... - Harry zawahał się i postanowił zaryzykować kłamstwo. - Barnes. Horace Barnes.

- Czym mogę panu służyć, panie Barnes?

- No cóż, pewnie się pani domyśla, że odkąd Heather zniknęła, wszyscy jej krewni i przyjaciele łamią sobie głowy, szukając wskazówek, co mogło się z nią stać. Przypomniałem sobie, że mówiła coś o odwiedzinach u pani przed kilkoma miesiącami.

- Powiedziała panu o tym? - Przez twarz pani Diamond przemknął wyraz niedowierzania.

- No... tak. Tak.

- Bardzo dziwne.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Miałam wrażenie, że nie chciała, żeby ktoś się o tym dowiedział. Powie-

działa...

Wahanie zmieniło się w uparte milczenie; usta pani Diamond zacisnęły się w zdecydowaną linię.

- Co takiego powiedziała?

- Nie wiem, czy mogę to powtórzyć.

Harry starał się przybrać ujmujący wyraz twarzy.

- Taka dyskrecja przynosi pani zaszczyt i w normalnych warunkach nie nakłaniałbym pani do zdradzenia zaufania. Ale to nie są zwykłe okoliczności, prawda?

Pani Diamond zastanawiała się przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami, po czym przyznała niechętnie:

- Chyba nie.

- I czy nie przekonuje pani to, że powiedziała mi o swojej wizycie, chociaż nie zdradziła tego nawet własnej rodzinie?

Jednak do tej pory pani Diamond zdążyła przygotować własne argumenty.

- A co właściwie panu powiedziała? Że dlaczego tu przyjechała?

- Żeby zobaczyć miejsce, gdzie zginęła jej siostra i porozmawiać ze świadkami tamtego wydarzenia.

- I nic więcej?

- Nie. Więc, pani zdaniem, istniał jakiś inny powód?

- Nie...

Niewielka zachęta wydawała się wskazana.

- Jeżeli to pomoże się pani zdecydować, to jestem raczej przyjacielem Heather niż jej rodziny... jeśli pani rozumie, o co mi chodzi.

- To nie ich się... - Urwała. Przez chwilę przyglądała mu się badawczo, potem zapytała: - Co pan o mnie wie, panie... Barnes?

- Nic poza tym, że zajmuje się pani domem pana Alana Dysarta w Tyler's...

- Zajmowałam się. Już tego nie robię.

- Och, nie wiedziałem. Dlaczego?...

- Od czerwca zeszłego roku.
- To znaczy od śmierci Clare Mallender?

Skinęła głową na znak potwierdzenia, ale najwyraźniej nie zamierzała rozwijać tej kwestii.

- Rozumiem, to było trudne przeżycie.
- To nie dlatego - obruszyła się.

Harry miał wrażenie, że coraz bardziej zbaczają z tematu. Właśnie zamierzał skierować rozmowę z powrotem na sprawę odwiedzin Heather w sierpniu, kiedy niespodziewanie skrytość pani Diamond wyczerpała się i kobieta wyjawiała mu to, co niewątpliwie zdradziła również Heather.

- Pan Dysart zapłacił za spopielenie. Mój Wilfrid mi powtarzał, że zwario-
wałam, skoro rezygnuję z takiej posady, ale ja się cieszyłam, że odchodzę, może
mi pan wierzyć, cieszyłam się, że na dobre wynoszę się z tego domu. To, co się
zdarzyło pierwszego czerwca, to nie była tylko tragedia, o nie. Chodziło o coś
więcej, znacznie więcej. Wszystko wyglądało inaczej, niż ludzie myślą i mówią,
rozumie pan. Chyba wiem, bo byłam na miejscu. Pamięta pan, co pisały gazety i
co mówili w telewizji, panie Barnes?

- Niezbyt dokładnie. Rozumiem, że...

- Piękna panna Clare Mallender wysadzona w powietrze przez IRA zamiast
pana Dysarta. Bardzo zdolna. Podziwiana przez wszystkich. Idealna sekretarka.
No więc ja pamiętam zupełnie co innego. Słowo daję, była z niej paskudna mała
dziwka. Nieustępliwa jak kamień i sprytna jak lisica. I wcale nie pamiętam, żeby
pan Dysart nie mógł się bez niej obejść. Nienawidzili się, widziałam to po ich
oczach. Często żarli się jak pies z kotem. Nawet tego ostatniego ranka. Pokłócili
się okropnie tuż przed tym, jak poszła na jacht i wyleciała w powietrze, niech
odpoczywa w pokoju. Ale czy coś z tego wyszło w śledztwie? Skąd! Czy we-
zwano mnie na świadka? Gdzie tam. No więc co pan o tym sądzi, panie Barnes?

- Trudno powiedzieć. Myślę, że nikt nie chce mówić źle o zmarłych.
- Dużo pan wie. A choćby ten cały Morpurgo, co to nigdy nic nie robi?

- Morpurgo?

- Stróż u pana Dysarta, robotnik do wszystkiego, jak go zwał, tak go zwał. Mieszka w pokoju nad garażem w Tyler's Hard. A jak pana Dysarta nie ma, czyli prawie zawsze, cały dom jest do jego dyspozycji.

Harry nigdy wcześniej nie słyszał o tym człowieku, ale jego położenie niepokojąco przypominało mu własny los.

- Był na miejscu, kiedy zginęła Clare Mallender?

- Pewnie że tak. Za mojej pamięci nigdy się nie ruszył z Tyler's Hard. Ja i pan Dysart siedzieliśmy w kuchni, a on coś robił w ogrodzie, kiedy to się stało. Widziałam, jak panna Mallender szła po pomoście do jachtu, a potem się odwróciłam, żeby podać panu Dysartowi kawę, i wtedy za oknem rozległ się huk. Wszystkie szyby wyleciały po tej stronie domu i potem przez jakieś pół minuty było zupełnie cicho. A później usłyszałam, jak kawałki drewna i inne rzeczy, to znaczy części jachtu, wpadają do rzeki. I trzask ognia, bo pomost się zajął, a poza tym niektóre szczątki łodzi też się paliły. Popatrzyłam na pana Dysarta, on popatrzył na mnie i oboje wiedzieliśmy, co się stało, nawet nie musieliśmy tam chodzić. Kawałek szkła skaleczył go w czoło, ale poza tym oboje byliśmy cali. Ale i tak wiedzieliśmy, chyba przez jakiś instynkt, że panna Mallender nie żyje.

- Straszne - powiedział Harry niezręcznie. - Ale co to ma wspólnego...

- Pobiegliśmy na miejsce, oczywiście, chociaż jasne, że nic jej już nie mogło pomóc. Z jachtu śladu nie zostało, nie mówiąc już o panie Mallender, zresztą chyba tak było lepiej. Mimo to pan Dysart poszedł zobaczyć, co się da zrobić, a ja wróciłam do domu zadzwonić na policję. Po drodze spotkałam Morpurga. Biegł z ogrodu na tyłach, wypadł zza rogu i mało się ze mną nie zderzył. Widzi pan, dlatego jestem taka pewna, jak wyglądała jego twarz. On się uśmiechał, panie Barnes, uśmiechał się jak kot, który się dobrał do śmietany, jakby go cieszyło to, co się stało. To mną wstrząsnęło, mówię panu. Zmroziło mnie... sama nie wiem, jak to opisać. Od tamtego dnia nie postawiłam nogi w Tyler's Hard... nie potrafiłabym. Nie z powodu wybuchu, to nie żadna tam spóźniona reakcja, nic po-

dobnego. Tylko dlatego, że cała sprawa wyglądała mi podejrzanie, nie na taką, jak się wydawało, jak ludzie myśleli, nie... no, po prostu nie w porządku.

Co pani Diamond rozumiała przez określenie „nie w porządku”, trudno powiedzieć, choć niewątpliwie coś się za nim kryło. Harry byłby skłonny zlekceważyć jej opowieść jako wykwit histerycznego umysłu, gdyby nie fakt, że pani Diamond z całą pewnością nie należała do histeryczek. Nie była też ani tak bogata, ani tak wrażliwa, żeby rezygnować z dobrze płatnej pracy pod wpływem przelotnego nastroju. W sumie reakcja gospodyni na śmierć Clare Mallender wydawała się zbyt szczerą, by ją ignorować. Harry mógł sobie tylko wyobrażać, jak cała sprawa wpłynęła na Heather, starającą się otrząsnąć z depresji i pogodzić ze śmiercią siostry.

- Powiedziała parę słów do panny Mallender, to znaczy panny Heather Mallender, na pogrzebie siostry w zeszłym roku. Wtedy mi się zdawało, że nic sobie z tego nie robiła, ale latem, gdzieś w sierpniu, przyjechała się ze mną zobaczyć. Chciała, żebym jej opowiedziała wszystko, co pamiętam z dnia wybuchu. Sama byłam zdziwiona, naprawdę, jak mało zapomniałam. Wszystko, każda chwila, zostało gdzieś głowie. Huk wybuchu. Taki głuchy, okropny dźwięk, od którego aż mdliło. I płomienie na pomoście. I potem wycie policyjnych syren, błyskanie tych niebieskich świateł, trzaski krótkofalówek. Ale to wszystko nic w porównaniu z uśmiechem Morpurga.

- Jak pani sądzi, dlaczego się uśmiechał?

- Dlaczego? Widzi pan, panie Barnes, gdybym to wiedziała, to wiedziałabym też, co było nie tak tego dnia, nie?

- Nie mogła go pani po prostu zapytać?

- Widzę, że go pan nie zna. No cóż, tak się składa, że próbowałam go o wypytać ogródkami później tego samego dnia.

- I co powiedział?

- Nic.

- Zupełnie nic?

- Tylko się uśmiechnął. Tak samo jak wcześniej, jakby strasznie się z czegoś cieszył. To mną naprawdę wstrząsnęło: panna Mallender nie żyje ledwie od paru godzin, a ten się śmieje.

Harry nie musiał pytać Mossopa, gdzie on i Heather udali się po opuszczeniu Fawley. Dziewczyna musiała odczuwać tę samą ciekawość, która popychała go teraz. Kim był Morpurgo? Dlaczego się śmiał? Co było nie w porządku tamtego dnia? Jechali ostrożnie trasą zapamiętaną przez Mossopa, wąskimi uliczkami w kierunku ujścia Beaulieu, mijając rzadkie zagajniki, zagrody dla koni, pastwiska i czerwone kremowe domy.

- Nic nie m-mówisz - zauważył Mossop. Jechali w milczeniu od dłuższej chwili.

Harry nie odpowiedział. Miał nadzieję, że Nigel umilknie, pozwalając mu obserwować dostatni krajobraz, przyglądać się zadbanym koniom czystej krwi, pasącym się na ogrodzonych łąkach, i zerkać na rezydencje ich właścicieli, dyskretnie przesłonięte jodłami. Czuł, że jego myśli zmierzają we właściwym kierunku, przybliżają go do odpowiedzi, której szuka.

- Dziwne... naprawdę. Pamiętam, Heather była przy obiedzie... całkiem rozmowna. Ale jak odwiedziliśmy panią Diamond, zrobiła się taka jak ty... jak ty teraz.

Harry próbował nie słuchać kulawych uwag Mossopa i skoncentrować się na słowach Heather, ostatnich słowach, jakie od niej usłyszał. „Po prostu nie mogę już zawrócić, prawda?” Zastanawiał się, czy to w tym właśnie momencie, na tej wilgotnej, obrzeżonej sosnami drodze do Tyler's Hard, po raz pierwszy uświadomiła sobie, że naprawdę nie ma już odwrotu, że nie zdoła się oprzeć sile pchającej ją ku temu, co czekało na Profitis Ilias.

Zza następnego zakrętu wyskoczył range rover z przyczepą dla konia. Jechał środkiem drogi, zmuszając Mossopa do skręcenia w błotnisty rów na poboczu. Szum wody rozpryskującej się pod kołami i padającej na przednią szybę przy-

pomniał Harry'emu szmer, który we śnie zwabił go na piętro Villa ton Navarkhon: sen o posagach, które ożyły, o przesłaniu ukrytym pod postacią wizerunków, o spotkaniach - oczekiwanych i odbytych - stojących się wbrew logice tym, czym być nie mogły: schadzkami, na które podświadomie wyrażono zgodę. Nagle znaleźli się na miejscu. Wąska alejka poprowadziła ich w dół przez gęsty zagajnik nad słonawe zakole rzeki. Mossop zatrzymał samochód tuż przed domem, tak że mogli widzieć budynki, ogród, zarośniętą przystań, od której wzięła się nazwa całej posiadłości¹, i ocieniony palec pomostu wyciągnięty w wodę, sami nie będąc widziani.

- Wszedłeś razem z nią, Nigel?

- N-nie. Czekałem tutaj. Nie... nie chciała, żebym jej towarzyszył.

- Nie dziwię się.

Harry wysiadł z samochodu, zamknął drzwiczki najciszej, jak mógł, i ruszył przed siebie alejką. Czuł się trochę nie w porządku, że odwiedza Tyler's Hard bez wiedzy Dysarta, ale ciekawość zwyciężyła. Zbliżywszy się do bramy podniósł wzrok i natychmiast rozpoznał czwarte zdjęcie z kolekcji Heather. Musiało zostać zrobione dokładnie z miejsca, w którym stał; od tamtego czasu zmieniła się tylko sceneria. Dwuskrzydłowe drzwi po prawej stronie prowadziły do garażu, nowoczesnego budynku z mieszkaniem na piętrze i zewnętrznymi schodami, dopasowanego stylem do samego domu, który znajdował się na wprost, zadbany mimo nieobecności właściciela. Po lewej alejka przechodziła w zwirowaną ścieżkę, mijała żywopłot okalający ogród i prowadziła dalej na nabrzeże. Na pomoście, u dalszego krańca, zwracały uwagę nowe, jaśniejsze deski: jedyny ślad w bezludnym, uporządkowanym otoczeniu wskazujący na tragedię, która wydarzyła się tu przed osiemnastoma miesiącami.

Harry pchnął bramę i wszedł do środka. Potem zawahał się, niepewny, czy powinien zacząć od domu, mieszkania nad garażem czy ogrodu na tyłach. Smuga dymu z ogniska rozpalonego za domem rozstrzygnęła problem. Idąc ścieżką wi-

¹ Tyler's Hard (ang.) - Przystań Tylera.

jąca się wśród krzewów - po części nagich, po części okrytych gęstymi zimozielonymi liśćmi - przez chwilę wyobraził sobie, że w osobie Morpurgo znajdzie kogoś podobnego do siebie; sobowtóra umieszczonego przez Dysarta w Anglii, gdy jego zesłano na wygnanie na Rodos. Kiedy jednak przeszedł pod łukiem obrośniętym bluszczem i zobaczył człowieka, którego szukał, grabiącego zeschnięte liście i gałązki, uświadomił sobie, jakim absurdem było sądzić, że okażą się aktorami grającymi bliźniacze role w tej samej sztuce, którzy pierwszy raz spotkali się na scenie. Spostrzegł od razu, że nie może być mowy o żadnym poczuciu koleżeństwa między nimi.

Morpurgo - Harry nie wątpił, iż to z nim ma do czynienia - był wysokim niezgrabnym mężczyzną w berecie, ubłoconym kombinezonie i kaloszach. Wpychał do dymiącego wnętrza pieca pęki liści z desperacką energią, niepokojącym upodobaniem, z zapalem, który od pierwszej chwili wydał się Harry'emu nienaturalny.

Nie podniósł wzroku; pracował z oddaniem i skupieniem kogoś całkowicie pochłoniętego swoim zadaniem. Dym, od którego Harry kasłał i mrugał, najwyraźniej mu nie przeszkadzał, choć pochylał się nad samym piecem; nadal zdawał się nie zauważać gościa.

- Przepraszam... pan Morpurgo?

Żadnej reakcji.

- Pan Morpurgo?

Mężczyzna, przytrzymując grabiami ostatnią porcję liści, wolno obrócił głowę i spojrzał na Harry'ego przez ramię. Harry omal nie odskoczył. Poczerwieniał, wstydząc się odrazy widocznej we własnych ruchach. W miejscu lewego oka Morpurgo widniał przerażający fałd skóry. Nieregularna bruzda przeorywała kość policzkową i większą część twarzy po jednej stronie; nos był skrzywiony, a jeden kącik ust wygięty. Obszar między uchem a skronią, prawdopodobnie jeszcze bardziej zniekształcony, przesłaniał nasunięty głęboko beret. Prawe oko miało kolor zdumiewająco czystego błękitu i patrzyło obojętnie spod jedynej

krzaczastej brwi.

- Dzień... dzień dobry.

Morpurgo gwałtownym ruchem wyszarpnął grabie z pieca. Przez moment Harry obawiał się ataku. Przemknął mu przez głowę urywek z jakiejś jakobińskiej sztuki: „Kiedy zaglądam do stawu w moim ogrodzie, zdaje mi się, że widzę, jak zamierza się na mnie ktoś uzbrojony w grabie²”. Zaraz jednak nieporozumienie się wyjaśniło. Morpurgo postawił grabie na ziemi i oparł się o nie, oddychając ciężko i mierząc Harry'ego cyklopowym spojrzeniem. Najwyraźniej zeszpeceniu towarzyszyło kalectwo - fizyczne, a być może i umysłowe.

- Nazywam się... zresztą mniejsza o to. - Przyszło mu do głowy oczywiste kłamstwo. - Szukam Alana Dysarta.

Usta mężczyzny wykrzywiły się w bolesnym wysiłku, kiedy gotował się do odpowiedzi. Słowa brzmiały urywanie, sycząco; wymawiał je osobno i z naciskiem. Stanowiły odpowiedź na pierwszą uwagę Harry'ego, jak gdyby Morpurgo nie przyswoił sobie jeszcze reszty.

- Jestem-Morpurgo.

- Ach, niezwykle mi miło.

Przeklinając w duchu własny protekcyjny ton Harry poczuł równocześnie przyływ współczucia. Morpurgo był nieszkodliwym, upośledzonym mieszkańcem okręgu wyborczego, któremu Dysart dał zatrudnienie i mieszkanie. Albo może jakimś weteranem wojny falklandzkiej okaleczonym na ciele i umyśle podczas służby na okręcie Alana. Tak czy inaczej uśmiech, na który uskarżała się pani Diamond, stanowił jedynie smutną konsekwencję poważnej operacji, którą przeszedł. To, co miało być „nie w porządku”, okazało się okaleczonym człowiekiem, niezdolnym wyrazić swoich uczuć.

- Dzień-dobry.

- Dzień dobry.

Harry uśmiechnął się głupawo.

² John Webster, „Księżna d'Amalfi”.

- Alana-tutaj-nie-ma.
- Rozumiem. Przyjdę więc innym razem.
- Tak.-Innym-razem.

Harry niezręcznie skinął dłonią na pożegnanie i odwrócił się. Przedłużanie rozmowy nie miało sensu. Okazałoby się rozczarowaniem, jak niewątpliwie okazała się dla Heather. Idąc ścieżką wyrzucał sobie, że uwierzył mrocznym wizjom pani Diamond. Na pewno powierzchowność Morpurgo wypaczyła jej osąd. Na pewno...

Nagle stanął jak wryty. Przypomnił sobie wygląd mężczyzny: pozorny drobniak, nie pasujący jednak do reszty, całkowicie nie na miejscu - z pewnością musiał się pomylić. Odwrócił się i stwierdził, że Morpurgo nie drgnął. Nadal opierał się o granie, patrząc za nim. Nawet teraz, z odległości kilku metrów, Harry mógł stwierdzić, że się nie pomylił. Pod kombinezonem Morpurgo miał koszulę i krawat. Koszula wyglądała na spraną i poplamioną. Ale to krawat zwrócił uwagę Harry'ego. Krawat w prosty wzór: szerokie poprzeczne pasy, białe i różowe. Wiśniowe i srebrzyste, poprawiała go Heather. Wiśniowe i srebrzyste, jak na szaliku, który zgubiła na Profitis Ilias. „Należał do mojej siostry”. Słowa Heather, wyrwane z kontekstu, rozbłysły w jego pamięci.

- Coś-jeszcze? - zapytał Morpurgo.
- Nie. To znaczy... pański krawat; zwrócił moją uwagę.
- Mój-krawat?
- Tak. Bardzo... rzuca się w oczy.

Morpurgo wyciągnął go na wierzch i przyjrzał mu się, marszcząc brwi w zamyśleniu.

- Skąd go pan ma? Dostał go pan od kogoś?

Morpurgo podniósł wzrok.

- Nie - odparł z naciskiem.
- Rozumie pan: w prezencie?
- Nie-w-prezencie.-Mój-własny.-Zasłużyłem-na-niego.

- Zasłużył pan?
- Tak.-Na-uni... - Urwał; spróbował jeszcze raz. - Na-universytecie.
- Który to był uniwersytet?
- Oksford.

Konsekwencje przemykały przez umysł Harry'ego. Szal należał do Clare Mallender. Wyglądał jak emblemat college'u. Clare studiowała w Oksfordzie. Tam poznała Jonathana Mintera. Może należeli do tego samego college'u - którego barwami były wiśniowa i srebrzysta. Morpurgo też tam studiował. I uśmiechał się, kiedy Clare zginęła.

Podobnie jak w tej chwili. Przyływ dziecinnej dumy sprawił, że wpychając krawat z powrotem pod kombinezon i poprawiając węzeł uśmiechnął się do Harry'ego z przerażającym, niezrozumiałym zachwytem. Niewątpliwie taki właśnie uśmiech przestraszył panią Diamond.

- Do-widzenia! - zawołał na pożegnanie.

Nim Harry dotarł do bramy był pewien, że przynęta skusiła Heather; jej fotografie stanowiły tego dowód. Morpurgo musiał mieć ten sam krawat w dniu, kiedy odwiedziła Tyler's Hard. Pewnie zawsze go nosił. Biorąc to wszystko pod uwagę wydawało się oczywiste, że dziedziniec widniejący na następnym, piątym zdjęciu, znajduje się w Oksfordzie i należy do college'u, którego barwami były wiśniowa i srebrzysta i w którym splotły się losy tych trojga. Zgodnie z tym, co mówił Mossop, przez całą drogę do Weymouth Heather siedziała milcząca, z zaciśniętymi ustami. Nie powiedziała, do czego doprowadziły ją spotkania z panią Diamond i Williamem Morpurgo, a Nigel nie naciskał. Wysadził ją w Portesham przy pubie Half Moon, wymienił z nią parę banalnych uwag o nadchodzącym tygodniu, po czym wrócił do Radipole na podwieczorek. Nie myślał więcej o wycieczce, póki nie przypomniało mu o niej zniknięcie Heather - i wizyta Harry'ego.

Nic z tego, co powiedział nie zaskoczyło Harry'ego. Heather nie bardziej niż on sam skłonna była zaufać Mossopowi. Młody człowiek stanowił po prostu

środek do celu - i w obu wypadkach spełnił swoją rolę. Harry poprosił go, żeby go wysadził przy stacji Brockenhurst, skąd zamierzał wrócić do Swindon, szczęśliwy, że znalazł się w anonimowym tłumie podróżnych i nareszcie może prze-myśleć konsekwencje wszystkiego, co odkrył.

Niemożliwe, by Morpurgo studiował razem z Clare: był raczej w wieku Dysarta. Ponieważ Alan również uczył się w Oksfordzie niewykluczone, że zabierając Williama do Tyler's Hard wyświadczał przysługę dawnemu koledze. Wspólna służba w czasie wojny wyjaśniała zarówno kalectwo Morpurga, jak i wspaniałomyślność Dysarta. Fakt, że Clare Mallender studiowała w tym samym college'u co Alan łatwo dawał się wytłumaczyć. Bez wątpienia Dysart polecił jej college. Wszystko zdawało się nie mieć większego znaczenia. Heather mogła się tego domyślić. Jednak zdjęcia stanowiły dowód, że nie poprzestała na domysłach, ale pojechała do Oksfordu, by zaspokoić ciekawość.

Podróż koleją do Swindon wymagała aż trzech przesiadek: w Southampton, Basingstoke i Reading. Przemierzając dźwięczące echem tunele i perony pełne przeciągów Harry, mimo swojego zamyślenia, zwrócił uwagę na jakiegoś mężczyznę, który wsiadł wraz z nim w Brockenhurst i dokonywał tej samej skomplikowanej serii przesiadek. Z początku Harry nie przywiązywał do tego wagi, przekonany, iż wcześniej czy później ich drogi się rozejdą. Fakt, że mężczyzna dwa razy z rzędu wybrał ten sam pociąg i wagon, można było uznać za zbieg okoliczności. Kiedy jednak zdarzyło się to po raz trzeci okazało się na tyle znaczące, by oderwać Harry'ego od roztrząsania motywów postępowania Heather. Mimo to nadal był przekonany, że w Reading problem zniknie.

Stało się jednak inaczej. Kiedy czekał na pociąg do Swindon zauważył tego samego mężczyznę przeglądającego tanie powieści przy stoisku z książkami. Chudy, o spadzistych ramionach, w płaszczu przeciwdeszczowym i o powierzchowności trudnej do zapamiętania, mógł być zwyczajnym niedzielnym podróżnym - Harry nie mógł w to jednak uwierzyć.

Nadjechał pociąg. Harry wsiadł, mężczyzna zrobił to samo. Wybrał miejsce

oddalone o kilka rzędów, ale twarzą do Harry'ego. Wydawało się, że nie wykorzystywał możliwości obserwacji, jakie mu ono dawało, bo siedział ze wzrokiem wbitym w książkę, którą kupił przed chwilą w Reading. Sądząc po okładce przedstawiającej dziewczynę w czarnej bieliźnie, była to jakaś powieść pornograficzna; najwyraźniej pochłonęła go bez reszty. Charakter lektury wybranej przez mężczyznę nie wiadomo dlaczego dodał Harry'emu odwagi. Uznawszy, że jego nerwy potrzebują ukojenia ruszył do bufetu i kupił sobie dwa drinki: szkocką wypił przy barze, piwo zabrał ze sobą na miejsce.

Mijając mężczyznę nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć mu przez ramię na książkę. Nieznajomy właśnie przewracał stronę i na moment odsłonił okładkę, którą Harry widział przedtem tylko z daleka. Z przerażeniem ujrzał teraz, że dziewczyna w czarnej bieliźnie leży bezwładnie na kanapie uduszona szalem, wciąż jeszcze zaciśniętym wokół jej szyi.

Harry dowlókł się na swoje miejsce. Dlaczego właśnie szal? - myślał. Dlaczego mężczyzna, którego dopiero co przestał podejrzewać o zainteresowanie swoją osobą, wybrał tę książkę spośród tuzina innych? Zbieg okoliczności wydawał się mało prawdopodobny, jednak nie mniej niż przeciwna możliwość. Uświadomił sobie, że pociąg zwalnia. Wyjrzał przez okno; zbliżali się do stacji Didcot, ostatniej przed Swindon. Przyszedł mu do głowy sposób rozwiązania dylematu. Ulegając impulsowi wstał i skierował się do drzwi.

Mężczyzna pozostał na swoim miejscu. Parę minut później Harry stał na peronie, spoglądając na odjeżdżający pociąg. Przez jasno oświetlone okno widział mężczyznę nadal zatopionego w lekturze, zdawałoby się nieświadomego, że Harry opuścił pociąg. Co za głupota podejrzewać, że ktoś go śledzi, przekonywał siebie Harry - a jednak nie uważał za straconą godziny spędzonej na zimnej, mokrej stacji w oczekiwaniu na następny pociąg do Swindon. Udowodnił sobie, że jego podejrzenia były bezpodstawne. Całkiem bezpodstawne.

Harry wrócił do Biblioteki Centralnej w Swindon wcześniej, niż się spodziewał. Tym razem studiował gazety z 2 czerwca 1987 roku w nadziei odnalezienia jakichś wskazówek na temat tego, co zasugerowano mu w Tyler's Hard.

Jednak sprawozdania z zamachu na życie Alana Dysarta okazały się podobne do siebie. Wszystkie uderzały w dobrze znany ton. Harry miał wrażenie, jakby je czytał już wcześniej w takiej czy innej formie; żadne nie zawierało wzmianki o niczym, co mogło się wydawać pani Diamond „nie w porządku”.

Wczoraj IRA wzięła na siebie odpowiedzialność za wybuch w New Forest, w letnim domu należącym do Alana Dysarta, podsekretarza stanu...

Członkowie IRA przyznali się wczoraj do umieszczenia bomby na pokładzie jachtu Alana Dysarta, ministra obrony, doprowadzając przypadkowo do śmierci jego sekretarki, Clare Mallender...

Spokój New Forest został wczoraj zakłócony przez kolejny czyn stanowiący smutne uzupełnienie rejestru terrorystycznych zamachów IRA na terenie Wielkiej Brytanii...

Alan Dysart, wiceminister obrony, oznajmił wczoraj, że zamach na jego życie nie powstrzyma go od krytycznych wypowiedzi pod adresem tych, którzy występują przeciwko demokracji w Irlandii Północnej...

Na dalszych stronach znajdowały się wspomnienia krewnych i przyjaciół poświęcone „pięknej i utalentowanej kobiecie, która straciła życie w zamachu wymierzonym przeciw jej pracodawcy”... Cytowano słowa Dysarta: „Trudno pogodzić się z odejściem kogoś tak pełnego życia, a jeszcze trudniej zaakceptować fakt, że przez swoje nieprzejednane stanowisko wobec terroryzmu mogłem

się przyczynić do jej śmierci”. Charlie Mallender, powstrzymując łzy, jak napisano w jednej z gazet, stanął u boku Dysarta. „Mimo przepelniającego nas bólu czerpiemy pociechę z faktu, że Clare zawsze całym sercem popierała kampanię prowadzoną przez Alana Dysarta”... Wstępniaki oznajmiały zgodnym chórem: „Ten przerażający czyn nie powstrzyma ani rządu, ani - tym bardziej - pana Dysarta przed odrzuceniem wszelkich argumentów IRA”... Nigdzie nie wymieniano z nazwiska Morpurga ani pani Diamond, nigdzie też Harry nie znalazł wzmianki, by coś okazało się inne, niż oczekiwano.

Bezowocne poszukiwania mocno podważyły wiarę Harry'ego w celowość tego, co robi. Zdjęcia mogły stanowić jedynie kronikę pogoni za urojeniami podjętej przez nie zrównoważoną psychicznie młodą kobietę. Ostatecznie znał Heather ledwie przez kilka tygodni i wrażenie, jakie na nim wywarła w obcym otoczeniu, mogło się okazać dalekie od prawdy. Wnioski wyciągnięte na podstawie fotografii i pocztówek dałoby się prawdopodobnie obalić równie łatwo, co jego krótkotrwałe przekonanie, że ktoś go śledził poprzedniego dnia.

Rozczarowany, czyniąc sobie wyrzuty, wyszedł na Falmouth Street. Zatoniony w myślach, nie zwrócił uwagi na purpurowy samochód stojący przy krawężniku przed domem matki, póki ktoś nie pchnął drzwi od strony kierowcy, tak że zablokowały mu drogę.

Młody człowiek o surowej twarzy wysiadł z wozu i przyjrzał mu się badawczo.

- Harry Barnett?
- Co?... Tak.
- Policja. - Mignął mu przed oczyma legitymacją. - Proszę wsiąść z tyłu.
- Ale...
- Wsiadać!

Harry usłuchał. Zajął ostatnie wolne miejsce. Na lewo od niego siedział potężnie zbudowany mężczyzna o siwych włosach, patrząc prosto przed siebie. Młody człowiek zajmujący fotel obok kierowcy odwrócił się do Harry'ego z

zimnym, wrogim uśmiechem.

- Piękna pogoda jak na tę porę roku, nieprawdaż? - zapytał, jakby nieświadom faktu, że dzień jest wyjątkowo pochmurny i mglisty.

- Co to wszystko ma...

- Podobno właśnie wrócił pan z Rodos?

- Tak, ale...

- Na pewno nie przywiózł ze sobą nic zakazanego?

- Co pan przez to rozumie?

- Narkotyki, tego rodzaju rzeczy.

- Oczywiście że nie.

- Więc nic byśmy nie znaleźli, gdybyśmy przeszukali dom pańskiej matki?

- Jasne że nie. Skąd panu...

- Zamknij się! - Tym razem odezwał się mężczyzna siedzący obok niego, zwracając ku niemu dziobatą twarz o wydatnej szczęce. - Słuchaj, Barnett. Greckiej policji nie udało się ciebie na niczym złapać, ale my nie jesteśmy tacy skrupulatni w sprawach procedury. Za to jesteśmy rozsądni. Nie ruszymy cię, póki sam nas do tego nie zmusisz. Ale jak cię weźmiemy w obroty, na pewno dogrzebiemy się czegoś naprawdę paskudnego, możesz mi wierzyć. Więc dobrze ci radzę: nie prowokuj.

- Jak mam...

- Zamknij się! - Przez chwilę patrzył na Harry'ego groźnie, po czym podjął: - Jeśli jeszcze raz Mallenderowie zgłoszą na ciebie skargę, bezpośrednio albo pośrednio, osobiście, listownie lub przez telefon, czy w jakiś inny sposób, dobierzemy ci się do tyłka, i to tak, że gorzko pożałujesz. Narkotyki to tylko jeden ze sposobów. Twoja matka może się okazać złodziejką sklepową. Dziewczyna, którą będziesz chciał poderwać w parku będzie przebraną policjantką. Tak czy inaczej wpadniesz po szyję, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Starczy, jak pokiwasz głową.

Harry powinien się oburzyć na tak jawny dowód działalności Roya i Char-

liego, powinien też czuć pewną dozę satysfakcji, że zmusił ich do podjęcia równie zdecydowanych kroków, ale odczuwał jedynie mdlący strach. Twardzi policjanci w nieoznakowanych samochodach należeli do świata przemocy i gróźb, do którego nie miał zamiaru wkraczać. W brzuchu narastała przytłaczająca świadomość, jak łatwo go zranić. Tępo skinął głową.

- Nie będziemy pana dłużej zatrzymywać - pożegnał go uśmiechnięty mężczyzna z przedniego siedzenia.

Harry stanął na chodniku. Trzasnęły drzwiczki, samochód odjechał. Barnett patrzył za nim, aż wóz skręcił w Emlyn Square, potem niepewnie ruszył w tę samą stronę. Nie wszedł jednak do domu pod numerem trzydziestym siódmym. Uznał, że po tym, co się wydarzyło należy obrać zupełnie inny kierunek.

Dwie godziny później, pełen animuszu i piwa, wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze za barem w Glue Pot Inn. Liczył na to, że nawet kiedy wytrzeźwieje i odwaga go opuści, nie zmieni swego postanowienia. Jeśli Roy i Charlie mieli zamiar go przestraszyć, to osiągnęli cel. Ale pokazali również - przez gorliwość, z jaką starali się go zawrócić z drogi - że nie podążał za złudzeniami. Strach nie wystarczał już, by go zniechęcić. Nadchodził za późno. Harry był teraz zdecydowany podążać śladami Heather wszędzie tam, dokąd go zaprowadzą.

XIX

Mimo że Oksford leżał w odległości niecałych czterdziestu pięciu kilometrów od Swindon, Harry odwiedził go tylko dwa razy. Całą swoją znajomość miasta opierał na tym, co zapamiętał ze szkolnej wycieczki do Ashmolean Museum i podróży w interesach do Morris Motors. Nie wynikało to jednak z braku zainteresowania. Prawdę mówiąc, przez długie lata pielęgnował sekretne marzenie, że dołączy do szeregów uprzywilejowanych studentów Oksfordu i po trzech latach wspaniałych tryumfów akademickich i podbojów seksualnych rozpocznie

szczęśliwe, wygodne życie, z którego w świecie realnym wykluczyły go robotnicze pochodzenie i przerwana wcześniej edukacja.

Alan Dysart stanowił dla niego symbol tego, co udałoby mu się osiągnąć, gdyby mógł korzystać z możliwości dawanych przez Oksford. W chwilach zawiści myślał, że on też bez trudu potrafiłby zostać oficerem i dżentelmenem, gdyby tylko jego ojciec był równie bogaty, jak ojciec Dysarta, a on sam przykładał się do nauki w Commonweal, gdyby tylko...

Jak się jednak przekonał, życie nie stosuje się do pobożnych życzeń. Wymusza nieodwracalne decyzje, których konsekwencje można ocenić dopiero później. Wtedy kiedy nie ma odwrotu, żadnej możliwości zmiany obranej drogi, żadnego sposobu, by uniknąć przyszłości. Harry nie mógł się już oprzeć sile popychającej go na poszukiwanie następnego ogniwa łańcucha przez ozdobione świątecznie ulice Oksfordu, obok pozłacanych iglic i dumnych kopuł świata, który go odrzucił.

W połowie High Street w witrynie pracowni krawieckiej znalazł to, czego szukał: kolekcję szali, krawatów i naszywek w barwach poszczególnych college'ów. Wszedł do środka i poprosił o obszerny katalog wyrobów uniwersyteckich Shepherda i Woodwarda - co wywołało u sprzedawcy jedynie lekkie uniesienie brwi. Harry nawet nie spojrzał na wystawione przedmioty, póki nie znalazł się z powrotem na ulicy, przeczuwając, że będzie potrzebował anonimowości zatłoczonego chodnika, by stawić czoło odkryciu - przerażającemu i oczekiwaniemu równocześnie.

Cztery pasy równej szerokości w kolorze srebrzystym i wiśniowym ułożone pionowo na szalu i skośnie na krawacie, stanowiły emblemat Breakspear College. Dawnego college'u Dysarta. I Clare Mallender. I Mintera. I Morpurga. Związek zbyt wyraźny, by stanowił dzieło przypadku. Dysart często wspominał swój college, kiedy jeszcze pracował w Swindon. „Jestem w Breakspear. Może byś kiedyś wpadł, jak się zaczną zajęcia, Harry?” Oczywiście Harry nigdy tego nie zrobił. Nie zniósłby kontrastu między beztruskim życiem Dysarta i własną eg-

zystencją. Ale pamiętał - nazwę i wszystko, co się z nią wiązało. Heather była tu przed nim; zobaczyła i zrozumiała to, co on sam też wkrótce pozna i być może zrozumie. Nie miał najmniejszych wątpliwości, gdzie zrobiła piąte zdjęcie.

Breakspear okazało się równocześnie bardziej czcigodne i mniej ostentacyjne niż większość pozostałych college'ów. Łatwo mógłby przeoczyć jego nisko sklepione wejście w jednym z zaułków łączących High Street i Broad Street, gdyby go uważnie nie wypatrywał. Budynek, ufundowany w roku 1259, w ciągu dnia otwarty dla zwiedzających, prezentował się ze skromnością, za którą stało przekonanie o własnej niekwestionowanej wartości. Właśnie w tym miejscu, na pierwszym, najstarszym dziedzińcu, Harry znalazł to, czego szukał. Zwykły turysta zobaczyłby wytarte kamienne płyty i prostokąt rozmokłej trawy otoczony przez szare ściany; okna o szybkach oprawnych w ołów, gdzieniegdzie podesty kręconych schodów widoczne przez uchylone drzwi. Harry dostrzegał znacznie więcej. Widział dowody i świadectwa, potwierdzenie i zachętę.

Wrócił do stróżówki i zastukał w okno. Mężczyzna o twarzy pokrytej plamami i ulizanych włosach odsunął szybę i spojrzał pytająco. Budową, wyrazem twarzy i astmatycznym dyszeniem przypominał rozgniewanego buldoga wyglądającego z budy. Ku głębokiej uldze Harry'ego mężczyzna skierował go do kogoś innego.

- Najlepiej, żeby pan zapytał sekretarkę, panią Notley. Jej biuro znajduje się w klatce K, na dole. - Z namaszczeniem sprawdził godzinę na złotym zegarku kieszonkowym. - Chyba powinien ją pan jeszcze zastać.

Sekretarka rzeczywiście tkwiła na posterunku; stukała w klawiaturę komputera stanowiącego chyba jedyne ustępstwo Breakspear na rzecz nowoczesności. Harry odkrył bardzo szybko, że pani Notley jest całkowicie odporna na jego urok osobisty, ale poczucie obowiązku skłoniło ją do udzielenia odpowiedzi na pytania.

- Mówi pan sześćdziesiąt pięć do sześćdziesiąt osiem? - Harry na początek podał lata studiów Dysarta. - Morpurgo to niezwykle nazwisko, więc nie powinno

być kłopotów. Zobaczmy. - Zdjęła z półki obok opasły tom i przekartkowała go. - Jest. Morpurgo, William V. Studiował w okresie, który pan wymienił. Rezydent. Bakalaureat z neofilologii, bez oceny.

- Dlaczego bez oceny?

- Istnieje wiele powodów. Na przykład choroba.

Choroba; można to i tak nazwać.

- Gdyby zechciała pani sprawdzić jeszcze jedną osobę. Clare Mallender, koniec lat siedemdziesiątych.

Pani Notley zechciała.

- Panna Clare T. Mallender. Rezydentka. Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt siedem do osiemdziesiąt. Bakalaureat z filozofii, polityki i ekonomii; najwyższe oceny. - Nazwisko coś jej przypomniało. - Czy przypadkiem...

- I jeszcze jedna osoba - przerwał Harry. - Jonathan Minter. Ten sam okres.

Ale tutaj jego przypuszczenia napotkały pierwszą przeszkodę. Minter nie studiował w Breakspear nawet z grubsza w tym samym czasie, co Clare. Właściwie nie miało to większego znaczenia, skoro Harry wiedział od Marjorie Mallender, że Clare spotkała go podczas studiów w Oksfordzie: z pewnością Minter studiował po prostu w innym college'u. Jednak podkopało to wiarę Harry'ego we własne przypuszczenia. Wrócił na dziedziniec, zastanawiając się w przygnębieniu, co robić dalej.

Na szczęście miał jeszcze fotografie. Wyjął kopertę z kieszeni, odnalazł zdjęcie przedstawiające Breakspear i przez chwilę przyglądał mu się w skupieniu. Porównując je z murami otaczającymi dziedziniec, można było wyznaczyć miejsce, w którym stała Heather, kiedy robiła zdjęcie: dokładnie w południowo-zachodnim rogu. Harry podszedł tam i objął wzrokiem scenę. Kąty i perspektywa ściśle odpowiadały fotografii. A jednak, mimo że patrzył w skupieniu, nie chciały zdradzić swej tajemnicy.

Gdy tak stał pogrążony w myślach, portier, z którym rozmawiał wcześniej, nadszedł od strony stróżówki, pobrzękując pękiem kluczy. Na widok Harry'ego

zwolnił, zmarszczył brwi, potem nieśpiesznie podszedł do niego.

- Pani Notley pomogła panu?

- A, tak, dziękuję.

- Więc interesuje pana historia college'u?

- Tak, w pewnym sensie.

- Mamy tu doskonały przewodnik na ten temat. - Znowu brzęknął kluczami. -

Po bardzo umiarkowanej cenie.

- Nie wątpię. Obawiam się jednak, że nie dotyczy on tego okresu historii, który mnie interesuje.

- To znaczy jakiego?

Wydawał się teraz przyjaźniej nastawiony, bardziej skory do pomocy. Harry'emu przyszło do głowy, że może liczy na napiwek.

- Proszę mi powiedzieć, od jak dawna pan tu pracuje?

- Dwadzieścia sześć lat. Od czasu jak odszedłem z piechoty morskiej.

Nadzieje Harry'ego rosły: dwadzieścia sześć lat to wystarczająco długi okres.

- W takim razie powinien pan pamiętać obecnego ministra, Alana Dysarta, ze studenckich czasów.

- Oczywiście że tak. Bardzo miły młody dżentelmen.

- I jego kolegę z tamtego okresu nazwiskiem Morpurgo?

- Morpurgo... A, tak. O ile pamiętam, bliski przyjaciel pana Dysarta. - Pokręcił głową. - Przykra sprawa. Na ostatnim roku został ciężko ranny w wypadku samochodowym. - Znacząco postukał się w skroń. - Niestety, już nigdy nie wrócił do siebie.

- Mówi pan, wypadek samochodowy?

- Tak. Wie pan, jacy są ci młodzi ludzie, jak siądą za kierownicą. - Westchnął ciężko.

- I to był jego ostatni rok?

- Właściwie nawet ostatni trymestr. Parę tygodni przed egzaminami. Trymestr Trójcy Świętej w sześćdziesiątym ósmym. To był niewesoły czas w Breakspear.

- Z powodu wypadku?
- Nie tylko.
- Więc... dlaczego jeszcze?
- Dziwne, że pyta pan o to właśnie tutaj, bardzo dziwne.
- Dlaczego?

- W tym czasie, również podczas trymestru Trójcy Świętej w sześćdziesiątym ósmym, pan Everett zginął dokładnie w tym miejscu. Wypadł z okna na drugim piętrze prosto na kamienie; leżał niecały metr od miejsca, gdzie pan stoi. Należał do tego samego rocznika co pan Morpurgo... i pan Dysart. Dlatego mówię, że to był smutny czas.

Harry'ego jednak opowieść portiera bynajmniej nie przygnębiła. Heather nieprzypadkowo wybrała ten punkt. Świadomie utrwaliła na kliszy kolejne ogniwo, jakie jej umysł odnalazł między śmiercią siostry i śmiercią kolegi Morpurgo sprzed dwudziestu lat. Czy Morpurgo też się wtedy uśmiechał? - zastanawiał się Harry.

- Co nastąpiło wcześniej? - zapytał, starając się, żeby w jego głosie nie zabrzmiało zbyt wielkie zainteresowanie. - Wypadek samochodowy czy śmierć Everetta?

- To drugie.

- Jak to się stało?

- Właściwie nie wiadomo. Everett wypił za dużo, okno było otwarte, wychylił się, żeby odetchnąć i wypadł; tak się wydaje.

- A wypadek?

- Och, to się zdarzyło gdzieś pod miastem. Pan Morpurgo prowadził, wracali z pubu z dwoma innymi studentami. Oczywiście pijani i jechali na złamanie karku, jak to oni.

- Pan Dysart też z nimi był?

- Zdaje się, że nie... nie. Chyba... prawie na pewno jednym był doktor Ockleton. Tak. A drugi...

- Doktor Ockleton?

Coś w głosie portiera sugerowało, że doktor szczególnie utkwił mu w pamięci.

- Tak. Teraz rzadko o tym wspomina, ale...

- To znaczy, że nadal tutaj mieszka?

- Ależ tak. Naturalnie, wtedy jeszcze studiował; potem zrobił doktorat, a w końcu został wykładowcą. Uroczy człowiek. Bardzo uprzejmy dla pracowników.

- I przystępny?

Portier uśmiechnął się.

- Przystępny? - powtórzył schrypniętym głosem; zabrzmiało to trochę dwuznacznie. - O, tak. Bardzo przystępny.

XX

Harry wrócił do Breakspear College wczesnym popołudniem. Rankiem przekonał się z rozczarowaniem, że doktora Ockletona nie ma. Ładna dziewczyna w dresie, która zbiegała po schodach, kiedy stukał do drzwi Ockletona, wyjaśniła, iż doktor we wtorki rano ma wykłady i być może po południu Harry będzie miał więcej szczęścia.

Harry postanowił spędzić ten czas w niewielkim pubie przy Broad Street. Usadowił się przy oknie i popijał piwo drobnymi łyżkami, obserwując wchodzących i wychodzących klientów: obdartych starych pijaków znajdujących się nieco niżej od niego na skali upadku; grupki rozgadanych studentów o dziecięcych rysach, którzy wygłaszali mądre na pozór opinie. Niepewny, czego zazdrości im bardziej: młodości czy pączkującej pewności siebie, Harry nie zdołał się oprzeć pijackiej pokusie, by się nad sobą poużalać. Gdzie jest Heather? Dlaczego nie wróciła? Oddałby wszystko za jej towarzystwo, zdolne rozproszyć niechęć, jaką czuł teraz wobec przyjaźni okazywanej przez innych. Kolejny raz musiał przyznać, że jest równie daleki od prawdy jak wcześniej.

Do czasu kiedy raz jeszcze skierował się w stronę Breakspear - ssąc bardzo

mocną miętówkę - nastrój przygnębienia minął. Z ulgą stwierdził, że w stróżówce urzęduje inny portier. Minął pierwszy dziedziniec, nadszarpnięty przez siedem stuleci, wszedł na drugi, nie tak stary, i wspiał się po schodach na piętro, gdzie mieściły się pokoje doktora Ockletona. Tym razem zewnętrzne drzwi były otwarte, a na jego pukanie odpowiedział donośny głos.

Cyril D.G. Ockleton, doktor filozofii, wyglądał przy swoich blisko czterdziestu latach jeszcze młodziej niż Alan Dysart. Podczas gdy zachowanie i wygląd Dysarta upodabniały go do zdolnego trzydziestolatka, Ockletonowi brakowało tylko krótkich spodenek i procy, by zdawał się rozdokazywanym uczniakiem. To tak, jakby Breakspear stanowiło coś w rodzaju Shangri La³, pomyślał Harry. Krótki pobyt w tym miejscu zapewniał wieczną młodość, dłuższe w nim przebywanie - powrót do dzieciństwa.

Czarna jak węgiel czupryna Ockletona, jego twarz o rumianych policzkach i zsunięte na koniec nosa okulary, wraz z wystrzępioną togą i przekrzywionym krawatem nadające mu pozory niedojrzałości, zupełnie nie pasowały do jego głosu. Wyglądał jak mrugająca karykatura człowieka zatrzymanego w rozwoju, przerośnięte sowiookie dziecko odizolowane od świata. Głos lokował go na zupełnie innym planie, na olimpijskim szczycie abstrakcyjnych, obiektywnych sądów, skąd najdrobniejsze uwagi docierają w postaci głębokich prawd.

- Czym mogę panu służyć? Chyba nie spotkaliśmy się dotychczas?

Takim tonem mógłby się zwracać biskup do żebraka. Harry potrafiłby słuchać godzinami, nawet gdyby Ockleton czytał książkę telefoniczną, ale jedno spojrzenie na powierzchowność uczonego starczyłoby, żeby go wyrwać z transu.

- Nazywam się Harry Barnett.

Ockleton wyszczerzył zęby.

- Obawiam się, że nie stałem się przez to mądrzejszy.

Ale Harry nie dał się zwieść. Mądrość była dla tego człowieka tym, czym dla

³ Shangri La - ukryty raj lamów buddyjskich z powieści Jamesa Hiltona „The Lost Horizon”.

innych nuda. I dlatego jakakolwiek próba oszukania go nie miała sensu.

- Jestem znajomym Alana Dysarta.

Ockleton zerwał się z miejsca, bezbłędnie odnalazł drogę wśród stosów książek i papierów zaśmiecających pokój i uścisnął rękę Harry'ego zimną, wilgotną dłonią.

- Każdy przyjaciel Alana, et cetera, et cetera. Co pana sprowadza do Oksfordu?

- Heather Mallender.

- I znowu ma pan nade mną przewagę.

- Zaginęła w ubiegłym miesiącu na Rodos, mieszkała w willi Alana Dysarta.

- Ach, ta Heather Mallender!

Jego zachowanie sugerowało, że sprawa Heather stanowiła w college'u przedmiot dyskusji przy śniadaniu. Gdyby nie przypadkowe wmieszanie w nią dawnego wychowanka Breakspear, w ogóle nie zwrócono by na nią uwagi. Widocznie nie prenumerowali „Couriera”.

- Sądzę, że zna pan Heather.

- Tak?

Ockleton okrążył pokój; omijał liczne przeszkody na swojej drodze, pozornie ich nie zauważając. Zakończył obchód przy oknie i przez okrągłą minutę wpatrywał się w widoczną na zewnątrz ślepa ścianę szczytową i kopułę Radcliffe Camera. Potem odwrócił się i przyjrzał badawczo Harry'emu. Jego oczy - w zdumiewająco młodszej twarzy - błyszczały jak u starego orła.

- Pan, oczywiście, zajmował się domem Alana na Rodos.

- Tak.

- I jako ostatni widział pannę Mallender.

- Tak.

- Czy ona... wspominała o mnie?

- Nie.

- Więc...

- Odwiedziła pana przed około trzema miesiącami. Pod koniec sierpnia albo na początku września, jak sędzę. Pan jej coś powiedział... coś ważnego.

Ockleton zamyślił się na chwilę, najwyraźniej zbity z tropu, po czym zapytał:

- Skoro panna Mallender nigdy o mnie nie wspominała, na jakiej podstawie pan sądzi, że się ze mną widziała?

- Wiem, że przyjechała do Oksfordu i jestem głęboko przekonany, że odwiedziła Breakspear. Jeśli to prawda, nie mogła się z panem nie spotkać.

- Dlaczego nie?

- Bo studiował pan razem z mężczyzną nazwiskiem Morpurgo i był pan razem z nim, kiedy został ranny w wypadku samochodowym w sześć dziesiątym ósmym. Studiował pan z nim i jeszcze jednym studentem, nazwiskiem Everett, który zabił się, wypadając z okna na dziedziniec parę tygodni przed tamtym zdarzeniem. I ponieważ te dwa wypadki są w jakiś sposób związane ze śmiercią siostry Heather w czerwcu ubiegłego roku.

Ockleton zmarszczył brwi.

- Zdumiewające. - Uśmiechnął się. - Podziwiam pański upór w trzymaniu się tej linii rozumowania. Muszę przyznać, że pana nie rozumiem, chociaż z pewnością podąża pan za jakimś śladem. Podobnie jak panna Mallender.

- Więc przyznaje pan, że tu była?

- Nigdy temu nie zaprzeczałem.

Podszedł do zaśmieconego biurka, spośród akademickiego chaosu wyłowił kalendarz i zaczął go kartkować.

- O, właśnie. Sobota trzeciego września. Rzeczywiście. Pamiętam, deszczowy dzień. Panna Mallender przyszła o jedenastej. Chciała ze mną porozmawiać o swojej siostrze. Clare była moją studentką i naturalnie poruszyły mnie okoliczności jej śmierci, więc starałem się okazać Heather współczucie. Uderzyło mnie, że okazała się nie tak olśniewająca jak siostra, zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym, ale też, być może w wyniku tego, mniej zarozumiała. Z całą pewnością dowiedziała się o moim istnieniu od Clare. Z początku, szcze-

gólnie kiedy wspomniała o swojej depresji, sądziłem, że szuka pociechy w rozmowie z dawnym nauczycielem siostry.

- Ale ona chciała czegoś więcej?

- Pan chyba się domyśla, o co jej chodziło. O informacje na temat Willa Morpurgo.

- Wie pan, że Morpurgo pracuje u Alana Dysarta?

- Teraz już tak. Heather mi powiedziała. Prawdę mówiąc myślę, że przyczyniłem się do tego mimo woli.

- W jaki sposób?

- Od czasu wypadku Will stał się upośledzony. Uszkodzenie mózgu, jak pan zapewne słyszał. Ogromna strata, zważywszy jego dawne możliwości. Ale nic na to nie można poradzić: intelekt biednego Willa został na tamtym kamiennym murku w Cotswold i, jak Humpty Dumpty'ego, Morpurga nie można już było złożyć z powrotem. Oczywiście z czystej litości pozwolili mu skończyć studia. Potem, jak sądzę, zajmowali się nim rodzice, póki nie umarli. Kiedy Will został sam na świecie, powoli grawitował z powrotem do Oksfordu. Nie mogę go za to winić, skoro sam utkwilem tu na dobre. Stał się jednym z miejscowych włóczęgów zebrzących na każdym rogu. Nie można powiedzieć, że nie byłem hojny: dawałem mu funta za każdym razem, gdy go spotykałem. Jakies pięć lat temu Alan prowadził kampanię, by wejść do parlamentu. Przyjął zaproszenie na studencką debatę tutaj, w Breakspear. To taki akademicki odpowiednik głaskania dzieci po główkach. Nie sądzę, by dzisiaj zdobył się na podobny gest. Tak się złożyło, że jadłem z nim kolację i wspomniałem mu o losie biednego Willa. Alan nic wtedy nie powiedział, ale wkrótce potem Will zniknął z Oksfordu. Z tego, co opowiadała Heather, wygląda na to, iż Alan zajął się biedakiem przez wzgląd na dawną znajomość.

Harry zaczynał czuć niechęć do Ockletona. Choć przyjazny i chętny do pomocy, miał w sobie coś zimnego, nieludzkiego, co ujawniało się w każdej błyskotliwej uwadze. Najwyraźniej nie uświadamiał sobie kontrastu między własną

okazjonalną jałmużną a tym, co zaoferował Willowi Dysart: dach nad głową i uczciwą pracę. Z pewnością nie brakło mu umiejętności logicznego myślenia, ale był całkowicie pozbawiony głębszych uczuć.

- Tak więc wygląda życie Willa Morpurgo w największym skrócie. Tyle powiedziałem Heather Mallender i tyle mówię teraz panu. Pytanie brzmi: co to wszystko oznacza? Coś ważnego czy zupełnie nic?

Jedyną zaletą stanowiącą przeciwwagę dla ścisłego, analitycznego umysłu Ockletona była jego prawdomówność. W przeciwieństwie do rodziny Heather nie miał nic do ukrycia. Tę właśnie okoliczność Harry zamierzał teraz wykorzystać.

- I to wszystko, co powiedział pan Heather?

- Niezupełnie. Wydawała się bardziej zainteresowana studenckimi latami Morpurga niż nieszczęściami, które później na niego spadły. Chciała się dowiedzieć jak najwięcej o Towarzystwie Tyrrella, którego członkami byliśmy wszyscy trzej.

- Czego?

- Towarzystwa Tyrrella. To klub, gdzie studenci Breakspear o zbliżonych przekonaniach, pretensjach i przesądach jedli, pili i kłócili się. Tak chyba brzmiał cytat z mowy inauguracyjnej. Alan poddał myśl; została ona natychmiast podchwycona przez innych. Towarzystwo miało stanowić przejaw naszego buntu wobec panującej kultury studenckiej tego okresu. Medytacja i maoizm stanowczo nam nie odpowiadały. Woleliśmy pobudzać zmysły czymś bardziej barokowym, mieszczącym się w ramach tradycyjnej estetyki. Sądząc z wyrazu pańskiej twarzy, podejrzewa mnie pan o pseudointelektualny bełkot. Rzeczywiście, nie da się zaprzeczyć, że nasze biesiady przypominały raczej uczyty sybarytów niż uczniów Sokratesa. Niemniej jednak...

- Kto to był Tyrrell?

- Tyrrell? - Ockleton wydawał się lekko urażony, że jego wspomnienia zostały skierowane na tak przyziemne tory. - Dobry Boże, nie wie pan?

- Niby dlaczego miałbym wiedzieć?

- Bo tak samo jak wszyscy chodził pan niegdyś do szkoły. Walter Tyrrell został oskarżony o zastrzelenie z łuku, przypadkiem lub celowo, króla Williama Rufusa w New Forest drugiego sierpnia tysiąc setnego roku. - Ockleton uśmiechnął się, widząc, jak Harry marszczy brwi ze zdziwienia. - Być może metafora jest odrobinę niejasna. W całym epizodzie zainteresowało nas to, że nigdy nie ustalono prawdy. Tyrrell pozostał zagadką. Zawinił czy nie? Był śmiałym intrygantem i królobójcą czy tylko niezręcznym łucznikiem? Nigdy się nie dowiemy. Takimi właśnie nie rozwiązanymi zagadkami z przeszłości i teraźniejszości chcieliśmy się zajmować. Nazwę zaproponował Alan; wszyscy uznaliśmy ją za bardzo odpowiednią. Okazała się niemal zbyt celna w sposób, którego nikt z nas nie przewidywał.

- Co pan przez to rozumie?

- Wspomniał pan przed chwilą o śmierci Ramseya Everetta: właśnie o tym mówię. Okoliczności jego śmierci pozostają niejasne w prawdziwie tyrrelliański sposób.

- Słyszałem, że upił się i wypadł przez okno.

- Naturalnie. Zdawałoby się to idiotyczne, gdyby nie było równocześnie tak mało prawdopodobne. Jak powiedziałem Heather... ale zaraz, powinien pan zobaczyć coś, co doda pikanterii suchemu wyliczeniu nielicznych znanych faktów.

Żeby dotrzeć do właściwej szafy, wbudowanej nisko w narożniku, Ockleton musiał przesunąć fotel. Przez kilka minut zgarbiony przetrząsał jej zawartość, po czym z tryumfalnym „Aha!” wyciągnął dużą oprawioną fotografię. Dmuchnął na nią, wzbijając chmurę kurzu, postawił na biurku i gestem zaprosił Harry'ego, by się jej przyjrzał. Przedstawiała około tuzina młodych mężczyzn niedbale upozowanych wokół ławki na zalanym słońcem trawniku, ubranych we flanelowe spodnie i pasiaste blezery - bardzo nietypowy strój jak na studentów w latach sześćdziesiątych. Harry rozpoznał Dysarta siedzącego z dwoma innymi na ławce i Ockletona stojącego nieco z tyłu, niezgrabnie ściskającego butelkę szampana.

- Poznał pan Alana i mnie, prawda? - zapytał Ockleton po pewnym czasie.

- Tak.
- Will stoi na lewo ode mnie.
- Dobry Boże.

W pierwszej chwili Harry nie mógł uwierzyć, że wysoki, zgrabny młodzieniec z fotografii i mężczyzna, którego spotkał w Tyler's Hard, to ta sama osoba. Gdyby Morpurgo był choć trochę mniej doskonały, jego późniejszy los wydawałby się łatwiejszy do przyjęcia.

- Co za upadek, nieprawdaż? To jest Ramsey.

Ockleton wskazał innego członka grupy. Cięższy niż Morpurgo, nie tak niefrasobliwy i z wyrazem ledwie skrywanej pogardy na twarzy, Ramsey Everett zdawał się najbardziej spośród tyrrelliańczyków skłonny podważać ich prawo do postępowania według swojego widzimisie.

- A tutaj, jak może chciałby się pan dowiedzieć, są Jack Cornelius i Rex Cunningham.

Ockleton wskazał z kolei dobrze zbudowanego mężczyznę uśmiechającego się konwencjonalnie do aparatu i niskiego otyłego człowieczka, który stał obok z kieliszkiem, jak gdyby przyłączał się do toastu.

- Kim oni są?

- Cierpliwości, panie Barnett, cierpliwości. Najpierw ja panu zadam kilka pytań. W jakich okolicznościach poznał pan Alana Dysarta? Wybacz pan, ale nie wydaje się pan w jego typie.

- Pracował u mnie w czasie wakacji podczas studiów.

- On pracował u pana?

- Tak. Prowadziłem wtedy warsztat samochodowy w Swindon.

- Swindon? Oczywiście. Mogłem się domyślić. Kołowrotek czasu⁴, et cetera, et cetera.

- Słucham?

⁴ „Tak oto kołowrotek czasu przynosi nam okazje do odwetu”. William Szekspir, „Wieczór Trzech Króli”, przełożył Stanisław Barańczak.

- Mniejsza o to. Jeszcze nie skończyłem pana odpytywać. Jak to się stało, że został pan pracownikiem Alana, skoro pierwotnie to on u pana pracował?

- Ciężkie czasy. Pan ich pewnie nigdy nie zaznał.

Ockleton uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że Alan to bardzo uczynny człowiek

- Tak. Sądzę, że tak właśnie jest.

- Co ma pan zamiar uzyskać, podążając śladami Heather?

- Chcę ją odnaleźć.

- Więc jest pan przekonany, że ona żyje?

- Tak.

- Godne pochwały. Wydała mi się ogromnie sympatyczna. O wiele bardziej szczerza niż siostra. Clare była prawdziwą breakspearianką; zbyt subtelna, żeby jej to wyszło na zdrowie. Ale Heather na szczęście nigdy nie wpadła w nasze szpony. Pozostała... nieskażona.

Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu zdumieni odkryciem, że powoduje nimi ten sam motyw: pragnienie wyjaśnienia nie rozwiązanych tajemnic, które - choć oddalone w przestrzeni i czasie - wydawały się powiązane.

- Bardzo się panu śpieszy, panie Barnett?

- Nie.

- Więc zapraszam na przejażdżkę, jeśli ma pan ochotę. Zabiorę pana tam, gdzie zabrałem Heather. I pokażę panu to samo, co pokazałem jej.

Z dala od atmosfery Breakspear, uwolniony od swojej togi, Cyril Ockleton stał się nieco bardziej opanowany i mniej chłopięcy, jak gdyby wyczuwał, że powinien do pewnego stopnia ukrywać swą prawdziwą osobowość przed światem zewnętrznym. Prowadząc swój niewielki samochód na zachód od Oksfordu z radosnym lekceważeniem przepisów ruchu drogowego, nie zadał sobie trudu, by wyjaśnić, dokąd właściwie zmierzają. Rzucił jedynie ogólnikową uwagę, że jada na miejsce wypadku Morpurga. Uraczył za to Harry'ego szczegółową relacją

dotyczącą okoliczności śmierci Ramseya Everetta - jak się zdawało, powtarzając niemal słowo w słowo to, co opowiedział wcześniej Heather.

- Zapewne domyśla się pan, że członków Towarzystwa Tyrrella charakteryzował szczery i ostentacyjny patriotyzm. Tak więc dzień Świętego Jerzego⁵ był w naszych kalendarzach zaznaczony na czerwono. Dwudziestego trzeciego kwietnia każdego roku urządzaliśmy kolację, podczas której pijaństwo na cześć patrona stanowiło nie tyle zwyczaj, ile obowiązek. Obchody w roku sześćdziesiątym ósmym miały się wyróżniać dekadencjikim przepychem, jako że dla wielu z nas miały być ostatnie. Dość późno, kiedy pijaństwo osiągnęło zaawansowany etap, Ramsey Everett udał się samotnie - o ile wiadomo - do przylegającego pokoju. Ten pokój i drugi, gdzie odbywały się zebrania Towarzystwa i gdzie przygotowywano kolację, znajdowały się na drugim piętrze. Ponieważ noc była niezwykle ciepła, otwarto wszystkie okna. Ramsey prawdopodobnie wychylił się, by zaczerpnąć świeżego powietrza. W czasie przesłuchania sugerowano, że chciał sobie ulżyć przez okno, zamiast schodzić do toalety w podziemiach - nieprzyjemny, ale znany sposób postępowania tych, którzy wypili zbyt dużo. Jakkolwiek się stało i jakkolwiek była tego przyczyna, stracił równowagę - okno znajdowało się niebezpiecznie nisko nad podłogą - i wypadł na zewnątrz. Na nieszczęście wylądował na kamiennych płytach, a nie na trawniku i, co gorsza, uderzył w nie głową, rozbijając sobie czaszkę i łamiąc kręgosłup. Śmierć, jak nas zapewniono, nastąpiła od razu. Chyba pan rozumie, że ten przerażający incydent stanowił śmiertelny cios dla Towarzystwa. Ramsey, choć czasami zadzierał nosa, był lubiany. Bezsensowność jego śmierci sprawiła, iż tym trudniej ją było zaakceptować. Jakby tego nie dość, władze college'u wykorzystały ją jako pretekst do zbadania działalności Towarzystwa i w efekcie nakazały jego natychmiastowe rozwiązanie. Formalnie Towarzystwo Tyrrella przestało istnieć w dniu pogrzebu Everetta. Alan, o ile pamiętam, szczególnie to przeżył. Naturalnie część z nas nadal spotykała się od czasu do czasu; można powiedzieć, Towarzystwo istniało

⁵ Dzień Świętego Jerzego - 23 kwietnia, dzień patrona Anglii.

nadal, zaprzestaliśmy jedynie używania jego nazwy. Nie da się jednak zaprzeczyć, że śmierć Ramseya rzuciła cień na wszystko, co robiliśmy. Nic nie wydawało się już tak radosne jak kiedyś. Niektórzy wierzyli, że po zakończeniu dochodzenia wróci nam chęć do życia. Jego początek wyznaczono na dwudziestego maja. W miarę jak termin się zbliżał, ci, którzy mieli składać zeznania, stawali się coraz bardziej niespokojni i przygnębieni. Will przejawiał te symptomy w największym stopniu, co wydawało mi się dziwne, bo często kłócili się z Ramseyem. Kilka dni wcześniej Jack Cornelius zaproponował wypad za miasto, żeby nas rozerwać. Wóz Alana był zepsuty, więc Will, jedyny właściciel samochodu poza Dysartem, zgodził się nas zawieźć. Początkowo miało jechać pięć osób, ale ponieważ tylko czterech mogło się wcisnąć do mini Willa, Alan zrezygnował. Zostaliśmy ja, Will, Jack i Rex Cunningham. Wyruszyliśmy w piątek siedemnastego maja - to ważna data. Był piękny wiosenny poranek. Nasz cel - podobnie jak teraz - stanowiła wieś Burford.

Mknęli teraz główną trasą A40; w miarę jak zbliżali się do Cotswold, krajobraz stawał się coraz bardziej pagórkowaty; blade wiosenne słońce oświetlało farmy z kamienia miodowej barwy i kręte murki graniczne. Dlaczego Burford? I dlaczego siedemnastego maja? Harry nie potrzebował nawet pytać: Ockleton sam udzielił odpowiedzi.

- Jak pan stoi z historią siedemnastego wieku, panie Barnett? Zapomniało się? Czy może nie było czego zapominać? Mam nadzieję, że obito się panu o uszy coś na temat lewellerów, naszych rodzimych sankiulotów? Stanowili najinteligentniejszą i najmniej skłoną do uległości część armii powołanej przez parlament do obrony monarchii w czasie wojny domowej. Wierzyli, Boże, miej ich w opiece, że ich zwycięstwo przyspieszy wprowadzenie demokratycznych reform. Chyba nie muszę dodawać, iż generałowie, co do jednego dumni właściciele ziemscy, nie mieli zamiaru pozwalać na nic podobnego. Grali po prostu na zwłokę. Kiedy czas dojrzał, uderzyli: wysłali regimenty lewellerów do Irlandii i odebrali im wszystkie prawa z takim trudem zdobyte. Tych, którzy się opierali, denuncjo-

wano jako buntowników i odpowiednio traktowano. Ostatni bunt został stłumiony w Burford trzynastego maja tysiąc sześćset czterdziestego dziewiątego roku osobiście przez Cromwella. W ciągu następnych trzech dni w miejscowym kościele uwięziono i skazano na śmierć trzystu czterdziestu rebeliantów. Siedemnastego maja Cromwell ich ułaskawił, z wyjątkiem trzech przywódców, których egzekucji na kościelnym dziedzińcu wszyscy pozostali mieli się przyglądać. W ten sposób zakończyła się rebelia w Burford. Mógłby pan zapytać, dlaczego Towarzystwo Tyrrella przywiązywało taką wagę do tego wydarzenia. Odpowiedź leży w jego niejednoznaczności. Dwa lata wcześniej, kiedy było to na rękę Cromwellowi, jego oddziały walczyły po stronie lewellerów. Dlatego teraz, gdy zwrócił się przeciwko nim, uważali go za niewiele więcej niż zdrajcę. A jednak w Burford, w ciągu paru dni, zdołał przekonać wszystkich zbuntowanych oficerów do swojej sprawy. Atmosfera oszustwa i obłudy wisi nad tymi negocjacjami, sugerując, że nawet relacje z nich zostały wypaczone. Kto kogo zdradził? I dlaczego? Nigdy się nie dowiemy. Z tego względu Burford zdawało się szczególnie odpowiednim celem naszej wycieczki. Celebrowaliśmy to, co podziwialiśmy najbardziej: tajemnicę.

W Burford zjechali z głównej drogi i ruszyli w dół pochyłą High Street. Harry zauważył po drodze charakterystyczne herbaciarnie o łupkowych dachach i sklepiki z antykami w zasobnym Cotswold. Jakby miasteczko broniło się z oburzeniem przed oskarżeniami o zdradę, pomyślał. Ockleton skręcił w wąską uliczkę i parę chwil później zatrzymał wóz przed kościołem.

- To była oczywiście nasza pierwsza przystań - mówił, wysiadając z samochodu i zmierzając w stronę dziedzińca. - Will bredził coś o łukach normkańskich i późnogotyckich nawach, jak gdyby uradowany, że znalazł ciekawy temat pozwalający mu zapomnieć o niedalekim przesłuchaniu. Rex kręcił się między grobami i pytał, kiedy pójdziemy na obiad. Tak więc tylko Jack i ja pozostaliśmy, by się zastanawiać nad historią tego miejsca. Irlandzka krew Jacka sprawiła, że sympatyzował raczej z lewellerami. Widzi pan, Irlandczycy nigdy nie wybaczyli

Cromwellowi masakry w Drogheda⁶. Ja sam nie miałem wyrobionego zdania w tej sprawie. I nadal nie mam, jeśli o to chodzi. Oczywiście Cromwell nie mógł dłużej tolerować polityki lewellerów, ale przyzna pan chyba, że zdrada zawsze pozostawia pewien niesmak.

Weszli do kościoła: wysoko sklepionego, o wielu kaplicach. Ozdobne sarkofagi i pretensjonalne nagrobki odzwierciedlały dawną i obecną zamożność Burford. Harry pozostał w tyle, jak zwykle zmieszany widokiem wywoskowanych ławek i błyszczących tac - zawsze uważał świat za obojętny na religię. Zatrzymali się przy chrzcielnicy. Stojąc obok Ockletona Harry przyglądał się wiekowym graffiti wyskrobanym na ołowianym brzegu. Uczony wskazał jeden z napisów i odczytał go na głos:

- „Anthony Sedley. 1649. Więzień”. Nie zauważyłbym napisu, gdyby Jack nie zwrócił na niego uwagi. Wyrył to któryś z lewellerów, chyba z rozpaczy, gdy siedział tutaj uwięziony. Szkoda, że biedak nie znał ortografii. Robi wrażenie, prawda?

Ockleton mówił z sarkazmem, ale Harry czuł się naprawdę poruszony. Sedley napisał „n” w odwrotną stronę i opuścił „e” w słowie „więzień”, ale błędy tylko zwiększały siłę jego przesłania. Wychodząc z kościoła Harry wziął ze stojaka pocztówkę z reprodukcją napisu. Zdumiony własną uczciwością wrzucił do pudełka opłatę. Nie do końca rozumiał impuls, który kazał mu włożyć kartkę do tej samej koperty, gdzie trzymał zdjęcia Afrodyty i Sylena.

- Nic tak nie pobudza apetytu, panie Barnett, jak przechadzka po starym zimnym kościele. Jack, Will, Rex i ja poszliśmy na obiad do Lamb Inn i zamówiliśmy tyle piwa, steków i pasztetu, ile czterech młodych ludzi może zapragnąć. Heather też tam zaprosiłem na obiad. Niestety - spojrzął na zegarek - o tej porze gospoda będzie zamknięta. Dlatego sugerowałbym...

- Mimo wszystko, jeśli to możliwe, chciałbym zobaczyć miejsce, do którego

⁶ Drogheda - port w północno-wschodniej Irlandii u ujścia rzeki Boyne. W 1649 roku został on zdobyty przez Cromwella, a jego mieszkańcy okrutnie potraktowani.

zabrał pan Heather.

Ockletona zdumiała oczywiście ta prośba, ale nie protestował.

- Doskonale. Pojedziemy okreśną drogą.

Gospoda Lamb Inn znajdowała się po przeciwnej stronie Burford, w bocznej uliczce odchodzącej od High Street. Harry, gdy ją zobaczył, poczuł przyływ pewności siebie. Niewątpliwie budynek został uwieczniony na szóstej fotografii; Ockleton zaraz to potwierdził.

- Dziwne, że chciał pan zobaczyć to miejsce. Kiedy odjeżdżaliśmy Heather zrobiła zdjęcie. Gospoda jest nawet ładna, ale mało fotogeniczna, prawda?

- Widocznie Heather uważała inaczej.

Ockleton zmarszczył brwi.

- Okazuje się pan równie jak tajemniczy, jak ona, panie Barnett. Służę wam obojgu za przewodnika po miejscach związanych z moją przeszłością i oboje nic nie mówicie. Więc dlaczego mam wrażenie, że dostrzeżliście coś, co ja przeoczyłem?

Harry nie odpowiedział, a Ockleton nie drążył dalej tematu. W rzeczywistości Harry podążał jedynie za śladem utrwalonym na fotografiach, których postanowił nie pokazywać nikomu. Sam przed sobą tłumaczył ową skrytość względami bezpieczeństwa, ale w głębi duszy obawiał się naruszyć więź łączącą go z Heather. Pragnął ukryć zarówno fakt, że posiada fotografie, jak i to, że poszukuje rozwiązania zagadki z nimi związanej.

Kierowali się na północ. Minęli stary most dla juczych koni na rzece Windrush i wjechali między wzgórza. Po mniej więcej kilometrze Ockleton skręcił z głównej drogi do Chipping Norton i ruszył na wschód wąską szosą wspinającą się na wzgórza nad doliną Windrush.

- Gdy opuszczaliśmy Lamb Inn tego popołudnia, panie Barnett, wszyscy byliśmy równie pijani. Jack stał się sentymentalny, jak tylko pijany Irlandczyk potrafi. Nalegał, żeby wrócić do kościoła i zanurzyć się w jego atmosferze, poobcować z duchami lewellerów... tego rodzaju bzdury. Pozostali głosowali za po-

wrotem do Oksfordu. Jack zaproponował więc, byśmy wracali bez niego. Oznajmił, że i tak chciał odwiedzić kościół samotnie i że złapie jakiś autobus. Rex i ja rozzłościliśmy go podczas obiadu, umniejszając rolę lewellerów, a ponieważ nie można mu było przemówić mu do rozumu, kiedy popadał w nastrój urażonej godności, daliśmy mu spokój. Rozłożyłem się na tylnym siedzeniu, Rex siedział z przodu, a Will prowadził. Will był tak samo pijany, jak my obaj, jeśli nie bardziej. Zaczął od skręcenia w złą drogę wylotową, potem spróbował tą szosą wrócić na A40. Jak sam pan widzi, biegnie ona płasko i w miarę prosto grzbietem wzgórza, a po jakichś czterystu metrach niespodziewanie opada w dolinę. Nim tu dotarliśmy, zdążyłem już zasnąć. Will oczywiście jechał zbyt szybko, ale to stało się jasne, dopiero gdy zaczęliśmy zjeżdżać w dół.

Rozpoczął się stromy i kręty odcinek; Ockleton zwolnił. Za najbliższym zakrętem Harry zwrócił uwagę równocześnie na dwie rzeczy: znaki podporządkowania u stóp wzgórza w miejscu, gdzie szosa łączyła się z inną drogą, i scenę znaną z siódmej fotografii. W tej samej chwili Ockleton zatrzymał wóz przy żywopłocie. Trzydzieści metrów dalej widać było zwyczajne wiejskie skrzyżowanie. W maju żywopłoty z pewnością przesłaniały widok. Kamienny murek wyglądał na solidny. Sceneria łatwego do przewidzenia wypadku nie zmieniła się przez dwadzieścia lat.

- Do ostatniej chwili nie zdawałem sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Rex twierdzi, że biorąc pod uwagę naszą prędkość, nie mieliśmy najmniejszych szans wziąć zakrętu, nie mówiąc już o zatrzymaniu się. Samochód wpadł w poślizg i zmierzał prosto na mur po przeciwnej stronie drogi. Zamiast jednak weń uderzyć, wpadł na traktor z przyczepą nadjeżdżający z lewej. Obudził mnie odgłos zderzenia: potwornie ostry trzask i zgrzyt. Miałem najwięcej szczęścia, panie Barnett: złamana ręka, parę pękniętych żeber, najróżniejsze skaleczenia i siniaki. Cały impet uderzenia przyjął przód samochodu i ci, którzy tam siedzieli. Rex miał zmiażdżone nogi: trzeba było przepiłować wrak, by go uwolnić. Will został wyrzucony przez przednią szybę na mur: stąd wzięły się te okropne uszkodzenia

czaszki. Kierowca ciągnika wyszedł z tego bez jednego zadrapania. Co do dalszych konsekwencji, Rex pozostał sparaliżowany od pasa w dół, a Will, jak pan wie, doznał poważnych uszkodzeń mózgu. Oczywiście to wszystko nasza wina. Wykazaliśmy karygodną lekkomyślność i zbrodniczy brak odpowiedzialności. A jednak kara, jaka nas spotkała, była, jak sędzę, nieproporcjonalna do naszej winy. Ramsey nie żył, Will i Rex zostali kalekami. Pozostali obwiniali się o to, co się stało. Jack nigdy sobie nie wybaczył, że zaproponował wyprawę. Nie pomyłę się chyba jeśli powiem, iż wszyscy próbowaliśmy o tym zapomnieć, chociaż nie sędzę, by któremuś się to udało - z wyjątkiem Willa. A może nawet jemu nie.

Słaby blask zimowego słońca zbladł. Z obu stron znad cichych pól skradał się mrok. Harry zadrzał, ale nie z zimna. Zdawało się, że to w tym miejscu zagadka tego, co spotkało Heather Mallender, zaczynała się wyjaśniać. Jej los nadal pozostawał nieznany, ale Harry wiedział już, czego szuka: dowodów zdrady. Czuł, że odnajdzie jej niezatarte piętno zarówno na jej ofiarach, jak i tych, którzy posłużyli się nią dla swych celów.

XXI

Obudził się w pokoju gościnnym Breakspear College, gdzie nocował dzięki gościnności Ockletona. Wieczorem poprzedniego dnia mieli zbyt wiele spraw do omówienia, by powrót do Swindon ostatnim pociągiem wydawał się rozsądnym wyjściem. Harry chętnie zgodził się zostać na noc. Dopiero kiedy pierwszy ruch wywołał pulsujący ból głowy - skutek wypicia pół butelki porto sprowadzanego specjalnie dla college'u - zaczął żałować swojej decyzji.

Wrócili z Burford wczesnym wieczorem. Przy stoliku w Eagle and Child, ulubionym pubie Ockletona, przedyskutowali okoliczności zniknięcia Heather na Rodos i jego możliwych związków z wizytą dziewczyny w Oksfordzie ponad dwa miesiące wcześniej. Ockleton, wierny swemu akademickiemu wykształceniu, zdecydowanie wykluczał taki związek. Nie mógł jednak zaprzeczyć, szcze-

gólnie kiedy alkohol wypłukał z niego nieco naukowej sztywności, że żywe zainteresowanie Heather dawnymi czynami Everetta, Morpurga i Towarzystwa Tyrrella da się wyjaśnić tylko w świetle jej późniejszego zniknięcia: najwyraźniej dowiedziała się czegoś, co ją skłoniło do ucieczki.

Naciskany przez Harry'ego, by opowiedział o dalszych losach członków Towarzystwa, Ockleton bez trudu spełnił prośbę w odniesieniu do Dysarta i Morpurga. Jack Cornelius chyba wrócił na jakiś czas do rodzinnej Irlandii i został nauczycielem. Ostatnio Ockleton słyszał, że Jack uczy w katolickiej szkole z internatem gdzieś na południu. Rex Cunningham, choć przykuty do fotela na kółkach, doskonale sobie radził i był obecnie właścicielem hotelu z restauracją w Surrey.

- Dziwna sprawa, zdawało się, że Rex najbardziej interesuje Heather - mówił Ockleton. Harry wycężył słuch, żeby go dosłyszeć przez rozgwar ostatnich chwil przed zamknięciem pubu. - Kiedy wspomniałem o tej jego restauracji, Skein of Geese, wyglądała na zaciekawioną. Szef college'u odwiedził restaurację w zeszłym trymestrze i opowiadał, jak tam jest. Wszystko odpicowane niczym w burdelu, tylko jedzenia tyle, co kot napłakał. Należy jednak dodać, że on ma plebejskie gusta. W każdym razie, kiedy wspomniałem o tym Heather, kazała mi powtórzyć nazwę. Powiedziałem jeszcze raz, że restauracja nazywa się Skein of Geese, a wtedy ona wyciągnęła jedną z tych książeczek z zapalnikami, jakie dają w podobnych miejscach, i zapytała: „Tak samo jak tutaj?” I rzeczywiście: na wierzchu był obrazek trzech gęsi w locie oraz nazwa i adres restauracji. Oczywiście pomyślałem, że odwiedziła restaurację, ale ona zaprzeczyła. Widocznie dostała od kogoś zapalnika, i od tamtej pory nosiła je ze sobą.

Dlaczego Cunningham? - zastanawiał się Harry. Wstał z wąskiego łóżka dla gości i zaczął się ubierać. Dlaczego podążała tropem minionych tragedii i denerwujących błahostek? Musiał istnieć jakiś powód, dla którego to robiła, Harry nadal był jednak daleki od jego odkrycia. Wizyta w Tyler's Hard, nawet w Oksfordzie, jako wyraz żalu po śmierci siostry miała sens, ale zdjęcia stanowiły

dowód, że Heather na tym nie poprzestała. Zmierzała dalej, znacznie dalej, niż gdyby kierowało nią jedynie poczucie straty.

Przy okazji natknął się na drobniejszą zagadkę związaną z jego własną przeszłością. Siedząc przy huczącym ogniu w pokoju Ockletona w Breakspear i popijając po łyczku najlepsze porto, jakiego kiedykolwiek próbował, Harry poprosił gospodarza, by ten wytłumaczył mu swą dziwną reakcję na wiadomość, że Dysart pracował kiedyś w warsztacie w Swindon.

- Wszyscy uważaliśmy to za całkowicie niepotrzebne. Ojciec Alana zmarł podczas jego pierwszego roku w Breakspear, pozostawiając mu sporo pieniędzy. Zbił fortunę na sworzniach, mutrach i śrubach, jak pan zapewne wie. W związku z tym nie było potrzeby, żeby Alan szukał sobie pracy na lato. Jeśli się nudził mógł sobie znaleźć bardziej cywilizowane zajęcie, niż, za przeproszeniem, babranie się w smarach w jakimś Swindon...

- Nie pracował jako mechanik!

Ockleton uniósł ręce przeproszającym gestem.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli uraziłem pańską dumę zawodową. Zgodzi się pan jednak, że to bardzo dziwne. Wielu z nas się zastanawiało, co nim kieruje. Ja byłem zwolennikiem wyjaśnienia sprawy na gruncie psychologicznym. Cała ta historia nieodparcie przywodziła mi na myśl T.E. Lawrence'a, który zrezygnował ze sławy oficera i został prostym szeregowcem, albo Anthony'ego Asquitha, reżysera spędzającego weekendy za kontuarem baru dla kierowców ciężarówek w Yorkshire. Mówiąc po prostu: życie w brudzie. Albo, wyrażając się mniej dosadnie, ukrywanie się w anonimowym tłumie zwyczajnych robotników przed losem wspanialszym, ale i stawiającym większe wymagania. Alan zdawał sobie sprawę z własnych uzdolnień i tego, dokąd go mogą zaprowadzić, ale nie jestem pewien, czy rola przewodnika maluczkich do końca mu odpowiadała. Sądzę, że „wakacje w Swindon” stanowiły sposób, by zapomnieć, co mu niesie przyszłość.

Wtedy Harry odniósł się do tej teorii z lekceważeniem. Teraz, podchodząc chwiejnie do okna, uświadomił sobie, że jego niewiara brała się z niechęci.

Niechęci do przyznania, że u podstaw przyjaźni z Dysartem mogła tkwić inna przyczyna, niż sądził; że Dysart, wyciągając do niego pomocną dłoń, zwyczajnie zagłębiał się w życie prostaczków.

Harry odsunął zasłonę. Jasność mroźnego poranka boleśnie kłuła w oczy. Skroplona para ściekała po szybach; przetarł jedną z nich mankietem koszuli. Jego pokój znajdował się na parterze i wychodził na wąską uliczkę. Kiedy tak patrzył przez zawilgoconą szybę, coś nagle przyciągnęło jego uwagę: biały napis sprayem u podstawy poczerńiałego muru, układający się w znajome słowa, w których znaczenie nie mógł w pierwszej chwili uwierzyć. Podniósł okno i wychylił się, żeby lepiej widzieć.

ΠΡΟΦΗΤΗΣ ΗΛΙΑΣ. Charakterystyczne, niemożliwe do pomylenia z niczym litery krzyczały do niego swoje milczące pozdrowienie. PROFITIS ILIAS. Po grecku. W Oksfordzie. Czaiły się na niego. Umieszczone na murze, by musiał się z nimi zmierzyć, podważające jego wiarę we własne siły. Profitis Ilias. W miejscu, gdzie ich znaczenie nie mogło zostać wypaczone przez przypadek. Śledzono go albo przewidziano jego następny ruch. Postępowano za nim albo przed nim. Profitis Ilias wyciągała tylko dla niego.

Kilka minut później stał na chodniku, przyglądając się niezdarnie napisanemu przesłaniu. Uświadomił sobie, że choćby łamał sobie głowę jeszcze długo, nie odgadnie jego znaczenia. Nikt poza Ockletonem nie wiedział, kim jest ani co go sprowadza do Oksfordu. A mimo to ktoś napisał te dwa słowa na murze. Ktoś, kto wiedział, jakie znaczenie mają one dla Harry'ego - i tylko dla niego.

Od strony bramy college'u nadszedł jakiś mężczyzna o znużonym wyglądzie, ubrany w roboczy kombinezon. Niósł szczotkę i wiadro z płynem o ostrym zapachu. Napotkawszy spojrzenie Harry'ego pokręcił głową.

- Cholerni studenci - burknął gniewnie.
- Myśli pan, że to studenci?
- A któż by inny?
- Napis jest po grecku.

- Ach tak? Więc ma pan dowód, że to oni.
- Dlaczego?
- A kto inny potrafi pisać w cholernej grece?

No właśnie, kto? Mężczyzna przeszedł na drugą stronę ulicy, Harry wrócił do środka. Mógł uwierzyć, że jakiś pijany student filologii klasycznej w porywie szału chwycił za puszkę sprayu, ale nie w to, by przez przypadek napisał te dwa słowa, które nic nie znaczyły w epoce klasycznej. I to naprzeciw okien pokoju, gdzie zatrzymał się Harry. Jednak tak samo nie potrafił uwierzyć, że ktoś podążał za nim aż do Oksfordu tylko po to, by zostawić to makabryczne przesłanie: otwierało to zbyt przerażające możliwości. Pozostawało więc tylko jedno logiczne wyjaśnienie; im szybciej je sprawdzi, tym szybciej odzyska spokój.

Zastał Ockletona w refektorium, jedzącego śniadanie w towarzystwie dwóch czy trzech innych wykładowców. Siedzieli wokół dużego, wysokiego stołu, pod ciemnymi olejnymi portretami pół tuzina zmarłych nauczycieli. Wydawali się odpowiednio zdumieni wkroczeniem Harry'ego; półgłosem wymieniali krytyczne uwagi, kiedy nakłaniał Ockletona, by ten wyszedł z nim na zewnątrz. W końcu Ockleton, purpurowy z irytacji i zmieszania, usłuchał jedynie po to, by powtórzyć w drodze na dziedziniec to samo, co oznajmił już raz w czasie szeptanej dyskusji w refektorium.

- Stanowczo powinien się pan opanować, panie Barnett. Po pierwsze, nie jestem filologiem klasycznym. Po drugie, myli się pan, jeśli pan sądzi, że wymknąłem się nocą na ulicę, by nabazgrać naprzeciw pańskiego pokoju jakieś złowrogie przesłanie. Po trzecie, zapomina pan, że odprowadziłem pana do pokoju o pół do pierwszej w nocy. Brama college'u jest zamykana o dwunastej, więc musiałbym budzić nocnego portiera, by wyjść na zewnątrz. Z pewnością potwierdzi on, że nic podobnego nie miało miejsca. Po czwarte, uważam, iż wysuwanie bezpodstawnych oskarżeń stanowi wyjątkowo podłą odpłatę za okazaną panu gościnność. I po piąte...

Wyszli na ulicę, by się przyjrzeć postaci w drelichach i fragmentowi ściany.

Płyn czyszczący okazał się niezwykle skuteczny. Litery stawały się niewyraźne i coraz bledsze. Wkrótce znikną całkowicie. Niektóre już teraz były nieczytelne. Pi przypominało raczej M, a Phi upodobniło się do Q. Dowody zacierały się na ich oczach, a kiedy znikły Harry nie był pewien, czy zdoła przekonać samego siebie, że istniały kiedykolwiek.

Pół godziny później opuścił Breakspear College, ledwie rzuciwszy okiem na niewyraźną plamę. Szedł śpiesznie; pragnął jak najszybciej zostawić za sobą miejsce będące świadkiem jego upokorzenia. Rzeczywista wiadomość czy urojenie? Spod arkad zabytkowych budynków po obu stronach ulicy chimery wykrzywiały się do niego, natrzęsając się z jego niepewności. Popiersia rzymskich cesarzy z klasyczną obojętnością spoglądały ze szczytów kolumn wokół Sheldonian Theatre za jego oddalającą się postacią. Ale Harry nie stanął. Śpieszył przed siebie, pocieszając się myślą, że zachował jedną sekretną przewagę nad tymi, którzy sądzili, iż są od niego silniejsi.

Wszedł do księgarni na rogu Broad Street i Magdalen Street. W stosie bedekerów dla wnikliwych turystów odnalazł to, czego szukał: wyczerpujący przewodnik po brytyjskich hotelach i restauracjach. Każde hasło zawierało krótki opis budynku i jego niewielką fotografię. Harry kartkował go, aż dotarł do hrabstwa Surrey; wtedy zaczął go przeglądać uważnie strona za stroną, aż znalazł to, czego potrzebował.

Skein of Geese, Haslemere, Surrey. Właściciel: pan R. Cunningham. Ocena: 72 pkt na 100. Położona na pięknych prywatnych gruntach ostoja eleganckiego stylu życia, łącząca staroświecką wygodę z ujmującą oryginalnością. Rzadko spotykany mariaż królewskich apartamentów i niezapomnianej kuchni. Wszystkie sypialnie są wyposażone w...

Zdjęcie wywarło na nim większe wrażenie niż pochwalne peany. Chociaż

było zbyt małe, by obraz zachował ostrość, i zrobione pod innym kątem, Harry nie miał wątpliwości, co przedstawia. To Skein of Geese Heather uczyniła tematem swojej ósmej fotografii.

XXII

Determinacja prowadziła Harry'ego tylko do pewnej chwili. Dotarł do Haslemere wczesnym popołudniem, wziął taksówkę i po piętnastu minutach wysiadał naprzeciw hotelu Skein of Geese, kilka mil na południowy wschód od miasta. I tu przekonanie, pchające go naprzód do tej pory, zachwiało się po raz pierwszy.

Nie dlatego bynajmniej, by hotel nie odpowiadał wyobrażeniom. Wręcz przeciwnie, wyglądał identycznie jak na fotografii Heather, jedynie drzewa na tyłach straciły liście, a bramki do krowi schowano na zimę. Czarno-biały dwór w stylu Tudorów oddzielony zwirowanym parkingiem od współcześnie dobudowanego budynku stylizowanego na stajnię. Trawniki na tyłach opadające w kierunku zalesionych zboczy wzgórz Surrey. Flaga brytyjska zwisająca z masztu, trzy gęsi w locie na tablicy z ozdobnie napisaną nazwą i pióropusze dymu unoszące się pionowo ze smukłych kominów. W zimne, bezwietrzne popołudnie pastelowa trawa i ciepły ceglany mur współgrały ze sobą, tworząc doskonałe połączenie naturalności i pretensjonalności, uosabiając to wszystko, co Harry najbardziej kochał w rodzinnym kraju i co go najbardziej odstręczało. Ale nie to stanowiło przyczynę jego wahania.

Powodem była Profitis Ilias. Wspomnienia o Heather, ożywione dzięki fotografiom, dodały mu odwagi i nadziei - uczuć, których nie zaznał od bardzo dawna. Mimo to Profitis Ilias, czy to wspomniana w chwilach spokoju, czy wbrew logice przypominająca się na murze college'u, kojarzyła się z poczuciem klęski. Miejsce, gdzie za późno przybył Heather na pomoc. Tkwiło w nim głębokie przekonanie, oparte na niewierze we własne siły, że tu jego poszukiwania

znajdą gorzki koniec.

Przeszedł na drugą stronę szosy, pragnąc zbagatelizować znaczenie tego, z czym się już pogodził: nie miał odwrotu. Każdy krok, choćby najniewinniejszy i najmniej znaczący, sprawiał, że wycofanie się było coraz mniej możliwe.

Recepcja znajdowała się w nowszym budynku. Wypełniały ją przytłumione światło, miękkie skórzane obicia, barwione drewno i kojąca muzyka kameralna. Z niejakim zdumieniem Harry uświadomił sobie, że mimo niebotycznej ceny zamawia pokój i podąża za wyniosłą recepcjonistką w stronę drzwi.

Pokój okazał się wygodny, chociaż trudno byłoby go uznać za tak „królewski”, jak obiecywał przewodnik. Okna wychodziły na pusty parking. Najdłuższą ścianę zdobiły motywy hipiczne w stylu Stubbsa. Plakietkę przy kluczach zdobiło logo hotelu, a w popielniczce na telewizorze leżała książeczka zapalek. Harry wsunął ją do kieszeni, zastanawiając się, który z wcześniejszych gości podarował podobną książeczkę Heather. Następnie, zarówno z poczucia winy, jakim napełniło go pełne dezaprobaty spojrzenie recepcjonistki, jak i w nadziei na uporządkowanie myśli, przygotował sobie kąpiel.

Godzinę później wykąpany, ogolony i odświeżony leżał na łóżku jedynie w hotelowym szlafroku, na którego kieszonce widniały wszechobecne gęsi. Odpoczynek nie przyniósł mu jednak natchnienia. Właśnie zaczynał się rozpaczliwie zastanawiać, co robić dalej, kiedy szmer opon na żwirowanym podejździe i rozmowa, która potem nastąpiła, w mgnieniu oka rozwiązały jego problem.

- Jak się udało spotkanie, panie Cunningham?
- Fatalnie, skoro musisz wiedzieć, Ted.
- Będzie pan teraz w biurze?
- Jak na to wpadłeś?

Harry usiadł na łóżku. Przez firankę widział, jak portier pomaga kierowcy samochodu przesiąść się na wózek inwalidzki. Rex Cunningham stanowił żywe zaprzeczenie, że Breakspear College obdarza wieczną młodością. Z twarzą za-

czerwienioną i pokrytą zmarszczkami pod grzywą siwych włosów, łapiący z trudem oddech, zdawał się należeć do innego pokolenia niż Dysart i Ockleton. Było jasne, że wydarzenia z 17 maja 1968 odcisnęły na nim swe piętno równie głęboko, jak na Willu Morpurgo.

Harry zerwał z siebie szlafrok i ubrał się błyskawicznie. Kolejny rzut oka zza firanki pozwolił mu stwierdzić, że Cunningham właśnie wjeżdża po rampie w stronę recepcji. Chwycił klucze, wypadł z pokoju i pobiegł korytarzem, by się z nim spotkać. Jednak gdy tam dotarł obu mężczyzn nigdzie nie było widać. Zajrzał w jeden korytarz - na próżno, potem w drugi, i w tym samym momencie zauważył portiera wychodzącego z trzeciego odgałęzienia.

- Pan Cunningham już wrócił? - zapytał obojętnie, kiedy się mijali.
- Tak, proszę pana. Był pan umówiony?
- Trudno powiedzieć. - Zapukał i wszedł, nie czekając na odpowiedź.
- Słucham?

Cunningham podniósł wzrok znad biurka, marszcząc brwi z irytacją. Z bliska wydawał się nie tyle stary, ile zniszczony życiem. Twarz miał opuchniętą i pokrytą plamami, jak zatwardziały rozpusznik. Można by to uznać za skutek choroby zawodowej skłonnego do pobłażania sobie właściciela restauracji, gdyby nie odrobina szaleństwa zasugerowana przez grzywę mocno kręconych włosów, cienkie cygaro zwisające z kącika szerokich ust i jarmarczny turkusowy krawat, odbijający ostro od czarnej marynarki i koszuli.

- Dzień dobry. Nazywam się Harry Barnett. Zatrzymałem się tutaj na noc. Mam do czynienia z właścicielem, nieprawdaż? Pan Rex Cunningham?

- Tak, ale...

- Nie wie pan, kim jestem, ale mamy wspólnego znajomego, Alana Dysarta. Czytał pan na pewno o zaginionej dziewczynie, która mieszkała w jego willi na Rodos. Pracowałem tam jako stróż.

Cunningham wolno wyjął cygaro z ust i ostrożnie umieścił je w popielniczce. Harry zauważył, że jego usta są nieproporcjonalnie szerokie. Przy jedzeniu mu-

siał sprawiać wrażenie żarłoka. Nawet teraz nadawały mu zachłanny wygląd.

- Więc już pan nie pracuje?
- Zajmuję się czym innym.
- To co pan robi?

Harry zignorował pytanie.

- Zdaje się, że zna pan Heather Mallender?
- Znam? Chciał pan chyba powiedzieć „znałem”, panie...
- Barnett. Więc pan nie zaprzecza?
- Dlaczego pan pyta?
- Próbuję ją odszukać. Myślałem, że może będzie mi pan w stanie pomóc.
- W jaki sposób?
- Przyjechała tutaj około trzech miesięcy temu i zawarła z panem znajomość, prawda?

Cunningham odsunął się od biurka i spojrzał na Harry'ego zaskoczony, chociaż trudno stwierdzić, jaki był tego powód: czy nie spodziewał się takiego pytania, czy też nie chciał na nie odpowiedzieć.

- Może - odparł. - Z czyjego upoważnienia prowadzi pan poszukiwania, panie Barnett?

- Z własnego.
- Nie Alana Dysarta?
- Nie. Nie Alana Dysarta.
- Czego dokładnie chciałby się pan dowiedzieć?
- Co się wydarzyło, kiedy tutaj przyjechała.
- Nie powiedziałem, że tu była.
- Nie musiał pan. Wiem, że to zrobiła.
- Skąd?
- Wywnioskowałem na podstawie przesłanek.
- W takim razie jest pan lepszym logikiem, niżby się wydawało.

Cunningham objechał biurko, zatrzymał się naprzeciw Harry'ego i spojrzał

mu w oczy. W każdym rysie jego twarzy znać było podejrzliwość. Harry pomyślał nagle, że zdaje się ona zbyt wyraźna, jak gdyby służyła do ukrycia czegoś innego.

- Heather Mallender rzeczywiście zatrzymała się tu na kolację, panie Barnett, i co z tego? Codziennie odwiedza to miejsce pięćdziesiąt osób. Nasza kuchnia cieszy się zasłużoną sławą. Panny Mallender nawet nie pamiętałem, póki nie przeczytałem o niej w gazetach.

- Ale przyjechała specjalnie, by się z panem zobaczyć?

- Skąd mam wiedzieć? Zawsze robię obchód w restauracji, żeby sprawdzić, czy goście są zadowoleni. Możliwe, że zamieniłem z nią parę słów, ale to wszystko.

- Była sama?

- Nie. W towarzystwie adoratora.

- Kto to był?

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

Cunningham uśmiechnął się szeroko, z nieskrywaną prowokacją. Harry nie miał już wątpliwości, że nie dowie się niczego, jeśli nie zaoferuje czegoś w zamian.

- Zostali na noc?

- Chyba nie.

- W takim razie po co jechali tak daleko? Z Weymouth do Haslemere jest kawał drogi; trudno dojechać w ciągu jednego wieczoru.

- Z Weymouth? - Niewiedza Cunninghama była wyraźnie udawana.

- Mieszkała tam, jak panu zapewne wiadomo.

- Czyżby?

- Chciała z panem porozmawiać o swojej siostrze, prawda? O Clare Mallender.

Był to domysł, chociaż trudno go nazwać mało prawdopodobnym, a reakcja Cunninghama potwierdziła jego słuszność.

- Szczerze mówiąc, nie widzę najmniejszego powodu, żeby panu powtarzać, o czym rozmawialiśmy, panie Barnett.

- Więc może porozmawiamy o tym? - zapytał Harry, stukając końcem buta w wózek Cunninghama.

- O co panu chodzi?

- O wypadek samochodowy sprzed dwudziestu lat, w którym pan stracił władzę w nogach, a Will Morpurgo władze umysłowe.

Cunningham otworzył usta. Był wyraźnie zaskoczony. Może, pomyślał Harry, Heather nie powiedziała mu o wizycie w Oksfordzie - albo o tym, czego się tam dowiedziała.

- Pański dawny kolega, Cyril Ockleton, okazał się niezwykle...

- Ockleton?

A więc to prawda: z jakiegoś powodu Heather utrzymywała Cunninghama w niewiedzy.

- Tak. Rozmawiałem z Ockletonem, podobnie jak Heather. To, czego się dowiedziałem przywiodło mnie tutaj, tak jak ją.

Na twarzy Cunninghama pojawiło się nagłe zrozumienie. Odezwał się znowu opanowanym głosem:

- Może, mimo wszystko, rozmowa ma sens. Zechciałby pan zjeść ze mną kolację, panie Barnett? Będę wtedy mniej zajęty, łatwiej sobie przypomnę szczegóły wizyty panny Mallender.

- Dobrze.

- Powiedzmy, o pół do ósmej... w barze? - Uśmiechnął się bez wdzięku.

- O pół do ósmej. - Harry odwrócił się, żeby odejść.

- Panie Barnett...

- Tak?

- Nasza restauracja jest bardzo elegancka. Czy mógłby się pan trochę ogarnąć? Obawiam się, że mój *maitre* mógłby odmówić panu wstępu w takim stanie, jak teraz.

XXIII

Bar w Skein of Geese należał do kategorii, której Harry nie znosił: wywrotne miseczki z orzechami nerkowca i oliwkami zaśmiecające każdą powierzchnię, zniewieściały barman wyglądający, jakby nie potrafił odróżnić parasolki do koktajlu od ręcznej pompy, światła tak przyciemnione, że uniemożliwiają policzenie reszty, i standardy Glenna Millera z taśmy, przez które Harry poczuł tęsknotę za Vivaldim, zesłanym w okolice recepcji.

Przyszedł na spotkanie z Cunninghamem za wcześnie i już zaczynał tego żałować. Krawat, wydobyty z głębi kieszeni marynarki, był zgnieciony i poplamiony - chyba taramosalatą. Co gorsza, włożenie go zmusiło Harry'ego, by zapiął ostatni guzik koszuli, co zwróciło jego uwagę na pół cala tłuszczu, który przybył mu na karku od ostatniej podobnej okazji. To wszystko, w połączeniu z obrzydliwym piwem i podsłuchaną rozmową dwóch dam z prowincji na temat właściwej długości spódnic, wtrąciło go w czarną rozpacz.

Właśnie zerknął na zegarek i stwierdził, że od umówionej godziny dzielą go jeszcze co najmniej dwie kolejki little brown jug, kiedy sąsiedni stółek zajęła jakaś kobieta.

- Cześć, Harry - przywitała go po imieniu z pewnością siebie sugerującą, że znają się od wieków.

- Chyba się nie...

- Nadine Cunningham. Poznałeś już mojego męża.

Była przynajmniej o dziesięć lat młodsza od Rexa, osądził Harry, o blond włosach i jasnych oczach, w których błyskały iskierki radości; była od niej zuchwiała żywotność. Miała na sobie dopasowaną, czarną wełnianą suknię do pół uda, która - jak ująłby to Barry Chipchase - „obciskała wszystko co trzeba”. Co damy z prowincji powiedziałyby o jej długości Harry nie był sobie w stanie wyobrazić. On sam jednak nie protestował, kiedy kolana Nadine w czarnych

pończochach musnęły jego nogi.

- To, co zwykle, Vince - zwróciła się do barmana - i jeszcze jedną kolejkę tego samego co poprzednio dla pana Barnetta. Masz ogień, Harry?

- E, tak.

Wyjął pudełko hotelowych zapalek i niezgrabnie przypalił jej papierosa.

- Rex może się spóźnić parę minut. Prosił, żebym się tobą zaopiekowała.

Jej uśmiech i sposób, w jaki wypuściła kłęb dymu sugerowały, że zupełnie świadomie postarała się, by uwaga zabrzmiała dwuznacznie.

- Rozumiem, że próbujesz odnaleźć Heather Mallender.

Najwyraźniej długie wstępy nie należały do rzeczy, do których przywiązywała wagę.

- To prawda, ale...

- Mój mąż opowiada mi o wszystkim, Harry. No, prawie.

- W takim razie również i o tym, że Heather była tu jakieś trzy miesiące temu.

Zdrowie. - Napoczął drinka, którego mu postawiła.

- Jadła kolację w sobotę dziesiątego września. Sprawdziłam w księdze gości. - Tym razem jej uśmiech wyrażał dumę z własnej sprawności. - Rezerwacja była na jej nazwisko, ale rachunek zapłacił niejaki P.R. Kingdom, sądząc z pokwitowania.

Sobota dziesiątego września przypadała w następnym tygodniu po wizycie Heather w Oksfordzie, a więc właśnie wtedy, kiedy - jak się Harry spodziewał - dziewczyna udała się do Skein of Geese. W przeciwieństwie do daty tożsamość towarzysza Heather bardzo Harry'ego zdziwiła.

- Bardzo mi pani pomogła, pani Cunningham, ale co...

- Nadine, proszę.

- W porządku: Nadine. Co cię skłoniło, by odszukać te informacje?

- Szczerze mówiąc... - pochyliła się do niego i zniżyła głos - niepokoję się, Harry.

- Czym?

- Nie mogę tutaj mówić. Może spotkalibyśmy się... później.
- Dobrze.
- W którym pokoju mieszkasz?

Harry musiał wyjąć klucz, żeby sobie przypomnieć. Pokoje w Skein of Geese miały denerwująco „gęsie” nazwy zamiast praktycznych numerów. Jego nazywał się *cover*⁷. Skinęła głową. Harry miał wrażenie, jakby właśnie się zdecydowali na niedozwolony związek. Powodowała to aura seksualnej prowokacji, której ta kobieta używała tak, jak inne używają perfum; wystudiowana kombinacja spojrzeń i gestów, za pomocą których sugerowała wszystko, niczego nie proponując.

- Rex twierdzi, że pracowałeś u Alana Dysarta - przybrała ton fałszywej poufności. - Spotkałam go parę razy. Wydaje się równie czarujący w rzeczywistości, jak na ekranie. Był dobrym szefem?

- Właściwie nie był moim szefem na Rodos.

- Nie?

- Nie. Kiedy się poznaliśmy, za jego studenckich czasów, to on dla mnie pracował.

- Naprawdę? - W jej głosie brzmiało zainteresowanie. - To znaczy, w Oksfordzie?

- Nie, w Swindon. Prowadziłem tam warsztat samochodowy. Niestety, w pewnym momencie wszystko się...

Słyszał, jak jego słowa cichną. Nadine wpatrywała się w niego z uwagą nieproporcjonalną do znaczenia tego, o czym rozmawiali, uwagą graniczącą niemal z fascynacją.

- Co się stało?

- Nic... zupełnie nic... - nieprzekonująco pokręcił głową.

To, że czymś ją zaskoczył było dla niego równie oczywiste, jak fakt, iż nie zna przyczyny owego zaskoczenia. Nadine z ulgą spojrzała na drzwi

- O, jest Rex! Wcześniej niż się spodziewałam. Zostawiam was samych.

⁷ *Cover* (ang.) - stadko kuropatw. *Skein of geese* (ang.) - klucz gęsi.

I nim Harry zdążył cokolwiek odpowiedzieć zsunęła się ze stołka i poszła przywitać męża. Powiedziała coś cicho, dotykając ramienia Cunninghama i nie oglądając się już ruszyła szybko do wyjścia. Harry patrzył za nią, próbując zrozumieć to, co zaszło, gdy usłyszał słowa Rexa, który zajął miejsce obok niego.

- Jak gazela, prawda?
- Słucham?
- Moja żona, Barnett. Dobrze się rusza, nie?
- Eee... tak.
- Bez obawy. - Uśmiechnął się. - Nie jestem zazdrosny.

Jakim typem człowieka był w rzeczywistości Rex Cunningham nie udało się Harry'emu stwierdzić podczas ich wspólnego posiłku tego wieczoru. Gościnność, dobroduszość i przytłaczająca fascynacja brzmieniem własnego głosu: te cechy, wraz z bystrością umysłu i gargantuicznym apetytem, tworzyły wizerunek człowieka ciepłego i jowialnego. Harry uznał je za typowe dla śmietanki branży hotelarskiej. Rex zręcznie lawirował między poufałością i rezerwą, czym niewątpliwie zjednywał sobie serca nawet najbardziej wymagających gości.

Jednak Harry pozostał oporny na jego wdzięki. Opuszczanie przez Cunninghama formalnego „pan” przed nazwiskiem nie zwiódło go ani na chwilę; zamknięty w sobie, wybuchowy mężczyzna, którego spotkał po południu, stanowił bliższe prawdy wcielenie Cunninghama niż usłużny i życzliwy właściciel drogiej restauracji. Nad trzema obfitymi daniami i przy doskonałych winach w blasku świec barwnie opowiedział Harry'emu wysoce prawdopodobną, a jednak nie do końca wiarygodną wersją swego życiorysu.

- Więc Ockleton opowiedział panu wszystko o Towarzystwie Tyrrella? Prawda, Barnett, wyglądała tak, że po prostu lubiliśmy dobrze zjeść i wypić. Cała reszta, filozofia, historia, polityka, to był pic na wodę. No, może z wyjątkiem polityki. Uważaliśmy się za torysów, kiedy to było nie w modzie. Nie to, co dzisiejsi nadęci smarkacze. Chyba jednak przekroczyliśmy granicę. Everett próbu-

jący skoków na główkę na Starym Dziedzińcu. Morpurgo, który omal nie wysłał nas wszystkich na tamten świat przez ten cholerny wypadek. Zaryzykowałbym twierdzenie, że wszyscy zdradzaliśmy objawy tej samej choroby: ośle głupoty i uporu. Rozumie pan, o co mi chodzi? Nie sędzę. Niech pan się nie obrazi, Barnett, ale, nikt, kto nie był na uniwersytecie - to znaczy właściwym uniwersytecie, nie jednej z tych ruder z czerwonej cegły - nie rozumie, co znaczy wiedzieć, że się jest zasłużenie i zgodnie z prawdą uważanym za kogoś szczególnego. Nazywają to teraz „elitaryzmem”, ale to nie zawiera nawet połowy prawdy. Nie, ani połowy. Jeszcze wina, Barnett? Całkiem jak krew, nie? Krew dla mózgu w tym anemicznym świecie.

Co takiego mówił Ockleton o wypadku? Cokolwiek to było, proszę mu nie wierzyć. Facet ma zero zdolności do obserwacji, nigdy ich zresztą nie miał. Poza tym spał jak kamień na tylnym siedzeniu, kiedy to się stało. Ja też byłem pół-przytomny, i Morpurgo tak samo, skoro już o tym mowa. Sześć czy siedem kolejek za dużo, wie pan, jak to jest. Jeśli był pan na miejscu w Burford, nie trzeba nic więcej tłumaczyć. Wypadliśmy na szosę i łup! Chryste, do dziś pamiętam ten ból, kiedy rznęli samochód, by mnie wydostać. Jedyne, co zapamiętałem wyraźnie: niewiarygodny ból.

Na dowód włożył palce w płomień świecy stojącej między nimi.

- Człowiek się uodparnia... i staje tym bardziej niezwykły.

Harry zaczynał podejrzewać, że wszystko, co robi Cunningham, to tylko pretekst. Całe to wylewne, hałaśliwe przedstawienie miało za cel odwrócenie uwagi. Ale dlaczego? Albo przez lata doprowadził do doskonałości przedstawienie mające go chronić przed litością zdrowych ludzi, albo też ukrywał coś o wiele gorszego niż młodzieńcze skłonności do autodestrukcji. Tak czy inaczej, przedmiot wizyty Heather w Skein of Geese dziesiątego września nie wydawał mu się groźny. Przy serach i porto bez ponagrania doszedł do sprawy, o której Harry najbardziej chciał usłyszeć.

- Jeśli sądzi pan, że ta mała Mallender interesowała się nonsensami sprzed

dwudziestu lat, Barnett, to jest pan w wielkim błędzie. Nawet o tym nie wspomniała. Przy kolacji, kiedy jak zwykle obchodziłem stoły, by każdy poczuł się mile widziany, przedstawiła mi się jako siostra Clare. Tak się składa, że znałem Clare całkiem nieźle. Przyjeżdżała tutaj z Londynu; czasem tylko coś zjeść, czasem na kilka dni, żeby odpocząć; sama albo z jakimś młodym kochankiem. Piękna kobieta i na dodatek inteligentna. Cenny nabytek dla Dysarta. Idealna do zabawiania nudnych ważniaków w jego imieniu. Bardzo ją podziwiałem. Nie uwierzy pan, jak mnie zmartwiło, kiedy ci irlandzcy szaleńcy zabili ją w zeszłym roku. Tak czy owak, Heather z jakiegoś powodu chciała się dowiedzieć wszystkiego o ostatnim razie, kiedy Clare nas odwiedziła. Tak się składa, że zapamiętałem to bardzo dobrze, nie tylko dlatego, że wtedy widziałem ją ostatni raz, ale z powodu czegoś dziwnego, co się wtedy zdarzyło. To była sobota szesnastego maja, w osiemdziesiątym siódmym. Tak dokładną datę zawdzięcza pan mojej żonie. Jest specjalistką od tych rzeczy. Szesnasty maja przypadł zaledwie jakieś dwa tygodnie przed śmiercią Clare. W tym czasie była bardzo zajęta kampanią wyborczą i Dysart przywiózł ją tutaj na kolację. Chcieli odpocząć parę godzin od tej karuzeli w Londynie. Zastanawiałem się nad Dysartem i tą kobietą, Barnett, i nie wstydzę się do tego przyznać. Nikt by mu nie miał za złe, gdyby do niej uderzył, no nie? Jego żona to kawał zimnej suki. Clare była, mówiąc oględnie, atrakcyjna i na pewno spędzali ze sobą mnóstwo czasu, pisząc przemówienia czy co tam robią politycy. Zawsze miałem wrażenie, że chętnie poszłaby z nim do łóżka, ale nie mogę powiedzieć, by istniały dowody, iż to zrobiła. Właściwie, jak opowiadałem Heather, tego ostatniego wieczoru natknąłem się na coś, co sugerowało, że się całkowicie myliłem. W połowie kolacji Dysart musiał odebrać telefon. Zna pan polityków: zawsze w ruchu. Można by pomyśleć: inscenizują podobne sytuacje, by pokazać nam, biednym podatnikom, jak ciężko pracują. W każdym razie poszedł do telefonu, prosząc mnie po drodze, bym się zajął Clare, bo rozmowa może dłużej potrwać. Zgodziłem się; zawsze chętnie dotrzymuję towarzystwa wystrzałowej dziewczynie. Clare nie usłyszała, że się zbliżam.

Widzi pan, koła są cichsze niż kroki. To chyba jedyne, co przemawia na ich korzyść. Siedziała przy stole, zwrócona do mnie plecami, przyglądając się czemuś, co trzymała w dłoni. Podjechałem bliżej i wtedy zobaczyłem, co to takiego. Muszę powiedzieć, że mnie zatkało. Ktoś inny uznałby to za błahostkę, ale nie ja. Fotografia. Nieduża, czarno-biała, z zagiętym rogiem. Głowa i ramiona jakiegoś mężczyzny. W swobodnej pozie, uśmiechniętego, rozumie pan, nie żadne tam zdjęcie paszportowe. Raczej fotka, jaką mógłby nosić przy sobie przyjaciel albo krewny. Albo kochanka. To było pierwsze, co mi przyszło do głowy. Na stole leżała otwarta torebka i mały skórzany portfel z plastikowymi kieszonkami na karty kredytowe czy coś podobnego. Miałem wrażenie - ulotne, może mi pan wierzyć - że wyjęła zdjęcie z jednej z kieszonek. To znaczy wyjęła, by na nie popatrzeć. Niby jakaś zauroczona Julia wpatrująca się w zdjęcie Romea z drugiego końca świata, by sobie przypomnieć odległy przedmiot swoich uczuć. Co w tym takiego niezwykłego? Tajemniczy mężczyzna w jej życiu mógłby wiele wyjaśnić. Choćby jej cnotliwość w stosunku do Dysarta. Ale nie o to chodzi, zupełnie nie o to, Barnett. Właśnie gratulowałem sobie w głębi ducha, że w końcu poznałem jej sekret, kiedy do mnie dotarło, kim jest facet ze zdjęcia. Poznałem go i przeżyłem szok, nie waham się tak tego nazwać. „Zdziwienie” nie byłoby właściwym określeniem mojego stanu.

Cunningham zaciągnął się cygarem i przerwał dla efektu, ale Harry przewidział już, co mężczyzna powie. Jeśli nie intuicja, podsunęłyby mu to zdjęcia Heather: następne z kolei przedstawiało jakąś szkołę czy college i pozostał jeszcze jeden członek Towarzystwa Tyrrella - Towarzystwa, którym Heather żywotnie się interesowała, bez względu na to, co twierdził Cunningham. O tym człowieku nie było dotąd mowy. Żył i nie został okaleczony. Zaproponował wyjazd do Burford 17 maja 1968 roku, ale nie brał udziału w tragicznym powrocie. I, zgodnie z tym, co twierdził Ockleton, ostatnio uczył gdzieś w okolicach Londynu.

- Fotografia przedstawiała faceta, o którym już pan słyszał, Barnett. Mojego dawnego kolegę z Breakspear. Jacka Corneliusa.

XXIV

Harry wrócił do swego pokoju krótko przed północą, czując się mniej pijany, niż udawał przed chwilą. Rex Cunningham okazał się biesiadnikiem starej daty, przekonanym, że należy osuszyć butelkę w sytuacji, kiedy zwykłym śmiertelnikom starczyłoby wypić kieliszek. Harry szybko się jednak zorientował, iż jeśli on sam chce zapamiętać cokolwiek, musi zachować jasną głowę. Z tego powodu zaczął ograniczać ilość wypijanego alkoholu właśnie wtedy, kiedy Rex zdecydował się pójść na całość.

Następnie Cunningham został odwieziony do łóżka przez uczynnego portiera, osiągnąwszy ów sentymentalny etap pijaństwa, najtrudniejszy do zniesienia dla innych. Harry, wręcz przeciwnie, nie zamierzał spać; miał zbyt wiele do przemyślenia, by wydawało się to kuszącą perspektywą. Słowa Cunninghama jeszcze wzmogły jego przekonanie, że jeśli odgadnie motywy, jakimi kierowała się Heather, robiąc zdjęcia, odkryje prawdę - i odnajdzie samą Heather. Rozważania, jaki następny krok powinien uczynić, pochłaniały go bez reszty.

Z początku trudności z otwarciem drzwi zdawały się niczym więcej niż irytującą drobnostką. Zmuszony zwrócić uwagę na ten problem, stwierdził, że zamknął je na klucz, sądząc, iż je otwiera; gdy przyszedł, były już otwarte. Pamiętał doskonale: kiedy wychodził z pokoju parę godzin wcześniej, przekręcał klucz w zamku. Irytacja zmieniła się w zaniepokojenie.

Nie trwało ono długo. Zapalił światło i przekonał się, że wszystko jest w porządku. Żadnych odsuniętych szuflad, szaf otwartych na oścież. Jedyne łóżko zostało pościelone - prawdopodobnie dzieło pokojówki, która zapomniała potem zamknąć drzwi. Przyniósł sobie szkocką z barku i przestał myśleć o całej sprawie. Kiedy chwilę później zadzwonił telefon, zupełnie już o niej nie pamiętał.

- Mówi Nadine. Rex śpi jak niemowlę. Moglibyśmy teraz porozmawiać, jak obiecałeś?

- Chyba tak... tak, oczywiście.

- Zaraz będę u ciebie.

Nadal miała na sobie obcisłą czarną sukienkę. Sądząc po ciemnych smugach pod oczami i luźnym pasmie włosów, które wymknęło się z jej niepokalanej przedtem fryzury, spędziła męczący wieczór. Z jakiegoś powodu te objawy niedoskonałości dodawały jej jeszcze uroku, jakby stawała się przez to bliższa pragnieniom i słabościom innych ludzi. Harry nalał jej drinka. Podając Nadine ogień zauważył, jak drży jej ręka z papierosem.

- Jak ci się spodobał Rex?

- Gościnnie, miły... idealny gospodarz.

- Naprawdę?

Rzuciła mu niespokojne, niemal zrozpaczone spojrzenie. Powinna się uśmiechnąć, ale nic nie wskazywało, że zamierza to zrobić.

- Nie musisz przede mną udawać, Harry.

- Nie udaję.

- To wszystko jedna wielka gra. Musiałeś zauważyć.

- Musiałem?

- Właśnie ty.

- Dlaczego właśnie ja?

- Z powodu tego, kim jesteś. I co wiesz.

- To znaczy?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego zaczęła się przechadzać po pokoju, rzucając ukradkowe spojrzenia na ściany i nerwowo wydmuchując dym w sufit. Harry nie rozumiał, dlaczego porzuciła wcześniejszą pozę osoby pewnej siebie. Nie powiedział nic, co mogłoby ją zaniepokoić; w każdym razie tak sądził. Uświadomił sobie, że przygląda się śladom, jakie zostawiają na dywanie ostre obcasy jej pantofli i obserwuje mięśnie jej łydek napinające się na przemian. Powiedziała, że się niepokoi: wierzył jej teraz. To nie gra, był o tym przekonany.

- Jestem nikim, Nadine, i prawie nic nie wiem. Uwierz mi, to prawda.

- Niemożliwe.

- Dlaczego?

Spojrzała wprost na niego płonącym wzrokiem.

- Po co tutaj przyjechałeś, Harry?

- Wiesz po co. Wyjaśniałem ci. Sądziłem, że twój mąż pomoże mi odnaleźć Heather.

- Ale jest w tym coś więcej, prawda?

- Nie, nic więcej.

- Musi być.

- Dlaczego?

Znowu odpowiedź nie nadeszła. Zdecydowanym ruchem zgasila papierosa i usiadła na łóżku, opierając się o poduszki.

- Kiedy mówiłem przedtem, że Alan Dysart u mnie pracował wydawałaś się... zaskoczona. Czemu?

- Bo czułam się zaskoczona. - Głos Nadine był teraz spokojniejszy, cichy i zamyślony. Patrzyła w sufit. - Alan Dysart nie pracuje dla nikogo... z wyjątkiem samego siebie.

- Myślałem, że prawie go nie znasz.

- To prawda. Ale Rex go zna, z dawnych lat. A to znaczy, że i ja znam Dysarta. I jemu podobnych. Rex z tuzin razy opowiedział mi wszystko o Towarzystwie Tyrrella i o tym, czym się ono zajmowało. Ciągle to przeżywa, rozumiesz, całą tę szumną, straconą, lekkomyślną młodość. Nazywa to „duchem uniwersyteckim”. Twierdzi, że nikt, kto tego nie przeżył, nie może go zrozumieć. Szczególnie kobieta. W tamtych czasach nie było oczywiście mowy o koedukacji. Myślę, że wychowanie okaleczyło go w takim samym stopniu, jak wypadek. Nie potrafię się do niego zbliżyć, rozumiesz, nie mogę go osiągnąć. Nie w sensie fizycznym... raczej psychicznie. Jest jak zamknięta książka. Zaryglowane drzwi. Bóg wie, że próbowałam. Zdawało mi się, że nie jestem taka głupia, żebym się dała trzymać na dystans tej jego męskiej solidarności, ale się pomyliłam, Harry, tak

bardzo się pomyliłam, że to aż śmieszne.

Nie roześmiała się jednak. Wręcz przeciwnie, zdawała się bliska łez.

- Od dawna jesteście małżeństwem?

- Siedem lat. Pracowałam jako kelnerka w poprzednim hotelu. Dużo mniejszym, w Godalming. W każdym razie nie tak wspaniałym. Chciał rozwijać interes. Stąd Skein of Geese. Stąd nasze małżeństwo. Potrzebował żony w celach reprezentacyjnych i wybrał mnie. Uwolnił mnie od zarabiania na życie sprzątaniami ze stołu, ale spodziewałam się czegoś więcej. Taki mały błąd, rozumiesz?

Przerwała, żeby się napić whisky.

- Prawda jest taka, że Rex ma obsesję na punkcie tamtego wypadku sprzed dwudziestu lat i tego, co do niego doprowadziło. Może się to wydawać zrozumiałe, ale on nie roztrząsa samej tragedii, nie, wcale. Ciągłe wraca do wcześniejszego okresu. Do tygodni, które nastąpiły po kolacji w wigilię Świętego Jerzego, kiedy...

- Zginął Ramsey Everett.

Spojrzała na niego z lekkim zdumieniem.

- Wiesz o tym? Więc miałam rację. Istnieje związek.

- Z czym?

- Mówiłeś Rexowi, że jako student Alan Dysart pracował u ciebie w Swindon podczas wakacji?

- Nie. Jakoś się nie zgadało.

Nadine cmoknęła i uśmiechnęła się po raz pierwszy.

- A więc ja ci o tym opowiem. Widzisz, Rex uwielbiał Towarzystwo Tyrrella i wszystko, co ono sobą reprezentowało. Teraz twierdzi, że interesowało go tylko dobre jedzenie, ale kłamie. Może nie sięgał intelektualnie do tego poziomu, co niektórzy, ale mimo to wierzył w ich wizję świata. Towarzystwo było dla niego wszystkim. Oddał mu się duszą i ciałem. Zawieszenie działalności po śmierci Everetta stanowiło dla niego miażdżący cios. Widać to wyraźnie, kiedy jest zbyt pijany, żeby się kontrolować.

To bardzo typowe dla Rexa: obwiniać za wszystkie swoje problemy tego biedaka, który stracił życie. Ramsey Everett, jak się wydaje, nigdy do końca do nich nie należał, nigdy do końca nie uwierzył, że świat winien im dać utrzymanie. Jak to mówi Rex, był robakiem, toczącym owoc; rakiem, niszczącym ich od środka. Śmierć Ramseya stała się początkiem końca, przyczyną kalectwa Rexa. Nie każ mi tego wyjaśniać, bo nie potrafię, ale w to właśnie wierzy. Nawet wymyślił odpowiednią nazwę. Mówi o tym: „defenestracja Ramseya Everetta”. Śmierć w wielkim stylu. Musiałam poszukać tego słowa, wiesz, musiałam go szukać w słowniku, bo nie wiedziałam, co znaczy. Rex by mi nie powiedział. Nigdy w życiu. Wiesz, co ono znaczy, Harry?

- Defenestracja?

Harry miał wrażenie, że słowo tkwi gdzieś, pogrzebane w głębinach jego pamięci. Nagle zobaczył znowu klasę w Commonweal School i cząsteczki kredowego pyłu wirujące w promieniach słońca. Wydawało mu się, że słyszy poważny głos Cameron-Hyde'a, jednookiego historyka, przedstawiającego przyczyny wojny trzydziestoletniej. Defenestracja praska (tak, to o to chodziło), na swój sposób równie znacząca, jak zabójstwo arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie. Nic jednak nie pomogło. W najważniejszym momencie Harry pewnie wypisywał zawodników angielskiej reprezentacji krykieta na okładce zeszytu ćwiczeń. Cameron-Hyde trzymał się na próżno.

- Nie mam pojęcia, Nadine. Więc co to słowo znaczy?

- Wyrzucenie kogoś przez okno. Nie upadek czy poślizgnięcie się, ani nawet rzucenie się w dół, ale bycie wyrzuconym. Albo wypchniętym, jak Ramsey Everett.

Ramsey Everett zamordowany? Wykład Cameron-Hyde'a jeszcze raz przypominał się Harry'emu. Z jakiejś nieznannej przyczyny wyrzucono kogoś przez okno w Pradze, w roku pańskim tysiąc sześćset osiemnastym, co na trzydzieści lat pograżyło całą Europę w krwawym konflikcie. Z małej iskry powstał wielki pożar. Podobnie w wypadku Ramseya Everetta. Ktoś wypchnął go przez okno w

Oksfordzie w roku sześćdziesiątym ósmym, a teraz, po dwudziestu latach, Harry śledzi konsekwencje tego czynu. To był punkt wyjścia, początek tajemnicy, której koniec stanowiło to, co spotkało Heather na Profitis Ilias. Zdjęcia służyły za drogowskazy na szlaku wiodącym do rozwiązania. A rozwiązaniem będzie odnalezienie dziewczyny.

- Możesz mi nalać jeszcze jednego drinka, Harry? - Nadine mówiła współczująco, jak gdyby czytając w jego myślach.

- Pewnie.

Podszedł do barku, nalał jej ponownie, potem wrócił w stronę łóżka. Kiedy sięgała po szklaneczkę, ich palce się spotkały. Harry wziął swojego drinka i usiadł obok Nadine na skraju łóżka.

- Kochasz ją, Harry?

- Kogo?

- Heather.

Czy ją kochał? Z całą pewnością nie. Przede wszystkim chciał się oczyścić z podejrzeń. Przyjaźń z Heather zaczęła się w złą godzinę, a miłość... Jednak za ledwie pomyślał o własnych motywach, wydały mu się tak nieprzekonujące, jak musiały się zdawać innym. Uśmiechnął się smutno.

- Nie wiem - mruknął. - Nie jestem pewien.

- Kochałeś się z nią?

- Nie.

- Próbowalesz chociaż?

- Nie.

- Nawet wtedy, kiedy się czuleś samotny?

- Nawet wtedy.

- Więc nie musisz jej być wierny, prawda?

Spojrzał na nią. W przytłumionym świetle wydała mu się jeszcze bardziej pociągająca, może z powodu wypitego alkoholu. Zresztą była piękna; twarz elfa, wzruszająco omoczona smutkiem, brwi ściągnięte z tęsknoty za czymś, czego

sama nie potrafiłaby określić. Szklaneczkę z whisky przytuliła do piersi, bursztynowy płyn drżał leciutko w rytm jej oddechu.

- Dlaczego pytasz? - Głos Harry'ego zabrzmiał matowo w poczuciu nagłej samotności.

- Bo ja też nie muszę być wierna.

W nagłym przeblysku Harry zobaczył, co by się stało, gdyby wyjął jej szklanekę z dłoni i pocałował rozchylone usta. Niby w lustrze zobaczył siebie, jak unosi ciemny materiał, widział jej blade ciało, niemal czuł miękkość obejmujących go ramion. Z nadejściem nocy opadł z niego ochronny pancerz. Zbyt długo był samotny.

To Nadine wyjęła mu z ręki szklaneczkę i postawiła obok swojej na szafce przy łóżku. Uśmiechnęła się nerwowo podnosząc na niego wzrok; zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale zamiast tego schyliła się, by go pocałować. Kiedy ich wargi się zetknęły doszedł do głosu ogrom ich wzajemnej potrzeby. Nagle bez tchu, opadli na poduszki. Jej ręka rozluźniała jego krawat, jego dłoń sunęła w górę podniecającej krzywizny jej uda. Położyła się na boku, żeby mógł rozpiąć zamek sukienki. Otworzył oczy i sięgnął ręką, by go odszukać.

Zamarł. Na mgnienie jego wzrok padł na szafkę, gdzie obok lampy stały ich szklaneczki. Ujrzał coś, czego nie zauważył wcześniej: uchyloną szufladę, a w niej, widoczną dobrze w świetle lampy, kopertę z dwoma słowami napisanymi po grecku. XAPH MIIAPNETT. Harry Barnett.

- Co się stało? - zapytała Nadine.

Harry nie słyszał. Odsunął szufladę do końca. Hotelowa koperta, trzy okropne brązowe ptaszyska wytłoczone na grubym kremowym welinie. I jego nazwisko napisane anonimowym czarnym atramentem. XAPH MIIAPNETT. Nic więcej, tylko nazwisko. Po grecku. W Anglii. Wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz. Sięgnął po list; wewnątrz wyczuł przynajmniej jedną kartkę. Rozdarł kopertę.

Pojedyncza strona hotelowego papieru listowego, pusta z wyjątkiem nadruku z adresem. Żadnej wiadomości. Ani słowa - czy to po grecku, czy w jakimś innym

języku. Żadnego pozdrowienia - nic, tylko to przekłete nazwisko i szydercza pusta kartka ze znakiem wodnym.

- Co to jest, Harry? O co chodzi?

Nadine siedziała obok niego, gapiąc się na kopertę. Brała udział w grze, na pewno. Musiała. Otwarte drzwi. Telefon w odpowiednim czasie. Sprawne uwiedzenie. Czy koniec miał nastąpić właśnie w tym momencie? Czy zaplanowała, by właśnie w tej chwili dokonał przerażającego odkrycia?

- Kto ci to kazał zrobić?

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- O tym! - popchnął kopertę w jej stronę.

- Co to jest?

Mieszanina zdumienia i przerażenia wyglądała niezwykle przekonująco, ale nie pozwoli się już nabrać na jej wybiegi.

- Moje nazwisko. Po grecku.

- Nie rozumiem.

- Czy to twój mąż, Nadine? Kazał ci to tutaj włożyć, podczas gdy sam karmił mnie i poił? Czy on cię tutaj przysłał teraz, żebyś zrobiła ze mnie cholernego durnia?

- To jest...

- Czy to on?

Chciała wstać, ale Harry złapał ją za nadgarstki; opadła z powrotem na łóżko z okrzykiem bólu.

- Puść mnie!

- Dopiero kiedy mi powiesz prawdę.

- Jaką prawdę? Oszalałeś? - Kiedy tu wróciłem dzisiaj wieczorem, drzwi były otwarte. Myślałem, że pokojówka zapomniała je zamknąć. Ale to nie z winy pokojówki, prawda? To ty przyszłaś zostawić tutaj ten list. W miejscu, gdzie musiałem się na niego natknąć. Musiałem, bo zaplanowałaś każdy ruch... każdy gest w tej czulej scenie.

- Zwariowałeś!

- Nie. Chciałabyś mi to wmówić. Ale to ci się nie uda. Powiesz mi, kto to zaplanował. I dlaczego.

- Nikt niczego nie planował.

- Nieprawda. Wiesz, że to nieprawda.

Usta Nadine zacisnęły się w surową, zdecydowaną linię. Oddychała ciężko - gdzieś w zakamarkach mózgu Harry dziwił się, że ten sam dźwięk mógł oznaczać trzy zupełnie różne stany: udawaną namiętność; strach, który starała się zwalczyć; tłumiony gniew.

- Posłuchaj, Harry - zaczęła z lodowatym opanowaniem. - Jeśli nie przestaniesz, gorzko tego pożałujesz. Myślą, że zabiłeś Heather, prawda? Podejrzewają, że ją zgwałciłeś i zamordowałeś. Ja tak nie sądzę, ale oni są innego zdania. Co się stanie, jeśli cię oskarżą o napastowanie mnie? Sądzisz, że ktoś się da przekonać, że to nie powtórka z tamtego?

Zapadło niezręczne milczenie. Nadine miała rację. Nikt mu nie uwierzy. Mallenderowie, policja, gazety. Wszyscy będą przeciw niemu. Gniewne, wyzywające spojrzenie Nadine mówiło to, co powinien sobie uświadomić już dawno: była od niego silniejsza pod każdym względem. Próba wydobycia z niej prawdy mogła się skończyć tylko jeszcze większym upokorzeniem. Jego uścisk osłabł. Wypuścił jej rękę.

- Wynoś się - powiedział cicho.

Wyszła bez słowa. Drzwi zamknęły się za nią z cichym trzaśnięciem. Został sam. Popatrzył na kopertę, ale nie znalazł żadnej wskazówki na temat tego, co się rozegrało przed chwilą. Napis na ścianie w Oksfordzie. Nie zamknięte drzwi w Surrey. Kimkolwiek byli zbliżali się coraz bardziej, ale ich cel pozostawał nieznanym. Chcieli go powstrzymać? Zastraszyć? Tak czy inaczej nic nie osiągnęli.

Wstał i podszedł do krzesła, na które rzucił marynarkę. Wyjął z kieszeni hotelowe zapalki, zapalił jedną z nich i przytknął do koperty, aż zapłonęła również. Gdy jego nazwisko pomarszczyło się od żaru upuścił kopertę do popielniczki i

patrzył, jak zmienia się w popiół, a następnie pokruszył ją na drobne kawałeczki wypaloną zapalką. Zniszczywszy dowody mógł udawać, że nigdy nie istniały. Chociaż i tak nie miało to znaczenia. Znał własną naturę. Teraz nic już go nie powstrzyma.

XXV

- Chciałbym zapłacić za pokój - powiedział Harry.

- Nie zostanie pan na śniadaniu? - zapytała recepcjonistka uprzejmie.

- Nie.

- Jak pan sobie życzy.

Harry widział, jak jej świta, że miła pogawędka z tym gościem stanowi stratę czasu.

- Dzwonił pan gdzieś dzisiaj?

- Nie.

- Korzystał pan z barku?

- Nie. - Uznał, że płacenie za Nadine Cunningham byłoby dodaniem zniewagi do upokorzenia.

- Siedemdziesiąt cztery funty i siedemdziesiąt pięć pensów.

Skrzywił się.

- Zdawało mi się, że pokój kosztuje sześćdziesiąt pięć funtów za noc.

- Tak, proszę pana, ale bez VAT-u.

Westchnął, wyjął jeszcze jeden banknot dziesięciofuntowy i przesunął pieniądze po kontuarze, obliczając równocześnie, że za taką sumę w Lindos mógłby jeść i pić bez umiaru przez dwa tygodnie. Nie czułby się tak bardzo oszukany, gdyby ucierpiał tylko jego portfel. Schował resztę do kieszeni i odwrócił się.

- Och, panie Barnett...

- Tak?

- Pan Cunningham prosił, żeby pan do niego wstąpił przed wyjazdem. Znaj-

dzie go pan w biurze.

W pierwszym odruchu Harry chciał zignorować prośbę. Jedyne, czego pragnął, to znaleźć się jak najdalej od Skein of Geese i nigdy tu nie wracać. Czuł niesmak na myśl o spotkaniu z Cunninghamem albo jego żoną. Potem ciekawość zwyciężyła. W najgorszym razie powie im parę rzeczy do słuchu, żeby go dobrze zapamiętali.

- Ach, Barnett! Ranny z pana ptaszek, jak widzę!

Cunningham przeglądał „Financial Timesa” otoczony chmurą dymu z cygara, promieniejąc niczym jakiś dobroduszny magnat filmowy. Wydawało się, że zapomniał zupełnie o wydarzeniach poprzedniego wieczoru. Między papierami stał pusty kubek i talerz ze śladami jajek - dowód, iż fizycznie znajduje się w równie dobrej formie, co pod względem psychicznym.

- O co chodzi? - spytał Harry.

- Ach! Ten cierpki ton potwierdza moje najgorsze obawy. Obawiam się, że wczoraj zachowałem się haniebnie. Powinienem był wiedzieć. Doprawdy niewybaczalne. Chciałem zawrzeć z panem rozejm, zanim nas pan opuści.

Harry nie posiadał się ze zdumienia. Chyba Cunningham nie zamierza udawać, że nic się nie stało?

- To wszystko? - burknął.

- Powiedziałbym, że to wystarczy. Nie mogę przeproszać w nieskończoność. Po prostu mam nadzieję, że pana nie obraziłem.

Czy możliwe, zastanawiał się Harry, by Cunningham był jeszcze większym durniem, niż on sam? Z całą pewnością nie. W każdym razie warto sprawdzić taką możliwość.

- Nie powiedział pan nic obraźliwego, panie Cunningham.

- Naprawdę? Ciężar spadł mi z serca.

- Ale mnie pan zdumiał. Pamięta pan, co pan mówił o defenestracji Ramseya Everetta?

- O, Boże - Cunningham przyłożył dłoń do czoła. - Czyżbym pana poczęstował tą historią?

- Naprawdę pan sądzi, że to było morderstwo?

- Raczej nie, Barnett, raczej nie. To tylko moja nedorzeczna teoria. Mam do nich skłonności. Żona twierdzi, że popadam w paranoję. Może ma rację. Oczywiście niewykluczone, iż ktoś zamordował Everetta. Cóż prostszego, biorąc pod uwagę okoliczności. Ja sądzę jednak, że to był nieszczęśliwy wypadek, a pan?

- Nie wiem. Pan był na miejscu.

- Jak i cała reszta. Ockleton, Morpurgo, Cornelius, Dysart i pół tuzina innych, zbyt pijanych, by o nich wspominać. Panowało wielkie zamieszanie; każdy z nas mógł się wymknąć, wypchnąć Everetta przez okno i niepostrzeżenie wrócić. Cholera, nawet nie zauważyliśmy, że go brakuje, póki portier nie natknął się na jego zwłoki na dziedzińcu, więc teoretycznie wszystko jest możliwe. Motyw, środki, sposobność; klasyczna kombinacja, prawda?

- Środki i sposobność są jasne, ale co mogło stanowić motyw?

- Zapuszczam się na niepewny grunt, ale, prawdę mówiąc, Everett stał się zbyt dociekliwy, by mu to wyszło na zdrowie. Widzi pan, zamierzał zostać po Oksfordzie kryminologiem i zaczął się wprawiać na kolegach z Breakspear. Sprawdzić listy uwierzytelniające przyjaciela to była dla niego pestka. Czy rzeczywiście tamtemu tak dobrze szło w szkole, jak twierdził? Czy jego ojciec naprawdę był bohaterem wojennym? Tego rodzaju rzeczy. Kilku z nas najadło się wstydu przez jego odkrycia, może mi pan wierzyć. Pomyślałem sobie, że pewnego dnia mógł się natknąć na coś, co wywołałoby prawdziwy skandal. Był bardzo zarozumiały i z przyjemnością by upokorzył pierwszego lepszego biednego gnojka, gdyby się dogrzebał do jakichś brudów na jego temat. To czyniło z niego kandydata na ofiarę, nie?

- Tak, chyba tak.

- A to z kolei rodzi całe mnóstwo pytań w związku z kraksą.

Cunningham zapalił się do tematu. Na jego policzkach zapłonął gorączkowy

rumieniec, jak gdyby rzadko miał do czynienia z równie zainteresowanym słuchaczem.

- Może to wcale nie był wypadek. Trzy dni przed dochodzeniem w sprawie przyczyny śmierci Everetta. Dziwny zbieg okoliczności, nie sądzi pan?

- Ale przecież to był wypadek. Wszyscy wypiliście za dużo. Morpurgo za szybko prowadził. Sam pan tak powiedział.

- Och, nie ma wątpliwości, że Morpurgo gnał na złamanie karku i, nie przeczę, był zalany w trupa. Ale nadal byłby w stanie się zatrzymać w odpowiednim momencie, gdyby dostatecznie mocno nacisnął hamulec. Ockleton i ja spaliśmy obaj, więc nie wiemy, czy w ostatnim momencie tego nie zrobił - i nie przekonał się, iż hamulce nie działają. Morpurgo wie, oczywiście, ale nie może nam tego powiedzieć. A samochód był w takim stanie, że nikomu nie przyszło do głowy szukać przepiękanych przewodów hamulcowych.

- Więc samochód został celowo uszkodzony?

- To się mogło zdarzyć, tak.

- Ale dlaczego?

- Dla ukrycia dowodów, Barnett. Dla ukrycia dowodów.

Wyprostował się w fotelu z dumnym uśmiechem człowieka zadowolonego ze swej przenikliwości. Potem roześmiał się i wypuścił kłąb dymu.

- A może to tylko przejrzały owoc mojego podejrzliwego umysłu. Dzięki temu tutaj - poklepał poręcz fotela - miałem mnóstwo czasu, żeby wymyślić niesamowitą teorię spiskową. Oczywiście niewykluczone, że to nic więcej, niż mój sposób radzenia sobie ze skutkami bezsensownego wypadku. Tak właśnie myśli moja żona. Niech pan wybiera.

To nie wypadek. Pół godziny później Harry wracał wolno do Haslemere. Był ciepły pochmurny poranek. Umysł Harry'ego zatoczył kolejny pełny krąg, chwytając się wszystkich niepewnych przesłanek, które przemawiały na korzyść tego, co mówił Cunningham. I nie po raz pierwszy doszedł do wniosku, iż logika

i prawdopodobieństwo nie mają tu nic do rzeczy. Wierzył, że Everett został zamordowany, z tych samych powodów co Cunningham. Potrzebował w to wierzyć.

Przemyśl to jeszcze raz, powiedział sobie; przesiej ziarno po ziarnie wszystko, co wiesz, aż znajdziesz odpowiedź. Załóżmy, że Everetta zamordowano, by ocalić opinię któregoś z jego kolegów. Załóżmy, że jeden lub więcej z tych, którzy udali się do Burford trzy tygodnie później, był świadkiem zabójstwa albo wiedział, co odkrył Everett. Załóżmy, że wypadek stanowił nieudaną próbę ich zabicia. Jeśli tak, odpowiedź znał jeden z pasażerów samochodu. Prawdopodobnie sam Morpurgo, gdyż - chociaż nie zginął - zamknięto mu usta, podczas gdy zarówno Ockleton, jak i Cunningham nadal mogli mówić, chyba że byli zbyt zstraszeni, by się na to zdobyć. Zostawał Cornelius. Czy zrezygnował z powrotu z innymi przez przypadek, czy też chciał uniknąć śmierci? Na wpół uformowane podejrzenia Harry'ego skupiały się na Corneliusie, bo to nad jego fotografią dumiała Clare Mallender w Skein of Geese na dwa tygodnie przed śmiercią. Ale przyszło mu do głowy również inne wyjaśnienie i wiedział, że nie może go zignorować. Może domniemany zabójca Everetta był ofiarą wypadku, a nie jego autorem? Może chodziło raczej o zemstę niż chęć uciszenia świadka? Jeśli tak...

Eleganckie błękitne BMW minęło go i zatrzymało się jakieś dziesięć metrów dalej. Kiedy Harry podszedł bliżej szyba odsunęła się automatycznie. Zajrzał do środka; z fotela kierowcy uśmiechała się do niego Nadine Cunningham.

- Podwieźć cię, Harry?

- Nie, dziękuję.

- Dokąd idziesz?

- Na stację.

- Kawał drogi.

- Wiem.

- No to wskakuj.

Miała na sobie ciemny dres i uśmiechała się ciepło, jakby zwyczajnie się za-

trzymała po drodze do solarium, by zabrać sąsiada.

- Chcę ci coś powiedzieć.

Duma, przypomniał sobie Harry, jest luksusem, na który nie może sobie pozwolić. Wsiadł do samochodu; ruszyli.

- Słucham - rzekł obojętnie.

- Jestem ci winna przeprosiny.

- Fakt; ale niczego od ciebie nie oczekuję.

- Rozumiem, dlaczego zachowałeś się wczoraj wieczorem tak, jak się zachowałeś. To musiał być szok. To znaczy ten list po grecku zaadresowany do ciebie.

- Prawda. Tak jak sobie zaplanowałam.

- Nie, nie zaplanowałam. Chcę, żebyś mi uwierzył. Nie ja to zrobiłam. Wypytywałam nawet pokojówkę. To odpowiedzialna dziewczyna. Jest pewna, że zamykała za sobą. Ktoś się musiał włamać. Gdyby miał klucz nie byłby tak nieostrożny, by zostawić otwarte drzwi, prawda?

- Oszczędź sobie tych kłamstw.

- Nie rozumiesz, Harry? Nie mam z tym nic wspólnego. Ani nikt z personelu. To musiał być ktoś z zewnątrz.

- Naprawdę nie musisz się tak wysilać ze względu na mnie.

Samochód skręcił ostro w lewo i ruszył w górę prostą stromą drogą między kępami poważnych dębów i buków. To nie była trasa, którą Harry przyjechał taksówką, ale na razie nie protestował.

- Rozmawiałem rano z twoim mężem. Udawał, że nie wie, co zaszło między nami.

- Nie udawał, Harry. To było szczere. Chciałam ci podziękować... że go nie oświeciłeś.

- Mam w to uwierzyć?

- Tak. Nie spodziewam się, byś wierzył, że chciałam się z tobą po prostu zabić. Miałam pewien cel.

- Który chcesz mi zdradzić z własnej inicjatywy?

- Tak. Przynajmniej tyle jestem ci winna w tych okolicznościach. Widzisz, zaproponowano mi sporą sumę pieniędzy za informację mogącą zdyskredytować Alana Dysarta: dowolny skandal, dawny lub aktualny. Wiem od Rexa, że praca Dysarta w Swindon intrygowała jego kolegów. Więc kiedy pojawiłeś się ty, jedyny człowiek, który wiedział o tym wszystko, uznałam, że okazja jest zbyt dobra, by z niej nie skorzystać.

Rzuciła mu krótki uwodzicielski uśmiezek, przyznając się bez cienia wstydu zarazem do swej obłudy, jak i bezczelności. Harry nie rozumiał, dlaczego nie czuje większego gniewu. Może sprawiła to jawna nieprawdziwość jej wyznania. A może dręcząca świadomość, że również on miał nadzieję zyskać coś więcej na ich znajomości.

- Nie przejmuj się tak, Harry. Nie zamierzam próbować drugi raz. Skoro sprawa jest tak poważna, że ktoś gotów jest wyłamywać zamki i podkładać listy z jej powodu, nie chcę wiedzieć nic więcej. Nic mnie to nie obchodzi. Pieniądze...

- Ile ci zaoferowano?

- Suma była do ustalenia; miała zależeć od tego, co odkryję.

- Kto ci złożył ofertę?

- Na pewno chcesz wiedzieć?

- Na pewno.

- Jest reporterem w jednym z tych niedzielnych brukowców.

Harry powinien był się domyślić.

- Jonathan Minter?

- Tak. Skąd wiesz?

A więc taki był prawdziwy cel Mintera: zszargać reputację popularnego polityka - chleb powszedni współczesnego dziennikarza. To wyjaśniało jego zainteresowanie zniknięciem Heather. I propozycję złożoną Harry'emu, jeśli ten dostarczy mu materiału na artykuł. Być może wyjaśniało nawet związek łączący go z Virginią Dysart.

- Pierwszy raz odezwał się w ubiegłym roku, niedługo po śmierci Clare Mallender. Najwyraźniej ją znał. Powiedział, że zbiera materiały na temat Dysarta i chce zadać Rexowi kilka pytań o oksfordzkie czasy. Rex odmówił współpracy, gdy się zorientował, że Minter w rzeczywistości poluje na skandal - jakikolwiek skandal. Rex ceni obecny rząd bardziej niż pieniądze, a to coś znaczy. No więc Minter odszedł jak zбитy pies. Wrócił parę tygodni temu i tym razem uderzył do mnie. Opowiedziałam mu o defenestracji Ramseya Everetta. Dał mi za to pięćset funtów. Powiedział, że to zaliczka i dostanę sto razy więcej za tę właściwą informację o Alanie Dysarcie. Kłopot w tym, że nie znałam żadnej... póki ty się nie zjawisz.

Samochód znalazł się na szczycie wzgórza i zaczął wolno zjeżdżać w dół ku miastu. Las był tu rzadszy, wśród drzew prześwitywały dachy ustronnych rezydencji; obłaskawiona przyroda i zamożność typowa dla hrabstw centralnych. Harry'ego zdumiewało, że łowcy skandali docierają nawet tutaj.

- Pewnie się zastanawiasz, czy naprawdę tak rozpaczliwie potrzebuję pięćdziesięciu tysięcy funtów? Odpowiedź brzmi: tak. Nie mam własnych pieniędzy, Harry. Wszystko należy do Rexa. Więc muszę mieć kapitał, by go zostawić. Pewnie pomyślisz, że to wstrętne mówić o tym w taki sposób, ale przynajmniej wszystko będzie jasne.

- Więc to właśnie chcesz zrobić? Rzucić go?

- Tak, ale na moich warunkach.

- Dlaczego?

- Jak to zwykle bywa. Nigdy go nie kochałam, a teraz zaczynam go nienawidzić... za to, że zrobił ze mnie taką wyrachowaną dziwkę. To żadne usprawiedliwienie, ale równie dobrze możesz się o tym dowiedzieć: w wypadku Rexa paraliż od pasa w dół rzeczywiście oznacza to, co oznacza.

Dotarli do Haslemere. Samochód posuwał się wolno wśród tłumów przechodniów i załadowanych ciężarówek dostawczych. Przez warkot silników dobiegały pienia elektronicznych chórów. Harry patrzył na wystawy sklepów ob-

wieszona lametą, zastanawiając się, czy to wina hałaśliwego, wszechobecnego świątecznego nastroju, że ludzie wydają się tak przygnębiająco odarci z godności.

- Nie podoba ci się moja opowieść, co, Harry? Przykro mi z tego powodu, naprawdę. Ale nie osądzaj mnie za surowo. Trzeba myśleć o przyszłości, wiesz, jak to jest.

- Prawdę mówiąc, Nadine, od początku traciłaś tylko czas. Minter nie dałby ci złamanego grosza za to, co byś ode mnie wciągnęła. Widzisz, Alan Dysart nie ma nic do ukrycia.

- Sądziłam, że każdy coś ukrywa.

- No więc on jest tym wyjątkiem, który potwierdza regułę.

A jeśli się mylę? - przemknęło mu nagle przez myśl. Fakt, że znał i lubił Dysarta, nie stawiał tego ostatniego poza podejrzeniami. Z drugiej strony Minter najwyraźniej nie znalazł nic kompromitującego mimo wszelkich wysiłków. Miał po swojej stronie Virginie Dysart - nieważne, czy w charakterze sojusznika, czy ofiary - więc chyba tylko ostateczna desperacja mogła go popchnąć do proponowania łapówki komuś takiemu jak Nadine Cunningham.

Kiedy byli już niedaleko stacji zapytał:

- Powiedz, gdybym zeszłej nocy nie znalazł listu i cię nie wyrzucił, to opowiedziałabyś mi o tym wszystkim?

- Nie.

- Więc dlaczego teraz?

- Bo mam nadzieję, że przekażesz Minterowi wiadomość ode mnie. Będziesz się z nim widział, prawda?

- Tak, ale...

- Tak myślałam. Przekaż, że nie będę mu więcej pomagać i nie ma sensu, by się ze mną kontaktował. Zrobisz to dla mnie?

- Dobrze. Ale skąd takie zdecydowanie?

- Ten list był ostrzeżeniem, Harry, i nie mam zamiaru go lekceważyć... nawet jeśli ty to robisz.

Zatrzymali się na parkingu przy stacji. Silnik pracował na jałowym biegu, ale Harry nie zrobił żadnego ruchu, żeby wysiąść.

- Boisz się? - zapytał z niedowierzaniem.

- Owszem. A ty nie?

- Nie. Czego mam się bać?

- To chyba jasne. Heather Mallender zaczęła zadawać te same pytania, co ty teraz, i zobacz, co się z nią stało. Do wczorajszego wieczoru nie traktowałam tego poważnie, ale wierz mi, nie potrzebuję pięćdziesięciu tysięcy funtów aż tak bardzo. Mówiąc wprost, Harry, nie chcę zniknąć. A ty?

Patrząc parę minut później, jak BMW płynnie włącza się w ruch i znika Harry obracał w myślach słowa Nadine. Jej punkt widzenia wydawał się oczywisty, ale dotąd jakoś tego nie dostrzegał. Poszukując Heather, wiernie zdązał po jej śladach - i być może popełniał te same błędy. Szedł za tymi samymi wskazówkami; niewykluczone, że zmierzał ku temu samemu przeznaczeniu.

XXVI

Harry lubił myśleć w pociągach. Ich równy, miarowy ruch pomagał mu się skupić, a widoki, które można było zobaczyć przez okna - zarośnięte chwastami pola u stóp nasypu, upstrzone krasnalami ogródki na obrzeżach miasta - dziwnie przypominały jego własną wizję świata. Powodowała to typowa dla kolei atmosfera zaniedbania w połączeniu z upartym ukazywaniem tego, co się zwykle pomija: opuszczonych pastwisk, zrujnowanych budynków; tego wszystkiego, co zaniedbane i przestarzałe, o czym najlepiej zapomnieć.

Podobnie jak on sam. To, oczywiście, wzbudzało jego sympatię. Na swój sposób był równie zbędny jak jeden z tych parowozów, syczących i buchających dymem, których numery notował tak skrętnie w dzieciństwie. Wszystkie trafiły na złom. Nawet warsztaty, w których odlewano kotły, zrównano z ziemią. Miał

jednak nad nimi widoczną przewagę: mógł zdecydować, że nie odejdzie po cichu. W swoim wieku powinien czuć się znużony i nie na swoim miejscu, jak dyktowały okoliczności, a jednak było inaczej. Strach i brak pieniędzy powinny go zmienić w oportunistę, a przecież się nie poddał. Zamiast tego, gdzieś w połowie drogi między Guildford i Woking, ogarnęła go fala niezwykłego uniesienia. Zdobył nad nimi przewagę, może ich jeszcze pokona. Z dworca Waterloo zadzwonił do redakcji „Couriera” i - ku swemu zdziwieniu - został od razu połączony z Jonathanem Minterem. Ciągłe przekonany, że zdoła sprostać czekającemu go wyzwaniu, gładko wszedł w rolę, którą - jak sądził - przypisywał mu Minter.

- Czy pan... pan Jonathan Minter?

- Przy aparacie.

- Aha... mówi... Harry Barnett z tej strony.

- Witam Harry'ego Barnetta z tamtej strony. Czym mogę panu służyć?

- To znaczy, kiedy się widzieliśmy na Rodos, powiedział pan...

- Dzwoni pan z Rodos?

(A więc nie wiedział nawet, że Harry wyjechał, nie mówiąc już o wszystkim, co odkrył, zwłaszcza o samym Minterze).

- Nie. Właściwie... jestem w Londynie.

- Naprawdę? Od jak dawna?

(Jego ciekawość była zrozumiała: chciał się dowiedzieć, czy Harry miał szansę przeczytać jego oszczerczy artykuł).

- Och, dopiero parę dni.

- I ma pan coś dla mnie?

- Być może.

(Teraz pauza na tyle długa, by pobudzić apetyt Mintera, poinstruował Harry samego siebie, potem mówić dalej z wahaniem).

- To znaczy, tamto ogniwo... to, o którym pan wspominał.

- Naprawdę?

(W głosie Mintera zabrzmiała nagle czujność).

- Chodzi o Alana Dy...

- Nie przez telefon, Harry. Może byśmy się spotkali i pogadali o wszystkim?

(Był teraz równie zdenerwowany, jak zaintrygowany).

- W porządku. Tylko... gdzie?

- Możemy się spotkać na mieście?

- Tak... chyba tak.

- Świetnie. Powiedzmy w południe. W Grapes. To taki pub w Limehouse, nad rzeką. Znajdzie go pan?

- Spróbuję.

- Więc tam będę na pana czekał. Proszę się nie spóźnić.

- Dobrze.

Następnie Harry zadzwonił do gabinetu doktora Kingdoma w Marylebone. Pomijając fakt, że jako psychiatra Heather wiedział on więcej niż ktokolwiek o stanie jej umysłu, towarzyszył jej też do Skein of Geese dziesiątego września. Harry zaczynał się zastanawiać, czy jedynie jako lekarz.

- Gabinet doktora Kingdoma. Czym mogę służyć?

(Głos sekretarki z leciutkim akcentem można było rozpoznać od razu).

- Tu Harry Barnett, panno Labrooy. Byłem...

- Ach, pan Barnett! Pamiętam pańską wizytę.

- Chciałem się dowiedzieć...

- Doktor wrócił w poniedziałek. Wyjaśniłam mu przyczyny pańskiego zainteresowania. Ze względu na wyjątkowe okoliczności gotów jest się z panem spotkać.

(Panna Labrooy najwyraźniej gorliwie poparła prośbę Harry'ego).

- Doskonale. Kiedy mógłbym...

- Przez kilka najbliższych tygodni jest bardzo zajęty, ale któregoś dnia po południu mógłby panu poświęcić parę minut.

- Na przykład dzisiaj?

- Chwileczkę. - Szelest kartkowanej książki przyjęć. - O czwartej jest zapisany ostatni pacjent. Gdyby pan przyszedł o piątej...

- Zjawię się na pewno.

(Minter i Kingdom w odstępnie paru godzin; nareszcie jakiś postęp).

Niewiele ponad godzinę później Harry i Minter siedzieli ściśnięci nad stolikiem w ciasnym wykuszu pubu, mijani obojętnie przez hałaśliwy tłum pory obiadowej, odizolowani od śmiechu i wymienianych wokół plotek. Po raz pierwszy od zniknięcia Heather Harry czuł się panem sytuacji. Przed dwudziestoma minutami nadszedł Minter, pogardliwy i pewny siebie. Teraz, kiedy spoglądał nieufnie na Harry'ego, zapalając trzeciego papierosa, przypominał raczej zbitego psa.

- Skoro nic pan dla mnie nie ma, po diabła było sugerować co innego? Marnuje pan tylko mój czas. A jak pan sądzi, że mnie skłoni do odwołania to, co napisałem, to jest pan większym...

- Nie proszę o odwoływanie czegokolwiek.

- Więc o co chodzi?

- Chcę się tylko dowiedzieć, co pan zrobił z informacją, którą panu sprzedała Nadine.

- Nic. Nie była nic warta.

- Zakładając, że to prawda, co pana skłoniło, by pojechać do Skein of Geese?

- Intuicja - rzucił wzgardliwie Minter.

- A co pana tam sprowadziło drugi raz, po powrocie z Rodos?

- Menu przypadło mi do gustu.

Młody mężczyzna wpatrywał się w Harry'ego z nienawiścią. Zdecydowanie nie lubił, kiedy go przechytrzano. Pochylił się nad stolikiem i zniżył głos.

- Słuchaj no, Barnett. Jeśli rzeczywiście jest pan taki święty, w porządku. Wziąłem pana za łajdaka, ale może jest pan tylko durniem. Tak czy inaczej, ja kupuję informacje, a nie sprzedaję.

- Nie powiedziałem, że zapłacę.

- Ani ich nie rozdaję.

Harry zaczynał się dobrze bawić. Znęcanie się nad Minterem sprawiało mu prawdziwą przyjemność. On też zniżył głos.

- Miałem raczej na myśli wymianę. Pan odpowie na kilka pytań, a w zamian za to ja będę milczał.

- O czym?

- O tym, co pana łączy z Virginią Dysart.

Oczy Mintera rozszerzyły się na moment. Potem zaciągnął się papierosem, próbując ukryć to, co Harry zdążył już dostrzec: zaskoczenie człowieka, który spostrzegł niebezpieczeństwo zbyt późno, by go uniknąć.

- To pan był mężczyzną, któremu otworzyła drzwi - rzekł posepnie.

- Tak.

- To oczywiście nie jest żaden dowód.

- Nie musi być. Alan Dysart mi ufa. Sądzi pan, że jeśli mu powiem, co podejrzewam i dlaczego, będzie potrzebował dowodów?

- Nie. Chyba nie. - Minter uśmiechnął się lekko, jakby nagle uderzyła go ironia całej sytuacji. - Co pan chce wiedzieć?

- Wszystko.

- Jeśli się zgodzę, jaką mam gwarancję, że mimo to nie doniesie pan na mnie Dysartowi?

- Moje słowo.

Uśmiech stał się szerszy.

- I to mnie ma uspokoić?

Minter odchylił się na chwilę na krześle, przyglądając się Harry'emu niby przedstawicielowi jakiegoś wymierającego gatunku. Potem jego twarz przybrała trudniejszy do określenia wyraz.

- No cóż, może kilka zakulisowych informacji o Alanie Dysarcie, urzędniku publicznym i bohaterze narodowym, doprowadzi pana do wniosku, że zasługuje

na takie małżeństwo, jakie ma. Poddaję się. Niech pan pyta.

- Studiowaliście z Clare Mallender na tym samym roku w Oksfordzie, prawda?

- Tak. Ona była w Breakspear, ja w Queen's. Studiowaliśmy tę samą dziedzinę.

- I zostaliście kochankami?

- Ja kochałem ją. Clare, o ile pamiętam, nie ograniczała się do jednej osoby w kwestii uczuć.

- Ale się zaręczyliście?

- Tak, na moje nalegania. Chociaż wiedziałem, że nic z tego nie wyjdzie. Polowała na grubszą zwierzynę niż ja.

- To znaczy?

- Polityka. Żadnego w szczególności. Każdy dostatecznie wpływowy by się nadał. Miała tylko jeden cel, ta nasza Clare. Sądziła, że dla kobiety najszybsza droga do kariery wiedzie przez łóżko ministra. Może i miała rację. Tak się złożyło, że wybrała Dysarta. Znała go już, oczywiście, jako przyjaciela ojca. To on jej polecił Breakspear College, kiedy zaczęto tam przyjmować kobiety. Gdy wystąpił z marynarki w aurze bohatera, musiała go uznać za uosobienie swoich marzeń.

- Sugeruje pan, że została jego kochanką?

- A jak pan myśli?

- Myślę, że to nieprawda.

- Tylko facet, który wierzy w dotrzymywanie słowa, może być tak naiwny. W porządku, Clare nigdy się do tego nie przyznała i nie mam dowodów, ale i tak jestem gotów się o to założyć.

- Czy dlatego właśnie grzebał pan w przeszłości Dysarta? Przez zazdrość?

- Nie. Gdyby tak było, zacząłbym przed śmiercią Clare, prawda?

- Więc co pana do tego skłoniło?

- Co najdziwniejsze, sama Clare. Dwa dni przed śmiercią niespodziewanie do

mnie zadzwoniła. Nie widzieliśmy się od miesiący. Chciała się ze mną zobaczyć. Zdziwiłem się, że ma na to czas w samym środku kampanii wyborczej, i pomyślałem, że sprawa jest naprawdę pilna. Spotkaliśmy się tego samego dnia wieczorem. Zapytała wprost, czy interesuje mnie wyłączność na artykuł. Skandal w kręgach ministerialnych. Ledwie mogłem uwierzyć we własne szczęście: do wyborów zostały niecałe dwa tygodnie. Clare nie chciała podać żadnych nazwisk. Najpierw miałem ustalić z wydawcą wysokość jej honorarium. Zażądała ćwierć miliona. Może się panu wydaje, że to dużo, ale proszę mi wierzyć: za dobrze udokumentowany materiał, mogący doprowadzić do dymisji rządu, to nie jest wiele. Ustaliliśmy, że się spotkamy za trzy dni i uzgodnimy warunki. Nie będę się wypierał, miałem nadzieję, że to Dysarta zamierza zniszczyć. Zastanawiałem się nawet, czy to nie skutek jakiejś sprzeczki kochanków, ale nie zdradziła się z niczym. Miała dostarczyć wszystkie szczegóły po zawarciu umowy. No cóż, odwaliłem swoją część roboty, ale na dzień przed tym, jak mieliśmy się spotkać po raz drugi, Clare zginęła, a razem z nią mój materiał.

Minter umilkł, pozwalając, by Harry sam wyciągnął narzucający się wniosek.

- Chyba nie sugeruje pan, że Clare została zamordowana, by nie zdążyć sprzedać tamtej historii? - zapytał Harry.

- Taka możliwość przeszła mi przez myśl. - Minter uśmiechnął się, widząc jego zmieszanie. - Ale fakty jej przeczą. Podłożenie bomby było niewątpliwie dziełem IRA. Dysart stanowił oczywisty cel zamachu: dymisjonowany oficer marynarki wojennej, minister obrony, zwolennik unii. Gorączka przedwyborcza to najlepsza chwila, by uderzyć. Chociaż trudno w to uwierzyć, Clare po prostu miała pecha. - Pochylił się jeszcze niżej, przygarbił; jego głos brzmiał niewiele głośniejszy od szeptu. - Ale nie zostawiłem sprawy. Dysartowi udało się o jeden raz za dużo. Może się pan upierać, że nie był winny śmierci Clare albo że nie kochała mnie równie mocno, jak ja ją kochałem, i będę musiał panu przyznać rację. Ale nie mam zamiaru pozwolić, by żył sobie wygodnie, kiedy inni walczą, uginają się pod przeciwnościami i ponoszą klęski. Częściowo ze względu na Clare, ale

przede wszystkim dla własnej satysfakcji, zdecydowałem się zrobić wszystko, by zniszczyć tego faceta. Doszedłem do wniosku, że to jego Clare miała zamiar oskarżyć, i postanowiłem odkryć jego tajemnicę o własnych siłach.

- Ale się panu nie udało?

- Nie udało mi się znaleźć dowodów. Ale wcześniej czy później dobiore mu się do skóry.

Na twarzy Mintera wyraźnie malowała się niechęć: zawiść o sukces kogoś innego. Nie było to pozytywne uczucie, ale dostatecznie silne, by nie ustawał w poszukiwaniach mimo braku dowodów.

- Jak wiele pan wie o Alanie Dysarcie?

- Tyle co pan, jak sędzę.

- Wątpię. Widzi pan, przeprowadziłem prawdziwe studium jego przypadku. Odtworzyłem jego przeszłość fragment po fragmencie, zanim ją zburzę z wielką przyjemnością. Urodził się w Birmingham czterdzieści jeden lat temu. Jego ojciec wyemigrował ze Szkocji i rozkręcił tutaj interes. Dysart Engineering to był jeden z legendarnych sukcesów w przemyśle angielskim po kryzysie. Jako jedyny syn Gordona Dysarta, młody Alan znajdował się na drabinie społecznej z dziesięć szczebli nad takimi, jak pan i ja, zanim jeszcze stracił mleczne zęby. Potem poszedł do Oundle. Już wtedy jego przeznaczeniem był Oksford, a w przyszłości jakieś wysokie stanowisko. Tymczasem jego rodzina przeprowadziła się na wieś. Starszy pan kazał sobie wybudować dom w uroczym miasteczku w hrabstwie Warwick parę mil od Stratfordu⁸, z Avonem płynącym przez ogród. Niezbyt rozsądne posunięcie, jak się okazało. Pani Dysart utopiła się w tym strumyku w sześćdziesiątym trzecim, a Gordon, nie doszedłszy do siebie po jej śmierci, umarł dwa lata później. Alan był wtedy na pierwszym roku w Oksfordzie i w jednej chwili został bogaczem. Co dziwne, po skończeniu studiów zostawił interes i wstąpił do marynarki, chociaż mógł wygodnie żyć z procentów. Może uważał stopień oficera za dogodny punkt wyjścia do zrobienia kariery. Zawsze miałem

⁸ Stratford on Avon - miejsce urodzenia Szekspira.

wrażenie, że planował każdy szczegół swojego życia. Jakby olśniewające curriculum vitae było pierwszym, co stworzył, ledwie nauczył się pisać. Tak czy inaczej, w Dartmouth poznał Virginie...

- Czekalem, kiedy do niej dojdziemy - wtracil Harry. - To ona panu to wszystko powiedziala?

- Nie, wlasciwie nie. Dysart niewiele mowi o sobie nawet najblizszym. Wygrzebanie tego wszystkiego kosztowalo mnie wiele wysilku.

- Uwiedzenie czyjejś żony to ciężka praca, prawda?

Minter uśmiechnął się.

- Wlasciwie to ona mnie uwiodla. Byc zona Dysarta to zadna przyjemnosc. Od lat mial kogos innego na oku.

- I wie pan to na pewno, tak?

- Virginia wie. Twierdzi, ze w marynarce to nic niezwyklego. Mężowie przywykaja do męskiego towarzystwa. Kobiety są im potrzebne tylko do jednego... Wie pan, jak to jest.

- Czyżby?

Prawde mówiac, Harry rozumial Mintera lepiej, niz chcial przyznac. Gdyby nie hojnosć, jaką Dysart okazyl mu przez wiele lat, pochwalalby zachowanie dziennikarza. Nie mial jednak zamiaru zdradzac az tak wiele. Cecha, ktorej najbardziej nie lubil u Mintera - podejrzliwosc wyrazajaca sie w pretensjach do swiata - stanowila tez glowna wade jego samego.

- Niech pan poslucha, Barnett - odezwal sie Minter; w jego glোসie wzbieral gniew. - Jesli nie chce, by pan powiedzial Dysartowi o niewiernosci zony, to tylko z tego powodu, ze mogloby mi to utrudnic poszukiwania. Moralnosc nic mnie nie obchodzi. No i jak, uslyszal pan wszystko, co pana interesuje?

- Niezupełnie. Dlaczego skontaktowal sie pan z Cunninghamami w zeszlym roku?

- Bo Clare wspominala o kolacji w Skein of Geese, a Cunningham jest absolwentem Breakspear. Wydawal sie uzytecznym zrodlem informacji na temat

oksfordzkich czasów Dysarta. Ale straciłem tylko czas. Facet jest takim wielbicielem Dysarta, że nie ma najmniejszego sensu...

- A jednak wrócił pan tam ostatnio.

- Tak. I dowiedziałem się od jego żony tego, czego on mi nie chciał powiedzieć. Mętne bzdury o kimś wypchniętym przez okno dwadzieścia lat temu. Zapłaciłem jej pięćset funtów w nadziei, że znajdzie coś lepszego.

- Ale dlaczego pojechał pan tam jeszcze raz?

- Bo trzy miesiące temu zadzwoniła do mnie Heather i zapytała, czy zabierałem Clare do Skein of Geese parę tygodni przed jej śmiercią. Nie mogłem dojść, dlaczego tak ją to interesuje, ale odpowiedź brzmiała: nie, nigdy jej tam nie zabierałem. Zdaniem Nadine to Dysart towarzyszył wtedy Clare, co mnie nie zaskoczyło. Kiedy Heather zaginęła pomyślałem, że warto iść za tym śladem, ale donikąd mnie nie zaprowadził. Towarzystwo Tyrrella i cała ta tęsknota do martwego oksfordzkiego okultyzmu nie ma żadnego związku ze sprawą. Sekretu Dysarta należy szukać tu i teraz, nie w odległej przeszłości. To Virginia naprowadziła mnie na ślad. Oficerowie marynarki, powiedziała, stawiają lojalność wobec towarzyszy broni wyżej niż wierność rodzinie i krajowi. A Charlie Mallender służył razem z Dysartem. Ściśle rzecz biorąc, był dowódcą pierwszego okrętu, na którym Dysart pływał. Więc zacząłem węszyć wokół tego interesu założonego przez Mallendera, i niech pan zgadnie, co znalazłem?

- No?

- Mallender Marine wpadło w tarapaty na początku lat osiemdziesiątych: brak zamówień, poważne długi, zyski okazujące się stratami. Wyszli z kłopotów dzięki uzyskaniu serii lukratywnych, długoterminowych kontraktów, zawartych z marynarką. Zbiegło się to dokładnie w czasie z objęciem przez Dysarta stanowiska w ministerstwie obrony. Powiem panu, co o tym myślę, dobrze? Myślę, że Dysart przekazywał tajemnice handlowe swojemu dawnemu szyprowi, Mallenderowi, i że Clare to wykryła. Jako współpracownica Dysarta i córka Mallendera pierwsza wyczuła pismo nosem.

Harry odchylił się na krzesło i rozważał teorię Mintera. Wydawało się całkiem możliwe, by Dysart wykorzystał swoją pozycję dla uratowania starego przyjaciela przed bankructwem. Potwierdzało to tylko, jak wiele znaczyła dla niego przyjaźń, o czym Harry już wiedział. Świat bezlitośnie by go za to napiętnował. I nie usprawiedliwiłby go fakt, że kierował się lojalnością, a nie nadzieją na korzyści finansowe. Jednak Harry nie potrafił go potępiać. Jego zdaniem Dysart zasługiwał na lepszy los, niż złamanie kariery przez bezwzględną kobietę, jaką wydawała się Clare Mallender, czy prześladowania ze strony pozbawionego skrupułów dziennikarza, jakim Minter był z całą pewnością. Zresztą sam Minter właśnie wykazał, iż nie zdołał odkryć najdrobniejszego dowodu na potwierdzenie swoich oskarżeń.

- Jak się dowiedziałem, że pana wylali z Mallender Marine, pomyślałem, że może pan mi coś dostarczy. Więc jeśli wie pan o czymś takim, moja oferta pozostaje aktualna. Nie pogardziłby pan małym przyływem gotówki, mam rację?

Minter, choć o tym nie wiedział, był równocześnie bliski prawdy i bardzo od niej odległy: Harry rzeczywiście potrzebował pieniędzy, ale w obecnej sytuacji nie odgrywało to najmniejszej roli.

- Nie mogę panu pomóc - odparł.

I była to prawda. Nawet jeśli Dysart popełnił przestępstwo, nie miało ono związku ze zniknięciem Heather. Dziewczyna podążała za śladem, z którego Minter zrezygnował; Harry'ego utrzymywały na kursie fotografie.

- Jak pan uważa.

- Widzi pan, nie mam zamiaru pomagać w zniszczeniu człowieka, którego podziwiam.

- Więc po co te pytania?

- Miałem nadzieję, że dowiem się od pana czegoś, co mnie zaprowadzi do Heather.

Minter parsknął drwiąco.

- Moja odpowiedź brzmi tak samo: nie mogę panu pomóc. Nie wiem, gdzie

się może znajdować, o ile jeszcze żyje, i nie bardzo mnie to obchodzi. Zawsze była dla mnie tylko siostrą Clare: gorszą, głupszą, nie rzucającą się w oczy. Nic dla mnie nie znaczyła... i tak samo dla Dysarta. Neurotyczka. Mogła uciec z własnej woli, a nawet popełnić samobójstwo. Zresztą nie robi mi to różnicy. Po tym, jak spudłowałem na Rodos, musiałem napisać coś, co by usprawiedliwiło wydatki na podróż, więc zrobiłem z pana czarny charakter. Zresztą chciałem pana w ten sposób sprowokować do dania mi czegoś na Mallenderów. Ostatecznie pracował pan u nich.

- Dziesięć lat temu. Nic z tego okresu nie przemawia na korzyść pańskiej teorii.

- Jak pan uważa. - Minter zerknął na zegarek. - Muszę już iść. Starczy panu to, co pan usłyszał?

- Tak. Chyba tak.

- Więc jeszcze jedno na koniec. Gdyby chciał pan jednak opowiedzieć Dysartowi o mnie i Virginii, proszę pamiętać, że „Courier” może bardzo utrudnić życie w Anglii. „Morderca Heather Mallender wciąż na wolności”, tego rodzaju rzeczy. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Harry nie odpowiedział. Chwilę później, kiedy drzwi zatrzasnęły się za Minterem, odetchnął z ulgą i pociągnął długi łyk piwa. W każdym razie przyjemnie było się dowiedzieć, że jego początkowa niechęć do dziennikarza okazała się uzasadniona. Wątpił, by nienawiść młodego człowieka do Dysarta zasługiwała na miano zemsty. Jego zapewnieniom o miłości do Clare Mallender i żalom, że została mu skradziona, dziwnie brakło szczerości; poza tym, uwodząc Virginie, wyrównał rachunki. Nie. Minterem powodowała raczej bezrozumna zawiść, jaką często wzbudza w ludziach sukces kogoś innego. Na ironię zakrawał fakt, że lekceważąc sprawę Towarzystwa Tyrrella, stracił szansę odkrycia podstawowej wskazówki, jakiej mógł mu udzielić Rex Cunningham: ustalić tożsamość mężczyzny z fotografii, którą Clare nosiła ze sobą. Uzbrojony w tę informację już dawno zmieniłby kierunek poszukiwań.

Przeciskając się do baru, by zamówić kolejny kufel piwa, Harry poczuł rozbawienie na myśl o Minterze. Mimo całego zapachu i determinacji, mimo wszelkich sztuczek sprawnego dziennikarza dochodzeniowego, młody człowiek poniósł klęskę. Prawda leżała gdzie indziej. I Harry wiedział gdzie.

XXVII

Zaufanie we własne siły, najbardziej kapryśne z uczuć, opuściło Harry'ego. Nie wiedział, co jest tego przyczyną, a w braku oczywistego wyjaśnienia przypisał to pierwszemu spotkaniu z psychiatrą. W gabinecie doktora Kingdoma nie było tradycyjnej leżanki, aczkolwiek fotel przy oknie wyglądał, jakby bez trudu można go było przystosować do tej funkcji. Gdyby nie tytuły książek stojących na półkach, pokój mógłby służyć dowolnej działalności, nie tylko leczeniu wzburzonych umysłów. Niemniej krzesło, na którym siedział Harry, było dostatecznie miękkie, a dźwięki harfy wystarczająco kojące, by uspokoić zdenerwowanie większości ludzi i przełamać ich opory. Ale nie opory i zdenerwowanie Harry'ego.

Czy to sam Kingdom stanowił przyczynę jego niepokoju? Elegancko ubrany, lekko uśmiechnięty mężczyzna, troszeczkę podobny do Cary Granta, nie przystawał do wyobrażeń Harry'ego o psychiatrach. Kartkował dane, prawdopodobnie akta Heather, z zaciśniętymi ustami i przeszywającym wzrokiem księgowego przeglądającego niezadowolające rachunki. Harry nie mógł się w nim dopatrzeć nawet odrobiny ciepła czy wyrozumiałości, które - jak się zdawało - powinny cechować dobrego psychoanalityka. Co gorsza twarz i brzmienie głosu Kingdoma wydawały się Harry'emu dziwnie znajome, jak gdyby - mimo całej niewiarygodności takiego przypuszczenia - już się kiedyś spotkali.

Narastający ból głowy i wyschnięte, coraz bardziej bolące gardło dopełniały poczucia dyskomfortu. Pewnie wypił za dużo w pubie. A może się przeziębził. Tak czy inaczej skupienie się wymagało od niego ogromnego wysiłku, a znalezienie

przekonujących argumentów było bardzo trudne w obecnym stanie umysłu. Zamierzał pokonać wszelkie obiekcje, jakie Kingdom mógłby wysunąć przeciw złamaniu tajemnicy lekarskiej; powoła się na nadrzędną konieczność odszukania Heather. Zamiast tego siedział pokorny i niepewny, gotów przyjąć bez zastrzeżeń decyzję Kingdoma o tym, jak wiele czy też jak mało ten ostatni zgodzi mu się wyjawić.

- Chciałbym panu pomóc - odezwał się lekarz po dłuższej ciszy - ale nie mogę. Naturalnie wierzę, że Heather żyje. Jednak w takim wypadku ma prawo oczekiwać ode mnie całkowitej dyskrecji, jeśli chodzi o historię jej choroby. Mam związane ręce.

- Chciałbym się tylko dowiedzieć...

- Nie mogę zdradzić właśnie tego, czego chciałby się pan dowiedzieć: czy niedawna choroba może stanowić wyjaśnienie faktu jej zniknięcia. Otwarcie duszy przed psychiatrą, panie Barnett, nie jest sprawą łatwą. Gdyby istniało najmniejsze ryzyko, że informacje ujawnione podczas sesji dojdą do wiadomości innych... Mam nadzieję, że rozumie pan moją sytuację.

- Czy mogę przynajmniej zadać kilka pytań?

- Jak najbardziej, proszę tylko pamiętać, jak bardzo ograniczone są moje możliwości udzielania odpowiedzi.

Harry westchnął głęboko i spróbował sformułować pytanie, które nie wystawiałoby na szwank etyki lekarskiej Kingdoma.

- Heather przeszła załamanie nerwowe w ubiegłym roku po śmierci siostry, prawda?

Wyglądało, że na to przynajmniej uzyska odpowiedź.

- Tak - potwierdził Kingdom ostrożnie.

- I spędziła pewien czas w szpitalu?

- Jako dobrowolna rezydentka w jednym ze szpitali, gdzie pracuję jako konsultant.

- Od tamtej pory jest pańską pacjentką?

- Tak.

- Okoliczności śmierci jej siostry były bardzo przykre, ale czy zdarzyło się coś jeszcze, co mogło...

Kingdom podniósł dłoń.

- Przykro mi, panie Barnett. Mogę podać ogólne fakty, ale nie szczegóły dotyczące leczenia.

Harry odchylił się na krześle. Ból głowy zdecydowanie się nasilił.

- Chyba nie było większego sensu, by zgadzał się pan na spotkanie ze mną, prawda? - zapytał znużonym głosem.

- Tego bym nie powiedział. Jestem ogromnie wdzięczny za informacje na temat książki, którą Heather czytała na Rodos. Chciałem panu podziękować. Ta informacja może się okazać bardzo znacząca.

- Ale nie może mi pan zdradzić, pod jakim względem?

- Niestety, nie.

- Ani czy miało to związek ze spotkaniem kogoś, kogo się obawiała?

- Z tych samych powodów, co poprzednio.

- W takim razie tracę tylko czas.

- Niekoniecznie.

Ton głosu Kingdona zmienił się wyraźnie. Harry nie patrzył na niego, ale był pewien, że lekarz pochylił się nad biurkiem, jak gdyby ich rozmowa dopiero teraz przybrała pożądany obrót.

- Mimo wszystko bardzo się martwię o Heather. Pan widział ją jako ostatni. Przysięga Hipokratesa pana nie obowiązuje. Może pan być ze mną szczerzy do końca.

- Szczerzy? W czym?

- Och, może pan opowiedzieć o swoich uczuciach w stosunku do Heather. O tym, jak oceniał pan jej charakter. Na co pan liczył w przyjaźni z nią.

- Czy to pomoże?

- Niewykluczone, że tak.

Kiedy się nie widziało znudzonej twarzy Petera Kingdoma, jego słowa wywierały kojący, niemal hipnotyzujący wpływ. Czy to właśnie stanowi istotę psychoanalizy? - zastanawiał się Harry. Nie tyle przesłuchanie, ile raczej masaż psychiczny?

- Było jasne, że Heather miała w przeszłości problemy, ale wydawała się niemal uleczona. Może spowodował to również pobyt na Rodos. Polubiłem ją od pierwszej chwili.

- W jaki sposób ją pan polubił?

Co na to odpowiedzieć? Harry wbił wzrok w sufit.

- Po prostu przypadliśmy sobie do gustu - powiedział niezręcznie. - Odkryliśmy, że mimo różnicy wieku mamy wiele wspólnego. Oboje jesteśmy nieprzyzwoitymi.

- Pan też?

- O tak. Przekonał mnie o tym powrót do domu. Oprócz matki nie mam rodziny. Nie mam pracy, pieniędzy, majątku, perspektyw. Jak się okazało, nikt tu nie wyglądał powrotu takiego syna marnotrawnego jak ja.

- To brzmi raczej jak uzalanie się nad sobą.

- Możliwe. Skoro nikt się nade mną nie uzala, zacząłem sam to robić.

- Czuje się pan wyizolowany ze społeczeństwa? Przytłoczony zmianami? Odrzucony?

Diagnoza była celna.

- Tak - mruknął Harry.

- Sądzi pan, że Heather czuła to samo?

- To pan wie o tym najlepiej.

- Ale nie mogę tego zdradzić.

Za oknem widać było gałęzie platana kołyszące się lekko na wietrze. Wydały się Harry'emu dumne i smutne, obciążone brzemieniem zbyt wielu wspomnień. Zastanawiał się, czy Heather, która siadywała w tym samym fotelu i patrzyła na ten sam widok, przekazała mu w jakiś sposób to wrażenie, czy też stanowi ono

wytwór jego własnego umysłu, rezultat żalu nad sobą. Po chwili przekonanie, że Heather czuła to samo, przeważało. Kiedy Harry się odezwał zdawało mu się, że to ona włożyła mu w usta słowa:

- Zdawało mi się, że przytłaczało ją życie, do którego nie była stworzona. Wymagano od niej, by była piękna, uzdolniona i niezależna, chociaż wcale tego nie chciała. Rodzina Heather jej nie rozumiała, praca nie dawała jej satysfakcji, a rówieśnicy jej nie akceptowali.

- W przeciwieństwie do pana?

- Mam nadzieję, że tak. W każdym razie starałem się.

- I ona panu pozwoliła?

Harry nie łudził się, że zna prawdziwą odpowiedź na to pytanie. Zaczął poznawać charakter Heather po jej zniknięciu, nie przed nim. Przyznać się do tego byłoby równoznaczne z wyznaniem, że - podobnie jak wszyscy - lekceważył jej problemy. Dlatego zdecydował się skłamać.

- Nie jestem pewien, czy pana rozumiem.

- Spróbujmy więc od innej strony. Heather miała wrócić do kraju parę dni po waszej wizycie na Profitis Ilias, prawda?

- Tak.

- Cieszyła się, że opuszcza Rodos?

- Nie, nie sędzę.

- Więc dlaczego się na to zdecydowała?

- Wszystkie wakacje kończą się wcześniej czy później, prawda? Poza tym tego od niej oczekiwano.

- Ma pan na myśli jej niesympatyczną rodzinę i przyjaciół z Anglii?

Harry'ego zaniepokoił kierunek, w jakim zmierzała rozmowa. Nie wiedział jeszcze, dokąd dotrą, ale było już jasne, że to nie on o tym zdecyduje.

- Eee... tak - potwierdził niepewnie.

- Chciał pan, żeby wyjechała?

- Nie, z całą pewnością nie.

- Wolałby pan, żeby została?

- No... tak, oczywiście.

- Oboje pragnęliście, by pozostała na Rodos, ale żadne nie potrafiło tego wyznać: czy to chciał pan powiedzieć?

Należałoby raczej powiedzieć, że taką wersję wydarzeń wolałby od innych, ale jedno kłamstwo pociągało za sobą następne.

- Tak, chyba tak.

- Więc zatrzymując Heather działałby pan zarówno w swoim, jak i jej najlepszym interesie?

- Słucham?

- A wyprawa na Profitis Ilias stanowiła ostatnią okazję, by ją do tego przekonać, nieprawdaż?

Oddalająca się postać Heather, malejąca w miarę jak wspinała się po zboczu porośniętym sosnami, szarpnęła raz jeszcze niewidzialną nić łączącą ich oboje. Harry poczuł falę dławiącego gorąca. Dusił się niemal, kiedy rozluźniał kołnierzyk. Wiedział, że nic złego nie zrobił, wiedział, że bez wątpienia jest niewinny, zarówno pod względem działań, jak i intencji. A jednak... Od dnia swojego snu o Heather ostatniej nocy w Lindos, odkąd mu podsunięto wizerunki Sylena i Afrodyty, przekonanie - nawet pewność - nie wystarczały.

- Co poszło źle, Harry? Doszło do nieporozumienia? Do walki? Wpadłeś w panikę?

Odwróć się i popatrz. Nie wolno ci jeszcze uciekać. Leży tam, gdzie upadła. Twarz odwrócona, dzięki Bogu, płowe włosy zakrywają twarz, nie zobaczysz jej zastygłych rysów. Blade ciało pokryte gęsią skórą. Lewa noga wyprostowana, pięta uniesiona, palce wbite w ziemię, jakby wciąż szukały oparcia. Prawa noga ugięta, kolano zaczerwienione od upadku, łydka pobrudzona ciemną ziemią, jakby nawet leżąc, próbowała jeszcze uciekać. Obraz trwał, nieruchomy i szczegółowy: wzniesienie biodra, krzywizna brzucha, garść zimnej gliniastej ziemi zaciśnięta na próżno w dłoni. Harry nie był w stanie poruszyć się, odezwać;

przez dłuższą chwilę nie potrafił osądzić, czy to, co widzi, to wspomnienie czy wyobrażenie.

- Co się stało, Harry? Mnie możesz powiedzieć.

Słowa Kingdoma były niby ostre światło dnia wdzierające się szeroką strugą do ciemni fotograficznej. Obraz, tak wyraźny, rozwiął się w momencie, gdy Harry sobie uświadomił, czego chce od niego Kingdom. Tego, czym większość pacjentów hojnie go obdarowywała: wyznań. W tym wypadku jednak chodziło o przyznanie się do morderstwa.

- Sądzi pan, że ją zabiłem? - zapytał spokojnie.

- No cóż, jeśli pan to zrobił...

- Pozostanie to między nami, tak?

Nagle poczuł gniew. Jakim prawem ten uśmiechnięty, przypochebny doktor zastawia na niego pułapki?

- Myli się pan, jeśli pan sądzi, że przyszedłem tutaj ulżyć swemu sumieniu.

- Doprawdy? Więc po co?

- Już mówiłem: staram się odnaleźć Heather. I jak się zdaje, wszyscy próbują mi w tym przeszkodzić.

- Ja nie przeszkadzam.

- Czyżby? Tajemnica zawodowa to bardzo skuteczne utrudnienie.

- Już panu wyjaśniałem...

- A może to pan czuje potrzebę zwierzeń?

Ukłuty własną podatnością na wypytywanie Kingdoma Harry użył jedynej broni, jaka mu pozostała: świadomości, iż Kingdom nie wie, jak wiele Harry odkrył.

- Dziesiątego września zabrał pan Heather na kolację do restauracji w Haslemere, prawda, doktorze?

- Skąd pan...

- A może były jeszcze inne wieczory przy świecach? Inne sekretne wycieczki za miasto? Pytał mnie pan, w jaki sposób ją lubiłem. A pan, w jaki sposób pan ją

lubił, doktorze?

- Nie będę tego słuchał ani chwili dłużej!

Kingdom zerwał się na nogi. Maską profesjonalnego opanowania opadła, odsłaniając przeciętnego, zapalczywego mężczyznę.

- A może to kolejne pytanie, na które nie powinien pan odpowiadać ze względu na Heather?

Harry również podniósł się z krzesła, zdecydowany nie dawać Kingdomowi żadnej przewagi.

- Nie pozwolę, by mnie pan wypytywał, panie Barnett. - Kingdom uderzył dłonią w blat biurka. - Nie zgadzam się, słyszy pan?!

To było to. Właśnie te słowa, ten sam gniewny wyraz twarzy, ten sam zbyt szybki wybuch złości. Uporczywe wrażenie, że skądś je zna, zamajaczyło gdzieś w głębi pamięci Harry'ego. Wydobył je na powierzchnię, a z nim wyraźne, klarowne wspomnienie, którego podtrzymanie nie wymagało najmniejszego wysiłku wyobraźni. Ponieważ było rzeczywiste: dobitne i jednoznaczne, równie niewątpliwe, co niezrozumiałe.

Lindos: niedziela szóstego listopada. Głębokie błękitne niebo jednego z ostatnich beztroskich dni. Zniknięcie Heather na Profitis Ilias czekało gdzieś w przyszłości, odległe o tydzień. Był to dla Harry'ego dzień niezwykłych przyjemności, którego ukoronowanie stanowił obiad z Heather w willi. Teraz, spędziwszy późne popołudnie w Taverna Silenou, lekko pijany i nastawiony niezwykle tolerancyjnie wobec tłumów turystów napływających zwykle do Lindos w sobotę, nieśpiesznie skręcił w jedną z brukowanych uliczek miasta, mrużąc oczy od blasku słońca. Kiedy mijał sklep Papaioannousa z biżuterią, z rozbraniem usłyszał, jak jakiś angielski turysta opiera się natarczywości sprzedawcy. Zajrzał do środka. Wysoki, elegancki mężczyzna odwracał się z niesmakiem od kontuaru. Może trochę zbyt elegancko ubrany jak na urlopowicza, ale jego zamiary były oczywiste.

- Nie zgadzam się, słyszy pan?

Wychodząc ze sklepu potracił Harry'ego, ale nie przeprosił, zbyt rozdrażniony, by to zauważyć. Potem ruszył śpiesznie w stronę głównego placu. Harry, wymieniwszy znaczący uśmiezek z Papaioannousem, skierował się do wsi. Uszedłszy dwadzieścia metrów zapomniał o całym incydencie. I nie przypomniałby go już sobie, gdyby nie spotkał tego człowieka znowu, z dała od Lindos.

- Nie zgadzam się, słyszy pan?

Kingdom powiedział o wiele więcej i zakończył żądaniem, by Harry natychmiast opuścił jego gabinet, ale echa tamtego zdania rozbrzmiewały w głowie Harry'ego, kiedy ruszył z roztargnieniem do drzwi. To doktor Peter Kingdom był mężczyzną, który wypadł ze sklepu Papaioannousa w Lindos na pięć dni przed zaginięciem Heather. Pięć krótkich dni. „Spotkanie w szczególnym miejscu, oczekiwane z wyprzedzeniem, urasta do rangi rendez-vous”. Zdanie z książki, którą właśnie czytała. Błędnie zinterpretowane spotkanie, zignorowane ostrzeżenie, wyzwanie rzucone niebezpieczeństwu. Spodziewał się tego, a teraz znalazł dowody. Kingdom na Rodos, gdzie nie miał powodu się znajdować, gdzie nie musiał się obawiać rozpoznania. Ale Harry go widział. Szukał znaku, który Heather postanowiła zlekceważyć. I właśnie go znalazł.

XXVIII

Dwie kolejki metra linii Bakerloo przyjechały i odjechały ze stacji Marylebone. Tłum godzin szczytu przerzedził się. Harry siedział sam na ławce. Nigdzie mu się nie śpieszyło. Czarne wloty tuneli, stęchłe ciepłe powietrze, odległe łkanie saksofonu ledwie docierały do jego świadomości. Jego umysł pochłaniało co innego: próbował poskładać fragmenty zdarzenia, w którym uczestniczył, ale którego nie rozumiał. Wiedział, że sprawa jest beznadziejna - jak próba złożenia układanki bez wzoru - ale mimo to nie chciał zrezygnować.

Heather, którą znał na Rodos zdawała się nieskomplikowaną dziewczyną, budzącą sympatię od pierwszej chwili: może trochę nieporadna, odrobinę niepewna siebie, ale to wszystko. Teraz przekonywał się, że to wszystko pozory. Albo on okazał się żałośnie niespostrzegawczy, albo ona była oszustką doskonałą. Istniały tajemnice, obawy, niebezpieczeństwa i złudzenia, których nie zdradzała nikomu. Jej nieżyjąca siostra. Jej rodzina. Jej psychiatra. Towarzystwo Tyrrella. Podłożenie bomby na jachcie Dysarta. Przeszłość. Teraźniejszość. Przyszłość. Dziewiąta fotografia przedstawiała jakąś szkołę. Harry wyciągnął kopertę z kieszeni i kartkował zdjęcia, aż natrafił na właściwe. To tam uczył Jack Cornelius. Nie mogło być wątpliwości. Tam się udała po odwiedzeniu Skein of Geese. Tam by pojechał na jej miejscu. Logika podpowiadała, że taki powinien być następny krok. Ale dokąd wiodła droga? Na Profitis Ilias. Nic więcej nie wiedział. Gdyby tylko patrzył uważniej we właściwym czasie. Gdyby tylko głowa nie bolała go tak bardzo, że miał wrażenie, iż każdą myśl musi wyrywać siłą. Gdyby...

- Pan Barnett! - wykrzyknął jakiś wysoki głos obok niego. - Co pan tu robi?

Wepchnął fotografie z powrotem do kieszeni i obejrzał się nerwowo. Obok niego na ławce siedziała sekretarka Kingdoma w płaszczu przeciwdeszczowym i chustce. Uśmiechała się miło, ale jej oczy zachowały wyraz dziwnie niepokojącej powagi. Na mgnienie, zanim brak odpowiedzi musiałby się wydać dziwny, przyszło mu do głowy, że nigdy jeszcze nie spotkał kogoś, kto otwierałby oczy równie szeroko i patrzył równie nieruchomo; czyje spojrzenie byłoby tak bezpośrednie, a przy tym zdradzało tak niewiele.

- Wyszedł pan z gabinetu prawie godzinę temu. Myślałam, że już dawno pan odjechał. Mówił pan, zdaje się, że mieszka w Swindon?

- Naprawdę? Właściwie to prawda, ale...

- Więc jedzie pan do Paddington?

- Eee... tak.

- Zatem jedziemy razem parę przystanków.

Kolejka wyskoczyła z tunelu w podmuchu ciepłego powietrza i zatrzymała się z szarpnięciem. Harry posłusznie ruszył za panną Labrooy i usiadł naprzeciw niej. Rozejrzył się po pasażerach; przyszło mu do głowy, że istnieje kilka powodów, dla których powinna być zadowolona z jego towarzystwa. Co dzień musiała podróżować hałaśliwym i brudnym metrem z jednego z odpychających przedmieść zaznaczonych na planie nad jej głową, żeby przepisywać listy i odbierać telefony doktora Petera Kingdoma. Musiała wiedzieć o sekretach jego pacjentów równie wiele, jak on sam.

- Nie mogłam nie zauważyć, że doktor Kingdom wydawał się raczej zde-nerwowany po pańskim wyjściu - odezwała się panna Labrooy, gdy wagony ruszyły. - Chyba nie doszło między panami do kłótni?

Harry zmusił się do uśmiechu.

- Powiedzmy, poróżniliśmy się co do priorytetów. Ja uważam znalezienie Heather za ważniejsze niż przestrzeganie tajemnicy lekarskiej. Pani szef przeciwnie.

- Obawiałam się, że to będzie problem. Doktor Kingdom naprawdę znajduje się w trudnym położeniu.

- Tak się składa, że ja też. Oskarża się mnie o rzeczy, których nie zrobiłem... i straciłem bliską mi osobę.

- Ma pan na myśli Heather?

- Tak, panno Labrooy, mam na myśli Heather.

Kolejka zatrzęsała i zatrzymała się na stacji Edgware Road. W dziwnej przerwie, która nastąpiła potem, kiedy zdawało się, że nikt nie wsiada ani nie wysiada, panna Labrooy nachyliła się do przodu i powiedziała:

- Wie pan, czemu postanowiłam panu pomóc, kiedy zjawił się pan w gabinecie w ubiegłym tygodniu? Bo mówił pan o Heather w czasie terazniejszym. Jak gdyby naprawdę pan wierzył, że ona żyje.

- Bo wierzę.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli. Heather była... jest... również moją

przyjaciółką.

- Naprawdę?

- Pomogła mi, kiedy miałam problemy. Nie zapomniałam o tym, więc jeśli mogłabym się jej teraz odwdziaczyć...

W Harrym zbudziła się nadzieja. Może wdzięczność, jaką panna Labrooy czuje wobec Heather, przeważy jej lojalność wobec doktora Kingdoma.

- Każda rzecz, którą mi pani powie, bardzo mi pomoże - zaczął ostrożnie. - Na przykład, w jaki sposób doktor Kingdom zareagował na wiadomość o jej śmierci.

- Bardzo się zmartwił. Zobaczyłam go dopiero kilka dni później, więc oczywiście nie mogę...

- Co pani rozumie przez „kilka dni później”?

- Był wtedy w Szwajcarii. Wrócił dopiero... to był chyba wtorek, we wtorek w następnym tygodniu.

- W Szwajcarii?

- Jest specjalnym konsultantem Versorelli Institute w Genewie, specjalizuje się w przypadkach uznanych za beznadziejne. Często tam wyjeżdża w sprawach służbowych.

- Jak długo trwał ten wyjazd?

- Nie jestem pewna, czy mogę...

- Powiedziała pani, że chce mi pomóc.

Kolejka znowu stanęła. Byli na stacji Paddington. Harry nie poruszył się jednak.

- Pańska stacja.

- Nie szkodzi. Wsiądę dalej.

Pochyliła się jeszcze bardziej i zniżyła głos.

- Nie jestem pewna, czy doktor Kingdom życzyłby sobie, żebym dyskutowała z panem o jego pracy. Rozumie pan chyba, jak trudna jest moja sytuacja.

- A co z Heather, panno Labrooy? - Harry czuł, że starczy wyrzucić niewielki nacisk, by przełamać jej skrupuły. - Czy jej sytuacja nie jest jeszcze trudniejsza?

Drzwi zamknęły się z sykiem i kolejka ruszyła znowu.

- To prawda, tak. - Na twarzy panny Labrooy odbijała się walka, jaką toczyła z własnym sumieniem. - Czego chce się pan dowiedzieć?

- Jak długo trwała wizyta doktora Kingdoma w Genewie.

Wahała się jeszcze przez chwilę, po czym odpowiedziała:

- Poleciał do Genewy w piątek czwartego listopada, wrócił w poniedziałek czternastego.

Harry ledwie zdołał ukryć uśmiech. Oto potwierdzenie, którego potrzebował.

- Czy zwykle wyjeżdża na tak długo?

- Zwykle na krócej.

- Skąd pani wie, że był w Genewie?

- Rezerwowałam mu bilety. - Panna Labrooy zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

- I dzwonił do mnie parę razy z Instytutu.

To oczywiście nie miało znaczenia. Harry nie spodziewał się usłyszeć nic innego. W Genewie czwartego. Na Rodos szóstego. Taka podróż wymagała wysiłku, ale nie była niemożliwa. Najważniejsze pytanie brzmiało: gdzie znajdował się jedenastego?

- Pamięta pani, w jakie dni telefonował?

- Chyba w poniedziałek... i w środę.

Więc nie kontaktował się z sekretarką w dniu, gdy odwiedził Profitis Ilias. Zresztą gdyby nawet to zrobił, nie dowodziłoby to niczego. Mógł twierdzić, że dzwoni z kliniki w Genewie. Było to jak najbardziej wykonalne. Jedyne cel pozostawał niejasny. Kolejka zatrzęsała i zatrzymała się. Przenikliwe brązowe oczy panny Labrooy uważnie przyjrzały się Harry'emu.

- Dlaczego wypytuje mnie pan o doktora Kingdoma, panie Barnett?

- Bo mam wrażenie, że zasłania się tajemnicą lekarską dla ukrycia czegoś. I co więcej - zaryzykował - sędzę, że pani o tym wie.

Nie spuszczała go z oczu. Jej spojrzenie oceniało go surowiej niż milczenie, które mu towarzyszyło. To, o co ją prosił, wymagało więcej zaufania, niż zdążył

sobie dotychczas zaskarbić. Kolejka wjechała na stację Maida Vale. I ruszyła znowu. Wtedy panna Labrooy się odezwała.

- Problem Heather polegał na tym, panie Barnett, że czuła się obco. Jakby nie należała do rodziny, w której się urodziła, ani do świata, w którym zaczęła życie.

- Widzę, że naprawdę dobrze ją pani zna.

Panna Labrooy uśmiechnęła się.

- Ciągle ten uparty czas terazniejszy. Pański optymizm jest godny uznania, panie Barnett. Zwłaszcza, że to pesymizm wydaje się bardziej typowym dla pana nastrojem. Anglik na wygnaniu we własnym kraju. Czy nie tak przedstawia się pańska sytuacja?

- Tak, chyba ma pani rację.

- W pewnym sensie moja jest podobna. Urodziłam się w Sri Lance, ale zostałam wychowana w Anglii. Moja matka była córką angielskiego oficera policji indyjskiej, który zakochał się w skromnej urzędniczce z Jaffny i miał czelność ją poślubić. Potomstwo takich par nigdy nie jest do końca akceptowane po żadnej ze stron bariery rasowej. Więc, jak pan widzi, ja też nie czuję się tu u siebie... chociaż niewątpliwie tutaj znajduje się mój dom. Może dlatego Heather wolała towarzystwo takich jak pan i ja, niż towarzystwo rodziny i przyjaciół, jakich jej wybrano.

Kolejka zatrzymała się na stacji Kilburn Park. Ostatni pasażer w zasięgu słuchu opuścił wagon. Harry zastanawiał się, co takiego Heather zrobiła dla panny Labrooy. Jednak po namyśle uznał, że woli tego nie wiedzieć. Wystarczyło mu, że znalazł jedną osobę, na której świadectwie mógł polegać. Kiedy kolejka przyśpieszała, ruszając ze stacji, usłyszał wreszcie to, czego oczekiwał.

- Ma pan rację, panie Barnett. Doktor Kingdom coś ukrywa, chociaż nie jestem pewna, czy sam zdaje sobie z tego sprawę. Z pewnością Heather nie wiedziała o niczym. Tylko mnie, która znałam ich oboje, wydawało się to oczywiste. Heather została przyjęta do Challenbrooke Hospital niedaleko Maidenhead na własne życzenie w listopadzie ubiegłego roku. Doktor Kingdom był konsultan-

tem jej przypadku. Kiedy ją wypisano w marcu tego roku, nadal regularnie się z nią spotykał, by czuwać nad jej powrotem do zdrowia. Jednak w miarę jak mijały miesiące stało się dla mnie jasne, że chodzi o coś więcej.

- To znaczy?

Jechali teraz przez otwartą przestrzeń; ciemność za oknami rozświetlały tylko bursztynowe światła, które śledziły ruch kolejki niczym ślepie ukrytych w gąszczu zwierząt, wlepione w samotnego wędrowca.

- Budziło się w nim uczucie, panie Barnett. Powoli, ale nieubłaganie Heather stawiała się jego obsesją. Myślę, że to zawsze grozi lekarzowi. Związek z pacjentem musi być intymny, ale bezosobowy, oparty na zaufaniu, a jednak sformalizowany. Trudno utrzymać równowagę, szczególnie jeśli niezbędna jest znajomość zarówno umysłu, jak i ciała pacjenta. Nie potrafię powiedzieć, co w Heather oczarowało doktora Kingdoma. Zresztą tajemnicy tego, co wzbudza w ludziach wzajemną fascynację, nie zdołali dociec najwięksi filozofowie. Ale w głębi duszy nie mam wątpliwości, że już od wiosny jego stosunek do niej stawał się coraz mniej profesjonalny.

- Kingdom jest żonaty?

- Nie. Mieszka sam. Wielu, jak sądzę, uznałoby go za typ naukowca. Doskonałego naukowca, skoro już o tym mowa. W miłości doktora nie byłoby nic niestosownego, gdyby Heather nie była jego pacjentką. Właśnie fakt, że nie oddał jej innemu psychiatrze, przez długi czas utrzymywał mnie w przekonaniu, iż źle oceniłam sytuację. Pracuję u niego od ponad trzech lat i nauczyłam się go podziwiać zarówno jako lekarza, jak i człowieka. Pod względem etycznym zawsze znajdował się poza wszelkimi podejrzeniami. Dlatego jego postępowanie z Heather tak trudno było zrozumieć. W końcu doszłam do wniosku, że to obsesja, której nie jest w stanie się oprzeć.

Następny przystanek. Queen's Park. Nerwowy młodzieniec ze słuchawkami na uszach i w butach baseballowych na najgrubszych podeszwach, jakie Harry kiedykolwiek widział, opadł na sąsiedni fotel i zaczął wybijać na kolanie rytm

muzyki, której nie słyszał nikt prócz niego. Drzwi nie zamykały się, wpuszczając do wnętrza stęchłe nocne powietrze; Harry zniżył głos do szeptu:

- Czy ma pani na to jakiegokolwiek dowody, panno Labrooy?

- Mam świadectwo własnych zmysłów. Doktor Kingdom stawał się coraz bardziej nerwowy i zamyślony. Jak sądzę, pochłaniał go konflikt między uczuciem i obowiązkiem. Heather nie zdawała sobie sprawy z tego wszystkiego, ale ja tak, i sytuacja ta bardzo mnie przygnębiała.

- Ale to tylko pani domysły, prawda? Pani subiektywna ocena?

- Niezupełnie. - Drzwi zamknęły się, otwarły znowu, zamknęły na dobre. - Jest coś więcej. - Kolejka ruszyła z peronu. - Moje podejrzenia się potwierdziły, gdy przestał mi dawać materiały do karty Heather. Zwykle przepisuję na maszynie wszelkie jego notatki, raporty i korespondencję, ale latem sam zaczął przepisywać wszystko, co dotyczyło Heather.

- Podał jakieś wyjaśnienie?

- Żadnego. A ja nie czułam się upoważniona, by go o nie prosić. W tym czasie Heather i ja już się przyjaźniłyśmy. Często jadłyśmy razem obiad po jej cotygodniowej wizycie. Doktor Kingdom mógłby podać ten fakt jako usprawiedliwienie, dlaczego nie udostępnia mi materiałów. Karty wszystkich pacjentów są zamknięte, a klucz znajduje się w jego gabinecie, więc czytam tylko to, co dostaję do przepisania.

- Nie rozumiem. Jaki sens miałoby trzymanie w tajemnicy danych Heather?

- Powinien pan znać odpowiedź, panie Barnett. Na Rodos miał pan cały miesiąc, by się z nią zaznajomić. Czy to nie jasne? - Panna Labrooy wyjrzała za okno, kiedy zbliżali się do stacji Kensal Green. - Tu się musimy pożegnać. To moja stacja.

- Ależ nie możemy teraz przerywać.

Nie odpowiedziała. Wstała i ruszyła do drzwi, kiedy się otwarły. Harry wybiegł za nią. Słyszał, jak jej obcasy stukają szybko, gniewnie po peronie; zastanawiał się, czym ją rozzłościł - okazał się zbyt tępy? Zbyt natarczywy? Właśnie

miał za nią zawołać, kiedy niespodziewanie odwróciła się i stanęła naprzeciw niego. W przyćmionym świetle widział, że dolna warga drży jej nieznacznie, jak gdyby nagle opuściło ją zdecydowanie.

- Co się stało?

- Omal nie powiedziałam zbyt wiele. Omal nie nadużyłam zaufania, jakie pokłada we mnie doktor Kingdom.

- Do niczego pani nie zmuszałem.

- Wiem.

- Ale teraz, kiedy...

- Nie mogę się wycofać, tak? Ma pan rację, oczywiście, ale wszystko zależy od tego...

- Tak?

- Od tego, co naprawdę się zdarzyło na Profitis Ilias jedenastego listopada. Wiem, co piszą w gazetach i nie wierzę w to. Ale co mówi pan, panie Barnett? Jaka jest pańska wersja wydarzeń?

- Nie wiem, co tam się stało. Gdybym wiedział...

- Przecież był pan na miejscu. Spędzał pan z nią dni i tygodnie, zanim zniknęła. Tylko pan może mi powiedzieć to, czego chcę się dowiedzieć. Tylko pan może mi pomóc uzyskać pewność. Zrobi pan to?

Harry w końcu pojął, czego od niego oczekiwała. Odkąd wrócił do Anglii, szukał na próżno kogoś, kto jak on, był prawdziwym przyjacielem Heather Mallender. Nie spodziewał się go znaleźć właśnie teraz. Jego hasłem - a może i hasłem panny Labrooy - była podejrzliwość. Teraz oboje mieli ją porzucić w imię czegoś bardziej ryzykownego, ale niosącego być może większe korzyści. Przez wzgląd na Heather musieli sobie zaufać.

- Niech pan opowie wszystko ze szczegółami, Harry. Proszę odtworzyć każdy moment tych ostatnich dni, które spędził pan wraz z Heather. Wtedy może uwierzę, że moje obawy są bezpodstawne.

Szli wolno od stacji przez labirynt obskurnych spadzistych uliczek. Głośna rytmiczna muzyka rozbrzmiewająca zza cienkich zasłon. Samochody podparte na ceglach. Koty i kto wie jakie jeszcze stworzenia rozgrzebujące sterty śmieci w zaniedbanych frontowych ogródkach. Okna zabite deskami. Zamurowane drzwi. Opuszczenie. Upadek. Ruina. W połowie uliczki, nazwanej nie wiadomo dlaczego Foxglove Road⁹, gdzie, zdaniem Harry'ego, nikt nie powinien mieszkać, w litościwych ciemnościach Zohra Labrooy przekreśliła klucz w rozklekotanym zamku i zaprosiła go do swojego mieszkania.

Wąski korytarz zalany słabym, migotliwym światłem. Kiepskie przewody, pomyślał Harry: niewątpliwie typowe dla całej okolicy. Po lewej drzwi, uchylone na jakieś piętnaście centymetrów, ukazywały zagracony salonik. W ogromnym zniszczonym fotelu, otoczona bibelotami z mosiądzu i kości słoniowej, otulona wielkim szalem, z elektrycznym grzejnikiem u stóp, siedziała stara kobieta, odychając chrapliwie. Spojrzała na Zohrę z wyraźną ulgą. Miała smutny, apatyczny wygląd kogoś, kto niegdyś żył pełnią życia, a komu teraz zostały tylko wspomnienia - jak galeon, którego żagle zwisają smętnie z masztów, choć kiedyś wydymały się majestatycznie.

- To ja, pani Tandy - oznajmiła Zohra, zaglądając do pokoju. - Jestem ze znajomym.

- Widzę. - Staruszka uśmiechnęła się do Harry'ego niczym księżna-wdowa witająca narzeczonego wnuczki.

Po paru chwilach niezręcznej prezentacji Zohra przeprosiła starszą kobietę, obiecując zjawić się na kakao o zwykłej porze, i poprowadziła Harry'ego na piętro.

- Pani Tandy pamięta Kensal Green z czasów, gdy była to elegancka dzielnica - wyjaśniła, kiedy znaleźli się w mieszkaniu. - Idealna właścicielka, tylko od czasu do czasu próbuje mnie traktować jak służącą, którą miała w Indiach jako dziecko.

⁹ Foxglove Road (ang.) - Zaulek Naparstnicy.

Harry był pod wielkim wrażeniem mieszkania panny Labrooy. Spodziewał się taniego orientalizmu; zobaczył proste meble, których nie powstydzilaby się para angielskich nowożeńców, po czym zaproponowano mu nie herbatę, ale dzin. Usadowiony pod lampą ze szklaneczką w dłoni, patrząc na obraz jakiegoś impresjonisty na ścianie i zasłony sięgające podłogi, które oddzielały go od mroku za oknem, nie mógł uwierzyć, gdzie się znajduje.

Opowiedział o Profitis Ilias. Zohra Labrooy była idealną słuchaczką. Cierpliwa i uważna, pozostawała spokojna, lecz czujna, utkwiała w nim duże brązowe oczy, odtwarzając w myślach tamte odległe wydarzenia, pomagając mu przypomnieć sobie i przywołać każdą, najbardziej nieznaczącą uwagę, każdy najdrobniejszy epizod.

Niczego nie ukrywał. To znaczy żadnego faktu, którego był pewien. Zachował dla siebie tylko spotkanie z Kingdomem w Lindos na pięć dni przed zniknięciem Heather: nie chciał na razie wystawiać lojalności Zohry na zbyt ciężką próbę.

Gdy skończył milczała przez ponad minutę, wpatrując się w niego, jakby ciągle szukała potwierdzenia, którego jego sprawozdanie miało dostarczyć.

- No i? - zapytał w końcu.

Westchnęła głęboko.

- Tak jak się obawiałam. To trudne. Bardzo trudne.

- Spodziewałaś się czegoś innego?

- Kiedy widziałam Heather po raz ostatni trudno byłoby sobie wyobrazić kogoś mniej potrzebującego pomocy psychiatry. Spokojna, zdecydowana i bardzo opanowana: taka mi się wydała.

- Ciągle jednak spotykała się z Kingdomem.

- Tak. Widzisz, myślałam, że właśnie dlatego zaczął sam przepisywać notatki, wspomniałam nawet o tym Heather. Wyzdrowiała zupełnie, tak zupełnie, że nie potrzebowała już jego porad. Rola doktora Kingdona w jej życiu się skończyła, ale on, jak sądzę, ciągle nie mógł się z tym pogodzić. Sądzę, że leczył ją jeszcze

długo, chociaż wcale tego nie potrzebowała. Wprowadził ją w błąd, przekonując, iż dalsza terapia jest konieczna, i odpowiednio fałszował zapisy w karcie.

Harry odetchnął głęboko. Naturalnie, mogła to być prawda; przemawiało za tym więcej, niż Zohra podejrzewała. Ale jeśli tak, jeśli Kingdom przyjechał na Rodos w podejrzanych zamiarach - chcąc zabić Heather, porwać ją, uwięzić - co z fotografiami? Okazywały się zaledwie obsesją Heather, a to z kolei podważało opinię Zohry o całkowitym powrocie dziewczyny do zdrowia. Co więcej, gdzie - pomijając niczym nie uzasadnione przekonanie Harry'ego - znaleźć niepodważalne dowody na poparcie takiej teorii? I zakładając, że jest ona prawdziwa, gdzie jest Heather?

- Nic nie mówiłam, bo nikt by mi nie uwierzył, bo każdy wierzy raczej w słowa lekarza niż sekretarki, i dlatego że...

- Tak?

- Dlatego że mogłam się mylić. Nawet jeśli doktor Kingdom rzeczywiście czuł do Heather więcej, niż lekarz powinien czuć do swojej pacjentki, to jeszcze nie znaczy, że miał coś wspólnego z jej zniknięciem.

- Ale przecież był za granicą, kiedy ono nastąpiło.

- W Szwajcarii, daleko od Rodos.

Teraz należało jej powiedzieć. Potrzebował jej pomocy, jeśli mieli się zajmować tą sprawą. Musi się dowiedzieć.

- Nie tak znów daleko. Mówiłaś, że poleciał do Genewy w piątek czwartego listopada. Spotkałem go w Lindos w niedzielę szóstego.

Wyczytał z jej twarzy zdumienie i zaskoczenie, jakie wywołuje czasem potwierdzenie podejrzeń.

- Przypadkowe spotkanie, nic więcej. Nic, co mógłby zapamiętać. Sam też bym nie pamiętał, gdyby dzisiaj nie stracił panowania nad sobą. Widzisz, tamtego dnia też był rozgniewany. To jego gniew poznałem.

Zohra Labrooy siedziała zupełnie nieruchomo, z twarzą zastygłą w wyrazie zdumienia. Pewnie przeraziło ją odkrycie, iż jej wydumana i mimo wszystko dość

nieprawdopodobna teoria ma podstawy, pomyślał Harry. Sięgnęła po swoją szklaneczkę i opróżniła ją jednym haustem.

- Jeśli twierdził, że w czasie swojej nieobecności znajdował się w Genewie, to kłamał.

- Tak właśnie mówił.

W jej głosie brzmiało oszołomienie, jakby dopiero teraz opuściła ją nadzieja, że jej pracodawca został niesłusznie posądzony.

- Jego telefony... wcale nie musiał dzwonić z Genewy.

- To prawda.

- Mógł zostać na Rodos do jedenastego. I spotkać się z Heather na Profitis Ilias; może tak postanowili, a może miała to być niespodzianka.

- Masz rację.

- Może to właśnie spotkanie przewidziała... albo się go spodziewała. I niepokój przed nim próbowała sobie wyperswadować, szukając argumentów u Freuda.

- Tak jak powiedziałaś, Harry: mogło się tak zdarzyć. - Skinęła głową bez przekonania, oblizała wargi, potem przyjrzała mu się uważnie. - Ale nie mamy najmniejszych dowodów, prawda?

- Żadnych - odparł bezradnie.

Następne ciężkie westchnienie; tym razem świadczące, że zbiera się na odwagę.

- Może uda mi się coś zdobyć. Co wtedy?

- Co masz na myśli?

- Znam całkiem nieźle parę osób w Versorelli Institute. To znaczy pracowników mojego szczebla, rozumiesz. Mogłabym poprosić o szczegóły wizyty doktora Kingdoma w listopadzie. Powiem, że zgubiłam jakieś dokumenty i potrzebne mi są daty i godziny jego zajęć: wizyt u pacjentów, konsultacji z lekarzami, i tak dalej, żeby uzupełnić dane. Nie ma powodu, by uznali to za coś niezwykłego. - Zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad konsekwencjami. - Z

pewnością nie zwróca się do niego po potwierdzenie. Uznają moją prośbę za całkiem niewinną i udziela odpowiedzi bez najmniejszych oporów.

- Byłabyś gotowa to zrobić?

- Jeśli nie ma innego wyjścia, to tak.

Nie było innego wyjścia. Spojrzenia, jakie wymienili wyrażały to jasno.

- Jak sądzisz, ile czasu może ci to zabrać?

- Nie wiem. Parę dni. Wszystko zależy od tego, jak szybko nadarzy się sposobność.

Zapadła krótka cisza; oboje zastanawiali się nad krokiem, jaki zamierzali podjąć. Oboje wiedzieli, że nie skończy się na uzyskaniu informacji z Versorelli Institute.

- Narażasz się na niebezpieczeństwo - odezwał się Harry, zauważając równocześnie, że zamiast trybu warunkowego użył oznajmującego. - Jeśli Kingdom odkryje...

W spojrzeniu, które mu posłała kryła się zarówno determinacja, jak i poczucie godności. Zamknęło ono Harry'emu usta.

- A jaki mam wybór, Harry? Heather była moją przyjaciółką, tak samo jak twoją. Jeśli doktor Kingdom ją skrzywdził... Jaki ja właściwie mam wybór?

XXIX

Harry zbudził się niespodziewanie, z gwałtownym dreszczem. Wiedział od razu, że musiał zasnąć niezwykle głęboko, bo nie miał pojęcia, jak długo trwał sen ani gdzie się znajduje. Przez kilka sekund umysł odmawiał mu posłuszeństwa, opierał się wszelkim wysiłkom, by wydobyć z niego uspokajające informacje na temat czasu i miejsca. Harry drżał z zimna i czuł się tak słaby, że wstanie zdawało mu się niemożliwością. Podniósł niepewną dłoń do czoła; poczuł na skórze zimny pot. Spróbował przełknąć ślinę: w głębi gardła czał się ból. Słyszał jakiś hałas, czuł wstrząsy i szarpnięcia. Ostrożnie podniósł głowę i rozejrzał się wokół.

Jechał metrem. Oczywiście, jechał metrem. Jak mógł zapomnieć choć na chwilę? Wracał z Kensal Green do Paddington w przekonaniu, iż spotkał przynajmniej jedną przyjaciółkę Heather, gotową się z nim sprzymierzyć. Jak gdyby chcąc się upewnić, że sobie wszystkiego nie wymyślił, zmusił swój umysł do przypomnienia, co zgodziła się zrobić.

Uzyska od swoich kolegów z Versorelli Institute dokładną trasę podróży, którą doktor Kingdom odbył w listopadzie. Kiedy przyleciał, kiedy wyjechał. Czy był nieobecny któregoś dnia. A kiedy zgromadzi wszystkie szczegóły... no cóż, wtedy go będą mieli, prawda? Jedyne, co on mógł zrobić, to wrócić do Swindon i czekać na wiadomość. Obiecała się z nim skontaktować pod koniec przyszłego tygodnia i zdać relację z tego, co udało się uzyskać. Nie wątpił, że go nie zawiedzie; należała do osób dotrzymujących słowa. W każdym razie tak sądził. Chociaż właściwie nic o niej nie wiedział. Heather nigdy nie wspominała o swojej przyjaciółce Zohrze Labrooy - ani o żadnej innej, skoro już o tym mowa. A jednak przyjaźń pozostawała jego jedynym przewodnikiem. Dysart był przyjacielem. Tak samo Heather. Może z Zohrą też się zaprzyjaźni.

Pociąg zaczął zwalniać przed następną stacją. Naraz Harry'emu zaświtało okropne podejrzenie, że przespał swój przystanek i czeka go powrót z jakiegoś odległego krańca linii Bakerloo. Znużenie, jakie czuł, gorąco protestowało przeciw takiej perspektywie; zerknął przez okno po drugiej stronie przejścia w poszukiwaniu wskazówki, w jakiej części miasta się znajduje. Jego uwagę przyciągnął jednak zgoła inny widok.

Mężczyzna siedzący po drugiej stronie był chudy, o żółtawej cerze, ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy. Ciemne, przetykane siwizną włosy przylegały gładko do łysej czaszki. Był tak zwyczajny, że aż niezwykły; tak mało rzucający się w oczy, że śledzenie innych zdawało się jego powołaniem. Małe oczka, błyszczące jak u gryzonia, utkwili w Harrym. Z pewnością nie mógł to być... i z pewnością był... mężczyzna z Reading. Jakby na dowód ostatecznego potwierdzenia trzymał w ręce tę samą książkę w miękkiej oprawie; na okładce widniała dziewczyna w

czarnej bieliźnie leżąca na sofie, uduszona szalem.

Pociąg hamował ostro, ale Harry nie potrafił szybciej myśleć. Jakie jest prawdopodobieństwo - czyste statystyczne prawdopodobieństwo - takiego zbiegu okoliczności? Z pewnością bliskie zera. Zarówno ze względu na Zohrę, jak i na siebie samego z nagłym żalem zaczął sobie wyrzucać, że nie powiedział jej o ostrzeżeniach, jakie otrzymał (jeśli były to ostrzeżenia), i faktach, które postanowił zignorować.

Kolejka wjechała na stację; zwalniała, zamazane napisy stały się znów czytelne. Warwick Avenue, ostatni przystanek przed Paddington. Przynajmniej, dzięki Bogu, nie przejechał swojej stacji. Co powinien zrobić? Wsiąść tutaj? Zostać i wpatrywać się we własne przestraszone odbicie? Właśnie gdy sobie uświadomił, że nie jest w stanie podjąć decyzji, została ona podjęta za niego. Niewiarygodne: mężczyzna zbierał się do wyjścia. Na oczach Harry'ego wsunął książkę do kieszeni, wstał i ruszył w stronę drzwi.

Światła stacji migały za oknem coraz wolniej, niby błyski drżącego heliografu, ale Harry nie potrafił odczytać wiadomości. Mężczyzna stał obok Harry'ego, czekając, aż wagon wyhamuje. Starczyło wyciągnąć rękę, by go powstrzymać, ale Harry'ego nagle opuściły siły. Przypomniał sobie artykuł z gazety o ludziach, którzy budzą się na stole operacyjnym: sparaliżowani narkozą, a jednak świadomi wszystkiego, co dzieje się dokoła; czujący ból, a równocześnie niezdolni protestować. Kolejka prawie się zatrzymała, ale w mózgu Harry'ego kołatała się tylko jedna myśl: ile ostrzeżeń zostanie mu udzielonych? Ile już przeoczył?

Wagony stanęły z piskiem. Drzwi rozsunęły się. Mężczyzna ani drgnął. Jak gdyby czekał na właściwy moment, dla większego efektu. Popatrzył na Harry'ego.

- *Kalinichta, kirie Barnett* - powiedział.

Wyskoczył, kiedy drzwi zaczynały się zamykać. Mały krok na peron, obrót na pięcie, i już go nie było. Harry, zelektryzowany jego słowami, zerwał się z

miejsca i rzucił w pogoń, ale zbyt późno: niepokonana bariera ze szkła i metalu oddzieliła go od celu pościgu. Kolejka ruszyła z szarpnięciem, zatoczył się na stalowy uchwyt. Złapał go, pochylił się, by lepiej widzieć; mignęła mu malejąca postać na oddalającym się peronie, potem wagon został wessany w czeluść pokrytego sadzą tunelu.

- Dobranoc, panie Barnett.

XXX

- Grypa, panie Barnett. Klasyczny przypadek. Wszyscy teraz na to chorują.

Profesjonalny uśmiech doktora Allsopa, szeroki i pomarszczony jak pęknięty melon, wyglądał zawsze tak samo, czy lekarz składał gratulacje, czy kondolencje. Tyle Harry pamiętał.

- To przez tę ciepłą zimę. Wirusy mnożą się jak króliki. I vice versa, niewątpliwie.

Zgrzytliwy chichot był również boleśnie znajomy.

- Odporność prawdopodobnie osłabiona przez łagodny klimat, gdzie, jak twierdzi pańska matka, ostatnio pan przebywał. I dogadanie sobie, które zwykle idzie z tym w parze.

Dogadanie sobie? Gdyby nie czuł się tak okropnie, Harry powiedziałby mu, co może zrobić ze swoimi dowcipami. A tak w ogóle, kto, u diabła, pozwolił staremu durniowi jeszcze praktykować? To on niepotrzebnie skierował Harry'ego na operację wyrostka czterdzieści dwa lata temu. Dobry Boże, facet musi mieć siedemdziesiątkę!

- Odpoczynek. Aspiryna. Whisky. Wszystko w nieograniczonych ilościach. Powinien się ucieszyć, nie?

Doktor Allsop potoczył się do drzwi; matka następowała mu na pięty.

Chwała Bogu, pomyślał Harry. W jego opinii choroby nie potrzebowały nazw: stanowiły po prostu nieszczęście, które należało przetrwać. Podobnie jak

złośliwości, skoro już o tym mowa - a wyglądało na to, że czeka go ich niemało. Jego dawna sypialnia, zakonserwowana jak muzeum. Tapety, krzesło, niskie biurko, wąskie łóżko: wszystko wyglądało dokładnie tak, jak zawsze. Nawet zbiorowa fotografia z Commonweal School z września 1948, na której Harry został utrwalony w dwóch miejscach: przebiegł z tyłu rzędu, gdy robiono zdjęcie, dzięki czemu występował z uśmiechem i przyczesanymi włosami pierwszy z lewej oraz z uśmiechem i rozwichrzonymi włosami pierwszy z prawej. Niezbyt śmieszne, zarówno wtedy, jak i teraz. A jednak dziwnie pomyśleć, że czas płynął, kiedy soczewki aparatu rejestrowały obraz starannie upozowanej grupy. Fotografie zwykle podtrzymują złudzenie, iż czas da się zatrzymać choćby na krótko, ale w tym wypadku...

Trzasnęły drzwi frontowe. Allsop wyniósł się, zabierając ze sobą nudne kazania i różowe pastylki - placebo. Harry podniósł się na łokciu i odsunął najwyższą szufladę szafki przy łóżku. Nadal tam były: fotografie i koperta z trzema pocztówkami. Przynajmniej tego sobie nie wymyślił. I kieszonkowy kalendarzyk. Wyjął go i zajrzał na koniec części z adresami. Zohra Labrooy, Foxglove Road 78, Kensal Green, tel. 01-986-4316. Po szóstej. Więc istniały rzeczy bardziej wiarygodne niż jego podobizna ze szkolnej fotografii. Wrzucił kalendarz z powrotem do szuflady, zasunął ją i opadł na poduszkę. Zohra odezwie się do niego. Udowodni, że się nie mylił. A mężczyzna z pociągu? Czy też da znak? A może jednak był złudzeniem? Może doktor Allsop potwierdziłby to, gdyby go Harry zapytał? „Halucynacje? Bardzo częste przy grypie, mój panie. Należało się tego spodziewać. Proszę brać dwie albo trzy tabletki tego przed posiłkiem i niech pan mi da znać, jeśli objawy nie ustąpią”.

Ciężkie kroki na schodach. Za chwilę znowu pojawi się matka. Podejrzewał, że nie marzyła o niczym więcej, niż by widzieć go przykutego do łóżka, zdanego na jej opiekę. Nie będzie się długo cieszyć. Za parę dni Harry wstanie jak nowo narodzony, gotów wrócić do zaczętej sprawy. Podciągnął prześcieradło i zamknął oczy w nadziei, że matka weźmie go za śpiącego. Na próżno.

- No więc, Haroldzie? Słyszałeś, co powiedział doktor.

- Tak, mam. Odpoczynek, aspiryna, whisky. Niezły pomysł, może z wyjątkiem aspiryny.

- Bzdury. Stary głupiec sam nie wie, co mówi.

- Więc czemu go wezwałaś?

- Żeby potwierdzić moją diagnozę. Na gripę jest jedno lekarstwo, i to bynajmniej nie alkohol.

Jej ojciec był baptystą o surowych zasadach. Harry pomyślał, że to wiele tłumaczy.

- A co?

- Rosół wołowy, oczywiście. Zaraz idę do pana Sturcha.

Sturch prowadził sklep mięsny od równie zamierzchłych czasów, co Allsop praktykę medyczną. Właściwie, przyszło Harry'emu do głowy, jedno nie różniło się wiele od drugiego.

- Ale, mam...

- Dla twojego własnego dobra, Haroldzie!

Czuł zbyt wielkie zmęczenie, by się spierać.

- Dobrze, mam.

Przynajmniej będzie mógł pospać, póki jej nie będzie.

Trzeciego dnia choroby odwiedził go pierwszy gość: Alan Dysart. Matka przyjęła go tak, jak prawdopodobnie powitałaby księcia Walii, gdyby jej złożył niezapowiedzianą wizytę. Nawet jeśli pamiętała, że Dysart pracował kiedyś u jej syna, nie dałoby się tego poznać z jej lękliwego zachowania. Harry uznał skrupowanie, jakie wywołały u niego odwiedziny, za objaw powrotu do zdrowia. Co do Dysarta, to udawał po prostu, że nic nie zauważa.

- Znowu w łóżku, Harry? Zaczyna ci to wchodzić w nawyk.

Wyglądał dokładnie tak samo, jak w dniu ostatniego spotkania, dniu swojego odlotu do Stanów: opanowany, ale troskliwy, współczujący, choć pełen po-

wściągliwości - idealny model myślącego polityka. Harry nie wiedział, dlaczego zrobiło mu się żal Dysarta. Może z powodu niewygodnego krzesła, na którym go posadzono. Czy może sprawiła to świadomość, że mimo całego wdzięku i zdolności miał żonę, która w najlepszym razie okazała się niewierna, a w najgorszym - była zdrajczynią; ofiarą Mintera bądź jego współpracownicą.

- Skąd wiedziałeś, że choruję?

- Nie wiedziałem. W piątek wróciłem z Waszyngtonu. Dopiero dzisiaj miałem sposobność się dowiedzieć, jakie zrobiłeś postępy.

- Mówisz o poszukiwaniach Heather?

- Chyba że zrezygnowałeś.

- Nie, nie zrezygnowałem.

Jak wiele powiedzieć? W ciągu wielu lat Dysart okazał się tak lojalnym przyjacielem, jak tylko można sobie życzyć. Najmniejsze, czego miał prawo oczekiwać w zamian, to całkowitej szczerości. Poza tym, jeśli odwiedził Tyler's Hard, niewątpliwie rozpoznał Harry'ego w sprawozdaniu Morpurga o tajemniczym nieznajomym, który zjawił się w ubiegłą sobotę.

- Próbowałem iść po jej śladach. Dwudziestego ósmego sierpnia odwiedziła Tyler's Hard z Nigelem Mossopem, znajomym z Mallender Marine. Też tam pojechałem tydzień temu. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

- Skąd. - Dysart uśmiechnął się. - Will mi o tym wspominał. Zdziwiłem się, przyznaję, ale teraz wszystko rozumiem. Skąd wiedziałeś, że Heather tam była?

Fotografie stanowiły jedyną tajemnicę, której Harry nie zamierzał dzielić się z nikim.

- Wspominała o Mossopie jako swoim przyjacielem. Też go znam, naturalnie, więc się z nim skontaktowałem, i to on powiedział mi o wyprawie.

- Rozumiem.

Dysart skinął głową, ale jak wiele zrozumiał, nie było jasne. Nie zadał też narzucających się pytań, na które Harry odpowiedziałby z największym trudem. Dlaczego Mossop tak łatwo się zgodził na współpracę? Dlaczego Heather wy-

brała go na swojego towarzysza?

- Rozmawiałaś z panią Diamond?

- Tak.

- I co o niej sądzisz?

Harry prawie zapomniał o kobiecie, kiedy tylko doszedł do wniosku, że jej rewelacje o radosnym nastroju Morpurga w dniu śmierci Clare Mallender nie mają większego znaczenia. Jednak wyraz twarzy Alana przypomniał mu jeszcze o czymś, co powiedziała: że Dysart i Clare kłócili się, tuż zanim nastąpił wybuch, a od dłuższego czasu dochodziło między nimi do starć.

- Poczciwa kobieta, ale okropna plotkara.

- Wiarygodna?

- Jako świadek? Nie bardzo.

Dysart uśmiechnął się. To właśnie chciał usłyszeć. Obaj wiedzieli, co mówiła pani Diamond, ale żaden nie kwapił się, by nadać jej słowom wagę, jakiej musiałyby nabrać, gdyby zaczęli otwartą dyskusję na ten temat. Zresztą nawet jeśli Dysart rzeczywiście pokłócił się z Clare, mało prawdopodobne, by chciał rozgłaszać ten fakt po jej śmierci.

- Obawiam się, że pani Diamond nigdy nie lubiła Willa - powiedział. - Niektórzy ludzie zwyczajnie nie są w stanie opanować przerażenia, jakie wzbudza w nich widok czyjegoś kalectwa.

- Cyril Ockleton opowiedział mi o wszystkim.

- Naprawdę?

- Heather odwiedziła go w Oksfordzie trzeciego września. Zawiózł ją do Burford i pokazał miejsce wypadku.

Dysart zmarszczył brwi.

- Dlaczego tak ją to interesowało?

- Nie wiem. Ciągłe próbuję się dowiedzieć.

Nagle Harry dostał napadu kichania, które szybko przerodziło się w bolesny kaszel. Na ten sygnał Dysart nalał pełną łyżkę syropu, zdobytego od uprzejmego

aptekarza wbrew zaleceniom starego Allsopa, i stał obok, gdy Harry go przełykał. Po chwili znowu mógł mówić.

- Strasznie przepraszam, Alan, naprawdę. Lepiej nie podchodź za blisko.

- Nic się nie przejmuj. Politycy są odporni na wszystko. Mam nadzieję, że cię nie męczę? Twoja matka nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym spowodował nawrót choroby. Gdzie mogłeś złapać to paskudztwo?

- Nie mam pojęcia. Poczulem się niewyraźnie w czwartek rano, kiedy wyjeżdżałem z Haslemere. Heather była tam dziesiątego września, żeby się spotkać z Rexem Cunninghamem.

- Czego od niego chciała?

- O ile się orientuję przywiązywała pewne znaczenie do faktu, że ty, Murgurgo, Ockleton i Cunningham byliście wszyscy członkami Towarzystwa Tyrrella. Zdobyła gdzieś pudełko zapalek ze Skein of Geese. Może dostała je od siostry, bo wiedziała też, że ty i Clare jedliście tam kolację rok wcześniej, niedługo przed...

- Przedtem, nim Clare zginęła zamiast mnie. - W głosie Dysarta zabrzmiała gorycz. - Zabrałem ją tam dla odprężenia w ostatni wieczór, bo potem mieliśmy się rzucić w wir kampanii wyborczej. Prawdę mówiąc - zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć - pamiętam nawet, jak chowała zapalki do torebki, by dać je Heather, która zbiera podobne rzeczy. Zażartowała, że to ona podarowała siostrze najcenniejsze eksponaty do kolekcji i stała się niewolnicą pasji Heather. - Po jego twarzy przemknął wyraz rozbawienia, szybko ustępując miejsca grymasowi żalu. - Ale co z tego? Z Ockletonem spotykam się, ilekroć odwiedzam Breakspear. To on mi powiedział, że Will znalazł się w nędzy. Tak się złożyło, że mogłem biedakowi zapewnić pracę i mieszkanie. Co do Rexa Cunninghama, prowadzi przyzwoitą restaurację: gdzie mógłbym znaleźć lepsze miejsce na kolację z Clare, skoro sama była absolwentką Breakspear?

Naraz coś mu wpadło w oko: zbiorowa fotografia z Commonweal School wisząca nad biurkiem. Zerwał się z miejsca, w dwóch krokach podszedł do

zdjęcia i przyjrzał się widocznym za szkłem szeregom chłopięcych twarzy.

- Zdjęcie z twojej szkoły, oczywiście. Ile miałeś lat w... jest tu gdzieś data?... czterdziestym ósmym?

- Trzyznaście.

- Aha, trzyznaście. Popatrzmy... Mam cię. Na końcu. Trzeci rząd, z samego tyłu - oznajmił po minucie czy dwóch uważnego badania.

- Jaką mam fryzurę?

- Fryzurę? Jesteś strasznie rozczochrany. Czemu pytasz?

- Popatrz na drugi koniec rzędu.

Sekundę później Dysart zachichotał, pojawił się chłopięcy figiel sprzed czterdziestu lat.

- Doskonale, Harry. Doskonale. Kiedy byłem w Oundle niektórzy koledzy też tak robili.

- Ale ty się do nich nie przyłączyłeś?

- Nie. - Odwrócił się od fotografii. - Chyba nie chciałbym się znajdować w dwóch miejscach równocześnie. Wydawało mi się to... trochę upiorne. Jakby cię prześladował twój własny duch. Jakby... - Roześmiał się z powagi myśli i wrócił do krzesła. - Tak czy inaczej, to zdjęcie ma tyle samo wspólnego z naszą sprawą, co Towarzystwo Tyrrella. Nie rozumiem, czemu Heather chciało się w tym grzebać. Wypadek samochodowy. Śmierć Ramseya Everetta. Dawne tragedie najlepiej zapomnieć.

- Też tego nie rozumiem. W przeciwieństwie do niej.

- Mówisz, że pojechała do Skein of Geese dziesiątego września. Została na kolacji?

- Tak.

- Sama?

- Nie. Towarzyszył jej doktor Kingdom.

- Naprawdę? Widziałeś się już z nim?

- Tak.

- I co o nim powiesz?

- Chłodny i z rezerwą od strony zawodowej, ale zdumiewająco łatwo daje się wyprowadzić z równowagi.

- Sądzisz, że coś ukrywa?

- Wiem, że tak jest. Pamiętam go. Spotkałem go w Lindos na pięć dni przed zniknięciem Heather.

Gdy Harry szczegółowo relacjonował okoliczności swego przypadkowego zetknięcia z Kingdomem w sklepie z pamiątkami Dysart słuchał uważnie. Potem jego spojrzenie znów powędrowało w stronę zdjęcia.

- Wiesz, Harry, kiedy spotkałem Kingdona wydał mi się zbyt opanowany, prawie nienaturalny. Teraz mam dowód, że się nie myliłem. Pokazuje się światu gładko przyczesany; ty go przyłapałeś z rozwianym włosiem. - Uśmiechnął się z posępną satysfakcją. - Co masz zamiar zrobić?

- Twierdzi, że od czwartego do czternastego listopada przebywał w Genewie, w Versorelli Institute. Znam kogoś, kto powinien ustalić dokładnie, kiedy Kingdom był w Genewie, a kiedy nie.

- Myślisz, że jedenastego go nie było, podobnie jak szóstego?

- Możliwe.

- Jedne odwiedziny u Heather pod wpływem impulsu wydają się niewinne - powiedział Dysart w zamyśleniu. - Psychiatra zainteresowany losami swojej dawnej pacjentki, tego rodzaju rzeczy. W tym, że ci o nich nie wspomniała, nie ma nic podejrzanego. Ale gdyby był nieobecny w Instytucie w dniu jej zniknięcia... to już inna sprawa. Jeśli uda ci się potwierdzić ten fakt, chcę o tym wiedzieć natychmiast. - Na jego twarzy malowała się powaga. - Skontaktujesz się ze mną, Harry? Bez względu na to, gdzie będę. Sprawa może mieć bardzo poważne konsekwencje.

- Dobrze. Dam ci znać.

Dysart znowu wstał z krzesła; tym razem stanął przy oknie i kontemlował widok, który zaspany wzrok Harry'ego napotykał każdego dnia przez całe dzie-

ciństwo. Podwórka i tylne ściany domów wychodzących na Bristol Street, za którymi majaczyły dachy warsztatów kolejowych: swojski krajobraz cegły i łupku, kominów i kłębiącego się dymu, denerwująco znajomy a równocześnie dziwnie drogi.

- Dowiedziałeś się jeszcze czegoś? - spytał Dysart, nie odwracając się od okna.

- Tak, jeszcze jednego.

Przynajmniej jedną więcej rzeczy może powiedzieć. To, co najbardziej chciałby wyznać - ostrzec tego mężczyznę, będącego jego najlepszym i najwierniejszym przyjacielem, że nie powinien ufać swojej żonie - przyrzekł zachować dla siebie.

- Byłeś w Skein of Geese od czasu, kiedy zabrałeś tam Clare w zeszłym roku?

- Nie.

- A rozmawiałeś z Rexem?

- Nie.

- Więc nie wiesz, co powiedział Heather o tamtej kolacji.

Dysart odwrócił się i spojrzał pytająco na Harry'ego.

- Co takiego?

- Zdaje się, że zaskoczył Clare na wpatrywaniu się z miłością w zdjęcie jakiegoś mężczyzny, kiedy ty na chwilę odszedłeś od stołu. Rozpoznał na nim kolejnego członka Towarzystwa Tyrrella: Jacka Corneliusa.

Uniesienie brwi było jedynym objawem zdumienia, na jaki pozwolił sobie Dysart.

- Jacka Corneliusa?

- Tak. Zastanawiałem się, czy to ty ich sobie przedstawiłeś.

- No cóż, możliwe, że poznali się przeze mnie. Zaprosiłem Jacka na parę przyjęć, na których Clare mogła być obecna, ale nawet jeśli...

- Heather chyba uznała to za potwierdzenie swoich podejrzeń co do roli Towarzystwa Tyrrella.

Dysart uniósł brwi ze zdumienia.

- Nic z tego nie rozumiem. Towarzystwo stanowiło w Breakspear jeden z tuzina klubów, w których dwadzieścia lat temu jadło się i piło. Przyciągało ludzi o zbliżonych zainteresowaniach i pochodzeniu. Nic dziwnego, że ci ludzie obracają się nadal w tych samych kręgach. Istnieje, co prawda, możliwość, że Clare nawiązała romans z Cornelusem, ale - choć świadczy to nie najlepiej o mojej zdolności obserwacji - ja nic nie zauważyłem. Równie możliwe, że Rex zbyt szybko wyciągnął daleko idące wnioski: zawsze miał ku temu skłonności. Tak czy inaczej, nic z tego nie wynika. Clare nie była z nikim związana. A jeśli Heather sądziła, że w związku siostry z Jackiem Cornelusem jest coś podejrzanego, zakładając, że taki związek w ogóle istniał, dlaczego nigdy mnie nie zapytała, czy wiem o jego istnieniu?

- Bo ty też byłeś członkiem Towarzystwa Tyrrella.

- Ach tak, prawda. - Dysart przysiadł w nogach łóżka. - A ty podzielasz obsesję Heather związaną z tym dawno zapomnianym klubem studenckim?

- Nie, chyba że chodziło jej o to, iż Towarzystwo wywiera zgubny wpływ na ludzi. Ramsey Everett. Wypadek samochodowy. Potem jej siostra.

Dysart skinął głową. Przez chwilę rozważał jego słowa, po czym stwierdził:

- Można by sądzić, że jej wyzdrowienie nie było tak całkowite, jak mieliśmy nadzieję.

- Tak. Można by tak sądzić.

- Trudno znaleźć dla Clare mniej prawdopodobny obiekt uczuć. - Dysart pokręcił głową. - Zawsze miał w sobie coś z mizoginisty. Jednak może nawet tacy ludzie zmieniają czasami zdanie. Ten jego stalowy irlandzki wdzięk bez wątpienia robił wrażenie na niektórych kobietach. Może Clare do nich należała. Ale to tylko możliwość, nic więcej. - Podniósł wzrok na Harry'ego. - Jak sądzisz, co zrobiła Heather, kiedy Rex podsunął jej tę myśl?

- Wyobrażam sobie, że zobaczyła się z Cornelusem.

- Masz zamiar zrobić to samo?

- Tak. Kiedy tylko się dowiem, gdzie uczy.

Dysart uśmiechnął się.

- Hurstdown Abbey niedaleko Taunton. To katolicka szkoła z internatem przy klasztorze benedyktynów. Bardzo ekskluzywna i bardzo droga. Może niezupełnie Eton czy Harrow pokropione wodą święconą, ale niewiele brakuje. Jack musi tam pracować od co najmniej dziesięciu lat. Uczy historii i jest trenerem rugby: to jego dwie wielkie pasje.

- Dobrze go znasz?

- Kiedyś znałem, oczywiście. Po skończeniu Oksfordu pojechał do Irlandii. Był w Belfaście, kiedy wybuchły zamieszki, potem, jak słyszałem, wyjechał do Włoch. Następnie trafił znowu do Hurstdown. Zwabił mnie tam parę lat temu, żebym zrobił szóstej klasie wykład na temat kwestii irlandzkiej. Zdawał się w swoim żywiole, chociaż mnie ciarki chodziły po plecach na widok tych wszystkich mnichów snujących się tu i tam. Dziwiło mnie, że czuje się tam tak dobrze.

- Dlaczego?

- Był w nowicjacie, jeszcze w Irlandii, przed przyjazdem do Oksfordu. W Breakspear był starszy niż pozostali; przez kilka lat próbował drogi powołania religijnego, zanim ją porzucił na rzecz nauczania. Zawsze wyrażał się o klasztornych doświadczeniach z taką goryczą, że zdawało się niezrozumiałe, czemu zdecydował się pracować wśród mnichów w Hurstdown. No, ale czas leczy rany, prawda? - W tym wypadku Harry mocno w to powątpiewał. - Tak. Jedź tam i spotkaj się z nim, Harry. Jeśli Heather rzeczywiście do niego dotarła, musimy wiedzieć, co jej powiedział. Skontaktowałbym się z nim osobiście, ale...

Harry'ego dopadł kolejny atak kichania. Tym razem udało mu się uniknąć napadu kaszlu. Dysart uśmiechał się współczująco, kiedy Harry wyrzucał do kosza przy łóżku pęk wilgotnych chusteczek i sięgał po garść nowych do pudełka.

- Chyba powinieneś trochę odpocząć.

- Czuję się całkiem dobrze, słowo. - Ale zakatarzony i schrypnięty głos przekonał nawet jego samego, że to nieprawda.

- Kiedy rzeczywiście poczujesz się lepiej odwiedź Corneliusa... i daj mi znać, jak się czegoś dowiesz o Kingdomie. Tymczasem...

Podszedł do biurka i pochylił się nad nim. Wyjął coś z kieszeni marynarki. Zaczął coś pisać.

- Co robisz?

- Upierasz się, że ci nie trzeba pieniędzy, ale wcale ci nie wierzę. Jestem równie jak ty zainteresowany tym, co zdołasz odkryć na temat stanu umysłu Heather, więc powinienem wziąć na siebie część wydatków. Już samo Skein of Geese nie było tanie...

- Fakt, ale...

- Ty masz czas, ja mam pieniądze - Dysart odwrócił się od biurka z szerokim uśmiechem - więc się ze mną nie spieraj. - Wsunął czek pod podstawkę lampy przy łóżku. - Poza tym stawiam pewien warunek, więc nie traktuj tego jako prezentu.

- Jaki warunek?

- Kiedy tylko znajdziesz najdrobniejszy ślad sugerujący, że Heather żyje, kiedy tylko się dowiesz, gdzie się znajduje, albo że grozi jej niebezpieczeństwo, natychmiast się do mnie odezwij. Zgoda?

Wydawało się, że to najmniejsze, co Harry może obiecać.

- Dobrze - powiedział ze znużeniem. - Zgoda.

- Niewykluczone, że życie dziewczyny zależy od naszych wysiłków, więc nie możemy jej zawieść.

- Nie mam zamiaru.

Dopiero teraz spojrzał na czek. Tysiąc funtów. Nie potrzebował aż tyle, ale nie będzie miał kłopotu z ich wydaniem. Zastanowił się, jaka jest różnica między przyjęciem tych pieniędzy i zaakceptowaniem łapówki, którą oferował mu Minter. Zdawałoby się - żadna, ale Harry wiedział, że to nieprawda. Dar Dysarta był gestem przyjaźni, Mintera - próbą przekupstwa.

- I jeszcze ostatnia rzecz, zanim sobie pójdę...

- Tak?

- Ta fotografia, którą Rex Cunningham podobno widział u Clare: zdjęcie Jacka Corneliusa. Nie przywiązuj do niego zbyt wielkiej wagi.

Dysart stał, nie wiedząc o tym, kilkadziesiąt centymetrów od zdjęć zrobionych przez Heather, zdjęć, na których Harry był zdecydowany polegać, gdyby wszystko inne zawiodło.

- Jak powinienesz wiedzieć z własnego doświadczenia - zerknął na oprawione zdjęcie uczniów Commonweal School, rocznik 1948 - twierdzenie, że fotografia nie kłamie jest złudne. Naturalnie nie kłamie ona wprost, ale często sugeruje nieprawdę. Aparat widzi wszystko i nic nie rozumie. - Spojrzał na Harry'ego i uśmiechnął się. - Więc posłuchaj mojej rady i nie wierz we wszystko, co ci podsuwa.

Następnego dnia po odwiedzinach Dysarta Harry poczuł się wyraźnie lepiej. We wtorek mógł wyjść po raz pierwszy, odkąd wrócił do domu z początkami choroby w czwartek późnym wieczorem. Wyprawa do Glue Pot Inn przekonała go, że chociaż prześladuje go gwałtowny kaszel i szybko się męczy, jest znowu sobą.

W środę, schowawszy dumę do kieszeni, zrealizował czek od Dysarta, a za większą część gotówki, którą przywiózł z Rodos, wynajął samochód. Dzięki doświadczeniu zdobytemu w Barnchase Motors wiedział, co sądzić o zachwalaniach sprzedawcy z Sapphire Garage, „najlepszej firmy w Wiltshire wynajmującej doskonale samochody po umiarkowanych cenach”. Vauxhall viva przemalowany na wściekle pomarańczowy kolor dla ukrycia niezliczonych śladów rdzy, rekomendowany jako „solidny i niezawodny wóz”, zdaniem Harry'ego przypominał raczej bliską śmierci kaczkę. Jednak z dwustu pięćdziesięcioma funtami nie mógł sobie pozwolić na kręcenie nosem. Uznał, że samochód dowiezie go tam, gdzie będzie chciał - przynajmniej przez kilka tygodni.

Wracając do domu swoim nowym nabytkiem - zaraz się okazało, że pierwszy

bieg trudno wrzucić - powtarzał sobie argumenty przemawiające za kupnem samochodu. Swoboda poruszania się. Wygoda. Dyspozycyjność. Następnego dnia miał je docenić w pełni, jadąc do Hurstdown Abbey. Istniał naturalnie jeszcze jeden powód, ale Harry nie chciał przyznać nawet przed sobą, że odegrał on jakąkolwiek rolę przy podejmowaniu decyzji. W samochodzie był bezpieczny od mężczyzny z pociągu i jego pogroźek. Nareszcie się go pozbędzie. A jednak upierał się, że nie miało to nic do rzeczy. Absolutnie nic.

XXXI

Harry wyłączył silnik i opuścił szybę. Potem wyjął fotografie i przejrzał je aż do dziewiątej w kolekcji Heather. Podobieństwo było całkowite. Hurstdown Abbey, w miniaturze na błyszczącym papierze i w szarej zimowej rzeczywistości, leżało przed nim. Wsiadł z samochodu, zatrzasnął drzwiczki i oparł się o nie, chłonąc wzrokiem i wyobraźnią szkołę i jej otoczenie.

Wieś Hurstdown stanowiła luźne skupisko szarych budynków rozrzuconych po obu stronach głównej drogi z Taunton do Williton. Pub, poczta, warsztat samochodowy, pomnik ofiar wojny, koryto dla koni pełne śmieci i kościół anglikański, którego rozmiary i proporcje bardziej pasowałyby do kaplicy nonkonformistów¹⁰. Miejscowość nie miała w sobie nic pociągającego. Przyczyn nie trzeba było szukać daleko. Hurstdown Abbey, strzelista świątynia w stylu wiktoriańskiego gotyku, wznosiła się nad osadą wspaniała i wyniosła, zmuszając wszystko inne, by przypadło do jej stóp na znak poddania. Wokół niej zgromadziły się krużganki, dziedzińce, refektoria, dormitoria i boiska sięgające aż do łagodnych stoków Quantock Hills. Wysokie mury i blanki zdawały się głosić, że w tym miejscu doczesna potęga Kościoła nie jest odległym wspomnieniem, ale teraźniejszością.

Harry przeszedł na drugą stronę szosy, minął zabytkową ostrołukową bramę i

¹⁰ Nonkonformiści - sekty nie uznające zwierzchności Kościoła anglikańskiego.

ruszył podjazdem w stronę szkoły. To, co wziął na fotografii za cegłę, okazało się ciemnoczerwonym kamieniem z Quantock, użytym do budowy opactwa i otaczających je budynków. Ponury koloryt budowli, przygnębiająca pogoda, ciężka architektura i buki porastające okoliczne pola składały się na atmosferę, która przytłoczyła go od pierwszej chwili. Miał wrażenie, że ugina się pod brzemieniem mrocznej historii opactwa.

Po jakichś stu metrach podjazd się rozwidłał; jedna odnoga prowadziła do budynku szkolnego, druga rozszerzała się w dziedziniec, gdzie po obu stronach głównego wejścia parkowały samochody. Harry zamierzał początkowo dotrzeć do Corneliusa przez sekretarkę albo administratora. Celowo przyjechał wczesnym popołudniem, licząc, że w porze obiadowej zastanie personel wolny od zajęć. Jednak gdy znalazł się u celu, nabrał niechęci do spotkania się z pracownikami tej zadufanej w siebie instytucji na ich własnym terenie i na ich warunkach. Przeszedł z wahaniem dziedziniec, niepewny, co robić dalej.

Wtedy zobaczył - czy raczej usłyszał, bo stukot butów na kamiennych płytach pierwszy przyciągnął jego uwagę - grupę chłopców w strojach do gry, zmierzających krytym przejściem, które łączyło dziedziniec z boiskiem położonym za budynkiem szkoły. Idąc w ich kierunku przypomniał sobie słowa Dysarta, że rugby to jedna z „dwóch pasji” Corneliusa. Wątpił, by uczniowie wracali z meczu piłki nożnej - młodzi dżentelmeni z Hurstdown na pewno mieli w pogardzie tak plebejskie gry - a chłopiec zamykający pochód, starszy i wyższy niż pozostali i najwyraźniej za nich odpowiedzialny, chyba przyciskał do piersi piłkę do rugby. Harry stanął mu na drodze i najniewinniej, jak potrafił, zapytał, czy pan Cornelius jest gdzieś w pobliżu.

- Tak, proszę pana. Znajdzie go pan na boisku do treningów. - A spostrzegłszy niepewne spojrzenie Harry'ego, dodał: - Wynne-Thomas z przyjemnością pana zaprowadzi. Wynne-Thomas!

Przewodnikiem Harry'ego został drobny jasnowłosy chłopiec, któremu pomarańczowa koszulka sięgała niemal po kolana. Prowadził go przez labirynt

ścieżek, potem po schodach i przez nieskończoną, zdawałoby się, płaszczyznę równo przystrzyżonych boisk do rugby i hokeja wznoszących się amfiteatralnie na zboczu wzgórza.

- Pan Cornelius jest tam. - Wynne-Thomas wskazał dwóch mężczyzn stojących na najbliższym boisku. Jeden był wysoki i siwowłosy, chudy, ale szeroki w ramionach, w obszernym swetrze opadającym na workowate spodnie. Drugim był robotnik w drelichach obsługujący maszynę do malowania linii. Debatowali właśnie nad precyzją wytyczenia jednej z nich. Wynne-Thomas uznał, że nie ma potrzeby wyjaśniać, który to pan Cornelius.

- Coś jeszcze, proszę pana?

- Już nic. - Harry nie mógł powstrzymać uśmiechu w odpowiedzi na przesadną uprzejmość chłopca. - Dziękuję.

Korciło go, by dodać: „Możesz już zmykać”, ale się powstrzymał. Zresztą i tak nie miało to większego znaczenia. Wynne-Thomas zemknął co sił.

Zbliżając się do mężczyzn, nieświadomych jego obecności, korzystał z okazji i obserwował ich ukradkiem. Dysart wspominał, że Cornelius był starszy niż pozostali studenci w Breakspear; mężczyzna rzeczywiście wyglądał na bliższego pięćdziesiątki niż czterdziestki. Niepo-rządne stalowoszare włosy okalały chudą twarz o wysokich kościach policzkowych, a krzaczaste brwi i haczykowaty nos dodawały Corneliusowi odrobinę drapieźności, mimo swobodnego uśmiechu malującego się na twarzy. Silny fizycznie i inteligentny, osądził Harry; typ antycznego sportowca i akademik-patrycjusz zarazem, z dodatkiem odrobiny czegoś diabolicznego, co warzyło tę mieszankę.

To Cornelius pierwszy spostrzegł Harry'ego, dając dowód swej czujności. Odwrócił się od rozmówcy i uśmiechnął cierpko na powitanie. Potem, nim jeszcze Harry zdążył się odezwać, oznajmił:

- To pan musi być Harry Barnett.

W mgnieniu oka role się odwróciły. Harry padł ofiarą zaskoczenia, którym chciał się posłużyć do własnych celów.

- Tak, to ja - wyjąkał. - Ale...

- Alan Dysart dzwonił do mnie parę dni temu. - Cornelius potrząsnął ręką Harry'ego. Uścisk był mocny i zdecydowany. - Zawiadomił, że zamierza mi pan złożyć wizytę. - Życzliwość i nienaganną formę tej wypowiedzi psuł jedynie lekki irlandzki akcent, nadający jej pewną sztuczność mimo serdeczności tonu. Harry wyczuł jakąś surowość, ostrość, niemal bezwzględność ukrytą pod warstwą ogłady. - Niezasłużenie mam opinię szorstkiego, panie Barnett. Najwyraźniej Alan chciał przetrzeć panu drogę.

Przecież Dysart nie wspominał, że zamierza zrobić coś podobnego. Harry przez chwilę nie był pewien. A może to choroba pogorszyła mu pamięć?

- Powiedział panu, w jakiej sprawie przyjadę?

- W sprawie Heather Mallender. - Żadnych wykrętów, żadnych uników. - Mogę panu poświęcić pół godziny, potem muszę być w refektorium. Co pan na to, żebyśmy poszli do mojego pokoju?

Bez dalszej zwłoki ruszył w kierunku szkoły. Harry z trudem usiłował dotrzymać mu kroku.

- Czytałem o jej zniknięciu, oczywiście, i roli, jaką pan odegrał. Cały incydent postawił Alana w bardzo trudnym położeniu. Dziennikarzom nie udało się znaleźć nic, co można by wykorzystać przeciw niemu, ale mimo to jego kariera w pewien sposób zawisła w próżni.

Niespodziewanie zadyszka wywołała u Harry'ego napad kaszlu. Zatrzymał się i czekał, aż atak minie. Odniósł wrażenie, że Cornelius obserwuje go czujnie; przeszywające spojrzenie ślizgało się po nim, wyszukując mocne i słabe punkty, wszystkie cechy charakteru, które mógłby wykorzystać przeciwnik.

- Nie brzmi to dobrze - orzekł sucho Cornelius, kiedy kaszel ustąpił.

- Niedawno chorowałem na grypę - wysapał Harry.

- Może nie powinien się pan jeszcze forsować.

Harry spojrzał na niego; wydawało mu się, że dostrzegł, co przebija spod powierzchni gładkich zdań. Pogarda niczym stalowy szew łączący słowa i ich

znaczenia, pogarda człowieka świadomego swojej siły wobec kogoś, kto najwyraźniej swojej nie zna.

- Trzeba zdawać sobie sprawę z własnych ograniczeń, nie sądzi pan? Lepiej nie brać się do rzeczy, które przekraczają nasze możliwości. - Tym razem Harry był pewien, że Corneliusowi chodzi o coś więcej niż czas, jaki mężczyzna w średnim wieku powinien poświęcić na rekonwalescencję. - Jeśli już można, chodźmy.

Zeszli po schodach, bocznymi drzwiami weszli do budynku szkolnego i ruszyli przez korytarze i przejścia, w których tłoczyły się gromadki ruchliwych chłopców w purpurowych blezerach. Na ich twarzach, gdy patrzyli na Corneliusa, Harry nie widział przywiązania ani wrogości, ale coś, czego nigdy nie przyszłoby mu do głowy łączyć z młodym wiekiem: lękliwy podziw. Dla każdego z tych uczniów Jack Cornelius musiał być diabłem albo bogiem. Świadomość tego faktu zachwiała pewnością Harry'ego. Kogo właściwie próbuje oszukać? Nie zdoła przechytryć tego człowieka.

Szerokie schody prowadziły w dół, na cichy, wykładany boazerią korytarz. Uczniowie najwyraźniej nie mieli tutaj wstępu. Jedyne twarze, jakie Harry tu napotykał, należały do dawno zmarłych opatów spoglądających groźnie z pociemniałych obrazów. Cornelius prowadził go w stronę ciężkich dębowych drzwi z napisem: „Doradca w sprawach kariery”. Otworzył je i usunął się na bok, przepuszczając Harry'ego przodem.

- „Doradca w sprawach kariery”, co za idiotyczny tytuł, prawda? - powiedział. - Tak jakbym mógł w jakiś sposób zdecydować za nich, co mają robić po skończeniu szkoły.

Harry przypomniał sobie twarze mijanych chłopców.

- Może myślą, że pan to potrafi.

Ale Cornelius tylko uśmiechnął się tajemniczo. Nie dał się sprowokować.

Pokój był duży, urządzone jak prywatny gabinet wykształconego człowieka: mahoniowe biurko, krzesła i regały wyglądające na ręcznie robione, gobelin po-

krywający jedną ze ścian, kilka obrazów w ozdobnych ramach, szeslong, parę foteli. Wysokie okna poprzedzielane kamiennymi słupkami wychodziły na podwórzec, który Harry minął wcześniej. Górne szyby były purpurowe i złote, w barwach szkoły.

- Zwykle przed obiadem wypijam kieliszek sherry - powiedział Cornelius. - Napije się pan ze mną?

Harry usłyszał, jak się zgadza, chociaż nie znosił sherry. Włożono mu do ręki kieliszek, podsunęto krzesło i niespodziewanie siedział przy oknie naprzeciw Corneliusa, zupełnie jak jakiś szóstoklasista proszący o radę, czy wybrać się na studia do Oksfordu albo Cambridge, czy raczej wstąpić do Gwardii.

- Pozwoli pan, że oszczędzę mu wysiłku. Heather Mallender odwiedziła mnie tutaj w niedzielę osiemnastego września. Tak jak pan, chciała się dowiedzieć, jakie związki łączyły mnie z jej zmarłą siostrą. Odpowiedziałem, podobnie jak z przyjemnością mówię to teraz panu, że spotkałem Clare Mallender trzy czy cztery razy, zawsze w towarzystwie osób trzecich. Przyjęcia, na które zapraszał mnie Alan Dysart i konferencja dydaktyczna, w której oboje uczestniczyliśmy. Zналиśmy się przelotnie, to wszystko.

W głosie Corneliusa nie było śladu fałszu, a mimo to Harry nie wierzył ani jednemu słowu.

- Heather zdawała się równie sceptyczna jak pan. Rex Cunningham powiedział jej, że widział u Clare moje zdjęcie, co go upewniło o naszych bliskich stosunkach. No cóż, drogi Rex kłamał albo się pomylił. Nie istniała żadna przyjaźń. Nie mogę twierdzić z całą pewnością, że Clare nie miała mojej fotografii, ale zapewniam: nie było powodu, by taką fotografię nosiła ze sobą.

Proste, jak może być tylko kłamstwo w żywe oczy. Ale jednocześnie nie można było go podać w wątpliwość. Cornelius miał zbyt wiele doświadczenia, by okazać po sobie zadowolenie, ale było ono wyczuwalne: nie dał się złapać. Heather nic z niego nie wydobyła; Harry czuł, że jemu też się nie uda.

- Więc zaprzecza pan temu, co mówi Rex Cunningham? - spytał niezręcznie.

- Nie - odparł Cornelius z uśmiechem. - Rex mógł zarówno działać w dobrej wierze, jak kłamać. Nie ośmieliłbym się osądzać, z czym mamy do czynienia w tym wypadku.

- Nie rozmawiał pan z nim na ten temat?

- A po co? Nie zmieniłby zdania bez względu na to, co bym powiedział.

- Ale jeśli to nie jest prawda...

- Nie jest, może mi pan wierzyć. Poza tym... - Spojrzał za okno, jakby roztrząsając jakiś problem filozoficzny. - Poza tym przyszło mi do głowy, że Rex mógł świadomie wprowadzić Heather w błąd, chcąc przed nią ukryć związki łączące Clare i jego samego.

Pomysł wydawał się zupełnie niedorzeczny, ale - jak podejrzewał Harry - o to właśnie chodziło. Cornelius dawał do zrozumienia - tak jasno, jak tylko mógł - że jeśli będzie musiał, potrafi wymyślić tuzin teorii i na zawsze ukryć za nimi prawdę - jakakolwiek by była.

- Czy to wszystko, czego się chciała dowiedzieć Heather? - zapytał Harry, słysząc we własnym głosie nutę desperacji.

- Nie. - Cornelius uniósł brwi na znak, że wie, iż Harry spodziewał się całkiem innej odpowiedzi. - Prosiła też, bym jej opowiedział o zdarzeniach poprzedzających wypadek samochodowy z maja sześćdziesiątego ósmego, w którym biedny Will Morpurgo doznał uszkodzenia mózgu. - Wyglądało na to, że szczerść stanowiła jeden więcej środek w arsenale biegłego kłamcy. - Zna pan tę smutną historię, panie Barnett?

- Tak, znam.

Cornelius, który zainicjował ów pechowy wyjazd do Burford i który został na miejscu, gdy inni wracali do Oksfordu, dwadzieścia lat później siedział przed Harrym z uśmiechem, w którym szczerść mieszała się z jawnym fałszem. Ockleton opowiadał o nim, że „stał się sentymentalny, jak tylko pijany Irlandczyk potrafi”. Harry, patrząc teraz na pooraną zmarszczkami, inteligentną twarz, stanowiącą całkowite przeciwieństwo tamtego opisu, skłonny był raczej uwierzyć,

że Cornelius ukartował całe zdarzenie, doskonale przekonującą szaradę, i osiągnął zamierzony cel.

- Miał pan wtedy ogromne szczęście, prawda? - spytał z wahaniem. - To znaczy, że nie wracał pan z nimi.

- Też byłem pijany, panie Barnett. My, Irlandczycy, słyniemy z obu tych rzeczy.

Pijany? Harry miał wrażenie, że ten człowiek nie upił się nigdy w życiu. Za bardzo kontrolował swoje myśli, by pozwolić alkoholowi je zdradzić.

- Jak pan sądzi, dlaczego Heather interesowała się tak odległymi wydarzeniami?

- Jej zdaniem mogły mieć związek ze śmiercią Clare. Nie mam pojęcia, skąd jej przyszło do głowy takie dziwaczne przypuszczenie, ale nie chciałem rozwiewać tych złudzeń, więc powiedziałem, co wiem. Podziękowała... i pożegnała się.

Czy Heather rzeczywiście odeszła tak spokojnie? Uśmiech Corneliusa, który dosięgnął Harry'ego poprzez smugę przymglonego światła padającego między nimi na podłogę, połyskiwał niczym przynęta na haczyku. Niczego się nie dowiesz, mówił, aż będzie za późno, byś mógł to wykorzystać. O wiele za późno.

- Jest pan historykiem, jak słyszałem. Dlaczego, pana zdaniem, Heather tak bardzo się interesowała tym okresem odległej historii?

Uśmiech stał się szerszy.

- O który okres panu chodzi? O Waltera Tyrrella? Rebelię w Burford? Czy po prostu wypadek samochodowy z siedemnastego maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego?

Zdrada - motyw, który pierwszy raz przyszedł Harry'emu do głowy w Burford - powróciła jako ogniwo łączące wszystkie rozrzucone w czasie wydarzenia odkryte przez Heather Mallender. Strzała na polowaniu. Kłamstwo na poświęconej ziemi. Pchnięcie w ciemności. Śmiech pijanych głupców. I jeden człowiek mądrzejszy od pozostałych. Wiejska szosa mokra po deszczu. Pisk opon i ludzkie

przerażenie. Żadnych śladów hamowania. Żadnych poszlak, dowodów. Chyba że Heather coś odkryła.

- Ściśle biorąc - odezwał się, wkraczając ostrożnie na zdrażliwy obszar, przed którym ostrzegały go wszystkie zmysły - chodziło mi o defenestrację. Nie tę słynną, praską, ale inną, nie tak odległą w czasie.

Suchy śmieszek dowodził, że Harry wykazał większą subtelność, niż się Cornelius spodziewał.

- Jestem pod wrażeniem pańskiej znajomości historii, panie Barnett. Być może rozumie pan, w przeciwieństwie do wielu ludzi, iż przeszłość nie tylko zawsze nam towarzyszy, ale jest nami, stanowi przyczynę i kontekst każdego naszego czynu. To, co robimy, jest pochodną tego, w co wierzyliśmy przed minutą, rokiem czy stuleciem. Zgodzisz się pan ze mną?

Anthony Sedley. Więzień. Więzień przeszłości. Czy dlatego Cornelius zwabił ich do Burford tamtego dnia? Żeby wskazać morał? A może by zdradzić zaufanie?

- Tak.

- Czy w takim razie zechciałby mi pan pomóc w drobnej kwestii metodologicznej?

- Słucham?

- Co panu pozwala twierdzić z taką pewnością, że Heather Mallender odwiedziła mnie tutaj?

- Wydawało się prawdopodobne...

- Mówimy o pewności, nie prawdopodobieństwie!

Głos Corneliusa zabrzmiał nagle ostro, jak gdyby odkrył w wypracowaniu swego ucznia błędy logiczne.

- Pan nie wydedukował, że Heather tutaj przyszła. Pan to wiedział z całą pewnością. To dla mnie oczywiste. Pytanie brzmi: skąd?

Harry nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Żadne kłamstwo nie mogło go wesprzeć w walce z takim mistrzem, a prawda - jedyne, co mogło mu dać prze-

wagę - musiała pozostać ukryta. Poczul zmieszanie pod nieustępliwym spojrzeniem Corneliusa, niepewny, czy się nie zdradził, dotykając kieszeni dla sprawdzenia, czy fotografie nadal się w niej znajdują. Naturalnie Cornelius nie miał podstaw, by podejrzewać ich istnienie, a jednak... Nagle ktoś zapukał do drzwi. Harry z ulgą odwrócił wzrok. Jakiś chłopiec - sądząc po wyglądzie z ostatniej klasy - zajrzał nerwowo do pokoju.

- Och, przepraszam. Myślałem, że jest pan sam.

- O co chodzi, Appleby?

- No więc, chciałem porozmawiać o seminarium greckim w tym tygodniu.

- Hm. - Głos Corneliusa złagodniał. - Dobrze. Poczekaj na zewnątrz. Zaraz cię zawołam. Pan Barnett i ja już kończymy.

- Dziękuję.

Appleby zniknął.

- Chyba się nie mylę? - spytał Cornelius, kiedy drzwi trzasnęły. - Nie pozostało nam nic więcej do omówienia?

Przed chwilą trzymał Harry'ego zdanego na swoją łaskę. Teraz pozbywał się go z przyjemnością, wyrzucał do wody niczym zdobycz nie wartą zatrzymania.

- Nie, chyba nie.

Harry podniósł się z krzesła. Nie chciał, by sposobność ucieczki minęła bezpowrotnie. W tej chwili niczego nie pragnął goręcej, niż umknąć przed przesywającymi spojrzeniami i drobiazgowymi pytaniami tego człowieka. Dopiero gdy przeszedł większą część pokoju zaświtało mu znaczenie tego, co właśnie usłyszał.

- Chwileczkę! Sądziłem, że uczy pan historii?

- To prawda - odparł Cornelius, zatrzymując się i odwracając twarzą do niego.

- I greki też?

- Klasycznej greki. Paru szczególnie zainteresowanych uczniów. Niewielu jest takich. Benedyktyńskie korzenie Hurstdown sprawiają, że bardziej zależy nam na nauczaniu języka zachodniego katolicyzmu niż języka Kościoła orto-

doksyjnego. Ale co roku jeden czy dwóch chłopców przystępujących do egzaminu z filologii klasycznej uczy się greki.

- I pan potrafi im pomóc?

- Tak, tak się składa.

Napis na ścianie. Nazwisko na kopercie. Zdanie wypowiedziane przez mężczyznę w pociągu. Wreszcie nabierały sensu. Nareszcie ostrzeżenia wskazywały na swoje źródło.

- Więc znajomość greki okazuje się przydatna?

- Od czasu do czasu. - Cornelius uśmiechnął się i wyciągnął rękę, by otworzyć drzwi. - Może mi pan wierzyć, greka ma swoje zastosowania.

XXXII

Rose and Crown w Hurstdown gotowała swoim klientom lodowate przyjęcie. Okolice kominka zmonopolizowało rozgadane towarzystwo, które Harry zidentyfikował jako świeckich nauczycieli szkoły: tweed, skórzane łąty, pułkowe krawaty i jazgotliwa wymowa. Przy drugim końcu baru dwóch czy trzech robotników rolnych cicho wymieniało smętne uwagi. Harry zajął miejsce gdzieś w połowie zmrożonej ziemi niczyjej, zamówił pintę piwa i wyciągnął z kieszeni dziewiątą fotografię.

- Interesuję się architekturą sakralną. Przyjaciel polecił mi ten kościół. - Pokazał zdjęcie barmanowi. - Nie wie pan przypadkiem, czy to daleko stąd?

Wyraz twarzy mężczyzny sugerował, iż wierzy w zainteresowania Harry'ego w takim stopniu, jak w to, że sam jest przebrany inspektorem urzędu miar i wag. Patrzył na fotografię może z pół sekundy.

- Bo ja wiem... - odparł.

- Naprawdę pan nie wie?

Kolejne spojrzenie, trwające tym razem prawie trzy sekundy. Ostentacyjne prychnięcie.

- Wygląda na Flaxford. Najbliższa wieś na północ stąd. Będzie z pięć kilometrów. Na skrzyżowaniu w lewo. Trudno przegapić tablicę.

Cisza sączyła się z pól porośniętych wrzosem i zeszywniałych drzew, kiedy Harry wysiadał z samochodu przed kościołem we Flaxford. Kościół leżał w odległości jakiegoś kilometra od wioski i równie daleko od skrzyżowania z główną drogą. W zimnej wilgotnej niecce, w której go zbudowano, posępny ciemnoczerwony kamień pociemniał jeszcze bardziej. Z powodu swego otoczenia wysoka, potężna wieża - spiętrzone kondygnacje ozdobiono maswerkami, blendami, przyporami i pinaklami - zdawała się absurdalnie nieproporcjonalna; Harry sądził niemal, że ulega złudzeniu optycznemu. Dopiero fotografia upewniła go, iż tak jest naprawdę.

Minął bramę cmentarza i ruszył krótką zwirowaną alejką w stronę kruchty. Poprzechylane nagrobki ukryte w bujnej trawie. Inskrypcje zarośnięte mchem. Celtyckie krzyże wygładzone przez czas i pogodę. Zdawało się, że nie ma tu nic niezwykłego. Wszystko wyglądało podobnie jak na setkach innych zaniedbanych wiejskich dziedzińców kościelnych: zima otaczała zmarłych i zapomnianych. Nacisnął klamkę ciężkich, nabijanych żelazem drzwi i otworzył je pchnięciem.

W środku zapach wilgoci walczył o lepsze z wonią wosku do podłóg, ciemność przeszywały słupy światła wpadające przez ostrołukowe okna. Dzwonnica, chrzcielnica, nawa boczna. Ławki, ambona, tęcza. Chór, organy, ołtarz. Gdzie kryje się wskazówka, gdzie jest klucz? Kurz. I kroki Harry'ego rozbrzmiewające echem na nierównych płytach. Ciężki aksamit. Ciepłe drewno. Połyskliwy metal. Heather wydawała się daleka. A jednak... Anthony Sedley. Więzień. Czy to mysz skrobie na chórze? Czy inny więzień żłobi swoje imię dla potomnych?

Na stoliku przy drzwiach leżały rozłożone ulotki na temat misji, przewodniki z historii kościoła, pocztówki-cegiełki na remont wieży i księga pamiątkowa, otwarta i spięta gumową opaską, z długopisem na sznurku. Harry z nagłym zainteresowaniem odsunął taśmę i zaczął kartkować strony wstecz. Heather była tu osiemnastego września. Wiedział o tym od Corneliusa. Wiedział, bo Heather

sama udzieliła mu wskazówek. Każdą stronę podzielono na cztery kolumny z nagłówkami: data, nazwisko, adres, uwagi. Przesunął palcem po datach. 15 września. 16. Jest. Notatka skreślona znajomym charakterem pisma. „18 września 1988. Heather Mallender. Sabre Rise, Portesham, Dorset. Nie spotkałam żadnych duchów, nawet ducha tej, która pozostawiła tu swoje imię”. Ta, która pozostawiła swoje imię. Jakiś instynkt kazał Heather przyjechać tu z Hurstdown, instynkt, który podpowiedział jej, gdzie znajdzie argument przeciw zaprzeczeniom Corneliusa. Gdyby Clare rzeczywiście była dla niego „przelotną znajomością”, nigdy nie odwiedziłaby Hurstdown, nie mówiąc o Flaxford. Nie miałaby powodu tu przyjeżdżać. Ani zostawiać swojego imienia.

Kościół, jak się zdawało, nie przyciągał wielu zwiedzających; w ciągu osiemnastu miesięcy zostało zapisanych tylko sześć stron. Harry nie wiedział, dlaczego spojrzał najpierw na datę 16 maja 1987 - tyle tylko, że Clare i Dysart jedli tego dnia kolację w Skein of Geese, co stanowiło równie dobry punkt wyjścia, jak każdy inny. Tym razem wybrał kolumnę, w której podawano nazwiska, nie daty. Na dole pierwszej strony znalazł to, co Heather odkryła już przed nim.

„22 maja 1987. Clare Mallender. Londyn”. To wszystko. Żadnego komentarza. Żadnych zachwytów nad witrażami. Żadnego przesłania zza grobu. Tylko data, nazwisko, miejscowość - i dowód, że Cornelius kłamał.

XXXIII

Dziwny amalgamat domysłów, natchnienia i logiki, niczym jakieś niesamowite zapewnienie z ust samej Heather, przekonywał Harry'ego, że jedenasta fotografia musiała zostać zrobiona gdzieś niedaleko. Z pewnością dziewczyna nie opuściła Flaxford, nie szukając dalszych dowodów obecności Clare w tym miejscu. Posepny kamienny budynek na końcu obsadzonego drzewami podjazdu widniejący na fotografii miał dla Harry'ego wszelkie cechy podupadłej wiejskiej plebanii. Na kartce w kościele znajdowała się informacja, by z wszelkimi pyta-

niami zwracać się do wielebnego F. J. Waghorne'a, proboszcza Flaxford; adres okazał się nietrudny do znalezienia. Zarośnięta i zbyt duża plebania stała na własnych gruntach po przeciwnej stronie wioski. Można ją było rozpoznać od razu.

Drzwi otwarła drobna jasnowłosa dziewczynka w białym podkoszulku i jasnożółtych spodniach; jej stopy ginęły w matczyńskich butach na wysokim obcasie. Spojrzała na Harry'ego oczyma wielkimi jak spodki i oświadczyła z powagą:

- Ty nie jesteś pan Clatworthy.

- Nie. - Harry próbował się zdobyć na ujmujący uśmiech. - Tata jest w domu?

- Mamusia myślała, że to pan Clatworthy.

- No cóż, jak widzisz, pomyliła się. Czy twój tata...

Na próżno. Dziewczynka odwróciła się i rozpoczęła chwiejną rejteradę.

- Mamo! To nie pan Clatworthy!

Harry widział wejście do kuchni w głębi korytarza. Gdy patrzył w drzwiach pojawiła się zaaferowana postać w fartuchu i dzinsach, z włosami przytrzymanymi opaską.

- Co? Victoria, coś ty włożyła, na miłość boską... Och!

Na widok Harry'ego kobieta uśmiechnęła się nerwowo.

- Przepraszam. Czekamy na hydraulika. Szczerze mówiąc - zerknęła lękliwie w stronę, skąd dobiegał plusk wody - modlimy się o niego. - Zaczęła wycierać dłonie w ręcznik. - Czym mogę panu służyć?

- Miałem nadzieję, że uda mi się porozmawiać z proboszczem.

- Pracuje w tej chwili.

- Sprawa jest raczej pilna.

Zmarszczyła brwi z irytacją, potem najwyraźniej zrezygnowała z oporu.

- W takim razie zapraszam do środka.

Harry ruszył korytarzem. Przez drzwi po prawej wymienił spojrzenia z naburmuszonym chłopcem, który leżał na podłodze wśród modeli samochodów wyścigowych, gapiąc się w komiks. Zanim Harry doszedł do kuchni dziewczynka

zajęła miejsce matki, pochłonięta kontemplacją tego, co z takim pluskiem lało się w kuchni. Tymczasem pani Waghorne zaglądała przez drzwi do pokoju w bocznym korytarzu i wyjaśniała coś szeptem komuś ukrytemu w środku.

- Masz gości.

- Kto to? - spytał zmęczony głos.

- Nie wiem.

- Nie spytałaś?

- Nie - prychnęła. - Zdajesz sobie sprawę, w jakim stanie jest kuchnia?

- Clatworthy jeszcze nie przyszedł?

- Chyba żartujesz. Czy on kiedykolwiek... Och! - Uświadomiła sobie, że Harry stoi jej za plecami. - Tu pan jest!

- Przepraszam. Nie chciałem pani wystraszyć. Nazywam się Barnett. Harry Barnett.

- Nie znam nikogo takiego - napłynęła omdlewająca odpowiedź znad jej ramienia. - To nie parafianin. Niech idzie do rady kościelnej.

Pani Waghorne uśmiechnęła się z przymusem.

- Mógłby pan wyjaśnić, w jakiej sprawie pan przyszedł?

Działanie przez zaskoczenie zdawało się ostatnią nadzieją.

- Chciałbym porozmawiać z pani mężem o siostrach Mallender. Clare i Heather.

Opanowanie pani Waghorne prysnęło. Po jej twarzy przemknęła chmura obawy. Otworzyła drzwi na oścież i odeszła majestatycznie w stronę kuchni mruknąwszy:

- Jest do pańskiej dyspozycji.

- Dzień dobry - przywitał się Harry, patrząc na pastora przez całą długość gabinetu wyłożonego grubym dywanem. Mówiąc to uświadomił sobie, że słyszy żalobną muzykę sączącą się z ukrytych głośników; wysokie smutne głosy bezcielesnego chóru. Niedaleko stereofonicznego centrum zawodzących dźwięków, za szerokim biurkiem zasypanym papierami, siedział proboszcz spowity w

chmurę dymu. Jedna powieka drgała mu lekko, kiedy bez uśmiechu patrzył na Harry'ego; kręcone siwiejące włosy opadały mu na czoło, szczęka pociemniała od nie golonego zarostu, na koszulę i koloratkę miał narzucony obszerny moherowy kardigan.

- Proboszcz Waghorne?

- Tak.

- Mogę wejść?

- Chyba tak będzie lepiej.

Zamknawszy za sobą drzwi Harry znalazł się w prywatnym sanktuarium proboszcza: świecie dymu tytoniowego i pogrzebowych hymnów, odizolowanym od grozy rodzicielstwa i prac hydraulicznych. Podszedł do krzesła wskazanego przez gospodarza. Złapał się na tym, że zniża głos do pełnego szacunku mamrotania:

- Znalazłem nazwisko ojca w kościele. Miałem nadzieję, że uda mi się porozmawiać...

- O Clare i Heather Mallender. - Pastor skinął głową. - Słyszałem.

- Więc je ojciec znał?

- Nie tak dobrze, jak sądzi moja żona. - Znużony uśmiech. - Ale tak, można powiedzieć, że je znałem.

- Czytał ojciec o zniknięciu Heather w zeszłym miesiącu?

- Tak.

- Odwiedzam wszystkich, którzy mogą wiedzieć coś, co pomogłoby mi wyjaśnić przyczyny tego zdarzenia.

- Sądzi pan, że coś wiem?

- Być może. Heather odwiedziła ojca w niedzielę osiemnastego września, prawda?

Brwi pastora uniosły się w wyrazie zdumienia.

- Tak, ale skąd...

- Chciała się dowiedzieć, czy widział się ojciec z jej zmarłą siostrą tutaj, we

Flaxford, dwudziestego drugiego maja zeszłego roku, a jeśli tak, to czy potrafiłby ojciec wyjaśnić przyczyny odwiedzin Clare w parafii.

Brwi proboszcza pozostały uniesione. Dolna warga opadła, dopełniając obrazu zdumienia.

- Jest pan z policji? - spytał po chwili. - Prywatnym detektywem wynajętym przez Mallenderów?

- Nie, jestem po prostu przyjacielem Heather, próbuję ją znaleźć.

Twarz pastora się wygładziła.

- Jak brzmi pańskie nazwisko?

- Barnett.

- Mam wrażenie, jakbym skądś je znał.

- Byłem ostatnim człowiekiem, który widział Heather przed jej zniknięciem.

- Ach, to o to chodzi. - Pastor odrzucił nieposłuszne pasmo włosów. - W oczach brukowej prasy zdemoralizowany czarny charakter. Nie wygląda pan przekonująco jak na swoją rolę.

- Bo to nie moja rola.

- Każdy tak mówi.

Pastor schylił się i zgasił niedopałek w popielniczce. Następnie pogrzebał w papierach przed sobą, znalazł paczkę papierosów i zapalki, pomachał nimi do Harry'ego, a uznawszy ruch głową za odmowę, zabrał się do zapalania papierosa dla siebie. Tymczasem wzrok Harry'ego przyciągnęła leżąca najbliżej kartka z wykaligrafowanym dużymi literami nagłówkiem: CZWARTA NIEDZIELA ADWENTU. Poniżej widniało kilka linijek mocno podkreślonego tekstu, potem znowu tylko jedno słowo, również dużymi literami na pięć linijek: OWCE.

- Całe szczęście, że nie przysłał pana biskup - stwierdził Waghorne, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem. - Czego konkretnie chce pan ode mnie, panie Barnett?

- Informacji, niczego więcej.

- Nie anielskiego uśmiechu? Ramienia, na którym mógłby się pan wypłakać?

Krzepiącego kazania? - W miarę jak wielebny Waghorne mówił, rozprzestrzeniła się wokół niego błękitna mgielka dymu, cierpki aromat dodawał goryczy jego słowom. - W takim razie może będę w stanie pomóc.

- Chciałbym się dowiedzieć, co ojciec powiedział Heather, kiedy się tutaj zjawiała osiemnastego września.

- To była na pewno niedziela. Co do ścisłej daty, wierzę panu na słowo. - Pastor w zamyśleniu zaciągnął się papierosem; jego wzrok zdawał się gdzieś odpływać. - Przyszła w czasie tych paru godzin spokoju między nabożeństwem porannym i wieczornym. Jeśli można to nazwać spokojem. Co nie znaczy, bym nie chciał z nią rozmawiać tylko dlatego, że okazała się owieczką kogoś innego. - Uśmiechnął się. - Jagnięciem, nie owieczką. Poczęstowałem ją herbatą w tym samym pokoju. Jak pan najwyraźniej już wie, chciała potwierdzenia, że jej zmarła siostra odwiedziła Flaxford dwudziestego drugiego maja ubiegłego roku. Datę знаła z księgi pamiątkowej w kościele. Podobnie jak pan, nie mylę się?

- Nie.

- Chyba powinienem usunąć tę stronę. - Następny uśmiech. - Heather, jak mi powiedziała, opierała się jedynie na domysłach. Miała powody wierzyć, że Clare odwiedziła Hurstdown krótko przed śmiercią i że wyjechała stąd w stanie przygnębienia. Podejrzewała, iż siostra mogła się udać do pobliskiego kościoła, by się pomodlić o radę. Flaxford pasowało doskonale, a na dodatek w księdze pamiątkowej natrafiła na wpis Clare. Wtedy przyszło jej do głowy, że Clare mogła się zwrócić ze swoim problemem do kapłana. Stąd wizyta tutaj.

Chwilę przerwy, która teraz nastąpiła wypełniały żałosne głosy chóru. Nagle gdzieś w głębi domu rozległo się głośnie walenie. Zdawało się, że protest krnąbrnej kanalizacji odświeżył pamięć wielebnemu. Podjął opowieść głosem jeszcze smutniejszym niż dotychczas.

- Domysły Heather były słuszne, panie Barnett. To chyba siostrzany instynkt. Pewnego piątkowego popołudnia wiosną zeszłego roku - dwudziestego drugiego maja - spotkałem w kościele młodą kobietę. Powiedziała, że nazywa się Clare

Mallender i chciałyby zasięgnąć rady w kwestii wyboru moralnego, przed którym stanęła. Rozumie pan, nie chodziło jej o spowiedź; nie chciała, bym jej odpuścił grzechy, tylko żebym jej wysłuchał i zaproponował jakieś wyjście. Naturalnie się zgodziłem. Poszliśmy do zakrystii i wyjaśniła mi sytuację. Staralem się podsunąć rozwiązanie, które uważałem zarazem za konstruktywne i pełne zrozumienia. Odjechała, a w dziewięć dni później dowiedziałem się z radia o jej śmierci.

- Powiedział ksiądz o tym Heather?

- Tak. Naciskała, bym jej zdradził, na czym polegał problem Clare. Opierałem się, bo, moim zdaniem, ani śmierć Clare, ani fakt, że Heather jest jej siostrą, nie upoważniał mnie do nadużycia zaufania. A jednak Heather szybko mnie przekonała do zmiany zdania.

- W jaki sposób?

- Dowodząc, że Clare wprowadziła mnie w błąd. Widzi pan, Clare twierdziła, iż jest zupełnie obca w tych stronach i nie zna tu nikogo. To pozwoliło mi udzielić jej obiektywnej rady. Nigdy, nawet przez chwilę nie sądziłem...

- Że łączyły ją bliskie stosunki z jednym z nauczycieli z Hurstdown Abbey? Wielebny Waghorne poblądł wyraźnie.

- Wie pan?

- Tak. Jack Cornelius. Nauczyciel historii, trener rugby. Prowadzi też seminaria ze starożytnej greki.

- Nigdy nie spotkałem pana Corneliusa. I wcale tego nie pragnę. To po prostu niesprawiedliwe. Clare powinna mnie ostrzec. - Pastor wstał nagle z miejsca, podszedł do okna, wsparł się łokciem o framugę i spojrzał gniewnie na Harry'ego.

- Mimo podejmowanych od stuleci wysiłków, by je zniszczyć, klasztory doskonale się mają. Zdają się odporne na słabości, które gnębią nas, zwykłych śmiertelników. Oni tam - zrobił niewyraźny gest w kierunku Hurstdown Abbey - twierdzą z pychą, że nic, zupełnie nic, nie rozluźni ich... - urwał. - Proszę mi wybaczyć. Zbaczam z tematu. Jack Cornelius nie jest mnichem. Można by powiedzieć, na tym polega cały kłopot.

- W jakiej sprawie Clare Mallender szukała u księdza rady?

- Popeliłem błąd, odpowiadając Heather na to pytanie, panie Barnett. W tym wypadku podzielenie się brzemieniem oznaczało podwojenie jego ciężaru. Proszę mi wierzyć, nie mam zamiaru zwiększać go trzykrotnie.

- Jedyne, co próbuję zrobić, to odszukać Heather. Chcę jej pomóc.

- Sugeruje pan, że ja nie?

- Tego nie powiedziałem.

- Naprawdę pan myśli, że to wszystko miało związek z jej zniknięciem?

- Prawdę mówiąc, tak.

Wielebny Waghorne nie odpowiedział od razu. Spoglądał przez brudne szyby na podmokły ogród, w którym - jak się zdawało - zapadał już zmrok. „Śmierć towarzyszy nam w każdej chwili życia”, intonował chór. „U kogóż mamy szukać ucieczki?” Przycisnął dwa palce do lewej powieki, żeby uspokoić jej drżenie, potem westchnął głęboko.

- Jak pan chce - mruknął. - Clare Mallender stanowiła ostatnią słomkę, pod którą ugiął się wielbłąd mojego kapłańskiego powołania. Ostatnią. - Poszurał do krzesła i opadł na nie bez sił. - Jej problem nie miał w sobie nic niezwykłego, panie Barnett. Oczekiwała dziecka.

Oczywiście. Clare w ciąży. Nie ze swoim szefem, nie z byłym narzeczoną ani żadnym z niewątpliwie licznych londyńskich wielbicieli, ale z mężczyzną, którego fotografię nosiła ze sobą i w którą się wpatrywała sześć dni wcześniej, nim się udała po radę do proboszcza we Flaxford. Wyjechała z Hurstdown Abbey 22 maja 1987 - prawdopodobnie po kłótni z Cornelusem, którą wywołała wiadomość, że Clare nosi jego dziecko - i zdesperowana poszła do kościoła we Flaxford, by tam obnażyć duszę i powierzyć swą tajemnicę wielebnemu Waghorne'owi. Ale dlaczego? Czy Cornelius nie stanął na wysokości zadania, namawiał ją do usunięcia ciąży, wyparł się odpowiedzialności? Cóż takiego zrobił, że mogła to wyszeptać na ucho tylko nieznanemu pastrowi?

- Powiedziała, że jest w ciąży, więc podejrzewałem to, co zwykle. Ojciec

dziecka nie może się z nią ożenić. Ona sama dręczy się, czy powinna je urodzić. Boi się powiedzieć rodzicom. Jak się okazało, nie chodziło o żadną z tych rzeczy. Mężczyzna zgodził się z nią pozostać, postanowiła urodzić dziecko i już powiedziała rodzicom, jak sprawy stoją.

Już powiedziała. Więc Charlie i Marjorie wiedzieli. Roy prawdopodobnie też. A Heather? Gdyby tak było, to na pewno nie potrzebowałyby Waghorne'a, by to potwierdził.

- Więc na czym polegał problem?

Proboszcz westchnął głęboko.

- Clare odkryła, że mężczyzna, którym zaszła w ciążę jest zdecydowanym homoseksualistą. Mógł się z nią ożenić, ale nie był zdolny jej pokochać. Tak jak ona nie potrafiła kochać go teraz, kiedy odkryła jego prawdziwą naturę.

Oczywiście, musiało chodzić o to. Jack Cornelius, pociągający dla kobiet, sam czuł pociąg do mężczyzn, żył w otoczeniu mnichów i chłopców. Gotowy na ślub z Clare, gdyby nalegała, ale odpychający dla niej, odkąd dowiedziała się rzeczy, której powinna się domyślić już dawno.

- Co jej ksiądz powiedział?

- To, co zwykle. Parę pobożnych frazesów o rozwijającej się miłości rodzicielskiej. Radziłem wspólnie rozwiązać problem, podjąć próbę ze względu na dobro nienarodzonego dziecka. Zaufać Bogu. -Wielebny Waghorne uśmiechnął się. - Czego się pan spodziewał? Czego się spodziewała ona? Kiedy skończyłem recytowanie łatwych banałów, spojrzała na mnie tak, jakby zwracając się po radę do starego i szanowanego nauczyciela, odkryła, że od ostatniego spotkania całkiem stetryczał. Wyszła bez słowa, a dziewięć dni później już nie żyła.

Koło zatacza krąg. Koło fortuny. A może nie fortuny. Pchnięcie w ciemności. Uszkodzone hamulce. Bomba na jachcie. Spotkanie na szczycie góry. Było w tym coś więcej, na pewno więcej, niż Waghorne przypuszczał - ale on nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Nie miałem pojęcia, panie Barnett, najmniejszych podejrzeń, iż mężczyzna,

o którym mówiła Clare, uczy w Hurstdown Abbey. Nie wiedziałem też, że to Jack Cornelius jest odpowiedzialny za jej problem, póki Heather mi o tym nie powiedziała. - Zdusił niedopałek z niepotrzebną siłą. - Próbowałem się z nim spotkać. Jeden raz. W dniu, kiedy się dowiedziałem o zniknięciu Heather. Po tym, co się stało, nie mogłem znieść wiedzy, którą mnie obarczyła. Chciałem chyba przerzucić swój problem na jego ramiona, kazać mu cierpieć za bezsensowną radę, jakiej udzieliłem. Żona próbowała mnie powstrzymać, ale bezskutecznie: musiałem się z nim zobaczyć. Wpadłem do szkoły jak burza i zażądałem widzenia. Ale Corneliusa nie było. Wyjechał, jak mi powiedzieli, wziął urlop z powodu jakiegoś nieszczęścia w rodzinie czy coś takiego. Tak czy inaczej, nie było go. Od tygodnia. Miał wrócić następnego dnia. Ale do tego czasu...

- Co ksiądz powiedział? - To właśnie to. Nareszcie jakaś szpara w pancerzu. Prześwitywało przez nią światło równie czyste i chłodne jak na szczycie Profitis Ilias. - Wyjechał na tydzień?

- Podobno tak. Nie mogę sobie przypomnieć...

- Niech ksiądz pomyśli! Jak długo był nieobecny? Dokładnie ile czasu?

Na twarzy wielebnego Waghorne'a wyraźnie odmalowało się zaskoczenie wywołane gwałtownością Harry'ego.

- Zaraz, niech się zastanowię - odparł wolno. - Rozmawiałem z sekretarką. Powiedziała, pamiętam, że wyjechał na tydzień. Nie. Wziął tydzień urlopu. Nagła sprawa osobista. Oczekują jego powrotu następnego dnia. Czyli we wtorek. Pojechałem tam w poniedziałek rano, kiedy prasa po raz pierwszy podała wiadomość o zaginięciu Heather.

Nieoczekiwany tygodniowy urlop trwający do wtorku piętnastego listopada. W takim razie musiał się zacząć we wtorek ósmego. I z całą pewnością trwał w piątek jedenastego. To był ostateczny dowód. Jack Cornelius wyjechał z Hurstdown w niewiadome miejsce w dniu zniknięcia Heather.

- Czy tego chciał się pan dowiedzieć, panie Barnett?

- Tak. Tego właśnie chciałem się dowiedzieć.

XXXIV

W umyśle Harry'ego, kiedy prowadził wóz z powrotem do Swindon, nie powstała najmniejsza wątpliwość, że w końcu udało mu się pochwycić prawdę. Jack Cornelius był w jakiś sposób wplątany w zaginięcie Heather. Musiała się dowiedzieć zbyt wiele o jego związku z Clare. To jego groźby zignorowała na Rodos. Co do Kingdoma, wizyta w Lindos szóstego listopada musiała być przypadkowa. Może, jak sugerował Dysart, doktor przyjechał po prostu upewnić się o stanie pacjentki. Tak czy inaczej, Harry był pewien, że śledztwo Zohry wykaże, iż w dniu ich wyprawy na Profitis Ilias Kingdom przykładowo pracował. W przeciwieństwie do Jacka Corneliusa.

Dotarł do Swindon, bijąc się z myślami, co robić dalej. Logika podpowiadała, by się spotkać z Charliem Mallenderem i skonfrontować go z tym, czego się dowiedział, ale odstraszało go świeże wspomnienie samochodu pełnego gniewnych policjantów. Może nadszedł czas, by Dysart nadał sprawie oficjalny bieg. Wskutek tego wszystkiego Harry niezbyt uważnie słuchał utyskiwań matki.

- W moim wieku powinno się mieć zastrzeżony numer.
- O co chodzi, mamó?
- Przynajmniej różne dziwne typy nie zawracałyby mi głowy.
- Chodzi ci o tych, co dyszą w słuchawkę?
- Niezupełnie. Ten przeklęty telefon dzwonił dzisiaj z sześć razy. Odbieram, mówię „halo”, a tam cisza. Więc pytam jeszcze raz i wtedy ktoś po prostu odwiesza słuchawkę.
- Pewnie się zdenerwowałaś.
- Mógłbyś chociaż udąć, że cię to obchodzi.
- Więc co mam zrobić?
- Zadzwoń chociaż do tego jednego, który się odzywał. - Wcisnęła mu do ręki karteczkę. - Bardzo kulturalny dżentelmen nazwiskiem Kingdom. Prosił, żebyś

oddzwonił.

Harry gapił się na notatkę. Nie miał pojęcia, czego Kingdom mógł od niego chcieć. Niemal jakby doktor odkrył, czego się Harry dowiedział. W dodatku nie podał telefonu do swego gabinetu w Marylebone. Wykręcając numer, Harry czuł nedorzeczne zdenerwowanie.

- Słucham?

- Doktor Kingdom?

- A, pan Barnett. Dziękuję, że pan zadzwonił. Jak się pan miewa?

- W porządku, ale...

- Chciałem przeprosić za to, co się zdarzyło w ubiegłym tygodniu. Wiele myślałem o całym incydencie i doprawdy nie potrafię znaleźć usprawiedliwienia dla mojego nieprofesjonalnego zachowania. Całkiem słusznie rozgniewał się pan na mnie.

- Bardzo mi...

- Obawiam się, że nasze nieporozumienie mogło przeszkodzić w wymianie niezwykle użytecznych informacji i opinii. Jak sam pan podkreślał, powinniśmy przede wszystkim myśleć o Heather. Powinniśmy współpracować, a nie rzucać sobie kłody pod nogi.

- Tak, sądzę, że...

- Czy moglibyśmy się zobaczyć w celu przedyskutowania całej sprawy? Zapewniam, nie ma mowy o powtórzeniu sytuacji z zeszłego tygodnia.

- Dobrze.

- W tej chwili pracuję w domu. Więc może spotkalibyśmy się raczej u mnie zamiast w gabinecie. Zmiana scenerii może się okazać zbawienna, nie sądzi pan?

- No cóż, możliwe.

- Jutro panu odpowiada?

- Chyba tak.

- Doskonale. Coś panu powiem. Mieszkam tuż obok Kew Gardens. Heather często wolała się ze mną spotykać właśnie tam, zamiast jechać do Marylebone.

Co pan na to, żebyśmy się umówili jutro o jedenastej przy głównym wejściu?

Ledwie Harry zdążył wyrazić zgodę Kingdom się rozłączył. Harry wolno odłożył słuchawkę, zastanawiając się, co kierowało lekarzem; w tej samej chwili telefon zadzwonił ponownie. Przyszło mu na myśl, że to ów anonimowy rozmówca, o którym wspominała matka.

- Tak? - spytał ostrożnie.

- Cześć, Harry. Tu twoja stara przyjaciółka, Jackie.

Jackie? Oczywiście: Jackie Oliver. Czego ta straszna kobieta może chcieć?

- Harry?

- Tak, Jackie?

- Nie wydajesz się zachwycony.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Odkąd na siebie wpadliśmy na ulicy, myślałam, że miło byłoby się spotkać na dłuższą pogawędkę o dawnych czasach, to wszystko.

- Naprawdę?

- Aha. Pozwól się zaprosić na obiad w najbliższą niedzielę. Fantastycznie gotuję. Moglibyśmy sobie nawzajem opowiedzieć o swoich losach. Wyglądałeś na przybitego, kiedyśmy się ostatnio widzieli. Spróbuję cię trochę rozerwać.

Harry pomyślał, że niedzielny obiad w towarzystwie Jackie i jej najnowszego męża to ostatnia rzecz, która by go mogła podnieść na duchu, ale jakoś nie potrafił wykrzesać z siebie energii, by odmówić.

- No więc, co ty na to?

- Dobrze. Przyjdę.

- Mieszkamy przy Chelsea Drive pod siódmym. To kawał drogi. Przyjechać po ciebie?

- Nie. Mam własny transport.

- Świetnie. W takim razie czekam gdzieś koło południa.

Nagle wszyscy pragnęli jego towarzystwa; Harry za skarby świata nie mógł zrozumieć dlaczego. Jakby na potwierdzenie telefon zadzwonił znowu, nim

zdążył od niego odejść trzy kroki. Odebrał zirytowany, by się przekonać, że tym razem jest to wiadomość, na którą oczekiwał z niecierpliwością.

- Harry? Mówi Zohra Labrooy. Mam informacje, których potrzebowaliśmy.

- Naprawdę?

- Tak. I zupełnie nie wiem, co robić. - Dziwne, wydawała się zmartwiona; Harry spodziewał się usłyszeć, że wynik poszukiwań ją uspokoił. - Mógłbyś przyjechać do Kensal Green w sobotę przed południem? Musimy porozmawiać.

- No cóż, dobrze, ale...

- W takim razie czekam o jedenastej.

- W porządku, tylko...

- Tak?

- Widzę teraz jasno, że narobiłem zbyt wiele szumu wokół doktora Kingdoma. Masz potwierdzenie z Versorelli Institute, że jedenastego był na miejscu, prawda?

- Milczenie. - Zohra?

- Nie, Harry. - Wydawała się teraz spokojniejsza. - O tym właśnie chcę z tobą porozmawiać. Nie było go tam od południa w czwartek dziesiątego do południa w sobotę dwunastego. Nikt nie potrafi powiedzieć, co robił w piątek.

To nie miało sensu. Jack Cornelius i Peter Kingdom, obaj nieobecni w pracy w dniu zniknięcia Heather. Niemożliwe, zupełnie nieprawdopodobne, by obaj byli w to zamieszani.

- Harry?

- Tak?

- Powinieneś wiedzieć jeszcze o jednym. Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale jestem prawie pewna: on wie, że go śledzę. Wie, że go podejrzewamy.

XXXV

Przychodząc do Kew Gardens na kwadrans przed umówioną godziną Harry miał nadzieję zapewnić sobie trochę bardzo potrzebnego czasu na przygotowania,

szansę na obejrzenie miejsca wybranego przez Kingdoma i przeciwiczenie tego, co zamierzał powiedzieć. Jednak ledwie się odwrócił od budki z biletami przy wejściu, zrozumiał, jak bardzo był naiwny, sądząc, że przechytrzy kogoś tak obznajmionego z ludzkimi wybiegami i fortelami jak psychiatra. Kingdom czekał na niego na pobliskiej ławce z powitalnym uśmiechem.

- Miło mi, że pana widzę, panie Barnett - oznajmił, podnosząc się i wyciągając rękę. - Wcześniej pan przyszedł.

- Tak, ma pan rację. - Ale najwyraźniej nie dość wcześnie.

- Dobrze zna pan park?

- Wcale.

- Wobec tego ja będę prowadził.

Szli w głąb parku szeroką aleją ze szklarniami po obu stronach. Dzień był bezwietrzny, pochmurny i ciepły; zimowy park zdawał się uroczysty i cichy, jakby oddany do ich prywatnego użytku. Kingdom miał na sobie nienagannie skrojony płaszcz, spodnie szyte na miarę i wypastowane buty, których stalowe żabki stuknęły dumnie, gdy szedł. Oddychał głęboko, jakby smakując powietrze, i rozglądał się wokół niczym właściciel ziemski po swych gruntach. Harry dreptał obok niego w źle dopasowanym ubraniu, czując, jak przez przetartą podeszwę buta przenika wilgoć ścieżki. Czuł się tak zdominowany i onieśmielony, jak zapewne pragnął Kingdom.

- Heather uwielbiała park o każdej porze roku - odezwał się lekarz. - Ponieważ mieszkam niedaleko, często spotykała się ze mną raczej tutaj niż w Marylebone. Jedną z zalet psychiatrii w porównaniu z innymi dziedzinami medycyny jest to, że można ją uprawiać w dowolnym otoczeniu. Pójdziemy w stronę rzeki?

- Proszę bardzo.

Harry nie przywiązywał wagi do tego, w jakim kierunku się udadzą. Obecność Kingdoma i wywołana przez to niepewność wystarczały aż nadto, by go zająć.

- Skoro zgodził się pan ze mną spotkać, możemy chyba zapomnieć o naszym nieporozumieniu? Nie miałem prawa wypytywać pana tak natarczywie ani re-

agować tak ostro, kiedy pan odpłacił mi tym samym.

- Zgodziłem się na spotkanie, bo podobno leży panu na sercu dobro Heather.

- I taka jest prawda. Dlatego uznałem za konieczne zbadać możliwość, że wie pan więcej o tym, co się wydarzyło w dniu jej zaginięcia, niż pan sobie uświadamia.

- Co pan przez to rozumie?

- Stłumienie traumatycznych przeżyć to powszechne zjawisko, panie Barnett. Można je przewyciężyć na szereg sposobów: przez hipnozę, psychoanalizę, terapię. Jednak wszystkie wymagają czasu i wzajemnego zaufania. Z przykrością wyznaję, że okazałem się zbyt natarczywy. - Posłał Harry'emu wyraźnie zachęcający uśmiech. - Przez wzgląd na Heather chciałbym spróbować naprawić swój błąd.

- Proponuje pan, żebym został pańskim pacjentem?

- Proponuję, byśmy połączyli nasze siły: pańską pamięć i moje doświadczenie, a może dowiemy się, co spotkało naszą wspólną przyjaciółkę, Heather Mallender.

- Więc tak pan o niej myśli? Jako o przyjaciółce?

Kingdom zaśmiał się.

- Jak podejrzewam, nawiązuje pan teraz do mojej gwałtownej reakcji na pańską sugestię, iż łączyły mnie z nią nie tylko profesjonalne stosunki. No cóż, uważałem i nadal uważam Heather za swoją przyjaciółkę, podobnie jak wszystkich pacjentów, których leczyłem przez dłuższy czas. I zabrałem ją do Skein of Geese dziesiątego września, ale nie w ramach kampanii mającej na celu jej uwiedzenie. Heather prosiła, bym jej dotrzymał towarzystwa, a ja się zgodziłem.

- Jeśli nie chodziło o uwiedzenie, to co było pańskim celem?

- Udowodnienie, że pewne przekonanie, z którym nie potrafiła się uporać, jest tylko złudzeniem, objawem choroby.

- Oczywiście nie może mi pan zdradzić, jakie to było przekonanie? - zapytał Harry z sarkazmem.

- Wręcz przeciwnie. - Uśmiech łagodnej przygany. - Przyszedłem tu dziś specjalnie po to, by panu powiedzieć. Pod warunkiem, że pan ze swojej strony zgodzi się mi pomóc.

Harry nie miał zamiaru pomagać człowiekowi, o którym wiedział, iż jest kłamcą, i którego podejrzewał o gorsze jeszcze rzeczy. Jednak obietnica wydawała się niezbyt wygórowaną ceną za to, co mógł uzyskać, więc zgodził się skwapliwie.

- W porządku.

- Doskonale. Co pan wie o chorobie Heather, panie Barnett?

- Niewiele. Rzadko o niej wspominała. O ile zrozumiałem, była to depresja wywołana śmiercią siostry.

- Niestety, znacznie więcej. Heather przeszła poważne załamanie nerwowe w listopadzie ubiegłego roku: nagłe głębokie zaburzenie osobowości o wielu cechach klinicznych schizofrenii. Przyjęto ją do szpitala, w którym pracuję jako konsultant, i powierzono mi jej przypadek. Kiedy tylko jej stan nieco się poprawił stało się jasne, że to śmierć siostry, choć minęło od niej pięć miesięcy, stała się przyczyną dezintegracji psychicznej Heather. Rozumie pan, nie chodziło tu o spóźniony żal, ale o niezdolność do prowadzenia normalnego życia bez punktu, jaki stanowił przykład siostry; niezdolność pogłębioną przez przekonanie, że rodzina i przyjaciele woleliby, żeby zginęła ona, brzydsza i mniej utalentowana. Przypadek trudny, ponieważ istniało pewne usprawiedliwienie tych odczuć. Jej rodzina, o ile miałem okazję stwierdzić, jest zdecydowanie niesympatyczna. Niemniej przewyciężywszy początkowe kłopoty, odnotowaliśmy niezwykle szybki postęp. W marcu tego roku Heather mogła opuścić szpital i rozpocząć względnie normalne życie. Miałem nadzieję, że kilka miesięcy regularnych konsultacji pozwoli na jej całkowity powrót do zdrowia, ale jedno złudzenie okazało się szczególnie uparte. Chciałem uwolnić ją od niego, stosując terapię wstrząsową, więc zgodziłem się ją zabrać do Skein of Geese dziesiątego września.

Harry nie mógł zaprzeczyć, że Kingdom jest mistrzem perswazji. Grał wspaniale, całkowicie przekonująco, ale Harry miał wystarczające powody, by nie wierzyć ani jednemu słowu: ostrzeżenia Zohry o obsesji Kingdoma, spotkanie w Lindos, nieobecność doktora w Genewie w dniu zniknięcia Heather. Przecinali teraz polanę zarośniętą krzewami rododendronów. Kingdom zaczekał, aż minie ich ogrodnik z taczkami, po czym mówił dalej:

- Najgłębiej zakorzenionym złudzeniem Heather było, że śmierć jej siostry nie nastąpiła w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, jak wszyscy uważali. Nie potrafiła sformułować żadnego zarzutu, jednak uparcie trwała w przekonaniu, iż Clare została zamordowana z rozmysłem, a nie zginęła przez pomyłkę zamiast swojego pracodawcy. Tuż po tym zdarzeniu Heather próbowała stłumić w sobie podejrzenia, co tylko pogłębiło jej załamanie. Nie dziwiło mnie więc, że złudzenie owo okazało się najtrwalszą pozostałością choroby. Przemawiało Heather do przekonania, dostarczało oczywistej interpretacji: nadając wypadkowi Clare głębszy, poważniejszy sens, pozwalało zmniejszyć nieco groźbę konsekwencji jej śmierci. Innymi słowy, wiara stanowiła podświadomy środek dla zmniejszenia kompleksu niższości w stosunku do siostry, stanowiącego rzeczywistą przyczynę choroby. Heather zgadzała się z moją interpretacją, ale nadal nie potrafiła odrzucić złudzeń. Miałem nadzieję, że po odwiedzinach w Skein of Geese wreszcie to zrobi.

Aleją obrzeżoną drzewami doszli do rozległego trawnika z widokiem na Tamizę pojawiającą się niespodzianie za granicznym parkanem. Na dalszym brzegu rzeki puste przestrzenie Syon Park ciągnęły się w stronę odległej bryły Syon House. Na trawniku ustawiono kilka ławek, z których można było podziwiać panoramę. Kingdom podszedł swobodnym krokiem do jednej z nich i usiadł. Zaczekał, aż Harry dołączy do niego, po czym ciągnął swoją opowieść.

- Szóstego września przypadł ostatni raz, kiedy widziałem się z Heather w tym miejscu. Wtedy właśnie poprosiła, bym ją zabrał do Skein of Geese i pomógł rozwiązać lub potwierdzić podejrzenia. Clare jadła tam kolację krótko przed

śmiercią. Heather była przekonana, że jeśli zdoła ustalić, co wtedy zaszło, do-
wiedzie prawdziwości swoich obaw.

- Clare jadła kolację z Alanem Dysartem.

- To prawda. Wszystko wyglądało całkiem niewinnie, i to właśnie miałem nadzieję udowodnić Heather. Sądzę, że by mi się udało, gdyby właściciel, Rex Cunningham, nie zaczął jej opowiadać jakichś bzdur, jakoby widział u Clare fotografię, którą, jego zdaniem, mogła nosić tylko kochanka. Mężczyzna z fotografii był absolwentem Breakspear, podobnie jak Cunningham i Dysart. To wystarczyło Heather: w jej oczach natychmiast stał się czarnym charakterem. Gdy tylko Cunningham zaczął snuć swoje fantastyczne wspomnienia, wiedziałem, że dziewczyna da się na to nabrać, i wiedziałem dlaczego.

- Tak? - spytał Harry, kiedy nie mógł już dłużej ignorować milczenia King-
doma.

Lekarz zwrócił się do niego. Uśmiechał się nieznacznie.

- Obiecuje pan, że też nic przede mną nie ukryje?

- Tak.

- Doskonale. Heather wierzyła, że Clare była w ciąży, kiedy zginęła. Nie potrafię stwierdzić, czy przekonanie to poprzedziło załamanie Heather, czy też powstało w jego wyniku. Podobno Clare wyznała jej to w największej tajemnicy w połowie maja ubiegłego roku, czyli parę tygodni przed śmiercią. Nie powiedziała, kto był ojcem dziecka. Zaledwie na trzy dni przed wypadkiem oznajmiła, że zamierza usunąć ciążę. Po śmierci siostry Heather próbowała skłonić członków swojej rodziny do przyznania, iż wiedzieli o stanie Clare, ale bez skutku. Kiedy sprawa wypłynęła w trakcie terapii, skontaktowałem się z lekarzem Clare. Nic mu nie było wiadomo, by jego pacjentka oczekiwała dziecka. Oczywiście bardzo często niezameżna kobieta ukrywa taki fakt przed swoim lekarzem, więc trudno uważać jego zdanie za rozstrzygające. Niemniej w powiązaniu z przekonaniem Heather o zamordowaniu siostry zdaje się prawdopodobne, że wymyśliła ów epizod dla dodania wiarygodności swojej teorii. Zaburzony umysł potrafi być

zdumiewająco przebiegły, panie Barnett, zdolny do niezwykłych forteli.

- Więc odrzucał pan wersję wydarzeń podaną przez Heather?

- Tak, dla własnej wygody. Jednak jej zniknięcie rzuca nowe światło na całą sprawę. Albo wyzdrowienie okazało się niecałkowite, albo naprawdę miała podstawy do obaw. Chcę pana zapytać, czy coś z tego, co panu powiedziała Heather albo co pan odkrył później, mogłoby sugerować, że Clare rzeczywiście była w ciąży, gdy zginęła.

W głowie Harry'ego zabrzmiał ostrzegawczy dzwonek. Przez ponad rok Heather próbowała przekonać samą siebie, że Kingdom ma rację i jej wspomnienia są złudą. Osiemnastego września we Flaxford poznała prawdę: mogła ufać tylko sobie. Nie zwierzała się więcej Kingdomowi. Harry miał na dowód jego własne słowa. Dlatego powinien pójść za jej przykładem.

- Nie mam absolutnie żadnych podstaw wierzyć, iż Clare była w ciąży.

Kingdom westchnął z rozczarowaniem.

- Liczyłem, że pan coś odkrył.

- Niestety. Cunningham wspominał mi o fotografii, ale niezupełnie mi wierzę. Mężczyzna ze zdjęcia to nauczyciel, nazywa się Cornelius. O ile zdołałem ustalić, nic go nie łączyło z Clare Mallender.

Kingdom pokiwał smutno głową.

- Moje poszukiwania też nic nie dały. - Przycisnął do czoła dłoń w rękawiczce.

- Chciałbym spytać jeszcze o jedno. W czasie spotkania z Heather szóstego września zacząłem się obawiać, czy nie grozi jej nawrót choroby. Niezależnie od nalegań, by odwiedzić Skein of Geese, twierdziła również, że znalazła dowody korupcji i łapownictwa na dużą skalę w Mallender Marine, firmie jej ojca, gdzie od kwietnia pracowała na pół etatu. Czy odkrył pan cokolwiek, co by sugerowało, że mogła to być prawda?

- Nie. Zupełnie nic.

- W takim razie chyba prawidłowo zinterpretowałem jej słowa. Podobne nieuzasadnione oskarżenia często stanowią skutek uboczny schizofrenii. Za parę

tygodni Heather sama przyznałaby się do pomyłki. Chętnie przyjęła propozycję Dysarta, by spędzić wakacje na Rodos, w nadziei, że pozostawi złudzenia za sobą.

W umyśle Harry'ego pojawiło się nagle nazwisko: Nigel Mossop. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Heather wybrała właśnie jego na towarzysza wyprawy do Tyler's Hard. Teraz wszystko zaczynało nabierać sensu. Pracowali w tym samym pokoju. Umawiali się na drinki i pogawędki w piątkowe wieczory. Pojechali razem do New Forest dwudziestego ósmego sierpnia. A osiem dni później Heather oznajmiła Kingdomowi, że znalazła dowody nieprawidłowości finansowych w Mallender Marine. Oczywisty związek: to Nigel dostarczył jej tych dowodów.

- A co by oznaczało - zaczął Harry, starając się, by w jego głosie brzmiał spokojny namysł - gdyby udało się nam udowodnić, że Clare rzeczywiście oczekiwała dziecka, a w Mallender Marine szerzyła się korupcja?

Kingdom spojrzał w stronę Syon House.

- No cóż, panie Barnett, wiedzielibyśmy, że nie były to złudzenia Heather. I może również nie było złudzeniem przekonanie, iż jej siostra została zamordowana. A ten, kto zamordował Clare, z dużym prawdopodobieństwem mógłby być wmieszany w sprawę zaginięcia Heather.

Kingdom miał rację. Wnioski, które przedstawił zaledwie jako hipotezę, w opinii Harry'ego stanowiły prawdę. Jednak dlaczego doktor zdecydował się zdradzić aż tak wiele? Starając się pohamować nagłe pragnienie, by zaufać temu człowiekowi, Harry zapytał:

- Kiedy widział się pan z Heather ostatni raz?

- Mmm?

Zachowanie Kingdoma sugerowało, iż uważa kwestię za nieistotną, ale dla Harry'ego miała ona podstawowe znaczenie. Doktor przyjechał do Lindos szóstego listopada: Harry miał na poparcie świadectwo własnych oczu i uszu. Jedyne powód wizyty mogło stanowić spotkanie z Heather. Istniała możliwość, zaledwie możliwość, że cel odwiedzin był zupełnie niewinny. Jeśli tak, nie robiłby z nich tajemnicy. Jeśli nie, Kingdom pod pozorem szukania pomocy u Harry'ego pró-

bował bez wątpienia wysondować, jak wiele ten ostatni wie i jak duże stanowi zagrożenie.

- Kiedy widziałem ją po raz ostatni? - powtórzył w zamyśleniu.

- Tak. Ciekawi mnie, w jakim stanie się znajdowała podczas waszego ostatniego spotkania.

- Przecież już panu mówiłem. Zaczynała wierzyć, że myliła się zupełnie, dopatrując się jakiegoś mrocznego spisku za śmiercią siostry. To był nasz ostatni kontakt: w Marylebone, jedenastego października, dwa dni przed jej wyjazdem do Grecji. Wtedy widzieliśmy się po raz ostatni.

Kingdom sam się przyznał do zdrady. Mróz przebiegł Harry'emu po plecach, kiedy sobie uświadomił, że ten elegancko ubrany, dobrze wychowany, poprawnie się wysławiający mężczyzna siedzący obok na ławce w zadbanym parku jest kimś więcej, niż kłamcą złapanym na gorącym uczynku. Może być również mordercą Heather.

- Właściwe pytanie, panie Barnett, brzmi: czy pozwoli mi pan wkroczyć w obszar pańskiej podświadomości w nadziei, że natkniemy się tam na jakiś ślad, którego pański świadomy umysł dotąd nie odkrył? Coś, co pan zobaczył lub usłyszał, jakieś przelotne wrażenie, mogłyby nam zdradzić, co się stało z Heather.

Gdyby Harry nie pamiętał Kingdoma z Lindos, gdyby Zohra nie zaraziła go nieufnością, prawdopodobnie dałby się nabrać. Zgodziwszy się przez wzgląd na Heather na propozycję Kingdoma, prawdopodobnie w którymś momencie by się zdradził.

- Jakiej metody zamierza pan użyć? - zapytał, dokładając starań, by w jego głosie nie zabrzmiało więcej ostrożności, niż można oczekiwać w podobnej sytuacji.

- Chyba tylko hipnoza sprostałaby naszym wymaganiom. Uwalnia umysł od wszelkich stresów i zahamowań. Wyzwala wspomnienia.

- Hipnoza?

- Rozumiem pańską niechęć, ale w tego typu wypadkach sprawdza się ona

znakomicie. Był pan jedynym świadkiem zniknięcia Heather. Mógł pan zapomnieć albo wyprzeć jakieś zdarzenie, kluczowe dla zrozumienia tego, co się wydarzyło.

Albo dla zrozumienia, czy Kingdom powinien się czegokolwiek obawiać z jego strony. Harry czuł pewność, że taki jest właściwy cel badania.

- Sam nie wiem - powiedział z wahaniem. - W świetle wszystkiego, co pan mówi, wydaje się to dobrym pomysłem, ale...

- Proszę się dobrze zastanowić. - Doktor uśmiechnął się do Harry'ego tak, jak na pewno uśmiechał się do swoich pacjentów, zanim wydarł im ich tajemnice. - Mógłby mnie pan odwiedzić w moim gabinecie w przyszłym tygodniu. Oczywiście nie należy tracić czasu, ale jak sądzę, nie chciałby pan się decydować na taki krok bez rozważenia jego konsekwencji.

- Racja. Zastanowię się nad tym, obiecuję.

W głębi duszy przyrzekał sobie, że podczas gdy będzie się nad tym zastanawiał spróbuje pomieszać szyki wyrafinowanemu, pewnemu sobie doktorowi. Tylko w jaki sposób? I dlaczego - jeśli Zohra miała rację i doktor rzeczywiście ich podejrzewał - Kingdom zgodził się czekać?

- Proszę to zrobić, panie Barnett. - Szeroki uśmiech psychiatry nie dał Harry'emu odpowiedzi na dręczące go pytania. - Na pewno dostrzeże pan sens takiego rozwiązania. Proszę mnie powiadomić, gdy tylko się pan zdecyduje.

XXXVI

Panował już mrok, kiedy Harry dotarł do Weymouth. Zaparkował wóz jakieś trzydzieści metrów od bramy Mallender Marine, poczekał, aż jego zegarek wskaże za kwadrans szóstą, kiedy to - jak sądził - większa część pracowników opuści budynek, po czym śmiało wkroczył do wnętrza. W słabo oświetlonych korytarzach nie spotkał nikogo prócz sprzątaczkę zajętej pracą. Pokój Mossopa był pusty, ale jego marynarka wisiała na oparciu krzesła, a teczka stała pod

biurkiem, więc zdawało się jasne, że nie odszedł daleko. Harry usadowił się przy biurku naprzeciwko, patrzył na meble, w których otoczeniu niegdyś pracował - zniszczone szafy na akta, przepelnione szuflady, tablice pokryte wykresami, usłane notatkami biurka - i czekał.

Minęło dziesięć lat od niespodziewanego i niechlubnego zwolnienia z Mallender Marine, dziesięć lat, w ciągu których przestał traktować to miejsce jako znajome, ale nie przestał czuć do niego pogardy. Ta ostatnia trwała w uśpieniu i czekała na przebudzenie, karmiąc się zadawnionym żalem. Teraz, pod wpływem myśli zasianych przez Kingdoma, Harry zdecydował, że chwila nadeszła. Jedenaście lat temu Roy Mallender był oskarżycielem, a Harry oskarżonym. Obecnie role miały się odwrócić.

- Harry!

Mossop, wchodzący do pokoju, drgnął tak gwałtownie, że większa część wody z konewki, którą najwyraźniej poszedł napełnić, wylała się na podłogę.

- C-c-c...

- Zamknij drzwi i siadaj. Chcę z tobą pogadać.

Mossopowi udało się zatrzaskać drzwi z hukiem i rąbnąć konewką w szafę na akta, zanim w końcu opadł na swoje krzesło.

- Ja nie... - zaczął. - Nie... spo-spodziewałem się... z-zobaczyć cię znowu...

- Tak szybko? - Harry powrócił do starego zwyczaju kończenia zdań za Mossopa. - Raczej miałeś nadzieję, że mnie już nie spotkasz.

- N-nie... skąd... wcale nie...

- Daj spokój, Nigel. Zdawało ci się, że mi zamydliłeś oczy, prawda?

- Z-zamydliłem? N-nie... n-nie...

- Sądziłeś, że uda ci się wykręcić, wioząc mnie do New Forest i z powrotem. Chciałeś we mnie wmówić, że Heather pojechała z tobą tamtego dnia, bo tak bardzo lubiła twoje towarzystwo.

- N-nie. Nigdy nie m-mówiłem...

- Gdzie są dowody, Nigel?

- J-jakie dowody?

Mossop poprawił okulary na nosie drżącym palcem. Na jego czole lśniły krople potu: ze wszystkich ludzi na świecie najmniej nadawał się na kłamcę.

- Polubiłeś Heather, prawda? Nie rób takiej przerażonej miny. To zupełnie naturalne. Chciałeś na niej zrobić wrażenie, tak? Udowodnić, że nie jesteś byle gryziopórkiem, zerem, ofiarą dowcipów jej brata. Więc coś jej pokazałeś, jakieś zapomniane papiery wsadzone do akt, które dowodziły, że etyka zawodowa jej rodziny pozostawia wiele do życzenia. - Harry pochylił się nad biurkiem i przygwoździł Mossopa wzrokiem. - Równie dobrze możesz o wszystkim opowiedzieć mnie, Nigel, bo i tak mam zamiar to odkryć.

- Co mianowicie?

Głos był ostry, donośny, dawał się rozpoznać od pierwszej chwili. Harry podniósł wzrok. W drzwiach stał Roy Mallender w stroju budzącego szacunek biznesmena, za którego chciał uchodzić. Jednak zimne spojrzenie i napuszczona poza zdradzały wybuchowość i zaczepność, z jakich niegdyś sływał.

- Cześć, Roy. - Harry włożył w powitanie tyle fałszywej radości, ile potrafił, wiedząc, że dotknie ona Roya bardziej niż najgorsze zniewagi. - Pracujesz po godzinach?

Pojedynczy skurcz na twarzy Mallendera zdradził, że znajduje się na granicy wybuchu. W trzech szybkich krokach podszedł do biurka i dosłownie podniósł Mossopa z krzesła, chwyciwszy go za kołnierz.

- Do domu, Nigel - warknął. - Zgłosisz się u mnie w poniedziałek z samego rana.

Mossop jednym ruchem zgarnął płaszcz i teczkę i uciekł z pokoju. Harry'ego, obserwującego całą scenę, ogarnęło nagle współczucie. Może potraktował chłopaka niesprawiedliwie. Może nie powinien naciskać tak ostro. Tak czy inaczej, upłynie parę dni, zanim Mossop będzie w stanie składnie mówić, nie wspominając już o chęci do współ-pracy.

Roy podszedł do drzwi i zatrzasnął je kopniakiem, potem natarł na Harry'ego.

- Musisz być większym głupcem, niż podejrzewałem, Barnett, skoro ośmieliłeś się tutaj przyleźć.

Harry w gruncie rzeczy przyznawał Royowi rację: nie czuł się jeszcze gotów do konfrontacji. Wstał z miejsca i cichcem skierował się w stronę drzwi, ale Mallender zastąpił mu drogę.

- Chryste, oddałbym światu przysługę, gdybym cię wykończył wtedy na Rodos.

Widziane z bliska, wykrzywione niechęcią i opuchnięte rysy Roya budziły szereg wspomnień: gwałtowne sprzeczki, w których Harry zwyciężał lub ponosił klęskę, wyrządzone mu niesprawiedliwości, zadawnione krzywdy. Patrząc na niego, Harry nie mógł uwierzyć, że minęło ponad dziesięć lat od największego zła, jakie ten człowiek mu wyrządził.

- Czego chciałeś od Nigela?

- To sprawa osobista.

- Tutaj nie ma sekretów. - Tępy palec wskazujący Roya wbił się w pierś Harry'ego. - Nie przede mną.

- Nie próbuj mnie zastraszyć, Roy. Nie siedzę już u ciebie w kieszeni.

Wziął głęboki oddech. Przyjdzie czas, że pomści wszystkie poniżenia, których doznał od tego człowieka. Nadejdzie, ale jeszcze nie dziś.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę już sobie.

Roy nie drgnął. Przez moment Harry myślał, że Mallender rzeczywiście postanowił dokończyć to, co zaczął na Rodos. Ale nie: zwlekał, bo jak wszyscy tchórze, nie chciał, by ostatnie słowo należało do przeciwnika.

- Ostrzegałem cię, Barnett. Przychodząc tutaj dzisiaj, dowiodłeś, że zlekceważyłeś moje ostrzeżenia. Możesz się wynosić. - Usunął się z drogi. - Ale nie łudź się, że unikniesz konsekwencji, bo to nie prawda. Czekają cię bardzo poważne konsekwencje, możesz mi wierzyć.

Harry wierzył. Ale, co dziwne, w tej chwili zupełnie się tym nie przejmował. Cokolwiek go czeka, za późno już, by to powstrzymać. Wychodząc z budynku,

czuł tylko oszłamiającą pewność siebie. Wbrew nadziei na powodzenie, niespodziewanie dla samego siebie, szarpnął za napięte nici losu Heather, i teraz znajdował się zbyt blisko ich początku, by zrezygnować. Potrzebuje jedynie trochę więcej czasu. Nieco więcej czasu do namysłu, a dosięgnie prawdy.

XXXVII

Harry i Zohra siedzieli na ławce w sercu zarośniętego cmentarza na Kensal Green. Południe chmurnego dnia nadeszło i minęło. Wokoło ciągnęły się we wszystkich kierunkach pochylone nagrobki i zrujnowane mauzolea wiktoriańskiej nekropolii, przecinane alejkami obrzeżonymi mchem. Przed nimi, w odległości może trzydziestu metrów, poruszała się drobna figurka pani Tandy czyszczącej marmurowy grobowiec, gdzie od początku stulecia pochowano jej dziadków, kilkanaście ciotek i wujów oraz jej rodziców. Oprócz niej wśród zaniedbanych grobów nikogo nie było widać ani słyszać. Z tego powodu miejsce nadawało się idealnie na naradę: niewinne, a przy tym bezpieczne, na widoku, a równocześnie poza zasięgiem ciekawych uszu.

Podczas gdy pani Tandy, głęboko wdzięczna, że przywieziono ją na cmentarz, krzątała się i napełniała wodą wazon na kupione po drodze kwiaty, Zohra stłumionym głosem przekazywała Harry'emu wszystko, czego się dowiedziała podczas sekretnego dochodzenia w Versorelli Institute. Jak się okazało doktor Kingdom przybył do Genewy w piątek czwartego listopada i tego samego wieczoru zjadł kolację z dyrektorem. Następnego ranka wziął udział w zebraniu, po czym był nieobecny aż do popołudnia w poniedziałek siódmego listopada. Jak dotąd wszystko się zgadzało, ponieważ mógł w tym czasie polecieć na Rodos, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Zohra zadzwoniła nawet do linii lotniczych i sprawdziła, że było to wykonalne. Potem następował szereg umówionych spotkań w Instytucie trwających aż do czwartku dziesiątego listopada. Wtedy doktor znów zniknął i pojawił się dopiero na comiesięcznym obiedzie dla star-

szych konsultantów w sobotę dwunastego listopada. Żaden z informatorów Zohry nie widział w tym nic niezwykłego - doktor Kingdom, jak każdy, miał prawo do wypoczynku - ale Harry i Zohra patrzyli na to od innej strony. Wiedzieli, dokąd udał się Kingdom w czasie pierwszej, czterdziestoośmiogodzinnej nieobecności, i domyślali się, gdzie był w czasie drugiej. Jeśli chodzi o kwestię, co i dlaczego wtedy robił, nie dysponowali żadnymi dowodami godnymi tego miana, mieli za to pod dostatkiem podejrzeń. Dowiedli, że doktor mógł się znajdować na Rodos, nawet na samych stokach Profitis Ilias, w czasie kiedy Heather zniknęła, i oboje święcie wierzyli, iż tam właśnie się znajdował.

Do pewnego stopnia przekonanie to wzmocnił sam Kingdom. Ostatnimi czasy, twierdziła Zohra, stał się bardzo skryty; dużo pracował w domu i przekazywał jej mniej informacji niż zwykle. W ostatnim tygodniu doszła do tego krępująca czujność, jak gdyby odkrył albo wyczuł, że sekretarka prowadzi dochodzenie. Z całą pewnością nie został powiadomiony o jej telefonach do Versorelli Institute; nie dała nikomu najmniejszych powodów do podejrzeń. Jeśli chodzi o Harry'ego, spotkanie z doktorem w Kew Gardens pozostawiło go pod wrażeniem jego przenikliwego umysłu, ale bez złudzeń co do prawdomówności. Propozycja wprowadzenia w stan hipnozy dowodziła, że Harry się nie myli. Gdyby odmówił, okazałby brak zaufania. Gdyby się zgodził, mógłby zdradzić o wiele gorsze rzeczy. Jakkolwiek miała brzmieć odpowiedź, należało jej udzielić już niedługo. A wcześniej on i Zohra musieli w jakiś sposób uzyskać przewagę nad przeciwnikiem - jeśli nie ze względu na Heather, to na samych siebie. Domyśły nie mogły ich dalej zaprowadzić. Potrzebowali czegoś więcej.

- Istnieje sposób zdobycia od samego Kingdona tego, czego potrzebujemy - powiedziała cicho Zohra po chwili milczenia, kiedy oboje zastanawiali się nad swoim trudnym położeniem. - Myślę o tym od paru dni. Ściśle biorąc, odkąd się dowiedziałam, że opuszczał Genewę.

- Jaki sposób?

- No więc, jak ci mówiłam, trzyma karty pacjentów w zamkniętej szafie w

swoim gabinecie. Normalnie nie mam do nich dostępu, ale zauważyłam, że często zostawia szafę otwartą, nawet jeśli wychodzi gdzieś na chwilę. Może udałoby mi się...

- Zajrzeć do karty Heather?

- Albo ją skopiować. - Spowaźniała nagle. - To może być ryzykowne. Dzwonienie do Versorelli Institute to jedno, a grzebanie w szafie, której nie mam najmniejszych powodów otwierać, to zupełnie inna historia. Gdyby wrócił niespodziewanie i mnie przyłapał...

Konsekwencje łatwo było przewidzieć. W najlepszym razie Zohrze groziła utrata pracy. W najgorszym Kingdom mógłby dowieść, jak niebezpiecznym jest człowiekiem. Harry czuł instynktownie, że nie powinien jej pozwalać wystawiać się na takie ryzyko.

- Jesteś pewna, że to, co możesz znaleźć, usprawiedliwia włamanie?

- Nie. Ale skoro zaczął przede mną chować dane Heather, musi mieć coś do ukrycia. A jeśli tak...

- Jeśli tak, to ja powinienem się zabawić w złodzieja.

- W jaki sposób?

- Pójdę tam w nocy. Szafę na pewno da się otworzyć siłą.

Zohra zmarszczyła brwi.

- Ale wtedy Kingdom o wszystkim się dowie. Mój plan pozwoli zdobyć notatki na temat Heather w tajemnicy.

Zohra miała rację. Jej metoda posiadała same zalety w porównaniu z planem Harry'ego. Mimo to buntował się w duchu, że ma siedzieć i czekać bezczynnie, podczas gdy ona będzie się narażać.

- Nie jestem pewien, czy powinienem ci na to pozwolić. Wymagam od ciebie zbyt wiele.

- Nie ty. Robię to dla Heather. - Spojrzenie jej ciemnych oczu przekonało go, że mówi prawdę. - Poza tym znam przyzwyczajenia doktora Kingdoma lepiej niż ktokolwiek inny. Nie ma powodu, by coś poszło źle.

- Kiedy spróbujesz to zrobić?
- Przy pierwszej okazji.
- Nie będziesz niepotrzebnie ryzykować?
- Nie. Obiecuję.

A więc decyzja została podjęta.

- Nie martw się o mnie, proszę.
- Nie potrafię.

Twarz Zohry rozjaśniła się w nagłym uśmiechu.

- To nawet nie takie złe mieć kogoś, kto się o mnie troszczy. Powiedziałabym, miła odmiana. - Rozejrzała się wokół. - Wygląda na to, że pani Tandy skończyła. Chodźmy do niej.

Nie protestując więcej ruszył za nią wąską alejką między stłoczonymi nagrobkami w stronę kwatery, gdzie spoczywali krewni pani Tandy. Staruszka zbierała właśnie obcięte łodygi kwiatów. Po drodze przyszło mu do głowy, że Heather, mimo wszystkich nieszczęść, miała więcej prawdziwych przyjaciół, niż on zdobył przez całe życie. Wątpił, czy w podobnych okolicznościach ktoś zrobiłby dla niego tak wiele, jak Zohra była gotowa zrobić dla Heather.

- Odezwę się, kiedy tylko będę coś miała - powiedziała, kiedy mijali parę wyniosłych pomników wzniesionych czcigodnym zmarłym sprzed pokolenia.

- Nie ukrywam, że będę czekał z niepokojem - odparł Harry. - Chciałbym, żebyś...

Naraz coś sobie uprzytomnił; stanął jak wryty. Gdzieś z lewej strony dobiegł go cichy szmer. Mogła to być wiewiórka gryząca orzech, ale w jego uszach dźwięk brzmiał jak wydany przez jakiś mechanizm i niewątpliwie przypominał odgłos zatrzasnącej się migawki aparatu. Harry odwrócił się. W odległości niecałych dwudziestu metrów od siebie zobaczył wśród grobów jakąś postać w płaszczu przeciwdeszczowym, z aparatem fotograficznym w opuszczonej ręce. Z przerażeniem rozpoznał ją już w pierwszej chwili. Mężczyzna z pociągu, ten sam, który życzył mu dobrej nocy po grecku na stacji Warwick Avenue.

- Co się stało? - spytała Zohra, widząc jego przerażenie.

Nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Ten zaniedbany człowieczek, którego blady uśmiech przekonałby większość ludzi o jego całkowitej nieszkodliwości, napawał Harry'ego bezbrzeżnym przerażeniem. Był to fakt równie niewątpliwy, co niezrozumiały. I za każdym razem przerażenie wzrastało.

- Co się stało? - powtórzyła Zohra z większym naciskiem.

- Dzień dobry - powiedział cienko nieznajomy.

Harry powinien przewidzieć, że tak właśnie się odezwie: głosem prostaczka, na którego nikt nie zwraca uwagi.

- Pomniki nagrobne są wspaniałe, nie sądzi pan? I niezwykle fotogeniczne.

- To prawda - odparła Zohra. Harry widział wyraźnie, że dała się nabrać. - Często pan tu przychodzi?

- Kiedy czuję potrzebę. Można powiedzieć, nawiedzam to miejsce. - Słowa tak bardzo wyglądały na żart jakiegoś cmentarnego ekscentryka, że Harry był pewien, iż tylko on potrafi je przejrzeć. - Proszę mi wybaczyć. Chcę wykorzystać okazję, zanim światło stanie się zbyt słabe.

Odwrócił się i odszedł śpiesznie, jego postać w szarym płaszczu nieprzemakalnym zniknęła szybko w lesie krzyży i złamanych kolumn.

Zohra dotknęła łokcia Harry'ego, jakby próbując wyrwać go z transu.

- Dobrze się czujesz? - spytała, wyraźnie zdziwiona jego zachowaniem.

- Tak. Wszystko w porządku. - Odetchnął głęboko zmuszając do rozluźnienia napięte mięśnie. - Przepraszam. To tylko... Przysiągłbym, że spotkałem już tego faceta.

- Gdzie?

- W metrze, kiedy wracałem od ciebie w zeszłym tygodniu.

- Może i masz rację. Pewnie mieszka gdzieś w okolicy. I co z tego?

- Naprawdę sądzisz, że fotografował nagrobki? Czy może raczej nas?

- Wydał mi się szczery. Cmentarz rzeczywiście przyciąga wielu fotografików.

Harry nie próbował się spierać. Zdawał sobie sprawę, jak niewinny musiał się

zdawać cały incydent każdemu, kto nie był - jak on - świadkiem wydarzeń, z którymi tworzył on całość. Reading. Oksford. Haslemere. Kensal Green. Śledzono każdy jego krok, uprzedzono każdy ruch. Powinien jej powiedzieć wcześniej, powinien ostrzec, że zastawiono na nich sidła. Ale nawet gdyby to zrobił, czyby mu uwierzyła? A gdyby uwierzyła, to czy nadal chciałaby ryzykować i szukać dowodów winy Kingdoma? Jedyne, co mógł zrobić w obliczu tylu niewiadomych, to starać się opanować strach i powściągnąć język.

- Zresztą - ciągnęła Zohra - jakie to ma znaczenie? Co komu przyjdzie z naszego zdjęcia?

- Nie wiem. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się uspokajająco. - Pewnie nic. Masz rację. Zapomnijmy o tym.

Ale rozum podpowiadał mu coś wręcz przeciwnego. Utrwał ten moment. Zapamiętaj wiernie każdy szczegół, żebyś później, w kulminacyjnej chwili, której pragniesz równie mocno, jak się obawiasz, potrafił określić czas i miejsce, gdy ostatecznie przemogłeś strach. Opanowanie odzyskane teraz mogło nie mieć żadnego znaczenia w godzinie ostatecznego rozrachunku. Ale przynajmniej będzie go podtrzymywać do końca. Jakikolwiek ten koniec będzie.

XXXVIII

- Trzeba się z tym pogodzić, Harry - powiedziała Jackie z szelmowskim uśmiechem, podając mu filiżankę kawy i pozwalając, by jej kolano dotknęło jego uda. - Oboje jesteśmy za starzy, by zaczynać życie od początku.

- Sądziłem, że to właśnie oznacza twój powrót do Swindon - odrzekł Harry, biorąc filiżankę i odsuwając się na drugi koniec sofy.

- Skąd.

Jej uśmiech stał się napięty, potem zniknął zupełnie. Zapaliła papierosa, wydmuchnęła dym w kierunku oświetlonego punktowo sufitu, po czym oparła się o poduszki.

- Wręcz przeciwnie.
- Żałuję, że się rozminęliśmy z twoim mężem.

Harry nie był pewien, dlaczego zadaje sobie trud wyrażania żalu. Sądząc po urządzonym bez smaku drogim domu na południowo-wschodnich przedmieściach Swindon i skwaszonym, pozbawionym wdzięku obliczu, jakie prezentował na ślubnych fotografiach, Tony Oliver, przedsiębiorca i sportsmen, stanowczo nie należał do ludzi, których Harry pragnąłby poznać. Z drugiej strony przez jego niespodziewany wyjazd do Frankfurtu Jackie nie miała co zrobić z weekendem. Harry odniósł nieprzyjemne wrażenie, że to on ma go ożywić. Wydawało się coraz mniej prawdopodobne, by plany Jackie kończyły się na obiedzie i uprzejmej konwersacji o dawnych czasach.

- Często wyjeżdża?
- Przynajmniej raz w miesiącu.
- To musi być dla ciebie przykre.

Jackie zignorowała uwagę. Rzuciła Harry'emu znudzone spojrzenie, sugerujące, że spodziewała się po nim czegoś więcej, niż prawienia naciąganych banałów.

- Więc sam nigdy nie myślałeś o małżeństwie?
- Myślałem. Ciągle o tym myślę.

Roześmiała się.

- Czasem żałuję, że sama zdecydowałam się tak szybko.
- Małżeństwo chyba ci służy. - Harry wskazał gestem salon wyściełony kosztownym kremowym dywanem. - Daleko odeszłaś od sklepu z artykułami żelaznymi twojego ojca.

- Wiedziałam, że będziesz pamiętał.
- No cóż, znamy się wiele lat. Sama tak mówiłaś.

To musiało być wiosną 1968, pomyślał, mniej więcej w tym czasie, kiedy Ramsey Everett wykonał swój śmiertelny skok z okna w Oksfordzie, gdy dwiętnastoletnia Jacqueline Fleetwood o długich blond włosach i w nieprzyzwo-

icie krótkich spódniczkach zaprezentowała po raz pierwszy swoje nie istniejące umiejętności sekretarskie tudzież obfite wdzięki w Barnchase Motors. Harry osobiście przyjmował ją do pracy, przez co w pewnym sensie stał się równie winny temu, co ostatecznie wynikło z owej rozmowy, jak jego współnik-kobieciarz.

- Nie wiesz, co u Barry'ego? - odezwał się, zanim sobie uświadomił niedelikatność pytania.

- Nie. - Po twarzy Jackie przemknął zagadkowy tęskny uśmiech. - Zupełnie straciliśmy kontakt. Po rozwodzie rozkręcał jakiś interes na Wyspach Kanaryjskich. Ale to było pięć lat temu. Od tamtej pory nie wiem.

Wyraz twarzy Jackie sugerował, iż nic jej to nie obchodzi. Harry przyznawał przed samym sobą, że dobiegając czterdziestki, była nadal równie atrakcyjna pod względem fizycznym, co w wieku lat dziewiętnastu. Puszysty kaszmirowy sweter i spódnica odsłaniająca długie nogi nie pozostawiały co do tego wątpliwości.

- A ty, Harry? Co robisz, odkąd wróciłeś?

- Właściwie nic. Próbuję jakoś ułożyć sobie życie.

- Widziałeś się ostatnio z Dysartem?

Pytanie zaskoczyło go tak bardzo, że przyznał się od razu.

- Tak.

- Utrzymujecie stały kontakt?

- Aha.

- Tak myślałam.

Jackie nachyliła się, upiła łyk kawy, w zadumie przesunęła palcem o szkarłatnym paznokciu wokół spodka, potem wyprostowała się i głęboko zaciągnęła papierosem.

- Masz szczęście, że ci się trafił taki wpływowy przyjaciel.

- Tak, chyba tak.

- Jak sądzisz, pamięta mnie jeszcze?

- Na pewno.

Spojrzenie Jackie powędrowało ze szklanego blatu stołu na twarz Harry'ego i zatrzymało się na niej przez chwilę, taksując ją w skupieniu.

- A może - powiedziała w końcu - mógłbyś nas sobie przypomnieć.

- Słucham?

- Coś zrobić, żebyśmy się spotkali z Alanem po tych wszystkich latach.

O co naprawdę chodziło Jackie? Harry'emu nie chciało się wierzyć, by jej zamiary przedstawiały się tak, jak podejrzewał. Czyżby drugi mąż przestał już być użyteczny? Czy Harry został zaproszony na obiad pod jego nieobecność po to, by odegrać rolę pośrednika między Jackie i jej świetlaną przyszłością w roli żony lub kochanki znanego polityka?

- Barry nie lubił Alana, pamiętasz? - ciągnęła. - W każdym razie mu nie ufał. Nie wiem czemu. Miałam wrażenie, że coś między nimi zaszło, ale nigdy nie poznałam szczegółów. Zresztą to kłopot Barry'ego, nie? Nas nie dotyczy.

- Nie - odparł Harry bez przekonania. - Chyba nie.

- Więc mógłbyś jakoś zorganizować spotkanie?

- Bo ja wiem...

- To nic trudnego. - Przełożyła papierosa do prawej ręki; lewa sunęła w jego stronę. - Będę ci bardzo wdzięczna. - Leniwy uśmiech sugerował, że jej wdzięczność może przekroczyć wszelkie granice. - Naprawdę bardzo.

Przed obiadem oprowadziła Harry'ego po pokojach wyposażonych w szereg kosztownych udogodnień. Przypomniawszy sobie sypialnię wyścieloną grubym dywanem, z lustrami na ścianach. Przez mgnienie, ale nie dłużej, na scenie pojawiła się Jackie: naga, bezwstydnie rozciągnięta na łóżku, przywoływała go gestem. Naraz, niby budzik wyrywający ze snu, odezwał się telefon.

- Cholera. Przepraszam cię na chwilę. To może być coś ważnego. - Pośpieszyła do aparatu przez rozległą przestrzeń pokoju. Długie nogi lekko ocierały się o siebie, kształtne pośladki poruszały się zgrabnie pod cienkim materiałem spódnicy; Harry czuł raczej ulgę niż żal, że im przerwano.

- Halo?... Kto?... Ależ tak, oczywiście... Chwileczkę...

Podeszła do sofy z telefonem w ręce.

- Do ciebie. - Pogardliwe skrzywienie warg. - Twoja matka.

Wyglądało na to, że prośba Jackie nie będzie ostatnią niespodzianką tego dnia.

- Tak, mammo?

- To ty, Haroldzie?

- Oczywiście że ja.

- Mógłbyś zaraz wrócić do domu?

- Prawdę mówiąc...

- Jakiś młody człowiek koniecznie chce się z tobą widzieć. Mówi, że to niezwykle pilne. - Zniżyła głos do szeptu. - Wygląda na bardzo zdenerwowanego, Haroldzie. Powiedział, że się nie ruszy, póki nie przyjdiesz. Koniecznie musi ci coś przekazać.

- Jak się nazywa?

- Jaka się tak strasznie, że szczerze mówiąc nie zrozumiałam.

- Będę za dziesięć minut. - Harry już się podnosił z miejsca. - Zatrzymaj go, póki nie wrócę.

- Więc to takie ważne?

- Tak, mammo. Myślę, że tak.

XXXIX

Kubek mocnej herbaty, do której dolano ukradkiem whisky, wywarł zba-
wienny wpływ na Nigela Mossopa. Po chwili pot przestał mu spływać po twarzy,
jąkanie nieco osłabło, a kończyny przestały drżeć. Harry siedział naprzeciw niego
w kojącym półmroku matczynego saloniku, czekając z całą cierpliwością, na jaką
się mógł zdobyć, aż Mossop stanie się na powrót panem swego ciała, jeśli nie
swego losu. W końcu jego wyrozumiałość została nagrodzona.

- P-przepraszam, że cię n-nachodzę... w ten sposób, H-Harry.

Były to pierwsze zrozumiałe słowa Mossopa, odkąd Harry wrócił do domu.

- To ja powinienem przeprosić, że cię wpakowałem w kłopoty.
- N-nie. Powinienem... powinienem p-przeciwstawić się Royowi.

Harry z trudem umiałby sobie wyobrazić równie nieprawdopodobną sytuację, ale chwila nie była właściwa, by wypominać Mossopowi jego słabości.

- Może przychodząc tutaj, właśnie to robisz.

- M-m-mam nadzieję. Widzisz... jutro w p-pracy... trafię na d-d-dywanik... m-mam to jak w banku... Sam wiesz... Jak R-Roy zacznie mi grozić ogniami p-piekielnymi, a na pewno tak zrobi, nigdy... nigdy już... nie będę miał od-odwagi ci powiedzieć.

Co najdziwniejsze, Mossop właśnie dowodził swej odwagi, odwagi najwyższej próby, jeśli uwzględnić fakt, że przez całe życie wykazywał skrajną lękliwość.

- Nie przejmuj się Royem. Ja się nim zajmę.
- Ch-ch-chciałbym... w to wierzyć.
- Jeśli nie wierzysz, po co przyszedłeś?

- Widzisz, m-myślałem... o wszystkim... odkąd Roy wyrzucił mnie z biura w p-piątek. Ja m-muszę ci to powiedzieć, Harry.

Każdy mięsień w ciele Mossopa był sztywny z napięcia. Szaleńcze mruganie oczami zdradzało ledwie skrywaną panikę. A jednak kryła się w nim również niezwykła, godna pochwały determinacja; zdecydowanie, którego Harry nigdy by się po nim nie spodziewał.

- M-muszę ujawnić p-prawdę... Jestem to winien Heather... R-ro-zumiesz?
- Tak, rozumiem. Po prostu zacznij od samego początku.

- Jak... jak we wszystkich d-dobrych historiach... tak? - Mossop spróbował się uśmiechnąć. - No więc... więc m-miałeś r-rację... co do Heather... To prawda... bardzo ją lubiłem. Rzadko spotyka się kogoś kto jest dobry... do samego środka... a ona taka była... jest. P-przyszła do n-nas w kwietniu... i od tamtej pory p-pracowaliśmy... razem. Po-lubiłem ją... lubiłem ją bardzo... ale wiedziałem... wiedziałem, że ona stara się po prostu być miłą... nic we mnie nie widziała... tylko

było jej mnie ż-ż... było jej żal. - Zwiesił na chwilę głowę, potem mówił dalej z nieco większym opanowaniem. - Nie martw się, Harry, to nie będzie żadna... łaźnia opowiastka. Czy za twoich czasów... dzi-dzierżawiliśmy już Cambridge Road?

Mossop miał na myśli niewielki skład na przedmieściach Weymouth, należący do Granby Industrial Estate, wynajęty przez Mallender Marine z inicjatywy Roya, by zwiększyć powierzchnię magazynową. W swoim czasie Harry odniósł się niechętnie do tego pomysłu, co spotkało się z chłodnym przyjęciem.

- Tak. Dobrze pamiętam.

- Dalej go wynajmujemy... chociaż, o ile wiem, wcale nam nie jest potrzebny. - Harry domyślał się przyczyny: przyznawanie się do błędów nie należało do mocnych stron Roya. - Trzymają... trzymają tam teraz zepsute maszyny i... stare papieryska, których nikomu nie chce się przejrzeć, żeby zobaczyć, co trzeba zostawić... a co wyrzucić. Prawdziwa... prawdziwa graciarnia.

- Wyobrażam sobie.

- Rzadko... rzadko kto tam chodzi. Ale w lecie ubiegłego roku... wiesz, jaki mieliśmy wtedy zastój... gdzieś pod koniec czerwca Pickard wpadł na w-wspaniały pomysł. - Mossop zmarszczył brwi. - Pamiętasz Pickarda, prawda?

Pickard - niekompetentny lizus - został zatrudniony na stanowisku kierownika biura niedługo przed zwolnieniem Harry'ego.

- Jak mógłbym zapomnieć?

- Uznał, że trzeba w końcu przejrzeć... papiery z Cambridge Road... i je dokładnie posegregować... Wybrał do tej roboty... mnie i Heather. Więc... pojechaliśmy tam. Właściwie... całkiem przyjemne zajęcie. Tylko nas dwoje, grzebiących w starych papierach... bez nikogo kto by nad nami stał. Większa część to były bezwartościowe ś-śmieci. Niektóre sprzed ładnych... paru lat. Znalazłem nawet notatki pisane przez ciebie. To mnie skłoniło... skłoniło do opowiedzenia Heather o twoim zwolnieniu... jak Roy to zaaranżował, bo cię nie lubił. Myśl, że jej b-brat mógł się zachować... w taki sposób... całkiem ją z-zaskoczyła. Ale, jak się oka-

zało, czekało ją... czekało ją większe zaskoczenie. Wśród nowszych... znaleźliśmy całe mnóstwo notatek z ostatniego roku, d-dotyczących kontraktu z Phormio. To ostatnie... ostatnie przedsięwzięcie marynarki. Pracują nad tym w P-Portland. Ściśle tajne. Nie myśl... że znaleźliśmy jakieś sekrety. Tylko szczegóły... oferty złożonej przez Mallender Marine w sprawie d-dostarczenia pewnych... urządzeń elektronicznych. Nic w tym... nic w tym dziwnego. Dokopaliśmy się też do samego kontraktu... jednego z najbardziej lukratywnych... od wielu lat... jak już o tym mowa. I to cały kłopot. Między dokumentami... znalazłem notatki, jakie wymieniali ze sobą Roy i Charlie, dotyczące c-ceny, jaką mają zaoferować... Na jednej były uwagi... d-dodane charakterem Roya... dowodzące j-jasno... dowodzące, że...

- Chodziło o łapówkę?

- Tak. To znaczy... N-nie... Nie łapówkę, o ile zrozumiałem. Ale z p-pewnością... k-k-k...

- Korupcję?

Twarz Mossopa poczerwieniała z wysiłku, kiedy starał się dokończyć zdanie samodzielnie.

- Tak. Korupcję. To musiało być to. Nie dało... nie dało się tego inaczej odczytać. N-notatka była datowana na d-dwudziestego d-drugiego czerwca... ofertę mieli złożyć do końca miesiąca. Zawierała c-ceny, które pro-proponowaliśmy dla każdej s-sekcji kontraktu. W końcu przyznano nam w-wszystko. Trzymałem w rękach notatkę, która wymieniała je po kolei. Na g-górze Roy napisał wiadomość do ojca, z datą d-dwudziestego trzeciego czerwca, tuż przed wysłaniem oferty... tak myślę.

- Co takiego pisał?

Mossop zdobył się na uśmiech.

- Była na tyle krótka, że nawet ja... zapamiętałem ją w całości. „Te ceny sprawiają, że będziemy o pięć procent lepsi od konkurencji w większości kategorii. Tak t-t-twierdzi”...

- Kto tak twierdził, Nigel?

- To były same... same inicjały, Harry, nic więcej... Nic dla mnie nie znaczyły... wtedy... wiedziałem tylko, że nie jest to n-nikt od nas. J-jakiś informator, to oczywiste... Pokazałem kartkę Heather, bo... chciałem p-przedstawić Roya w jak n-najgorszym świetle... i tyle... Taki tylko miałem zamiar... tylko tyle chciałem... Nienawidzę Roya... chciałem, żeby Heather też go znenawidziła... Ale ona poznała inicjały, Harry... Zdawała sobie sprawę, o kogo chodzi... i jakie w-ważne było moje od-odkrycie... Nigdy bym jej tego nie pokazał... gdybym rozumiał, co to oznacza.

- Co to były za inicjały?

W odpowiedzi Mossop wyrecytował bezbłędnie całą notatkę, jaką Roy Mallender napisał do swojego ojca:

- „Te ceny sprawią, że będziemy o pięć procent lepsi od konkurencji w większości kategorii. Tak twierdzi A.D.”

Harry wzdrygnął się - nie tylko fizycznie, ale i w duchu. A.D. mogło oznaczać jedynie Alana Dysarta, członka parlamentu, podsekretarza stanu w ministerstwie obrony, odznaczonego bohatera wojennego, ulubieńca tłumów, cel ataków terrorystycznych, niezawodnego przyjaciela... i współnika Mallenderów. Dwa-dzieścia trzy dni po tym, jak córka Charliego zginęła na pokładzie jachtu Dysarta, Alan najwyraźniej przekazywał tajemnice handlowe Royowi Mallenderowi. Kto inny niż zwierzchnik komisji przyznającej kontrakt mógł zagwarantować, że Mallender Marine go zdobędzie? Ale dlaczego? Dlaczego Alan ryzykował swoją reputację w taki sposób? Mgliste poczucie odpowiedzialności za śmierć Clare Mallender nie mogło być przyczyną. Musiało chodzić o coś więcej.

- Widzę, że też skojarzyłeś inicjały - ciągnął Mossop. - Alan Dysart, p-p-polityk. Heather od razu mi powiedziała... że musi chodzić o niego. Facet, dla którego pracowała jej s-siostra. Bardzo się z-zdziwiłem. Wiedziałem, że Dysart s-służył z Ch-Charliem w marynarce i oddał firmie parę p-przysług, ale... ale nie podejrzewałem go o takie rzeczy. Czyste szaleństwo... To nie miało... nie miało

sensu.

- Jak zareagowała Heather?

- To właśnie n-najdziwniejsze. Jakby potwierdziła... jakieś swoje podejrzenia. Nie wiem, jakie dokładnie, ale wiązały się z jej załamaniem. Uznała notatkę za d-dowód, że miała od początku rację co do swojej siostry. Nie zdradziła nic więcej... Mówiła, że lepiej dla mnie, jeśli nie będę wiedział.

Co takiego Heather wywnioskowała z dokumentu? Odpowiedź musiała mieć związek z jej przekonaniem, że Clare oczekiwała dziecka; przekonaniem, które inni traktowali po prostu jako objaw choroby. Przypadkiem znalazła w archiwum dowód, iż Dysart kupił milczenie jej rodziny ledwie w miesiąc po śmierci Clare. Co innego, prócz chęci ukrycia ojcostwa, mogło sprawić, by Dysartowi zależało na uciszeniu Mallenderów? Na tym etapie Heather nie wiedziała, o ile bardziej złożona jest sytuacja. Nie domyślała się nawet ułamka tego, co miała odkryć już niedługo.

- Co zrobiłeś z notatką?

- Szkoda... naprawdę żałuję... powinniśmy ją byli zniszczyć. Ale Heather postanowiła ją pokazać Royowi. Pewnie chciała udowodnić, że nie była szalona, wierząc w to, w co wierzyła w sprawie swojej siostry. Tak czy inaczej, zaraz potem się rozchorowała. Roy mnie wezwał i powiedział, że d-dostałem... awans. Nie mo... nie mogłem tego zrozumieć. Nic nie... nie wspominał o naszym odkryciu... wtedy ani później. Powiedział, że to n-nagroda za d-długą pracę i l-lojalność. Chciał mi zamknąć usta... oczywiście... rozumiałem to... doskonale. Ale co... co m-mogłem zrobić? Bez Heather... bez dowodów... co mogłem zrobić?

- Nic, Nigel. I co się dalej stało?

- No więc, Heather wróciła po jakichś... jakichś dziesięciu dniach. Zdawała się bardzo... zgaszona... i nic nie wspominała o tym, co się stało. Właściwie... prawie się do mnie nie odzywała. Uznałem... uznałem, że nie chce o tym r-rozmawiać, więc nie... nie naciskałem. B-będziemy się zachowywać, jakby się nic... nic nie stało. Ale potem, w piątek przed w-wolnym poniedziałkiem w sierpniu... zapro-

siła mnie po pracy na drinka. Pierwszy raz spotkaliśmy się tylko we dwoje... od czasu tej roboty w Cambridge Road. To właśnie wtedy mi p-powiedziała... co jej Roy zrobił, kiedy mu pokazała notatkę. Zabrał ją p-prosto do ojca i we dwóch ją zmusili do... jej oddania. Powiedzieli, że źle to wszystko odczytała, nie zna się na interesach i ma o wszystkim zapomnieć, bo inaczej... no, jeśli będzie się kręcić, rzucając bezpodstawne oskarżenia, l-ludzie pomyślą, że powinna w-wrócić do sz-szpitala. Ustąpiła, bo się w-wystraszyła grózb... ale postanowiła p-przeprowadzić dochodzenie na własną rękę... kiedy s-sprawa przycichnie. Nie popełni drugi raz błędu, mówiąc o wszystkim rodzinie, po prostu zobaczy, co się jej uda odkryć. Na początek... poprosiła mnie, żebym ją z-zabrał do Tyler's Hard w weekend. Na pogrzebie Clare poznała przypadkiem g-gospodynię Dysarta i chciała z-zbadać coś, czego się od niej dowiedziała. Roy i Charlie p-pewnie myśleli, że ją wystraszyli i mają spokój, ale... się mylili, Harry... bardzo mylili. To wtedy nabrała... tej determinacji... by ciągnąć dalej swoją własną krucjatę... i widziałem... widziałem, że nic jej nie powstrzyma. Więc, jak mówiłem, zawiozłem ją do Tyler's Hard w niedzielę. Potem już trzymała mnie od wszystkiego z dala. Powiedziała, że... że lepiej, jeśli nie będę wiedział; będę m-mógł udawać, że o niczym nie miałem pojęcia.

- I słusznie.

- Ale ty... ty to odkryłeś, prawda, Harry? Odkryłeś... czego się chciała naprawdę dowiedzieć.

- Tak.

I rzeczywiście, wszystkie elementy znalazły się na miejscu. Powiedzieli Heather, że myli się, twierdząc, iż Clare była w ciąży. Musi być szalona, jeśli sugeruje, że siostrę zamordowano. Ale reakcja Roya i Charliego, gdy przedstawiała dowody odkryte przypadkowo przez Mossopa, potwierdziła jej podejrzenia. Z początku sądziła pewnie, że podąża tropem Dysarta. Pani Diamond, Will Morpurgo i Cyril Ockleton, Rex Cunningham. Potem celem stał się Jack Cornelius; w tym momencie korupcja w Mallender Marine musiała się zdawać fałszywym

tropem. Potem wielebny Waghorne i dowód, iż Clare nosiła dziecko Corneliusa. Ale Heather rozmawiała z Waghorne'em osiemnastego września. Zgodnie z tym, co mówił Kingdom, jedenastego października była już skłonna przyznać, że uległa złudzeniu: to wtedy zalecił jej kurację i odpoczynek na Rodos. Co spowodowało tak nagłą zmianę?

- Powiedz mi, Nigel, kiedy ostatni raz widziałeś Heather?

- No więc, przestała... przestała pracować w Mallender Marine... na początku października. Nie pamiętam... dokładnej daty, ale to... to m-musiałoby być wtedy. W p-pierwszym tygodniu października.

Nagle Harry przypomniał sobie, co mówiła Marjorie Mallender o okolicznościach, w jakich Heather przerwała pracę. „Nawrót, który nastąpił w październiku... Dlatego opuściła Mallender Marine”. Jaki nawrót? Kingdom nigdy o tym nie wspominał. Dość niezwykły nawrót, skoro nie wie o nim nawet lekarz. I jeszcze jedno... Następna fotografia po plebani w Flaxford przedstawiała jakiś urząd. Drogowskazy. Zaparkowane samochody. Powinien pomyśleć o tym wcześniej. Z pośpiechem sięgnął do kieszeni i przekartkował fotografie w poszukiwaniu tej, o którą mu chodziło, po czym przysunął lampę stojącą obok krzesła i przyjrzał się zdjęciu dokładniej. Tak. Dopiero teraz zwrócił uwagę na znaki, które powinien dostrzec wcześniej. To nie był zwykły urząd. W oknach miał kraty.

Niecałą godzinę później znaleźli się na miejscu. Vauxhall przypomniał sobie wspaniałą młodość i powiózł ich trasą M4 z prędkością grożącą zgubieniem podwozia. Challenbrooke Hospital, surowy budynek z czerwonej cegły i drewna, wznosił się na pochyłym brzegu Tamizy na wschód od Maidenhead. „Wstęp tylko dla osób umówionych wcześniej” - głosiła tablica na końcu podjazdu. Ale Harry nie potrzebował wchodzić za bramę. Nawet z odległości kilkuset metrów widział, że to Challenbrooke Hospital stanowił obiekt z dwunastej fotografii.

- Dlaczego... dlaczego tutaj przyjechaliśmy? - spytał Mossop.

- Ponieważ w ten sposób ostatecznie ją przekonali. Tym jej grozili. Zostanie tutaj tak długo, aż przyzna, że to, co wie jest złudzeniem. Kto raz oszaleje pozostaje szalony na zawsze, szczególnie gdy tak twierdzi jego rodzina. To właśnie musieli jej powiedzieć. I słusznie im uwierzyła.

- Nie... nie rozumiem.

- Nie szkodzi. Heather miała rację: lepiej, żebyś nie wiedział.

Pod chmurnym niebem widok zdawał się jeszcze bardziej przygnębiający. Na fotografii też wszystko było szare - w dniu, kiedy Heather przyjechała tutaj, by zobaczyć, co ją czeka, jeśli dalej będzie się upierała przy swojej pogoni za prawdą.

- Zapłacą za to - mruknął Harry. - Obiecuję.

- Co?

- Nieważne.

- Ale co... co t-teraz z-zrobimy?

Harry uspokajająco poklepał go po ramieniu.

- My? Nic. Ty wrócisz do domu i, jeśli zechcesz posłuchać mojej rady, zadzwonisz jutro do firmy, że jesteś chory. To nam da parę dni zwłoki. Jedź na ryby. Poczytaj jakąś książkę. Obejrzyj film. Rób, co chcesz, ale nie wracaj do Malender Marine, zanim dam ci znać.

- J-jak długo to potrwa?

- Póki nie usłyszę wersji Dysarta. Wiele mu zawdzięczam. Ale tym razem on też jest mi coś winien.

XL

Minęło czterdzieści osiem godzin, nim Dysart znalazł dla Harry'ego chwilę czasu w wirze spotkań i przemówień. A jednak w Harrym, kiedy podążał prostym jak strzała korytarzem ministerstwa obrony za gorylem w garniturze z tenisu, narastało wrażenie rosnącej prędkości, jak gdyby zwłoka ani żadne przeszkody

nie były w stanie spowolnić jego postępów. Tu, gdzie powinien się czuć najbardziej obco, gdzie drzwi zamykające się niemal bez szmeru i ciche, przytłumione głosy symbolizowały rzadko używaną, ale miazdzącą potęgę, mogącą się zwrócić przeciw niemu, czuł jedynie beztroską pewność celu, odurzającą siłę umysłu i woli. To wrażenie, odkryte w życiu tak późno, kojarzyło mu się z poczuciem misji.

Poczekalnia; wyniosła sekretarka; potem następny pokój i chłodny, powściągliwy urzędnik; w końcu „wewnętrzny apartament pana Dysarta”: wykładany ciemnym drewnem, z dywanem w poważnych brązowych barwach, stosy papierów na tekowych blatach, półki z książkami wznoszące się do sufitu za szybkami oprawnymi w ołów, głęboki dźwięk antycznego zegara, a za trzema wysokimi oknami zmierzch zapadający nad Londynem i odległe reflektory samochodów przemykających za gęstniejącą zasłoną mżawki.

- Witaj, Harry.

Uścisk dłoni był równie pewny jak zawsze, uśmiech równie ciepły. Może tylko ciemne smugi pod oczyma Dysarta świadczyły o zmęczeniu, tylko leciutkie niezdecydowanie w jego wzroku zdradzało, że wie, co Harry ma do powiedzenia.

- Wybacz, nie mogłem się z tobą zobaczyć wczoraj. Przez całe popołudnie tkwiłem na jakiejś nadzwyczajnej naradzie.

- Nic się nie stało.

- Odniosłem wrażenie, że sprawa jest bardzo pilna. - Uniesieniem brwi zachęcił Harry'ego do potwierdzenia. - Siadaj. Drinka?

- Nie, dzięki. - Harry jeszcze przez chwilę chciał być zupełnie trzeźwy. Usiadł w fotelu; poczuł, jak otula go kosztowna skóra. - Prosiłeś, żebym się z tobą skontaktował, gdy tylko się czegoś dowiem - zaczął niepewnie.

- O dobrym doktorze Kingdomie?

- Nie. Nie o Kingdomie. To znaczy, o nim jeszcze nic się nie dowiedziałem. Natrafiłem na coś... innego.

- Jeśli chodzi o Jacka Corneliusa...

- Nie. To dotyczy... - Harry przeniósł spojrzenie na drugi koniec pokoju. Prawie całą ścianę zakrywał obraz w ozdobnych ramach, tak wielki i ciemny, że mógłby stanowić wejście do jaskini. - To dotyczy ciebie, Alanie.

Dysart nic nie powiedział. Stał przy oknie obok drewnianej szafy na akta. Teraz oparł się o nią, lekko uniósł głowę i skrzyżował ręce na piersi. Wyglądało na to, że nie zamierza zachęcać Harry'ego ani mu przerywać: miał mówić nie ponaglany, z własnej inicjatywy.

Najobojętniej, jak potrafił, wyrecytował fakty, które odkrył w czasie swoich poszukiwań: słowa wielebnego Waghorne'a, że Clare Mallender była w ciąży z Jackiem Corneliusem, i zeznania Nigela Mossopa świadczące, iż Dysart przekazywał Mallenderom tajemnice handlowe. W niczym nie przesadził. Niczego nie pominął. Gdy skończył i podniósł wzrok, by ocenić reakcję Dysarta zobaczył, że ten uśmiecha się kącikiem ust, jak gdyby z dobrego żartu. Temu wysokiemu, przystojnemu, elegancko ubranemu mężczyźnie, słynącemu z bogactwa i uczciwości, słowa Harry'ego mogły grozić ruiną - a jedynym, na co potrafił się zdobyć w odpowiedzi, był zmęczony uśmiech.

- Rozumiesz, o czym mówię?

- Naturalnie. - Dysart odwrócił się do okna i skinął na Harry'ego, by się do niego zbliżył.

Zmierzch niepostrzeżenie przechodził w noc nad neonami i bursztynowymi światłami Londynu. Tamiza stała się nie więcej niż zatoką mroku, tłem dla świateł samochodów jadących nabrzeżem; na południu oświetlona znajoma sylwetka Big Bena wznosiła się nad budynkiem Parlamentu.

- Nie potrzebujesz mnie, Harry, by zrozumieć, że korupcja zawsze gościła w tym pałacu demokracji. Malwersacje, sprzeniewierzenia; ma wiele imion. Wielu ludzi jest w nią zamieszanych, tylko nielicznych udaje się zdemaskować.

- Ja rozumiem. Nie jestem głupcem. Nie sugeruję, że wzięłaś łapówkę. Heather też tego nie sugerowała, prawda?

- Nie. Też nie. - Dysart westchnął ciężko. - Proszę, napij się. Obaj potrzebu-

jemy czegoś mocniejszego.

- Zgoda.

Harry ze swoim drinkiem usiadł znowu w fotelu. Dysart, tuląc szklaneczkę do piersi, przechadzał się przed nim, mówiąc cicho i bez pośpiechu.

- Heather przysłała do mnie podobnie jak ty teraz i poprosiła o wyjaśnienie tego, co wydawało się jej tak niezrozumiałe. Sądziłem, że uniknę wyznania jej prawdy o siostrze i chyba myślałem, że ukryję ją również przed tobą. Myliłem się w obu wypadkach. Może powinienem był ci powiedzieć wcześniej. Jeśli tak, przepraszam.

- Więc Clare była w ciąży?

- Tak. Z Jackiem Corneliusem, zdaje się. Nie miałem pojęcia, że byli ze sobą tak blisko. Co za ironia losu: to ja ich sobie przedstawiłem na jakiejś konferencji ze cztery lata temu. Jednak do chwili, kiedy Heather odkryła prawdę nie miałem wątpliwości, że są tylko znajomymi. Imię Jacka nawet nie przyszło mi na myśl, gdy Clare powiedziała mi o swoim stanie.

- Kiedy to zrobiła?

- W Skein of Geese, kiedy byliśmy tam ostatni raz. Zdziwiłem się, ale to wszystko; nie obchodziło mnie jej prywatne życie. W każdym razie tak sądziłem. Jednak jak się okazało, chodziło jej o więcej, niż zaklepanie sobie urlopu macierzyńskiego. Znacznie więcej. Powinienem wyjaśnić: parę lat temu był taki moment, kiedy nasze stosunki zawodowe mogły się przerodzić w bliższą znajomość. Virginia i ja przeżywaliśmy trudny okres. Nawal pracy sprawiał, że częściej widywałem Clare niż własną żonę. A Clare... no cóż, Clare była jedną z najambitniejszych osób obu płci, jakie znałem. Zostanie moją kochanką doskonale odpowiadało jej planom. Ale nie doszło do tego, ani wtedy, ani później. Nigdy... ani razu się nie kochaliśmy. Podkreślam ten fakt, bo pozwoli ci on zrozumieć, jak bardzo się zdziwiłem, kiedy Clare mi oznajmiła, że jest w ciąży i jeśli nie zgodzę się na jej warunki, ogłosi publicznie, iż to ja jestem ojcem dziecka. Trzeba jej oddać sprawiedliwość: wykombinowała to znakomicie. Do wyborów

pozostał niecały miesiąc. Dzięki Minterowi miała zagwarantowane z góry, że jej rewelacje znajdą się na pierwszych stronach gazet już w niedzielę. Oczywiście mogłem wszystkiemu zaprzeczyć, a badanie krwi podważyłoby jej zarzuty, ale i tak przepadłbym w wyborach, a moje szanse na stanowisko w gabinecie wzięłyby w łeb. Cenę miała stanowić nie ustalona jeszcze, ale znaczna suma pieniędzy, a w dalszym ciągu, po dyskretnej aborcji, moje energiczne poparcie jej kandydatury do parlamentu. Ni mniej, ni więcej. Wspominałem, że nie brakowało jej ambicji, prawda?

- I co zrobiłeś?

- Księżę Wellington byłby ze mnie dumny, Harry. Powiedziałem: niech to opublikuje i idzie do diabła. Prawdę mówiąc, trochę jej współczułem. Byłem pewien, że to Minter ją podjudził, i prawie pewien, że on jest ojcem dziecka. Bóg wie, mogłem sobie pozwolić, by dać jej te pieniądze, i nie miałem nic przeciwko poleceniu jej na wakujące miejsce w parlamencie, ale w żadnym wypadku nie zamierzałem ulegać szantażowi. Kto wie, czym by się to skończyło. Nie, powiedziałem, niech robi, co chce. Nie wstydzę się przyznać, że przeżyłem parę niespokojnych tygodni, czekając na ruch Clare. Parę razy próbowałem jej przemówić do rozsądku. Nawet tego ostatniego ranka w Tyler's Hard. Co dziwne, odniosłem wrażenie, że naprawdę zaczęła się zastanawiać. Oczywiście parę minut później nie miało to już najmniejszego znaczenia. Bomba wybuchła, ona i dziecko, które nosiła, zginęli, a mnie zaprzętało co innego niż próba szantażu.

- Jaką rolę odegrało w tym wszystkim Mallender Marine?

- W tym cały problem. Po śmierci Clare Mallender stała się własnością publiczną: męczennicą, bohaterką, niemal czymś w rodzaju świętej. Ofiarna sekretarka, która oddała własne życie za pracodawcę. Znalazła się poza zasięgiem krytyki. Nie próbowałem walczyć, cóż innego mi pozostało? Byłem szczerze wstrząśnięty tym, co się wydarzyło. Naprawdę tego nie pragnąłem. Chciałem usunąć z pamięci nasze ostatnie spory. Pojechałem na pogrzeb do Weymouth, nawet wygłosiłem przemówienie. Zrobiłem wszystko, czego po mnie oczeki-

wano. Złożyłem jej hołd, jak na to zasługiwała. Tuż po pogrzebie Roy wziął mnie na stronę i zastosował własne środki nacisku. Jak się wydaje, Clare pisała do matki na parę dni przed śmiercią; wyznała, że oczekuje dziecka, wymieniła mnie jako ojca i oznajmiła, iż nakłaniałem ją do usunięcia ciąży. Pewnie w ramach przygotowań do swojego wielkiego występu. Znasz Roya: jest równie bezwzględny, jak jego siostra była ambitna. Zawsze mnie nienawidził, bo osiągnąłem większość rzeczy, których Charlie pragnął dla niego - gdyby Roy był zdolny je osiągnąć. Chciał wyrównać rachunki. Przekaze list prasie, jeśli nie podam Mallender Marine kontraktu z Phormio na talerzu. To brzmiało znacznie poważniej niż groźby Clare. Teraz, kiedy nie żyła, jakakolwiek sugestia, że odmówiłem jej pomocy stawała się podwójnie groźna. Niczego nie dało się udowodnić. Wszelkie zaprzeczenia z mojej strony brzmiałyby fałszywie w świetle przypadkowego poświęcenia Clare. Wybory za niecały tydzień. Byłem gotów przeciwstawić się żywej Clare, ale wiedziałem, że nie mam szans z jej pośmiertnym wizerunkiem.

- Więc zgodziłeś się na żądania Roya?

- W końcu tak. Ale najpierw odwołałem się do Charliego. Zaklinałem, żeby pohamował Roya, zarówno ze względu na Clare, jak i na mnie samego. Ale on nie mógł przestać mnie obwiniać o śmierć córki, nawet jeśli publicznie twierdził co innego, a poza tym Mallender Marine popadło w kłopoty finansowe. Zdobycie kontraktu z Phormio zdawało się jedynym sposobem, by utrzymać wierzycieli na dystans. Więc nawet jeśli chciał, nie mógł sobie pozwolić na litość. Nie miałem wyboru. Pozostawało mi albo wycofać się z życia publicznego i zrezygnować ze wszystkiego, co zamierzałem w nim osiągnąć, albo oddać Mallender Marine tę jedną przysługę. Bóg wie, nie była to wielka sprawa w porównaniu z tym, co się wyprawia z kontraktami w ministerstwie obrony. Zarówno Roy, jak i Charlie wiedzieli, że kontrakt w Phormio leży w mojej gestii i będzie mi łatwo zapewnić im wygraną. Zgodziłem się. Parę tygodni później podpisali kontrakt, a ja otrzymałem w zamian list Clare do matki. Zniszczyłem go i próbowałem wymazać cały ten upiorny epizod z pamięci. Szczerze wierzyłem, że sprawa jest zamknięta.

- Ale zapomniałeś o Heather?

- Tak. Podobnie jak jej rodzina. Dopiero po załamaniu wyszło na jaw, że Clare powiedziała siostrze o swoim stanie. Wtedy już, oczywiście, należało za wszelką cenę utrzymać pozory, iż nie było to prawdą, w przeciwnym razie rodziło się pytanie, dlaczego całą sprawę utrzymywano w tajemnicy. Nie miałem pojęcia o ich zмовie milczenia. Wiedziałem tylko, że Heather jest chora, to wszystko. O jej śledztwie usłyszałem pierwszy raz, kiedy przedstawiła mi jego wyniki. Najwyraźniej podążała tym samym tropem co ty, chociaż wtedy nie chciała mi zdradzić, jak doszła do swoich wniosków. Ustaliła, że Clare była w ciąży, dowiedziała się, jaką rolę odegrałem w zdobyciu przez Mallender Marine kontraktu z Phormio, i zidentyfikowała Jacka Corneliusa jako kochanka Clare. Nie udało się jej odkryć tego, na czym - jak sądzę - zależało jej najbardziej: dowodów, że Clare została zamordowana. Ale i bez tego jej rewelacje, z punktu widzenia rodziny, zdawały się dostatecznie niebezpieczne. W związku z tym zagrozili, że ją odeślą do szpitala jeśli nie zapomni o wszystkim, czego się dowiedziała. Widzisz, przyszła do mnie z czymś więcej niż oskarżeniem. Przyszła po pomoc.

- I pomogłeś jej?

- O tyle, o ile leżało to w mojej mocy. Powiedziałem jej prawdę na temat siostry. Wyjaśniłem, dlaczego pomogłem Mallender Marine. Zabrałem ją do Tyler's Hard, by mogła zobaczyć Willa Morpurgo i przekonała się, że nie jest zdolny skrzywdzić muchy. Zaaranżowałem nawet spotkanie z oficerem policji, który prowadził śledztwo w sprawie śmierci Clare, żeby mogła sama ocenić dowody obciążające IRA. Zaprosiłem ją do Devon na weekend ze mną i Virginią, by się przekonała, że nasze małżeństwo jest szczęśliwe i nie wystawiałbym go na szwank dla flirtu z Clare. Obiecałem, że będę interweniował, jeśli rodzina będzie ją próbowała umieścić na powrót w szpitalu. Zasugerowałem, aby we własnym interesie i wszystkich pozostałych zapomniała o całej sprawie. I zaproponowałem jej pobyt w Villa ton Navarkhon, by przemyślała to wszystko. Ostatni raz widziałem się z nią na parę dni przed jej odlotem na Rodos; wydawała się skłonna

przyjąć moją radę.

- A potem?

- Potem? No cóż, Harry, koło zatoczyło pełny obrót. Wyjechała na Rodos. Spotkała ciebie. Jedenastego listopada zaginęła. I nadal nie jesteśmy mądrzejsi, nadal znajdujemy się o tysiące mil od odkrycia, co się wydarzyło tamtego dnia.

XLI

Harry szedł wolno na północ wzdłuż Victoria Embankment; chłód nadchodzącej nocy i gęstniejąca mżawka przenikały go do szpiku kości. Po lewej samochody gnały przed siebie bezmyślnie. Z prawej pluskała niewidoczna Tamiza. Gdyby się odwrócił, ujrzałby jeszcze wysokie okna ministerstwa obrony. Przed nim rozciągało się niezbadane królestwo mroku i niezdecydowania.

Alan Dysart nie był oczywiście złym człowiekiem. Ale nie okazał się ani tak nieskazitelny, ani tak dalekowzroczny, jak Harry uważał dotychczas. Z jednej strony Harry poczuł ulgę, że jego przyjaciela można przestraszyć i zmusić do zawstydzających czynów. Z drugiej jednak strony się rozczarował: dowiedział się, że człowiek, którego uważał za niezłomnego, wcale taki nie jest.

Nie winił Dysarta za uleganie żądaniom Roya. W podobnych okolicznościach sam zrobiłby pewnie to samo. Przestępstwo nie było poważne. Podatnicy nic nie stracili. Nie narażono niczyjego życia, nie poświęcono niczyjej kariery. Dysart zrobił wszystko dla naprawienia błędu: pomagając Heather, dając zatrudnienie Harry'emu, dowodząc, że opinie o jego hojności nie są bezpodstawne.

- Porozmawiam z moim odpowiednikiem w ministerstwie spraw wewnętrznych. To zagwarantuje, że policja oszczędzi ci dalszego niemiłego zainteresowania. Co do młodego Mossopa, wysunę jego kandydaturę do Służby Pomocniczej. Zmiana pracy dobrze mu zrobi. Przy okazji upewnię się, czy Roy rozumie, że nie powinien wywierać nacisku na niego ani na ciebie.

Więc problem miał zostać rozwiązany w taki sposób. Whisky z wodą sodową,

miękkie fotele, łagodnie oświetlony pokój, w którym od dziesiątków lat ubijano interesy; wpływy, poparcie, kompromisy, protekcja; czy nie istniał inny sposób? Skoro Harry nie pochwalał zachowania Dysarta, jak powinien zareagować na tę jego propozycję, wymagającą zaledwie tyle wysiłku, by szepnąć prośbę we właściwe ucho?

- Jeśli miejsce pobytu Kingdoma jedenastego listopada nadal nie jest znane, czas zwrócić na niego baczniejszą uwagę. Wystarczy, gdy powiem, że mamy sposoby, by ustalić, czy znajdował się wtedy na Rodos, jeśli tylko podróżował samolotem i pod własnym nazwiskiem. Co do Jacka Corneliusa, można przeprowadzić dyskretny wywiad w Hurstdown Abbey i sprawdzić powody jego nieobecności w okresie, który nas interesuje. Więcej chyba nie mogę zrobić półoficjalnie, ale to wystarczy, prawda?

Oczywiście że tak. Nie było co do tego wątpliwości. Prawdę mówiąc, sposoby zdobycia informacji, jakimi dysponował Dysart, sprawiały, że nieudolne wysiłki podejmowane przez Harry'ego zdawały się beznadziejnie niepotrzebne. Może to właśnie napawało go taką niechęcią: sugestia, że teraz, gdy doszedł tak daleko, będzie lepiej, jeśli przekaże sprawę w inne, sprawniejsze ręce; że zrobił wystarczająco dużo. Zasłużył na zejście z pierwszej linii i odrobinę wygód.

- A może przyjechałbyś na święta do Devon, Harry? Nie widziałeś jeszcze Strete Barton, prawda? Virginia byłaby zachwycona, widząc cię znowu po tylu latach.

Entuzjazm Virginii istniał oczywiście tylko w wyobraźni Dysarta. Mimo to Harry przyjął zaproszenie, bo odpowiadało jego pierwotnym zamierzeniom. Podążać śladami Heather, o ile to możliwe, oznaczało udawać się wszędzie tam, dokąd prowadziły fotografie. A prowadziły teraz do domu Dysarta w Devon. Dlatego zaproszenie nie mogło przyjść we właściwszym momencie.

Zresztą, pocieszał się Harry, zmierzając w stronę bocznej uliczki, gdzie zostawił samochód, dysponuje środkami, pozwalającymi lepiej poznać motywy doktora Kingdoma niż informacja, czy leciał on z Genewy do Rodos dziesiątego

listopada. Jeśli Zohra zdoła skopiować karty Heather, jeśli zdobędą w ten sposób jednoznaczny dowód, że Kingdom, zgodnie z tym, w co wierzyła, popadł w obsesję...

W chwili gdy Harry dostrzegł swój samochód zauważył też biały kształt wsunięty pod wycieraczkę. Nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego nie wziął go za bilet parkingowy albo jakąś bezwartościową reklamówkę. Może to myśli o Zohrze zasiały w nim niepokój, który ten błahy przedmiot uosabiał w jakiś sposób. Jakkolwiek była przyczyna, ręka mu drżała, kiedy poń sięgał.

Niezapisana koperta, prawie sucha, jakby tkwiła tu zaledwie od paru minut. Wyjął ją spod wycieraczki, cofnął się pod najbliższą latarnię i rozdarł.

Zdjęcie. Czarno-białe, choć w świetle lampy zdawało się bursztynowe. Alejka na cmentarzu przesłonięta częściowo przez nagrobki. Widziane z boku sylwetki dwojga ludzi idących gęsiego. Młoda ciemnowłosa kobieta w budrysówce. I siwiejący mężczyzna w średnim wieku ubrany w kurtkę z kapturem. Cmentarz na Kensal Green trzy dni temu. Kobieta była Zohra Labrooy. A mężczyzną Harry uchwycony na ułamek sekundy, nim usłyszał szczęk migawki.

XLII

- Halo?

- Zohra! Bogu dzięki, nic ci nie jest!

- Harry? Co się stało, na miłość boską?

- Myślałem... To znaczy, zdawało mi się... Mniejsza. Powiedzmy, dojadło mi czekanie.

- Niestety, musisz się jeszcze trochę pomęczyć. Nie miałam nawet cienia szansy. Był bardzo ostrożny.

- Ty też, mam nadzieję.

- Oczywiście. Nie obawiaj się. Dam ci znać, jak tylko coś zdobędę.

Najkrótszy dzień w roku zdawał się Harry'emu pod wieloma względami najdłuższy. Chodził tam i z powrotem po domu w Swindon, nie ośmielając się wyjść w obawie, by Zohra nie zadzwoniła podczas jego nieobecności, nie mogąc zapomnieć nawet na chwilę, na jakie niebezpieczeństwo naraża się dla niego. Matka nie rozumiała jego zachowania, ale czerpała swego rodzaju złośliwą satysfakcję z faktu, iż nalegał, by osobiście odbierać telefony. Jak się przekonał, nie przesadzała, mówiąc o liczbie anonimowych telefonów - było ich zbyt wiele, by można je uznać za skutek błędnych połączeń.

- Halo?

- Harry? Tu Zohra.

Było popołudnie następnego dnia. Jej głos brzmiał nieznajomo: ostrożny, napięty, niespokojny.

- Mam to, czego potrzebujemy. - Ledwie mógł uwierzyć: skopiowała dane. - Możesz się ze mną spotkać w Londynie za parę godzin?

- Gdzie i kiedy?

- Victoria and Albert Bar koło stacji Marylebone o szóstej. Nie witaj się ze mną, kiedy wejdę. Nawet na mnie nie patrz. Przyniosę papiery w reklamówce. Wypiję sok owocowy, potem wyjdę zostawiając torbę. Porozmawiamy później.

- Po co te ostrożności? Coś poszło źle?

- Nie. Udało się całkiem gładko. Denerwuję się, to wszystko, pewnie bez powodu. Muszę już wracać. Do zobaczenia o szóstej.

Bar okazał się dość zatłoczony. Urzędnicy w grupkach wymieniali dowcipy i plotki, potem jednym haustem opróżniali szklanki, by złapać kolejkę o 17.57 do High Wycombe. Inni siedzieli samotnie; czytali wieczorne gazety, sącząc piwo, zwlekając - jak się wydawało - z odejściem. Harry wybrał stół przy barze obok filara, zamówił piwo i sprawdził, czy widzi drzwi wejściowe w lustrze za barem.

Zohra przyszła trzy po szóstej. Zobaczył, jak zatrzymała się przy drzwiach i omiotła wzrokiem plecy siedzących przy barze, nim go dostrzegła. Z pewnością

nikt inny nie domyśliłby się, że chodzi jej o coś więcej, niż rozejrzenie się po wnętrzu. Miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i buty na płaskim obcasie, w lewej ręce trzymała obiecaną torbę i wyglądała właśnie tak, jak powinna: po prostu jedna więcej nie rzucająca się w oczy twarz w strumieniu ludzi. Podeszła do baru, wsunęła się w przerwę obok Harry'ego i postawiła torbę na ziemi. Harry uniósł kufel do ust ze wzrokiem wbitym w lustro. Nikt - ani z tyłu, ani obok - nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

- Proszę St Clementa.

Mówiła spokojnie, z opanowaniem.

- Dziewięćdziesiąt osiem pensów, kochanie.

- Dziękuję.

Przysunęła sobie stółek, łyknęła drinka, rozłożyła wieczorną gazetę i przestudiowała horoskop, potem dokończyła koktajl, odłożyła gazetę i wyszła. Harry zerknął na zegar. Dziesięć po szóstej. Spojrzał w dół na torbę. Wewnątrz było widać dużą brązową kopertę. Już miał dopić piwo i wyjść, gdy przypomniał sobie, że należy zachować ostrożność. Przestał się śpieszyć. Było siedemnaście po szóstej, kiedy opuścił bar, niedbale wymachując torbą. Trzy godziny później, w zaciszu swojej sypialni w Swindon, otworzył kopertę.

Kontakty doktora Kingdoma z Heather Mallender rozpoczynał list od członka personelu Challenbrooke Hospital, w którym dziękował on doktorowi za wyrażenie zgody na zajęcie się jej przypadkiem. List był datowany 23 listopada 1987 i zawierał wzmiankę o przyjęciu Heather dwa tygodnie wcześniej. Dołączono do niego notatkę od lekarza ogólnego, doktora Lisle z Wellingborough. Heather pracowała jako nauczycielka w Hollisdane Primary School w Wellingborough, i to właśnie tam przeżyła załamanie nerwowe w czasie pokazu sztucznych ogni z okazji Nocy Guya Fawkesa¹¹. Kingdom odpisał 26 listopada, potwierdzając

¹¹ Noc Guya Fawkesa - pamiątka tzw. Spisku Prochowego, nieudanej próby wysadzenia w powietrze parlamentu wraz z królem Jakubem I, podjętej przez katolików 5 listopada 1605 roku. Guy

przejęcie przypadku. Dalej następowały szczegółowe dane kliniczne, zawierające informacje o częstości występowania pewnych symptomów i dawkach różnych leków - zupełnie niezrozumiałe dla Harry'ego z powodu fachowej terminologii i wartości wyrażonych w miligramach. Znalazł tylko suchą wzmiankę z początków grudnia, że „leczenie elektrowstrząsami nie daje pozytywnych rezultatów”; mógł się jedynie domyślać, co to oznaczało. W połowie grudnia doktor Lisle poprosił listownie o informacje na temat postępów leczenia; odpowiedź Kingdoma zdradzała jedynie profesjonalną troskę o dobro pacjentki.

Początkowe sugestie, że załamanie zostało spowodowane stresem, nie potwierdziły się. Stan Heather wydaje mi się związany w mniejszym stopniu z poczuciem obniżonej wartości w środowisku pracy, w większym zaś z kompleksem niższości w stosunku do zmarłej siostry. Ten ostatni jest tak głęboko zakorzeniony i ulegał tak silnemu wyparciu aż do ostatniego kryzysu, że wyzwolenie z niego może się okazać długim i trudnym procesem.

Na początku stycznia, w innym liście do Lisle'a, Kingdom wyrażał umiarkowany optymizm:

Heather wykazała niezwykłą siłę charakteru w radzeniu sobie z serią neuroz, które doprowadziły do jej choroby. Nadal utrzymują się pewne przekonania o charakterze quasi-histerycznym, jednak nie ma wątpliwości, że poczyniła znaczące postępy na poziomie behawioralnym.

Pod koniec stycznia doktor zdawał się pewien, że Heather wkrótce będzie w stanie zmierzyć się ze światem zewnętrznym:

Rozmawiałem z rodziną Heather o znaczeniu, jakie ma zapewnienie jej bez-

piecznego i wspierającego otoczenia w okresie po wyjściu ze szpitala. Powrót do zawodu nauczycielki nie wchodzi w grę, niechętnie też widziałbym jej samotne zamieszkiwanie. Jednakże rodzice, jak się wydaje, z zadowoleniem przyjmą ją pod swój dach. W przyszłości istnieje możliwość znalezienia dla niej prostej pracy w niepełnym wymiarze godzin w firmie ojca. Dlatego wyraziłem zgodę na sobotnio-niedzielne wizyty w domu w ciągu lutego i marca i będę obserwował jej postępy w świetle tego, jak powiodą się owe odwiedziny.

Wszystko zdawało się układać dobrze, ponieważ 10 marca Kingdom napisał do Charliego i Marjorie Mallender (kopię posłał Lisle'owi), zawiadamiając, iż Heather może opuścić Challenbrooke Hospital na stałe. *Jest to możliwe wyłącznie pod warunkiem, że przez najbliższych sześć miesięcy będzie odbywać regularne konsultacje, tak by jej powrót do zdrowia przebiegał pod stałą kontrolą* - zastrzegając. Czy ta surowość może być podejrzana - zastanawiał się Harry. Czy stanowi pierwszą oznakę, że nie chciał się z nią rozstać?

Dalej znajdowała się notatka z izby przyjęć Challenbrooke Hospital z 18 marca 1988: *Panna Mallender została wypisana dzisiaj rano o godzinie dziesiątej i przekazana pod opiekę rodziców.* Tu zaczynał się ten etap stosunków między Heather i Kingdomem, który najbardziej interesował Harry'ego. Co tydzień jeździła do Londynu, by się spotkać z doktorem. I co tydzień zapisywał on uwagi na temat jej stanu. Na dole każdej strony widniały litery PRK/ZL, które powiedziały Harry'emu, iż przepisywała je Zohra. Jak można przewidzieć, cechował je obiektywizm i dokładność w każdym szczególe. *Heather przystosowała się dobrze do życia z rodzicami; Heather podjęła umiarkowane wyzwanie, rozpoczynając pracę; Heather stała się wyraźnie swobodniejsza i bardziej pewna siebie.* Nagle 12 lipca inicjały Zohry zniknęły ze skopiowanych stron. Harry zaczął czytać z większym skupieniem. Jeśli prawdziwa natura Petera Kingdoma miała się kiedykolwiek ujawnić, to właśnie w tym momencie.

Pierwszą widoczną zmianę stanowiła liczba pomyłek przy pisaniu. Nawet

jeśli uwagi stały się mniej ostrożne i więcej zdradzały, trudno to było dostrzec. Jedna przyciągnęła wzrok Harry'ego. *Postanowiłem zbadać jeszcze raz przekonanie Heather o zamordowaniu siostry. Heather uważa je za racjonalne, ja jednak zamierzam udowodnić, że ma ono korzenie schizo-histeryczne.* Dlaczego Kingdom powrócił do tego bolesnego tematu? - zastanawiał się Harry. Czyżby dostarczało mu to pretekstu, by podtrzymywać kontakty, które nie były już konieczne z medycznego punktu widzenia?

Dwa tygodnie później, opisując spotkanie w Kew Gardens, Kingdom zanotował: *Heather zauważyła, że innym spacerowiczom w parku musimy się wydawać zakochaną parą. Fakt, iż zdobyła się na powiedzenie czegoś podobnego, dowodzi dobrego poczucia równości, jakie zapanowało w naszych stosunkach.* Dobroczynnego dla kogo? - chciał spytać Harry. Krótka notatka z 9 sierpnia zawierała informację, że Heather nie stawiała się na spotkanie. Wróciła tydzień później; ulga widoczna w zapiskach Kingdoma przypominała niemal wyznania kochanka, który odkrył, że mimo wszystko nie został porzucony.

Moje obawy okazały się bezpodstawne: jak wyjaśniła Heather, przyczyną jej nieobecności w zeszłym tygodniu była kłótnia rodzinna. Spór dotyczył dowodów korupcji w Mallender Marine, rzekomo przez nią odkrytych. Uważa to za argument potwierdzający jej przekonanie o zamordowaniu siostry; przekonanie, które grozi przerodzeniem się w obsesję.

Harry nie odkrył żadnej wzmianki, by Kingdom winił samego siebie za skierowanie myśli Heather na przedmiot, który obecnie określał mianem obsesji.

23 sierpnia:

Dyskutowaliśmy, czy Heather ma rację, kontynuując dochodzenie w sprawie śmierci siostry wbrew woli rodziców. Zaleciłem jej nawiązanie znajomości w kręgach nie związanych z Weymouth i Mallender Marine. Wydaje się, że Heather

nie miała bliskiego przyjaciela spoza rodziny, odkąd koleżanka z Hollisdane School, z którą utrzymywała ścisłe kontakty, wyjechała uczyć za granicę latem ubiegłego roku. Być może taka przyjaźń ustrzegłaby ją od załamania. Zgodziła się, że to pomogłoby jej zapomnieć o wydarzeniach sprzed roku.

Cel kryjący się za obserwacjami Kingdoma zaczynał majaczyć na marginesie jego słów. By wyzwolić się z obsesji na punkcie śmierci Clare - obsesji, którą Kingdom w niej rozbudził - Heather potrzebowała dobrego, zaufanego przyjaciela. Czyżby doktor wyznaczył samego siebie do tej roli? - zastanawiał się Harry. Czy miał nadzieję zostać jej przyjacielem? A może kimś więcej?

Kew Gardens stanowiły miejsce spotkania jeszcze raz, 6 września. *Heather poprosiła, bym ją zawiózł do pewnej restauracji w hrabstwie Surrey - zanotował Kingdom - gdzie ma nadzieję dowiedzieć się czegoś bardzo ważnego dla zrozumienia przyczyn śmierci siostry.* Następne zdanie było podkreślone. *Ze względu na szczególne okoliczności wyraziłem zgodę.* Co dziwne, mimo znaczenia, jakie Kingdom najwyraźniej przywiązywał do prośby Heather, nie zamieścił żadnej wzmianki na temat ich pobytu w Haslemere, żadnego nawiązania do tego faktu na dalszych stronach. W jednym jedynym obojętnym zdaniu odnotował, że Heather nie przyszła na kolejne spotkanie. Następna notatka, z wizyty z 20 września, brzmiała tak skąpo i ogólnikowo, jakby Kingdom przeżywał jakąś klęskę; jakby podważono jego wiarę we własne siły lub zadano cios dumie. Harry wiedział, oczywiście, że powody, dla których Heather pragnęła odwiedzić Skein of Geese, były dokładnie takie, jak powiedziała Kingdomowi. Ale może on uznał je tylko za pretekst. Może trwał w miłym złudzeniu, iż chciała w ten sposób zjednać sobie jego przyjaźń. Jeśli tak, odkrycie pomyłki musiało być dla niego wielkim rozczarowaniem, niewybaczalnym zamachem na jego poczucie własnej wartości. A czekały go jeszcze gorsze rzeczy.

11 października:

Heather oznajmiła, że przyjęła zaproszenie Alana Dysarta i zamierza spędzić parę tygodni w jego willi na Rodos. Sprawiała wrażenie apatycznej, wręcz przygnębionej; straciła całą poprzednią wiarę, iż ma prawo wątpić w sprawozdania na temat śmierci siostry. Wydaje się bardzo zmęczona; potrzebuje nie tylko odpoczynku, ale i zmiany otoczenia. Rodos zapewnia jedno i drugie, ale formalnie Heather nie może przerwać konsultacji bez mojej zgody na to. Wyraziłem pewne zastrzeżenia; argumentowałem, że nie zna nikogo na wyspie, i z tego powodu może paść ofiarą samotności i kolejnej depresji. Oświadczyła, że półroczny okres konsultacji, wyznaczony przeze mnie jako warunek wypisania jej ze szpitala, właśnie się kończy i ona nie widzi powodów do jego przedłużenia.

Kingdom najwyraźniej też ich nie widział, bo stwierdził nieprzekonująco: *Ze względu na okoliczności poczułem się zobowiązany ulec jej prośbie.* Jak głębokie poczucie odrzucenia kryje się za tym ustępstwem? - zastanawiał się Harry. Przed dziewięcioma miesiącami Heather była całkowicie zależna od wrażliwości i troski tego człowieka. Teraz jasno dawała do zrozumienia, że postanowiła się od niego uniezależnić. Jak to przyjął? Jakkolwiek brzmiała odpowiedź w jego ostatnich notatkach dało się odkryć nie więcej niż cień urazy.

Jestem bardzo niespokojny o stan umysłu Heather mimo jej nalegań, że obecnie chce sobie radzić sama. Naturalnie nie mogę uważać jej sądu w tej sprawie za rozstrzygający. Dlatego istnieje możliwość, że w przyszłości interwencja z mojej strony może okazać się konieczna.

Tak brzmiała ostatnia uwaga na ostatniej kartce. Nic nie zostało rozstrzygnięte, zdefiniowane, wykluczone. Wszystko, co Kingdom miał do powiedzenia 11 października, to to, że dalsza interwencja z jego strony może okazać się konieczna. Jaką formę miała przyjąć owa interwencja nie zostało wyjaśnione. Harry wiedział tylko, że miesiąc później Heather zaginęła.

- Słucham?
 - Tu Harry.
- Cisza.
- Przeczytałeś to, co ci dałam?
 - Tak. A ty?
 - Nie. Nie miałam czasu. Tylko skopiowałam wszystko.
 - Więc musimy się spotkać. Jak najszybciej.
 - Przyjedź do mnie w sobotę rano, najwcześniej jak możesz.
 - W porządku. Zohro...
 - Tak?
 - Bądź ostrożna do czasu naszego spotkania, dobrze?
 - Wydajesz się niespokojny.
 - Bo jestem niespokojny. Bardzo.

XLIII

W wieczór wigilijny Harry wracał do Swindon z Kensal Green ze świadomością, że co najmniej czterdzieści osiem godzin drażniącej bezczynności dzieli go od chwili, gdy będzie mógł kontynuować swoje poszukiwania. Przeczytawszy notatki Kingdoma na temat Heather, Zohra przyznała mu rację. Nie można dłużej wierzyć, by pobyt doktora w Lindos 6 listopada miał niewinne wyjaśnienie. Wciąż jednak brakło dowodów, że wrócił on na Rodos 11 listopada i odegrał jakąś rolę w zniknięciu Heather. Człowiekiem, który najłatwiej mógł uzyskać takie dowody, był Alan Dysart; Harry miał gościć w jego domu w Devon, począwszy od pierwszego weekendu po świętach. Ponieważ nie wiedział, gdzie można zastać Dysarta wcześniej, uznał, że najrozsądniej będzie zaczekać. Zohra, która nie musiała wracać do pracy i niepokojącej bliskości doktora Kingdoma aż do środy po świętach, podzielała jego opinię.

Czego Zohra nie wiedziała - ponieważ Harry utrzymywał ten fakt w tajemnicy

- to tego, że ktoś wie o ich współpracy; ktoś, kto wynajął mężczyznę w płaszczu przeciwdeszczowym, by śledził posunięcia Harry'ego i zrobił im obojgu zdjęcie na cmentarzu w Kensal Green. Harry zamierzał jej o tym powiedzieć, ale kiedy nadszedł rozstrzygający moment, nie miał serca obciążać Zohry tą informacją. W czasie drogi powrotnej do Swindon doszedł do wniosku, że podjął właściwą decyzję; w tym wypadku podzielenie się brzemieniem oznaczałoby raczej jego podwojenie niż zmniejszenie o połowę. Nie miał wątpliwości, iż postąpił właściwie, aż do chwili gdy wszedł do domu i spotkał w korytarzu matkę. Oczy miała szeroko otwarte z przerażenia, palec trzymała przyciśnięty do ust.

- Ktoś chce się z tobą widzieć, Haroldzie - wyszeptała, wskazując na zamknięte drzwi saloniku.

- Kto?

Pierwsze, co przyszło Harry'emu na myśl, to to, że Dysart zapomniał o swej obietnicy i nie odwołał policji.

- Ten sam człowiek, który dzwonił do ciebie w zeszłym tygodniu. Doktor Kingdom. - Harry poczuł ściskanie w gardle. - On ma w sobie coś nieprzyjemnego.

W skromnym saloniku doktor Kingdom wyglądał na jeszcze wyższego i elegantszego niż zwykle; ostry zapach jego płynu po goleniu tworzył dziwną mieszankę z nieokreślonym aromatem, który Harry'emu zawsze kojarzył się z domem. Doktor stał przy narożnym kredensie, kartkując obojętnie album z fotografiami - stary album w skórzanej oprawie, z pozaginanymi rogami, na którego grubych czarnych stronach matka Harry'ego skrupulatnie wklejała rodzinne zdjęcia, dobrej, jak i złej jakości, począwszy od portretu państwa Stanleyostwa Barnettów stojących w drzwiach kościoła w Whitsun w 1932 roku.

Gdy Harry zamknął za sobą drzwi Kingdom spojrzał na niego z powitalnym uśmiechem.

- Pan Barnett! Miło pana znowu widzieć. - Podniósł album. - Właśnie po-

dziwiam pamiątki z pańskiego dzieciństwa. Proszę mi powiedzieć, co to jest „Wyprawa”?

Harry był zbyt wstrząśnięty, by odpowiedzieć. Znał treść sekretnych notatek Kingdoma na temat Heather i nie potrafił pogodzić uzyskanej w ten sposób wiedzy ze swobodnym, czarującym wizerunkiem, który ten człowiek prezentował światu. Chwiejnie ruszył przez pokój, stanął obok doktora i spojrzał na stronę wypełnioną fotografiami jego własnej, trudnej do rozpoznania, jedenastoletniej twarzy: skrzywiony na pomoście, uśmiechnięty na plaży, naburmuszony w oknie pensjonatu. Podpis wykonany białym atramentem głosił: „Wyprawa, Weston-super-Mare, lipiec 1946”.

- To były coroczne letnie wyjazdy dla pracowników kolei i ich rodzin - usłyszał własny głos. - Nienawidziłem tego.

- Naprawdę? Dlaczego?

Dlatego że już jako dziecko Harry nie ufał mentalności stada. Co roku w lipcu dzielnica robotnicza pustoszała, kiedy jej mieszkańcy wsiadali do wynajętych pociągów i jechali nad morze. I co roku Harry marzył, by nie musieć tego robić. Odstępował go jawnie wymuszony entuzjazm tej zbiorowej komedii. Ale teraz, po czterdziestu latach, nie zamierzał przyznawać się do tego doktorowi Kingdomowi.

- Z pewnością nie przyjechał pan tutaj wysłuchiwać wspomnień zaniedbywanego dziecka - burknął.

Kingdom uniósł brwi.

- Był pan zaniedbywany?

Potem, zdawało się, uznał dalsze drażnienie tematu za bezcelowe.

- Przepraszam - powiedział z uśmiechem. - Odzywa się moje skrzywienie zawodowe.

Zamknął album i wsunął go na miejsce.

- Tak naprawdę przyszedłem się oczywiście dowiedzieć, czy zastanowił się pan nad moją sugestią w sprawie hipnozy.

- Nie. Ciagle o tym myślę. Miałem zamiar skontaktować się z panem po świętach.

Kingdom skinął głową.

- Tak sądziłem.

W obecnej sytuacji czas spędzony pod badawczym spojrzeniem tego człowieka stawał się dla Harry'ego torturą. Chciał skrócić go jak najbardziej.

- W takim razie nie rozumiem celu pańskiej wizyty.

- Muszę wyznać, że skłoniło mnie do niej coś innego. Wybacz pan pytanie: od jak dawna zna pan moją sekretarkę, pannę Labrooy?

Harry poczuł, że serce zamarło mu w piersi. Był przekonany, że otworzył usta, zanim zdołał sformułować odpowiedź.

- Czemu... czemu pan pyta?

- Naturalnie ma pan całkowite prawo odpowiedzieć, że to nie mój interes.

Uśmiech, który towarzyszył temu stwierdzeniu, nadawał mu jawnie sarkastyczny wydźwięk.

- Co... dlaczego pan uważa, że znam pannę Labrooy?

- Z powodu zdjęcia, panie Barnett. Dość niezwykłego zdjęcia. Otrzymałem je pocztą wczoraj rano. Niech pan sam spojrzy.

Kingdom wyjął z wewnętrznej kieszeni kopertę i wsunął Harry'emu do ręki jej zawartość: fotografię jego i Zohry na cmentarzu w Kensal Green.

- W kopercie nie było nic więcej, adres napisano na maszynie - ciągnął Kingdom. - Wysłana dwudziestego grudnia w Londynie.

Dwudziestego; tego dnia Harry znalazł takie samo zdjęcie na szybie swojego samochodu.

- Dziwne, prawda?

Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Kingdoma, by Harry pozbył się wątpliwości: w ten okrężny sposób doktor dawał do zrozumienia, że przejrzał ich grę. To on wynajął mężczyznę w płaszczu przeciwdeszczowym. Stąd wiedział, iż Harry i Zohra połączyli przeciw niemu siły. Jednak jeśli to prawda, z pewnością

nie byłby tak nieostrożny, by pozwolić Zohrze skopiować notatki na temat Heather. A może nie obawiał się już, jak wiele się dowiedzą, pomyślał Harry, czując nagły skurcz strachu.

- Sądziłem, że pan pomoże mi to wyjaśnić. Zupełnie nie wiem, jak rozumieć tę historię.

- Nie. To znaczy... nie potrafię.

- Ale zna pan pannę Labrooy? Mam na myśli, prywatnie.

- Nie. My tylko...

Harry czuł, że każde kłamstwo, jakie zdoła wymyślić zabrzmiało nieprzekonująco, jednak wszystko było lepsze od prawdy.

- Spotkaliśmy się przypadkiem... na cmentarzu w Kensal Green... w zeszłą sobotę.

- Doprawdy? Więc kto zrobił to zdjęcie?

- Nie wiem. Ale... ja też je dostałem.

- Czyżby? Wobec tego sprawa wygląda jeszcze dziwniej. Co na to panna Labrooy?

- Nic jej nie mówiłem.

- Jej też przysłano zdjęcie?

- Nie.

Zorientował się zbyt późno, by powściągnąć język.

- To znaczy, myślę, że nie.

Kingdom schował fotografię do koperty, po czym wsunął ją z powrotem do kieszeni. Zmarszczył brwi, jego przenikliwe oczy badały twarz Harry'ego w poszukiwaniu jakiejś wskazówki.

- Kiedy otrzymał pan swoje zdjęcie, panie Barnett?

- We wtorek.

- Poczta?

- Nie. Zostało... wsunięto je pod wycieraczkę mojego samochodu, w czystej kopercie.

Kingdom doskonale o tym wie, pomyślał Harry, ta zabawa w pytania i odpowiedzi to tylko test na jego, Harry'ego, odporność.

- Tutaj, w Swindon?

- Nie. Byłem wtedy w Londynie.

- Pewnie umówiony na spotkanie z panną Labrooy?

- Nie. Już panu mówiłem: spotkaliśmy się przypadkiem w sobotę. Od tamtej pory się nie widzieliśmy.

Nikt ich nie obserwował w barze, tego był pewien. A Kingdom nie mógł wiedzieć, że Harry właśnie wrócił z Kensal Green. Przynajmniej tego kłamstwa z pewnością nie odkryje.

- Dlaczego więc sądzi pan, że nie otrzymała zdjęcia?

- Rozmawiałem z nią przez telefon. Gdyby je dostała, to na pewno wspomniałaby o tym.

- Ale pan nic jej nie mówił?

- Nie chciałem jej martwić.

- Bardzo się pan o nią troszczy. - Twarz Kingdoma wygładziła się, tylko w oczach kryła się ironia. - No cóż, rzeczywiście nie ma sensu niepokoić panny Labrooy. Ma wolne do środy. Jednak gdy wróci do pracy, to na pewno ją poinformuję.

- Jeśli pan uważa za stosowne.

- Rzecz, która naprawdę mnie zdumiewa, panie Barnett, to to, że wcale nie wydaje się pan zdziwiony otrzymując zdjęcie zrobione panu przez nieznanego człowieka i bez pańskiej wiedzy. Mogę spytać dlaczego?

- Miałem parę dni na to, by ochłonać.

- Więc jednak przeżył pan zaskoczenie?

- Tak. Raczej tak.

- A jednak nic pan nie zrobił.

- A co mógłbym zrobić?

Kingdom nie odpowiedział. Milczał ze wzrokiem utkwionym w Harry'ego.

Wszystkie kłamstwa i uniki, które złożyły się na ich rozmowę, jak gdyby się skupiły w jego przeszywającym spojrzeniu. Potem - zadowolony, że dowiedział się wszystkiego, czego pragnął - ruszył do wyjścia.

- Powiadomi mnie pan o swojej decyzji przed końcem przyszłego tygodnia, mam nadzieję? - spytał już w drzwiach, uśmiechając się do Harry'ego, jakby chodziło o jakąś drobną sprawę zawodową.

- Tak.

- Doskonale. Wobec tego życzę wesołych świąt i czekam na wiadomość od pana.

Gdy drzwi zamknęły się za doktorem Harry uświadomił sobie nagle, jak bardzo napiął wszystkie mięśnie. Rozprostował zaciśnięte pięści i odkrył, że wnętrze dłoni ma wilgotne od potu. W pierwszym odruchu chciał pobiec do telefonu i zawiadomić Zohrę, co się stało. Ale Kingdomowi z pewnością o to chodziło. To właśnie chciał sprowokować swoją wizytą. Dlatego Harry musi zrobić najtrudniejszą rzecz w takich okolicznościach: pozostać bezczynny. Podszedł do okna i uchylił firanki. Kawalek dalej na ulicy Kingdom wsiadał do samochodu.

- Doczeka się pan ode mnie wiadomości, doktorze - mruknął do siebie. - Może nawet szybciej, niż pan sądzi.

XLIV

Harry nie spędzał Bożego Narodzenia w Anglii od dziesięciu lat i zapomniał już, jak ciężkim może to być doświadczeniem. Dlaczego ludzie uważają doroczną torturę indyka i telewizji za pociągającą, pozostawało dla niego niezgłębioną tajemnicą. Jednak ze względu na matkę udał, że trzy pary zielonych wełnianych skarpetek są właśnie tym, czego potrzebuje, i nie wyobraża sobie, by mógł nie wysłuchać orędzia królowej. Dopiero gdy zapadł zmrok i matka zaczęła się rozglądać za swoim dwupłytyowym albumem kolęd kupionym od Armii Zbawienia,

poczuł, jak jego dobra wola słabnie; najwyższy czas rozpocząć odwrót. Ale ulice Swindon były puste, puby zamknięte, a miejsca znane z dzieciństwa zniknęły; w mroku nocy nie kryło się nic, co mogłoby go pokrzepić lub dodać mu odwagi - nic prócz myśli, że jutro znowu ruszy na poszukiwanie Heather.

Cel „Wyprawy” w 1949 - ostatniej, nim wiek uwolnił Harry'ego od corocznej męczarni - stanowiło Paignton. Z tego wyjazdu i ślubu Alana Dysarta czerpał całą swoją wiedzę o południowym Devon. Skutek był taki, że kiedy jechał tam w tydzień po świętach oba wydarzenia zlały się w jego umyśle. Jak gdyby uczeń w ubraniu poplamionym sorbetem trafił przypadkiem na weselne przyjęcie i łokciami torował sobie drogę przez tłum gości popijających szampana. Wspomnienia nie chciały ulec jego woli; przeplatały się ze sobą, chowały i pojawiały znowu w przebraniu.

Samochód też zaczął się buntować, zdradzając tyle niepokojących symptomów, że Harry zjechał z autostrady na drogę, gdzie obowiązywały mniejsze prędkości. Mijał miasteczka, wciąż pogrążone w świątecznym letargu. Potem wymuszone postoje dla ostudzenia chłodnicy zmieniły podróż w pasmo udręki i dopiero gdy popołudnie zaczynało ustępować nocy, udało mu się dotrzeć do Strete Barton, krętą szosą, obrzeżoną wysokim żywopłotem.

Asfaltowy podjazd między drzewami o nagich gałęziach, smukłe było rasy dżersej, pasące się na łagodnie nachylonych stokach; Harry zupełnie tego nie pamiętał. Naturalnie ostatnim razem był tu wczesnym latem, kiedy śpiewały ptaki, a drzewa miały liście - ale na tym polegała chyba jedyna różnica. Wjechał przez bramę na rozległy pusty dziedziniec z duńską stodołą po jednej stronie i starszą, kamienną, służącą za garaż, po drugiej. Na wprost, za niskim żywopłotem, zobaczył sam dom - z gankiem, kryty łupkiem i o bielonych ścianach, o oknach oprawnych w ołów. Z kominów unosił się dym. Od domu odchodziła ścieżka, mijała padok otoczony podwójnym ogrodzeniem i kończyła się przy stajniach, gdzie Harry zauważył jakąś postać z wiadrem i miotłą. W garażu stał

daimler Dysarta, pokryty błotem range rover i lśniący czerwony sportowy wóz. Bogactwo dawało się wyczuć w każdym szczególe. Jedno spojrzenie na zdjęcie przypięte do tablicy rozdzielczej przypomniało mu, że właśnie tutaj Heather zrobiła swoją trzynastą fotografię.

Gdy wysiadał z samochodu na ganku pojawił się Dysart, unosząc rękę w powitalnym geście. Miał na sobie stary wojskowy sweter wypuszczony na drelichowe spodnie, włosy niedbale odrzucił w tył, uśmiechał się szeroko. Harry, nim zdążył się choćby zdziwić, skąd mu przyszła do głowy taka myśl, zaczął roztrząsać tajemniczą zdolność Alana do przekształcania się z nieskazitelnego urzędnika w szczerego, otwartego domatora. Zdawało się, że nie ma takiej okazji, takiego otoczenia czy sytuacji, na której użytek Dysart nie umiałby przybrać właściwej maski.

- Dobrą miałeś podróż? - mocny uścisk dłoni, klepięcie po ramieniu, czarujący uśmiech; ciepło powitania Dysarta, sugerujące dopuszczenie do zakłętego kręgu jego przyjaciół.

- Chodź do środka. Niestety, Virginia jest chwilowo nieobecna.

Ruszył przodem. Harry podążał za nim korytarzem na tyły domu. Po drodze zauważył duży, bogato umeblowany salon z ogromną, wspaniale przystrojoną choinką obok trzaskającego ognia.

- Byłem w gabinecie, kiedy usłyszałem samochód. Praca polityka, sam rozumiesz...

Ściany gabinetu wyłożono ciemnym drewnem, światło wpadało przez jedno szerokie okno z widokiem na faliste pastwisko i zalesione doliny, a dalej wieżę kościoła i stłoczone dachy domów najbliższej wioski.

- Napijesz się czegoś, mam nadzieję?

- Z przyjemnością.

Harry rzucił okiem na ryciny ze scenami polowań, półki pełne książek, szerokie, pokryte papierami biurko, na zawsze obecny, zmienny krajobraz Devon za oknem. Czy tak wygląda prawdziwy Alan Dysart? Wielbiciel tradycji i tweedu,

polowań i ziemiańskich wartości? A może to tylko jedna więcej doskonale oprowadzona rola, wyjście naprzeciw oczekiwaniom innych? Przyjął podaną mu szklaneczkę.

- Zdrowie - powiedział i upił łyk; Dysart słynął z doskonałego gustu, jeśli chodzi o whisky.

- Co masz w tej kopercie? - spytał Alan, wskazując głową paczkę, którą Harry trzymał pod pachą.

- Ważne papiery.

- Dotyczące naszego przyjaciela Kingdoma?

- Tak.

- Więc pozwól mi powiedzieć, czego się dowiedziałem na jego temat od naszego ostatniego spotkania. Zdumiewające, co człowiek może odkryć, jeśli ma nieoficjalny dostęp do informacji Interpolu.

- Więc gdzie był jedenastego listopada?

Dysart przysiadł na skraju biurka.

- Wytrzymaj jeszcze chwilkę. Po pierwsze powinienem wyjaśnić, że Jack Cornelius wydaje się czysty. Dostał dziesięć dni urlopu z Hurstdown Abbey z powodu śmierci ojca. No cóż, kazałem to sprawdzić: nie zmyślał. Jedenastego listopada widziano go na pogrzebie w Dundalk.

- A Kingdom?

- Całkiem inna historia. Dane linii lotniczych potwierdzają, że mogłeś go spotkać w Lindos szóstego. Piątego poleciał z Genewy na Rodos, wrócił siódmego.

- A jedenastego?

- Dalej nic nie mamy. Nie kupował biletu lotniczego na Rodos drugi raz. Ale szperając, Interpol trafił na coś bardzo ciekawego. - Dysart sięgnął po kartkę leżącą na biurku i zaczął czytać: - „Brytyjczyk nazwiskiem King, pierwsza litera imienia „P”, leciał samolotem linii Olympic Airways z Genewy na Rodos przez Ateny w czwartek dziesiątego listopada. Opuścił Rodos następnego dnia lotem o

siedemnastej pięćdziesiąt do Aten, gdzie zatrzymał się na noc, po czym w sobotę dwunastego złapał lot Swissair o ósmej dwadzieścia do Genewy”.

Data i czas się zgadzały, tylko nazwisko brzmiało inaczej, chyba że P. King i P. Kingdom byli tą samą osobą.

- Chyba nie sugerujesz... - zaczął Harry.

- To możliwe. Paszporty i bilety są zwykle sprawdzane na lotniskach osobno. Celników bardziej interesuje, czy paszport nie jest fałszywy, niż to, czyje nazwisko widnieje na bilecie. Poza tym znasz Greków równie dobrze jak ja. Sprawy administracyjne nie są ich najmocniejszą stroną. I jeszcze jedno. Z listy pasażerów wynika, że tajemniczy pan King podróżował na Rodos samotnie. Ale wrócił z żoną.

- Żoną?

- Albo towarzyszką występującą pod tym samym nazwiskiem.

Fakty, które recytował Dysart, wydawały się bez sensu i brzmiały nieprzekonująco, ale jeśli uznać nazwisko „King” za *nom de guerre* Kingdoma, to nie miał on ani wytłumaczenia, ani alibi. Był na Rodos w czasie, gdy zaginęła Heather - w tej samej godzinie. I nie odleciał sam. Niebezpieczeństwo, którego obawiali się z jego strony, stawało się realne.

- A teraz, czy zechcesz mi powiedzieć, co jest w kopercie? - zapytał Dysart.

Harry uznał, że przeczytanie i ocena notatek Kingdoma zabierze Dysartowi co najmniej godzinę. W tym czasie zaniósł torbę do swojego pokoju, rozpakował się i zmył z siebie napięcie podróży. Zrobiło się już prawie ciemno, kiedy wyszedł na dziedziniec, żeby zaczerpnąć powietrza. Zapalił papierosa i postanowił przejść kawałek aleją, rozkoszując się spokojem i ciszą, zapachem dymu przenikającym stodoły i żywopłoty. Gdyby Anglia, jego Anglia, częściej tak wyglądała, nie opuściłby jej tak chętnie.

Naraz w zapadającym mroku zamajaczyły sylwetki konia i jeźdźca. Do chwili gdy rozległ się leniwy stukot podków, oboje zdawali się niematerialni. Kobieta w

stroju jeździeckim na smukłej kasztance, ubłoconej po pęczyny i dyszącej ciężko. Harry, zaskoczony, uświadomił sobie, że to Virginia Dysart. Cofnął się pod żywopłot; przez chwilę myślał, że kobieta przejedzie bez słowa. Ale nie: mijając go ściągnęła wodze.

- Witaj, Harry.

Klacz była jeszcze wyższa, niż mu się wydawało. Virginia spoglądała z wysokości siodła władczo i bez uśmiechu, zupełnie nie zbita z tropu. Włosy schowane pod toczkiem podkreślały surowość rysów.

- Alan mówił, że przyjeżdżasz - powiedziała. - Mam nadzieję, że się tobą zajął?

Więc postanowiła udawać, że nie spotkali się w mieszkaniu Mintera. Patrząc na nią Harry zastanawiał się, jak to możliwe, by ta dumna i doskonale ubrana amazonka została kochanką pozbawionego skrupułów łowcy skandali.

- Miło cię znów widzieć - ciągnęła. - Po tych wszystkich latach.

Jeśli kiedykolwiek miał nadejść właściwy moment, by zarzucić jej kłamstwo, to właśnie teraz. Ale nie mógł się na to zdobyć. Bezwstyd na taką skalę zasługiwał na szacunek.

- Bardzo tu przyjemnie - usłyszał swoją odpowiedź.

- Nieprawdaż? - Oczy się jej zwęziły, zacisnęła usta w napiętym uśmiechu. - Do zobaczenia na kolacji.

Dysart spochmurniał w czasie nieobecności Harry'ego. Nalał im obu drinki i spacerował po pokoju przez całą minutę, potem opadł na krzesło przy biurku i wsunął kopie do koperty.

- Co o tym myślisz? - spytał Harry.

- Chciałbym wiedzieć, jak je zdobyłeś.

- Przez sekretarkę Kingdoma. Znała dobrze Heather i nie ufa doktorowi. Podejrzewa, że niepotrzebnie przedłużał terapię.

- Z.L. to jej inicjały?

- Tak. Zohra Labrooy.

Dysart odchylił się na krzesło i w zamyśleniu gładził podbródek.

- I to ona odkryła, że Kingdoma nie było jedenastego listopada w Versorelli Institute?

- Tak.

- Zasięgałem informacji o tym instytucie. To prywatna klinika psychiatryczna. Sądząc po cenach, tylko dla najbogatszych pacjentów. Ich specjalność to cudzoziemcy, obowiązuje ścisła dyskrecja. O ile zdołałem ustalić, Versorelli Institute jest miejscem tego rodzaju, gdzie można bezpiecznie, choć za duże pieniądze, umieścić krewnych sprawiających kłopoty, jeśli chce się o nich zapomnieć.

Harry'emu stanął przed oczyma duży budynek o wielu szczytach ukryty wśród zaśnieżonych sosen, pilnowany przez owczarki. W oknie na piętrze mignęła przerażona twarz Heather.

- Myślisz, że ją tam trzymają? - zapytał.

- Nie wiem.

Dysart wyprostował się, w jego oczach pojawił się błysk skupienia.

- Mówisz, że zdaniem panny Labrooy Kingdom nie chciał, by Heather całkowicie wróciła do zdrowia. Dlaczego miałby się temu sprzeciwiać?

- Chciał, by pozostała od niego zależna.

- W porządku. Zgódźmy się, że cień czegoś takiego widać w tych zapiskach. Co zrobił, kiedy wyjechała?

- Czekał na odpowiedni moment. Potem udał się za nią na Rodos i przekonał ją, by pojechała z nim do Genewy.

- Myślisz, że zrobiła to dobrowolnie?

- Z jakiegoś powodu zgodziła się z nim spotkać na Profitis Ilias w tajemnicy. Z tego samego powodu mogła polecieć incognito do Szwajcarii.

- I znajduje się tam do tej pory?

- W Versorelli Institute, tak.

Dysart zmarszczył brwi i odetchnął głęboko.

- To samo przyszło mi do głowy. Zachowanie doktora, jego nieobecność w Instytucie krytycznego dnia, te notatki, podobieństwo nazwisk King i Kingdom. Wszystkie fakty wskazują na to, że twoja konkluzja może być słuszna. Ale obawiam się, że jako dowody są nic niewarte.

- Więc co zrobimy?

Dysart obrócił się z krzesłem i patrzył przez okno na sylwetki wzgórz rysujące się na tle nieba.

- No właśnie, co? - Sięgnął za siebie i zapalił lampę na biurku. - Przede wszystkim, jak sądzę, powinniśmy się upewnić, czy Mallenderowie rzeczywiście nie wiedzą, gdzie jest Heather.

- Sądzisz, że Kingdom mógł działać w ich imieniu?

- To mało prawdopodobne, ale możliwe. Zdawało mi się, że znam Charliego Mallendera i wiem, do czego jest zdolny, ale zachowanie jego i Roya w sprawie kontraktu z Phormio dowodzi, iż się myliłem. Grozili Heather odesłaniem do Challenbrooke Hospital, jeśli nie zgodzi się wycofać zarzutów. Mogli iść krok dalej i wynająć Kingdoma, by działał w ich imieniu. Z jakichś powodów korzystniejsze dla nich było przekonanie wszystkich, że Heather zniknęła, niż że została umieszczona w szpitalu dla obłąkanych wbrew swojej woli.

- Jeśli to prawda, niełatwo ich będzie skłonić do przyznania.

- Nie, na pewno nie. - Dysart uśmiechnął się lekko. - Ale poznam, jeśli zaczną kłamać. Dzwoniłem do Roya w ubiegłym tygodniu i dałem mu jasno do zrozumienia, że ma zostawić twojego przyjaciela Mossopa w spokoju. Może powinienem się z nim zobaczyć osobiście dla wzmocnienia efektu. Chyba nadszedł czas, by złożyć im wizytę.

- Kiedy tam pojedziesz?

- Jutro.

- Mam jechać z tobą?

- Nie. Twoja kłótnia z Royem tylko by wszystko skomplikowała. Wolę, żebyś zaczekał tutaj. Nie zabierze mi to więcej niż jeden dzień.

- A potem?

Twarz Dysarta przybrała surowy wyraz.

- Potem skończy się beczyność, Harry. Nadejdzie czas działania.

XLV

Dysart wyruszył do Weymouth o świcie następnego dnia. Harry słyszał oddalające się warczenie daimlera, kiedy leżał na wpół rozbudzony w łóżku. Nancy, gospodyni, podając mu śniadanie godzinę później, potwierdziła, że jej pracodawca wyjechał „z samego rana”. Wyjaśniła też, jak dojść do pobliskiej wioski Blackawton. Pokrzepiony kilkoma filiżankami mocnej kawy, trzema plasterkami chrupiącego bekonu i dwoma jajkami z pobliskiej farmy, wyruszył na spacer. Ranek był ciepły i pogodny; zdawałoby się, że to wiosna, a nie środek zimy. Spacer wilgotnymi, pustymi alejami dostarczał prawdziwej przyjemności, ale Harry miał inny cel: chciał odnaleźć scenę czternastej fotografii Heather.

Po półgodzinie znalazł się na skraju wioski, i to tam, a nie w pobliżu kościoła, na którego wieżę się kierował, znalazł to, czego szukał: niewielki zaniedbany cmentarz - nie więcej niż pięćdziesiąt grobów na spłachetku ziemi. Kawałek dalej grunt opadał stromo, otwierając szeroki widok na szachownicę pól uprawnych i lesistych dolin. Harry stał wśród nagrobków przez kilka minut, pozwalając, by lekki wiatr mierzwił mu włosy, a szczegóły obrazu utrwaliły się w pamięci. Przyszło mu na myśl, że to niemal idealne miejsce wiecznego spoczynku. Nagie pole wystawione na działanie wiatru i słońca, i deszczu, na skraju spokojnej wioski. Co znaczyło wobec tego Opactwo Westminsterskie?

FRANCIS DESMOND HOLLINRAKE. Patrząc na złote litery wyryte w czarnym marmurze zastanawiał się, co skłoniło Heather do sfotografowania nagrobka. Pozostałe zdjęcia tworzyły pewną całość; wydawało się, że grób ojca Virgini Dysart nie pasuje do wzoru.

- Ranny ptaszek z ciebie - odezwał się z tyłu kobiety głos.

Obrócił się i zobaczył Virginie idącą w jego kierunku. Miała na sobie dzinsy, obcisły wełniany sweter, czerwoną jedwabną apaszkę i krótki kożuszek. Uśmiechała się szeroko. Trudno było w niej rozpoznać surową amazonkę czy milczącą towarzyszkę kolacji z ubiegłego wieczoru.

- Nie ze mnie jednego.

- Chodzi ci o Dysarta? - Raczej dziwny sposób mówienia o mężu. Sugerował istnienie między nimi dystansu zwalniającego ją od składania wyjaśnień. - Zdaje mi się, że prawie w ogóle nie śpi. Dla polityka to wielka zaleta.

- Wiesz, dokąd pojechał?

- Tak. - Uśmiech stał się bardziej napięty. Spuściła wzrok. - Co cię tu przywiodło, Harry? Mój ojciec zmarł piętnaście lat temu.

- Wiem. Często odwiedzasz grób?

Wyraz jej twarzy świadczył, że nie pozwoli, by wstyd zmusił ją do udawania.

- Rzadko kiedy.

- Więc mógłbym zapytać o to samo. Dlaczego dzisiaj?

- Sądziłam, że cię tu znajdę. Nancy mi powiedziała, w którą stronę poszedłeś.

- I domyśliłaś się, że tu przyjdę?

- Nie. To nie był domysł. - Odczekała chwilę. - Ostatnim razem byłam tu w towarzystwie Heather.

Ostatni raz była tu z Heather. Harry spojrzał znów na panoramę miniaturowych pofałdowanych pól i przez chwilę niemal uwierzył, że to równocześnie jesień i zima, a Heather stoi obok nich, między nimi; że ten dzień i tamten istnieją równocześnie obok siebie. Ostatni raz była tu z Heather.

- Skąd wiedziałeś, że tu przyszła?

- Nie wiedziałem.

Ignorując jego zaprzeczenie dała do zrozumienia, że na nic się ono nie zda.

- Chciała, bym jej opowiedziała o moim ojcu. Ale ty oczywiście wiesz o wszystkim, prawda?

Harry spojrzał na nią. Nie był pewien, o co jej chodzi: o zamiary Heather czy

jej własną nielojalność.

- Ty ją tutaj przyprowadziłaś?

- Tak. Prosiła mnie o to. Zrobiła zdjęcie. Wydało mi się to dziwaczne. Czy raczej makabryczne. Zajrzyj do pierwszego rodzinnego albumu, a zobaczysz same śluby i chrzciny, do znudzenia. Ale ani jednego pogrzebu. Miłość i narodziny. Nigdy śmierć. Heather, przeciwnie... Obchodziła ją tylko śmierć. Zgodzisz się ze mną?

- Nie. Szczerze mówiąc, nie.

Uśmiechnęła się.

- Przejedziesz się ze mną, Harry? Zostawiłam samochód na drodze.

- Dokąd?

Kolejny uśmiech.

- Tam, dokąd zabrałam Heather, oczywiście. Gdzieżby indziej?

Virginia prowadziła szybko, ale pewnie; szkarłatny mercedes zarzucał na zakrętach, kiedy mknęli na wschód od Blackawton. Harry zauważył we wsi znak z informacją, iż odległość do Dartmouth wynosi sześć mil - zdawało się, że nim minęło sześć minut, zjeżdżali długim stokiem wzgórza w kierunku błękitnej przystani upstrzonej masztami jachtów; po lewej stronie wznosiły się wypielegnowane tereny Britannia Royal Naval College.

- Heather spędziła w Strete Barton ostatni weekend przed wyjazdem na Rodos - wyjaśniła Virginia, zwalniając u stóp wzgórza. - W sobotę rano jechałam do Dartmouth i zabrałam ją ze sobą. Nie miałam pojęcia, w co się pakuję. Najpierw postój przy cmentarzu, potem nie kończące się pytania. Z początku wydawała się tylko ciekawa, później wyglądało to niemal na obsesję, jak gdyby chciała wydrzeć ze mnie wszystko, każdy strzęp informacji.

Zahamowała przy nadbrzeżu, wysiedli. Spacerowicze z psami i nieliczni turyści patrolowali szeroki chodnik, przycumowane łódki obijały się lekko o siebie u ujścia rzeki. Na drugim brzegu majaczyły dachy domów ukrytych wśród lasów

na wzgórzach. Virginia oparła się o barierkę i spoglądała w kierunku szkoły, kwadratowego budynku z czerwonej cegły, wznoszącego się malowniczo nad miastem.

- Dysart opowiadał ci, gdzie się poznaliśmy?

- Nie, chyba nie.

- Tam, na górze - skinęła w stronę szkoły. - Na koktajlu organizowanym przez dywizję we wrześniu sześćdziesiątego ósmego. Był wtedy kadetem prosto z Oksfordu. A ja jedną z miejscowych panienek z dobrych domów zaproszonych po to, by młodzi oficerowie mieli na kim ćwiczyć swoje umiejętności towarzyskie. Miałam dopiero dziewiętnaście lat. Taka młoda. - Westchnęła. - Trzy miesiące później się zaręczyliśmy.

- Znałeś Dysarta w czasie, gdy studiował w Oksfordzie. Więc powinieneś się orientować, dlaczego zrobił na mnie takie wrażenie. Wyglądał jak młody bóg. Zdenerwowałam się, nie mogłam wydusić słowa, cała się trzęsłam w jakiejś głupiej letniej sukience. Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście, kiedy zaczął się do mnie odezwać. A gdy zaczął mnie zapraszać na wspólne wyjścia... To było jak sen. Przyjęcia. Wieczory. Szalone rajdy po okolicy jego MG. Odwiedziny u nas w domu, kiedy go przedstawiłam ojcu. Tańce na balu semestralnym. Moja sukienka. Rzeczy, które mi mówił. Piliśmy szampana przy jednym z tych wysokich okien, patrząc na światła Dartmouth w dole. Serce biło mi tak mocno; bałam się, że mi wyskoczy z piersi. Ciche oświadczyły. Moja nieśmiała zgoda. Byłam taka dumna podczas jego parady na zakończenie szkoły parę dni później. Taka dumna, że należy do mnie. - Pokręciła głową. - Chyba uważasz, że oszalałam, skoro wygaduję podobne rzeczy. Pewnie myślisz, że nigdy nie byłam taka wrażliwa.

Smukła, odległa i delikatna piękność w ślubnej sukni. Uścisk dłoni w rękawiczce, nic nie znaczący uśmiech na weselnym przyjęciu. Potem, dziesięć lat później, przelotna wizyta w Lindos: pewnego wiosennego ranka widział ją spacerującą po plaży w białym bikini; wyglądała bardzo majestatycznie z dumnie

podniesioną głową i mokrymi włosami opadającymi na plecy. Nie przyjechała tam już nigdy. Nagle uświadomił sobie, że nic więcej o niej nie wie. Oprócz tego, że spotkał ją w drzwiach mieszkania Mintera.

- Dlaczego mówisz mi to wszystko?

- Bo to właśnie powiedziałam Heather.

- Ale dlaczego powtarzasz to mnie?

- Dysart mnie prosił. Wczoraj wieczorem. Żebym ci powtórzyła to wszystko, co mówiłam Heather. A ja się zgodziłam. Zgodziłam się ciebie we wszystko wprowadzić, kiedy on będzie w Weymouth. - Uśmiechnęła się. - Jest w tym pewna ironia.

- Czemu?

- Nie wiedział, o czym rozmawiałam z Heather. Nie wie, co mówię tobie.

Gdy przyjechali Green Dragon w Stoke Fleming właśnie otworzył podwoje. Była to zimna, duszna i świecąca pustkami gospoda przy bocznej drodze na południe od Dartmouth. Harry nie wiedział, dlaczego się tutaj zatrzymali. Nawet nie próbował oponować, gdy Virginia zamawiała drinki i płaciła za nie. Usiedli przy oknie. Virginia zapaliła papierosa; głęboko, z rozkoszą zaciągnęła się dymem, odrzuciła włosy i rozejrzała się po wnętrzu zmrużonymi oczyma, unosząc podbródek. Na jej twarzy malowało się lekceważenie graniczące z pogardą.

- Każda dywizja kadetów miała własny pub - wyjaśniła, upiwszy łyk wódki. - To był wodopój dywizji Dysarta. Spotykałam go dość często. Siedziałam przy tym stole, obserwowałam, jak puszy się i wyglupia z innymi, czekając cierpliwie, aż mi postawi dzin z tonikiem albo raczy ze mną zamienić parę słów. Boże, jaka ja byłam potulna! Zachowywałam się dokładnie tak, jak tego po mnie oczekiwano. Jak my wszyscy wtedy.

- Ale teraz już nie?

Uśmiechnęła się.

- Wiesz, czemu zostałam z Dysartem, Harry?

- To nie moja sprawa.

- Bo jest właścicielem Strete Barton. Chryste, co za ironia: właśnie ten człowiek jest właścicielem mojego rodzinnego domu. Widzisz, ojciec miał przez wiele lat kłopoty finansowe. Nic o tym nie wiedziałam. Płacenie za moją naukę, nie wspominając o weselu, nie poprawiło jego sytuacji. Myślę, że widział w Dysarcie syna, którego nigdy nie miał; mężczyznę, który przejmie po nim zarządzanie farmą, kiedy on nie będzie już sobie radził. Więc mu ufał, pytał go o radę i słuchał jego zdania. Potem zaczął od niego pożyczać pieniądze - duże pieniądze, aż w końcu oddał mu wszystko w zastaw hipoteczny. Żaden z nich mi o tym nie powiedział. Ojciec pewnie się wstydził. Zresztą może myślał, że zdoła wszystko spłacić i nigdy się nie dowiem. Zamiast tego umarł, zostawiając mi nic niewartą posiadłość. Praktycznie należała do Dysarta, i tak jest do dziś. To on, na przykład, zdecydował, by wydzierżawić ziemię sąsiadom i zatrzymać tylko dom. Zawsze o wszystkim decyduje.

- Na pewno umiałabyś prowadzić farmę sama.

Roześmiała się.

- Nie opowiadaj bzdur, Harry. Dobrze wiesz, kim jestem: luksusową dziwką. Dysart się o tym upewnił. Zawsze wiedział, na czym mi zależy bardziej niż na uwolnieniu się od niego: na ubraniach, biżuterii, koniach czystej krwi, szybkich samochodach, pieniądzach.

- Nawet jeśli...

- To powinnam go opuścić? Nie. Wtedy straciłabym wszystko. - Patrzyła w jakiś odległy punkt. - Tego nie mówiłam Heather. Przy niej zachowywałam się nienagannie. Poza tym ona nie wiedziała o Jonathanie. - A więc wspomniała o nim; udawanie się skończyło. - Widzisz, to taka prowizoryczna zemsta.

- Prowizoryczna?

- Na razie, póki nie znajdę lepszego sposobu.

- Na co?

- Na zmuszenie Dysarta, by zapłacił za życie, do jakiego mnie zmusił.

Virginia prowadziła tak prędko, że wysokie żywopłoty wzdłuż drogi zmieniły się w zamazane smugi. Harry patrzył na nie i zastanawiał się, dlaczego podążając śladami Heather, napotyka wszędzie gorycz i rozczarowanie, ludzi wiodących smutne, jałowe życie na przekór pustej przeszłości i przyszłości oddanej w zastaw. Nagle zrobiło mu się duszno. Otworzył okno i zaczerpnął głęboko powietrza.

- Gdzie jest Heather, Harry? - zapytała Virginia. Spojrzał na nią. Zauważył, że się uśmiecha. - To wcale nie takie głupie pytanie, jak się zdaje. Chodzi mi o to, czy, twoim zdaniem, w ogóle gdzieś ją można znaleźć.

- Oczywiście.

- Naprawdę? Żyje i oddycha, jada i sypia w jakimś konkretnym miejscu? Wierzysz w to? Bo ja wcale nie jestem pewna. Heather wydawała mi się prawie... prawie nierealna. Jak gdyby trzymała się rzeczywistości słabiej niż inni. I pewnego dnia mogła z niej ulecieć bez widocznego powodu.

- Serio tak uważasz?

- W każdym razie to pasuje do faktów. Szczyt góry zdaje się odpowiednim miejscem do zniknięcia dla takiej osoby.

Harry przypomniał sobie rozmowę z Miltiadesem.

- Morderstwo bez trupa - mruknął.

Virginia skinęła głową.

- Dobrze określenie.

- Nie moje.

- Nie szkodzi. Jedno jest pewne: Heather stanowiła dokładne przeciwieństwo siostry, była równie nie z tego świata, co Clare...

- Znałaś Clare?

- Oczywiście. I, zanim zapytasz: tak, wiem, że próbowała szantażować Dysarta. Przyjechała tu w zeszłym roku, parę tygodni przed śmiercią i poinformowała mnie w ten swój precyzyjny, zimny sposób, że jest z nim w ciąży.

Virginia przyhamowała ostro, z szarpnięciem; skręcili w boczną drogę do Strete Barton.

- Uwierzyłaś jej?

- Nie. Coś się nie zgadzało w jej opowieści. Wszystko poszło zbyt gładko, zbyt prosto. Dysart nie wpadłby w taką oczywistą pułapkę. Dlatego nie wspominałam o niczym Jonathanowi. Gdybym kiedykolwiek miała mu dostarczyć coś przeciw Dysartowi, musiałabym być pewna, że to coś, co przyłgnie na dobre.

- A gdybyś miała taką pewność?

- Nie wahałabym się ani chwili.

Więc przyznała to sama, spokojnie i bezwstydnie. Była dla Dysarta tym, czym nigdy nie powinna być dla mężczyzny jego żona: potencjalnym wrogiem.

- Zaskoczyłam cię? - spytała nieszczercze.

Nim zdążył sformułować odpowiedź przemknęło mu przez myśl, że coś tu się nie zgadza. Clare odwiedzała Strete Barton parę tygodni przed śmiercią? To niemożliwe, skoro...

- Kiedy dokładnie Clare cię odwiedziła?

- Mmm? Och, to był wolny dzień z okazji święta pracy. Dysart otwierał jakieś przyjęcie czy coś podobnego w swoim okręgu wyborczym. Stąd musiała wiedzieć, że zastanie mnie samą.

- Święto pracy?

- Tak. No wiesz, pierwszy poniedziałek miesiąca. Na pewno je wprowadzili, zanim wyjechałeś na Rodos.

Harry zmarszczył brwi. To nie miało sensu. Dysart twierdził, że Clare przedstawiła mu swoje groźby w Skein of Geese 16 maja. Niemożliwe, żeby wcześniej zdradziła je Virginii. Virginia musiała się pomylić. Nic dziwnego, w maju były dwa dodatkowe wolne dni. Na pewno pomieszała daty. Samochodem zatrzęsło, gdy przejeżdżali przez zastawkę dla bydła. Właśnie miał dokładnie zapytać Virginie o wszystko, ale myśl wyleciała mu z głowy, kiedy samochód zahamował niespodziewanie. Przez podwórze biegła w ich kierunku Nancy z przerażeniem

wypisanym na twarzy.

- Co się stało? - spytała Virginia, wysiadając z wozu.

- Dobrze, że pani wróciła, pani Dysart - wysapała Nancy bez tchu. Musiała złapać parę głębokich oddechów, zanim mogła opowiadać dalej. - Mówię pani, jak się zlekłam.

- Czego? - Virginia zdawała się raczej zirytowana niż zaniepokojona. - No mów, dziewczyno!

- No więc zmywałam w kuchni, kiedy to się stało. Podnoszę wzrok znad zlewu i widzę tego faceta na podwórzu. Gapi się na mnie, jakby tam tkwił już od dawna. Żaden komiwojazer ani nic. Ubrany inaczej. I nic innego nie robił, tylko się gapił. Aż mnie dreszcz przeszedł. Odwróciłam wzrok, żeby odstawić garnek, bo go trzymałam w rękach, a kiedy znowu popatrzyłam pół sekundy później już go nie było. Jakby się rozplątał się w powietrzu. Wybiegłam na dwór, ale nigdzie go nie zobaczyłam.

- Pewnie odjechał - rzuciła Virginia niecierpliwie.

- Nie. Nie zdążyłby. I nie słyszałam silnika. Wybiegłam tutaj i spojrzałam na drogę, ale nikogo nie było. Ani śladu. Poszłam do stajni i tam też go nie znalazłam.

- Może jakiś turysta.

- Na pewno nie. Nie był ubrany jak turysta. Wyglądał raczej na miastowego.

- Wszystko jedno. W każdym razie poszedł sobie?

- Tak wygląda. Ale nie wiem jak i kiedy. Wszystko obeszłam. Ani śladu. Pomyślałam, że pewnie się gdzieś schował. Za stodołą albo gdzieś. I wtedy się dopiero nastraszyłam.

- Kiedy to się stało?

- Jakiś kwadrans temu, tak myślę.

- Pewnie już go nie ma, ale sprawdzę przy koniach.

Virginia ruszyła w stronę stajni.

- Nic nie znajdzie - zwróciła się Nancy do Harry'ego, posepnie kiwając głową.

- Potrafiłabyś go opisać? - spytał, starając się, by zabrzmiało to przyjaźnie.

- Chudy. W średnim wieku. Koło pięćdziesiątki, tak myślę. Łysy. To znaczy, zaczesywał sobie włosy na łysinę. Ciemne, ale już siwiał. Żółtawa skóra. Nie wyglądał zdrowo. I te szczurze oczka. Miał na sobie płaszcz od deszczu, ale... - urwała. - Dobrze się pan czuje, panie Barnett? Zrobił się pan strasznie błądy.

XLVI

W domu panowała pustka i cisza. Dwie godziny temu Nancy została odesłana do domu, żeby doszła do siebie, godzinę temu Virginia udała się na zwykłą popołudniową przejażdżkę. Opierając się przemożnemu pragnieniu, by wskoczyć do samochodu i wyjechać, Harry ostatni raz przeszukał stajnie i stodoły i - jak się spodziewał - nic nie znalazł. Wrócił do środka. Na każde skrzypnięcie starych belek zrywał się z miejsca. W końcu doszedł do wniosku, że najlepszym lekarstwem przeciw panice będzie whisky Dysarta. Teraz, czując jak z każdym łykiem kojące ciepło rozlewa się po jego ciele, wyglądał przez okno gabinetu na pola. Widział jedynie bydło, owce, drzewa, łąki, żywopłoty i niewyraźne odbicie własnej twarzy.

Kim był ów milczący obserwator pozwalający się oglądać tylko wtedy, gdy sam tego chciał? W jaki sposób udało mu się śledzić Harry'ego aż do Strete Barton? Jak to się działo, że potrafił przewidzieć każdy jego krok? Czyje rozkazy wypełniał: Kingdoma czy własne? Kolejny łyk whisky. Wszystko trwało w bezruchu.

Odwrócił się od okna. Gabinet Dysarta, umeblowany wygodnie, choć surowo, wydawał się dziwnie pusty bez papierów na biurku, z książkami równo ustawionymi na półkach. Żadnego nie dokończonego listu na bibularzu, żadnych notatek, świstków papieru zdradzających charakter gospodarza.

Na ścianie naprzeciw biurka wisiały w rzędzie trzy grupowe fotografie. Harry podszedł bliżej i przyjrzał się im po kolei.

Kadeci z Dartmouth, wrzesień 1968, klasa marynarki. Dysart stoi trzeci w ostatnim rzędzie, spokojny i bez uśmiechu; ani arogancki, ani pokorny - taki, jaki zawsze wydawał się Harry'emu: doskonale opanowany. Następne zdjęcie - załoga HMS Atropos w kwietniu 1971. Kapitan C.V. Mallender siedzi na środku w pierwszym rzędzie, sztywno wyprostowany i z wysuniętą brodą. Czwarta od lewej, anonimowa postać to porucznik A.J. Dysart. Nic w pozie czy wyrazie twarzy obu mężczyzn nie wskazuje, jak wiele będą kiedyś znaczyć dla siebie - i dla Harry'ego. I ostatnia fotografia: HMS Electra, czerwiec 1982. Fregata, którą Dysart dowodził w czasie wojny falklandzkiej. Równie młody jak na poprzednim zdjęciu, nie zmieniony pozornie w żadnym szczególe, doskonale łączący w sobie odwagę i dyscyplinę, kapitan Dysart siedzi swobodnie w otoczeniu załogi.

Harry wolno wrócił do okna, przesuwając wzrokiem po grzbietach książek. Polityka, beletrystyka, morze: dziedziny, jakich należało się spodziewać. Zatrzymał się i spojrzał uważniej na jeden oprawny w skórę grzbiet, powtarzając półgłosem słowa tytułu wytłoczone złotymi literami. „Panowanie Williama Rufusa”. Wyjął książkę i otworzył ją na stronie tytułowej. „Panowanie Williama Rufusa i wstąpienie na tron Henryka I”, Edward O. Freeman, członek honorowy Trinity College w Oksfordzie. Rok wydania 1882. Książka była w doskonałym stanie, nie miała nawet postrzępionych stron, które świadczyłyby o jej wieku. Harry spojrzał na kartę przedtytułową i drgnął ze zdumienia na widok dedykacji. *Dysartowi na pamiątkę przyjęcia do Towarzystwa Tyrrella. Breakspear College, Oksford, 23 kwietnia 1968.* Dalej pięć podpisów, każdy innym charakterem pisma. Cornelius. Cunningham. Everett. Morpurgo. Ockleton. Więc w Dniu Świętego Jerzego miała miejsce zarówno defenestracja, jak i uroczyste przyjęcie; nie tylko akt zdrady, ale i akt uznania zasług. Kto zdradził? Kto się zasłużył? Sześciu ludzi znało odpowiedź. Jeden nie żył, drugiego spotkał los niewiele lepszy od śmierci, pozostali czterej milczeli.

Dzwonek telefonu na biurku zabrzmiał jak klakson. Harry rzucił książkę na blat i sięgnął po słuchawkę.

- S-słucham?

- Harry? Alan Dysart. Nie ma Virginii?

- Nie. Jest na przejażdżce. Skąd dzwonicz?

- Z Weymouth.

- Jesteś z... z M-Mallenderami?

- Wszystko w porządku, Harry? Wydajesz się zdenerwowany. Nie, nie ma ich tutaj.

- To nic. Czuję się całkiem dobrze.

- Na pewno?

- Tak.

- Doskonale. - Krótka pauza. - Mallenderowie błędzą w ciemnościach tak jak my. Jest dla mnie oczywiste, że mimo wszystkich swoich karygodnych postępów nie konspirowali z Kingdomem, by umieścić Heather w Szwajcarii.

Heather i doktor Kingdom. Oczywiście. Dlaczego nie może się skoncentrować na tym, co najważniejsze?

- Jesteś pewien? - zapytał otepiały.

- Całkowicie.

- Więc co dalej?

- Charlie i ja zgodziliśmy się, że powinniśmy się spotkać z Kingdomem jak najszybciej. Nie żeby go oskarżać, tylko wysondować. Musimy wiedzieć, z jakiego typu człowiekiem mamy do czynienia. To bardzo ważne.

- Jak to chcecie zrobić?

- Już zrobiliśmy. Charlie zadzwonił do Kingdona i poprosił, by spotkał się z nami jutro. Zgodził się. Będzie w Sabre Rise o jedenastej.

- Jutro? - Harry chciał zaprotestować przeciw szybkości, z jaką rozwijały się wydarzenia. Pragnął poprosić o zawieszenie broni, chwilę przerwy na złapanie oddechu. Ale zdołał tylko wyjąkać: - To już ustalone?

- Tak. Oczywiście przyłączysz się do nas?

- Ja... tak.

- Doskonale. Zostanę tu na noc. Powiedz Virginii, że zatrzymały mnie interesy. Nie będzie się dopytywać.

- Dobrze.

- No to do jutra.

Do jutra. Dysart odłożył słuchawkę, rozległo się brzęczenie. Harry wyczuwał wątpliwości przyczajone w ciszy pokoju. Położył słuchawkę na widełki. Telefon natychmiast zadzwonił znowu.

- Słucham? - Żadnej odpowiedzi. - Halo? - Nadal cisza. - Kto mówi?

Trzask, nieznaczna zmiana tonu, wreszcie odpowiedź. Coś w rodzaju odpowiedzi:

- *Parakalo?*

Słowa wypowiedziane po grecku na linii telefonicznej w Devon. Harry nie mógł wydobyć słowa.

- *Parakalo?*

Czy ten sam człowiek życzył mu dobrej nocy w londyńskim metrze? Nie wiedział. Nie był pewien.

- *Parakalo?*

Kto za tym stał? Kto z ludzi, których spotkał, robił mu coś takiego?

- *Parakalo?*

Nie odezwie się, nie odpowie, nie złapie się na przynętę. Nie da im satysfakcji.

- *Parakalo?*

Odłożył słuchawkę. Cisza była niczym łagodna dłoń na czole. Nie musi nic mówić. Aż do jutra.

XLVII

Harry pierwszy był gotów przyznać, że tworzyli niezwykłą grupę. Salon w Sabre Rise, choć kosztownie umeblowany, zdawał się równie nieprzytulny, jak poczekalnia dworcowa. Na pustkowiach wyłożonym dywanem odbywało się prze-

sluchanie Petera Kingdome - z taką dozą uprzejmości i skrepowania, że przypominało zebranie koła dobroczynnego. Charlie Mallender, w dosadnych słowach ale ostrożnie, zadawał z fotela przy kominku szorstkie pytania o stan umysłu córki. Kingdom, usadowiony na krześle naprzeciw niego, powtarzał swoją diagnozę z wyrazem tłumionej irytacji na twarzy. Obok okna przechadzał się Alan Dysart, marszcząc brwi w skupieniu, prosząc o dodatkowe wyjaśnienia tonem uprzejmego, lecz dociekliwego śledczego. Marjorie, siedząca na sofie obok Harry'ego, drżała nieustannie i nie mówiła nic. W samym centrum ich niemiłego zgromadzenia fotografia ze stolika do kawy, przedstawiająca Marjorie z Clare, Heather, Royem i Jonathanem Minterem, zrobiona w dniu dwudziestych pierwszych urodzin Clare, odpowiadała milcząco na każde spojrzenie.

- Powiedziałem to samo, kiedy Heather opuszczała Challenbrooke. Jestem zdumiony, że każecie mi to państwo powtarzać. - W głosie Kingdome brzmiało rozdrażnienie i sprzeciw. Przemawiał niczym mądry nauczyciel, rozzłoszczony tępotą swoich uczniów. - W wypadku chorób psychicznych nigdy nie można zagwarantować całkowitego powrotu do zdrowia. Po wielu miesiącach normalności może przyjść niespodziewany nawrót. Z tego powodu moja ocena stanu umysłowości Heather jedenastego października jest praktycznie bezużyteczna dla ustalenia jej motywów jedenastego listopada. Czy to dla pana jasne?

- Oczywiście - odparł Charlie. - Ale myśleliśmy, że być może kontaktował się z nią pan po jedenastym październiku. Powiedzmy, list, rozmowa telefoniczna. Cokolwiek, co mogłoby...

- Nie kontaktowałem się z nią w żaden sposób. - Kingdom pozostał w tym punkcie nieugięty. Co się kryło za jego kłamstwem? Jakiemu celowi służyło? - Jej zniknięcie było dla mnie całkowitym zaskoczeniem.

Tak twierdził, jednak na jego ustach zbyt długo trwał cyniczny grymas. Harry zupełnie mu nie wierzył.

- Jeśli wybaczy pan pytanie - wtrącił Dysart - mogę wiedzieć, jak daleko jest pan gotów się posunąć dla zachowania tajemnic pacjentów?

- Co dokładnie ma pan na myśli?

- Tylko to. Założmy, czysto teoretycznie, że zgodził się pan na prośbę pacjenta, by pewne aspekty jego albo jej choroby i szczegóły dotyczące leczenia zachować w tajemnicy przed najbliższymi krewnymi bez względu na okoliczności...

- Takie rzeczy się nie zdarzają!

- Ale nie są nieprawdopodobne?

- Może i nie, jednak...

- Więc pytanie pozostaje w mocy: w jakim wypadku czułby się pan zwolniony z takiej obietnicy?

- Skąd mam wiedzieć? - Kingdom spojrzał wściekle na Charliego. - Panie Mallender, przyszedłem tutaj, by w miarę możliwości zaoferować swoją pomoc i wiedzę, pomóc w ustaleniu, co się stało z Heather. Czy nie to powinno interesować pana przede wszystkim?

- Tak jest. - Charlie poczerwieniał. Mówił napiętym głosem, jakby grał rolę niezgodną ze swoim charakterem. I, o ile Harry mógł stwierdzić, była to prawda. - Jesteśmy bardzo wdzięczni za pańską pomoc.

- Czy mogę spytać, z jakiego powodu zabrakło wśród nas pańskiego syna?

Harry wiedział dobrze. Na Roya nie można było liczyć, iż pomoże w podtrzymywaniu pozorów, że Kingdoma proszono o pomoc w odnalezieniu Heather, a nie przesłuchiowano, szukając dowodów jego winy.

- Syn nie mógł nam towarzyszyć - powiedział Charlie wolno. - Fakt ten nie ma większego znaczenia.

- Sądziłem, że może jest to związane z obecnością pana Barnetta. - Kingdom skinął głową w kierunku Harry'ego i uśmiechnął się lekko.

- Absolutnie nie - odparł Charlie. - Roy, podobnie jak reszta naszej rodziny, przyjmuje, iż pan Barnett nie miał nic wspólnego z zaginięciem Heather.

Tylko lata praktyki mogły dać Charliemu taką wprawę w udawaniu. Za chwilę ogłosi, iż Harry jest przyjacielem rodziny.

- W takim razie - ciągnął Kingdom - sugeruję, by przekonał go pan do mojej propozycji hipnozy. To jedyna nadzieję na zrobienie postępów.

- Harry wie o tym - powiedział Dysart. - Chce być pewien, że wyczerpaliśmy wszystkie inne środki, zanim się zgodzi na posunięcie, które uważa za ostatnią deskę ratunku. Jego stanowisko wydaje mi się bardzo rozsądne.

- Wyczerpaliśmy wszystkie inne środki.

- Może ma pan rację. - Dysart zwrócił się do Harry'ego, nie zdradzając nawet błyskiem w oku, że są w zмовie. - Co na to powiesz?

Czas wygłosić swoją kwestię.

- Chyba muszę się zgodzić - odparł z westchnieniem udawanej niechęci.

- Naprawdę? - Kingdom był wyraźnie zaskoczony. - Zgadza się pan na próbną sesję?

- Tak.

Doktor przyjrzał mu się badawczo.

- Jestem bardzo zadowolony, że moje argumenty trafiły panu do przekonania - powiedział tonem zupełnie pozbawionym zachwyty. - Jaki termin panu odpowiada?

- Przyszły tydzień?

- Może wcześniej?

- Wolałbym nie.

- Doskonale. - Kingdom wyjął kieszonkowy kalendarzyk. - Powiedzmy, we wtorek?

- Dobrze. We wtorek. Po południu.

- W porządku. Wpół do trzeciej, w moim gabinecie?

- Dobrze.

Kingdom zaznaczył godzinę spotkania w kalendarzu i wsunął go z powrotem do kieszeni.

- Sesja może oczywiście nie dać żadnych rezultatów - powiedział. - To chyba jasne?

- Tak - odparł Dysart. - Zupełnie jasne.

- Miło mi, że zgodził się pan na to - dodał Charlie monotonnym głosem, jakby czytał z kartki. - O ile wiem, zwykle nie zajmuje się pan sprawami tego typu.

- Nie - odpowiedział Kingdom. - Właściwie nie. Ale jeśli istnieje szansa, że zdobędziemy w ten sposób jakąś wskazówkę, warto spróbować. - Jego spojrzenie przesunęło się po pokoju, w końcu spoczęło na Harrym. - Bardzo się cieszę, że dał się pan przekonać do mojej propozycji, panie Barnett. - Jego oczy analizowały rysy Harry'ego w poszukiwaniu przyczyn tak nagłej zmiany decyzji. - Miejmy nadzieję, że nasz wysiłek nie pójdzie na marne.

- Miejmy nadzieję - powtórzył Harry.

Obnażenie umysłu przed Kingdomem stanowiłoby akt szaleństwa. Harry'emu łatwo było jednak udawać zgodę: wiedział - podobnie jak wszyscy w pokoju z wyjątkiem Kingdoma - że w przyszły wtorek o wpół do trzeciej będzie się znajdował daleko od Marylebone.

Minęło dziesięć minut. Kingdom wyszedł, zapewniwszy Mallenderów, iż zawiadomi ich niezwłocznie, gdy tylko zdobędzie jakiś materiał z „sesji próbnej” z Harrym. Marjorie odprowadziła go do samochodu, Dysart patrzył przez okno. Słyszając odgłos zapalnego silnika odwrócił się do Harry'ego i Mallendera.

- No i jak? - zapytał cicho.

- Facet coś ukrywa - mruknął Charlie. - To oczywiste.

Wszyscy coś ukrywamy, pomyślał Harry; nie przyznajemy się do dawnych różnic, stwarzając pozory jednomyślnego działania, uspokajając nieczyste sumienie tym gorliwszym poszukiwaniem prawdy. Niecały miesiąc temu Charlie wyrzucił Harry'ego z domu i nasłał na niego policję. Teraz, pokorny i zmuszony do uległości wspomnieniem własnego postępowania, robił coś, co jeszcze miesiąc temu byłoby nie do pomyślenia: obdarzał go zaufaniem.

- Jeśli ukrywa fakt, że Heather znajduje się w Versorelli Institute - mówił Dysart - musimy ustalić, czy dziewczyna rzeczywiście tam jest, najszybciej jak to

możliwe.

- Zgoda - burknął Charlie.
- Uważasz, że panna Labrooy zechce nam w tym pomóc, Harry?
- Tak.
- Więc potrafiłaby stworzyć wiarygodną wersję tego, co naszkicowaliśmy?

Harry wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru i spojrzał na nią jeszcze raz. Pod nagłówkiem: *Do Dyrektora Versorelli Institute* widniały słowa listu napisanego niedbale przez Dysarta. *Polecam Pańskiej opiece pana Harolda Barnetta, który podejrzewa, że jego zaginiona krewna może znajdować się wśród moich pacjentek w Instytucie. Byłbym niezwykle zobowiązany, gdyby zechciał Pan udzielić mi wszelkiej pomocy. Z poważaniem, P.R.K.*

- Tak - powtórzył Harry. - Z pewnością.
- Kiedy zjawisz się tam osobiście uzbrojony w taki list na pewno poczują się zobowiązani i pokażą ci pacjentów doktora.
- Mogą do niego zadzwonić.
- Na tym polega piękno całego pomysłu. To panna Labrooy odbiera telefony Kingdoma. Może im powiedzieć, że jest nieobecny. Na urlopie. Wyjechał. Wszystko jedno co.

Harry musiał przyznać, że rzeczywiście kryło się w tym pewne piękno. Podczas gdy Kingdom będzie siedział w swoim gabinecie w Marylebone, czekając niecierpliwie na okazję, by się dowiedzieć, jak wiele Harry odkrył, on sam będzie w Genewie demaskował sekret doktora.

- Prawda - powiedział. - Powinno się udać.
- Uda się na pewno - zapewnił Dysart z nagłym entuzjazmem. - Nie wierzę, by Instytut był zamieszany w jakiegokolwiek naganne praktyki. Wierzyli w wyjaśnienia Kingdoma, więc uwierzą też w jego list i zrobią wszystko, o co ich prosi.
- Chyba tak.
- Nie możemy cię do tego zmuszać, Harry. Nawet byśmy nie próbowali. Ale co innego nam pozostaje? Jeśli nadamy sprawie oficjalny bieg Kingdom zostanie

ostrzeżony.

- Mam przed tobą paść na kolana? - wtrącił Charlie. - O to chodzi, Barnett? - Jego twarz nabierała kolorów, opanowanie szybko się ulatniało. - Mam cię błagać o pomoc? Zrobiłem w życiu wiele rzeczy, z których nie jestem dumny, włączając w to grożenie Heather, że ją wsadzę z powrotem do tego cholernego szpitala. Ale nigdy nie chciałem jej skrzywdzić. Nigdy nie chciałem, żeby tak się to skończyło. - Marjorie wróciła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Głos Charliego natychmiast złagodniał. - Jestem lojalny wobec moich bliskich, bez względu na ich potknięcia. Nie uważam tego za wadę.

Marjorie podeszła do męża i położyła mu dłoń na ramieniu. Harry widział drżenie jej palców, nerwowy tik na zaczerwienionym policzku Charliego.

- Nie mamy prawa o to prosić, panie Barnett - powiedziała miękko. - Nie ma pan wobec nas żadnych zobowiązań.

- Powiedziałbym... - Głos Charliego zadrżał. Duma nie pozwalała mu przyznać tego, o czym przekonywało sumienie. - Powiedziałbym, że to my jesteśmy winni...

Przeprosiny? Harry miał dość rozumu, by się ich nie spodziewać. Dysart pochwycił jego spojrzenie; zdawał się uśmiechać, jakby czytał w jego myślach. To był sojusz z konieczności, nic więcej. A z koniecznością nie można walczyć. Wzrok Harry'ego przesunął się na fotografię, spoczął na młodej, ufnej twarzy Heather. „Nie mogę już zawrócić prawda?” Ona by rozumiała.

- No więc, Harry?

- Zadzwoń do panny Labrooy dzisiaj wieczorem.

- A jeśli się zgodzi?

- Pojadę.

Niedługo potem Harry i Dysart zegnali się na podjeździe Sabre Rise. Szara zasłona chmur wolno zasnuwała czyste poranne niebo, prawdziwy zimowy wiatr nadciągał znad otaczających wzgórz i pól. Harry widział Marjorie spoglądającą

przez okno salonu, gdy otwierał drzwiczki samochodu. Czuł na sumieniu ciężar jej nieśmiałej nadziei, nawet kiedy sobie powtarzał, że podejmuje się zadania ze względu na siebie, nie na nią.

- Dziękuję - powiedział Dysart, kładąc mu dłoń na ramieniu w geście wdzięczności i zatrzymując go równocześnie.

- Za co?

- Że nie rzuciłeś Charliemu w twarz jego kłamstw. Że nie starałeś się wyrównać rachunków. Nie próbowałeś się mścić.

- To by nie miało sensu.

- Zemsta rzadko ma sens. Prawda, Charlie traktował cię podle przez wiele lat i zasługuje z twojej strony jedynie na pogardę. Nawet teraz, nawet kiedy wie, że miałbyś prawo zrzucić na niego całą brudną robotę, nie potrafi się zmusić do przeprosin.

- Wcale się tego nie spodziewałem.

- Ani ja. - Dysart uśmiechnął się. - W świetle własnych zasad Charlie nie jest złym człowiekiem. Jako kapitan okrętu zdobył sobie mój szacunek i podziw. Sam wyznał ci dzisiaj swój główny grzech: lojalność. To właśnie lojalność wobec syna pozbawionego zasad sprowadziła go na manowce.

- Roy wie, co zamierzamy?

- Nie. Nawet Charlie przyznał, że tym razem nie wolno go dopuścić do tajemnicy.

W jaki sposób Dysart zdołał go przekonać? - zastanawiał się Harry. Odwołał się do ambicji czy do rozumu? Jakiegokolwiek użył metody, zapewnił sobie całkowite posłuszeństwo Charliego.

- Daj mi znać, gdybyś miał kłopoty z panną Labrooy.

- Nie będzie żadnych kłopotów.

- Skontaktujesz się ze mną, jak tylko się dowiesz, że Heather jest w szpitalu?

- Natychmiast.

- W takim razie pozostaje mi tylko życzyć ci powodzenia.

Dysart uściskał mu mocno rękę i zawrócił w stronę domu.

Harry patrzył za nim, czując, jak jego odporność psychiczna zaczyna się kruszyć. Za chwilę będzie siedział samotny za kierownicą, jadąc do Swindon. Kawał drogi, zbyt długo, by zdołał wyrzucić z pamięci wspomnienie tego, co sprawiło, że musi usłuchać prośby Dysarta. Mógł przekonywać samego siebie, iż zrobiłby to tak czy inaczej, z przywiązania do Heather albo może ze współczucia dla jej matki. Mógłby nawet twierdzić, że chce oczyścić własne nazwisko - jeśli to w ogóle możliwe w obecnej sytuacji. Wcześniej mogłoby to wystarczyć. Ale teraz już nie. Teraz pojawił się nowy motyw.

Wsiadł do wozu i zapalił silnik. Zjechał ze wzgórza, potem skręcił na północ w kierunku Dorchester. Sądząc po wyglądzie nieba, miał małe szanse, by mu się udało zdążyć do Swindon przed zmrokiem. Skrzywił się na tę myśl. Wiedział, że tylko w świetle dnia zdoła utrzymać na dystans myśli o tym, co się wydarzyło ubiegłej nocy. Póki trwał dzień, mógł udawać, że nic się nie stało. Jednak kiedy dzień się skończy, wcześniej czy później wspomnienia powrócą, by go dręczyć. Dotąd odkrywał wszędzie zdradę. Teraz zdradził sam.

Nie potrafiłby powiedzieć, co go zbudziło nad ranem w Strete Barton. Virginia, nie zrażona nieobecnością Dysarta, zabrała go do gospody we wsi na kolację, gdzie z pomocą innych biesiadników i niezliczonych drinków przekonała go, że Nancy z pewnością wyobraziła sobie mężczyznę na podwórzu, a błędne połączenia to specjalność wiejskich central. Rozbawiła miejscowych opowieścią o całym incydencie, namówiła Harry'ego na grę w rzutki i w jakiś sposób sprawiła, że spędził najbardziej beztroski wieczór od powrotu z Rodos.

Jednak wystarczyła pięciominutowa konfrontacja z absolutną, czarną jak atrament ciszą bezksiężycowej, bezwietrznej nocy, by zniszczyć to wszystko. Świecące wskazówki zegarka pokazywały za dwadzieścia trzecią, najbardziej posepną, martwą porę doby. Wiedział, że niepokój nie pozwoli mu zasnąć wcześniej niż za kilka godzin. Wstał, włożył szlafrok i podszedł do okna. Na

dworze panowały głębokie ciemności; ledwo odróżniał zarys stajni na tle nieba, tak czarnego i pustego, iż niemal można było uwierzyć, że cały świat poza Strete Barton przestał istnieć. Ruszył z powrotem do łóżka. I wtedy usłyszał.

Co to było? Poruszenie? Stuknięcie? Skrzypnięcie belki? Tak czy owak, nie można tego zlekceważyć. Piętro niżej rozległ się jakiś dźwięk. Zmuszając się do działania, nim strach weźmie w nim górę, otworzył drzwi i wyrzwał przez balustradę schodów. Nic. Żadnego światła na dowód, że Virginia nie śpi. Żadnego dźwięku, który by potwierdził, że to, co słyszał wcześniej, nie było złudzeniem. Ruszył w stronę schodów.

Wzrok przyzwyczaiał mu się już do ciemności. Zaglądając ukradkiem do pokoi na parterze, zaczynał podejrzewać, że zmysły go oszukały. Każdy stary dom ma swój własny repertuar skrzypów i trzasków. Nic w tym niezwykłego. Powinien wziąć się w garść. Zakończył obchód w gabinecie. Zdrowy łyk whisky Dysarta pomoże mu uspokoić nerwy i pozwoli zasnąć. Zapalił lampę, ale nim spostrzegł butelkę jego uwagę przyciągnęło coś innego.

„Panowanie Williama Rufusa” nadal leżało obok telefonu. Przeklinając własną nieostrożność szybko zabrał książkę do biblioteczki. Kiedy ją wsuwał na miejsce przypomniało mu się, że przecież już to robił. Po południu, zanim wyszedł z gabinetu, odkładał ją na pewno. Ogarnęła go fala niepokoju. Na pewno to robił. Nie ma wątpliwości.

W pokoju panowało gorąco. W każdym razie on czuł gorąco; ścierpły mu ręce i nogi, oddychał szybko. Ktoś stał za jego plecami, tuż obok. Ktoś znajomy. Drzwi musiały zostać otwarte, bo poczuł lekki przeciąg; przedtem wszystko było duszne i nieruchome. Doleciał go delikatny, ale wyraźny zapach gardenii. Kwiaty? A może perfumy?

Odwrócił się. Virginia stała nie dalej niż dwa metry od niego, wpatrywała się w niego z napięciem. Miała na sobie jedwabny szlafrok w jakimś pastelowym kolorze. Włosy swobodnie opadały jej na ramiona. Oddychała szybko, niemal dyszała, wpatrując się w Harry'ego, jakby ją też coś zbudziło i obawiała się spo-

tkać intruza.

Dlaczego nie mógł się odezwać? Dlaczego nie był w stanie zerwać czaru, w którego władzy nagle się znaleźli? Napięcie rosło; powietrze wokół zdawało się niemal naelektryzowane. Niespodziewanie poczuli przyływ pożądania niby falę gorącą towarzyszącą nagłemu rozbłyskowi. Virginia zrobiła krok w jego stronę. Szukał słów, żeby się nimi odgrodzić od impulsu, który chciał nim zawładnąć. Przycisnęła palce do jego ust.

- Byłeś dla Heather Sylenem, prawda, Harry? - Głos miała schrypnięty. Z pożądania albo z zadumy. Nie potrafił tego rozstrzygnąć. Przesunęła dłonią po jego podbródku, po jego piersi. - Kim będziesz dla mnie?

Musi przestać. Za chwilę - za sekundę - będzie za późno. Nigdy wcześniej nie zaznał, nie doświadczył równej intensywności przeżyć. Wyzwołyły to jej słowa. „Byłeś dla Heather Sylenem, prawda?” Nie. Nie był. Tamto wyobrażenie stanowiło tylko aluzję, która nigdy nie została wprowadzona w życie. Więc czemu nie potrafi usunąć z pamięci wizerunku Heather? Takiej, jakiej nigdy nie widział. Nie potrafił się już powstrzymać.

Virginia sięgnęła do paska jego szlafroka, rozwiązała go. Zaciśnięte oczy, kiedy szlafrok się rozsunął. Wiedział, co zobaczy; wiedział, że zadałoby to kłam wszelkim próbom zaprzeczenia. Dotknęła go, zaczęła pieścić, przesunęła ręką raz, drugi, potem cofnęła dłoń.

- Czy ona też tak robiła, Harry?

Zsunęła szlafrok z jego ramion. Harry słyszał, jak szlafrok opada na podłogę. Zapanowała cisza. Otworzył oczy. Stała może metr od niego, z tym swoim opanowanym, aroganckim wyrazem twarzy. Czekwała, by spotkać jego spojrzenie; z brwiami uniesionymi leciutko, z odrzuconą głową i kącikiem szerokich ust skrzywionym pogardliwie, z jedną ręką na węzle szarfy, która przytrzymywała jej szlafrok w pasie.

- Byłeś Sylenem dla Heather, Harry. Nie chcesz być dla mnie?

Jeden ruch i szarfa opadła. Strząsnęła szlafrok z ramion. Jeszcze przez chwilę

trzymała na uwięzi jego oczy, potem spuściła wzrok. Wysoka, wyższa od niego, bardziej umięśniona, niż podejrzewał, choć widział ją u Mintera owiniętą tylko w ręcznik kąpielowy, przypominała Amazonkę, miała w sobie nie tylko coś rozpustnego, ale i wojowniczego. Opadła na kolana, podniosła na niego wzrok, potem sięgnęła między jego uda, ujęła w dłoń jądra i dotknęła ustami członka. Włosy zsunęły się jej na twarz. Czuł, jak muskają jego skórę, kiedy jej wargi przesuwają się tam i z powrotem. Na chwilę jego wzrok pobiegł do pozbawionego zasłon okna; Harry zobaczył odbitą na tle ciemności, oświetloną blaskiem lampy scenę, w której realność nie potrafił uwierzyć. Virginia klęcząca naprzeciw niego, rozpuszczone włosy i uniesione ramię ledwo zasłaniały to, co robiła. Przewrzenie, jakie wywołał w nim ten widok, zaćmiewało jedynie nieopanowane pożądanie.

Wyprostowała się, siadła na piętach i spojrzała na swoje dzieło. Harry nachylił się nad nią. Dotknęła go znowu, położyła sobie jego rękę na piersi. Jego umysł zalały chaotyczne wrażenia: chłodne ciało pokryte gęsią skórą, jego ciepły, niepokojący zapach, płytki oddech, twarda brodawka piersi, którą czuł między palcami, absurdalne piękno włosów w świetle lampy, narastająca pewność tego, co musi się stać.

Osunęli się na podłogę. Jej wargi ułożyły się w uśmiech, kiedy się podniósł na rękach, żeby spojrzeć na jej blade ciało, złotawe w blasku lampy, na włosy rozłożone niby wachlarz na dywanie. Wszedł w nią gwałtownie, z wrażeniem, jakby jego członek przybrał ogromne rozmiary. Oddychała szybciej niż on, odchyliła głowę, policzki poróżowiały jej od tajonej radości. Przez chwilę to ona znalazła się na górze, kołysała się w przód i w tył z zamkniętymi oczyma, rozchylonymi ustami, z twarzą zakrytą pasmami włosów. Przesunął dłońmi po jej plecach, objął bliźniacze wybrzuszenia pośladków, uświadamiając sobie z zaskoczeniem, że nawet przez crescendo własnych wrażeń czuje żar płonący w jej ciele. Potem usłyszał wśród westchnień okrzyk tryumfu, który w końcu mu powiedział, dlaczego wybrała właśnie jego, właśnie to miejsce, właśnie ten czas.

- Do diabła... do diabła... z tobą... Dysart!

Przetoczyli się znowu. Za późno, by odwrócić zdradę, do której go popchnęła. Wiedział, że za moment ogarną go wyrzuty sumienia. Ale jeszcze nie teraz. Teraz oboje znajdowali się poza ich zasięgiem. Złączone drgające ciała, jęki Virginii, kiedy się w nią wdzierał, szaleńcze ruchy kończyn: każdy mięsień napięty, każdy zmysł rozbudzony. Za późno, o wiele za późno; znaleźli się daleko poza punktem, skąd nie ma odwrotu.

Kilka sekund, nie więcej. Kilka nędznych sekund. Mięśnie zwiotczały, oddechy uspokoiły się, kończyny opadły splątane. Odraza wkradająca się w jego myśli, fala palącej pogardy do samego siebie. Już kiedy się z niej wysuwał, świadomość, do czego go zmusiła, zacisnęła się wokół niego niczym pętla.

Przewrócił się na plecy, przykrył w pasie porzuconym szlafrokiem i leżał, patrząc w sufit.

- Czemu... dlaczego to zrobiłaś? - spytał półgłosem.

- Wiesz czemu.

Jej głos był cichy, ochrypliły od przerażającej satysfakcji.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Jesteś jego najdawniejszym, najwierniejszym przyjacielem. Jego talizmanem. Dlatego. Bo zrobić to z tobą w tym miejscu, w tym pokoju, gdzie pisze te swoje niepokalane mowy, to tak jakby zrobić to na jego oczach. Wyobraź sobie, że tu siedział, za biurkiem, i patrzył przez cały czas, widział i słyszał wszystko, co się działo.

- Nie możesz...

- Wyobraź to sobie, Harry! Tylko wyobraź. Bo ja to właśnie zrobiłam. I dzięki temu było tak wspaniale.

- Skąd wiedziałaś? Kto ci powiedział o Sylenie?

Nie odpowiedziała. Pochyliła się nad nim, sięgnęła po swój szlafrok; zobaczył ostatni raz uda, między którymi leżał; piersi, które całował; pośladki, które obejmował dłońmi; skórę, którą pieścił. Owinęła się ciasno szlafrokiem i ruszyła

do drzwi.

- Zimno mi - powiedziała. - Wracam do łóżka.

Zatrzymała się w wejściu i spojrzała na niego przez ramię.

- Możesz spać ze mną. Albo nie. Jak chcesz.

XLVIII

dr Peter R. Kingdom,

7 Lictor Place,

Crawford Street,

Londyn,

WIM 6QU

30 września 1988

Drogi Konradzie,

Przedstawiam Ci pana Harolda Barnetta, mojego ziomka, który ma powody przypuszczać, że jedna z moich pacjentek w Instytucie może być jego krewną. Byłbym Ci ogromnie zobowiązany, gdybyś zechciał mu udzielić wszelkiej pomocy, której będzie potrzebował przy ustalaniu, czy tak jest rzeczywiście.

Z najlepszymi życzeniami

Twój Peter

Profesor K.V. Bichler

Dyrektor Versorelli Institute

Route Chersoix

12295 Genewa

Szwajcaria

- Doskonały - pochwalił Harry. Złożył list i wsunął go z powrotem do koperty.

- Staralam się zbliżyć do ideału - odparła Zohra z uśmiechem. - Nigdy nie podejrzewałam siebie o takie zdolności do podrabiania dokumentów.

Harry chciał odpowiedzieć uśmiechem, ale jego wargi nie usłuchały. Twarz miał dziwnie sztywną.

- Cel uświęca środki - mruknął poważnie.

- Wiem. Chciałam tylko... - Zohra wydawała się zasmucona i Harry'emu natchmiast zrobiło się jej żal; ona też naraża się na niebezpieczeństwo. - O której odlatujesz?

- Trzecia trzydzieści nad ranem. W poniedziałek chcę się rozejrzeć po okolicy, we wtorek przed południem pójdę do Instytutu.

- Jeśli zadzwonią do Kingdoma będę na miejscu. Nie powinieneś mieć żadnych problemów: przez cały ranek przyjmuje pacjentów.

- To dobrze. Liczę na ciebie.

- A ja na ciebie. Bądź ostrożny.

- Nie ma obawy - Już wstawał, ale zatrzymała go jeszcze na moment, kładąc rękę na jego dłoni.

- Wszystko w porządku, Harry? - W jej oczach dostrzegł szczere zaniepokojenie. - Wydajesz się napięty, nieobecny duchem, jakby cię coś dręczyło.

Spróbował się uśmiechnąć.

- To chyba nerwy. Nie mam wprawy w knuciu podstępów.

- Ja też nie.

Uśmiechnęła się znowu. Uśmiech zmieniał ją bardziej niż większość ludzi, jak gdyby światło lampy ze złotym abażurem rozjaśniało ciemny zakątek, w którym kryło się piękno, jak gdyby... Nie. To głupota tak myśleć.

- Muszę już iść.

Nagle wstała i pocałowała go lekko w policzek.

- Pamiętaj, o co cię prosiłam - szepnęła z twarzą przy jego twarzy. - Bądź ostrożny. Bardzo ostrożny.

Biedna Zohra. Zapalając silnik widział, jak wygląda za nim, już bez uśmiechu, z wąskiego, słabo oświetlonego korytarza. Ogromne oczy zdawały się go dosięgać poprzez ciemność. Ze wszystkich przyjaciół Heather tylko ją darzył niezmięszonym szacunkiem. Młoda Azjatka, samotna w niechętnym jej mieście, była gotowa zaryzykować własną pracę dla Heather. Inni, nie wyłączając jego samego, zostali popchnięci do działania przez wyrzuty sumienia, zmuszeni przez okoliczności. Tylko Zohra mogła wybierać - i została z własnej woli. Szkoda, że nie pomachał jej na pożegnanie. Chciałby... Ale na co się zdadzą pragnienia. Jechał w stronę Acton. Wolno prowadził wóz przez dziwnie opustoszałe ulice. Obrzeżona bursztynowo ciemność Londynu zamknęła się wokół niego, jakby rozklekotany vauxhall zmienił się w kapsułę czasu odizolowaną zarówno od przyszłości, do której on, Harry, dążył, jak i przeszłości, przed którą chciałby uciec. Pragnienia, żale: jaki z nich pożytek? Ale jak żyć bez nich? Przypomniawsobiesobie pocałunek Zohry na szczęście. Czy zauważyła, że drgnął, gdy jej wargi dotknęły jego policzka? Nawet jeśli tak, nie domyślała się nawet przyczyny. Podniósł rękę do twarzy i przesunął po szorstkiej, nie ogolonej szczęce. Biedna Zohra. Wciąż jeszcze pozostała niewinna.

W ciągu paru nocnych godzin, które spędził w Strete Barton, nie zobaczył już Virginii. Whisky i woda - gorąca, oczyszczająca woda - pomogły mu dotrzeć do świtu. Później spakował torbę, zabrał ją do samochodu i odjechał, bojąc się obejrzeć, żeby nie zobaczyć w oknie na piętrze Virginii pragnącej mu przypomnieć to, o czym nie potrafił zapomnieć.

Śniadanie w Happy Eater pod Exeter. Mocna kawa, jajka na miękko, zaparowane szyby, monotony szmer samochodów w niemal wiosenny poranek. Żal

trawił jego wolę niby kwas. Wina paliła w gardle jak zgaga. Nie miało znaczenia, dokąd pójdzie ani co zrobi. Tylko czas i przestrzeń mogły go odgradzić od kłębowiska żywych wspomnień. Białe ciała wijące się w ciemności. Dźwięki i sceny, których nie mógł znieść. Jechał dalej, wmawiając sobie, że zdoła je wyprzedzić.

Ruszył teraz szybciej, na południe, wzdłuż ciemnych i pustych połaci Gunnersbury Park. Lampy wzdłuż M4 tworzyły bursztynowe halo. Za parę godzin stary rok niepostrzeżenie zmieni się w nowy. Jeszcze trochę później on sam wyruszy w podróż do Genewy. Cieszył się na to; może Genewa leży dostatecznie daleko, by nie dogoniło go to, co zostawiał za sobą. Wyrzuty sumienia przede wszystkim. Co jeszcze?

Coś, co znalazł tego ranka na krawężniku obok swojego samochodu. Leżało po stronie kierowcy, gdzie nie mógł tego nie zauważyć: puste zgniecione pudełko po papierosach, czerwono-biało-złoty symbol, tak dobrze mu kiedyś znany; grecki napis, który odczytał od razu. ΚΑΡΕΛΙΑ ΣΕΡΤΙΚΑ. Palił je na Profitis Ilias i już nigdy potem. Karelia Sertika. Jego ulubiona marka na Rodos, w Anglii nie widział jej w żadnym sklepie. Karelia Sertika. Ostatnie ostrzeżenie.

XLIX

Genewa, wtorek. Mała stacyjka na trasie do Lozanny, miejsce, w którym zamożne przedmieścia ustępują zadbanym winnicom i miasteczkom nad brzegiem jeziora. Sucho, pochmurno, zimno do szpiku kości. Harry - jedyny wysiadający - słuchał stukotu oddalających się wagonów, wspinając się z trudem stromą drogą, która biegła na północny zachód wśród przesłoniętych drzewami rezydencji o zamkniętych okiennicach. Słuchał, aż dźwięk umilkł i w ciszy rozlegały się tylko odgłosy jego kroków zmierzających do celu.

Trzydzieści sześć godzin spędzonych w Genewie potwierdziło jego głęboko

zakorzenione podejrzenia co do Szwajcarów. Maniacko czyści. Denerwująco uprzejmi. Pracowici nie do zniesienia. Naburmuszony i opryskliwy, torował sobie drogę przez wypielegnowane miasto, pełne wyrozumiałości dla cudzoziemców, nienawidząc wszystkiego, co napotykał jego wzrok. Wyjedzie stąd z przyjemnością.

Na skrzyżowaniu skręcił w prawo. To już niedaleko, pamiętał z wczorajszego rekonesansu. Niedługo spełni się jego gorące pragnienie i zakończy całą sprawę. Po lewej pojawił się mur otaczający Versorelli Institute, wysoki i nieprzyjazny, zza którego wyglądały wierzchołki sosen. Na szczycie rozciągnięto drut kolczasty, by zniechęcić do wejścia - lub zapobiec ucieczkom. Zadrżał na ten widok. Przyśpieszył kroku.

Szerokie wejście między kamiennymi słupami, otwarta brama, za nią szlaban blokujący wjazd. Na jednym ze słupów umieszczono dużą, świeżo pomalowaną tablicę. L'INSTITUT VERSORELLI. Dalej ciąg francuskich słów, których nie rozumiał. *Hôpital mental*. To przynajmniej było jasne. *Les recherches psychiatriques*. Domyślał się znaczenia. *Directeur: Prof. K. V. Bichler, Université de Genève*. Nazwisko z listu; sprawdził, czy go nie zgubił. Wszystko w porządku. Minał bramę i podszedł do stróżówki.

- Chciałbym się spotkać z dyrektorem. Mam tu list wprowadzający.

Strażnik patrzył na niego tępo przez chwilę. Bez obawy, uspokajał się w duchu Harry, wszystko będzie dobrze. (Ma nowy płaszcz, czysty kołnierzyk i krawat. Marynarka i spodnie są dostatecznie zbliżone odcieniem, by mogły uchodzić za garnitur. Ogolił się i uczesał. Jest trzeźwy i uśmiechnięty. Nigdy nie wyglądał bardziej na porządnego obywatela). Strażnik wziął list i przyjrzał mu się, ale odręczna angielszczyzna najwyraźniej przekraczała jego możliwości. Zadzwoił gdzieś, rozmawiał chwilę, odłożył słuchawkę i skinął smętnie głową.

- *Entrez, monsieur*.

Oddał list i nacisnął guzik. Szlaban uniósł się.

Teren był rozległy. Kręte aleje wiły się wśród drzew. Podjazd wiodący do

zamku z kremowego kamienia, ogromnego i surowego w parkowym otoczeniu, obrzeżały trawniki i grządki kwiatów. W głębi wśród drzew majaczyły inne budynki, niższe i nowoczesne. Na parkingu z boku stało parę tuzinów samochodów, ale kierowców nigdzie nie było widać. Nie było pacjentów przechadzających się po trawnikach, lekarzy zajętych swoimi sprawami ani ogrodników pchających taczki pełne liści: panowała pustka i cisza.

Gdy Harry znajdował się jakieś dziesięć metrów od głównego wejścia drzwi się otwały. Stał w nich młody człowiek mający nie więcej niż trzydziestkę: nerwowy i chudy jak patyk, o kręconych włosach i uśmiechniętych jasnych oczach, które nadawały mu nieco dziwaczny, lisi wygląd. Czekał na szczycie niskich schodów, by przywitać się z Harrym.

- Pan Barnett?

Mówił niemal bez akcentu, brak białego fartucha niemal dodawał odwagi.

- Tak. - Wymienili uścisk dłoni. - Profesor Bichler?

- Profesor wyjechał na urlop. Nazywam się Junod. Jestem jego asystentem. Proszę za mną.

Wnętrze okazało się mniej ponure, niż się Harry spodziewał, przestronne i jasne, ze światłem spływającym po monumentalnych schodach. Jednak i tutaj nie było widać ani słyszeć nikogo. Brakowało nawet zapachu środków dezynfekcyjnych, które by dowodziły, że to szpital. Junod prowadził szerokim, wykładanym marmurami korytarzem, otworzył trzecie z kolei drzwi i zaprosił Harry'ego do środka.

Pokój był duży i dobrze umeblowany, sprzęty biurowe ukryto zręcznie wśród puszystych sof, grubych dywanów i orientalnych waz.

Junod wziął od Harry'ego płaszcz, wskazał mu miejsce na sofie, a sam usadowił się sztywno na krześle z wysokim oparciem. Przez kilka sekund czekał, milcząc wyczekująco; potem, właśnie gdy Harry miał się odezwać, zapytał:

- Ma pan list, prawda?

- Od doktora Kingdoma, tak.

- Naturalnie, od doktora Kingdoma. Dobrze się znamy. Pracowaliśmy razem. Mogę?

Harry podał mu list; Junod zaczął czytać ze zmarszczonymi brwiami. Gdy tylko skończył jego uśmiech wrócił na swoje miejsce.

- Dziękuję. - Oddał kartkę, zawahał się na chwilę, po czym mówił dalej: - Dziwię się, że doktor nie uprzedził nas o pańskiej wizycie.

Harry starał się wyglądać na równie zdumionego.

- O ile wiem, miał napisać osobno. Może list jeszcze nie doszedł.

- Niewykluczone. Zresztą mniejsza o to. Czym mogę panu służyć, panie Barnett?

- Jeśli to możliwe, chciałbym zobaczyć wszystkich tutejszych pacjentów doktora Kingdoma.

Junod zastanawiał się przez chwilę.

- To niezwykła prośba. Bardzo niezwykła.

- Podobnie jak okoliczności.

- Tak. Może zechciałby pan... przedstawić je nieco dokładniej.

Harry oczekiwał tego pytania. Zaczął przygotowaną wcześniej odpowiedź:

- Siedem lat temu zaginęła moja siostrzenica. Krótco potem umarł jej ojciec, a matka, moja siostra, nigdy nie doszła do siebie po podwójnej stracie. Ze względu na nią robiłem wszystko, by ustalić, czy jej córka nadal żyje, jednak bez rezultatu. Trzy tygodnie temu siostra odebrała telefon. Jest przekonana, że dzwoniła córka. Rozmowa była krótka i zniekształcona, ale wynikało z niej jednoznacznie, że moja siostrzenica znajduje się w Szwajcarii pod opieką doktora Kingdoma. Ponieważ to nie ja odebrałem telefon i ponieważ siostra mogła sobie wyobrazić całe zdarzenie, początkowo odniosłem się do niego sceptycznie. Jednak biorąc pod uwagę fakt, że doktor Kingdom jest psychiatrą i praktykuje w szwajcarskim szpitalu, pomyślałem, iż należy się z nim skontaktować. Oczywiście był bardzo zdziwiony i sądził, podobnie jak ja, że siostra musiała się pomylić. Niemniej...

- Uznał pan, że tylko odwiedzając nasz szpital ustali pan prawdę raz na zaw-

sze?

- Właśnie.

Junod zmarszczył czoło. W zamyśleniu skubał płatek ucha.

- Ile lat miałyby teraz pańska siostrzenica?

- Dwadzieścia siedem.

- Jak się nazywa?

- Heather King.

- King?

- Tak. To wyjaśniałoby oczywiście pomyłkę mojej siostry. King i Kingdom.

- Rozumiem. Ma pan zdjęcie siostrzenicy?

- Tak. - Harry wyjął fotografię pożyczoną mu przez Marjorie Mallender: Heather w kozuchu, Boże Narodzenie 1980. - Zostało zrobione na rok przed jej zniknięciem. Oczywiście może teraz wyglądać całkiem inaczej. Mogła schudnąć, ufarbować włosy. Kto wie?

- Tak. - Junod oddał fotografię. - Nie poznaję jej, panie Barnett. Ale, jak sam pan powiedział, to o niczym nie świadczy. Prawdopodobieństwo, że się tu znalazła, moim zdaniem jest równe zero. Czy doktor Kingdom mówił panu, skąd pochodzą nasi pacjenci i jak się tu znaleźli?

- Nie. To kwestia tajemnicy lekarskiej. Jedynie gdybym miał powody przypuszczać, że któraś z jego pacjentek to Heather, mógłby mi udzielić dodatkowych informacji. Stąd ta wizyta.

- Hm. - Junod mocniej szarpnął ucho. - Rozumiem jego motywy. To zupełnie nieprawdopodobne. Przede wszystkim nasi pacjenci nie mają swobodnego dostępu do telefonu. Ale nawet jeśli... - Wyglądało, jakby nagle podjął decyzję. - Proszę tu zaczekać. To nie potrwa długo. - Po tych słowach szybko wyszedł.

Harry starał się odprężyć, próbował sobie nie wyobrazać, dokąd i w jakim celu udał się lekarz. Spojrzał na zegar. Dwadzieścia po jedenastej. Dziesiąta dwadzieścia w Londynie. Przerwa na kawę w Marylebone, Zohra Labrooy patrzy wyczekująco na telefon. Sprawdzą? Nie był pewien. Minęło pięć minut. Potem

dziesięć. Boże, co za męczarnia. Jest już za stary na takie rzeczy, o wiele za stary. Zaczął się pocić. W pokoju panował chłód, a mimo to spływał potem. Dlaczego Junod nie wraca tak długo? Może jednak powinien był sobie pozwolić na drinka przed tym wszystkim. Może nawet parę drinków.

Drzwi się otwarły. Junod uśmiechał się jak przedtem, mrugając oczyma. Pod pachą trzymał jakąś teczkę.

- Przepraszam, że trwało to tak długo, panie Barnett.

- Nic się nie stało.

Junod zajął swoje miejsce i otworzył teczkę.

- Formalności, rozumie pan. - Uśmiech stał się jeszcze szerszy. Harry nie rozumiał. I nie dbał o to. - Doktor Kingdom ma pod opieką dwunastu naszych pacjentów, tutaj są ich dane. - Harry'ego zalała fala ulgi. Zwłoka się wyjaśniła. - Z tych dwunastu pięciu to mężczyźni. Z siedmiu pozostałych kobiet tylko trzy są w podobnym wieku, co pańska siostrzenica. Według naszych danych żadna nie ma dwudziestu siedmiu lat. Najbliższa wiekiem... dwadzieścia dziewięć.

- A inne?

- Dwadzieścia cztery... i trzydzieści trzy.

- Mogę je zobaczyć?

- Oczywiście. Proszę za mną.

Wyszli z pokoju. Na korytarzu Harry'emu przemknęło przez myśl, jak niezwykły może się okazać ten dzień. Być może Heather znajduje się parę metrów od niego, czeka w jednym z nieprzeliczonych pokoi zamku, by ją rozpoznał i wyrwał spod władzy Kingdoma.

- Rozumie pan, że nie mogę panu udzielić żadnych informacji o pacjentkach. Wolno je panu zobaczyć. Wolno panu z nimi rozmawiać. To wszystko.

- O nic więcej nie proszę.

Wspięli się szerokimi schodami; przez wysokie okna wpadało przyćmione światło.

- Proszę również zrozumieć, że będzie pan miał do czynienia z osobami po-

ważnie chorymi. Muszę prosić, by nie robił pan nic, co mogłoby je zaniepokoić. Proszę ich nie dotykać. Nie krzyczeć. I niech się pan nie spodziewa zbyt wiele.

- W porządku.

Na piętrze zbudowano przepierzenie, dalszą drogę zamykały mocne drzwi z drewna pomalowanego na biało. Junod wyjął klucz i otworzył je. Weszli na ciemny korytarz. Kałuże światła padającego przez otwarte drzwi. Szpitalna farba. Zapach - trochę gorszy, niż się Harry spodziewał.

- Lucy zwykle można znaleźć w pokoju dziennym. Tędy proszę.

- Lucy?

- Dwadzieścia cztery lata. Schizofrenia. Bardzo podatna na sugestie. Poza tym szczerą i życzliwą. Może aż za bardzo.

W pokoju dziennym zastali dwie pielęgniarki. Jedna, stojąca przy drzwiach, skinęła Junodowi głową i zaczęła coś mówić po francusku. Harry nie rozumiał nic prócz imienia Lucy. Pielęgniarka wskazała miejsce przy oknie, gdzie jakaś dziewczyna w poplamionej rozpinanej sukience pochylała się nad układanką. Wyglądała na znacznie mniej niż dwadzieścia cztery lata, długie jasne włosy sięgały jej do pasa. Kiedy się zbliżyli podniosła wzrok i spojrzała na nich lękliwie. Potem zachichotała nerwowo. To nie była Heather. Harry pokręcił głową, patrząc na Junoda. Parę bezładnych uwag na temat układanki, uśmiech na pożegnanie. Wyszli.

- Juliet ma trzydzieści trzy lata. Również schizofrenia. Bardzo zamknięta w sobie, nie wykazuje takiej łagodności charakteru, jak Lucy. Znajdziemy ją w jej pokoju. Nigdy z niego nie wychodzi.

Wspięli się po schodach na cichy korytarz z pozamykanymi drzwiami. Doszli do końca, zapukali; przytłumiony głos odpowiedział po angielsku: „Proszę wejść”. Nadzieje Harry'ego rosły.

Mogłaby to być cela zakonnicy, gdyby nie brak krucyfiksów. Niewielkie łóżko, szafa, stół, krzesło, basen w rogu. Wąskie okno było otwarte, choć na dworze panował przenikliwy ziąb. Juliet, kanciasta postać o smukłej szyi i długich brą-

zowych włosach, siedziała na łóżku, patrząc na nich z pogardą. Miała na sobie zbyt obszerną piżamę w szerokie białe i różowe pasy.

- Nie zimno ci, Juliet? - zapytał Junod.

- Tylko kiedy pana widzę.

Odpowiedź przypominała chluśnięcie strumieniem lodowatej wody w twarz. Na jej twarzy malował się spokój. Zdawała się wrogo nastawiona, ale dziwnie opanowana. Nie miała w sobie nic z Heather. Ani śladu odległego choćby podobieństwa.

- Znasz tego mężczyznę, Juliet?

Zmierzyła Harry'ego wyniosłym spojrzeniem.

- Jesteś Anglikiem?

- Tak.

- Tak sądziłam. Widać to po oczach. - Zaśmiała się. - Spotkaliśmy się kiedyś?

- Ty mi to powiedz.

Kolejny chichot.

- Znałam cię kiedyś, ale to było w raju.

- Usłyszał pan dość, panie Barnett? - spytał Junod.

- Tak.

- Jeśli się kiedyś spotkamy - powiedziała Juliet, gdy wychodzili - minę cię bez słowa albo odwrócę twarz.

Junod zamknął drzwi. Znowu ruszyli korytarzem.

- Na pewno żadna z nich nie była pańską siostrzenicą? - spytał obojętnie.

- Na pewno.

- Zostaje wobec tego tylko Maureen; ta, która ma dwadzieścia dziewięć lat.

- Najbliższa wiekiem Heather. Dlaczego nie poszliśmy najpierw do niej?

- Sądziłem, że nie może być pańską krewną.

- Czemu?

Zatrzymali się przy schodach.

- Powiedzmy: miałem nadzieję, a nie zakładałem. Miałem nadzieję, że

względu na pana, że nie będzie jej pan znał.

- Co pan przez to rozumie?

Twarz Junoda nagle spowaźniała.

- Wkrótce się pan przekona.

Opuścili zamek tylnym wyjściem i ruszyli wąską alejką między sosnowym zagajnikiem a kortami do tenisa. Przed sobą mieli kilka parterowych bielonych budynków o płaskich dachach i dziwnie wojskowym wyglądzie, z kratami we wszystkich oknach. *Les malades violents*, ostrzegął znak. *Entrée interdite*. Harry'ego przebiegł mimowolny dreszcz. Czy możliwe, żeby Heather znajdowała się tutaj? Tak daleko, tak bardzo daleko od wszystkiego, co znała i kochała?

Skręcili w boczną ścieżkę prowadzącą do drugiego z kolei budynku. Przy drzwiach stanęli; Junod przeszukiwał pęk kluczy, Harry rozglądał się wokoło. Chmurzyło się, przejmująco zimna mgła napływała od strony cichych drzew. Odnosił wrażenie, jakby cały smutek pacjentów spoczął mu na barkach. Co za miejsce. Co za okropne miejsce.

Junod otworzył. Weszli do czystego, spartańsko skromnego korytarza. Mężczyzna w stróżówce skinął Junodowi idącemu przodem. Lekarz zastukał w podwójne drzwi. W zakratowanym okienku ze zbrojonego szkła pojawiła się gniewna, posepna kobieca twarz. Pielęgniarka otworzyła drzwi z klucza i uchyliła je zaledwie na tyle, by zdołali się przecisnąć.

W sali znajdowało się około tuzina łóżek, sześć po każdej stronie przejścia, oddzielonych od siebie parawanami. Gdyby nie kraty w oknach i klucze podzwaniające u pasa pielęgniarki, mogłaby to być sypialnia w jakiejś drugorzędnej szkole z internatem. Przy niektórych łóżkach leżały dywaniki, na parapetach ustawiono doniczki z mizernymi kwiatami, za zasłoną na końcu stało parę foteli. Poza tym nie było nic, co mogłoby podnieść na duchu lub przynieść pocieszenie: żadnych obrazów, żadnych książek, żadnego źródła rozrywki.

Harry nie miał okazji dłużej przyglądać się otoczeniu, bo jego zmysły zostały

zaatakowane równocześnie przez hałas i odór. Ktoś śmiał się histerycznie, ale bez odrobiny radości. Szaleńczy chichot, przesywająco wysoki, trwający bez chwili przerwy. I ostra, dusząca w gardle woń zastarzałej uryny. Zatoczył się jak pod ciosem.

- Dobrze się pan czuje, panie Barnett? - zapytał Junod.

- Tak... w porządku.

Junod zwrócił się do pielęgniarki; ich rozmowa tonęła w potokach obłąkańczego chichotu. Harry przebiegł wzrokiem salę w poszukiwaniu jego źródła, ale bez skutku. Rudowłosa kobieta leżąca na jednym z łóżek pochwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się. Gdy odpowiedział nerwowym uśmiechem ku jego przerażeniu ściągnęła w dół koszulę, ukazując pierś.

- Mamy szczęście, panie Barnett - odezwał się Junod. - Maureen jest w wyjątkowo uległym nastroju. Proszę tędy.

Ruszyli między łózkami. Harry utkwiał wzrok w plecach lekarza; mimo to wiedział, że kobieta wykrzywia się i przyzywa go gestami, kiedy ją mijał. Byli niemal na końcu sali, gdy Junod zatrzymał się i uśmiechnął do kobiety zajmującej jedno z łóżek po lewej stronie.

- *Bonjour*, Maureen - powiedział. - Przyprowadziłem ci gościa.

Harry spojrzał na nią. Maureen leżała podparta kilkoma poduszkami pod sfałdowanym kocem, z dłońmi na prześcieradle. Wyprostowane palce rozłożyła szeroko. Miała wymizerowaną twarz, zaciśnięte usta, głębokie cienie pod oczami, nieporządne brązowe włosy do ramion; może kiedyś, w przeszłości, były płowe. Podeszedł bliżej. Na koszuli widniały ślady krwi. Broda drżała jej lekko, jakby się chciała rozplakać.

- Znasz tego mężczyznę, Maureen? - zwrócił się do niej Junod.

Zwróciła oczy na Harry'ego. Ogromne, pełne rozpacz, przenikliwe oczy. W tej chwili uzyskał pewność. To nie mogła być Heather. Jednak kiedy podniosła rękę i dała znak, by się zbliżył nie protestował. Otwarta usta, próbowała coś powiedzieć. Musiał się schylić, by usłyszeć jej słowa.

- Proszę - powiedziała drżącym głosem - proszę mnie stąd zabrać.

- Przykro mi - odpowiedział. - Nie mogę tego zrobić.

Spojrzała jeszcze raz z bólem i ukryła twarz w poduszce. Harry cofnął się.

- I? - zapytał Junod.

- Nie. To nie ona.

- Jest pan pewien?

- Tak. Czy możemy już wyjść? Proszę.

Świeże powietrze. Świeże, swobodne, czyste powietrze. Harry stał, chwytając je chciwie w płuca, i patrzył, jak mgła ogarnia korty do tenisa. Zastanawiał się, dlaczego upiorny śmiech tutaj nie dolatuje, dlaczego ta sypialnia, pełna szalonych i opuszczonych kobiet, wydaje się odległa o wiele kilometrów, choć znajduje się tuż obok. Próbował myśleć o czymkolwiek, by nie dopuścić do siebie przerażającego wniosku. Jednak Junod mu na to nie pozwolił.

- Więc nie ma jej tutaj, tak?

- Nie jestem pewien.

- Co pan przez to rozumie? Sam mnie pan zapewniał, że żadna z tych trzech kobiet nie przypomina pańskiej siostrzenicy.

Była to prawda. Ale przyjęcie jej oznaczało o wiele więcej, niż lekarz potrafił sobie wyobrazić. Oznaczało to, że wyprawa do Genewy stanowiła pogoń za ułudą. Że Kingdom mimo wszystko okazał się niewinny. Że tajemnica zniknięcia Heather pozostała niezgłębiona. I przeciw temu właśnie, wbrew logice, Harry się zbuntował.

- A inni pacjenci doktora Kingdoma?

- Są zbyt starzy. Wszyscy mają ponad pięćdziesiąt lat, jedna osoba ponad osiemdziesiąt.

- Może popełniono pomyłkę co do ich wieku.

- To niedorzeczność; chyba sam pan zdaje sobie z tego sprawę.

Wyrozumiałość Junoda była na wyczerpaniu. Uśmiech ustąpił miejsca nie-

cierpliwemu skrzywieniu ust.

- Może została wpisana jako pacjentka kogoś innego.

- Panie Barnett! Zrobiłem, co w mojej mocy, żeby panu pomóc, ale to przekracza granice rozsądku! Musi pan się pogodzić z faktem, że pańskiej siostrzenicy tu nie ma.

- Musiała przyjechać dwunastego listopada. Wystarczyłoby sprawdzić, kto został przyjęty tego dnia.

- Przedtem nie wspominał pan o dacie.

W głosie lekarza zabrzmiał podejrzliwy ton.

- Nie wydawało się to konieczne.

- Gdyby pan powiedział oszczędziłoby to nam sporo czasu. Lucy, Juliet i Maureen są u nas od wielu lat.

- Przepraszam. Ma pan rację. Powinienem być o tym wspomnieć. Ale teraz, czy byłby pan łaskaw sprawdzić? - Harry nie musiał udawać desperacji w swoim głosie. - Bardzo pana proszę, przecież to nikomu nie zaszkodzi.

Twarz Junoda przybrała surowy wygląd.

- Zrobiłem wszystko, o co prosił doktor Kingdom.

- Jeśli istnieje choć szansa...

- Nie ma żadnej szansy!

- Więc czemu się o tym nie przekonać?

Junod przez chwilę bił się z myślami, potem zniecierpliwienie zmieniło się w irytację.

- Doskonale. Skoro pan nalega, niech tak będzie. Proszę za mną.

Wrócili do głównego budynku i minęli szybko parę korytarzy; buty Junoda stukały gniewnie na marmurowych płytach. Milczał; Harry też się nie odzywał. Weszli do pokoju, gdzie urzędowały cztery kobiety w średnim wieku, stukające pracowicie w klawiatury komputerów. Jedna z nich podniosła wzrok i uśmiechnęła się, ale Junod nie zwrócił na nią uwagi. Podszedł prosto do drzwi w głębi,

zastukał i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka. Harry podążył za nim.

Wysoki mężczyzna w szarym garniturze, o krótko ostrzyżonych siwych włosach i w okularach w stalowej oprawce, podniósł wzrok znad biurka. Zamienili z Junodem parę słów. Mężczyzna zmarszczył brwi, wzruszył ramionami, otworzył kluczem szufladę obok siebie, wyjął dużą księgę w skórzanej oprawie i podał ją lekarzowi.

- Nasza książka przyjęć, panie Barnett - wyjaśnił Junod cierpko. - Obiektywne źródło danych o wszystkich przyjętych. - Położył ją na biurku i otworzył na aktualnej dacie. - Mówił pan listopad? Tego roku?

- Tak. Dwunastego listopada.

Junod przesunął palcem wzdłuż marginesu. *3 listopada. 7 listopada. 15 listopada.* Spojrzał na Harry'ego.

- Nikt nie został przyjęty dwunastego.

- Zupełnie nikt?

- To nie hotel. Pacjenci nie przyjeżdżają i nie odjeżdżają co dzień. Powtarzam: dwunastego nikt nie został przyjęty.

- W takim razie później. Piętnastego.

Junod zerknął do księgi.

- Mężczyzna.

- A następna kobieta, bez względu na datę?

- Dwudziestego czwartego listopada. Ach tak. Ma czterdzieści osiem lat, panie Barnett; wdowa z Monachium.

- Wobec tego jeszcze następna.

Junod sapnął gniewnie i zatrzasnął księgę.

- Dość tego. - Patrzył na Harry'ego z wściekłością. - Wiem z całą pewnością, że żadna kobieta w wieku zbliżonym do pańskiej siostrzenicy nie została przyjęta do tego szpitala od dwunastego listopada. Pańskie poszukiwania dobiegły końca.

- To niemożliwe. Musiano popełnić jakiś błąd. Pan...

- Nie popełniono żadnego błędu! Pańskiej siostrzenicy tu nie ma. Nigdy jej tu

nie było. Muszę pana prosić o opuszczenie szpitala.

- Nie mogę. Dopóki...

- Jeśli będzie pan odmawiał, to wezwę policję. - Wyraz twarzy Junoda nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, że lekarz mówi poważnie. - Mam tak zrobić?

- Nie. Oczywiście że nie. Ale...

- Więc proszę opuścić to miejsce. Sam pan rozumie, że nie pozostaje panu nic innego.

Harry przeniósł wzrok z nieugiętego Junoda na jego chłodnego i obojętnego towarzysza, potem na książkę przyjęć - zamkniętą i bezkompromisową - i z powrotem na Junoda. Lekarz mówił prawdę. Harry nie miał wyboru. Zagrał atutem i zebrał lewę, ale nic na tym nie zyskał. Heather tu nie było. Może nie ma jej nigdzie, podpowiadała bardziej pesymistyczna część jego umysłu. Może zaginęła na zawsze. Może od początku nie miał szans. Bez słowa ruszył do drzwi.

- Żałuję, że nie mogliśmy panu pomóc, panie Barnett - odezwał się Junod.

Harry nie odpowiedział. Ledwo zdawał sobie sprawę, że kobiety w pokoju obok przerwały pracę, by spojrzeć na niego, kiedy je mijał. To koniec, uświadomił sobie nagle. Nie ma już żadnych wskazówek, za którymi mógłby podążać, żadnych nadziei, których mógłby się chwycić. Podrobiony list, zmyślona opowieść, oszukańcza wizyta - wszystko na nic. Był równie daleko od Heather, jak w dniu, kiedy wspinał się na Profitis Ilias, by ją odszukać. A ona znajdowała się równie daleko od niego.

L

„Alan Dysart jest chwilowo nieobecny - oznajmił nagrany głos Alana Dysarta.

- Po sygnale proszę zostawić wiadomość”.

- Alan, tu Harry Barnett. Heather nie ma w Versorelli Institute. Myślę, że nigdy jej tam nie było. Myliliśmy się od początku. Nie wiem, jak do tego doszło

ani dlaczego, ale tak właśnie jest. Nie ma sensu zostawać tu dłużej, więc wracam prosto do Anglii. Odezwę się do ciebie z domu.

Odłożył słuchawkę, wyciągnął nogi na łóżku i wolno opadł na poduszki. Czuł, że jego mózg jest równie wyczerpany, jak ciało. Nie potrafił ani pogodzić się z losem, ani z nim walczyć. Wlał do kieliszka zawartość miniaturowej buteleczki whisky z barku i upił łyk, wznosząc toast za niepowodzenie swoich poszukiwań. Tak właśnie miało się to skończyć: rozmową z sekretarką automatyczną z pokoju hotelowego w Genewie. Łyknął więcej alkoholu i patrzył w sufit, obserwując jak ciemność zмага się z kręgiem światła rzucanym przez lampę przy łóżku.

- Żegnaj, Heather - mruknął do siebie.

Odstawił kieliszek i podniósł leżące obok niego kopertę z pocztówkami i fotografie. Wyjął pocztówki i zaczął się im przyglądać. Afrodyta, delikatna i uległa, z odwróconą twarzą. Sylen, wyprostowany i bezwstydnym, z uniesioną ręką. I Anthony Sedley, Więzień, ostatnie usprawiedliwienie wyryte w kamieniu. Bogini, satyr, zdradzony: tworzyli wzór, którego nie rozumiał.

- Żegnaj - powtórzył.

Wyjął fotografie i zaczął je kartkować. Mallender Marine. Nagrobek Clare. Nigel Mossop. Tyler's Hard. Breakspear College. Lamb Inn. Szosa w Cotswold. Skein of Geese. Hurstdown Abbey. Kościół we Flaxford. Plebania. Challenbrooke Hospital. Strete Barton. Grób Franka Hollinrake'a. Przestrzegał ściśle kolejności, trzymał się nici prowadzącej od jednego zdjęcia do następnego. Teraz wszystko się skończyło, sekwencja dobiegła kresu, nic została zerwana. To, co pozostało już znał. Ateny. Rodos. Profitis Ilias. Lindos. Villa ton Navarkhon. On sam, pijany. Roześmiana Heather. Koniec filmu. Koniec poszukiwań.

Zaraz. Chwileczkę. A jeśli zrezygnował zbyt szybko? Nie znał pozostałych fotografii, nie wszystkie. Przejrzał je jeszcze raz, tak jak poprzednio, zatrzymał się na czternastej, potem wolno odsłonił następną, równocześnie oczyszczając swój umysł ze wszystkich podejrzeń, które powstały w nim od wyjazdu z Rodos. Kiedy był w Lindos wierzył tym zdjęciom i tylko im. Stanowiły jedyną wska-

zówkę pozostawioną przez Heather.

- Zaufaj im - powiedział na głos. - Zaufaj im i niczemu więcej.

Ateny: piętnasta fotografia. Nie Genewa. Nie Anglia. Nie Rodos. Naturalnie. Było to tak oczywiste, tak proste, że miał ochotę krzyknąć. Jeszcze nie doszedł do końca. Jeszcze nie dotarł do kresu nadziei. Musi zrobić tylko jedną rzecz, to samo, co do tej pory: podążać śladami Heather.

Zerwał się z łóżka, chwycił książkę telefoniczną, przekartkował w poszukiwaniu potrzebnego numeru, potem sięgnął po słuchawkę.

- *Bonsoir. Swissair.*

- *Bonsoir. Parlez-vous anglais?*

- Tak, naturalnie. Czym mogę służyć?

- Chciałem zarezerwować bilet.

- Dokąd?

- Do Aten. Najszybciej, jak to możliwe.

LI

Na szczycie Likabetu było zimno. Nie tak zimno, jak na Profitis Ilias - Harry zgodziłby się z tym skwapliwie - ale i tak powietrze bynajmniej nie drżało od upału, który powinien panować w stolicy Grecji. Oczywiście mógł mieć pretensje tylko do siebie: nikt mu nie kazał przyjeżdżać do Aten na początku stycznia. Ruszając w górę schodami z podestu kolejki linowej, postawił kołnierz płaszcza od deszczu i zerknął na panoramę nie kończących się szarych przedmieść. Prawda, nikt mu nie kazał. Teraz, samotny na nagim szczycie Likabetu sterczącym niczym wyspa wśród zanieczyszczonego oceanu współczesnych Anten, wcale nie był pewien, co go skłoniło do przyjazdu.

Wątpliwości zaczęły w nim narastać już zeszłego wieczoru. Przyjechał z Genewy wczesnym popołudniem i bez sprzeciwu zgodził się na Hotel Ekonomical niedaleko placu Omonia, polecony przez taksówkarza i należący do jego

wuja. Uznał, że jeden podupadły, nędzny hotel po sezonie będzie równie dobry, jak każdy inny. Resztę krótkiego dnia spędził w mrocznych miejscowych barach, popadając pod wpływem ouzo w większe przygnębienie niż zwykle i dochodząc do wniosku, że popełnił błąd, przyjeżdżając do Aten.

Nadejście dnia trochę pomogło. Ale niewiele - pomyślał. Ścieżka okrążyła małą kaplicę na wzgórzu i wychodziła na brukowany taras widokowy. Patrzył na ściśnięte betonowe bloki i zatłoczone ulice. Akropol zdawał się opuszczony i samotny - przyszło mu do głowy, że tak samo wyglądałoby Stonehenge w środku Nowego Jorku. Niebo było czyste, ale słońce świeciło słabo, zbyt słabo, by rozwiać żółty smog, który zawisł nad miastem niby uparty atmosferyczny wyrzut. Cameron-Hyde nazywał je „miejscem narodzin demokracji” i „kolebką cywilizacji”. Stracił oko w bitwie o Kretę, dowodząc swoich przekonań. Ale Cameron-Hyde nigdy nie był na Likabecie.

Praca czeka, przypomniał sobie Harry; zwlekanie nie sprawi, że będzie się ona wydawać mniej daremna. Wyjął fotografie z kieszeni i przeglądał je, aż natrafił na tę, o którą mu chodziło. Numer piętnasty: Likabet. Zdjęcie, które Heather zrobiła w Atenach w czasie przerwy w podróży, a więc po weekendzie 14-15 października. Podniósł je do oczu, cofnął się parę kroków, spojrzął znowu. Stał dokładnie w tym samym miejscu, gdzie stała Heather przed tyłoma tygodniami, patrzył na ten sam widok, który utrwaliła swoim aparatem.

Nie wiedział, dlaczego naraz się obejrzał. Przeklinając własną nerwowość, słuchał, jak serce wali mu w piersi. Był sam, zupełnie sam. Żałował, że nie widać choćby paru turystów, którzy by rozproszyli jego samotność. Heather z pewnością nie miała szczytu tylko dla siebie, pomyślał i spojrzął na fotografię, szukając potwierdzenia swoich przypuszczeń. Na zdjęciu nieostra panorama miasta była ujęta w ramy sylwetek ludzi siedzących na niskim kamiennym murze otaczającym taras: po lewej kobieta w zielonej sukience, po prawej matka i rozbrykane dziecko. Choć przypatrywał się im długo i z wielkim napięciem, nie znalazł nic niezwykłego w ich pozach ani wyrazie twarzy; wykrzywiona grymasem buzia

dziecka, gniewna twarz matki, kobieta patrząca na miasto. Odruchowo spojrzął na szesnastą fotografię; przedstawiała prawie to samo. Zbliżenie Partenonu, spękane kolumny i skaliste zbocza oblane silnym blaskiem słońca. Partenon w niedzielne popołudnie rojący się od turystów, Heather wśród nich. Na jej zdjęciu widać było trzech Japończyków obwieszonych kamerami wideo, grupę Amerykanów w baseballówkach, niemieckie małżeństwo, jakiegoś zbląkanego zbuntowanego nastolatka, parę nie rzucających się w oczy kobiet i smętnego greckiego robotnika. Podobnie jak trio z Likabetu po prostu znaleźli się w tym miejscu, gdy Heather zwalniała migawkę.

Harry usiadł na ławce i trzymał fotografie przed sobą, każdą w jednej ręce. Antyczne zabytki, grupki przypadkowych turystów; nie powiedziały mu nic, zupełnie nic. Fakt, że przyglądał się im na szczycie Likabetu, z Akropolem widocznym w tle, niczego nie zmieniał. Nie rozumiał, jak mógł uważać, że będzie inaczej. Likabet, Partenon, miejsca, twarze, daty, szczegóły. Kiedy jego oczy przesuwają się z jednego zdjęcia na drugie, umysł przesiewał widoczne na nich elementy w poszukiwaniu wskazówki, której mogło tam wcale nie być. Kobieta w zielonej sukni; matka i dziecko; trzech Japończyków; czworo Amerykanów; dwoje Niemców (chyba); Australijczyk (być może); dwie kobiety nieustalonej narodowości; jeden facet wyglądający na Greka...

Naraz elementy poruszyły się nieznacznie na czas zaledwie tak długi, by zdradzić prawdę. Przez chwilę nie dłuższą niż czas potrzebny mu, by to spostrzec, zamajaczyła odpowiedź, potem znowu zaczęła się rozmywać, ale za późno; już ją miał i nie pozwolił się jej wymknąć.

Kobiety nadchodzące od Partenonu nie były razem. A w każdym razie nic o tym nie świadczyło. I jedna z nich z całą pewnością miała w sobie coś znajomego. Prawda, podkoszulek i dzinsy zmieniały jej wygląd, ale sylwetka, fryzura, sandały i okulary przeciwsłoneczne wyglądały tak samo. Harry nie miał co do tego wątpliwości. Nie rozumiał, jak mógł nie zauważyć wcześniej - to ona była kobietą w zielonej sukni z Likabetu.

Ta sama kobieta na obu fotografiach. Wpatrywał się w wizerunki, pozwalając, by jego umysł przyswoił sobie znaczenie odkrycia. To zbyt nieprawdopodobne, by stanowiło zbieg okoliczności. W takim razie Heather musiała ją znać. Przyjaciółka? Z pewnością nie. Więc przyjaciółka? Tak. To musi być to. Przyjaciółka Heather, prawdopodobnie bliska i znana od dawna. Kim jednak jest? Nie mógł sobie przypomnieć, by ktokolwiek wspominał o jej istnieniu. Wręcz przeciwnie, wszystko wskazywało, że Heather nie miała przyjaciół. To był jeden z jej problemów. Kingdom uważał, że z tego powodu...

Kingdom. Oczywiście. Zdanie z jego sekretnych zapisków. Coś o braku bliskiej znajomej. Coś o koleżance z Hollisdane School. Co to było? Zawiodła go pamięć. Nic nie szkodzi. Ma notatki w hotelu. Musi tylko tam wrócić, by się dowiedzieć, co Kingdom powiedział. Musi tylko przeczytać słowa dobrego doktora, by zrozumieć, co znaczą fotografie. Odpowiedź spadła mu jak z nieba.

23 sierpnia... Wydaje się, że Heather nie miała bliskiego przyjaciela spoza rodziny, odkąd koleżanka z Hollisdane School, z którą utrzymywała ściśle kontakty, wyjechała uczyć za granicę latem ubiegłego roku.

To było więcej, niż miał nadzieję znaleźć. Chciało mu się krzyczeć z radości. *Wyjechała uczyć za granicę latem ubiegłego roku.* Nie wątpił, że cel podróży stanowiły Ateny. Nie wątpił, że odwiedziny u niej stanowiły prawdziwą przyczynę wizyty Heather w mieście.

Podniósł słuchawkę, przypochebił się telefonistce, by przełączyła go na zewnętrzną linię, po czym wykręcił numer w Anglii. Odpowiedział mu czysty, wyraźny głos, jakby dochodzący zza ściany.

- Biuro numerów. Jakie miasto pana interesuje?
- Wellingborough.
- Nazwisko osoby?
- To ma być Hollisdane Primary School.

- Chwileczkę... Mówił pan Hollisdane?

- Tak.

- Numer zero, dziewięć, trzy, trzy... kierunkowy do Wellingborough: dwa osiem siedem sześć pięć.

- Dziękuję.

Kolejna lakoniczna wymiana zdań z centralą hotelową i telefon zadzwonił w odległej angielskiej szkole. Harry zamknął oczy i zaczął się modlić, kiedy zdał sobie sprawę, że przerwa świąteczna może jeszcze trwać. Ktoś podniósł słuchawkę.

- Szkoła podstawowa Hollisdane. Czym mogę służyć?

Męski głos, opanowany i autorytatywny.

- Dzień dobry. Czy mógłbym... Przepraszam, z kim rozmawiam?

- Jestem dyrektorem. W czym mogę panu pomóc?

Dzięki Ci, Boże, za sumiennego dyrektora, pomyślał Harry, z pewnością pracuje mimo wolnych dni.

- To świetnie. Oczywiście moje nazwisko nic panu nie powie, ale byłem... Krótko mówiąc, staram się odnaleźć osobę, która uczyła w pańskiej szkole. Latem osiemdziesiątego siódmego wyjechała za granicę.

- A, tak. Pamiętam. Chodzi panu o Sheilę Cox.

- Tak. To ona.

- No cóż, zgadza się, panie?...

- Barnes. Horace Barnes.

- Więc, panie Barnes, panna Cox rzeczywiście wyjechała za granicę, ale, niestety, nie mieliśmy o niej wiadomości od tamtej pory. W każdym razie... Proszę mi przypomnieć, jaki to był kraj?

Czy to pułapka? Nawet jeśli, Harry musiał zaryzykować.

- Grecja - odparł, krzyżując palce.

- Nie, na pewno nie. Obawiam się, że się pan myli. Hiszpania albo Portugalia, jestem prawie pewien.

- Czy byłby pan w stanie jakoś to sprawdzić?

- Obawiam się, że nie. Widzi pan, moja sekretarka ma wolne i... Zaraz, proszę się nie rozłączać. Chyba istnieje pewien sposób. Może pan chwilę poczekać?

- Tak. Naturalnie.

Rozległ się szelest papierów, coś niby dźwięk zatrząskiwanej szuflady, i znowu szelest.

- Mamy szczęście, panie Barnes. Tak jak mi się wydawało, opuściła nas i wyjechała uczyć do Lizbony. - Harry zaklął pod nosem. - Słucham?

- Nic.

- Podał pan właściwą datę: lipiec osiemdziesiąt siedem, ale nie cel podróży. Wygląda na to... Zaraz, a to co takiego? Ach, rozumiem.

- Co się stało?

- Jestem panu winien przeprosiny. Zdaje się, że obaj mieliśmy rację. Panna Cox zatrzymała się w Portugalii tylko na rok. Potem przeniosła się do Grecji. Ścisłej, do Aten. Słucham?

- Nic nie mówiłem. To zakłócenia.

- Rozumiem. Widzi pan, jej nowa szkoła napisała do nas z prośbą o referencje wiosną ubiegłego roku, kiedy panna Cox złożyła podanie o pracę. Mam przed sobą kopię tego listu.

- Szkoła w Atenach?

- Tak, w Atenach.

- Mógłby mi pan podać jej nazwę i adres?

- Naturalnie. Nic prostszego, panie Barnes, nic prostszego.

Shelley College był dyskretnie usytuowany między otoczonymi murem willami Kifissii, jednego z najbardziej ekskluzywnych przedmieść Aten. Harry pojechał metrem do stacji końcowej w Kifissii, po czym zdobył dalsze informacje od sprzedawcy gazet. Okazało się, że szkoła mieści się niedaleko w cichej, obrzeżonej drzewami alei. Złapał się na tym, że śpieszy się niepotrzebnie, gna do

celu bez tchu. Czuł się rozdarty między pragnieniem poznania prawdy a strachem przed nią; chęcią, by zakończyć poszukiwania, i obawą, że nie pozostanie mu już nic, czego mógłby szukać.

Tylko tablica na drzwiach odróżniała szkołę od sąsiednich rezydencji. Był to duży budynek o kamiennej fasadzie, kryty terakotową dachówką, którego styl rościł sobie pretensje do bizantyńskości: łukowate okna, zębate krenelaże. Wokół chwiały się poważne jodły i palmy. W głębi majaczyły nowocześniejsze budynki, pusty parking, maszt z flagą, szopa na rowery; panowała atmosfera czystości i porządku, typowa dla szkół, w których uczą się dzieci ludzi dobrze sytuowanych. Harry ostrożnie przeszedł podwórze, nasłuchując głosów uczniów, ale na próżno.

Wspiął się po kamiennych schodkach i wszedł do holu o wysokim suficie. Na wprost sprzątaczką pracownicę froterowała parkiet. Po lewej słyszał podniesiony głos jakiejś kobiety, prawdopodobnie rozmawiającej przez telefon. Mówiła po angielsku urywanie, apodyktycznym tonem.

- To nie do przyjęcia... Nie... W żadnym wypadku... Jak pan uważa... Z pewnością wyjaśniono to panu podczas...

Poszedł za głosem do jego źródła - jasno oświetlonego pokoju, umeblowanego niczym z katalogu z wyposażeniem biur. Jedyna osoba obecna w pokoju, kobieta rozmawiająca przez telefon, okazała się tak wytworna i nieugięta, jak sugerował jej głos; ubrana w połyskliwą purpurę, z pierścieniami na wszystkich palcach i o twarzy wygłodniałego orła.

- Jak pan sobie życzy... Nie, nie zwracamy depozytu... Doskonale... W takim razie żegnam. - Rzuciła Harry'emu szybkie, taksujące spojrzenie. - Czym mogę panu służyć?

- Och, o ile mi wiadomo panna Cox pracuje tu jako nauczycielka. Panna Sheila Cox.

- Tak.

- Czy mógłbym się z nią zobaczyć?

- Obecnie mamy ferie. Panna Cox jest nieobecna.

- Rozumiem. Czy wobec tego byłaby pani uprzejma podać mi jej adres?

- To wbrew naszym zasadom. Nie mogę ujawniać żadnych osobistych szczegółów dotyczących naszych pracowników. Jeśli chciałby pan zostawić wiadomość, to zadbam, by panna Cox ją otrzymała.

- W porządku. A kiedy... to znaczy, kiedy panna Cox ją dostanie?

- Semestr wiosenny zaczyna się w przyszłym tygodniu.

- W przyszłym tygodniu? Ale ja nie mogę, naprawdę nie mogę czekać tak długo. Czy istnieje możliwość... czy można skontaktować się z nią szybciej?

- Nie.

Wyraz jej twarzy upewnił Harry'ego, że żaden ze środków stosowanych zwykle w podobnych wypadkach - upór, pochlebstwo, próba przekupstwa - na nic się tu nie zda.

- Nie ma... - Urwała, bo telefon zadzwonił znowu. - Przepraszam... Shelley College... Ach, pan Rossi... Tak, oczywiście... Nawzajem... Nie?... Nie, to zebranie wszystkich nauczycieli przed rozpoczęciem semestru... W gabinecie dyrektora, jutro o dziesiątej... Zapraszam... Do widzenia, panie Rossi. - Spojrzała znów na Harry'ego. - Jak już mówiłam, niestety, nic nie mogę dla pana zrobić. Chce pan zostawić wiadomość?

- Nie, dziękuję - odparł Harry, starając się stłumić uśmiech. - Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że to niepotrzebne.

LII

Ateny, piątek. Harry siedział za kierownicą wynajętego, nie rzucającego się w oczy szarego samochodu zaparkowanego w cieniu zmokłego pieprzowca naprzeciw wejścia do Shelley College. Wokół niego wille i aleje Kifissii pograżyły się w spokojnej przedpołudniowej drzemce. Zimowe słońce wpadające przez szybę samochodu jeszcze wzmagało nastrój: Harry ostatkiem sił walczył ze snem. Większą część nocy leżał bezsennie, rozważając wątpliwości, jakie niósł ze sobą

nadchodzący dzień. Teraz, oszołomiony od nadmiaru metaxy i braku snu, czuł się niezdolny stawić czoło temu, co tak starannie zaplanował. W gabinecie, w dużym budynku po drugiej stronie ulicy, siedziała Sheila Cox, dyskutując wraz z innymi nauczycielami o błędach w siatce godzin i terminach egzaminów. Widział, jak wchodziła. Przyjrzał się rysom jej twarzy i porównał ją z kobietą na fotografii, po czym doszedł do wniosku, że z całą pewnością jest to ta sama osoba. Jedyne, co mu teraz pozostało, to siedzieć ze wzrokiem wbitym w jej samochód i czekać, aż zjawi się ponownie.

Ale okazało się to niełatwe. Spojrzał na zegarek: minęło wpół do dwunastej, od dwóch godzin tkwił na posterunku, cierpiąc z beczynności. Spojrzał na zdjęcie jeszcze raz; Sheila Cox odpowiedziała spojrzeniem, każdy rys twarzy zdawał się dobrze znajomy od długiego patrzenia. Czy rzeczywiście udzieliła schronienia Heather? Czy było to aż tak proste? Zerknął na zegarek. Pięć po wpół do dwunastej. Dziewięć trzydzieści pięć w Londynie. O czym myśli teraz Zohra? Jak Dysart tłumaczy sobie fakt, że Harry nie wrócił z Genewy od razu? Pewnie powinien wyjaśnić, powiedzieć, co mu przyszło do głowy. Ale ślad wydawał się tak niepewny, nadzieja tak słaba. Czym usprawiedliwiłby podróż przed nimi, skoro ledwie potrafił ją wytłumaczyć przed samym sobą?

A jednak nie była to wyprawa głupca. Nie miał co do tego wątpliwości. Włożył fotografie z powrotem do kieszeni i właśnie masował sobie czoło, żeby odegnąć senność, gdy nagle pojął, że nadeszła właściwa chwila. W drzwiach Shelley College pojawiła się grupka mężczyzn i kobiet idących nieśpiesznie w stronę parkingu. Spotkanie nauczycieli przed początkiem nowego semestru dobiegło końca.

Harry wyprostował się i niespokojnie przenosił wzrok z jednego członka grupy na drugiego. W pierwszej chwili jej nie zauważył; poczuł narastającą panikę. Potem się odprężył; tam stała, zamarudziła ze znajomym na szczycie schodów. Włosy miała krótsze niż na zdjęciach. W połączeniu ze skórzanym płaszczem i elegancką walizką nadawało to Sheili zadbane, profesjonalny wy-

gląd, tworząc tym większy kontrast z powierzchownością jej towarzysza - powłóczącego nogami, nieporządnie ubranego mężczyzny o teczce tak wypchanej, że nie mógł jej domknąć. Zapominalski pan Rossi, pomyślał Harry.

Do czasu kiedy panna Cox dotarła do swojego samochodu większość pozostałych już odjechała albo odeszła, ale nic nie wskazywało, by pan Rossi zamierzał zrobić to samo. Dalej trajkotał w podnieceniu, nadal próbował zamknąć teczkę. Panna Cox wyjęła kluczyki i otworzyła drzwi samochodu, ale nie wsiadła do środka. Harry podejrzewał, że jest zbyt uprzejma, by przerwać rozmowę. Rossi stał się jeszcze bardziej ożywiony, uśmiechał się i gestykułował. Jak się okazało dziękował za propozycję podwiezienia. Ruszył niezgrabnie do drugich drzwi-czek, odjechali.

Sheila Cox prowadziła spokojnie, jej żółty samochód rzucał się w oczy, na ulicach panował niewielki ruch. Dlatego z początku Harry nie miał problemów z podążaniem za nią w dyskretnej odległości, kiedy jechała na południe od Shelley College. Do stacji metra trasa była mu znana. Rossi wysiadł, machając zapamiętane rękami i walcząc z teczką. Na szczęście taksówki i autobusy jadące z tyłu trąbiły na nich tak głośno, że było mało prawdopodobne, by Sheila zauważyła Harry'ego czekającego, aż ona ruszy znowu.

Bez pasażera jechała szybciej, ruch też się zwiększył. Opuściła Kifissię i skierowała się na południowy zachód mniej wytwornymi ulicami. Harry musiał odłożyć mapę, na której starał się śledzić jej ruchy, i skoncentrować na tym, by nie stracić z oczu żółtego samochodu. Z powodu motorowerów zajeżdżających mu drogę i braku wprawy w prowadzeniu z kierownicą umieszczoną po lewej stronie mógł jedynie starać się nie zostać całkiem w tyle.

Znaleźli się prawdopodobnie na głównej trasie. Było tu więcej ciężarówek i samochodów dostawczych, więcej pojazdów wszelkich rozmiarów i rodzajów. Roboty drogowe, kurz, światła uliczne, korki, zamieszanie; Harry złapał się na tym, że przeklina miasto i jego idiotyczny system komunikacyjny. Tak bardzo się zdenerwował, że zawiodła go nawet znajomość greki. ΑΥΚΟΒΡΥΣΗ, głosiła

jedna z tablic. METAMORΦOΣIΣ, ΗΡΑΚΛΕΙΟ. Równie dobrze mogłyby wymieniać Wenus, Marsa i Jowisza. Ale ostatecznie to, czy się zgubi, czy też nie, nie miało znaczenia. Mimo wszystkich szaleńczych manewrów i przerażających chwil, kiedy ich rozdzielano, nadal trzymał się Sheili Cox.

Musieli przejechać sześć czy siedem kilometrów, nim zjechali z głównej trasy. Znajdowali się teraz na dostatnim przedmieściu, nie tak zamożnym jak Kifissia, ale dostatecznie eleganckim dla dobrze opłacanej nauczycielki. Przeważały tu trzy- i czteropiętrowe bloki. Wszystkie były otoczone drzewami i nie brakowało między nimi przestrzeni. Samochody na parkingach wyglądały na nowe, wystawy sklepów - na wytworne. Sheila Cox jechała na pamięć coraz węższymi uliczkami. Najwyraźniej zbliżała się do celu.

Skręciła w zaułek i wyraźnie zwolniła. Harry zrobił to samo. Potem zatrzymała się niespodziewanie, wyrzucając prawy kierunkowskaz. Harry ledwie posuwał się naprzód. Zawróciła na wolne miejsce na parkingu właśnie w chwili, gdy spostrzegł drugą lukę trzy samochody dalej i niepewnie ruszył w tę stronę. Nie było czasu na precyzyjne manewry; stanął przy krawężniku pod ostrym kątem, wyłączył silnik, chwycił mapę i ostrożnie wyjrzał sponad niej.

Sheila wysiadła z samochodu, sięgnęła na tył po walizkę. Po przeciwnej stronie ulicy stał dwupiętrowy blok z bielonymi balkonami, ozdobnymi balustradami i wielkimi oknami z przydymionego szkła; przy wejściu posadzono sosny. Jeśli to był jej dom, mieszkała bardzo wygodnie. Zatrzasnęła drzwiczki samochodu, zamknęła je na klucz i ruszyła przez ulicę. W połowie zatrzymała się jednak i spojrzała w kierunku Harry'ego, jakby coś przyciągnęło jej uwagę. Przysłoniła dłonią oczy, przez moment patrzyła niepewna, potem pokiwała ręką. Harry zerknął w boczne lusterko, ale zobaczył tylko odbicie wlewu paliwa. Już miał zaryzykować spojrzenie przez ramię, kiedy tuż za nim rozległ się dzwonek roweru. Jakaś postać mignęła za oknem samochodu, wyhamowała i zeskoczyła z roweru. To była Heather.

„Weź kluczyki - mówiła - na wypadek, gdybyś chciał wrócić do samochodu”. Harry nie mógł oddychać, nie był w stanie myśleć, zareagować na to, co miał przed oczami. „Nie martw się”. Narastająca panika, kiedy nie potrafił jej odnaleźć, ślepe, nieokielznane przerażenie, że ją stracił, przemknęły mu przez pamięć. „Będę się trzymać ścieżki”. A z nimi wspomnienie każdego niewyraźnego, krętego śladu, za którym podążał, starając się ją odszukać. „To nie potrwa długo”. Każdy tydzień jej nieobecności zostawił po sobie blizny: przesłuchania, pytania, oskarżenia, wątpliwości, podejrzenia. „Nie mogę już zawrócić, prawda?” Zawrócić? Jak mógł nie zawrócić? Jak mógł nie odwrócić się plecami do Profitis Ilias w zimnym, przejrzystym, milczącym powietrzu, w nadchodzącym zmroku listopadowego dnia, gdy jej przedłużająca się nieobecność podkopywała jego opanowanie? Uśmiechnęła się i szła dalej, od tamtego dnia do dziś. Ze szczytu góry na Rodos na ulicę w Atenach. Stała przed nim Heather.

Kiedy znalazła się obok Sheili zsiadła i oparła się o kierownicę. Uśmiechała się bez słowa, nie mogła złapać tchu. Miała na sobie dzinsy i tenisówki, biały, a nie czerwony, sweter, ale czarny sztruksowy żakiet i ciemne wełniane rękawiczki pozostały takie same. Włosy - płowe włosy, które zapamiętał opadające na ramiona - miała krótko ścięte, tak że wydawała się młodsza. I śmiała się, śmiała tak swobodnie i radośnie, że ledwie potrafił to znieść. Jak mogła zachowywać się tak bez troski? Jak mogła być taka normalna? Nigdy nie sądził, że tak to będzie wyglądało. Nigdy nie miał nadziei, nigdy się nie obawiał, że znajdzie ją właśnie taką.

Szły ulicą, żartując ze sobą. Sheila oglądała zakupy w koszu Heather, dotykała chleba, poszturchiwała kalafior. Harry, sparaliżowany upokorzeniem, które każdy ich gest jeszcze pogłębiał, mógł tylko patrzeć. Pomysł, by wyskoczyć z samochodu, dać się rozpoznać, oskarżać, protestować, żądać wyjaśnień, wydawał się równie trudny do wyobrażenia, jak wniosek, przed którym nie mógł się dłużej bronić. Heather nie została zamordowana ani uprowadzona. Nikt jej nie przesładował ani nie porwał. Nie straciła pamięci ani władz umysłowych. Wręcz przeciwnie, od samego początku działała spokojnie i metodycznie. Zaplanowała i

przygotowała wszystko od początku do końca. On był jedynie bezmyślnym pomocnikiem, uwzględnionym w kalkulacjach, usłużnym kozłem ofiarnym, odwracającym kierunek poszukiwań, uczciwym świadkiem, który kłamał, sam o tym nie wiedząc. Wykorzystała go, a potem się go pozbyła. Zrobiła z niego kompletnego głupca.

Heather przypięła rower do słupka, wyjęła zakupy z kosza i ruszyła za Sheilą do drzwi. Wyjęły klucz, czemu towarzyszył kolejny wybuch śmiechu. Weszły. Ostatnie, co zobaczył, zanim drzwi się zamknęły to uśmiech Heather wywołany dowcipem przyjaciółki.

Przyjaciółki. Szczerze wierzył w swoją przyjaźń z Heather. Teraz wiedział, że nigdy nie był jej przyjacielem. Wszystko musiało się odbyć bardzo prosto. Ustalony wcześniej sygnał - prawdopodobnie gwizd, który słyszał - opustoszała szosa po drugiej stronie Profitis Ilias, potem szybka jazda na lotnisko. Znalazły się w Atenach, zanim jeszcze wszczęto alarm. Śmiejąc się czytały artykuły w gazetach. Obejmowały się z radości, że plan się powiódł. A jaki był najlepszy dowcip, co je najbardziej bawiło, kto wyszedł na największego durnia w tym wszystkim? Naturalnie Harry. Mężczyzna, który tkwił samotnie na ulicy w Atenach, gapiąc się tępo w zamknięte drzwi. Mężczyzna, którego Heather oszukała - ale któremu nie zdołała się wymknąć.

- Dysart, słucham?

- Alan, mówi Harry Barnett.

- Harry! Skąd dzwonisz? Czekałem, kiedy się odezwiesz. Dostałem twoją wiadomość.

- Jestem w Atenach.

- W Atenach? Co cię tam zagnało?

- Heather. Znalazłem ją.

- Znalazłeś? W Atenach?

- Tak. Zdrową i całą. Mieszka z niejaką Sheilą Cox, swoją przyjaciółką z

Hollisdane School, która tutaj uczy.

- Ale... to niewiarygodne. Rozmawiałeś z nią?

- Nie. Ale ją widziałem. Nie ma wątpliwości, że to ona. Jest tutaj, ukrywa się. Nie wiem dlaczego ani od jak dawna. Wiem tylko, że poszukiwania się skończyły.

- Wie, że ją znalazłeś?

- Nie. Kiedy do mnie dotarło, że kłamała bezczelnie z własnej woli nie mogłem się zmusić, by z nią porozmawiać. Wyglądała na taką wesołą, taką zadowoloną z siebie. Byłem głupcem, Alanie, naiwnym głupcem. Sądziłem, że Heather potrzebuje pomocy. Myślałem, że chce, by ją odnaleźć. Chciałem wyratować dziewczę z opresji. Zamiast tego... Myliliśmy się. Kingdom nie mógł z tym mieć nic wspólnego. Zniknięcie było od początku jej własnym pomysłem. Zaprojektowała to z tą swoją przyjaciółką.

- Wydajesz się zły.

- Bo jestem zły. A ty nie?

- Na pewno czuję ulgę. Chcesz, żebym powiedział jej rodzicom?

- Czemu nie? Mają prawo wiedzieć. Mieszka przy...

- Zaczekaj. Potrzebuję czegoś do pisania. Już; słucham.

- Ateny Iraklio, Odos Farnakos dwadzieścia cztery, mieszkania trzy. Mieszkanie należy do Sheili Cox, która uczy w Shelley College w Kifissii.

- Natychmiast zawiadomię Charliego. Co teraz zrobisz?

- Nie jestem pewien. Pewnie wrócę do domu. Ale mogę tu zostać jeszcze parę dni.

- Żeby się spotkać z Heather?

- Nie. Nie chcę jej widzieć nigdy więcej. Gdybym... No cóż, najlepsze, co mogę zrobić, to zapomnieć o całej tej przekłetej sprawie.

- Myślisz, że ci się uda?

- Pewnie nie. Ale mam zamiar spróbować.

LIII

Ta znakomicie zachowana brązowa statuetka Sylena, demona z orszaku Dionizosa, łączącego w sobie cechy człowieka i konia, pochodzi z Dodony. Ityfaliczny towarzysz boga skacze z radości z lewą ręką uniesioną wysoko w powietrze, prawą wspartą na pośladku. Ostro zakończone uszy, długi ogon i podkute kopyta to cechy zwierzęce, naturę demona zdradzają wykrzywione rysy twarzy, niekształtny nos i okrutny wyraz oczu. Długie kręcone włosy i broda zostały oddane za pomocą wyrytych linii. Doskonały okaz miniaturowej sztuki epoki archaicznej, wykonany z dużą biegłością techniczną. Wysokość 0,192 m. Ok. 530-520 p. Chr.

Harry zamknął przewodnik i przez cienką szybę spojrzął na osławionego satyra, którego podobiznę nosił ze sobą, odkąd wyjechał z Rodos. Figurka okazała się mniejsza, niż oczekiwał, i wyrzeźbiona z większą precyzją - przechowywany z dumą dowód obsceniczności starożytnych. Od dwóch i pół tysiąca lat Sylen krzywił się w uśmiechu i przeżył przed wszystkimi, którzy zechcieli nań spojrzeć. Harry podejrzewał, że nie on pierwszy ze wstydem dostrzegł w postaci satyra odbicie własnych wspomnień. Nie mógł jednak opuścić Aten, nie odwiedziwszy starego lubieżnego diabła, więc kiedy odwracał się od niego i zmierzał do wyjścia, na jego twarzy malował się lekki, ale szczery uśmiech.

W muzeum archeologicznym tłoczyły się grupy oprowadzane przez przewodników, dla których Sylen stanowił zaledwie postscriptum do wspaniałej sztuki rzeźbiarskiej Myken. Harry przemykał wśród nich obojętny na to, czym się zachwycali, wspominając, co mówił mu o Sylenie Miltiades. „Zdaniem Eurypidesa, był niezdolny odróżnić prawdę od fałszu”. Jeśli to właśnie chciała dać do zrozumienia Heather, zostawiając mu pocztówkę z Sylenem, dowiódł z nawiązką, że miała rację.

Na szczycie schodów prowadzących do wejścia do muzeum zatrzymał się i zaczerpnął pełne płuca tego, co w Atenach uchodziło za świeże powietrze. Jakimż

był głupcem! Ślepym, wodzionym za nos głupcem. Zastanawiał się, czy Heather przewidziała, jak daleko zajdzie w poszukiwaniach i - rozważając to na zimno - doszedł do wniosku, że nie. Poza tym nie mogła się spodziewać, by odnalazł fotografie, a bez nich nie istniałby fałszywy ślad, za którym podążył. Trzeba jej oddać sprawiedliwość (choć nie miał na to ochoty): miał nigdy nie odkryć, że go oszukała. W tym sensie sam był autorem swojego upokorzenia.

Zszedł po stopniach i usiadł na jednej z ławek otaczających kolisty trawnik u wejścia do muzeum. Wyjął z kieszeni kopertę zawierającą pocztówki z Sylenem i Afrodytą. Podarł je starannie na drobne kawałeczki i wrzucił po jednym do kosza obok ławki. Miltiades nazwałby to zniszczeniem dowodów, ale Harry wolał widzieć w tym akt pogodzenia się z losem. Jego rola w życiu Heather, i jej w jego życiu, skończyła się. Jego fantazje na temat przyjaźni również. Tego ranka niemal uległ pokusie, by udać się do Iraklio i spotkać z Heather, jednak w końcu postanowił odwiedzić swoje antyczne alter ego w muzeum, i teraz był pewien, że podjął właściwą decyzję. Musi albo stanąć z Heather twarzą w twarz, albo zapomnieć. Pozbywając się pocztówek, które mu zostawiła, miał nadzieję osiągnąć to drugie.

Oczywiście ciągle jeszcze pozostawały zdjęcia. Zgodnie z prawem należały do Heather, choć od dawna uważała je pewnie za stracone. Wyjął je i przejrzał po raz ostatni na pożegnanie. Dwadzieścia cztery fotografie, od Mallender Marine do Heather w Villa ton Navarkhon, dwa tuziny zwodniczych obrazów, za którymi podążał w dobrej wierze. Uśmiechnął się smutno. Należą do Heather, więc dostanie je z powrotem. Włożył odbitki do koperty wraz z negatywem, zakleił ją i napisał na wierzchu nazwisko i adres. Postanowił, że wyśle je w dniu wyjazdu z Aten. Heather rozpozna charakter pisma i zrozumie, co oznacza ten gest. Do tego czasu rodzice prawdopodobnie już się z nią skontaktują. Dowie się od nich, że to Harry ich do niej zaprowadził, a fotografie pozwolą jej zrozumieć, w jaki sposób tego dokonał. Może i była to mała zemsta, ale tylko to mu pozostało: zwrócić uwagę Heather na jedyny błąd, jaki popełniła.

Wsuwając kopertę do kieszeni zauważył pocztówkę kupioną w kościele w Burford leżącą obok na ławce. Musiała wypaść, kiedy wyjmował kartki z Sylem i Afrodytą. „Anthony Sedley. Więzień”. Roześmiał się niewesoło. To chyba jedyna i najważniejsza pamiątka roli, jaką Heather wyznaczyła mu w swoich planach. „Harry Barnett. Więzień”. Więzień własnej łatwowierności, przekonania, że nie mogła go wprowadzić w błąd. Nie mógł jej winić za pragnienie, by uciec od swojej przeszłości i teraźniejszości. Ale tak samo nie mógł jej wybaczyć, że go wykorzystwała, by osiągnąć ten cel. Nie mógł jej winić za wszystkie rozczarowania swojego życia. Ale tak samo nie mógł jej wybaczyć tego ostatniego i najbardziej gorzkiego. Z ciężkim westchnieniem wstał z ławki i ruszył przed siebie znużonym krokiem.

Harry spędził w Atenach zaledwie trzy dni, ale zdążył już nawiązać z barmanem z Hotel Ekonomical zażyłe, jeśli nie serdeczne, stosunki. W odróżnieniu od drinków innych klientów kieliszkom Harry'ego nie towarzyszyły lepkie podstawki ani zatłuszczone miseczki solonych migdałów. Barman oszczędzał mu też dowodów swojego ponurego poczucia humoru. Harry'ego pozostawiano własnym rozrywkom. Po powrocie z muzeum składało się na nie przede wszystkim opróżnianie kolejnych butelek szczególnie mocnego importowanego piwa oraz wpatrywanie się w odbicie własnej, coraz bardziej zaczerwienionej twarzy w lustrze nad barem.

Przygotowywał swój umysł na podjęcie decyzji, kiedy powinien opuścić Ateny. To stawiało go przed problemem, co ma ze sobą zrobić po powrocie. Co z kolei zmuszało do przyznania, że tego nie wie ani go to nie obchodzi. Lindos i Swindon wydawały się równie nie do przyjęcia, inne możliwości po prostu nie istniały. Jedyne rozwiązanie, które był ostatecznie skłonny zaakceptować, to przepić resztę pieniędzy w Atenach w nadziei, iż w jakimś momencie poczuje przypływ natchnienia.

Zauważył, że gość, który wyszedł przed chwilą zostawił na stołku egzemplarz „Wiadomości Ateńskich” - jedyne angielskojęzyczne dziennika w mieście.

Nachylił się i przywłaszczył go sobie, uznawszy, iż czytanie gazety pozwoli mu spowolnić pobór piwa, nawet jeśli treść artykułów nie oświeci go ani nie dostarczy mu rozrywki. Uważne przejrzenie pierwszych paru stron nie spełniło jego nadziei i właśnie miał wyrzucić gazetę, kiedy jego wzrok przyciągnęła notatka w kolumnie ogłoszeń, wciśnięta między *Atrakcyjną młodą damę szukającą obco-krajowca do towarzystwa* a *Luksusowy apartament w Glyfadzie do wynajęcia*. Nie potrafiłby powiedzieć, co zwróciło jego uwagę. Jakieś słowo przez ułamek sekundy wydało mu się znajome, ale nie wiedział już które. Z pewnością początek - *POSZUKUJEMY: uprzejmych, dynamicznych osób do pracy na Wyspach Egejskich od kwietnia do października* - tego nie wyjaśniał. Kierowany właściwie pustą ciekawością czytał dalej. I wtedy zrozumiał.

POSZUKUJEMY: uprzejmych, dynamicznych osób do pracy na Wyspach Egejskich od kwietnia do października. Wymagana biegła znajomość angielskiego oraz francuskiego lub niemieckiego. Wybrani kandydaci po przeszkoleniu zostaną zatrudnieni przy promocji systemu time-share. Osoby poważnie zainteresowane naszą ofertą zapraszamy na spotkania rekrutacyjne, które odbędą się w hotelu Hilton w sobotę siódmego i niedzielę ósmego stycznia, w godzinach od 15 do 17. Informacji udzielamy pod numerem telefonu: 722 0201, prosić Barry'ego Chipchase'a..

Dochodziła już niemal piąta, kiedy Harry dotarł do Hiltona, trzynastu pięter dostatku wykładanego białymi płytkami przy hałaśliwym skrzyżowaniu Sofias i Konstantinou. Patrząc w górę na furkocące flagi i tryskające fontanny zastanawiał się, czy nie powinien się po prostu odwrócić na pięcie i porzucić wszelkie pomysły spotkania z Barrym Chipchase'em ponad szesnaście lat od chwili, gdy ich napięte stosunki zostały zerwane po ostatniej zdradzie.

Po drodze z Hotel Ekonomical zabawił chwilę na ławce w Ogrodach Narodowych, rozważając ten sam problem. Przywołał w pamięci barak pełen prze-

ciągów, gdzie spotkali się po raz pierwszy w 1953 roku: Harry przytłoczony i zmieszany każdym aspektem życia w koszarach i Chipchase, który okazał się natychmiast mistrzem tysiąca forteli pozwalających mu oszczędzić sobie ciężkiej pracy. Porywał Harry'ego ze sobą na nielegalne wyprawy do odległych pubów i na wiejskie zabawy, gdzie czekały miejscowe dziewczyny. Powołał go na swojego asystenta w potajemnym zdobywaniu i dystrybucji własności RAF-u. Krótko mówiąc, gruntownie nauczył go zasad, na których opiera się świat. Harry nie potrafił wyjaśnić, dlaczego nie przewidział, jakim partnerem w interesach okaże się Chipchase. Szybki refleks i przytomność umysłu Barry'ego niejednemu raz uratowały Barnchase Motors, ale też zawsze miał on skłonności do przesady, co wywołało nie mniej problemów, niż ich rozwiązało.

Dysart ostrzegał, że pazerność Chipchase'a źle się skończy i Harry podświadomie się z tym zgadzał. Chociaż jego zdaniem to nie pazerność stanowiła największą skazę w charakterze Barry'ego. Raczej niedojrzała fascynacja niezwykłymi wyczynami, z której nigdy nie wyrósł; znudzenie stabilizacją i równowagą, pragnienie, by sprawdzać własne szczęście i zdolność przewidywania w ekstremalnych warunkach.

Na swój sposób opieszalność Harry'ego okazała się równie naganna. Pamiętał nadal, jakby to było wczoraj, szarawą twarz syndyka patrzącego zza biurka i pytającego po raz setny: „Czy naprawdę chce pan powiedzieć, panie Barnett, że nie miał pan żadnych podejrzeń co do planów pana Chipchase'a?” Tak. Naprawdę to właśnie chciał powiedzieć. Ostatecznie sam Barry nie zabraniał mu wymykania się do Railway Inn, jeśli tylko nie należało stawić czoła jakiemuś rozgniewanemu klientowi albo uspokoić dostawcy, któremu zalegali z zapłatą. Dopiero gdy było za późno Harry zrozumiał, dlaczego. O wiele za późno pojął, jaką cenę przyszło mu zapłacić za skwapliwą zgodę na ignorancję.

Wyszedł z Ogrodów Narodowych naprzeciw pałacu prezydenckiego i przez pół godziny albo dłużej obserwował baletowe manewry wartowników. Widok przypomniawszy mu charakterystyczny komentarz Chipchase'a na temat rygorów

munduru i dyscypliny. „Wiesz, co sobie myślę za każdym razem, kiedy ten drań Trench (znienawidzony oficer) przegania nas po lotnisku, warcząc rozkazy? Myślę sobie: ciesz się, póki możesz, Trench, bo ani się obejrzysz, jak poczujesz na ramionach moje buty, kiedy będę cię mijał na drabinie życia. Już niedługo”.

Przechodząc przez hol Harry poczuł się naraz źle ubrany wśród biznesmenów w odprasowanych garniturach i eleganckich kobiet czytających magazyny o modzie nad popołudniową herbatą. Nie mógł zapomnieć obietnic Chipchase'a, że wywalczy sobie drogę po szczeblach sukcesu materialnego. Skoro Hilton stał się dla niego miejscem, gdzie rekrutuje swoich pracowników, Harry mógł przypuszczać, iż mu się powiodło.

Nazwisko Chipchase nie było obce recepcjonistce o oczach Charybdy. Skierowała Harry'ego do sali wykładowej na parterze. Już po chwili stał przed drzwiami, zastanawiając się, czy nie powinien skorzystać z ostatniej okazji i zawrócić. Jednak widząc, że drzwi są uchylone popchnął je i zajrzał do środka.

Sala była duża; metry dywanu i obitych skórą mebli ciągnęły się do okna, umieszczonego wyżej niż ekran w kinie. Ciemności narastające na zewnątrz rozpraszały reflektory przejeżdżających samochodów i widoczne wysoko w oddali oświetlone mury Akropolu. Pod oknem numerowy rozstawiał krzesła, przy bocznym stoliku niski, elegancko ubrany mężczyzna układał slajdy w pudełkach. Na stole znajdował się projektor i stos ulotek. W przerwach przy rozkładaniu przezroczy zerkał nerwowo na drugiego mężczyznę, który przemierzał wolną przestrzeń pod oknem, przemawiając głośno, autorytatywnym tonem.

- Trzymaj się mnie, Niko, a załapiesz się na pociąg prosto do rajku. W Hiszpanii zbiłem majątek na tym interesie i tutaj mam zamiar zrobić to samo. Pomysł na pewno chwyci na Wyspach Egejskich. Musi. Cała sztuczka polega na tym, żeby zająć korzystną pozycję. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Nawet jeśli Niko nie pojmował Harry rozumiał to z całą pewnością, bo Barry trzymał się jednego przepisu, zmieniał tylko składniki. Nadwyżki RAF-u, uży-

wane samochody, tandetne hacjendy - nie robiło mu to różnicy. Również pod względem fizycznym zmienił się mniej, niż Harry oczekiwał. Przytył, to fakt, ale tylko trochę; nie posiwiał ani nie wyłysiał. Czarne kręcone włosy nie wyglądały już co prawda, jakby łamały się na nich grzebienie, ale niejeden pięćdziesięcio-trzylatek byłby dumny z takiej czupryny. Głos obniżył mu się o oktawę czy dwie i brzmiał nieco ochryple, co sugerowało, że nadal wypala czterdzieści papierosów dziennie. A co do ubrania - lekki garnitur, dobrana do niego koszula i krawat, pstra chusteczka w kieszonce, buty z krokodylej skóry, złoto połyskujące na palcach i nadgarstkach - wszystko świadczyło o tym, co Harry'emu najtrudniej było wybaczyć: że minione lata bardzo posłużyły Barry'emu Chipchase'owi.

- To dopiero początek, Niko, wspomnisz moje słowa. Turcja. Adriatyk. Północna Afryka. Wszystko przed nami. Dzisiaj po południu zwęszyłem w tym pokoju zyski. Duże zyski. Wiesz, co o mnie mówili w Hiszpanii? Że na drugie imię mam „okazja”.

Było już za późno, żeby się wycofać. Harry ruszył przez salę.

- „Okazja”? To dla mnie coś nowego, Barry - powiedział głośno. - Myślałem, że masz na drugie Herbert.

Ręka, którą Chipchase unosił do ust papierosa zamarła w pół ruchu. Obrócił się wolno i gapił na Harry'ego oczyma szeroko otwartymi ze zdumienia. Przynajmniej raz wyraz jego ruchliwej twarzy dał się odczytać. Przynajmniej raz Barry został wzięty z zaskoczenia.

- Harry - wymamrotał. - Niech to diabli.

- Cześć, Barry. Miło cię widzieć w dobrej formie. Szkoda, że dziś nie poniedziałek.

- Poniedziałek?

- Wtedy spodziewałem się ciebie zobaczyć znowu: w poniedziałek rano. Pamiętam, jak mówiłeś wychodząc z garażu: „Do zobaczenia w poniedziałek”. Ale się nie pokazałeś. Zamiast tego zjawił się pomocnik szeryfa, żeby mnie aresztować.

Chipchase próbował się zdobyć na uśmiech; Harry naciskał dalej.

- Dlaczego nie przedstawiś mnie swojemu koledze?

- Hmm...

- Nazywam się Barnett, Niko, Harry Barnett. Jestem jednym z tych, którzy wypadli z tego pociągu do rajy zaraz po tym, jak ruszył ze stacji.

LIV

- Powinieneś mi być wdzięczny, Harry. Cholernie wdzięczny. Gdyby nie ja, nie miałbyś wymówki. Musiałbyś się pogodzić z tym, że w interesach jesteś bezradny jak dziecko. Wszystko ci ułatwiłem. Idę o zakład: rozpowiadałeś dokoła, że nie wiedziałeś, jak źle sprawy stoją, że ukrywałem przed tobą prawdę, a potem uciekłem i zwałem wszystko na twoje barki. Dostałbyś złoty medal za łązawe opowiadki. Więc odpuść mi te swoje wieczne oburzone miny, bo się nie dam nabrać.

Od przybycia Harry'ego do Hiltona minęły dwie godziny. Siedzieli wraz z Chipchase'em w słabo oświetlonym kącie baru. Niski stolik tuż obok pokrywały puste butelki, papierowe podstawki, popiół z papierosów i łupiny pistacji. Początkowe zmieszanie Chipchase'a przerodziło się w przymilność. Natarczywie dolewał Harry'emu do pełna i zasypywał go wyrazami fałszywego współczucia. Teraz, kiedy opowiedzieli sobie z przesadną pijacką szczerością swoje losy po bankructwie Barnchase Motors, Harry mógł tylko podziwiać zręczność, z jaką jego towarzysz przedstawiał sprzeniewierzenie funduszy firmy i swoją ucieczkę z kraju wraz z Jackie jako akt wspaniałomyślności.

- Widzisz, Harry, zawsze miałeś jeden problem. Nie lubisz życia na dnie, ale nie wiesz, jak się dostać na szczyt. Zbyt wiele skrupułów, za mało zdolności. Fatalna kombinacja. Większą przyjemność sprawia ci babranie się w nieszczęściu niż delektowanie się sukcesem. Więc zostawienie cię na pastwę losu w Barnchase było w gruncie rzeczy największą przysługą, jaką ci oddałem.

- Wtedy nie wydawało się przysługą.

- Może, ale spróbuj na to spojrzeć z mojego punktu widzenia. Co by mi dało, gdybym ciągnął ten wózek razem z tobą? Dzięki mojej ucieczce mogłeś odegrać niewinną ofiarę i wszystko uszło ci na sucho.

- Byłem niewinny.

- Bujaj kogo innego. Albo lepiej wypij i zamówmy jeszcze po jednym. Bądź co bądź, mamy co świętować. Dawna firma znowu razem. Kto by to pomyślał, nie? Cholera!

- Musiałem sprzedać swój dom.

- Och, przestań wreszcie zrzędzić, na miłość boską! Przynajmniej nie miałeś na karku Jackie. To był błąd zabierać ją ze sobą, mówię ci, chyba największy błąd w moim życiu. Widzisz, myślałem, że mnie kocha. Że będzie mi wierna. Chryste, możesz w to uwierzyć? Żeby stary Chipchase okazał się taki naiwny! Jak tylko się znalazła w Hiszpanii zaczęła wodzić oczami za tymi czarnymi tykawatymi Hiszpanami. Obnosiła swoje wdzięki po plaży i tylko czekała, żeby ją któryś zechciał. Możesz mi wierzyć, nie musiała czekać długo.

- Ona mówiła co innego.

- No pewnie, a jakże. Nasza Jackie zawsze potrafiła zmyślać. Mówiła, że czym się teraz zajmuje?

- Fryzjerstwo.

- I znalazła sobie bogatego męża?

- Na to wygląda. Duży dom. Szybki samochód. Wszystko co trzeba.

- Więc miałem rację, nie? Z tej naszej panny Fleetwood od początku była sprytna mała dziwka. Twoja wina, że ją przyjąłeś. A jak z tobą, Harry? Zdaje mi się, że ostatecznie uniknąłeś więzienia? Rodos, wyspa róż i tak dalej. Villa ton cholera wie co. Najlepsze miejsce, gdzie facet może wylądować.

- Alan był bardzo hojny, to prawda.

- Ha! - Chipchase prychnął ironicznie. Odchylił się na krześle i skinął na kelnera, żeby przyniósł następną kolejkę. - Co do Alana Dysarta życzę ci, żebyś

na tym dobrze wyszedł. Ja bym mu nie wierzył ani na jotę.

- Zraziłeś się do polityków, Barry? To nowa cecha w twoim charakterze.

- Nic podobnego, cholera. - Nastąpiła krótka przerwa, gdy kelner kręcił się przy stoliku, potem Chipchase mówił dalej: - Politycy próbują zarobić na życie tak samo, jak wszyscy. Ale to nie dlatego nie dowierzam naszemu dawnemu pomocnikowi, który został ulubieńcem ludu.

- Więc czemu?

Chipchase pociągnął łyk z napełnionego na nowo kieliszka.

- To długa historia - mruknął. - I stara. Pomówmy o czym innym.

- Skoro jest taka stara, to czemu nie poznałem jej wcześniej?

Chipchase wydmuchnął dym z papierosa, aż zatrząsnęły mu się policzki.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tak. Naprawdę.

- No cóż, to żadna tajemnica. Nie lubiłem go od początku. Za delikatny, żeby grzebać w silnikach. Zbyt cwany, by nie skapować, o co chodzi w handlu używanymi samochodami. I istniało mnóstwo prostszych sposobów, żeby się wykazać zaradnością. Dlaczego się do nas przyczepił, co, Harry? Po co się tłukł aż do Swindon i tkwił u nas przez całe wakacje?

- Z początku chyba dla dziewczyny, pamiętasz? Z Wootton Bassett.

- Dziewczyna z Wootton Bassett, akurat. Istniała tylko w jego wyobraźni, jestem pewien.

- Czemu tak mówisz?

- Skoro pytasz, Harry, stary kogucie, to ci powiem. - Chipchase nachylił się na stołem, oczy błyszczały mu z podniecenia. - Pewnie bym ci powiedział już wtedy, ale to się stało tuż przed tym, jak musiałem wyjechać w pośpiechu. Nie mieliśmy wtedy ochoty na plotki, nie? To musiał być lipiec siedemdziesiątego drugiego. Pamiętasz, jak pojechałem do Birmingham, do Cosway Tyres, przesunąć termin spłaty kredytu?

- Coś mi świta.

- Piękne określenie: przesunięcie terminu spłaty. Zresztą mniejsza. Ważne, że się zgubiłem w drodze powrotnej. Birmingham to gorszy labirynt niż ten w Hampton Court. W końcu stanąłem gdzieś w okolicy Solihull, żeby zapytać o drogę. Na takiej długiej, prostej ulicy z domami po jednej stronie i cmentarzem po drugiej.

- Nie bardzo...

- Nie bądź taki cholernie niecierpliwy. Zaraz do tego dojdę. Jakiś stary piernik spacerujący z pudłem wyjaśnił mi, jak dotrzeć do wylotowej. Już miałem ruszać, kiedy może sto metrów dalej po przeciwnej stronie ulicy kogo widzę, jak nie Alana Dysarta wysiadającego z samochodu? Pamiętasz tego białego spitfire'a, którym jeździł? Alan ubrany na czarno i z wieńcem w ręce, całkiem jakby się wybierał na pogrzeb. Tyle tylko, że żadnego pogrzebu nie było. Ani śladu karawanu, trumny, szlochających żałobników. Wyłącznie pusty cmentarz na tym wzgórzu koło ulicy. Nacisnąłbym klakson albo zawołał do niego, ale widzisz, to wszystko wydało mi się trochę podejrzane. Minął bramę, ruszył główną aleją, potem skręcił i straciłem go z oczu wśród nagrobków.

- Pewnie...

- Będziesz ty wreszcie cicho! To, co ty byś myślał albo zrobił nie ma żadnego znaczenia. Ja sobie pomyślałem, że coś tu śmierdzi. I postanowiłem zaczekać. Wyjąłem szluga i prawie całego wypaliłem. Właśnie miałem zacząć następnego, kiedy pojawił się znowu, bez wieńca, wsiadł w samochód i tyle go widziałem.

- Na miłość boską, Barry!...

- I o to chodzi! - syknął Chipchase z naciskiem. - O to właśnie chodzi, do cholery! Nie śpieszyło mi się. Miałem swoje podejrzenia. Zawsze byłem podejrzliwy, jak już o tym mowa. Więc wysiadłem z samochodu i urządziłem sobie spacer po cmentarzu. Poszedłem w stronę, gdzie go widziałem. Rozglądałem się za wieńcem, który miał ze sobą. No cóż, nie leżało tam wiele świeżych wieńców, więc go szybko znalazłem. Leżał na jednym z grobów: białe lilie, bez napisu na wstędze. Zgadnij, czyj to był grób?

- Skąd mam wiedzieć? Jego ciotki Doris?

- O, nie. Żadnej ciotki ani wujka, ani brata, ani siostry, ani matki, ani ojca. -
Twarz Chipchase'a przeciął szeroki uśmiech zachwyty. Cieszył się z sekretu,
którym się miał podzielić.

- Więc czyj?

- Jego własny, mój chłopcze. Jego własny cholerny grób.

Niecałe pół godziny później Harry siedział w taksówce mknącej na północ przez przedmieścia Aten w stronę Iraklio. Widział światła innych samochodów odbijające się w szybach, słyszał ryk klaksonów i zawodzenie syren. Wydawało mu się, jakby sam znajdował się gdzieś indziej. Żywa, ruchliwa twarz Barry'ego Chipchase'a i jego niezwykła opowieść nadal przeważały nad wszelkimi wrażeniami; obrazy, które przywołał i słowa, w które to ujął, odsuwały wszystko inne na dystans.

„Jego własny cholerny grób, Harry. Alan Dysart. Zmarł któregoś tam kwietnia pięćdziesiątego drugiego w wieku pięciu lat. Aha, nastawiłeś teraz uszu. Zrobiłeś wielkie oczy. Mówię świętą prawdę. Zimny trup od trzydziestu siedmiu lat, zmarł, jak miał pięć. To ile by miał teraz?”

Tyle co Dysart. Dokładnie. Harry nie potrzebował tego mówić. Nie potrzebował nic mówić.

Chipchase zauważył wyraz niedowierzania na jego twarzy.

„Nie chce ci się pomieścić w głowie, tak? To wszystko, do cholery, nie trzyma się kupy? Jeśli Alan Dysart nie żyje, to kim jest Alan Dysart, którego znamy, tak, Harry? Kim, do cholery, jest ten facet? Chciałbym móc ci to wyjaśnić. Najzabawniejsze, że będziesz musiał uwierzyć na słowo nawet w tę odrobinę, której się dowiedziałem. Pojechałem do Swindon łamiąc sobie głowę nad odpowiedzią i do niczego nie doszedłem. W końcu zaczęło mi się zdawać, że wszystko sobie wyobraziłem. Więc pojechałem jeszcze raz. Jakies dwa tygodnie później wziąłem sobie dzień wolnego. Powiedziałem ci, że idę grać w golfa z dyrektorem banku.

Naprawdę pojechałem do Solihull, znalazłem cmentarz i zacząłem szukać grobu. Ale go nie było. Została podstawa, od której odrąbano nagrobek, ale sama płyta zniknęła. A razem z nią napis”.

Harry skulił się na fotelu, broniąc się przed tym, co wynikało z opowieści Chipchase'a. Dysart nie jest naprawdę Dysartem. Więc kim? I dlaczego?

„Musiał mnie zauważyć, Harry. To jedyne, co mi przychodzi do głowy. Szybki facet z tego naszego tak zwanego Alana Dysarta. Musiał się domyślić, że znalazłem grób i mnie to zaintrygowało. Jednakże miał zbyt dużo sprytu, by się zdradzić. Zadbął o to, by na następny raz, kiedy zjawię się ja albo ktoś inny, nie było czego szukać. Kazał usunąć nagrobek. Ale to nie wszystko. Osłupiałem, kiedy go nie znalazłem, ale nie miałem najmniejszego zamiaru zważyć w to, co widziałem. Co to, to nie. Nie można wymagać zbyt wiele od starego Chipchase'a. Poszedłem do biura cmentarza, złapałem jakiegoś urzędnika, który mnie odesłał do jakiegoś innego kierownika od nieboszczyków na większym cmentarzu na drugim końcu miasta. Pojechałem tam, zażądałem odpowiedniego rejestru, obejrzałem go i... zgadnij, co?”

Niczym kamień toczący się coraz szybciej w dół zbocza, niby przybierająca fala powodzi w Harrym narastała pewność, że padli ofiarą oszustwa. Oszustwa Dysarta. Nie tylko Harry został oszukany. Nie tylko ci wszyscy, którzy mu sprzyjali i go podziwiali. Ale cały świat, w którym żył i w którym się obracał. „Byłem błyskotliwy, byłem inteligentny. Byłem wygadany”. Sam tak o sobie mówił i nie kłamał. Grał swoją rolę i nigdy nie został odkryty. Aż do teraz.

„Brakowało strony, Harry. Brakowało cholernej strony. Wyrwana tak starannie, że nie dało się tego zauważyć, jeśli się nie czytało dokładnie. Naturalnie kierownik narobił cholernego szumu, jak się o tym dowiedział, ale to wszystko. Nagrobek zniknął. Strona też. A z nimi wszystkie dowody. Widzisz, Dysart postarał się, żeby w razie czego były tylko moje słowa przeciw jego. Nic nie zostawił. Najdrobniejszego śladu”.

Ależ zostawił. Harry wiedział o tym, nawet jeśli Chipchase nie miał o tym

pojęcia. Prawda zaświtała mu w głowie, blada i cicha jak anonimowy grób. To był największy sekret. Naturalnie! Nie korupcja. Nie morderstwo. Ani żadne fantazje o pomszczeniu siostry. Sekret samego Dysarta. Sekret jego życia. Harry nie potrzebował żadnych dowodów. Zalała go fala poczucia winy, że wątpił w Heather. To tego się dowiedziała. To dlatego uciekła. Bo znać tajemnicę Alana Dysarta oznaczało znajdować się w niebezpieczeństwie. Jak Ramsey Everett. Jak Will Morpurgo. Jak Clare Mallender. Nic dziwnego, że Heather szukała schronienia w Iraklio, jeśli połączyła ze sobą te wydarzenia. Jak gdyby fragmenty strzaskanej kamiennej płyty ułożyły się przed jego oczyma. Z wrytym nazwiskiem: Alan Dysart. Teraz wszyscy stali się jego więźniami.

„Wtedy to zostawiłem, Harry. Co innego mogłem zrobić? Miałem na głowie poważniejsze zmartwienia niż przeszłość Dysarta. Mówiąc dokładnie: układanie planów mojej ucieczki z Jackie i jej garderobą. Zapomniałem o wszystkim, jak tylko wyjechaliśmy z kraju. I nigdy bym sobie nie przypomniał, gdyby Dysart nie zaczął odgrywać na Falklandach lorda Nelsona. Anglikom w Hiszpanii nie było wtedy lekko, możesz mi wierzyć. Wszystko mi się przypomniało. Cała ta błyskotliwość, cholerny zniewalający wdzięk. Jak słyszałem, jest teraz w parlamencie; minister w rządzie. Zrobił się taki ważny, że te irlandzkie oszołomy podkładają mu bomby. No cóż, może i mają rację. Pozostali go uwielbiają. Tak samo jak i ty, Harry. Nie chciałbym mieć Dysarta za szefa. Wolalbym nie mieć z nim do czynienia. Jeśli chodzi o oszustwa nie dorastam mu do pięt. Co znaczy szwindel z wynajmowaniem domów na lato na Mykonos w porównaniu z fałszywym życiem? Nie wiem, kim ani czym jest Dysart, ale wiem jedno. Nie ufam mu ani na jotę. Ani na cholerną jotę”.

Ostrzeżenie przyszło zbyt późno. Harry już to zrobił. Obdarzył Dysarta nie tylko przyjaźnią czy zaufaniem; powierzył mu sekret kryjówki Heather. „Zaczekaj. Potrzebuję czegoś do pisania. Już; słucham”. Harry był oszukiwany od samego początku, to prawda, ale nie przez Heather. Teraz to sobie uświadomił. Nareszcie zrozumiał. „Ateny Iraklio, Odos Farnakos dwadzieścia cztery, miesz-

kania trzy.” Jakie to proste. Jakie oczywiste. Sekret Heather zdradzony. Dzięki Harry'emu Dysart odzyskał swego więźnia.

Harry nachylił się do przodu, dotknął ramienia kierowcy i mu do ręki banknot: pięć tysięcy drachm.

- *Pio grigora, parakalo.*

Kierowca spojrział na niego, potem na pieniądze.

- *Endaksi* - mruknął.

Skręcił na zewnętrzny pas i przycisnął pedał gazu.

LV

Na Odos Farnakos panowały mrok i cisza, wilgotna zimna mgiełka skrzyła się w świetle pół tuzina lamp na ganku. Harry ostrożnie szedł wąskim chodnikiem pokrytym plamami cieni, aż dotarł do numeru dwudziestego czwartego. Wtedy rozejrzał się dokoła, wyężając wzrok, by zbadać zatoki czerni majaczące na białych murach. Nic nie drgnęło. Nic się nie poruszyło. Wszystko było ciche jak zawsze. Tylko jego napięte zmysły sugerowały co innego. Nie ma się po co rozglądać, nie ma się czego bać. Oprócz tego, co sobie już wyobraził.

Ruszył alejką między sosnami - czuł ich zapach w powietrzu. Stanął przed drzwiami. Sześć przycisków, każdy oświetlony małą żaróweczką. Sześć nazwisk na wypisanych na maszynie wizytówkach pod przezroczystym plastikiem. Sześć głośników, przez które można było prosić o wpuszczenie do środka. Na trzeciej wizytówce, drukowanymi literami, KOΞ. Bez inicjałów, stanu cywilnego, bez angielskiej wersji nazwiska: dziwaczny kaprys. Harry drżącym palcem nacisnął guzik. Minęło trzydzieści sekund, które wlokły się jak godziny, potem w głośniku rozległ się trzask i jakiś głos zapytał: *Pios inekai, parakalo?* Głos Heather. Harry nachylił się i próbował odpowiedzieć, ale wydał z siebie tylko zduszony ze zdenerwowania szept. *Ya su?* Musiała coś usłyszeć, w jej głosie brzmiało zaniepokojenie.

- To ja, Harry

Nareszcie udało mu się wydobyć słowa.

- Harry?

- Mogę wejść? Koniecznie muszę z tobą porozmawiać.

- Harry?

Zdawało się, że nie wierzy własnym uszom.

- Wpuścisz mnie? Musimy pomówić.

Trzaski umilkły. Rozmowa została przerwana. Ale drzwi się nie otworzyły. Zamiast tego nad głową Harry'ego rozległ się dźwięk, jakby odsuwano coś ciężkiego, potem poruszenie; cienie nad nim jakby zgęstniały. Cofnął się i spojrzał na balkon na pierwszym piętrze. Przy parapecie ktoś stał, patrząc prosto w dół na niego. Osłonił oczy przed światłem.

- Heather?

- Jak mnie znalazłeś?

Mówiła cicho, w taki sam sposób, jak dawniej, ale łagodna nuta zniknęła z jej głosu.

- Mogę ci wyjaśnić, chociaż to nieważne. Nie teraz.

- Czego chcesz?

Jej głowa była zaledwie zarysem na tle nieba. Nie mógł zobaczyć wyrazu twarzy.

- Porozmawiać. Nic więcej.

- O czym?

- Muszę się dowiedzieć, czy popełniłem błąd. Czy nie wystawiłem cię na niebezpieczeństwo.

- W jaki sposób?

- Mówiąc komuś, że znalazłem twoją kryjówkę.

- Komu?

- Dysartowi.

Cofnęła się jak pod ciosem. Zdawało mu się, że słyszy, jak nagle złapała

oddech, widzi, jak jej dłonie zacisnęły się na parapecie.

- Heather?

Zdawało się, że chwieje się na nogach, niemal osuwa się na ziemię, potem się opanowała. Odetchnęła głęboko.

- Zaczekaj - powiedziała zdecydowanie. - Wpuszczę cię na górę.

Czekała w drzwiach mieszkania, kiedy dotarł na podest pierwszego piętra; znowu widział tylko jej sylwetkę, oświetloną z tyłu. Gdy się zbliżył, Heather odwróciła się; ruszył za nią przez krótki korytarz do obszernego salonu. Grube dywany na podłodze wykładanej parkietem. Ciemne zasłony zaciągnięte na oknie balkonowym. Skąpe smukłe meble. Przytłumione światło. Na końcu pokoju łukowate wejście do kuchni. Dobiegająca skądś muzyka: jakiś śpiewak folkowy, którego nie znał. I Heather stojąca nareszcie nie dalej niż metr od niego.

Wyglądała tak samo jak wtedy, kiedy widział ją w piątek: trochę młodziej niż na Rodos, płowe włosy ścięte krótko, twarz jeszcze delikatniejsza, niż zapamiętał. Miała na sobie dzinsy i sweter, na które narzuciła fartuch ozdobiony rzędami pand zajadających pędy bambusa. Ciepło bijące od tego obrazu było niczym cios w żebra. Wtedy zauważył, że Heather gwałtownie drży.

- Jak mnie znalazłeś? - spytała niepewnie.

Wyjął fotografie z kieszeni i podał jej.

- Czekają na ciebie na Rodos. Znalazłem kwit i je odebrałem. Zdjęcia, które zrobiłaś tu, w Atenach, naprowadziły mnie na ślad Sheili Cox. Wczoraj rano przyjechałem tu za nią z Shelley College; widziałem, jak razem weszłyście do domu. Gdzie ona teraz jest?

- Wyszła. Kiedy powiedziałeś Dysartowi, że mnie znalazłeś?

- Wczoraj po południu.

- Dlaczego?

- Żeby mógł przekazać informację twoim rodzicom. Nie chciałem sam z nimi rozmawiać. Odkąd zniknęłaś podejrzewają mnie Bóg wie o co. Odezwali się do ciebie?

- Nie. A powinni się odezwać do tej pory, prawda? - Nagle odwróciła się i chwyciła się krzesła, jakby chcąc się na nim oprzeć. - Nie mam czasu, by ci wytłumaczyć, jak bardzo mi przykro, Harry. Wiem, należą ci się przeprosiny; problem polega na tym, że nie rozumiesz, co zrobiłeś, mówiąc Dysartowi.

- Co takiego?

Spojrzała znowu na niego z twarzą wykrzywioną paniką. Kiedy się odezwała jej głos brzmiał niemal jak skowyt.

- Jeśli mnie znajdzie, to zabije mnie.

- To nie może być prawda. - A jednak mogła. Wiedział o tym w głębi duszy. - Tak samo jak mnie zależało mu na tym, żeby... żeby...

Heather spojrzała na fotografię trzymane w ręce.

- Żeby co, Harry? Odpowiedź znajdowała się tu od początku, gdybyś tylko potrafił ją dostrzec. To, co stara się utrzymać w tajemnicy. Sekret, z powodu którego zabił Clare.

- Clare? To niemożliwe.

- Nie rozumiesz, o co w tym wszystkim chodzi? - Odwróciła się i pomachała mu zdjęciami przed nosem. - Naprawdę nie zdajesz sobie sprawy?

- Oczywiście. - Ogarnęło go dziecinne pragnienie, żeby pochwalić się swoją inteligencją. - Towarzystwo Tyrrella. Defenestracja Ramseya Everetta. Wypadek samochodowy. Will Morpurgo. Cyril Ockleton. Rex Cunningham. Widzisz, dotarłem do wszystkich. Wiem, że Clare była w ciąży. Wiem, że twój brat szantażował Dysarta w sprawie kontraktu z Phormio. Ale nic z tego nie dowodzi, by to Dysart zamordował Clare. Albo zamierzał zabić ciebie.

- Też tak myślałam z początku. - Zdawało się, że niemal ma ochotę się uśmiechnąć. - Poszłam z moimi szalonymi teoriami do doktora Kingdoma; potraktował je z uprzejmą pogardą. Więc wyjechałam na Rodos i próbowałam o nich zapomnieć.

- Ale doktor przyjechał tu za tobą. Czemu?

- Kingdom? Och, po prostu sprawdzić, czy wszystko w porządku. Upewnić

się, że wracam do zdrowia. Skąd...

- A jego druga wizyta parę dni później?

- Jaka druga wizyta? Nie widziałam go od spotkania w Lindos w tamtą niedzielę.

- To niemożliwe. Kingdom był na Rodos w dniu, kiedy zniknęłaś.

- Nie. - Heather zmarszczyła brwi. - Niemożliwe.

- Ależ tak. Wrócił na Rodos. I nie odleciał sam. Z jego notatek wynika... zupełnie jasno... że...

Słowa zamarły mu na ustach, kiedy zrozumiał. Czy kiedykolwiek widział notatki w posiadaniu Kingdoma? Czy widział dane z biura podróży dowodzące jego lotu na Rodos?

- Nie uciekłam z powodu Kingdoma, Harry. To on mnie przekonał, że nie mam się czego obawiać, że moja teoria, jakoby Clare została zamordowana, jest złudzeniem, wywołanym przez chorobę. Zmieniłam zdanie nie dlatego, że przyjechał do Lindos.

- Więc czemu?

- Z powodu czegoś, co wydarzyło się trzy dni później. Pojechałam autobusem do Rodos, pamiętasz?

- W tym dniu, kiedy wynajęłaś samochód?

- Tak. Zobaczyłam w mieście Jacka Corneliusa. On mnie nie widział. I wtedy wiedziałam, że doktor Kingdom się mylił. Mógł istnieć tylko jeden powód, dla którego Cornelius znalazł się na Rodos. Ja. Przyjechał zaaranżować moją śmierć. To miał być kolejny atak terrorystyczny o tragicznych konsekwencjach. Dlatego Dysart zaofiarował mi mieszkanie w swojej willi: żebym stanowiła łatwy cel. Widzisz, robią to razem: on i Cornelius. Zabili Everetta. Omal nie zabili Morpurga. Zamordowali Clare. I teraz chcą zamordować mnie. A ty ich doprowadziłeś na mój ślad.

Dysart zapewnił Harry'ego, że 11 listopada Cornelius brał udział w pogrzebie w Irlandii. I to on dostarczył dowody, że Kingdom poleciał na Rodos tego samego

dnia. Co było nieprawdą. Dysart kłamał cały czas. Dlaczego? Prawdopodobnie sądził, że Kingdom go podejrzewa i Heather ukryła się w Versorelli Institute. To on zatrudnił Zohrę Labrooy, by dodać wiarygodności fałszywym informacjom o zapiskach i wyjazdach Kingdoma. To na jego życzenie Harry pojechał do Genewy, tylko po to, by pomyłka Dysarta wyszła na jaw: Heather tam nie było. Więc gdzie się ukryła? Stary poczciwy Harry wkrótce zadzwonił z Aten z odpowiedzią. Od tamtej pory minęło już ponad dwadzieścia cztery godziny.

- Przepraszam - wymamrotał bezradnie.

- Muszę wyjechać stąd od razu - powiedziała Heather, ignorując próżne przeprosiny. - Bóg wie, co zamierzają; muszę...

Z korytarza dobiegł ich jakiś dźwięk. Harry zobaczył, jak twarz Heather skurczyła się z przerażenia, potem rozpuściła, gdy rozpoznała brzęczenie kluczy.

- Sheila? - zawołała, uśmiechając się z ulgą.

Harry odwrócił się; Sheila stała w pokoju, patrząc na niego ze zdziwieniem.

- Kto to jest? - zapytała surowo.

- Harry Barnett - przedstawiła go Heather. - Nie martw się. Nie musimy się go obawiać.

Spojrzenie Sheili sugerowało, że nie jest o tym przekonana.

- Przecież to przyjaciel Dysarta. Sama mówiłaś.

- Tak, i powiedział Dysartowi, gdzie jestem. Ale...

- Spokojnie - wtrącił Harry. - Nie ma sensu...

- Podałeś Dysartowi ten adres?

Na twarzy Sheili obok zdumienia pojawił się teraz gniew.

- Tak, ale...

- Jak dawno temu? Od jak dawna wie?

To Heather odpowiedziała.

- Dowiedział się wczoraj po południu. Mamy pecha.

- Boże! Wiesz, co to oznacza, Heather?

- Tak, wiem. To znaczy, że musimy się stąd wynieść. Natychmiast.

- Na pewno nie jest aż tak źle - zaprotestował Harry.

Słyszał we własnym głosie proszącą nutę i wiedział, że Heather też ją usłyszała. Ale nie mogła dać mu pewności, której tak pragnął, a on nie był już w stanie naprawić szkody, którą wyrządził.

Sheila utkwiała w Harrym wrogie spojrzenie.

- Skoro nie pracujesz dla Dysarta, to dlaczego mu powiedziałeś, że Heather tu jest?

- Myślałem, że chce jej pomóc. Sądziłem, że to doktor Kingdom stanowi prawdziwe zagrożenie.

- Doktor Kingdom?

- Tak. Zohra Labrooy twierdziła...

- Zohra? - powtórzyła Heather. - Co ona ma z tym wspólnego?

- Przekonała mnie, że Kingdom miał obsesję na twoim punkcie, chciał, żebyś pozostała od niego zależna.

- To absurd.

- Może, ale ja jej wierzyłem. Na miłość boską, sądziłem, że jest twoją przyjaciółką! Co miałem...

- Zohra! - wykrzyknęła Heather. - Oczywiście, jest moją przyjaciółką, Harry, ale jest też emigrantką ze Sri Lanki skazaną na deportację. Pół roku temu przedstawiłam ją Dysartowi; myślałam, że może będzie mógł wyjednać odroczenie wyroku. Opowiadała później, jak się przejął jej losem. Jeśli świadomie wprowadziła cię w błąd, to dlatego, że...

- Inaczej Dysart kazałby ją deportować.

Świadomość, że go zdradzono zamknęła się wokół Harry'ego, gdy kończył zdanie zaczęte przez Heather. Każdy przyjaciel okazywał się fałszywy, każdy sojusznik był zdrajcą. Tych, którym wierzył nie powinien obdarzać zaufaniem. Tym, którym nie dowierzał, powinien ufać. Tych, którym ufał, powinien oskarżać.

- Masz rację - mruknął. - Musimy stąd natychmiast wyjechać. - Nadal jednak nie mógł się zmobilizować, nie czuł przymusu, który powinien czuć. - Nie możemy tu zostać ani chwili dłużej.

- Tylko dokąd pójdziemy? - w głosie Heather brzmiał gorzki wyrzut. - Odciałeś mi jedyną drogę ucieczki, Harry. Dokąd, twoim zdaniem, powinniśmy się teraz udać? Nikt nam nie uwierzy. Nikt nawet nie będzie chciał słuchać. A przede wszystkim nikt nie zechce nas bronić.

Uświadomił sobie, że okazał się największym zdrajcą ze wszystkich. Nikt go nie szantażował. Nikt mu nie groził. Kierowały nim duma i uraza. Zdradził Heather tylko po to, by się zemścić za drobne poniżenie. Niezdolność znalezienia bezpiecznego miejsca, niemożność ucieczki - oto były skutki. Heather mówiła prawdę. Nie mieli dokąd uciec, nie mieli nikogo, do kogo mogliby się zwrócić o pomoc. Ze względu na nich wszystkich byłoby lepiej, gdyby Heather nigdy nie została odnaleziona, tajemnica jej zniknięcia pozostała nie rozwiązana na zawsze. Morderstwo bez trupa, jak to nazywał Miltiades, wydawało się teraz najlepszym rozwiązaniem. W chwili gdy Harry przypomniał sobie to określenie i człowieka, który je wymyślił, znalazł odpowiedź.

- Miltiades - powiedział nagle. - Musimy pojechać do Miltiadesa.

- Kogo?

- To starszy oficer policji w Rodos. Prowadził twoją sprawę. Poznałem go całkiem nieźle. Nawet go polubiłem. Zna Dysarta i twojego brata. Jest inteligentny i nie brak mu wyobraźni. Wysłucha nas bez uprzedzeń i sądzę, że może nam uwierzyć.

- Więc mamy wrócić na Rodos?

- To jedyny człowiek władny nam pomóc, który być może zgodzi się to zrobić. Jedyny potencjalny sojusznik, jakiego znam. Tak, uważam, że powinniśmy wrócić na Rodos.

Heather nie poruszyła się ani nie odezwała. Oblizła nerwowo wargi, wymieniły z Sheilą spojrzenia.

- Nie jestem pewna - zaczęła. - To by mogło...

- Jak mamy ci zaufać? - przerwała Sheila. - Sam przyznałeś, że byłeś informatorem Dysarta.

- Nieświadomie!

- Skąd mamy wiedzieć, że nas nie wciągasz w pułapkę?

Harry przeniósł wzrok z Heather na Sheilę i z powrotem. Nie miał jak udowodnić szczerości swoich zamiarów. Żadnego sposobu przekonania ich, by mu zaufały, nie mówiąc już o powierzeniu mu własnego życia.

- To nie pułapka - powiedział cicho.

- Jak możemy być tego pewne? - spytała Heather.

- Nie możecie.

- No właśnie - wtrąciła Sheila.

- Ale jeśli nie pojedziecie ze mną - ciągnął - co wam pozostaje? Czekać tutaj i patrzeć, co się będzie działo?

- Możemy iść na policję tutaj, w Atenach - powiedziała Sheila.

Heather pokręciła głową.

- Nie uwierzą nam. Nawet przez chwilę. - Spojrzała badawczo na Harry'ego. - Naprawdę myślisz, że Miltiades potraktuje serio całą sprawę?

- Tak. Jestem pewien.

Przez parę chwil w milczeniu biła się z myślami. W końcu podeszła do telefonu i sięgnęła po słuchawkę.

- Gdzie chcesz zadzwonić?

- Do Olympic Airways. Zarezerwuję trzy bilety na najbliższy lot na Rodos.

- Nie! - krzyknął Harry. Przypomniawszy sobie ciągłe pomyłki i anonimowe telefony; być może już teraz śledzą ich czyjeś oczy i uszy. - Nasza jedyna przewaga polega na tym, że nikt się nie domyśla, dokąd się udajemy. I niech tak pozostanie. Nie dzwoń do nikogo. Pojedziemy na lotnisko, kupimy bilety i tam zaczekamy. Tak będzie bezpieczniej. - Obrócił się do Sheili. - Twój samochód stoi przed domem?

- Tak. Od rana.

- W takim razie... - Urwał, ogarnięty nagłym strachem. Jej samochód stał przez cały dzień, zaparkowany usłużnie przed domem, którego adres podał Dy-sartowi. Sabotaż. Pułapki. Zaaranżowane wypadki. Nie ma powodu, dla którego ich lista miałyby się skończyć.

- Co się stało?

Harry z trudem przełknął ślinę.

- Używałaś samochodu, odkąd wróciłaś wczoraj z Shelley College?

- Nie. Rano pojechałam do miasta metrem.

- Boisz się, że w samochodzie jest bomba, prawda, Harry? - zapytała Heather.

- Taka, jakiej użyli do zabicia Clare.

Mówiła bezbarwnym głosem, jej twarz wyglądała jak maska, ale spoza niej przebłyskiwało przerażenie.

- Nie boję się. Po prostu jestem ostrożny.

Mówiąc to wiedział, że kłamie - w równym stopniu ze względu na Heather, co na siebie samego.

- Możemy wziąć taksówkę.

- Zadzwoić po nią? Czy wyjść na ulicę? Iść ulicami nocą? - Harry pokręcił głową. - Nie. - Zebrał się na odwagę. - Dajcie mi kluczyki. Zejdę na dół i zapalę silnik. Dołączycie, kiedy zatrąbię. Nie wcześniej. Nie ma się czego obawiać. Nikt nie wie, który samochód należy do was. Ale na wszelki wypadek...

- Naprawdę sądzisz, że mógł... - zaczęła Sheila.

- Nie wiem - odparł Harry ponuro. - Nic nie wiem. Z wyjątkiem jednego. Zrobię wszystko, żebyście się obie bezpiecznie stąd wydostały.

- Wszystko?

- Tylko tyle mogę wam ofiarować.

Na zewnątrz nic się nie zmieniło. Odos Farnakos nadal była zamożnym, przytulnym zaułkiem pograżonym w ciemnościach. Harry stał pod sosnami,

czekając, aż oczy przyzwyczają mu się do mroku, czując, jak serce mu bije, jak krew pulsuje w skroniach; świadom, że jego wyczulone zmysły chwytają każdy najcichszy dźwięk. Gdzieś niedaleko płakało dziecko, szloch mieszał się dziwnie z dźwiękiem odległej syreny. Parę przecznic dalej szczekał pies. Harry słyszał, jak nad jego głową igły sosen poruszają się lekko na wietrze, jak stukają obcasy kobiety idącej sąsiednią uliczką. Rozsądek podpowiadał, że wszystko wygląda normalnie i bezpiecznie.

Wziął głęboki oddech i ruszył szybko przez ulicę do samochodu. Wyjął z kieszeni latarkę pożyczoną od Sheili i oświetlił po kolei każde okno. Blokady były wciśnięte: dobry znak. Rozejrzał się w obie strony: ani żywej duszy. Podszedł od przodu i zdecydowanie nacisnął maskę: zatrzaśnięta. Położył się na boku na ziemi i oświetlił latarką podwozie. Wszystkie części pokrywała warstwa brudu, jak sobie wymarzył: żadnej zdradliwej kałuży płynu hamulcowego, żadnych śladów dłubania przy częściach. Tak samo z silnikiem. Pierwszy raz, odkąd pamiętał, myślał z zadowoleniem o doświadczeniu, jakie zdobył w Barnchase Motors. Podniósł się z ziemi i wrócił do drzwi od strony kierowcy.

Nie czekając, aż minie odwaga wyjął kluczyki z kieszeni spodni, wsunął do zamka i przekręcił. Przycisk w oknie powędrował do góry. Harry wyjął klucz i sięgnął do klamki. Zatrzymał się w pół ruchu i zmusił rękę, by przestała drżeć. Ku jego zdumieniu usłuchała. Nacisnął klamkę. Zamek szczerknął, drzwi zaskrzyptały jak wrota lochu, kiedy je otwierał. Omiótł światłem wnętrze. Na tylnym siedzeniu leżały zaczytane gazety i jakieś foldery, na desce rozdzielczej pognieciona paczka miętowej gumy do żucia: zwykłe samochodowe śmieci. Sięgnął w głąb, znalazł dźwignię, o której powiedziała mu Sheila, i przesunął siedzenie jak najdalej do przodu. Potem wdrapał się do środka, pochylił nad podłogą i poświecił latarką pod każdym z przednich siedzeń. Znowu nic. Wyszedł z samochodu i zgasił latarkę.

Powietrze było zimne, a mimo to się pocił. Uchwyt latarki zwilgotniał. Na górnej wardze czuł smak soli. To śmieszne, pomyślał, czyste wariactwo, nie ma

się czego bać. Uśmiechnął się do siebie. „Nie mogę już zawrócić, prawda?” - wyszeptał w noc.

Wsunął fotel kierowcy na miejsce i wolno na niego opadł; ręce mu drżały od siły, z jaką ścisnął ramę drzwi. Chętnie by zapalił. Albo się napił. Zastanawiał się, czy Heather patrzy, czy też nie może tego znieść. Puścił drzwi, poprawił się na siedzeniu, potem poszukał zapłonu, znalazł go i wsunął kluczyk. Parę uspokajających szczęknięć metalu o metal, to wszystko. Wycięcia i rowki prostego układu mechanicznego, czemu cokolwiek miałyby pójść źle? Może wszystko jest w porządku. Może to wszystko tylko groteskowe nieporozumienie. Zna Dysarta od ponad dwudziestu lat. Zawdzięcza mu tyle, że nigdy nie zdoła się odwdziżyć. Jak to możliwe, by najbliższy mu człowiek, którego mógłby nazywać swoim przyjacielem, okazał się wielokrotnym mordercą?

Przekręcił kluczyk, poczuł, że może swobodnie poruszać kierownicą, i przesunął stopę na pedał gazu. Jeszcze tylko jeden ruch. Jeden prosty ruch i będzie po wszystkim. Albo po nim. Oczywiście, ciągle jeszcze może się wycofać. Ciągle jeszcze może wysiąść i sobie pójść, umyć ręce, zostawić Heather i Sheilę, tak jak one zostawiły jego. Czy naprawdę może? Czy naprawdę ciągle jeszcze ma jakiś wybór? Okno w Oksfordzie. Wiejska droga niedaleko Burford. Pomost u ujścia rzeki w Hampshire. Jego następny ruch może stanowić kolejne ogniwo w łańcuchu albo nie, ale tak czy inaczej jest nieunikniony. Harry stał się więźniem tej chwili.

Przekręcił kluczyk. Silnik zakrztusił się i umilkł. Przekręcił jeszcze raz, bardziej zdecydowanie. Silnik zapalił. Harry nacisnął pedał gazu; silnik ryknął, nie wiadomo czemu. Ale to nie miało znaczenia. Czuł tylko jedno: ulgę. Ogarnęło go idiotyczne pragnienie, żeby zaśpiewać. Wrzucił bieg, podjechał do chodnika po drugiej stronie, naciskając hamulce kilka razy, zanim się zatrzymał na dobre. Uśmiechnął się, chociaż nie potrafiłby wyjaśnić dlaczego. Chyba przez dziecinną dumę ze swojego wyczynu, z zachwyty, że nie wszystkie jego sądy okazały się błędne. Nacisnął klakson, słysząc w nim niemal tryumfalny ton.

LVI

- Czasami chciałam ci zaufać - mówiła Heather. - Ale Dysart był twoim najdawniejszym i najlepszym przyjacielem. Sam tak twierdziłeś. Więc jak mogłam ci wyjawić, co zamierzam, Harry? Jak mogłam ci się zwierzyć?

Nie odpowiedział. Patrzył przed siebie w ciemności panujące za szybą samochodu, przepatrując je po raz setny. Zaparkowali na środku placu obok lotniska w bezpiecznej odległości od innych samochodów, z widokiem na wszystkie strony. Z całą cierpliwością, na jaką ich było stać, czekali aż noc, wlokąca się leniwie, wreszcie się skończy. Samolot do Rodos odlatywał dopiero o 5.40. Do tego czasu nie mieli nic innego do roboty, jak tylko czekać. Sheila zasnęła na tylnym siedzeniu, ale Harry i Heather nie mieli nadziei na sen.

- Nigdy cię serio nie podejrzewałam - ciągnęła Heather. - Wydawałeś się niezaangażowanym obserwatorem, pierwszym, jakiego spotkałam, odkąd wplątałam się w to wszystko.

- I dlatego wybrałaś mnie na świadka swojego zniknięcia?

- Tak. Nie chciałam cię narazić na przykrości, naprawdę. Powinieneś był mi powiedzieć o historii z tą Dunką. Znalazłabym kogoś innego. Zresztą nie sądzę, by moja rodzina rzeczywiście wierzyła, że mnie zamordowałeś. Chociaż właściwie nie znam ich przekonań. Mam wrażenie, jakby byli zupełnie obcy.

- Z powodu Clare?

- Z powodu tego, co zrobili, by mnie przekonać, że wszystko sobie wyobraziłam, tak. To właśnie był pierwszy krok do mojego załamania: mur, jaki wzniesli wokół wspomnień o niej. Kiedy odkryłam, o co naprawdę chodziło w tym wszystkim... - Milczała przez jakiś czas, potem mówiła dalej: - Kiedy się dowiedziałam, że Roy i mój ojciec użyli swoich wpływów dla zdobycia tego kontraktu z Phormio, czułam nie tyle zdumienie, co zadowolenie. Widzisz, mogłam się teraz na nich odegrać; udowodnić, że nie jestem bezmyślnym dzieckiem, za

jakie mnie mieli. Tymczasem jaka była ich reakcja? Wstyd? Skrucza? Ależ skąd. Jedyne, co ich interesowało, to w jaki sposób zamknąć mi usta. Nie obchodziło ich, jak ta wiedza może na mnie wpłynąć ani w jakim świetle ich zobaczę. Chodziło im wyłącznie o zmuszenie mnie do milczenia.

- To twoja zasługa, że im się nie udało.

- Ależ udało im się. Strach przed powrotem do szpitala uciszył mnie skuteczniej niż knebel. Tyle tylko że nie mogłam przestać słyszeć. Nadal zadawałam pytania i wysłuchiwałam odpowiedzi.

- Zaczęłaś od Molly Diamond?

- Tak. Zawsze na wpół wierzyłam, że Clare padła ofiarą spisku. Zdaniem doktora Kingdoma próbowałam w ten sposób uporać się z bólem; nadawałam mu sens, którego brakuje cierpieniu i pustce, jakie zostawia po sobie czyjaś przypadkowa śmierć. Bóg wie, próbowałam w to wierzyć. Ale po rozmowie z panią Diamond już nie mogłam. Ciągłe pojawiały się nowe wskazówki, różne wątki kusiły, by za nimi podążać. Zaczęłam sobie uświadamiać skalę tego, co próbuje ukryć Alan Dysart.

- Myślisz, że zamordował Ramseya Everetta?

- Jestem pewna. I prawie zabił Willa Morpurga. Morpurgo zobaczył, co się stało, a w każdym razie dość, by się domyślić, że śmierć Everetta nie zdarzyła się przez przypadek. Z początku nic nie mówił, może z poczucia lojalności wobec innego członka Towarzystwa Tyrrella. Ale nie mógł milczeć. Sumienie mu nie pozwalało. Prawdopodobnie zdecydował się wszystko wyjawić podczas przesłuchania. Może ostrzegł Dysarta, że to zrobi. Może Dysart sam się domyślił. Tak czy inaczej, wyjazd do Burford został zaaranżowany wyłącznie po to, by go powstrzymać. Przez Dysarta i Jacka Corneliusa. Widzisz, już wtedy byli współnikami. Cornelius rzucił pomysł wyprawy w dogodnym momencie, kiedy samochód Dysarta się zepsuł, i Dysart zgodził się zostać. Tylko czy naprawdę nie pojechał z nimi? Sądzę, że nie. Myślę, że udał się do Burford i uszkodził samochód Morpurga, kiedy inni poszli do pubu. Potem Cornelius odpadł w drodze

powrotnej i pułapka została zastawiona. Wiedzieli, że Morpurgo nieostrożnie prowadzi. A wtedy był w dodatku pijany. Mogli być pewni, że gdzieś w drodze do Oksfordu napyta sobie biedy.

- A co z Cunninghamem i Ockletonem?

- To właśnie najbardziej przerażające w całej sprawie. Uznano ich po prostu za zbędnych. Tyle à propos lojalności. Oczywiście nie udało się do końca, prawda? Zamiast pędzić na złamanie karku trasą E40 Morpurgo źle skręcił, rozbił się na wiejskiej szosie i przeżył. Ale nie mógł już nic wypaplać. A to wystarczało Dysartowi w zupełności.

- Dlaczego Dysart miałby w to wciągać Corneliusa? Czemu Cornelius zgodził się pomóc?

- Długi czas nie mogłam tego zrozumieć. Nic, czego się dowiedziałam o Jacku Corneliusie, nie miało sensu. A już najmniej pomyśl, by on i Clare byli kochankami. Nie chciało mi się w to wierzyć. Clare nigdy o nim nie wspomniała. I nikt, z kim rozmawiałam, nie uważał ich za coś więcej niż przypadkowych znajomych. A przecież Cunningham widział u niej fotografię Corneliusa. „Fotka, jaką mogłaby nosić przy sobie kochanka”, jak to określił. Odwiedziny Clare u wielebnego Waghorne'a zdawały się ostatecznym potwierdzeniem. A jednak... - Kolejna pauza. - Znalazłam odpowiedź podczas weekendu spędzonego w Strete Barton. Sposób, w jaki Virginia wyrażała się o Dysarcie, to, że mówiła o nim ciągle po nazwisku i nie mogła się pogodzić, że przejął farmę... To nie była po prostu nienawiść; ta dałaby się zrozumieć. Virginia nim pogardzała, Harry, czuła do niego bezbrzeżną pogardę. Czemu? To właśnie mnie zastanowiło. Co takiego zrobił Dysart, by sobie na nią zasłużyć? I dlaczego nie mają dzieci? Po Dysarcie należało oczekiwać, że będzie pragnął syna i dziedzica; to ten typ człowieka. W każdym razie taki się wydawał. Odpowiedź z początku stanowiła zaledwie domysł, ale jestem pewna, że się nie mylę. Wyjaśnia, dlaczego Cornelius gotów był nadstawić karku, by pomóc Dysartowi wymknąć się sprawiedliwości. I czemu Clare powiedziała Waghorne'owi, że ojciec dziecka jest homoseksualistą. Nie

dlatego, że był nim Cornelius, ale dlatego, że - jak twierdziła na początku - był nim Dysart.

- Chcesz powiedzieć...

- Pewnych cech nigdy nie lubiłam u Clare; cech, o których wolałam zapomnieć po jej stracie. Jedną z nich była bezwzględność; zimny, obojętny, dalekowzroczny sposób planowania, jak osiągnąć cel w życiu, a potem wypełnianie tego planu do końca, bez liczenia się z tym, do czego trzeba się posunąć po drodze, kogo zranić. Tylko że tym razem to Clare została zraniona. Prawdopodobnie kalkulowała, że jeśli uda się jej zmusić Dysarta, by się z nią ożenił, to uzyska dostęp do pieniędzy i wpływów, których potrzebowała dla zrobienia własnej kariery w polityce. Musiała jednak źle ocenić charakter Virginii zakładając, że ta nie zniesie oskarżenia o ojcostwo wytoczonego jej mężowi. Virginia powiedziała Clare o homoseksualizmie Dysarta. Pewnie zrobiła to z wielką przyjemnością. Stąd odwiedziny Clare u wielebnego Waghorne'a. Rzeczywiście pojechała wcześniej do Hurstdown Abbey na spotkanie z Cornelusem, ale nie dlatego, że był ojcem jej dziecka. Chciała potwierdzenia, że on i Dysart są kochankami.

Teraz, gdy Heather to powiedziała, Harry mógł się tylko dziwić, czemu sam nie domyślił się tego już dawno. Drobne ślady współpracy między nimi; oznaki, że łączy ich coś więcej niż przyjaźń: wszystko to wskazywało kierunek, który obrały myśli Heather. Miała rację. Tak brzmiała odpowiedź.

- Myślisz, że byli kochankami od czasów studenckich?

- Tak. To się musiało zacząć w Breakspear. Miłość utrzymywana w sekrecie przed wszystkimi. Trwała mimo długich rozstań, mimo różnych kolei losu. Przez nią zdawali się innym zimni, pozbawieni uczuć. To ona gwarantowała, że będą sobie pomagać w każdym niebezpieczeństwie. A ujawnienie łączących ich więzów stanowiło takie właśnie niebezpieczeństwo. Oznaczałoby złamanie kariery Dysartowi. Tak brzmiała odpowiedź, której Cunningham szukał od dwudziestu lat: kto kogo zdradził tamtego dnia w Burford. Cunningham miał rację, kiedy nazywał to zdjęcie fotką, jaką mogłaby nosić przy sobie kochanka. Mylił się

tylko, sądząc, że należało do Clare. Pewnie znalazła je wśród rzeczy Dysarta; w portfelu, w kieszeni marynarki, w jakimś sekretnym schowku. Ukradła je i chciała wykorzystać jako dowód związku łączącego go z Corneliussem. Jednak gdy tylko jej zamiary stały się dla nich jasne, jej los został przypieczętowany. Upozorowanie morderstwa na atak terrorystyczny stanowiło mistrzowskie posunięcie Dysarta. Przeprowadził to znakomicie. Wybuch zdaniem policji miał wszystkie cechy zamachów IRA. Nawet zadzwonili później i przyznali się do niego. Chyba że zrobił to ktoś inny. Kto zna lepiej hasła, używane przez rzeczników IRA, niż minister? Na Dysarta i Corneliusa nie padł nawet cień podejrzenia.

- Ale ty ich podejrzewałaś.

- Niezupełnie. Jak długo moje oskarżenia dawało się zlekceważyć jako objawy choroby psychicznej, nie stanowiłam zagrożenia. Poza tym ja naprawdę wierzyłam, że wyobraziłam sobie to wszystko. Doktor Kingdom mnie o tym przekonał. I Dysart. Taki miły, taki spokojny, w niczym nie przypominał mordercy. Przyznał, że Clare go szantażowała, ale oszukał mnie co do powodów, które nią kierowały, i przekonywał, że zginęła przypadkiem. Starłam się mu uwierzyć. Przyjęłam zaproszenie, by zamieszkać w jego willi. Przyjechałam na Rodos. Spotkałam ciebie. Każdego dnia powtarzałam sobie: zapomnij o wszystkim, ciesz się życiem, odpręż się, wracaj do zdrowia, udowodnij, że wszystko z tobą w porządku. Ty też mi pomogłeś, Harry. Nic o tym wszystkim nie wiedziałeś. Byłeś dla mnie kamieniem probierczym: miły, dający oparcie, łatwowierny.

Niewiele więcej niż stary, niegodny szacunku labrador, pomyślał Harry, ale nie powiedział tego na głos. To mu nie wystarczy. Nie do takiej roli aspirował. Ale tylko tyle mu proponowano. Czuł wdzięczność, że mrok panujący w samochodzie ukrył jego rozczarowanie.

- Kiedy doktor Kingdom przyjechał się ze mną zobaczyć nabrał przekonania, że nie wierzę już, by w śmierci Clare było coś podejrzanego. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że to otoczenie, a nie logika czy namysł wpłynęły na mój sposób myślenia. Na Rodos wszystko zdawało się odległe w czasie i przestrzeni, nie-

ważne, irracjonalne; po prostu niewarte, by się tym przejmować.

- Ale to się zmieniło, gdy zobaczyłaś Corneliusa?

- Tak. Zupełnie. Siedział na ławce koło poczty i czytał gazetę. Serce prawie przestało mi bić, kiedy go poznałam. Aż do tej pory byłam w stanie uwierzyć, że moje teorie, choć wiarygodne, nie mają podstaw; po prostu nie mogą być prawdziwe. Ale dzień wcześniej dzwonił Dysart, uprzedzając, że przyjeżdża na Rodos w sprawach służbowych i będzie w Lindos w przyszły poniedziałek. Jeśli wziąć to pod uwagę, spotkanie Jacka Corneliusa na wyspie mogło oznaczać jedno: planowali zabicie mnie. Miałam tylko jedną przewagę, jedną nadzieję: nie wiedzieli, że znam ich zamiary. Zakładając, że użyją tego samego scenariusza, co w wypadku Clare - fałszywego zamachu terrorystycznego na życie Dysarta, w którym ginie niewinna ofiara - został mi czas do poniedziałku, by zaplanować ucieczkę. Ale zwykła ucieczka nie miała sensu. Odsunęłaby tylko dzień ostatecznej rozgrywki. Nie wyjaśnione zniknięcie wydawało się jedynym rozwiązaniem. Podczas tygodnia spędzonego u Sheili po drodze na Rodos zwierzyłam się jej ze wszystkiego; zaofiarowała mi schronienie u siebie, jeśli będzie trzeba. Widzisz, tylko ona traktowała poważnie moje podejrzenia. A Dysart nawet nie wiedział o jej istnieniu, więc istniała spora szansa, że nigdy mnie nie wytropi. Skontaktowałam się z nią; od razu zgodziła się mi pomóc. Jest moją przyjaciółką, Harry, bardzo bliską przyjaciółką.

- Dlaczego zdecydowałaś się na Profitis Ilias?

- Byłam tam już wcześniej. Całkiem nieźle znałam okolicę. Szczyt znajduje się stosunkowo blisko lotniska, prowadzi tam z niego kilka dróg do wyboru. I ma specyficzną, dość niepokojącą atmosferę. Na pewno sam to poczułeś.

- Tak. Poczułem.

- Miałam nadzieję, że wzmocni ona podejrzenia, iż zostałam zamordowana albo uprowadzona. Z tego samego powodu zostawiłam na szczycie szal.

- Kiedy cię szukałem słyszałem gwizd. To była Sheila?

- Tak. Sygnał, żebym ją łatwiej znalazła. Czekala w wynajętym samochodzie

na drodze po drugiej stronie szczytu. Dotarła tam okrężną trasą przez Embonę, a na lotnisko pojechałyśmy inną pośrednią drogą, przez Apollonę, żeby mieć pewność, iż nikt nie widział samochodu jadącego w obie strony. Mimo to przyjechałyśmy o wiele za wcześnie na lot o szóstej do Aten. Ponieważ to linia krajowa, nie musiałam pokazywać paszportu ani podawać nazwiska.

- Więc opuściłaś wyspę, jeszcze zanim wszcząłem alarm.

- Przykro mi, Harry, naprawdę. To było nie w porządku stawiać cię w takiej sytuacji. Tylko co innego mogłam zrobić? Nie mogłam ci zdradzić swoich planów. Nie mogłam dać Dysartowi najmniejszego punktu zaczepienia.

- Ale zostawiłaś ślad.

- Zdjęcia? Tak, to głupie z mojej strony. Upamiętniały miejsca, które odwiedziłam. Symbolizowały dla mnie wszystko, co odkryłam. W pośpiechu przed wyjazdem zapomniałam o nich. Później uznałam je za stracone. Tymczasem znajdowały się już w twoich rękach.

- A pocztówki, które zostawiłaś w samochodzie? Sylen i Afrodyta?

- O co ci chodzi? Po prostu wzięłam pierwsze lepsze ze stojaka. Ledwie na nie spojrzałam. Miały utrwalić przekonanie, że zamierzałam wrócić do samochodu.

Harry sam nie wiedział: śmiać się czy płakać? Pocztówki nie niosły żadnego przesłania. Nie kryły żadnego sekretu. Stanowiły jedynie drobne elementy szarady, w której wystąpił w roli poczciwego głupca. Teraz, gdy nadzieja, że odegrał w życiu Heather jakąś znaczniejszą rolę, legła ostatecznie w gruzach, ledwie miał siły, by słuchać, co jeszcze dziewczyna ma do powiedzenia.

- Wiesz, co najbardziej mnie przeraża, Harry? Nie myśl, że on mnie zabije przy pierwszej okazji, ale to, że pozostałe zabójstwa rozciągają się na lata. Clare zabili stosunkowo niedawno. Przed nią był Will Morpurgo. Nie został zabity, wiem, ale równie dobrze mógłby. Przedtem Ramsey Everett. Jak myślisz, czym sprowokował Dysarta? Zdaniem Ockletona nie pasował do Towarzystwa Tyrrella; kryminolog-amator wygrzebujący dla rozrywki wstydlive sekrety innych studentów. Jaki błąd popełnił? Czy poznał tajemnicę Dysarta? A jeśli tak, co to

było? Związek łączący go z Cornelusem? Czy coś innego?

Na usta Harry'ego wypłynął ironiczny uśmiezek, niewidoczny w ciemności. Więc Heather nie zdawała sobie sprawy, że stawkę stanowiła tożsamość Dysarta. Pod wpływem wspomnień Chipchase'a nabrał przekonania, iż Heather знаła tajemnicę życia Dysarta pogrzebaną na cmentarzu w Birmingham. A jednak nie. Mimo wszystkich prób dziewczyna znajdowała się dalej od prawdy niż on sam.

- Często się zastanawiałam, jaki umysł musi mieć człowiek, który potrafi zaplanować i popełnić takie morderstwa: zimny, wyrachowany, bezwzględny, pomysłowy, pozbawiony litości i sumienia, wolny od zwątpienia i niepewności. Ale czy taki naprawdę jest Dysart? Czy tak wygląda jego wnętrze? Znasz go lepiej niż ja, Harry. Czy to prawdziwy i pełny obraz jego charakteru, jak myślisz?

- Nie wiem. - Harry słyszał własny głos jakby z pewnej odległości, jak gdyby nie należał już do niego. - Wszystko, co mówisz o Dysarcie, wydaje mi się prawdą, ale jeśli o mnie chodzi, równie dobrze mogłabyś opowiadać o kimś innym. Kimś, kogo nie znam. Kimś, z kim się nigdy nie zetknąłem.

Upłynęło dziesięć minut. Samochód nadal stał na swoim miejscu w ciemnościach, ale Harry nie siedział już w środku. Mamrocząc jakieś banały o konieczności rozprostowania nóg i odetchnięciu świeżym powietrzem zostawił Heather jej własnym rozmyślaniom i siedział teraz trzydzieści metrów od wozu na niskim murku, popijając whisky, którą kupił wcześniej w sklepie na lotnisku. Obiecał Heather, że nie odejdzie daleko i nie spuści samochodu z oka, więc nie złamał danego słowa. Gdyby Heather uświadamiała sobie, jak bardzo osłabło jego zaufanie we własne siły, to jej wiara w niego zostałaby zachwiana.

Ramsey Everett, Will Morpurgo, Clare Mallender. Powtarzał w pamięci nazwiska niby niezrozumiałą mantrę. Myślał o Alanie Dysarcie: wiecznie młodym, złotowłosym, uśmiechniętym we wspomnieniach. Myślał o wszystkich przysługach, które oddał mu ten człowiek; człowiek, o którym miał teraz myśleć jako o mordercy. Myśl nadal wydawała się absurdalna, nieprawdopodobna. To nie-

możliwe. To się nie mogło zdarzyć. A jednak, a jednak. Z wyjątkiem Morpurga wszyscy zginęli. Nie ulegało wątpliwości. A przecież to jeszcze nie wszyscy. Istniał jeszcze jeden człowiek, o którym Heather nie wiedziała: prawdziwy Alan Dysart. Ten, którego grób widział Barry Chipchase.

Pociągnął ostatni łyk z butelki i wsunął ją z powrotem do kieszeni. Cokolwiek go czeka nie może sobie pozwolić na pijaństwo, bez względu na to jak kusząca wydaje się obietnica zapomnienia. Za parę godzin będą na Rodos. Mają coś w rodzaju schronienia. Ale co potem? Nawet jeśli Miltiades potraktuje ich opowieść poważnie i zgodzi się chronić Heather, co ma zrobić on sam? Zostać na Rodos? Wrócić do Anglii i stawić czoło Dysartowi? Nie wiedział. Choć zastanawiał się długo i głęboko, nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

Westchnął i potarł oczy. Przypomniała mu się tawerna, w której jedli z Heather obiad przed wyruszeniem na Profitis Ilias. To był chyba ostatni raz, kiedy czuł się szczęśliwy. Od tamtej pory wątpliwości i podejrzenia przełamały wszelkie bariery, które wznosił, by odizolować się od świata. Wątpliwości, podejrzenia i dufne przekonanie, że odnajdzie Heather i w ten sposób oczyści się z oskarżeń. No cóż, zrobił to. I teraz tego żałował.

Zadrzał. Zimno było siedzieć samotnie w ciemności, od morza ciągnęła chłodna bryza. A jednak nie chciało mu się wracać do samochodu. Nie miał nic do powiedzenia Heather i, prawdę mówiąc, ona jemu też nie miała nic do powiedzenia. Lęk i potrzeba związały ich ze sobą. Co do przyjaźni i lojalności, tylko je sobie wyobraził. Sięgnął do kieszeni marynarki po papierosy, które kupił razem z whisky: Karelia Sertika, oczywiście. Ustami wyjął jednego z paczki i zaśmiał się ponuro. Heather mogła na nim polegać. Nawet jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy, mogła na nim polegać. Zrobi wszystko, co w jego mocy. Zrobi to, żeby jej dopiec. Klepnął się po kieszeniach szukając zapalek, znalazł je i potrząsnął pudełkiem.

Nagle tuż przy jego twarzy pojawił się ogień. Nie płomień zapalki - pudełko nadal trzymał w dłoni. Żółtawoniebieski płomień zapalniczki. Już kiedy się od-

wracał uświadomił sobie, że ktoś stoi tuż za jego plecami, pochylony nad jego ramieniem. Ktoś wysoki, w ciemnym ubraniu, z zapalniczką w wyciągniętej ręce.

- Ognia, Harry?

Chuda, ukryta w cieniu twarz. Spoglądał w dół niby drapieżny ptak wahający się przez moment, zanim spadnie na ofiarę.

- Mogę ci mówić Harry, prawda?

To był Jack Cornelius. W ślad za nazwiskiem nadeszła fala strachu narastająca w upiornym tempie, pochłaniająca każdą myśl.

LVII

Cornelius zgasił zapalniczkę. Opierając się o ramię Harry'ego przestąpił murk i usiadł obok.

- Byłbym wdzięczny - powiedział - gdybyś się nie szarpał ani nie krzyczał. - Mówił łagodnie, ale w jego głosie krył się bezwzględny rozkaz. - Heather wytrzyma bez ciebie jeszcze przez chwilę.

Harry z trudem przełknął ślinę. Przeszło mu przez myśl, by oznajmić, że Heather oczekuje go lada moment, że otrzymała instrukcje, by odjechać, jeśli Harry zaraz nie wróci. Ale zachowanie Corneliusa przekonywało, iż kłamstwa nie mają sensu. Tak samo jak twardy uścisk na ramieniu Harry'ego świadczył, że wszelkie próby ucieczki są bezcelowe.

- Może się zastanawiałeś, od jak dawna tu jestem. Odpowiedź brzmi: tak długo, jak wy. Jechałem za wami z Iraklio, po tym jak miałem okazję obserwować twoje nieco komiczne środki ostrożności na wypadek podłożenia bomby. Byłem tam już wtedy, gdy przyjechałeś rozgorączkowany swoją misją ratowniczą. Czekałem na ciebie, Harry. I nie zawiodłem się.

Harry czuł się niezdolny przemówić czy poruszyć. Dłoń na jego ramieniu, drwiący ton w głosie Corneliusa, pamięć tego, co spotkało Clare Mallender i innych, trzymały go w paraliżującym uścisku.

- Nie mam dużo czasu. Musisz mi wybaczyć, że daruję sobie wstępy. Jak wiele powiedziała ci Heather, jak wiele sam wywnioskowałeś, o mnie i Alanie?

Harry zmusił się do sformułowania odpowiedzi.

- Ona myśli... myślę... że byliście... jesteście...

- Co za nieśmiałość, jaka pruderia. Pozwól, niech ci oszczędzę kłopotów z opisaniem naszego związku. Długo trzymaliśmy go w tajemnicy, więc trudno znaleźć właściwe słowa. Wystarczy powiedzieć, że Alan znaczy dla mnie więcej, niż ktokolwiek inny na świecie. Byłem gotów na bardzo wiele, by go chronić.

- Nawet popełnić morderstwo?

- Tak. Nawet to. Nie będę przepraszał za rzecz, której nie sposób wybaczyć, pozwól tylko, że zapytam: czy kiedykolwiek kogoś kochałeś? Nie sądzę. Pewnie nigdy nie poznałeś, jak to jest chcieć umrzeć za tego, kogo się kocha. Stąd już tylko mały krok do pragnienia, by również dla tego kogoś zabijać. Bardzo mały krok. I wyznaję, że go zrobiłem. Wiesz, do jakich wydarzeń się odwołuję. Wiesz, ale nie rozumiesz ich do końca. Mam rację, prawda? Chciałbym, abyś to zrozumiał, Harry. Naprawdę bym chciał.

Jak długo Cornelius mówił istniała szansa na ratunek albo przynajmniej odroczenie wyroku. Harry uchwycił się tej nadziei.

- Więc może wyjaśniłbyś mi okoliczności? - zapytał najspokojniej, jak potrafił.

- Och, mam taki zamiar, Harry, mam taki zamiar. Od czego zaczniemy? Od Oksfordu, naturalnie. Breakspear College, gdzie się spotkaliśmy. Nasze zbawienie i nasza klęska. Przyjechałem do Oksfordu jako niedoszły mnich, którego natura przeszkodziła powołaniu. Alan był młodym człowiekiem; jego bogactwu materialnemu dorównywało jedynie ubóstwo emocjonalne. Przez jakiś czas próbowaliśmy się opierać wzajemnej fascynacji, ale nie trwało to długo. I gdy tylko przestaliśmy z nią walczyć, uświadomiliśmy sobie, jak doskonale się dopełniamy. Jednak od początku postanowiliśmy utrzymywać wszystko w najgłębszej tajemnicy. Chociaż mieszkaliśmy w jednym pokoju i spędzaliśmy wiele

czasu w swoim towarzystwie, nikt nie podejrzewał, że jesteśmy kochankami. Ściśle rzecz biorąc, nasz związek był nielegalny, przynajmniej dopóki Alan nie skończył dwudziestu jeden lat, ale nie to stanowiło przyczynę naszej skrytości. Powód stanowiły ambicje Alana, żeby zostać oficerem marynarki, a następnie politykiem. Gdyby się dowiedziano, że jest homoseksualistą zamknęłoby mu to drogę do kariery. Przyznaję, kiedy kończyliśmy studia w Oksfordzie obawiałem się rozstania. Podejrzewałem, że Alan mnie opuści, spróbuje się wyprzeć tego, co do mnie czuje. Szukałem jakiegoś sposobu, by go do siebie przywiązać, nieodwołalnie połączyć nas obu, tak aby przyszłość, jakkolwiek miała się potoczyć, nas nie rozdzieliła. To chyba dlatego zgodziłem się mu pomóc, kiedy mi powiedział, że zabił Ramseya Everetta.

- Dlaczego to zrobił?

- Dlaczego? Bo Ramsey Everett był podłym, pazernym indywiduum. Bo zasługiwał na śmierć. Zazdrościł Alanowi popularności w Towarzystwie Tyrrella i bogactwa. Drażył przeszłość Alana niczym kret i próbował go szantażować tym, co odkrył. Dla pieniędzy. Dla nędznej garści szmalu. Alan odmówił. Everett wyznaczył nieprzekraczalny termin: kolacja w wigilię Dnia Świętego Jerzego. Podczas gdy my wszyscy jedliśmy i piliśmy w jednym pokoju, Everett w drugim otrzymał swoją odpowiedź. Sprzeczka przy otwartym oknie, walka, cios, upadek: jeśli uznać to za morderstwo, nie potrafiłbym nikogo za nie winić, a z całą pewnością nie człowieka, którego kochałem. Niestety, Will Morpurgo widział całe zdarzenie. I jego zdaniem, to było morderstwo. Groził, że na przesłuchaniu wyda Alana. Alan błagał mnie o pomoc. Zgodziliśmy się, że jeśli Will zostanie odpowiednio nastraszone, to będzie trzymał język za zębami. Stąd wyprawa do Burford. Uszkodzenie jego samochodu miało go jedynie przerazić, nic więcej. Alan zamierzał mu uświadomić, że jeśli nadal będzie się upierał przy swoim, zdarzy mu się poważniejszy wypadek. Jak wiesz, sprawy potoczyły się inaczej. Biedny Will. Chociaż teraz chyba jest zadowolony ze swego losu. Co można powiedzieć o niewielu ludziach.

- Jeśli to ma usprawiedliwić...

- Nie! Nie usprawiedliwić. Wyjaśnić. Szantażysta został zabity. Uczciwy głupiec okaleczony. Czuję, że moje sumienie zniesie ten ciężar. Nadal jestem o tym przekonany. To samo dotyczy Clare Malleder. Była taką samą szantażystką jak Ramsey Everett. To, co zamierzała ujawnić, stanowiło o wiele poważniejsze zagrożenie, choć przyznaję, nie zdawała sobie sprawy z wagi faktów, które odkryła.

- Przyłożyłeś rękę do jej zamordowania?

- Przymknąłem na nie oczy. Umożliwiłem je. Więc tak, byłem jego współnikiem. Szczerze mówiąc nie miałem wielkiego wyboru. Jej życie albo moje.

- Nieprawda. Chodziło tylko o twoją reputację...

- O więcej. Znacznie więcej. Czas, byś się dowiedział, jak wiele. Od studiów minęło dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat, Harry, w których czasie w oczach świata drogi Alana i moje się rozeszły. A przecież pozostaliśmy sobie wierni, wierni choćby tylko naszej miłości. Alan jest bohaterem narodowym tego kraju, ministrem w jego rządzie, wyrazicielem wszystkiego, co ten rząd czyni i w co wierzy. A ja? Kim ja jestem? Nauczycielem w średnim wieku? Ale i kimś więcej, Harry, kimś więcej. Jestem patriotą. Irlandzkim patriotą.

- Więc?

- Werbuję, przekazuję informacje, zbieram wiadomości, kształtuję młode umysły, wzmacniam poczucie jedności Irlandczyków, biorę udział w walce o wyzwolenie mojego kraju spod okupacji brytyjskiej. Sądzisz, że IRA istnieje tylko dzięki obłąkanej żądzy krwi? Wyobrażasz sobie, że trwała i rozwijała się przez te wszystkie lata bez pomocy wysoko postawionych i wykształconych sympatyków? Każdego roku w Hurstdown mam do czynienia z dziesiątkami młodych katolików irlandzkich. Obserwuję pilnie tych, którzy zostali obdarzeni wyobraźnią i zdolnościami, nadzoruję ich rozwój intelektualny i garstce wybranych, zanim opuszczą mury szkoły, wyjaśniam, w jaki sposób mogą udzielić praktycznej pomocy tym, którzy walczą i umierają w ich sprawie. Byłbyś zdzi-

wiony, gdybyś się dowiedział, jak wielu z nich pomaga nam w dalszym ciągu, mimo różnych dróg kariery i różnych zawodów. Niektórzy są bogaci, inni zdolni, jeszcze inni wpływowi. Wszyscy odgrywają swoje role. I wszyscy robią tak na moje polecenie.

W głosie Corneliusa brzmiała duma, poczucie ważności tajemnego zadania, jakie wypełniał. Harry czuł tylko bezbrzeżne przerażenie. Uparcie powracało pytanie: dlaczego Cornelius zdecydował się zdradzić tak wiele?

- Czy... czy Alan o tym wie?

- Oczywiście. Jakże mogłoby być inaczej? Wiedział, zanim przyjąłem posadę w Hurstdown. Można nawet powiedzieć, że wiedział o tym od zawsze, to znaczy znał moje przekonania w sprawach dotyczących Irlandii.

- Ale... ale przecież Alan jest ministrem w...

- W brytyjskim rządzie. No właśnie, Harry, no właśnie. Stoimy po przeciwnych stronach barykady. Jesteśmy winni lojalność dwóm różnym, zwalczającym się tradycjom. A równocześnie przyrzekliśmy wierność sobie nawzajem. Prywatnie Alan zgadza się, że Brytyjczycy nie mają żadnych praw do Irlandii. Nie ma miejsca, którego by nie splamili krwią Irlandczyków, ani prawa, którego by nie ukradli z naszych rąk. Ale publicznie musi wyznawać inną wersję historii. Nie będę o tym z tobą dyskutował. Nie będę robił wykładu ani przekonywał cię do moich racji. Podejrzewam, że jak większość twoich rodaków wiesz o Irlandii tyle, co o Madagaskarze czy o Marsie. Dajmy więc spokój. Ważne jest co innego. Zdrada miłości do Alana to jedna z niewielu rzeczy, jakich nie zrobiłbym dla mojego kraju. Nigdy nie próbowałem wydobyć z niego żadnych informacji. Nigdy nie starałem się wykorzystać naszej znajomości na korzyść organizacji, której służę tak wytrwale innymi sposobami. Niestety, moi przyjaciele-patrioci nie zrozumieliby moich motywów. Uznaliby moje postępowanie za zdradę. Doszliby do wniosku, że skoro ja nie skaptowałem Alana, to on musiał mnie przeciągnąć na swoją stronę. Dlatego nie mogłem pozwolić, żeby Clare Mallender nas wydała. Nie dlatego, że oznaczałoby to ruinę kariery politycznej Alana - chociaż

tak właśnie by się stało - ale ponieważ oznaczałoby to naznaczenie mnie piętnem zdrajcy, dla którego istnieje tylko jedna właściwa kara.

- Śmierć? - zapytał Harry ochryple.

- Tak. - Cornelius powiedział to niemal tęsknie. - Śmierć. W takich razach ani szybka, ani bezbolesna. A teraz, kiedy dodałem do tego nowe wykroczenie, organizacja zrobi wszystko, żeby zapewnić wykonanie wyroku.

- Nowe wykroczenie? Jakie?

- Dostarczyłem Alanowi materiały wybuchowe i zapalniki używane zwykle przez IRA. Zdradziłem mu hasła, za których pomocą przekonał policję, że to IRA podłożyła bombę na jachcie. Zdradziłem sekrety operacyjne organizacji dla własnej korzyści. Krótko mówiąc, doprowadziłem do spotkania dwóch światów, które próbowałem izolować od siebie przez siedemnaście lat. I szczerze wierzyłem, że uda mi się uciec przed konsekwencjami tego czynu. Nieszczęsny głupiec.

Uścisk na ramieniu Harry'ego stał się mocniejszy. Ze wszystkich stron otaczała go ciemność i pustka. Zdawało się, że jego przyszłość skurczyła się, podobnie jak obszar, który ogarniał wzrokiem; zawisła od tego, co mężczyzna siedzący obok powie, na co zezwoli. Zmusił się, by przemówić:

- I co zrobisz teraz?

Cornelius roześmiał się.

- Nic, Harry. Zupełnie nic. Już zrobiłem to, co należało. Wszystko naprawiłem.

- Nie rozumiem.

- Wiem. Wkrótce zrozumiesz. Szukając Heather wiele się dowiedziałeś o Alanie, prawda? No cóż, ja tak samo. I to, co odkryłem, doprowadziło mnie do wniosku, że być może zabójstwo Ramseya Everetta zostało dokonane z premedytacją, a wypadek Willa Morpurgo od początku miał się zakończyć tragicznie. Nadążasz za mną, Harry? Rozumiesz, do czego to prowadzi?

- Nie... nie jestem pewien.

- Alan mnie oszukiwał, Harry. Nie jest tym, za kogo go uważałem. Posunął się

zbyt daleko. Człowiek, którego kochałem zdradził. Ramsey Everett i Clare Mallender byli szantażystami. W pewnym sensie zasłużyli na karę. Ale Heather to co innego. Nic nie zrobiła. Nie popełniła żadnego przestępstwa. Nikomu nie groziła.

- Cornelius milczał przez chwilę, potem mówił dalej z większym opanowaniem: - Jestem winien śmierci Clare Mallender w takim samym stopniu, jak Alan. Nie zaprzeczam. Ale zdecydowałem, że na tym koniec. Nikt więcej nie zginie. Tamta śmierć była dla mnie ostatnia. Gdy Alan osądził, że Heather zanadto zbliżyła się do prawdy, chciał powtórzyć tę samą sztuczkę. Nie próbowałem go przekonywać. Widziałem, że moje argumenty do niego nie trafią. To miała być kolejna bomba, w willi, w czasie jego pobytu na Rodos, i druga siostra ginąca w wypadku. Ale go przechytryłem. Zgodziłem się pomóc. Zaproponowałem, że pojedę na Rodos wcześniej i zaplanuję szczegółowo całą operację. Jednak zamiast tego postarałem się, by Heather mnie zobaczyła i się wystraszyła.

- Pozwoliłeś, by cię zobaczyła?

- Oczywiście. Sądzisz, że byłbym tak nieostrożny i pozwolił jej wpaść na mój ślad, gdyby nie odpowiadało to moim celom? Wiedziałem, jak zareaguje, chociaż przyznaję, zdumiała mnie teatralność jej kroku. Moja wizyta na Rodos stanowiła ostrzeżenie. Był to mój sposób, żeby ją ostrzec przed grożącym jej niebezpieczeństwem.

- Cornelius pozwolił sobie na niewesoły śmieszek. - Wiem, co sobie myślisz, Harry. Dlaczego ktoś, kto współuczestniczy w morderstwach i podpaleniach w Irlandii Północnej, wzdraga się przed zabiciem jednej denerwująco wścibskiej Angielki na Rodos? Dlaczego mojego sumienia nie obciąża krew i zamachy w Belfaście, a przejmuję się nimi w Lindos? Przyznaj, że to prawda. Zastanawiałeś się, prawda?

- Załóżmy, że tak.

- No więc, oto odpowiedź, chociaż nie spodziewam się, byś się z nią zgodził. Organizacja, której służę, jest zaangażowana w wojnę moralnie usprawiedliwioną. Ale zamordowania Heather Mallender nie da się obronić na gruncie moralnym ani żadnym innym. Mam swoje zasady i sam siebie będę osądzał. Nie

szukam ani twojej aprobaty, ani twojego współczucia. Ale możesz być pewny: z mojej strony nic jej nie grozi.

- Więc co... Jeśli to prawda, po co tu przyszedłeś?

- Żeby odwołać pościg. Zapobiec waszej niepotrzebnej ucieczce. Może powinienem zadziałać wcześniej, ale nie wyobrażałem sobie, że ją odnajdziesz. Szczerze mówiąc, nie wydawałeś się predestynowany do takiego zadania. Najwyraźniej Alan lepiej ocenił twoje możliwości niż ja. Co nie znaczy, by mi powiedział o rozmiarach poszukiwań, jakie przeprowadziłeś w jego imieniu. Od ucieczki Heather zaczął mnie chyba podejrzewać o nielojalność. Uznał ciebie za równocześnie pewniejszego i bardziej uległego. Gdyby zwierzył mi się wcześniej wytłumaczyłbym mu, że doktor Kingdom nie ukrywa Heather i oszukiwanie ciebie w tej sprawie na nic się nie zda. Zdał mi sprawę z twoich działań dopiero wczoraj, krótko po tym, jak mu podałeś adres kryjówki Heather. Z podejrzeniami czy bez, potrzebował mojej pomocy: by podróżować incognito, działać jako jego oczy i uszy, śledzić Heather i planować jej zabicie.

- Ale ty odmówiłeś?

- Nie. Odmowa mało by mi pomogła. To przynajmniej było dla mnie jasne. Kto nie jest z Alanem, ten jest przeciwko niemu. Można być tylko jego przyjacielem albo jego wrogiem. Wiedziałem, że moja pozycja jest niepewna, więc starałem się wykrzesać z siebie tyle entuzjazmu, ile mogłem. Zaproponowałem, że przyjadę tutaj śledzić ruchy Heather do czasu, gdy będziemy gotowi wystąpić przeciw niej. W tej chwili Alan ciągle jeszcze... - głos mu się załamał. Umilkł. Kiedy zaczął mówić znowu Harry wierzył niemal, że Cornelius jest bliski łez. - Obiecałem, że tym razem wszystko pójdzie gładko. Nie popełnię żadnego błędu. I nie popełnię. Żadnego. - Jego uchwyt na ramieniu Harry'ego osłabł. - Podjąłem pewne działania, które zapewnią Heather bezpieczeństwo. Zrobiłem to, co powinienem zrobić, kiedy Clare przyszła do mnie pierwszy raz w ubiegłym roku. Tylko że ona posiadała wszystkie te cechy, których nie ma jej siostra: była arogancka, zepsuta i wyniosła. Groziła mi. Uraziła moją dumę. Oto moje usprawie-

dliwienie; dlatego zgodziłem się przyjąć kurs, który zaproponował Alan, za co teraz cierpię. Sądziłem, że jeśli wystraszę Heather tak, by się ukryła, to uda się uniknąć zastosowania ostatecznych środków, ale dzięki tobie, Harry, dzięki temu, do czego skłonił cię Alan, nie miałem wyjścia. Musiałem uchylić rąbek kurtyny zasłaniającej kłamstwo, w którym żyliśmy. Sądzę, że znasz pismaka nazwiskiem Jonathan Minter?

- Ja... Tak. Dlaczego?

- W jutrzejszym... powinienem powiedzieć: dzisiejszym „Courierze” na pierwszej stronie znajdzie się jego artykuł ujawniający długotrwały homoseksualny romans łączący wiceministra rządu brytyjskiego i członka IRA, to jest Alana Dysarta i mnie.

Parę minut temu Harry kulił się ze strachu przed człowiekiem siedzącym obok niego. Teraz nagle wszystko się zmieniło. A tam gdzie kończy się strach zaczyna się ciekawość.

- Wyznałeś wszystko Minterowi?

- Wystarczająco dużo, by zniszczyć Alana, tak. Dostarczyłem Minterowi pewne listy, które nie pozostawiają wątpliwości co do charakteru naszych stosunków i z których jasno wynika, że Alan od dawna wiedział o mojej działalności jako zwolennika republiki. Skutkiem tego zostanie odsunięty od życia publicznego. Stanie się obiektem powszechnej wzgardy i celem zniewag. Odrzucony przez społeczeństwo i swoją partię będzie pariasem, trędowatym, wydziedziczonym. Jeśli chodzi o morderstwa, zarówno dawne, jak i ostatnie, nie wspominałem o nich. Nie potrzebowalem zresztą. Alanowi zawsze zależało na podziwie równych sobie. Chęć zdobycia uznania popychała go do największych osiągnięć. I to uznanie najbardziej pragnął zachować. Jego utrata, która musi teraz nastąpić, będzie dla niego ciosem bardziej dotkliwym niż jakiegokolwiek sankcje prawne. A kiedy raz je straci, Heather przestanie stanowić dla niego zagrożenie. Dlatego nie będzie musiała niczego się obawiać. Ty też nie.

- Ale mówiłeś... powiedziałaś, że jeśli IRA dowie się kiedykolwiek...

- Zabiją mnie. - Cornelius zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił je wolno. -
I zrobią to, Harry, kiedy mnie tylko złapią.

- Nie wracasz do Anglii?

- Nie. To by się równało samobójstwu. Widzisz mnie na progu wędrownego życia. Będę się przenosił z miasta do miasta, z jednego kontynentu na drugi, zawsze w ruchu, zawsze oglądając się nerwowo przez ramię.

- Jak długo zamierzasz uciekać?

- Zawsze. Tak długo, jak zdołam. Póki mnie nie dopadną.

- Myślisz, że cię dopadną?

- Naturalnie. Wcześniej czy później. Kiedy się zmęczone albo stanę się nieostrożny. Kiedy nie zdołam z siebie wykrzesać energii potrzebnej do dalszej ucieczki. Wtedy mnie znajdą.

Zdawało się, że noc stała się jeszcze ciemniejsza. Harry dostrzegł w niej nieodwracalność losu Corneliusa, pewność, z którą ten będzie żył w każdej chwili, przez wszystkie dni, które mu pozostały.

- W ten sposób zniszczyłeś Alana. Ale równocześnie sam sobie wykopałeś grób.

- W pewnym sensie tak.

- Jak mogłeś? Znałeś przecież konsekwencje?

- Nie miałem wyboru. Nie mogłem pozwolić Alanowi, by ciągnął te sprawy dalej, a to był jedyny pewny sposób, by go powstrzymać. Kiedy mi powiedział, że odnalazłeś Heather, uświadomiłem sobie, że nic innego mi nie pozostaje. Musiałem działać. Minter od dawna czuł niechęć do Alana. Zareagował na materiały, jakie mu przyniosłem, niczym chciwy dzieciak, który dostał za jednym zamachem prezenty gwiazdkowe i urodzinowe. Nie zawiedzie mnie. Tego jestem pewien. Ale nie będzie rozumiał celu tego wszystkiego.

Cornelius miał rację. Tylko w ten sposób mógł powstrzymać ciąg morderstw popełnianych przez Dysarta. I dlatego, mimo wszystkich powodów do pogardy, Harry nie mógł go nie podziwiać. To, na co się tamten zdecydował, wymagało

szczególnej determinacji. Harry obawiał się, że sam nigdy nie zdobyłby się na coś podobnego.

- Uważasz mnie za odważnego, Harry? Sądzisz, że jestem śmiały do szaleństwa?

- Myślę, że tak. Tak.

- Mylisz się. Kiedy się nie ma wyboru łatwo o odwagę. Pamiętasz Anthony'ego Sedleya, mężczyznę, który wyrył swoje nazwisko na chrzcielnicy kościoła w Burford? Bał się, bo wiedział, że uratowałby życie, gdyby zdradził zasady lewellerów. Był więźniem własnego lęku, a nie zamkniętych drzwi. Strach znika dopiero, kiedy nie ma nadziei na ucieczkę. Ja straciłem nadzieję, gdy zrozumiałem, że zaplanowane z premedytacją morderstwo Clare Mallender nie jest bynajmniej pierwszym przestępstwem Alana Dysarta, i nie ostatnim. Wyznaję, to, co pociągało mnie w nim najbardziej, to wrażenie nieograniczonej śmiałości, otaczające go niby aura. Ale nigdy się nie domyślałem jego rzeczywistych rozmiarów. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, póki nie było za późno, że Clare podzieliła jedynie los Ramseya Everetta. Wiesz, co mi Alan powiedział w piątek późnym wieczorem, kiedy widzieliśmy się ostatni raz? Że przyjemność z popełnienia niewykrytego morderstwa przekracza wszystko, czego zakosztował w życiu. Rozumiesz, co to znaczy? Najbardziej przerażająca konsekwencja tego dotarła do mnie dopiero później. Motywy przemawiające za wypchnięciem Everetta przez okno, uszkodzeniem samochodu Morpurga, za wysadzeniem w powietrze jachtu z Clare na pokładzie miały znaczenie drugorzędne. Satysfakcja z dokonania tych wyczynów znaczyła więcej niż to, co je sprowokowało.

- Co to było?

Potrzeba, by się dowiedzieć ogarnęła Harry'ego niby nagłe pragnienie. Do tej pory otrzymywał tylko napomknienia i wskazówki. Teraz zapragnął poznać wszystko, całą prawdę.

- Co do Clare i Morpurga, to już wiesz. Jeśli chodzi o Everetta, informacja, którą chciał szantażować Alana, stanowiła sama w sobie prowokację.

- Co to była za informacja?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Nie możesz?

- Jestem związany obietnicą, jaką dałem Alanowi dwadzieścia lat temu; obietnicą, że nigdy nie zdradzę, co chciał zachować w tajemnicy zabijając Everetta.

- Ale z pewnością...

- Nie! - Głos Corneliusa brzmiał surowo i rozkazująco, zniknęła cała łagodność. - Wystarczy zdrada, do której zmusił mnie Alan. Sam go zapytaj, może powie ci całą prawdę. Ale ode mnie jej nie usłyszysz.

Cornelius najwyraźniej niezłomnie przestrzegał swojego kodeksu honorowego, jakkolwiek skażony i wypaczony mógł się on wydawać. Jedną nadzieją Harry'ego na dowiedzenie się czegoś więcej było wyznać tę odrobinę, której dowiedział się od Chipchase'a. Kiedy zastanawiał się nad tym posunięciem, Cornelius spojrzał na fluoryzującą tarczę swojego zegarka.

- Czas ucieka, Harry. Maszyny w drukarni „Couriera” skończyły pracę. Z Londynu wyruszają z pociągi, toczą się po torach rozbiegających się we wszystkie strony niczym pęknięcia na tafli lodu trafionej kamieniem, rozwożąc brudny ładunek skandalu do najdalszych zakątków Anglii. Niedługo ciężarówki hurtowników ruszą pustymi ulicami w każdym miasteczku, od Penzance do Inverness, zostawią swój ładunek obok kontenerów z mlekiem na stopniach nieprzeliczonych kiosków z gazetami. Za parę godzin ci spośród wyborców Alana, którzy wstają najwcześniej, wyjdą na ganek po gazety. Czytelnicy „Couriera”, ziewając nad poranną filiżanką herbaty, rzucą zaspanym wzrokiem na pierwszą stronę i zobaczą coś, czego najmniej spodziewaliby się ujrzeć. Przełkną herbatę, przetrą oczy, spojrzą jeszcze raz i upewnią się, że nie śnili. Czas Alana Dysarta minął. I mój tak samo. - Westchnął, podniósł się z miejsca. - Czas w drogę, Harry. Muszę już iść.

- Dokąd pójdziesz?

- W wiele miejsc. Lepiej, żebyś nie wiedział gdzie; lepiej, żeby nikt nie wiedział. Chciałbym cię prosić o przysługę.

- Jaka?

- Na pewno spotkasz się z Alanem. Musisz się z nim spotkać, tak jak on musi się spotkać z tobą. Dlatego wybrałem ciebie.

Harry nie wiedział, skąd Cornelius może być pewien, że takie spotkanie nastąpi, ale w głosie mężczyzny brzmiała taka siła i pewność, że nie ośmielił się zaprotestować.

- Chciałbym, żebyś mu przekazał wiadomość ode mnie. Zrobisz to?

- Jeśli będę mógł. Jaka to wiadomość?

- Tylko tyle, że nie zostawił mi wyboru.

- Nic więcej?

- Nie.

Cornelius odetchnął głęboko, wyprostował się i ruszył przed siebie. Po jakichś sześciu krokach odwrócił się i spojrzał na Harry'ego.

- Może jeszcze jedno.

- Tak?

- Powiedz, że mu przebaczam.

I nim Harry zdążył odpowiedzieć jakimkolwiek słowem czy gestem zniknął w ciemności.

LVIII

Podsekretarz stanu w ministerstwie obrony przez wiele lat utrzymywał stosunki homoseksualne z czynnym zwolennikiem terroryzmu w Irlandii Północnej. Oto wniosek nasuwający się po lekturze materiałów udostępnionych niedawno „Courierowi” na wyłączny użytek. Omawiamy je szczegółowo na stronach 2 i 3. To szokujące i skandaliczne odkrycie stanowi poważne oskarżenie skuteczności rządowych procedur weryfikacji kadr i prowokuje wiele niepokojących pytań na

temat zaniedbań bezpieczeństwa w ostatnich paru latach. Minister, o którego chodzi - Alan Dysart, były oficer marynarki, odznaczony za zasługi w czasie wojny falklandzkiej...

Na dworcu kolejowym Larissa w Atenach panowało przedwyjazdowe szaleństwo. Harry miał wrażenie, jakby pół miasta próbowało uciec ekspresem Wenecja, zabierając ze sobą większą część ziemskiego dobytku. Eleganckie damy z Salonik, otoczone krnąbrnymi dziećmi i ujadającymi psami, pakowały do wagonów obwiązane sznurkiem walizki. Strażnicy i bagażowi wymieniali gwizdy, wrzaski i niecierpliwe gesty, walcząc z czasem i własną ospałością. Harry, pozbawiony zarówno większego bagażu, jak i energii, stał w otwartych drzwiach wagonu, wykrzykując do Heather słowa pożegnania nad otaczającą ich kakofonią dźwięków.

- Obiecuj, że się odezwiesz do rodziców.

- Dobrze, odezwę się. Ale nie obiecuję, że się z nimi spotkam. Dam im znać, że żyję i dobrze się miewam, ale na razie to musi wystarczyć.

- O nic więcej nie proszę.

- Ciągle nie rozumiem, dlaczego jedziesz pociągiem.

- Pieniądze. - Uśmiechnął się. - Przez te wszystkie loty zostałem bez grosza.

Chociaż oszczędność, przyznawał przed samym sobą, niewiele znaczyła w porównaniu z korzyścią, jaką było opóźnienie przyjazdu do Anglii o dwa i pół dnia.

- Kiedy będziesz na miejscu?

- W środę po południu.

Nawet ten termin wydawał mu się zbyt wczesny. Do tego czasu musi zdecydować, co powiedzieć Alanowi Dysartowi, czy też temu, co tajfun publicznej niechęci zostawił z jego dawnego przyjaciela.

- Żal ci go, prawda?

- Co?

Oczy Heather były bystre i spostrzegawcze.

- Mimo wszystko co zrobił, wszystko, czego się o nim dowiedziałeś, nadal go żałujesz, prawda? Myślisz sobie, że nie zasłużył na te wszystkie ostre słowa, które napisał o nim Jonathan. - Wskazała swój egzemplarz „Couriera”.

- Ależ zasłużył.

Jednak nawet mówiąc to, Harry wiedział, że Heather ma rację. Nigdy nie spotkał Ramseya Everetta. Nigdy nie rozmawiał z Clare Mallender. Wydawali się odlegli i nierealni. Nawet rozmiary manipulacji i oszustwa, jakimi się posłużono wobec niego, zdawały się niewielkie w porównaniu z ogromem tego, co miał w pamięci: Cornelius kontynuujący swoją beznadziejną ucieczkę i Dysart obleżony przez heroldów klęski.

- Zanim dojedziesz, będzie już pewnie po wszystkim - powiedziała Heather. - Zostanie zmuszony do przyznania, że to wszystko prawda. Zmuszą go do ustąpienia.

- Tak. Pewnie tak.

- Cieszę się. Cieszę się, że odcierpi za swoje.

- Na twoim miejscu też byłbym zadowolony.

- Ale nie jesteś, prawda?

Nie, nie był. Pamiętał, jak pewnego wieczoru Dysart zabrał go pijanego do domu z Barnchase Motors, jak go ratował przed nędzą i bankructwem, wybawił od braku pracy i pogrążenia się w żalu nad samym sobą. To, jak wiele Harry zawdzięczał Dysartowi, dałoby się zmierzyć jedynie za pomocą tego, co by się z nim stało bez pomocy Alana. Dlatego nie czuł zadowolenia ani satysfakcji, czytając radosne potępienia Mintera zajmujące całą rozkładówkę.

- Cieszę się, że już po wszystkim - tylko na tyle potrafił się zdobyć.

- I to dlatego jedziesz pociągiem, prawda? Żeby uniknąć najgorszego?

Łoskot zatraskiwanych z hukiem drzwi i gwizdy oszczędziły mu odpowiedzi.

- Muszę już iść - powiedział, wchodząc do środka. Zamknął za sobą drzwi i

wychylił się przez otwarte okno. - No, to do zobaczenia - uśmiechnął się zażenowany.

- Do widzenia, Harry. - Heather wspięła się na palce, żeby go pocałować. Przez mgnienie łudził się, że zobaczył łzy błyszczące w jej oczach. - I powodzenia.

- Tobie też.

Czuł ulgę, że czas na wzajemne oskarżenia minął nie wykorzystany. Pociąg ruszył z szarpnięciem.

- Napiszę, obiecuję.

- Zrób to.

- I, Harry...

- Tak?

- Przepraszam.

Teraz nie miał wątpliwości: płakała rzeczywiście.

- Za co?

- Nie wiem, za wszystko.

To było ostatnie, co zobaczył, wyteżając wzrok, kiedy pociąg nabierał prędkości, a pożegnalne okrzyki innych pasażerów przelatywały obok niego. Cofnął się od okna, uświadamiając sobie, że prawdopodobnie nigdy już nie zobaczy Heather. Oddalająca się postać na górskiej ścieżce; znikająca twarz na zatłoczonym peronie - przynajmniej tym razem właściwie zinterpretował sytuację. Ruszył korytarzem, rozglądając się za wolnym miejscem.

Czuł wdzięczność dla losu, że może obserwować z dystansu bezpośrednio konsekwencje artykułu w „Courierze”. Efekt okazał się zdumiewający. Rozmiary tego, co spotkało Dysarta zmalały. Można było udawać, iż Dysart to tylko nieuczciwy polityk, z którym Harry miał równie mało wspólnego, jak inni pasażerowie ekspresu Wenecja.

Zgodnie z tym, co pisano w porannych poniedziałkowych gazetach londyńskich - które Harry kupił wieczorem w czasie godzinnego postoju w Belgradzie -

Dysart szybko złożył rezygnację ze stanowiska w rządzie. Szeroko cytowano jego list do premiera, w którym wyrażał „głęboki żal z powodu konsternacji, jaką musiał wywołać artykuł” oraz zapewniał, że „nigdy nie naraził na szwank bezpieczeństwa operacji cywilnych ani wojskowych w Irlandii Północnej”. Jednak miejsce pobytu Dysarta najwyraźniej pozostawało tajemnicą. Nie było zamazanych fotografii umykającej sylwetki, tylko starannie wykonane portrety z archiwum, którym towarzyszyły niewiele mówiące zdjęcia pustego, zamkniętego mieszkania w Londynie i melancholijne zdjęcia Virginii wypowiadającej stanowcze: „Bez komentarza” na stopniach Strete Barton. Powszechnie spodziewano się nadzwyczajnego spotkania gabinetu i partii wyborczej Dysarta, szeroko konsultowano się z gronem ekspertów do spraw bezpieczeństwa i analiz politycznych. Wydawcy gazet głosili jednomyślnie: Dysart nie zasługuje na nic prócz zjadliwej pogardy. Zdradził swoją partię i kraj niemal jak przestępca. Jeśli nawet formalnie nie popełnił zdrady, to był jej winien pod względem moralnym. Co do rewelacji o jego homoseksualizmie podkreślano z lubością, iż to tylko pogłębia jego upadek.

Ekspres Wenecja dotarł do celu we wtorek po południu. Harry przesiadł się w pociąg do Paryża. Podczas długiego postoju w Mediolanie udało mu się zdobyć poranne gazety angielskie i stwierdzić, jak posuwa się sprawa „skandalu Dysarta”. Na naradzie gabinetu zarządzono pilne zbadanie konsekwencji afery dla kwestii bezpieczeństwa. Tymczasem Dysart ogłosił przez przewodniczącego swojej partii wyborczej, że podejmie natychmiastowe kroki, by zrezygnować ze stanowiska i usunąć się z życia publicznego. „Wielu lojalnych członków partii poczuło się zdradzonych przez pana Dysarta - oznajmił przewodniczący na konferencji prasowej. - Uznał on, że nie pozostaje mu nic innego”. Sam Dysart nadal nie dawał znaku życia. W Tyler's Hard nie zastano nikogo, w Strete Barton Virginia milczała jak grób, chociaż potwierdziła, że nie widziała się z mężem ani nie miała z nim kontaktu od wybuchu skandalu. Odmówiła odpowiedzi na pytanie o przyszłość jej małżeństwa.

Skoro Dysart się ukrył większość gazet poświęciła wiele uwagi inicjatorowi zrzucenia go z piedestału. Wszędzie pełno było zdjęć Hurstdown Abbey i jego obleżonego dyrektora. „Prestiżowa szkoła dla uprzywilejowanych w obliczu wstydliwego sekretu” - brzmiało jedno z bardziej zapadających w pamięć określeń. Cornelius zniknął; nikt nie wiedział, dokąd się udał, a szkoła, którą zdradził, najwyraźniej pragnęła usunąć go ze swej pamięci i sumienia, zanim strumyczek uczniów wycofujących papiery przybierze rozmiary powodzi. Nikt go nie znał; nikt go nie lubił; nikt nie chciał go bronić.

W środę w południe Harry znalazł się na pokładzie promu z Boulogne do Folkestone. Siedział na pokładzie, gdzie lodowaty ziąb zapewniał mu odosobnienie, i przesiewał trzecią już transzę gazet, odnotowując zarówno usztywnienie stanowisk, jak i spadek zainteresowania całą sprawą. „Skandal Dysarta” zniknął z pierwszych stron, a ponieważ dwaj główni protagoniści nadal pozostawali nieuchwytni, fotografów odwołano. Dochodzenie rządowe rozpoczęło od wyrażenia przekonania, że nie zostaną znalezione żadne uchybienia w kwestii bezpieczeństwa, podczas gdy z Downing Street nadeszło potwierdzenie faktu, iż Dysart zrezygnował z miejsca w parlamencie; miano wydać rozporządzenie o wyborach uzupełniających, kiedy tylko zakończy się przerwa świąteczna w Izbie Gmin. Politycy protestancy z Irlandii Północnej wyrazili głęboki oburzenie, czemu towarzyszyły żądania, by pozbawić Dysarta odznaczenia za zaszczytną służbę. Pomysł ten znalazł szerokie poparcie w listach od tych spośród czytelników, którzy chcieliby widzieć publiczną chłostę takich jednostek, jak Dysart, i pragnęli wykorzystać sytuację do ogólniejszych ubolewań nad upadkiem moralności i honoru. Równocześnie wytropiono paru byłych uczniów Corneliusa; wszyscy podkreślali, że nigdy nie próbował ich zwerbować do walki za republikę, że gdyby tak zrobił, straciłby tylko czas, a poza tym nigdy go nie lubili. Co do IRA, ani nie pytano jej o opinię, ani takiej opinii nie otrzymano.

W pociągu z Folkestone do Londynu Harry podjął decyzję, nad którą męczył się od wyjazdu z Aten: musi znaleźć Dysarta. Nie może uniknąć tego spotkania;

ukryć się w Swindon i zapomnieć o wszystkim, co wycierpiał z jego powodu; zerwać znajomości tylko dlatego, że Dysart sam sprowadził na siebie klęskę i nie zasługuje na współczucie. Musieli się spotkać.

Ale decyzję łatwiej było podjąć niż wprowadzić w życie. Cała armia dziennikarzy nie zdołała wytropić Dysarta, a Harry nie dysponował takimi źródłami, jak oni. Miał jednak jedną przewagę: wiedzę o tym, kogo - oprócz niego samego - Dysart zatrudnił do osiągnięcia swoich celów. Zohra Labrooy oszukała Harry'ego na polecenie Dysarta, dlatego zwróci się do niej jako pierwszej. Zohra odpowie za swoje zachowanie i pomoże mu w poszukiwaniach. Prosto z Victoria Station udał się do Marylebone.

Kobieta siedząca za biurkiem recepcjonistki w gabinecie doktora Kingdoma nie była Zohrą Labrooy. Zaczekała, aż Harry skończy wyjaśnienia, po czym oznajmiła:

- Panna Labrooy już tutaj nie pracuje.
- Kiedy odeszła?
- Myślę, że w ubiegłym tygodniu. W każdym razie ja zaczęłam pracę od tego poniedziałku.

- Ale... dlaczego odeszła?
- Naprawdę nie potrafię powiedzieć.
- Z pewnością...

Wzrok sekretarki powędrował w bok; Harry umilkł. Odwrócił się i zobaczył w drzwiach gabinetu doktora Kingdoma, który patrzył wprost na niego.

- Zechciałby pan wstąpić na moment, panie Barnett?
- No cóż, ja...
- Nie zabiorę panu wiele czasu.

Harry usłuchał potulnie. Nie potrafił wymyślić żadnej wymówki. Kingdom wydawał się równie opanowany i przekonujący jak zawsze. Jednak gdy tylko znaleźli się sami natychmiast zmienił ton.

- Co za tupet! Żeby się tu zjawić po tym wszystkim!

- Chciałem tylko...

- ...poszukać swojej współpracownicy, wiem. Doniesiono mi o pańskiej wizycie w Versorelli Institute, panie Barnett. Nie pojmuję, jak mógł pan sądzić, że będzie inaczej. Co do panny Labrooy, jestem równie zdumiony, jak mogła nie zdawać sobie sprawy, że podrobienie mojego podpisu ujdzie jej na sucho. Zwolniłem ją, gdy tylko się o tym dowiedziałem.

- Aha. Rozumiem.

- Naprawdę? Naprawdę pan rozumie? Naraził mnie pan na wiele wstydu i kłopotów. Jest pan współnikiem kradzieży, fałszerstwa i karygodnego wypaczenia faktów. Mam pełne prawo wnieść przeciw panu oskarżenie. Zdaje pan sobie z tego sprawę?

- Więc czemu pan tego nie zrobił?

- Dlatego, i tylko dlatego, że dzisiaj rano dzwoniła do mnie matka Heather. Heather, jak się okazuje, zdrowa i cała przebywa w Atenach.

- Wiem. To ja ją znalazłem.

- Tak twierdzi pani Mallender. Zastanawiam się, czemu wobec tego uznał pan za konieczne naprzykrzać się lekarzom w Versorelli Institute.

- Gdyby pan przyznał, że widział się pan z Heather w Lindos pięć dni przed jej zniknięciem, może nie musiałbym tego robić.

- Na miłość boską... - Kingdom urwał; podszedł do okna i stanął, wyglądając na ulicę, znacząco odwrócony tyłem. - Skąd pan wie, że tam byłem?

- Widziałem pana.

- I ponieważ o tym nie wspomniałem, uznał pan, iż odegrałem jakąś rolę w zniknięciu Heather? Porwałem ją i ukryłem ją w Genewie?

- Tak.

- Więc dlatego pan powiedział, bym winił siebie samego za... - Kingdom odwrócił się z powrotem do Harry'ego z grymasem irytacji na twarzy. - Istnieje możliwość, że działał pan w dobrej wierze. W jaki sposób przekonał pan pannę Labrooy, by panu pomogła?

Widocznie Zohra nie ujawniła roli, jaką Dysart odegrał w całej sprawie. Może to i lepiej, pomyślał Harry.

- Jeśli panu nie powiedziała, ja tego nie zrobię.

Kingdom patrzył na niego z mieszaniną zdumienia i niesmaku.

- Co wy dwoje ukrywacie? Skoro Heather została znaleziona cała i zdrowa, czemu ma służyć ta cała tajemniczość?

Harry nie odpowiedział. W pewnym sensie byli sobie nawzajem winni przeprosiny. Ale w obecnej sytuacji ich wymiana zdawała się praktycznie niemożliwa.

- Wie pan, co sobie myślę, panie Barnett? Myślę, że w cała sprawa jest o wiele bardziej złożona, niż sądziłem. Być może nigdy nie chodziło naprawdę o bezpieczeństwo Heather. Może była to tylko zasłona dla czegoś innego.

- Na przykład?

- Nie wiem. Ale pan chyba wie. I fakt, że pojawienie się Heather zbiegło się w czasie z publicznym napiętnowaniem Dysarta, ma z tym coś wspólnego.

Kingdom był bliski prawdy, ale Harry czuł, że nigdy nie zbliży się do niej bardziej.

- Ale pan nie zamierza mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi, prawda? Nic mi pan nie powie.

Harry uśmiechnął się, przez chwilę napawał się irytacją doktora.

- Nie - odparł. - Prawdę mówiąc, nie zamierzam.

Przez całą drogę do stacji Paddington zastanawiał się, czy nie pojechać prosto do Kensal Green i nie spotkać się z Zohrą, ale w końcu powstrzymało go przed tym zmęczenie. Musiał czekać czterdzieści minut na pociąg do Swindon. Tłum godziny szczytu wirował wokół niego, kiedy stał w kolejce do telefonu i wykręcał numer. Nikt nie podnosił słuchawki. Spróbował jeszcze raz, z takim samym skutkiem. Wykręcił więc numer pani Tandy.

- Słucham?

- Pani Tandy? Mówi Harry Barnett. Pamięta mnie pani?

- Oczywiście. Jak się pan miewa?
- W porządku. Próbowałem się dodzwonić do Zohry.
- Wyjechała. Nie wiedział pan?
- Nie. Nie wiedziałem. Dokąd pojechała?
- Zdaje się, że do kuzynki do Newcastle. Nie jestem całkiem pewna.
- Kiedy ma wrócić?
- Niestety, też nie wiem na pewno. Zbierała się w pośpiechu. Myślę, że za parę dni. Chyba nie wyjeżdżałaby na dłużej, prawda?
- Nie wiem, pani Tandy, naprawdę nie wiem.

Więc Zohra przebywała w jakiejś kryjówce. Znalezienie Dysarta nie będzie tak proste, jak sobie Harry wyobrażał.

- Chcesz powiedzieć, Haroldzie, że ta dziewczyna siedziała sobie spokojnie w Atenach przez całe dwa miesiące, gdy tymczasem jej rodzice zamartwiali się na śmierć?

- Tak, mamó.

- I pozwoliła, żeby gazety, jak ten „Courier”, sugerowały, że wiesz więcej, niż mówisz? Pozwoliła, by ci wszyscy plotkarze myśleli, że miałeś coś wspólnego z jej zniknięciem?

- No cóż, nie można jej obwiniać za złośliwość innych, ale...

- Nie rozumiem tego, naprawdę nie rozumiem. Czy tak się zachowuje dobrze wychowana młoda kobieta?

- Nie jestem pewien, czy jej wychowanie ma tu coś...

- I ten Alan Dysart! Zawsze taki miły, taki wymowny. Po przeczytaniu tego wszystkiego, co wypisywali o nim przez ostatnie trzy dni, osiwiałabym, gdyby to jeszcze było możliwe. Kumał się z tymi z Sinn Féin. I robił inne rzeczy, o których nie chcę nawet mówić. Pomyśleć, że stał tu, w tym samym pokoju, ledwie miesiąc temu, uśmiechnięty i układny, zwiódłby każdego. Nie wiem, co się wyprawia z tym światem, zupełnie nie wiem.

- Ani ja, mammo.

- Nie może tak dłużej być. Tyle mogę powiedzieć. To po prostu nie może tak trwać.

- Nie, mammo. Chyba nie.

LIX

Długotrwały postój nie złagodził charakteru vauxhalla Harry'ego; jęczał i zgrzytał, kiedy Harry wyjechał ze Swindon następnego ranka. Jeśli gazety nie kłamały - a w tym wypadku raczej nie kłamały - od pojawienia się artykułu w „Courierze” w niedzielę, Dysarta nie widziano ani w londyńskim mieszkaniu, ani w Tyler's Hard, ani w Strete Barton. Ponieważ mieszkanie było w związku z tym puste, a w Tyler's Hard urzędował prawdopodobnie tylko Morpurgo, jedynie w Strete Barton istniała szansa, że uda się uzyskać jakieś informacje co do miejsca jego pobytu.

Dotarł tam w południe. Range rover stał samotnie w garażu. Po daimlerze Dysarta i mercedesie Virginii nie pozostał ślad. Kiedy wysiadał z wozu zamknęła się wokół niego cisza świadcząca o opuszczeniu. Zauważył jednak uchylone okno od frontu, więc ruszył do drzwi z odrobiną nadziei. Ku jego zdumieniu otwarły się, zanim do nich dotarł.

- Pan Barnett!

Była to Nancy, w fartuchu i chustce na głowie, z ścierką od kurzu w jednej ręce.

- No, no. Kto by pomyślał, że pan przyjedzie.

- Dzień dobry. - Harry stanął, uśmiechając się niepewnie. Uświadomił sobie, że nie wymyślił żadnego pretekstu swojej wizyty. - Ja... to znaczy, słyszałem o wszystkim.

- Musiałby pan chyba cały tydzień siedzieć w kopalni pod ziemią, żeby nie usłyszeć. To było okropne, naprawdę okropne.

I rzeczywiście na jej twarzy malowało się napięcie świadczące, że cała sprawa nią wstrząsnęła.

- Czy... eee... pani Dysart jest w domu?

- Nie ma jej. Miała tak dość tych wszystkich dziennikarzy węszących tu i wściubiających nos w nie swoje sprawy, że pojechała na urlop. Chyba mówiła coś o nartach. Wyjechała ledwie wczoraj.

- Aha.

Nie jest to zachowanie, jakiego należałoby oczekiwać od wiernej żony, zdecydowanej wytrwać u boku męża, pomyślał Harry. Czuł jednak uzasadnioną ulgę, że jej nie zastał.

- Zostawiła cię na straży?

- Właśnie. Akurat robiłam porządki. Mój tata, znaczy się, powiedział, że nie powinnam tu dłużej pracować, nie po tym, co wyszło na jaw. Ale ja mówię: zawsze byli dla mnie dobrzy, więc czemu bym ich miała zawieść?

- Bardzo ładnie z twojej strony. Czy może... eee... widziałaś pana Dysarta?

- No cóż... - Ściszyła głos, tak że Harry musiał podejść bliżej. - Prawdę mówiąc, pokazał się wczoraj parę godzin po wyjeździe pani Dysart. Wpadł jak po ogień i zaraz odjechał.

- Jak wyglądał?

- Nie poznałby pan, że coś się stało. Przysięgam, nic by pan nie poznał. Wyglądał i mówił jak zwykle. Jakby go nic nie obchodziło. Jak mu się to udało - nie wiem; nie po tym wszystkim, co o nim wypisywali przez ostatnich parę dni, ale tak właśnie było. Myślę...

- Tak?

- Nie mogę się opędzić myśli, że czekał, aż pani Dysart wyjedzie. Czekał, aż droga będzie wolna.

- Po co?

- Nie wiem. Wpadł tylko na pięć minut. Poszedł do gabinetu, wrócił stamtąd z jakimiś rzeczami w torbie i pojechał. Cały w uśmiechach, jak zawsze.

- Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym... zajrzał do gabinetu?

- No - Nancy zmarszczyła czoło - chyba nie. Nic pan przecież nie zepsuje.

Ani... ani nic nie zabierze, prawda?

- Nie, Nancy. Zupełnie nic.

Gabinet wyglądał dokładnie tak samo, jak go Harry zapamiętał. Wszystko uporządkowane, każda rzecz na swoim miejscu. Fotografie klasy Dysarta w Dartmouth oraz załogi Atropos i Electry nadal zdobiły ściany, książki na półkach stały równo ustawione i odkurzone. Co więc zabrał? Co niósł ze sobą?

Naraz, kiedy rozglądał się po pokoju, wspomnienie tego, co się tu zdarzyło - co zrobili wraz z Virginią - tak mocno naparło na niego, że przez moment widział niemal i słyszał... Uchwycił się dla utrzymania równowagi za róg biurka. I wtedy sobie przypomniał - tak wyraźnie, jakby ujrzał ją przed sobą - książkę, którą znalazł leżącą obok telefonu tamtej nocy: „Panowanie Williama Rufusa”. Podszedł do regału. Dziwne, książki nie było, a w miejscu, gdzie powinna się znajdować, widniała na półce przerwa mniej więcej odpowiedniej szerokości. Może... Wtedy zrozumiał. „Panowanie Williama Rufusa” z podpisami Corneliusa, Cunnighama, Everetta, Morpurga i Ockletona. Prezent otrzymany przez Dysarta w Dniu Świętego Jerzego 1968, dniu śmierci Everetta, dniu, kiedy zostało wprowadzone w ruch to, co teraz zaczynało wychodzić na jaw: to właśnie tę książkę chciał odzyskać, ją i nic więcej.

W pubie w Blackawton skandal Dysarta najwyraźniej niewiele obszedł goście żartujących i plotkujących przy barze. Albo przestali się nim interesować parę dni temu, albo też pamiętali wizytę Harry'ego w towarzystwie Virginii sprzed dwóch tygodni i z tego powodu patrzyli na niego podejrzliwie. Siadł samotnie na ławie przy kominku, popijał smętnie piwo i zastanawiał się ze znużeniem, co robić dalej. Gdzie jest Dysart? Co zamierza? Jego dotychczasowe życie opierało się na łatwych sukcesach i wprawnym zatajaniu faktów. Jak sobie poradzi z całkowitą klęską i ujawnieniem obciążającego sekretu? Co zamierza teraz uczynić?

Spojrzenie Harry'ego powędrowało na ścianę obok kominka, ozdobioną plakatami z czasów wojny. Dotyczyły ewakuacji okolicy w związku z lądowaniem aliantów w Normandii. *WAŻNE INFORMACJE. Obszar zaznaczony poniżej został przejęty na potrzeby wojska i musi zostać opuszczony do 20 grudnia 1943. Poczyniono przygotowania...* 1943: ile to już lat. Ramseya Everetta, Willa Murgurgo, Clare Mallender i Alana Dysarta nie było jeszcze na świecie. A Harry? Uczniak w krótkich spodenkach, który spędzał dni, zastanawiając się, czy bomba spadnie na jego klasę. Gdyby przewidział wtedy, co go spotka w życiu...

- Wygląda na to, że ewakuacje znowu są w modzie - odezwał się za nim jakiś głos: rozpoznał go od razu, chociaż nie potrafił określić, skąd go zna.

Odwrócił głowę. Stał przed nim wysoki chudy mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym. Miał ostrą, sprytną twarz, przetłuszczone siwiejące włosy, zaczesane na łysinę, i cerę zbliżoną barwą do plakatu, któremu się właśnie przyglądał. Mężczyzna z pociągu; mężczyzna z cmentarza; mężczyzna, którego Nancy widziała przez okno w Strete Barton: musiał spostrzec przyśpieszony oddech Harry'ego, musiał zobaczyć błysk rozpoznania w jego oczach.

- Mogę się przysiąść? - Opadł na stołek obok Harry'ego, postawił kufel na stole i uśmiechnął się wąskimi wargami. - Mają tu dobre piwo, nie sądzi pan? - Skinął głową w stronę plakatu. - Widziałem, że mu się pan przyglądał. Jest w tym jakaś złośliwość losu, prawda?

- W czym?

- No w tym, że jak mówiłem, ostatnio ewakuacje znowu są na porządku dziennym. Przynajmniej w Strete Barton.

- Kto... kim pan jest, u diabła?

- Vigeon. Albert Vigeon. Licencjonowany pomocnik szeryfa. Przyjmuje również wszelkiego rodzaju zlecenia poufne. Sprawy małżeńskie. Obsługa procesów. Osoby zaginione. Fotografowanie i śledzenie z ukrycia. Ostatnio zajmowałem się czymś, co mógłby pan określić jako ściąganie należności.

- Śledził mnie pan, prawda?

- Tak, z wyjątkiem ostatnich paru tygodni. To spotkanie jest czysto przypadkowe. Choć obaj znaleźliśmy się tutaj z tego samego powodu.

- Jakiego?

- Żeby znaleźć Dysarta. Nieprawdaż, panie Barnett?

Cały niewyobrażalny lęk, jaki ten człowiek wzbudzał w Harrym, nagle zniknął. Siedział po skosie przy tym samym stole: zaniedbana postać o oczach jak u fretki, w płaszczu przeciwdeszczowym z brudnym kołnierzem. Nie był duchem, heroldem niewyobrażalnego; miał ziemiste ciało i wodnistą krew. Nazywał się Albert Vigeon, agent śledczy.

- Dla kogo pan pracuje, panie Vigeon?

- Pracowałem. Dla Dysarta.

- Ale teraz już nie?

- Trudno powiedzieć. - Ten sam napięty, pozbawiony radości uśmiech. - Obawiam się, że mógł zapomnieć o moim rachunku w nawale wszystkiego, co go ostatnio spotkało.

- Rachunku?

- Za wykonane usługi.

- Jakie usługi?

- Zapewniam pana, bardzo nietypowe, ale wycenione ściśle według cennika. Powinien pan rozpoznać niektóre z nich, jako że był pan ich obiektem, a mój klient nalegał, bym je wykonywał jawnie. Śledzenie pańskich ruchów. Anonimowe telefony. Zrobienie paru zdjęć. Nauczenie się kilku słów po grecku. Wykonanie napisu na murze. Czytanie książki w pociągu. Życzenie panu dobrej nocy. Zostawienie wizytówki w pańskim pokoju w hotelu. Wsuniecie zdjęcia pod wycieraczkę pańskiego samochodu. Rzucenie pudełka po greckich papierosach przed pana domem. Tego rodzaju rzeczy, panie Barnett. Tylko tego rodzaju rzeczy.

Złudzenia jedno po drugim rozwiewały się pod wpływem słów Vigeona. Nie było takiego ostrzeżenia, którego by nie dostarczył, interwencji, której by nie

zaaranżował. I wszystko, do ostatniej rzeczy, zostało wykonane na polecenie jego klienta.

- Dysart pana wynajął do śledzenia mnie? Zatrudnił pana do prowadzenia tej... tej kampanii?

- Może pan to nazywać kampanią. Ja to nazywam zleceniem.

- Włamanie? Napastowanie przez telefon? Chodzenie za mną krok w krok? Dobry Boże, myślałem...

Vigeon klepnął Harry'ego po rękę.

- Więcej spokoju, panie Barnett, proszę. Nic z tego, co może mi pan udowodnić, nie jest nielegalne. A tego, co zrobiłem wbrew prawu, nie może pan udowodnić, więc zalecałbym więcej opanowania. Miałem nadzieję, że możemy sobie nawzajem pomóc.

- Pomóc mi? Pan?

- W znalezieniu Dysarta. Jest mi winien pieniądze. Nie wnioskuję, co jest winien panu.

- Niech pan da spokój. Musiał pan podejrzewać, po co to wszystko.

Wyraz twarzy Vigeona mówił, że Harry podważa jego profesjonalizm.

- Z całą pewnością nie. Staram się wiedzieć tylko tyle, ile muszę. W tej chwili muszę wiedzieć, gdzie się ukrywa mój były klient. Jest mi winien znaczną sumę pieniędzy.

- To pański kłopot.

- Nie ma go w Londynie. Próbowałem we wszystkich kryjówkach. Nie ma go w Tyler's Hard. Spędziłem tam wczoraj cały dzień i za wszystkie wysiłki nasłuchiwałem się tylko mamrotania ogrodnika.

- Więc tam też go nie ma.

Świadomość, że superagent Vigeon marnował czas w Tyler's Hard, kiedy Dysart odwiedził Strete Barton, dostarczyła Harry'emu odrobiny satysfakcji.

- Na to wygląda. Więc gdzie jest?

- Nie mam pojęcia. Może za granicą?

- Nie sędę.

- No to obaj wiemy tyle samo.

- Niech pan słucha, Barnett - Vigeon zniżył głos. - To bardzo ważne, bym znalazł Dysarta. Na pewno skontaktuje się z panem wcześniej czy później, więc...

- Dlaczego to takie ważne? Jeśli chodzi tylko o zapłatę...

- Są jeszcze inne... względy.

Nagle Harry pojął motywy Vigeona.

- To znaczy inny klient. Pracuje pan teraz dla kogoś innego, prawda, panie Vigeon? Kogoś, kto chce odnaleźć Dysarta.

- No cóż, możliwe...

- Kto to taki? Kto jest pańskim nowym klientem?

- Tego raczej nie mogę powiedzieć. Absolutna dyskrecja to hasło każdego, kto pracuje w moim zawodzie.

Gra trwała nadal. Może nie skończy się nigdy. Harry czuł jednak, że jego wyrozumiałość szybko dobiega kresu.

- Zamierza mi pan zaoferować pieniądze za pomoc w odnalezieniu Dysarta, prawda?

- Niewykluczone.

- Może pan sobie oszczędzić wysiłku. Nie jestem zainteresowany.

- Na pewno moglibyśmy...

- Nie, nie moglibyśmy. - Harry pochylił się nad stołem, żeby mieć pewność, że Vigeon dobrze go zrozumie. - Idź pan do diabła, Vigeon. I zostaw mnie pan samego. To jedyne, o co proszę. Nie chcę pańskich pieniędzy ani pieniędzy pańskiego klienta.

- Ajajaj. - Vigeon ściągnął usta. - Pańska bezkompromisowość zmusza mnie do poruszenia bolesnego tematu. Niestety, moja działalność jako fotografa nie ograniczała się do cmentarza na Kensal Green. Obejmowała również noc dwudziestego siódmego grudnia w Strete Barton.

- Co?

- Odsłonięte okno na parterze i wewnętrzne oświetlenie sprawiły, że nie miałem większych problemów technicznych. Udało mi się uzyskać kilka frapujących studiów tego, co działo się wewnątrz.

- Pan?... Sfotografował pan...

- Panią Dysart i pana w niedwuznacznej sytuacji. Tak, panie Barnett, niestety.

- Vigeon zniżył głos jeszcze trochę. - Teraz, kiedy nie pracuję już dla Dysarta, zrobiony przeze mnie film jest dostępny, jak by to powiedzieć, na wolnym rynku i może zostać nabyty za gotówkę lub towar. Pieniądzy pan nie ma, ale miejsce pobytu Dysarta może pan ustalić. Zrozumiał mnie pan?

- O tak. Zrozumiałem.

- Doskonale. Możemy więc ubić interes. - Vigeon wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Muszę powiedzieć, panie Barnett, że przez lata śledztw w sprawach małżeńskich nie spotkałem nic równie zabawnego, jak przedstawienie, jakie pan i pani Dysart...

Reszta piwa z kufła Harry'ego wylądowała mu na twarzy; jego słowa utonęły w zdumionych parsknięciach. Agent wstał niezgrabnie i grzebał po kieszeniach w poszukiwaniu chusteczki, kaszląc i przeklinając. Nim jednak zdążył przetrzeć oczy, Harry podniósł się także. Naładowany wściekłością z powodu wszystkiego, co Vigeon powiedział i co sugerował, zamachnął się i uderzył go pięścią gdzieś pod prawe oko z siłą, o którą nawet siebie nie podejrzewał. Detektyw poleciał na ziemię między przewrócone meble i potłuczone szkło, a Harry, nie patrząc, jakich narobił szkód, ruszył do drzwi.

W zimnym szarym powietrzu na zewnątrz, słuchając zaniepokojonych głosów dobiegających ze środka, uświadomił sobie, że czuje ostry ból w prawej ręce i zapierającą dech ulgę. Naturalnie pobicie Vigeona niczego nie udowodniło, ale cios zadany temu wszystkiemu, co agent sobą przedstawiał stanowił dostateczną nagrodę. Śmiejąc się z własnej głupoty ruszył do samochodu.

Chesil Beach była pusta pod pochmurnym niebem, poruszane wiatrem fale rozbijały się z rykiem o brzeg. Harry Barnett i Nigel Mossop stali na kamienistym wybrzeżu, patrząc na gniew oceanu, i próbowali przekrzyczeć wicher, która smagała ich po twarzach i szarpała za ubrania.

- Heather dz-dzwoniła do mnie d-dwa dni temu. To oczywiście wielkie... wielkie z-zaskoczenie. I ulga. A co do Dysarta, tak samo jak ty nie mam... nie mam pojęcia, Harry.

- W każdym razie cieszę się, że cię wyciągnął z kłopotów, w które wpadłeś przeze mnie.

- To właściwie nie twoja w-wina, Harry, ale... fakt, Dysart w-wstawił się za mną. Ministerstwo rolnictwa w Dorchester. Z-zaczynam w przyszłym tygodniu. Już się na t-to cieszę. Nareszcie zostawię...

- Mallender Marine? Masz rację. Wiesz, pojechałem dzisiaj rano do Sabre Rise.

- Och... naprawdę?

- Oczywiście nie widziałem się z Charliem. Marjorie twierdzi, że źle przyjął te wszystkie rewelacje na temat Dysarta. Czuje się zdradzony, zawiedziony przez człowieka, którego lojalność uważał za rzecz pewną. Doprawdy zdumiewające.

- Co... co takiego?

- Że facet, który tak źle traktował swoją córkę, który rozwiązywał swoje problemy finansowe za pomocą wymuszeń, łapówek i defraudacji, kiedy tylko mógł, ma czelność wypominać komuś zdradę.

- No wiesz, to było... to było duże zaskoczenie.

- Rozumiem, ale mimo wszystko... - Harry spojrzał na Mossopa i uśmiechnął się. - Lepiej wracajmy do samochodu. Cały się trzęsiesz z zimna.

Gdy szli z powrotem ścieżką w stronę parkingu Harry'emu przyszło do głowy, że oto dobiega końca drugi dzień bezowocnych poszukiwań. Opuściwszy Blackawton poprzedniego dnia po południu udał się prosto do Tyler's Hard, a

stwierdziwszy, że dom jest ciemny i najwyraźniej pusty zrezygnował z dobijania się do Morpurga. Dojechał do Weymouth i poprosił Erniego o przenocowanie. Wieczór spędził w Globe Inn, upijając się na smutno, podczas gdy Ernie częstował go swoją opinią o skandalu Dysarta. Następnego ranka spróbował w Sabre Rise. Marjorie Mallender, wyraźnie zmieszana jego widokiem, wyjąkała mało przekonujące przeprosiny w imieniu pozostałych za wszystkie fałszywe oskarżenia, jakie wytoczyli przeciw niemu. Wkrótce wybiera się do Heather do Aten z krótką wizytą. Charlie nie będzie jej towarzyszył. Dla Dysarta nie czuła ani współczucia, ani pogardy; interesowało ją obecnie tylko dobro córki. Harry miał nadzieję, że przez wzgląd na nią Heather nigdy nie opowie jej całej prawdy. Zostawił wiadomość nie wyrażającą ani chęci podtrzymywania znajomości, ani nienawiści, a raczej nowo odkrytą obojętność. Uczucie to pogłębiło się jeszcze, kiedy sobie uświadomił własną reakcję na widok Roya Mallendera wyjeżdżającego z Mallender Marine parę godzin później. Nie potrafił już wywołać w sobie niechęci do tego człowieka; skończył z Royem, skończył z nimi wszystkimi.

- Co... co teraz zrobisz? - spytał Mossop, kiedy Harry zapalił silnik i ruszył w stronę Weymouth.

- Nie jestem pewien, Nigel. Chyba będę szukał Dysarta do skutku.

- Przecież on może... może być wszędzie.

- Wiem, ale nie mogę się teraz poddać.

- Czemu nie?

Harry nie odpowiedział. Miał wiele powodów, żeby tropić Dysarta: wyjaśnienia, które mu się należały; obietnica dana Corneliusowi; splątany węzeł kłamstw, który postanowił rozsypać. Ale co dziwne czuł, że gdzieś poza tym wszystkim kryje się jakiś ważniejszy powód, poprzedzający inne. Powód, którego sam nie potrafił jeszcze nazwać ani określić, póki nie dotrze do celu; powód, który zdoła zrozumieć jedynie z pomocą Dysarta.

Harry przyjechał do Swindon wczesnym wieczorem. Zastał matkę w stanie najwyższego zaniepokojenia. Niejaki pan Ellison, prawiący uprzejme słówka i wymachujący jakąś oficjalnie wyglądającą wizytówką, zjawił się ponad godzinę temu. Chciał się widzieć z Harrym i uparł się, że na niego zaczeka. Obecnie siedział w saloniku od frontu nad filiżanką herbaty, równie cierpliwy i nieugięty jak wtedy, gdy zadzwonił do drzwi

- Pan Ellison?

- W rzeczy samej. Pan Barnett?

Wymienili uścisk dłoni. Ellison miał silne ręce i szerokie bary wojskowego, rozmarzone spojrzenie i rozwlekły sposób mówienia człowieka z wyższych sfer. Jego garnitur wydawał się równie czarny jak włosy; wszystko w nim było schludne; regulaminową surowość łagodził jedynie lekki grymas ironii wokół ust. Obok jego krzesła stała czarna teczka ze złotym herbem wytłoczonym na klapie. Jedyny kolorowy akcent stanowił krawat w paski: jakaś renomowana uczelnia, podejrzewał Harry, chociaż nie potrafił określić która.

- Przepraszam, że tak się wprosiłem. Rozumie pan, sprawa jest dość pilna.

- Jaka sprawa?

- Chodzi o pańskiego przyjaciela, Alana Dysarta.

Uważaj, ostrzegł Harry sam siebie.

- Nie jestem pewien, czy pana rozumiem.

- No, no. - Grymas zniecierpliwienia. - Jestem związany z ministerstwem obrony, panie Barnett. Zlecono mi przeprowadzić dochodzenie w sprawie skandalu Dysarta, o którym gazety tak bardzo się rozpisywały w ostatnich dniach.

- Co to ma wspólnego ze mną?

- Samo w sobie nic, ale w kręgach oficjalnych panuje zdumienie, że... jakby to powiedzieć... że kompromitujące związki Dysarta tak długo uchodziły uwagi. To nas skłoniło do gruntownego przeanalizowania wszystkich jego działań i znajomości. Znalazłem się pośród tych, którzy zostali wytypowani do przeprowa-

dzenia dochodzeń tego rodzaju, a pan, panie Barnett, stanowi jedną z najbardziej zdumiewających zagadek.

- Naprawdę?

Ellison przespacerował się po pokoju, marszcząc brwi i nos na widok niemodnych mebli, zagraconego regału, makatki z wyszytą sentencją i plastikowej torby pełnej robótek ręcznych obok fotela. Potem obdarzył Harry'ego uśmiechem wyrażającym to, czego nie potrzebował mówić: dom pod numerem trzydziestym siódmym na Falmouth Street w Swindon był równie niepodobny do normalnego otoczenia Dysarta, jak Harry do jego typowych znajomych.

- Kiedyś u mnie pracował. Oddał mi parę przysług. Utrzymywaliśmy kontakty. Co w tym dziwnego?

Ellison podszedł bliżej.

- Okoliczności zmusiły mnie, bym przestudiował życie Alana Dysarta, przestudiował o wiele dokładniej, niżbym sobie życzył. Zbadałem szczegółowo jego małżeństwo, jego finanse i znajomości: czasem były to szczegóły wspaniałe, czasem niesmaczne.

- Czego pan szukał?

- Klucza, który otworzyłby drogę do tego, co pomogło stworzyć, a następnie zniszczyć tego człowieka. Nie ze względu na niego, rozumie pan, nie dla powszechnego oświecenia, ale by nas uchronić przed takimi... jakby to powiedzieć... niezręcznymi sytuacjami w przyszłości. A przynajmniej pozwolić nam je przewidzieć. Sytuacje podobne do tej, w którą Dysart wpędził swoich mecenasów politycznych. Oni bardzo nie lubią tego rodzaju historii.

- Dlaczego nie przejdzie pan do sedna?

- Ależ właśnie to robię. Pan jest sednem, panie Barnett: pan i to, co pan znał dla Alana Dysarta. Nie uczył się pan z nim w Oundle ani w Oksfordzie. Nie służył pan z nim w wojsku. Nie prowadził pan z nim interesów. Nie pasuje pan do jego życia. Stanowi pan niekonsekwencję, niezgodność, a przez to zagadkę.

- Z pewnością mało ważną.

- Jest jeszcze coś więcej. Rozumiem, że ostatnio odegrał pan rolę w nawiązaniu kontaktów pomiędzy panną Heather Mallender a jej rodziną. Rodziną, której druga córka zginęła w zamachu IRA na życie Dysarta w czerwcu osiemdziesiątego siódmego roku.

- Tak.

- Przyszły mi na myśl dwie rzeczy, panie Barnett. Po pierwsze, dlaczego... jakby to powiedzieć... przyjaciel Dysarta, który, zgodnie z zapewnieniami jego samego, miał dostęp do najpilniej strzeżonych tajemnic IRA, nie ostrzegł go o planowanym zamachu? I dlaczego, kiedy rzeczony przyjaciel opuścił niespodziewanie nasz kraj w ubiegłą sobotę, udał się do tego samego miasta, w którym pan szukał panny Mallender?

Harry starał się, by jego spojrzenie i głos wyrażały zaskoczenie.

- Cornelius uciekł do Aten?

- Właśnie tak. Naturalnie nie widział się pan z nim?

- Skąd.

- I nie ma pan pojęcia, gdzie może być teraz?

- Nadal w Atenach?

- Nie, nie sądzimy, by dalej tam przebywał. Cornelius zniknął nam z oczu, podobnie jak jego... przyjaciel. Oczywiście nie zna pan też miejsca pobytu Dysarta, prawda?

- Nie.

- Spróbujmy więc spytać o coś, co powinien pan wiedzieć. Dlaczego Dysart wypisał panu czek na tysiąc funtów jedenastego grudnia?

Mózg Harry'ego odmówił dostarczenia szybkiej lub wiarygodnej odpowiedzi. Harry popatrzył tępo na Ellisona, chciał coś powiedzieć, zawahał się...

- Gdzie on jest, panie Barnett?

- Nie wiem.

- Sądzę, że pan wie.

- Nie.

- Bardzo nam zależy, by go znaleźć, naprawdę bardzo.

- Dlaczego?

- Tej sprawy nie można tak zostawić. Sam pan rozumie. Zbyt wiele niedokończonych wątków, zbyt wiele... jakby to powiedzieć... niekonsekwencji. Gdzie on jest, panie Barnett? Musi mi pan powiedzieć, naprawdę pan musi.

- Nie wiem.

- Rozmawiałem z dawnymi przyjaciółmi Dysarta z uniwersytetu, Ockletonem i Cunninghamem; zdradliwa para. Również z żoną Dysarta, która obecnie szuka ukojenia w ramionach instruktora narciarskiego w Kitzbühel; to twarda kobieta. Wszyscy zgadzali się w jednej sprawie. Jeśli istnieje człowiek, któremu Dysart ufa, oczywiście, nie licząc Corneliusa, to jest nim pan. Nikt inny, tylko pan.

- Mylą się.

- Co to jest, panie Barnett? Co takiego jest w panu, do czego Dysart przyłgnął? Jeden z szeregu domów w anonimowym miasteczku, stara kobieta i jej syn-łajdak. Nic, czego by potrzebował lub co by znał. Nikt, na kim by mu zależało choć odrobinę, czyj los powinien go obchodzić. A jednak tak właśnie jest. Znienawidzona żona. Przyjaciele, którymi pogardza. Wykorzystywani znajomi. Kochanek, którego ukrywa. I pan. - Ciemne oczy Ellisona obiegły pokój, zanim się zatrzymały na Harrym. - Co go z panem łączy, panie Barnett?

- Nic.

Ellison cmoknął i westchnął.

- Lepiej, żebyśmy to my go znaleźli niż inni, panie Barnett, o wiele lepiej.

- Jacy inni?

- Moja wizytówka... - Ellison wyłowił jedną z kieszeni i wcisnął Harry'emu w rękę. - Gdyby pan jednak zmienił zdanie... gdyby, jakby to powiedzieć, zapragnął pan zrzucić ze swoich barków to brzemie... znajdzie mnie pan pod tym numerem o każdej porze. - Niespodziewanie odwrócił się i sięgnął po teczkę. - Muszę już iść. Proszę pamiętać... - Wpatrywał się w Harry'ego, nie pozwalając mu odwrócić wzroku. - On potrzebuje pomocy. Naszej pomocy. Jak najszybciej. We własnym

interesie. Jeśli obchodzi pana jego los, proszę zadzwonić.

A potem wyszedł, szybko i cicho, zostawiając Harry'ego, który opadł na fotel i wpatrywał się bezmyślnie w pusty ekran telewizora, na którym widział Dysarta w pierwszym dniu po swoim powrocie z Rodos. „Byłem inteligentny. Byłem błyskotliwy. Byłem wygadany”. Nie tylko przed kamerą. Całe jego życie tak właśnie wyglądało: inteligentne, błyskotliwe, elokwentne przedstawienie. Teraz dobiegło kresu. Gra się skończyła, zdjęto kostium, zerwano maskę. Jedyne powód przebieranki pozostał nieznany. Tylko cel, któremu miała służyć, nadal pozostawał niejasny.

- Już sobie poszedł? - spytała matka, wchodząc do pokoju.

- Nie, mamó. Schował się za telewizorem.

- Pewnie uważasz to za zabawne.

- Właściwie nie.

- Czego chciał?

- Rzeczy, której nie mogłem mu dać. Której nie posiadam. - Uśmiechnął się. -

Na razie.

LXII

W sobotę o dziesiątej rano Harry zastał Jonathana Mintera nieogolonego, zachrypniętego i ubranego jedynie w szlafrok kąpielowy i kapcie. Podążył za nim krótkim korytarzem do dużego, surowo umeblowanego salonu z widokiem na Tower Bridge. Patrzył, jak Minter opada na niski fotel, sięga po papierosa dymiącego na spodku. Pogarda dla młodości i arogancji Mintera zbierała się Harry'emu w gardle niczym flegma.

- Bóg wie, dlaczego pana wpuściłem - odezwał się dziennikarz. - Chyba z ciekawości. Czego pan chce?

- Szukam Dysarta.

- Witamy w kolejce. Wszyscy go szukamy. To ostatnia rozrywka narodowa.

- Sądziłem, że może domyśla się pan, gdzie może przebywać.

- Gdybym naprawdę wiedział, to raczej bym pana o tym nie zawiadamiał, prawda? Zachowałbym to na jutrzejszą stronę tytułową.

- Jedna strona tytułowa panu nie wystarcza?

Minter uśmiechnął się.

- Raz to zawsze za mało. Czemu pan przyszedł? Ma pan dla mnie materiał na następną? Chce mi pan sprzedać swój kawałek Dysarta?

Harry wziął głęboki oddech. Złość na nic się nie zda. Spojrzał przez okno na błękitne niebo, na absurdalny, oszałamiający majestat Tamizy, czerpiąc z tego widoku pewną dozę dystansu, nawet jeśli nie pociechy, i powoli siadł na kanapie naprzeciw gospodarza.

- Jeśli da mi pan jakąś wskazówkę dotyczącą miejsca pobytu Dysarta jestem gotów zdradzić panu informacje, które chciał pan kupić parę tygodni temu.

- Nic z tego, Barnett. Już pana nie potrzebuję. Sam wszystko odkryłem. Poza tym nie mogę handlować czymś, czego nie posiadam, a nie mam pojęcia, gdzie może być Dysart.

- A Virginia? Może ona wie?

- Niech pan sam ją spyta. Ona i ja... zerwaliśmy ze sobą. Uważała, zdaje się, że powinienem ją ostrzec o tym, co mi podrzucił Cornelius. Nie była zachwycona, kiedy ją opisano jako żonę pedała. Oczywiście chciała, żeby Dysart został zniszczony, zawsze tego chciała, ale na swoich własnych warunkach, nie na moich.

- Na pańskich warunkach?

- No dobrze, Corneliusa. Bóg wie, dlaczego się zdecydował wsadzić kij w mrowisko. Sprzeczka kochanków, jak sędzę. Tak czy inaczej dał mi to, czego potrzebowałem: szpilkę, by przygwoździć Dysarta.

- Czuje pan satysfakcję, że go pan zniszczył, prawda?

Minter zaciągnął się głęboko papierosem.

- Nie tak wielką, jak się spodziewałem. Chyba zbyt łatwo mi to przyszło.

Niespodziewany telefon. Spotkanie na stacji Paddington w ubiegłą sobotę. - Zerknął na zegarek. - Tak, mniej więcej o tej porze co teraz. Tam Cornelius wręczył mi wszystkie materiały. Podpisane oświadczenie, nagrane wyznania, kompromitujące listy. Pełny komplet. Nie zostało mi wiele do zrobienia. - Zerwał się z fotela i podszedł do okna. - Całe lata się zastanawiałem, co będę czuł, kiedy zniszczę tego człowieka, i teraz wiem.

- I co pan czuje?

- Mam wrażenie, jakby mnie oszukano, skoro koniecznie chce pan znać prawdę. Jakbym walczył zjadle z przeciwnikiem jedynie po to, by się przekonać, że ten poddał walkę, pozwolił mi wygrać, wręczył mi zwycięstwo niczym na talerzu z jakichś własnych pobudek.

- Jakich pobudek?

- Nie wiem. I to właśnie odbiera mi całą przyjemność. Jaki sens wygrywać, skoro się wie, że pozwolono nam na to? Grał pan kiedyś w solo-wista, Harry?

- Tak.

- No więc czuję się, jakby Dysart zawołał *misère ouvert* i zebrał lewę. Pokazał mi wszystkie swoje karty. Nie pozwolił, bym mu przeszkodził w przegraniu wszystkiego do końca. I udało mu się. Do cholery, udało mu się.

- Gdzie teraz jest, jak pan myśli?

Minter wskazał gestem niebo i miasto, rzekę i morze.

- Gdzieś tam.

- Ukrywa się?

- Nawet jeśli nie, to powinien. Niektórzy z tych, co go szukają, nie robią tego po to, by mu wyrazić swoje współczucie.

- Kogo ma pan na myśli?

- Wyobrażam sobie, że ludzie z wywiadu chętnie odbyliby z nim dłuższą rozmowę. Tak samo IRA. Prawdopodobnie sądzą, że dotrą przez niego do Corneliusa. Potem członkowie mojej szlachetnej profesji, banda wolnych strzelców i obrażeni. Jak choćby Rex Cunningham. Ostatnio odwiedził mnie w tym samym

celu, co pan: chciał się dowiedzieć, gdzie jest Dysart. Wydaje się, że chce koniecznie wywlec tę starą historię o defenestracji w Oksfordzie, o której wspomniałem w swoim artykule, chociaż Bóg jeden wie po co. - Minter wyszczerzył zęby. - A za nimi wszystkimi pan, sporo spóźniony.

- Nie wierzy pan, że go znajdę?

- Nie wierzę, że w ogóle zostanie odnaleziony. - Minter zaciągnął się papierosem. - Dopóki on sam nie będzie tego chciał.

LXIII

W chwili gdy Harry zaczynał dochodzić do wniosku, że odbył wyprawę do Kensal Green na próżno pani Tandy otworzyła drzwi frontowe. Skrzywiła się na dźwięki reggae napływające z sąsiedniego okna, po czym przeniosła całą uwagę na Harry'ego i uśmiechnęła się doń najmilej, jak potrafiła, jakby był wyrostkiem składającym wyrazy szacunku swojej ciotecznej babce.

- Pan Barnett! Co pana tu sprowadza?

- Właśnie... właśnie przechodziłem. Pomyślałem, że może dostała pani jakieś wieści od Zohry.

- Ma pan szczęście. Wróciła wczoraj wieczorem.

- Jest w domu?

- Nie. Z pół godziny temu wyszła zrobić mi zakupy. Co za miła, uczynna dziewczyna z tej Zohry, nie sądzi pan?

- No... ja...

- O, właśnie idzie! - Uśmiech pani Tandy stał się promienny. - Musiała wy czuć, że jej potrzebujemy.

Kiedy się odwrócił Zohra stała nie dalej niż dwa metry od niego, z twarzą zasłoniętą kołnierzem zimowego płaszcza. Nie wzdrygnęła się, nie zmrużyła oczu. Nie okazała żadnej najdrobniejszej reakcji na jego widok. Tylko prawa ręka, w której ścisnęła pasek torebki, drżała prawie niedostrzegalnie.

- Nie sądziłam, że cię jeszcze zobaczę - powiedziała obojętnie.

- Znalazłem ją, wiesz? - odparł Harry. - W Atenach. - Odczekał chwilę. - Jest w tym i twoja zasługa.

Nadal żadnej oznaki zmieszania. Zohra spojrzała najpierw na panią Tandy, potem na Harry'ego.

- Wejdiesz na górę? Porozmawiamy.

Ale nic nie mówiła. Poprowadziła go do swojego mieszkania, otworzyła drzwi i zamknęła je za nimi, zdjęła płaszcz i powiesiła go starannie, zapaliła gazowy kominek i zaczęła przygotowywać kawę dla jednej osoby. I cały czas milczała.

- Heather sądzi, że Dysart cię szantażował - powiedział uparcie, z naciskiem, wchodząc za nią do maleńkiej kuchni. - To znaczy, zmusił cię, żebyś mnie wprowadziła w błąd.

Żadnej reakcji; wpatrywała się uparcie w niebieski płomień igrający wokół czajnika stojącego na kuchence.

- Oczywiście nie wiem, jak było naprawdę.

Brak odpowiedzi.

- Ale mnie oszukiwałaś, prawda?

Minęło kolejnych parę chwil, woda w czajniku zaczęła szumieć.

- Prawda?

Zohra powoli przekręciła kurek od gazu.

- Tak - odpowiedziała, odwracając się do niego. - Oszukiwałam.

- Podejrzenia, które podobno żywiłaś wobec doktora Kingdoma, dotyczące jego stosunków z Heather?...

- Były fałszywe.

- Niezgodności dotyczące dat jego wyjazdów do Versorelli Institute?...

- Zmyślane.

- A notatki na temat Heather?

- Sfalszowałam je.

- Więc cała historia, od początku do końca była stekiem kłamstw?

- Tak.

- I zrobiłaś to wszystko na polecenie Dysarta?

- Tak.

- Powiedział ci dlaczego? Wyjaśnił cel tego wszystkiego?

- Nie. Ale się domyślałam. Był przekonany, że Kingdom ukrywa Heather w Versorelli Institute. Potrzebował ciebie, żeby ją stamtąd wywabić. I potrzebował dowodów, by cię skłonić do wyjazdu.

- A ty mu pomogłaś, choć wiedziałaś, co zamierza zrobić Heather, gdyby ją odnalazł?

- Tak. Ale przez cały czas czułam pewność, że się myli. Nie wierzyłam, że uda ci się znaleźć Heather. Ani w Versorelli Institute, ani gdzie indziej.

- Czy to ma usprawiedliwić twoje postępowanie? Wyjaśnić kłamstwa, których mi naopowiadałaś, przekręcanie faktów, półprawdy, zafalszowania?

- Nie. Nic tego nie usprawiedliwia.

- No dobrze, dajmy spokój usprawiedliwieniom. Przejdźmy do wyjaśnień. Czemu to zrobiłaś?

- Nie mogłam inaczej.

- Więc Heather miała rację? Dysart cię szantażował?

- W pewnym sensie.

- Groził, że każe cię deportować?

- Tak.

- Więc by uniknąć powrotu do Sri Lanki byłaś gotowa wystawić Heather na niebezpieczeństwo... i zrobić ze mnie głupca.

Dopiero teraz spuściła wzrok, podbródek zaczął jej drżeć. Harry poczuł, jak ogarnia go fala niezrozumiałego współczucia. Potem Zohra opanowała się, podniosła głowę i znowu spojrzała na niego.

- Wszystko, co powiedziałaś jest prawdą. Zasługuję na wszystko, co możesz o mnie powiedzieć. Zdradziłam Heather. Oszukałam ciebie. Nadużyłam zaufania. I wszystkiego tego żałuję. Wstydzę się tego, co zrobiłam, bardzo się wstydzę.

Powiedziałam, że nie miałam wyboru, ale oczywiście to nieprawda. Mogłam odrzucić jego warunki. Mogłam mu się przeciwstawić.

- Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Bo się bałam. Nareszcie to powiedziałam: strach wziął górę nad moją lojalnością i przyjaźnią. Myślisz, że tak musi być zawsze, Harry?

- Nie.

- Ja też nie. I przez to wszystko staję się jeszcze smutniejsza. - Zadrzała. - Zimno tutaj. Siądźmy przy ogniu.

Harry ruszył za nią do salonu; osunęła się ze znużeniem na fotel przed kominem. Stał w pewnej odległości, czekając, by mówiła dalej.

- Moje pozwolenie na pracę miało wygasnąć z końcem czerwca ubiegłego roku. Powiadomiono mnie wcześniej, że nie zostanie przedłużone: ministerstwo spraw wewnętrznych życzyło sobie, żebym opuściła kraj. Nic nie powiedziałam Kingdomowi; bałam się, że mnie natychmiast zwolni, jeśli się dowie, iż niedługo sama będę musiała zrezygnować. Zamiast tego zwierzyłam się Heather. Jej siostra pracowała u członka parlamentu. Sądziłam, że uda się jej może wpłynąć na władze. Heather bardzo się przejęła i przedstawiła mnie Alanowi Dysartowi. Wydawał się równie współczujący i obiecał zrobić, co w jego mocy. Jak się okazało, było to całkiem sporo, bo natychmiast przyznano mi trzymiesięczną prolongatę. Naturalnie zapytałam, jakie są szanse kolejnego przedłużenia, i wtedy właśnie zaczął mnie naciskać. Szanse są duże, powiedział, pod warunkiem, że mu pomogę.

- W czym?

- W szpiegowaniu doktora Kingdoma. Dysart chciał poznać wszystkie szczegóły jego zapisków na temat Heather. Chciał mieć kopię każdej notatki doktora i każdego listu, jaki wysyłał w jej sprawie. Miałam mu donosić o wszystkim, co doktor Kingdom powiedział o niej i co mówił do mnie.

- I zgodziłaś się?

- Tak. Z początku wydawało się to nieszkodliwe. I oczywiście w nagrodę

dostałam kolejne trzymiesięczne przedłużenie. Potem Heather zniknęła. Próbo-
wałam sobie tłumaczyć, że informacje, jakie przekazywałam Dysartowi, nie mają
z tym żadnego związku. W tym czasie Dysart zaczął podejrzewać, że Heather i
doktor Kingdom są w zмовie. Zmieniło się to w silne przekonanie, gdy mu
opowiedziałeś o spotkaniu z Kingdomem w Lindos na parę dni przed zaginięciem
Heather. Moim zadaniem, celem miało być zaszczepienie w twoim umyśle
przekonania, że doktor przetrzymuje ją wbrew woli w Versorelli Institute. Wcale
nie dowiadywałam się o daty i godziny jego zajęć. Po prostu przekazałam ci
terminy, które, zdaniem Dysarta, miały wzbudzić twoje podejrzenia. Co do no-
tatek, to stanowiły mieszaninę rzeczywistego materiału i fikcyjnych pomysłów
Dysarta dobranych w taki sposób, by odpowiadały jego wersji zdarzeń. Nasze
nerwowe narady i tajemne spotkania miały dopełnić efektu.

Harry przypomniał sobie dublerkę Heather, którą Miltiades posłał za nim na
Rodos. Zdawało się, że od tamtej pory tropił złudy i ścigał cienie.

- Kiedy zabraliśmy panią Tandy na cmentarz - powiedział, nie starając się
nawet ukryć goryczy w swoim głosie - jakiś człowiek robił nam zdjęcia. Jego też
się spodziewałaś?

- Tak. Dysart mnie ostrzegł. Ale nie wiedziałam, czemu to miało służyć.

Zohra nie wiedziała, ale Harry mógł zgadywać. Wierzył, że za wszystkim
kryje się Kingdom, i w to właśnie miał wierzyć, w to i w całą resztę.

- Jaka była twoja nagroda tym razem?

- Prawo stałego pobytu.

- I uznałaś, że ci się to opłaca?

- Tak, tak mi się wydawało.

- Więc jesteś zadowolona, nawet jeśli nikt inny nie ma powodów do radości?

- Niezupełnie. - Pierwszy raz od chwili, gdy usiadła, spojrzała prosto na niego.

- Możesz mówić, że dostałam to, na co zasłużyłam, Harry. Chociaż nie tego się
spodziewałam. Nawet jeśli Dysart zamierzał dotrzymać swojej obietnicy, teraz
nie ma już władzy, by to zrobić. W ministerstwie moja sprawa jest kojarzona z

jego osobą. Więc pójdę na dno razem z nim. Widzisz ten list na kominku?

Pognieciona szara koperta tkwiła wetknięta za krokodyla z porcelany.

- Tak - odparł Harry. - Widzę.

- Przeczytaj go sobie.

Wziął kopertę i wyjął z niej pojedynczą kartkę papieru.

- To nakaz deportacji - wyjaśniła Zohra. - Mam wyjechać do końca miesiąca. I wierz mi, nie jest sfalszowany.

Harry zerknął na kawałek papieru, który trzymał w ręce, i przez chwilę pozwalając, by jego oczy śledziły urzędniczą prozę.

- Masz opuścić Zjednoczone Królestwo do trzydziestego pierwszego stycznia... Bez prawa odwołania od tego zarządzenia... W wypadku niezastosowania się nastąpi przymusowa deportacja do kraju pochodzenia... - Włożył list do koperty i spojrzał na nią bez współczucia, ale i bez potępienia. - Naprawdę wygląda to tak źle?

- Tak, Harry, bardzo źle. Daleki kuzyn ze strony mojej matki jest prawnikiem. W tym tygodniu pojechałam do niego. Myślałam, że przynajmniej uda mi się zmienić nakaz na tyle, bym nie musiała wracać do Sri Lanki. Ale sprawa jest beznadziejna. Kuzyn wątpi, by przyjął mnie jakiś inny kraj.

- Więc pojedziesz do Sri Lanki?

- Muszę. Nie mam innego wyjścia.

- No cóż, na pewno przywykniesz po pewnym czasie...

- Nie rozumiesz. Mój brat jest znanym członkiem tamilskiego ruchu separatystycznego. Rząd uważa go za niebezpiecznego terrorystę. Gotowi są zrobić wszystko, byle tylko go zmusić do oddania się w ręce armii. Wracając, stanę się ich zakładniczką. Odkąd Arjuna zszedł do podziemia trzy lata temu, próbuję uniknąć powrotu do Sri Lanki ze względu na niego i na siebie. Dlatego zgodziłam się zrobić to, czego chciał Dysart. Gdyby potrzeba nie była tak nagląca... - Odwróciła wzrok. - Mniejsza o to. Nieważne, co mogłam albo powinnam była zrobić. Ten list jest skutkiem tego, co zrobiłam. Oto moja sprawiedliwa nagroda.

Tym razem to Harry odwrócił spojrzenie. Wyjaśnienia Zohry nie usprawiedliwiały jej postępowania, ale zasiały w jego umyśle niepokojącą myśl: jak on sam postąpiłby na jej miejscu? Odłożył list na kominek i spojrzał w złośliwe oczka porcelanowego krokodyla. Próbowala go ostrzec, czyż nie? Na swój sposób próbowała go ostrzec. „Bądź ostrożny” - powiedziała, kiedy jechał do Genewy. „Bardzo ostrożny”.

Zadzwoił telefon. Zdawało się, że dźwięk dobiega z wielkiej odległości, ale naprawdę rozlegał się z drugiego kąta pokoju. Uparty sygnał dzwonka przedarł się przez myśli Harry'ego. Słyszał, jak Zohra podnosi się z miejsca i wolno idzie przez pokój - tak wolno, że niemal oczekiwał, iż telefon przestanie dzwonić, nim do niego dotrze. Ale nie przestał.

- Halo?... Co?... - Coś w jej głosie sprawiło, że Harry odwrócił się i spojrzał na nią. Pobladła; drżała. - Tak, ale... Dobrze. - Popatrzyła na niego. - To Dysart. Chce z tobą rozmawiać.

W jaki sposób znalazł się przy niej i wziął słuchawkę, jakie spojrzenia wymienili, kiedy to robił - nie potrafił sobie później przypomnieć. Gdy tylko usłyszał Dysarta, cały jego świat skurczył się do mrocznego królestwa, z którego przybawał ten odległy głos. Wszystko inne leżało poza zasięgiem percepcji.

- Harry?

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Widziałem, jak wchodziłeś. Śledziłem cię od mieszkania Mintera. Ścisłej biorąc od Swindon.

- Gdzie jesteś teraz?

- Niedaleko. Nieważne gdzie. I tak byś mnie nie znalazł.

- Czego chcesz?

- Spotkać się, nic więcej. Porozmawiać. Wyjaśnić parę spraw.

- Gdzie i kiedy?

- W Tyler's Hard. O czwartej dzisiaj po południu. Możesz tam być?

- Tak, ale...

- Ani słowa, póki się nie zobaczymy. Ufam ci, Harry. Przyjdź sam i punktualnie.

LXIV

Czwarta. Cichy, bezchmurny dzień, który przyniósł parę godzin zwodniczego ciepła, rozluźniał swój drżący uścisk. Barwy i ciepło niknęły w miarę, jak słabło światło, odbierając nadzieję nieruchomym drzewom, spokojnej wodzie, krętej alei, pustym polom. Idąc w stronę Tyler's Hard, Harry słyszał jedynie odgłos własnych kroków. Pomost wyciągał w wodę ocieniony palec, dom stał ciemny i cichy, skulony i jakby zatopiony w myślach, niegościnnie, a równocześnie wyczekujący.

Brama była otwarta. Harry rozejrzał się, zauważając brak samochodu i ogniska; chłodna aura opuszczenia otaczała puste okna i kominy, z których nie unosił się dym. Minął bramę i ruszył do drzwi domu. Wszystko trwało nieruchome. Nic nie zaszeleściło, nie poruszyło się, nic nie wskazywało na czyjąś obecność. A jednak czuł wyraźnie i z całą pewnością, że jest obserwowany. „Przyjdź sam i punktualnie”. Spełnił oba polecenia i wiedział, że tym razem nie zostanie oszukany.

Drzwi były uchylone. Skrzypnęły, kiedy je pchnął, potem cisza wróciła. Krótki korytarz, schody i kuchnia na tyłach, drzwi po obu stronach, jedne i drugie otwarte. I wtedy, nareszcie, jakiś dźwięk. Tarcie drewna o drewno. Coś zamknęło się cicho w pokoju po lewej, jakby ktoś opuścił ostrożnie blat biurka. Nie zdając sobie niemal sprawy z tego, co robi, Harry ruszył w tę stronę. Wszedł, jakby budził się ze snu, który rozpoczął się w zupełnie innym otoczeniu; jakby rozpoznawał miejsce, którego nie widział nigdy wcześniej.

Mały, konwencjonalnie umeblowany salonik, słabo widoczny w szarym półmroku przesączającym się przez firanki, niczym zapowiedź całkowitej ciemności. Harry spostrzegł Dysarta na moment wcześniej, nim ten sięgnął do

lampy stojącej obok i jego wyniosła nieruchoma sylwetka zginęła nagle w powodzi światła.

- Witaj, Harry.

Głos był ten sam, pewny siebie i łagodny w tonie. Nienaganny strój: wypastowane buty, odprasowane spodnie, niepokalanie biała koszula. Alan uśmiechał się. Odrzucił z czoła jasne włosy i uśmiechał się. Tylko z oczu - tylko z odrobinę mniejszej jasności i pewności siebie widocznej w spojrzeniu - dało się wyczytać ślad zmiany.

- Dobrze, że zrobiłeś, tak jak prosiłem.

Harry podszedł bliżej. Dysart stał obok niskiej gablotki ze szklanym blatem. Wewnątrz na zielonym rypsie leżały medale. Myśl, że dźwięk zamykania tej właśnie gabloty słyszał z korytarza, sprawiła, iż Harry spojrzał uważniej na jej zawartość.

- Należały w większości do mojego dziadka ze strony matki - wyjaśnił Dysart.

- Dowodził krążownikiem na Jutlandii. Zmarł przed moim urodzeniem, ale opowieści o jego osiągnięciach sprawiły, że sam zapragnąłem wstąpić do marynarki. Chyba byłby dumny z tego, jaką zrobiłem karierę, chociaż nie jestem pewien do końca. Może by mi wypominał, że nie jestem jego wnukiem.

A więc zostało to wreszcie powiedziane. Przyznane. Harry podniósł wzrok znad medali zawieszonych na barwnych wstążkach i zobaczył, że Dysart nadal się uśmiecha, nadal traktuje go jak bliskiego przyjaciela - którego zdradził, ale którego się nie wyrzekł.

- Spotkałem Barry'ego Chipchase'a w Atenach - powiedział wolno i z naciskiem, tak by sens był zupełnie jasny. - Przypadkiem.

- I on powiedział ci o grobie w Solihull?

- Tak.

Suchy śmieszek.

- Powinienem wiedzieć, że nawet wypadek obróci się przeciwko mnie.

- Nie jesteś synem Gordona Dysarta?

- Adoptowali mnie, gdy ich jedyny syn, Alan, zmarł na heine medinę. Adoptowali i dali to samo imię. Zrobili ze mnie sobowtóra chłopca, który nie żył. I nigdy mi nie powiedzieli, że nie jestem ich rzeczywistym potomkiem ani prawnym dziedzicem. Miesiąc po tym, jak poszedłem do Oksfordu, ojciec umarł, zostawiając mi w testamencie swoją fortunę, dom, imperium handlowe... i zapieczętowany list zdeponowany u prawnika, informujący o prawdzie, którą powinienem poznać już dawno. Ułożyłem sobie, zaplanowałem, przygotowałem w każdym szczególe, czego ma dokonać moje pokolenie Dysartów, i nagle to wszystko straciło sens. Nie byłem i nigdy nie mogłem zostać ich synem.

- A czym synem byłeś?

- Zgodnie z tym, co zawierał list, ojciec nie wiedział. Bezimienny sierota, dziecko nieznanymi rodziców. Tylko tyle zechciał mi zdradzić. Uznał, że po śmierci ich obojga tyle mi się należy. Naturalnie oprócz spadku: nieprzebranego, niewyczerpanego majątku. Byłem bogaty, zdolny, osaczony zazdrością. A jednak w głębi duszy zostałem sprowadzony do pozycji żebraka, przypadkowego beneficjenta dobroczynności bogacza.

- To właśnie odkrył Everett?

- Tak. Że nie należę do Dysartów. Że nie jestem tym, za kogo się podaję.

- I zabiłeś go, żeby nie powiedział innym?

- Ramsey Everett był łajdakiem, Harry, okrutnym i mściwym łajdakiem. Wiedział, że zrobię wiele, by uniknąć problemów, jakie mogły spowodować jego odkrycia. Ciągłe miał długi, ponieważ żył ponad stan. Chciał, bym spłacił jego wierzycieli w zamian za milczenie. Nie planowałem zamordowania go, w ogóle niczego nie planowałem. To się zdarzyło niespodziewanie, w przyływie gniewu. I było takie proste. Stał przy oknie - otwartym na oścież, z niskim parapetem - recytując brudne szczegóły tego, co ujawni, jeśli odmówię jego żądaniom, kiedy się na niego rzuciłem. Poleciał do tyłu, w mrok, z wyrazem takiego zdumienia na twarzy, że chyba nie wierzył w to, co się stało, póki nie uderzył o płyty dzie-
dzińca.

Dysart zrobił kilka szybkich kroków przez pokój, jak gdyby naraz poczuł potrzebę pewnego dystansu, przestrzeni, dla wyznania tego wszystkiego, co ukrywał tak długo. A jednak kiedy znowu zwrócił się twarzą do Harry'ego w jego rysach kryła się zapowiedź uśmiechu.

- Reszta, pozostałe morderstwa, te, które się powiodły, i nieudane próby, stanowiły konsekwencję tego jednego impulsywnego kroku. Ale nie muszę ci o tym opowiadać, skoro Jack już to zrobił. Spotkałeś go w Atenach, prawda?

- Tak.

- Tak myślałem. Podejrzewałem, że ciebie wybierze na swego powiernika. Prosił cię może o przekazanie jakiejś wiadomości?

- Czy dlatego chciałeś się ze mną zobaczyć?

- Nie. Istniały inne, ważniejsze przyczyny. Ale mimo to chciałbym się dowiedzieć, czy to zrobił.

- Tak. Miałem ci przekazać, że nie zostawiłeś mu wyboru.

- Nie zostawiłem? No cóż, może i ma rację. Coś jeszcze?

- Że ci przebacza.

Jakiś skurcz, jakby stłumiony szloch, wstrząsnął ciałem Dysarta. Przyciskając rękę do czoła zbliżył się do kominka i oparł ciężko o gzyms. Potem, jak się zdawało, odzyskał panowanie nad sobą. Wyprostował się i spojrzał na Harry'ego.

- Zawarłem z Jackiem układ, że nigdy nie zdradzę, jak wiele znaczyliśmy dla siebie. Teraz też go nie złamię. - Wraz z tym wyjaśnieniem otrząsnął z siebie chwilową słabość. - Pewnie opowiedział ci wszystko: jak postanowiliśmy przeszkodzić Willowi w złożeniu zeznań po śmierci Everetta; jak powstrzymaliśmy Clare przed próbą szantażu; co chciałem zrobić, by Heather nie odkryła prawdy o śmierci swojej siostry.

- Tak. Wszystko.

- I jak manipulowałem tobą, byś odnalazł Heather dla moich celów?

- To też.

- To było odrażające, prawda, Harry? Godne najwyższej pogardy. Niewyba-

czalne. I zastanawiasz się teraz, dlaczego to zrobiłem, jak mogłem się do tego posunąć. Zabiłem Everetta wiedziony impulsem. Ale uszkodzenie samochodu Willa i podłożenie bomby na pokładzie Artemidy, zanim wysłałem tam Clare, to co innego; obie te sprawy zostały zaplanowane, obmyślane wcześniej. - Dysart pokręcił głową na tamto wspomnienie. - To dziwne, nie sądzisz, co można w sobie odkryć, kiedy człowiek się znajdzie w sytuacji bez wyjścia? Odwróciłem się od okna, przez które właśnie wypchnąłem Everetta, pewny, że wywinąłem się gładko ze wszystkiego. I zobaczyłem w drzwiach Willa patrzącego na mnie z wyrazem szczerego przerażenia na twarzy. Już wtedy wiedziałem, że w ten czy inny sposób muszę go uciszyć. I wiedziałem też, że nic mnie przed tym nie powstrzyma. Naturalnie na Willu miało się skończyć. Później nawet próbowałem uspokoić sumienie dając mu pracę i dach nad głową. I szybko podjąłem kroki mające na celu zapewnienie, że nikt już nie znajdzie śladów świadczących o moim pochodzeniu. Odkąd pozbyłem się ostatniego dowodu - kamienia nagrobego mojego imiennika na cmentarzu w Solihull - sądziłem, że jestem bezpieczny. I tak by się stało, gdyby Clare nie próbowała mnie wykorzystać do zrealizowania swoich ambicji politycznych.

- Naprawdę zaszła w ciążę z tobą?

- Tak. Głupi przypadek. Byłem wtedy zmęczony i przygnębiony, i mocno pijany. Nie mogę zaprzeczyć, dobrze wybrała moment. Ale nie pozwolę, by mi grożono, Harry. Ci, którzy się ośmielili to zrobić gorzko tego żałują.

- Czy Heather ci groziła?

- Nie. - Dysart westchnął. - Byłaby pierwszą całkiem niewinną ofiarą.

- A ja miałem cię do niej zaprowadzić?

- Tak. Przykro mi, Harry, ale nie miałem nikogo, komu mógłbym zaufać.

- Albo wykorzystać.

- Pewnie to też. Widzisz, sława ma swoje wady. Kiedy Heather zniknęła musiałem założyć najgorsze: że domyśliła się moich zamiarów, ukryła się, prawdopodobnie przy pomocy Kingdoma, i chce pozostać w ukryciu, póki nie zgro-

madzi wystarczających dowodów, by wystąpić przeciw mnie. Nie mogłem jej na to pozwolić. Musiałem ją odnaleźć, nim zdąży poskładać wszystkie elementy. A równocześnie sam nie mogłem tego robić. Byłem zbyt dobrze znany, za bardzo rzucałem się w oczy. Potrzebowałem kogoś innego, by prowadził za mnie poszukiwania. Ty miałeś własne powody, żeby jej szukać, i ufałeś mi. Czy istnieje lepszy kamuflaż? Stałeś się moim zastępcą, pełnomocnikiem, moim adiutantem.

- Więc po co nasyłałeś na mnie Vigeona?

- Musiałem mieć pewność, że niczego przede mną nie ukrywasz, że powtarzasz mi wszystko, czego się dowiedziałeś. A równocześnie nie mogłem dopuścić, byś stracił zapał albo doszedł do wniosku, iż w zniknięciu Heather nie kryje się nic niepokojącego. Znam cię lepiej niż ty sam, Harry. Nic nie popycha cię do działania równie skutecznie, jak przekonanie, że ktoś cię próbuje powstrzymać. Stąd wiadomości, telefony, zdjęcia. Dlatego Vigeon dał ci poznać, że cię śledzi. I stąd brutalne ostrzeżenia ze strony policji. To nie był wcale pomysł Charliego Mallendera, ale mój.

- A Zohra Labrooy?

- Zwykła pomocnica. Miała cię utrzymywać na właściwym kursie.

- Zdajesz sobie sprawę, że czeka ją deportacja?

- Tak. To przykre, ale teraz nie mogę nic zrobić, by temu zapobiec. Ironia sytuacji polega na tym, że jej praca poszła na marne. Kingdom, jak się okazało, o niczym nie wiedział. Przez co twój sukces staje się tym bardziej znaczący. Jak tego dokonałeś?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Chyba nie. Lepiej, by pozostało to niewypowiedziane. Ale powiedz mi jedno, Harry: czy pójdziesz za przykładem Jacka? Czy mi przebaczysz?

- Nie. Chyba nie mógłbym tego zrobić.

- Czemu? Z powodu morderstw? Czy dlatego że zrobiłem z ciebie głupca?

Trafił w sedno. Trudno było wzbudzić w sobie gniew z powodu śmierci nieznanymi osobami, łatwo szukać zemsty z powodu zranionej dumy.

- Z powodu jednego i drugiego.

- Wybaczysz mi. Już za chwilę.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Cierpliwości, Harry. Wytrzymaj jeszcze chwilę. Najpierw musisz zrozumieć pewną sprawę. To nie wymówka, nie żadne usprawiedliwienie, ale wyjaśnia moje prawdziwe motywy lepiej, niż sam byłbym skłonny przyznać nawet przed sobą. Moje pochodzenie, moje życie, moja rodzina - wszystko zostało zbudowane na kłamstwie, że jestem tym, za kogo ludzie mnie uważają. Powtarzałem to kłamstwo przez całe życie. Zachowywałem się, jak powinien się zachowywać człowiek na moim stanowisku. Wierzyłem w to, w co powinien wierzyć ktoś o mojej pozycji społecznej. Uśmiechałem się i płaszczyłem w Oksfordzie, w Marynarce Królewskiej, w rządzie Jej Wysokości. Zawsze mi się udawało, nigdy nie zrobiłem fałszywego kroku. I wiesz, czego mnie nauczyły te wszystkie tanie zwycięstwa i łatwe tryumfy? Że na szczycie nie ma nic poza próżnią, pustką stanowiącą uosobienie kłamstwa, że wszyscy inni postępują równie nieetycznie jak ja. Honor. Lojalność. Uczciwość. Patriotyzm. Moralność. Zasługi. Nic nie znaczą. Rządzi nami hipokryzja, oddajemy władzę pozorom. I dlatego nie żałuję, że zdradziłem tę sforę głupców i łajdaków, którzy domagają się mojej głowy teraz, kiedy zostałem odkryty. To, co ujawnienie mojego wstydliwego sekretu mówi o nich, rozwścieczyło ich o wiele bardziej niż to, jak świadczy ono o mojej uczciwości. Cały podziw, całe poparcie, cały szacunek, który wyłudziłem od nich oszustwem, dławi ich w gardłach i podważa zbyt wysokie mniemanie o sobie. Bardziej niż czegokolwiek nienawidzą tego, że mój upadek ujawnił zakłamanie społeczeństwa, którym rządzą.

- Więc wszystko jest pozorem? Nawet przyjaźń?

- Nie. - W oczach Dysarta błyszczało głębokie przekonanie, którego brakło w jego słowach. - Przyjaźń nie. Zgodzisz się chyba, że byłem dla ciebie dobrym przyjacielem?

- Tak, ale...

- I byłbym nim w dalszym ciągu.

- Nawet gdybym doszedł do takiego samego wniosku, jak Heather? Gdybym odkrył, że zamordowałaś jej siostrę i Everetta?

Dysart uśmiechnął się.

- Nawet wtedy.

- Jesteś pewien, że nie zaaranżowałbyś kolejnego śmiertelnego wypadku, tym razem dla mnie?

- Najzupełniej, Harry, najzupełniej. - Jego twarz przybrała pociągający, niemal smutny wyraz. - Widzisz, w pewien sposób robiłem to wszystko dla ciebie.

- Dla mnie?

- Jest pewna rzecz, którą powinienem ci wyjaśnić. Ramsey Everett nie tylko odkrył, że nie jestem synem Gordona Dysarta. Zrobił coś więcej: dowiedział się, czyim dzieckiem jestem naprawdę. Tym, co później starałem się ukryć z takim nakładem starań nie był fakt, że zostałem adoptowany, ale to, że w rzeczywistości jestem synem morderczyni.

- Morderczyni?

Znowu smutny, zamyślony uśmiech.

- Paul i Gwendolen Stobart. Oczywiście to tylko imiona, ale tak się składa, że należały do moich prawdziwych rodziców. Opowiem ci tę odrobinę, której się o nich dowiedziałem. Paul Stobart był londyńskim dokerem, którego rzadko udawało się zastać w pracy, znanym z pijaństwa i porywczosci. Gwendolen, jego żona, pochodziła z południowej Walii. Mieszkali w Bermondsey. Prawdopodobnie moje przyjście na ten świat nadwerężyło zarówno ich finanse, jak i wzajemne stosunki. Paul Stobart zapewne często bijął żonę i możliwe, że obawiała się zarówno o swoje bezpieczeństwo, jak i moje. Jakkolwiek wyglądały rzeczywiste przyczyny, sprawy doszły do punktu wrzenia parę dni po moim urodzeniu. W punkcie kulminacyjnym awantury, podsłuchanej przez sąsiadów, Gwendolen - używając pogrzebacza i kuchennego noża - zabiła męża, po czym uciekła, zabierając mnie ze sobą. Zniknęła bez śladu na kilka miesięcy. Jakiś czas później

pewna kobieta otruła się gazem w Cardiff. Zidentyfikowano ją jako Gwendolen Stobart. Poszukiwania zakończono.

- A co... a co się stało z tobą?

- Wtedy znajdowałem się już w sierocińcu i nikt nie podejrzewał, czym jestem dzieckiem. Ale Gwendolen zostawiła list, w którym wyjaśniała gdzie i kiedy mnie porzuciła, i w ten sposób rozwiązano zagadkę mojej tożsamości. Ponieważ nie miałem żadnych żyjących krewnych, uznano, że powinienem zostać tam, gdzie jestem. Stobartowie nie zdążyli jeszcze nadać mi imienia ani zgłosić w urzędzie mojego urodzenia, kiedy zdarzyło się morderstwo. Zdecydowano, iż najlepsza będzie dla mnie anonimowość. Tak znalazł mnie Dysart, kiedy szukał dziecka tej samej płci i w tym samym wieku, co jego zmarły syn Alan. Nikt nie uznał za stosowne powiedzieć mu całej prawdy o mnie. Może w tym czasie w sierocińcu nie pracował już nikt, kto by ją znał. Tak czy inaczej, moi rodzice z pewnością żyli i umarli w błogiej nieświadomości tego, kim naprawdę jestem. Wydobycie wszystkich faktów z archiwów wymagało dopiero wytrwałości i pomysłowości Ramseya Everetta. Wiesz, co było jedną z ostatnich rzeczy, jakie mi powiedział, Harry? Wiesz, czym próbował mi dopiec? Ciągłe słyszę ten jego wysoki, piskliwy, ironiczny głos. „Mógłbym zrobić z ciebie główny przedmiot mojej pracy dyplomowej, staruszk”. Wyobrażasz sobie, co to znaczy być zmuszonym do słuchania czegoś takiego? „A może powinniśmy zaproponować dyskusję w Towarzystwie Tyrrella na temat tego, czy mordercze instynkty są dziedziczne?” Boże na niebie, Harry, czy możesz mnie winić za to, co zrobiłem?

Dwadzieścia lat później gniew, jaki wzbudziły słowa Everetta, nadal płonął na twarzy Dysarta, gwałtowna nienawiść nadal przebijała przez jego słowa.

- Chyba nie - odparł Harry, przestraszony jego zachowaniem. - Ale co... co z...

- Z innymi? - Dysart pokręcił głową lekceważąco. - Jeśli chodzi o nich, nie mam usprawiedliwienia. Może Everett miał rację, kiedy wspomniał o dziedziczności. Może to coś w rodzaju samospełniającej się przepowiedni. A może tak jak mówiłem, drugie morderstwo jest łatwiejsze niż pierwsze, trzecie

łatwiejsze od drugiego, czwarte... - Spojrzał wprost na Harry'ego, jakby chciał, by ten uwierzył w jego słowa. - Jack miał rację, kiedy mnie zdradził. Należało mnie powstrzymać. Przerwać to wszystko. Wybrał jedyny skuteczny sposób. Teraz, gdy mnie opuścił, nie zostało nic, czego bym pragnął albo potrzebował; nic, dla czego byłbym gotów zabijać albo umierać. Gra skończona. Pogoń...

Urwał niespodziewanie i przyłożył palec do ust na znak milczenia, jak gdyby usłyszał coś, co umknęło Harry'emu. Stał nieruchomo przez chwilę, potem szybko podszedł do lampy, zgasił ją, uchylił firankę i wyjrzał przez okno.

- Co się stało?

- Nie jestem pewien. Coś na zewnątrz. Jakby samochód wjechał na podjazd.

- Czy to...

- To Will! - W głosie Dysarta brzmiał niepokój, zacisnął nagle dłoń na firance.

- Dziwiłem się, gdzie się podział. Zwykle nie odchodzi daleko.

Harry wyjrzał zza ramienia Dysarta i spostrzegł zgarbioną, szurającą nogami sylwetkę Willa nadchodzącą ścieżką od bramy. Jak poprzednio, miał na sobie beret i kombinezon, a choć światło było o wiele za słabe, żeby zobaczyć, czy wciąż ma na szyi krawat w barwach Breakspear, Harry nie miał co do tego wątpliwości.

- Przecież Morpurgo nie potrafi prowadzić - wyszeptał.

- No właśnie, Harry, no właśnie. Ktoś go musiał podrzucić.

- Może pójdzie do mieszkania nad garażem?

Z jakiegoś powodu Harry pragnął, by tak właśnie się stało.

- Nie wygląda na to. Zdaje się, że tu idzie. - Dysart cofnął się od okna. - Zaczekaj. Pójdę z nim porozmawiać. Zostań na miejscu. Twój widok może go niepokoić.

Wyszedł szybko z pokoju, w którym panował półmrok. Kiedy Harry wyjrzał ponownie przez okno Morpurga nie było już widać. W tej samej chwili głos Alana dobiegł go z korytarza przez uchylone drzwi.

- Cześć, Will. Gdzie byłeś?

Żadnej odpowiedzi.

- Zaczynałem się o ciebie martwić.

Nadal brak odpowiedzi.

- Miałeś gościa?

Morpurgo wreszcie się odezwał swoim znajomym sepleniącym, niepewnym, monotonnym głosem.

- Rex-mnie-odwiedził.

- Rex Cunningham? - Przyjazny ton Dysarta zabrzmiał nieco fałszywie. -
Czego chciał?

- Mówił-mi-różne-rzeczy.

- Jakie rzeczy?

- O-wypadku.

- Jakim wypadku?

Zapadła cisza, chociaż Harry'emu zdawało się, że jego napięty słuch łowi oddechy dwóch mężczyzn: płytki, nerwowy Dysarta i nosowy, ciężki Morpurga. Jakie spojrzenia i sygnały, jakie wskazówki i znaczenia sobie przekazują, nie mógł się domyślić. Zamiast tego jego umysł rozpaczliwie próbował uporządkować to wszystko, czego się dowiedział w Tyler's Hard, odkąd tu przyjechał niecałe pół godziny temu. „Robiłem to wszystko dla ciebie”. O co chodziło Dysartowi? Jaką rolę odgrywał on, Harry, w jego smutnych, splątanych losach? Naraz Morpurgo odezwał się znowu i uwagę Harry'ego z powrotem pochłoneła terazniejszość.

- To-prawda?

- O co chodzi, Will?

- Co-Rex-powiedział.

- O czym?

- O-wypadku.

- Nie wiem, co przez to rozumiesz.

- Wiesz.-Widzę-że-wiesz.-Widzę-po-twoich-oczach.

Otwarła się kolejna przepaść ciszy, tym razem na pewno wypełniona oddechami dwóch niespokojnych mężczyzn. Harry ruszył do drzwi, zatrzymał się. Ostatecznie nie ma prawa interweniować. Dysart musi odeprzeć oskarżenie najlepiej jak potrafi.

- To-prawda?

- Zawsze się starałem, żeby ci tu było dobrze, Will.

Jednak Morpurgo nie dał się zbić z tropu.

- To-prawda? - zabrzmiało uparte staccato.

Nastąpił moment zastanowienia, potem - jak się zdawało - cierpliwość Dysarta się wyczerpała.

- A jeśli nawet? - spytał ironicznie. - Co zrobisz? Co takiego zamierzasz zrobić?

- Ty...

Głos Morpurga przeszedł w zdławiony szloch. Drzwi frontowe zatrzasnęły się z siłą, od której zadrżał cały dom. Harry słyszał zza okna płacz; szarpiące, bolesne łkania, które nagle przeszły w urywany skowyt. Potem rozległ się skrzyp żwiru i odgłos ciężkich, niepewnych kroków na ścieżce, oddalających się, aż umilkły zupełnie.

- Przepraszam cię za to - powiedział Dysart, wsuwając się do pokoju z dziwnym uśmiechem na ustach.

- Co mu Cunningham powiedział?

- A jak myślisz? Sądzę, że coś bliskiego prawdzie. Teraz, kiedy Rex wie o Jacku i o mnie, zdołał wydedukować, co się zdarzyło na szosie w Burford. I najwyraźniej jest też gotów obarczyć tą wiedzą biednego Willa.

- Co robi Morpurgo?

- Co robi? - Dysart zapatrzył się w przestrzeń. - Nie mam pojęcia. Naprawdę nie wiem. - Jego spojrzenie wróciło do Harry'ego. - Na czym to skończyliśmy?

- Przecież właściwie wzięłeś na siebie odpowiedzialność za jego kalectwo.

Dysart zignorował jego słowa.

- A może już sam poskładałeś fakty?
- Co?
- Zobaczyłeś wzór? Dopasowałeś elementy układanki?
- Jaki wzór? Jakie elementy?

Alan uśmiechnął się szerzej.

- Naszych losów, Harry. Twoich i moich.
- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Naprawdę? Rozczarowujesz mnie. Może przydałaby ci się jakaś wskazówka. Paul Stobart został zamordowany w czwartkową noc dwudziestego marca czterdziestego siódmego roku. Gwendolen Stobart uciekła z synem tej samej nocy. Kiedy popełniła samobójstwo cztery miesiące później w Cardiff dziecka z nią nie było. Zgubiła je po drodze.

- Jak to po drodze?
- Może powinienem powiedzieć... na torach.

Słowa Dysarta odsunęły czterdzieści lat jak zasłonę. Harry nie znajdował się już w domu wiejskim w Hampshire, nie czuł już zmęczenia i przygnębienia wieku średniego. Nagle miał jedenaście lat, szkolną czapkę nałożoną na bakier, rozczochrane włosy, guzik od blezera urwany na jakimś płocie, poobijane kolana wystające z nogawek krótkich spodenek, zniszczone buty, tornister na plecach, krawat wetknięty pod koszulę. Chuchnął w dłonie w mitenkach, by je ogrzać, poślinił ołówek i otworzył swój zeszyt, w którym zapisywał numery pociągów, kuląc się przy dziurze w płocie oddzielającym dziedziniec kościoła Świętego Marka od torów kolejowych. Znajdował się w Swindon o zmierzchu pierwszego zimnego, śnieżnego dnia wiosny roku pańskiego 1947, nieświadom morderstwa, jakie popełniono w Bermondsey ubiegłej nocy, nieświadom, iż czas i przypadek zdecydowały, że jego los przetnie się z losem bezimiennego niemowlęcia, które miało kiedyś zostać Alanem Dysartem.

Nie, to nie śnieżna zaspą. To kartonowe pudełko, oparte o tor, po którym miał przejechać ekspres do Cardiff. Ekspres do Cardiff, o numerze nie dającym się

jeszcze odczytać, ale z pewnością klasy King, jeśli tylko dopisze mu szczęście. Naturalnie zmiecie pudełko, maszynista nawet nie zauważy. Chyba że... zaraz. To nie w porządku. W pudełku coś jest, porusza się i wygina, i tak, płacze - niewielki biały węzełek o czerwonej twarzązce, który może być jedynie... Pociąg przyspieszał, zbierał potężne siły po opuszczeniu stacji. Dym buchał z komina, niby burzowa chmura, para kłębiła się jak morska piana wokół tłoków i na pół zakrytych kół zamachowych, kiedy niepowstrzymany lewiatan mknął wprost na kruchy karton i jego nieświadomego lokatora. Za minutę będzie po wszystkim. Za niecałą minutę życie dziecka zostanie przerwane.

Nie miał czasu na namysł, na rozważania czy kalkulacje. W przyplwywie uczniackiej brawury przemknął przez dziurę w płocie i skrawek trawy pokrytej śniegiem. Bez wahania - bo czuł, że wahanie miałyby tragiczne skutki - rzucił się przez trzy pasma szyn dzielące go od pudełka, przeskakując zgrabnie z jednej szyny na drugą; każda wibrowała mocniej od poprzedniej. Uszy wypełniał mu ryk zbliżającego się pociągu, oczy utkwilił pudełku, myśli wypełniała mu gorączkowa modlitwa, by się nie poślizgnąć, nie potknąć. Potem znalazł się u celu, pochylony schwycił pudełko wraz z jego zawartością, przeskoczył jeszcze dwa tory, zatrzymał się i popatrzył na pobladłą z gniewu twarz maszynisty - zbyt wstrząśniętego, by wykrzyknąć to, co z pewnością myślał; zbyt zdumionego, by zrozumieć, co się stało.

Opadł wolno na kolana i postawił pudełko w bezpiecznej przestrzeni między torami, podczas gdy wagony mijały go rozmyte w pędzie. Dziecko patrzyło na niego, sine z zimna, ale najwyraźniej spokojne, chociaż otarło się o śmierć. Kiedy spojrział dokładniej wydało mu się nawet, że niemowlę się uśmiecha - niespiesznym, ale szczerym i niespodziewanie sympatycznym uśmiechem.

Aktu niezwyklej odwagi dokonał wczoraj w Swindon jedenastoletni uczeń, ratując życie porzuconego niemowlęcia. Harry podniósł wzrok na Dysarta i zobaczył, że ten uśmiecha się nadal przez zasłonę lat. Policja apeluje do matki o jak najszybsze zgłoszenie się.

- To byłeś ty - mruknął. *Policjanci pochwalili zachowanie Harolda i opisali go jako „odważnego, bystrego i zaradnego młodzieńca”*. - Ty byłeś tamtym dzieckiem.

- Tak, Harry. To byłem ja.

„Co to jest, panie Barnett? Co takiego jest w panu, do czego Dysart przylgnął? Co go z panem łączy, panie Barnett?” Słowa Ellisona dzwoniły Harry'emu w uszach, kiedy patrzył z rosnącym zrozumieniem na uśmiechniętą twarz Dysarta. Syn morderczyni, który przeżył, by pójść w ślady matki. Alan Dysart i Harry Barnett. Niedoślą ofiara i jej wybawca.

- Dlatego zatrudniłem się w Barnchase Motors i udzielałem ci wszelkiej pomocy, jakiej mogłem. Dlatego przekonałem Charliego Mallendera, by cię przyjął. Dlatego wybrałem cię na stróża Villa ton Navarkhon. Nigdy nie zapomniałem, ile ci zawdzięczam, Harry. Nigdy nie przestałem próbować ci się odplacić. Ale jak można odplacić za dar życia?

- Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś?

- Ponieważ sądziłem, że będziesz cenił wyżej przyjaźń niż wdzięczność. Że wolisz hojność od rekompensaty.

- Ale... przez te wszystkie lata...

- Wiedziałem to, z czego ty nie zdawałeś sobie sprawy: nie żyłbym, gdyby nie ty.

Konsekwencje tego, co powiedział Dysart uderzyły Harry'ego z przerażającą siłą.

- A twoje ofiary... by nie zginęły.

- Tak. - Dysart skinął głową z powagą na znak potwierdzenia. - To też, oczywiście. To też. Zabawne, nie sądzisz...

Drzwi otwarły się niespodziewanie i uderzyły z hukiem o ścianę, aż tynk się posypał. Na progu stał Morpurgo, zaczerwieniony i drżący. Dyszał ciężko, jedynym okiem wpatrywał się dziko w Dysarta. Przed sobą trzymał grabie uniesione do ciosu.

Przez mgnienie wszyscy zamarli jak skamieniali. Potem Dysart, dając ręką za plecami znak Harry'emu, by się schował w głębi pokoju, zrobił krok naprzód z łagodnym uśmiechem.

- Cześć, Will. Co...

Cios trafił go w głowę i posłał na ścianę. Na czole Dysarta i zębach grabi widać było krew; ciemne krople obryzgały dywan. Harry patrzył na tę scenę, niezdolny przez chwilę uwierzyć w to, czego jest świadkiem, niezdolny pogodzić się z realnością tego, co widzi. Dysart - nachylony do przodu, lewą ręką wsparty o ścianę, z prawą przyciśniętą do czoła, i Morpurgo - oddychający ze świstem przez zęby, patrzący nieruchomo jedynym okiem, z grabiami w dłoniach. „Ktoś uzbrojony w grabie zdaje się na mnie zamierzać”. Zapamiętana fraza utorowała sobie drogę przez myśli Harry'ego i trwała drwiąco przez upiorną chwilę, jakby przypominając: „Czy tego nie przewidziałeś? Czy nie zdawałeś sobie sprawy, że to się musi tak skończyć?”

Morpurgo uderzył znowu, tym razem zadając przerażający cios od dołu, który odrzucił Dysarta od ściany, trafiwszy go w lewą część twarzy. Na koszuli Harry'ego była krew, krew i coś jeszcze spływało po jego piersi i ramieniu, kiedy Dysart chwiejnie zatoczył się na środek pokoju, jęcząc cicho, z rozłożonymi szeroko rękami i odchyłoną głową, jak gdyby nie próbował się już osłonić ani zakryć ran. Przez mgłę własnego niedowierzania Harry widział, że w miejscu, gdzie znajdowało się lewe oko i policzek Dysarta otwiera się krater poszarpanych mięśni i kości. On i Morpurgo stali się naraz równi. Dysart wpatrywał się w Harry'ego zdrowym okiem, z trudnością skupiając wzrok, jakby przyznawał, że dostrzega ironię sytuacji, uznaje swoje cierpienie za sprawiedliwe.

Trzeci cios nadszedł gdzieś znad głowy Morpurga, zębaty łuk metalu z błyskiem zagłębił się w głowie ofiary. Odgłosy miażdżenia, rozpryskująca się krew i tkanki. Przerazający bulgotliwy jęk. Dysart zatoczył się wolno na wysoką biblioteczkę stojącą pod ścianą w głębi, książki i dzbanki ześlizgiwały się z półek, rozbijały wokół niego, spadały w kawałkach na podłogę; wyrwane strony i por-

celanowe skorupy zatrzymywały się u jego stóp niby ostatnie kamienie lawiny.

Morpurgo szedł przez pokój z uniesionymi wysoko grabiami. Dysart przetoczył się na plecy, prawe oko mrugało w czymś, co zaledwie parę sekund wcześniej było przystojną, gładką twarzą. Poszarpane kąciki ust drgnęły, jakby próbował się uśmiechnąć albo coś powiedzieć. Lewa dłoń poruszyła się i wygięła. Dopiero teraz członki Harry'ego usłuchały rozkazu: rzucił się naprzód, by stanąć na drodze Morpurgowi. Ten jednak miał siły szaleńca. Jednym ruchem ręki pchnął go na podłogę. Jedyne, co Harry widział nad sobą, to zgarbiony cień Morpurga i smukły zębaty cień grabi, który wynurzał się zza pleców mężczyzny i zniknął, kiedy grabie spadały na cel, a potem znowu, i jeszcze raz, i jeszcze, z dźwiękiem bardziej przerażającym niż najgorszy widok.

Potem szął minął. W niecałe dwie minuty wszystko się skończyło. Dysart nie żył. Morpurgo, z okrzykiem bólu i tryumfu równocześnie, cisnął grabie w kąt pokoju, rzucił jedno spojrzenie na swoją ofiarę, odwrócił się i wybiegł jak oszalały.

Harry podniósł się na kolana i spojrzał na zmasakrowane szczątki Dysarta. Gniew, tłumiony przez dwadzieścia lat, znalazł ujście. Dni Alana Dysarta dobiegły kresu.

Obok niego na podłodze leżała grzbietem do góry, z pogniecionymi i podartymi stronami książka, po którą wrócił do Strete Barton trzy dni wcześniej: „Panowanie Williama Rufusa”. Harry przyciągnął ją do siebie i otworzył na stronie przedtytułowej. Na dedykacji i podpisach pięciu ofiarodawców, widoczna w miejscu, gdzie zdawała się znajdować od zawsze, widniała plama krwi Dysarta.

LXV

W połowie nabożeństwa Harry uświadomił sobie, że to pierwszy pogrzeb, w którym uczestniczy od ponad czterdziestu lat, od śmierci wuja Lena. Trudno sobie wyobrazić dwa bardziej kontrastowe zdarzenia. Wuja Lena uczczono kilkoma

hymnami, przydługim kazaniem pastora, procesją wlokącą się na cmentarz żółwim krokiem, przenikliwymi lamentami jednej z ciotecznych babek Harry'ego nad grobem i rosołem na Falmouth Street. Śmierć Alana Dysarta przyciągnęła trzech żałobników i mamroczącego pastora. Zgromadzeni w sterylnym wnętrzu krematorium Southampton, słuchali muzyki elektronicznej muzyki, opierając się przygniatającemu wrażeniu, że uczestniczą w dyskretnym załatwianiu jakiejś niesmacznej sprawy.

Ceremonia była zakończona, nim się na dobre zaczęła. Trumna zniknęła cicho za zasłoną, taśma z muzyką przewinęła się do końca, odklepano ostatnią modlitwę i nieliczni zgromadzeni ruszyli z szuraniem do wyjścia. Pierwszy szedł Ellison, za nim Cyril Ockleton i Harry.

- Muszę powiedzieć, że zebrało się nas niezwykle mało - trąkotał Ockleton. - Było mi ogromnie trudno wyrwać się z Oksfordu tak nagle; semestr dopiero się rozpoczął. Niemniej zdobyłem się na ten wysiłek. Mimo okropnego skandalu, w który Alan wciągnął nasz college, oraz faktu, że musiałem odwołać trzy seminaria. Przyjechałem wyłącznie z poczucia obowiązku, sam pan rozumie. Tylko z tego powodu. I co widzę po przyjeździe? Z całym szacunkiem dla pana i tego... - Wskazał ręką postać wychodzącą właśnie z kaplicy.

- Ellison. Ministerstwo obrony.

- No właśnie. Chciałbym wiedzieć, gdzie się podziewa pani Dysart.

- W Kitzbühel. Nie zgodziła się przerwać urlopu.

- A inni członkowie rodziny?

- Nie miał nikogo.

- W takim razie ludzie, z którymi służył w marynarce?

- Przysłali kotwicę z kwiatów. Zobacz pan na zewnątrz.

- A inni politycy?

- Wszyscy umyli ręce.

- Dobry Boże...

Minęli drzwi kaplicy, przeszli, nie zatrzymując się, obok paru mizernych

wieńców. Przed nimi Ellison dziękował pastorowi, podczas gdy jego kierowca półgłosem wymieniał żarty z grabarzami.

- Rex? Naprawdę oczekiwałem, że spotkam tu Rexa. Przysłał jakąś wiadomość?

- Nic o tym nie wiem.

- To zdumiewające, panie Barnett, by nie powiedzieć: smutne. Cała ta sprawa mną wstrząsnęła, naprawdę. Alan nie żyje, Will w areszcie, a Jack... Proszę mi powiedzieć, czy sprawozdania w gazetach odpowiadały prawdzie? Czy rzeczywiście nie zdarzyło się nic, co by wyjaśniało, dlaczego Will zaatakował Alana z taką brutalnością?

- Zupełnie nic.

Ockleton pokręcił głową.

- To niepodobne do niczego... Żałuję, że Rex dzisiaj nie przyjechał, bardzo żałuję. - Rozejrzał się dokoła. - No cóż, chyba powinienem złożyć wyrazy szacunku wielebnemu, nieprawdaż? Pan wybaczy. Miło było znowu pana spotkać, niezwykle miło.

Po tych słowach i przelotnym uścisku dłoni odszedł pośpiesznie.

Z ulgą, że nareszcie znalazł się sam Harry wciągnął głęboko do płuc wilgotne, mgliste powietrze. Wolno przeszedł plac przed krematorium, aż dotarł do miejsca, skąd mógł widzieć podjazd. Tam się zatrzymał i przez kilka minut patrzył w stronę głównej ulicy z wielkim napięciem. Nie zdawał sobie sprawy, że Ellison zbliża się do niego od tyłu, póki łagodny, natarczywy głos tamtego nie zabrzmiał mu w uszach.

- Chyba nam się udało, panie Barnett.

- Co takiego?

- Załatwić wszystko po cichu. Bez prasy. Bez telewizji. Bez łowców sensacji. Praktycznie żadnych żałobników godnych wzmianki.

- Wolałby pan, żeby nie było nikogo?

- To wyglądałoby równie podejrzanie. Tak jak się sprawy mają... - Ellison

westchnął. - Od strony urzędowej śmierć Dysarta stanowi oczywiście wybawienie. Tym bardziej że człowiek, który go zamordował, jest wyraźnie niespełna rozumu, co nam oszczędzi kłopotów związanych z procesem. Nie będę jednak ukrywał, że takie zakończenie prowadzonego przeze mnie śledztwa pozostawiło mi wrażenie, jakbym został... jakby to powiedzieć... oszukany.

- Dlaczego miałby się pan czuć oszukany?

- Ponieważ nadal mnie pan intryguje, panie Barnett. Pan i pański nieżyjący, lecz bliski przyjaciel, Alan Dysart.

Harry nie odpowiedział. Patrzył wprost przed siebie.

- Och, proszę się nie niepokoić. Sprawa została zamknięta. Pańska tajemnica jest bezpieczna, bezpieczna jak... jakby to powiedzieć... jak w grobie.

Harry spojrzał na niego.

- Grabarz mi powiedział, że prosił pan o prochy. Mogę spytać, co zamierza pan z nimi zrobić?

- Rozsypać na torach kolejowych.

Ellison skrzywił się. Wyraźnie podejrzewał Harry'ego o sarkazm i nie podo-
bało mu się, że posłużył za jego cel.

- Rozumiem - powiedział wolno. - No cóż, życzę miłego dnia, panie Barnett. Nie sądzę, byśmy się jeszcze spotkali.

Nie wyciągnął ręki; odwrócił się i odszedł.

Pięć minut później Harry dalej stał w tym samym miejscu, patrząc, jak trzy samochody odjeżdżają z terenu krematorium. Prowadził służbowy wóz Ellisona, za nim sunął ochlapany błotem gruchot Ockletona, na końcu karawan. Kiedy ostatni wyjechał na ulicę i zniknął z oczu na podjeździe zjawił się jeszcze jeden samochód, tak jakby ów potrójny odjazd stanowił dla niego sygnał. Była to tak-
sówka; zatrzymała się w połowie podjazdu. Harry podniósł rękę w geście powitania, gdy tylko rozpoznał osobę, która wysiadła i ruszyła w jego kierunku.

- Myślałem, że nie przyjdiesz - powiedział, gdy zbliżyła się na tyle, by go usłyszeć.

- Mało brakowało - odparła Zohra. - Sądziłam, że wszystko już sobie powiedzieliśmy.

- Bo tak jest.

- Więc co się zmieniło?

- Przejdźmy się po ogrodzie, to ci wyjaśnię.

Wokół krematorium wytyczono zwirowane ścieżki wijące się przez otoczone lasem polany, gdzie spłwiała wieńce wsparte o pnie drzew natarczywie przypominały o powodach, dla których ludzie odwiedzali to miejsce. Przez pewien czas Harry szedł w milczeniu, słuchając chrzęstu własnych kroków na kamieniach i szumu samochodów dobiegającego z pobliskiej autostrady. Przeszło mu przez myśl, że przygodny obserwator na podstawie ich wyglądu (Harry miał na sobie coś, co mogło ująć za czarny garnitur, Zohra - ciemny płaszcz i beret) musiałby dojść do wniosku, iż rozmawiają o stracie wspólnego znajomego lub krewnego. Prawdziwego celu ich spotkania nigdy by się nie domyślił, a nawet gdyby go poznał, prawdopodobnie nie chciałby weń uwierzyć.

Na szczycie pagórka z widokiem na kaplicę Harry zatrzymał się i zwrócił do Zohry:

- Przyszło mi coś do głowy - zaczął ostrożnie.

- W związku z czym?

- Twoim położeniem.

Zohra zaczerwieniła się.

- Jeśli ściągnąłeś mnie tutaj, żeby się napawać...

- Nic podobnego. Chcę ci pomóc.

Zmarszczyła brwi.

- Dlaczego?

Harry wskazał niejasno dym unoszący się z komina krematorium.

- Wszyscy coś straciliśmy: Heather, Dysart, Cornelius, Morpurgo, ty, ja. Każdy z nas zdradził dobrowolnie albo dał się nakłonić do zdrady i nikt na tym nie zyskał. Miałaś rację. Otrzymaliśmy to, co nam się sprawiedliwie należało.

- Więc?

- Więc chciałbym naprawić chociaż małą część szkód, które zostały wyrządzone, uratować coś z ruin.

- Pomagając mi?

- Tak.

- Ale nie możesz mi pomóc, Harry. W tym cały kłopot. Nikt mi nie może pomóc.

- Nie sądzę. Gdybyś zdobyła uprawnienia i wyrobiła sobie brytyjskie obywatelstwo musieliby pozwolić ci zostać, prawda?

- Co za sens o tym dyskutować? Wyczerpałam wszystkie dostępne możliwości.

- Niezupełnie. Jest pewien sposób, którego nie próbowałaś.

- Jaki?

- No więc... - Uśmiechnął się niepewnie. - Mogłabyś za mnie wyjść.

Patrzyła na niego w pełnym niedowierzania milczeniu.

- Rozumiem, trudno mnie uznać za świetną partię. Dwa razy starszy od ciebie, bezrobotny, bez grosza, a znajdzie się jeszcze parę innych wad. W dodatku...

- Przestań!

- Dzisiaj jest dwudziestego. Nie musisz wyjeżdżać jeszcze przez jedenaście dni. Mnóstwo czasu, by zaaranżować i formalnie zarejestrować małżeństwo. Ten twój kuzyn, prawnik z Newcastle, z pewnością mógłby potwierdzić, że to rozwiąże problem.

- Proponujesz mi fikcyjne małżeństwo, by mnie uchronić przed deportacją?

- Nie takie znów fikcyjne, jeśli mamy przekonać władze, że to nie wybieg. Będziemy musieli zamieszkać razem, przynajmniej na jakiś czas. Potem... Zresztą sam nie wiem. Ale tak, to właśnie proponuję.

- Dlaczego miałbyś coś takiego robić dla kogoś, wobec kogo nie masz absolutnie żadnych zobowiązań?

- Powiedziałem ci.

- Ale jaki jest prawdziwy powód?

Prawdziwy powód leżał w przeszłości, czterdzieści dwa lata temu, na torach kolejowych w Swindon: najwspanialsza chwila w życiu Harry'ego splamiona na zawsze przez swoje konsekwencje. Gdyby wiedział, do czego doprowadzi uratowanie dziecka znalezione w pudełku, to nigdy by nie interweniował. Gdyby rozumiał, jakie znaczenie będzie miał jego czyn dla niego samego i dla innych, to odwróciłby się i odszedł, pozwalając, by sprawy potoczyły się własnym biegiem. Los Zohry stanowił zaledwie jeden z owoców - choć niewątpliwie nie najbardziej gorzki - jaki wydało ziarno zasiane tamtego dnia, ale przynajmniej dawał Harry'emu skromną szansę zadośćuczynienia. Tym razem decyzja nie należała jednak do niego.

- Po prostu nie rozumiem, dlaczego wszyscy muszą coś stracić - powiedział.
- Mam stanowić szczęśliwy wyjątek od reguły?
- Możesz. Oboje możemy. To zależy od ciebie.

KONIEC